



CARLA MONTERO

Autorka bestsellerowej *Szmaragdowej Tablicy*



Zimowy wiatr
na twojej twarzy



CARLA MONTERO



Zimowy wiatr
na twojej twarzy

Przełożył
Wojciech Charchalis



DOM WYDAWNICZY REBIS

*Moim rodzicom, Carol i Luisowi,
za to, że są mistrzami rzemiosła, odbudowującymi
i zachowującymi tę rodzinę, moją,
z której tak bardzo jestem dumna*

Ty, coś na twarzy czuł zimowy wiatr,
Widziałeś chmury śniegowe we mgle,
Śród lodowych gwiazd czarne szczyty drzew,
Wiosną czas zbiorów będziesz miał. JOHN KEATS

Wiem, że do kresu zbliżę się przeznaczeń
W chmurach przeszytych na nieboskłonie;
Nie nienawidzę tych, z którymi walczę,
Nie umiem kochać tych, których bronię.

W Kiltartan Cross ojczyznę mam na ziemi,
Moją siostrą tamtejsza jest bieda;
Ani jej losu klęska nie odmieni,
Ani zwycięstwo szczęścia jej nie da.

Nie obowiązek wzywał mnie do bitew,
Patos orędzia czy poklask tłumu,
Własne pragnienia porwały mnie skryte
W nieba wrzawę i obłoków tumult.

Wszystko zważyłem i przywiodłem na myśl,

Wielka otchłań przyszłość moją wchłania.

I przeszłość w wielkiej wazy się otchłani

Na szalach życia i umierania. WILLIAM BUTLER YEATS

Lotnik z Irlandii przeczuwa swą śmierć

(przeł. Artur Międzyrzecki)

PROLOG

Październik 1990

Czaszki. Wyraźny kształt kości pod pergaminową skórą, przezroczystą. Patrzyły na nią puste oczodoły, błagały. Czarno-białe duchy. Czuć swąd prochu i krwi. Pijani Rosjanie, fałszując, śpiewają piosenki, których nie potrafi zrozumieć. Są blisko, bardzo blisko. Orientalne oczy i zgniłe usta; smród wody. Groźba karabinu i obsceniczna mina. *Na koleni, faszystskaja suka!*

Ocknęła się przestraszona. Pociła się, mimo że koc zsunął się na podłogę i chłodne powietrze muskało jej skórę. Przez kilka sekund nie mogła rozpoznać znajomych kształtów pokoju i uspokoić oddechu. Przez szparę w okiennicach wniknął szary promyk. Światło nadchodzącego poranka.

Już nie uda się zasnąć, wiedziała o tym. Cicho wstała z łóżka. Zimna podłoga pod stopami pomogła odpędzić resztki snu. Stawiając pierwszy krok, sztywny jak krok starej lalki, poczuła dziwne ukłucie w biodrze. Miała tylko nadzieję, że to nie zapowiedź rwy kulszowej; kiedy nieszczęsna wejdzie w nogę, nie sposób jej stamtąd wyrzucić.

Skrzypienie schodów obudziło Laszła; stary seter drzemał przy wygasłym kominku. Jak co rano przywitał ją przy pierwszym stopniu, zawzięcie merdając ogonem i niestrudzenie obwąchując jej ubrania. Poglądziła go po kudłatym brązowym grzbiecie i obiecała mu jedno z tych psich ciasteczek, które Pablo przywozi z miasta.

W kuchni otworzyła okno, żeby wpuścić do środka szary, chłodny poranek i ćwierkanie ptaków. Otuliła się długim wełnianym szalem i nastawiła ekspres. Zwyczajny zapach kawy napełnił całe wnętrze życiem, a jej ciało energią. To był zapach domu. Wypiła zwyczajową filiżankę, powoli, rozmyślając nad niewieloma obowiązkami czekającymi ją tego dnia. Laszlo, któremu jedno ciasteczko nigdy nie wystarczało, wylizywał podłogę w poszukiwaniu okruszków. W sumie zabijał czas, czekając, aż jego pani przygotuje się do porannego spaceru.

Zwykle myła twarz różanym mydłem i zimną wodą, spinała włosy w zgrabny kok i narzucała na siebie jakiegokolwiek wygodne ubranie. Później otwierała drzwi na dwór i patrzyła w niebo. Tego dnia ściągnęła z wieszaka nieprzemakalny płaszcz, ale zrezygnowała z parasola. Nie lubiła parasoli, wolała czuć na twarzy mżawkę. Nigdy nie przeszkadzało jej moknięcie na deszczu; przecież to tylko woda.

Laszlo czekał cierpliwie na otwarcie furtki, po czym rzucił się na ulicę i biegł zygzakiem po poboczu kilka kroków przed nią. Zwierzak znakomicie znał

drogę, od lat codziennie tę samą: pośród pól do pustelni, brzegiem strumienia i koło cmentarza. Zatrzymają się na chwilę na moście, żeby nasłuchiwać i węszyć. Głosy strumienia i bydła wznoszące się w stronę gór; w oddali kukułka. Woń wilgotnej ziemi i palonego drewna, budzącego się bukowego lasu. Do tego czasu Laszlo wysika się już kilka razy w swoich ulubionych miejscach, pobawi się kilkoma patykami i może zje jakiegoś chrabąszcza.

Potem ruszą drogą w stronę wioski zawieszanej na zboczu, będą szli pod górę po kocich łbach ulic pokrytych lśniąca rosą jak warstwą lakieru. Przejdą obok romańskiego kościoła i kolumnady jego atrium dokładnie w chwili, kiedy dzwony będą wybijać ósmą. I w ciszy, z echem ostatnich uderzeń dzwonu, zatrzymają się przy małej płycie wciśniętej w jedną ze ścian świątyni.

Na białym kamieniu data i trzy francuskie nazwiska wypisane na czarno. Bez mogiły.

Każdy obcy pytał o historię tej niewielkiej pamiątki, zaskakującej w tym miejscu. A don Telmo, proboszcz, uznawał za stosowne opowiedzieć ją przy każdej nadarzającej się okazji.

Ona jednak nie. Lena nie lubiła opowiadać o historii francuskich lotników. Było to coś nazbyt osobistego, niemal intymnego. Wspomnienie, które przechowywała jak klejnot. Bo tam się wszystko zaczęło. Początek życia równoległego, niczym tory kolejowe.

CZĘŚĆ PIERWSZA

*

Czerwiec 1927

Grzmot przeszył powietrze i rozbrzmiał pośród szczytów gór. Nie trzeba było długo czekać na świetliste echo błyskawicy, już po chwili białe światło zalało pokój. Lena nie potrafiła zrozumieć, jak jej siostry mogą twardo spać – Renata zwyczajnie pochrapywała – przy takiej burzy! Nawet bydło było niespokojne, słyszała, jak kopie i dyszy na dole, w oborze. A jednak nic nie zakłócało snu dziewczynek, zupełnie nie przeszkadzały im ani burza, ani ulewny deszcz hałaśliwie bębniący o blaszany dach niczym fanfary w wiejskie święto.

Lena lubiła deszcz; nieprzerwane bulgotanie wody i te nieprawdopodobne, wyczuwalne każdy z osobna zapachy wsi: drewno, mech, glina... Burze, dla odmiany, wzbudzały u niej szacunek – były jak kłótnia; kłótnia żywiołów.

Jednym susem wypadła z łóżka i oparła się łokciami o parapet uchylonego okna. Pod złotym światłem lampy ulicznej krople wody rozбивały się o biało-niebieską tabliczkę z zardzewiałymi krawędziami, obwieszającą jedyny telefon w promieniu wielu kilometrów. Niskie chmury połknęły szczyty i ledwie było widać most znaczący koniec wioski. Spektakl światła i dźwięków rozgrywał się, nie bacząc na brak publiczności, za nic mając podszytą niepokojem uwagę dziewczynki.

Wtedy to się stało. Lena nawet nie zdążyła zrozumieć, co zaszło. Cień, który runął z wysokości, a po nim eksplozja wysoko w górach. Kula ognia przeszła chmury i rozplynęła się na ciemnym niebie, zostawiając po sobie pomarańczową poświatę i słup dymu gęsty jak smoła. Burzę zabarwiło czarne magiczne zakłęcie.

Lena się przeżegnała i natychmiast wybiegła z sypialni prosto do pokoju naprzeciwno.

– Guillén, Guillén... – wyszeptała, potrząsając gwałtownie jedną z czterech osób leżących na dwóch złączonych łóżkach. – Guillén, obudź się.

– Co się dzieje?... Daj mi spać... – Tylko tyle wykrztusił chłopak zdrewniałym językiem, po czym naciągnął koc na głowę.

Ona jednak wcale nie miała zamiaru go słuchać.

– Coś wybuchło w górach... Słyszysz mnie, Guillén? Spadło z nieba, narobiło strasznego hałasu i zamieniło się w ognistą kulę... Jeszcze się pali... – wyszeptała, hamując cisnące się do gardła emocje.

– Przyśniło ci się, Lena... Wracaj do łóżka.

– Nie! – Zerwała z niego koc i odkryła twarz chłopaka. – Przysięgam, że nie spałam. Patrzyłam na burzę przez okno.

– Jesteś mokra! – przestraszył się Guillén, trochę bardziej rozbudzony.

– Mówiłam ci, wyglądałam przez okno. Musisz mi uwierzyć. Coś wybuchło w górach.

– To na pewno błyskawica. Idź wreszcie do łóżka i daj mi spać.

Urażona Lena podparła się pod boki. Musiała się zastanowić, jak sobie poradzić z takim lekceważeniem. Po kilku sekundach położyła się obok Guillena.

– Ale co ty robisz?

– Pozwól mi spać z tobą... Boję się... U nas w pokoju obie śpią.

– Tutaj też wszyscy spaliśmy – fuknął Guillén, niechętnie robiąc miejsce wpychającej się do łóżka Lenie.

– A jeśli to anarchiści?... Albo bolszewicy? Ksiądz mówi, że to dzikusy.

– Żadni tam wicy... ani inni... – Guillén dał za wygraną. Znał to zdecydowane spojrzenie Leny. Mógł je dojrzeć nawet po ciemku. – Ech... rób, co chcesz, tylko zamknij się już i daj spać.

Zadowolona Lena skuliła się na skraju materaca. Połowa ciała zwisała jej za łóżkiem, a mała poduszka nie wystarczała, żeby wesprzeć na niej głowę. Ale nie przeszkadzało jej to. Czuła się tam pewnie, a była w stanie spać nawet na czubku igły.

Myślała, że Guillén śpi, ale po chwili chłopak wyciągnął poduszkę spod głowy i podsunął ją Lenie. Bez słowa wsparł głowę na ramieniu i zamknął oczy.

Ona uśmiechnęła się.

– Dziękuję – szepnęła, zatapiając policzek w jeszcze ciepłutkiej poduszce.

On nie odpowiedział.

Mimo pewnej szorstkości w zachowaniu Guillén był dobrym chłopcem. Jej ulubionym bratem. Chociaż tak naprawdę to był jej bratem przyrodnim.

Lena doskonale pamiętała dzień, w którym pojawił się w wiosce. Od dziecka cherlawy i tyczkowaty, wiecznie uczepiony maminej spódniczki; na imię miała Balbina. Była kobietą nadzwyczaj wysoką i chudą, w wiecznej żałobie po mężu, wcale nieprzystającej do jej nieustannie serdecznego uśmiechu. Ona i mały Guillén przeprowadzili się z Madrytu, żeby zająć rozpadającą się chatkę na skraju wioski, odziedziczoną po ciotce, ciotce Ignacii, która umarła ze starości, gdy doła kozę (głowa opadła jej na grzbiet zwierzęcia, jakby wsparła się na nim dla odpoczynku).

Lena i jej bracia myśleli, że Guillén, syn Balbiny, jest opryskliwy i zarozumiały, że udaje ważniaka, bo przyjechał ze stolicy. Jednak on cierpiał na chorobliwą nieśmiałość. I prawda jest taka, że kilka lat później, kiedy już stał się członkiem rodziny, ledwie rozmawiał z Leną, a z resztą prawie nigdy.

W czasie, gdy ta dziwna para pojawiła się w wiosce, wzbudzając najbardziej fantastyczne, raczej nieprzychylnie plotki, Lena matkowała rodzeństwu od niemal sześciu lat; jej prawdziwa matka zmarła przy porodzie. Dlatego dziewczyna odczuła swego rodzaju ulgę, kiedy niedługo po przybyciu młodej wdowy dowiedziała się, że jej ojciec i Balbina mają zamiar się pobrać. Jej bracia – szczególnie Pepe, najstarszy – niechętnie przyjęli w domu macochę, intruza; tylko Lena się cieszyła. Kobieta jednak w krótkim czasie zjednała sobie całą

rodzinę. Była uważna, cierpliwa, czuła, gotowała jak anioł i z pomocą katechizmu uczyła dzieci czytać i pisać; w lecie nawet bawiła się z nimi w chowanego na łące. Balbina wniosła do domu wszystko to, czego Ramón, ojciec rodziny, nie mógł albo nie był w stanie im dać, całkowicie pochłonięty pracą kolejarza i do końca życia skazany na gorycz z powodu śmierci pierwszej żony. Ramón był mężczyzną nieokrzesanym, z odciskami na rękach i brodą niczym papier ścierny na poczerńiałej od węgla twarzy; jego pocałunki i pieścizoty drapały.

Tymczasem Guillén prześlizgiwał się niczym samotny cień po domu wypełnionym piszczącymi dzieciakami – siedmiorgiem od narodzin Matiasa, owocu małżeństwa Ramona i Balbiny.

Lena przewróciła się w łóżku, żeby popatrzeć na Guillena pogrążonego we śnie. W wieku piętnastu lat dalej jest dziwnym chłopcem, ale ma dobre serce, pomyślała, zanim zamknęła oczy i pogrążyła się w modlitwie różańcowej, żeby łatwiej zasnąć.

*

Codziennie, oprócz niedziel, rodzina wstawała przed świtem.

Ramón pierwszy wychodził z domu, kierując się na swoje stanowisko hamulcowego w kolei górniczej; czapka naciągnięta na uszy i węzełek z obiadem. Wracał dopiero późnym wieczorem; siadał nad talerzem duszonych jarzyn, które metodycznie pożerał, wypalał papierosa, wychylając przy tym przydziałową szklankę wina, zbierał rodzinę na różaniec i po modlitwie kładł się do łóżka.

Balbina, która wstawała jeszcze wcześniej niż Ramón, krzątała się pomiędzy garnkami i zwierzętami, zajmując się domem i obejściem – rodzina miała koguta, sześć kur, kilka królików i cztery kozy, ponadto kawałek ziemi, gdzie uprawiali warzywa i kilka drzew owocowych. Zajmowała się też najmniejszymi dziećmi. Tylko Pepe i Lena z niejaką regularnością bywali w szkole.

Wioska, zasiedlona przede wszystkim przez robotników kolejowych i chłopów, miała własną szkołę dla czterdziestki dzieciaków, które tam mieszkały. Jednak kiedy zmarł nauczyciel, szkoła została zamknięta i z powodu gnuśności mieszkańców i władz nigdy więcej jej nie otworzono. Z tej czterdziestki mniej niż połowa pokonywała długą drogę pieszo do sąsiedniej wioski, a spośród nich niewiele czyniło to regularnie, wszak w okolicy dzieci były potrzebne do pomocy przy licznych obowiązkach domowych i nie miały czasu przesiadywać w ławkach, żeby uczyć się cyfr i liter, których z całą pewnością nigdy w życiu nie użyją. Do tych okoliczności należało dodać surowość klimatu: ulewne deszcze jesienią i obfite śniegi w zimie często zrywały drogi i zmuszały maluchy do pozostania w domach.

Pepe, który od zawsze był chłopcem żywym i niespokojnym, a przy tym wyróżniał się w arytmetyce i czytaniu, co rano zachęcał Lenę do przewyciężenia lenistwa, włożenia butów i wyjścia do szkoły mimo deszczu czy śniegu. On niósł obiad dla siostry, zeszyt i ołówek i zawsze trzymał dziewczynkę mocno za rękę, w drugiej trzymając kij na zwierzęta, które mogły pojawić się na drodze. Balbina starała się, żeby Guillén im towarzyszył, ale chłopak, który był częstym przedmiotem kpin i kar, bardzo szybko się zniechęcił do szkoły. I chociaż czasem matka używała pasa jako środka perswazji, on wolał spędzać dnie w górach, prowadząc kozy po stromych wzgórzach, i wylegiwać się w trawie, patrząc na pasące się stado. Poza tym, według Ramona, peseta, którą na tym zarabiał, nie za bardzo pomagała przekonać opornego chłopaka do zalet wykształcenia.

Tamtego czerwcowego dnia, wróciwszy ze szkoły ze słodką perspektywą nadchodzących wakacji, Pepe i Lena zastali w wiosce nadzwyczajne poruszenie. Większość mieszkańców, na czele z alkadem – lokalnym kacykiem, brzuchatym i niezbyt dbającym o higienę osobistą, który sprawował władzę, uciekając się do ciemnych machinacji – zebrała się na placu przy studni. Wszyscy gestykulowali żywo i przekrzykiwali się nawzajem. Pośród nich znajdował się również don Mariano, proboszcz, co bardzo dziwne, bo nie rozmawiał z alkadem od czasu, kiedy tamten zmusił go do powieszenia plakatu Unii Patriotycznej na dzwonnicy, chcąc się przypochlebić rządowi Prima de Rivera. Najbardziej zaskakująca była jednak obecność patrolu Guardia Civil, w czarnych pelerynach i lakierowanych trójgraniastych czapkach, wyróżniających się pośród burego wiejskiego tłumu.

– Co się dzieje? Skąd to zamieszanie? – zapytała Lena, wchodząc do kuchni.

Balbina, która pewnie była jedną z niewielu osób niebiorących udziału w zbiegowisku, obierała kartofle nad wiadrem, siedząc na swoim małym wiklinowym stołeczku.

Lena wzięła kawałek marchewki.

– A bo ja wiem... – odpowiedziała Balbina, nie odrywając oczu od roboty. – Mówią, że w górach rozbił się samolot... Jezu, co za czasy...

Lena niemal zakrztusiła się marchewką. Szeroko otworzyła oczy, znieruchomiła, jakby dochodziła do siebie po straszliwym szoku, po czym niemal natychmiast wypadła z domu jak huragan.

– Lena! Dokąd lecisz, dziewczyno? Musisz iść do studni...! Lena!

W ciszy gór Lena słyszała własny oddech ciężki z wysiłku od pośpiesznego wspinania się po skałach. Drogę znała doskonale, mogłaby ją pokonać z zamkniętymi oczami. Nie pierwszy to raz szła na pastwisko do Guillena. Czasem zostawała z nim na jakiś czas, aż do zmierzchu; po prostu patrzyli w chmury przepływające po niebie, oboje w milczeniu.

Kiedy usłyszała pierwsze dzwonki kóz zza krzaków, wiedziała, że jest

blisko.

– Guillén! Guillén! – Pomachała ręką. Wiatr wiejący na wzgórzu napierał na jej plecy i huczał w uszach.

Chłopak drzemał osłonięty wielką skałą. Ledwie rzucił okiem spod daszka czapki. Murzyn, brytan, był znacznie bardziej przyjacielski: ruszył do niej biegiem, radośnie merdając ogonem.

– Cześć, Murzyn. Cześć, stary. Dobrze... Dobrze... Nie ośliń mnie. To szkolne ubranie...

Lena przeszła przez łąkę w towarzystwie psa i stanęła przed Guillenem.

– Mówiłam ci.

Młody pasterz dalej beznamyślnie przygryzał trawkę pomiędzy zębami, przegonił machnięciem ręki kilka much z twarzy i przeciągnąwszy się, jęknął z rozkoszy.

– Co mówiłaś?

– Mówiłam ci, że widziałam, jak coś spadło z nieba, a ty nie chciałeś mi uwierzyć.

Guillén ledwie posłał jej spojrzenie spod oka.

– Teraz w wiosce jest pełno gwardzistów, którzy opowiadają, że w górach rozbił się samolot – ciągnęła dziewczynka.

Chłopak rozejrzał się wokoło i wzruszył ramionami.

– W tych górach nie.

– Och... jesteś niezdolny! – zdenerwowała się Lena. Padła na ziemię pokonana. – Czy to nie wydaje ci się niesamowite? Nauczyciel opowiedział nam kiedyś historię samolotu wyładowanego skarbami, który rozbił się na morzu i wszystkie skarby przepadły. A jeśli ten samolot przewoził złote monety i klejnoty?

– Uważam, że w szkole uczą was strasznych głupot. W życiu nie widziałem samolotu ze skarbami. Statek to jeszcze... Ale samolot?

– Guzik widziałeś, Guillén – odpowiedziała Lena, obrażona gnuśnością i pychą brata; co on mógł widzieć w tych górach, otoczony głupimi kozami?

– A co ty tam wiesz, mądrało.

Dziewczyna wołała się w to nie zagłębiać. Spuściła głowę i zaczęła od niechcienia wrywać garście trawy, które rzucała na wiatr. Tymczasem Guillén sięgnął do worka, wyciągnął kawałek chleba, ugryzł go i podał Lenie. Ona nie chciała; myślała o burzy, o wybuchu, o kuli ognia i ciemnym dymie wzbijającym się w niebo... o ludziach, którzy pewnie byli w środku. Od tego ciarki przebiegły jej po plecach.

Murzyn czekał, zaganiając kilka kóz do stada. Dźwięki ich dzwonek kojarzyły się z górami tak samo jak odgłosy burzy, jak świst wiatru zamiatającego łąkę i liżącego skały.

– Widziałem rzeczy, których nawet nie jesteś sobie w stanie wyobrazić – nagle zapewnił ją Guillén, ciągle żując chleb.

Lena zaciekawiona uniosła głowę. Mniej była zainteresowana tym, co przyrodni brat miał zamiar jej powiedzieć, a bardziej zdumiona faktem, że zaczął z nią rozmawiać; to było rzeczywiście niesamowite.

– Widziałem czarownicę – dodał tajemniczo.

Lena popchnęła go lekko. Zaśmiała się.

– Wariat...

Guillén w jednej chwili stanął na nogi.

– Chodźmy! – rozkazał, pociągając ją za rękę.

– Co robisz?

– Chodź ze mną.

Chłopak rzucił się biegiem tak nagle, że Lena nie mogła za nim nadążyć. Guillén wpadł w las, zręcznie niczym koza wdrapując się po śliskich ścieżkach zasypanych kamieniami. Szedł zygzakiem pomiędzy pniami i skałkami, przeskakiwał przez korzenie i krzaki. Lena starała się dotrzymać mu kroku i nie wyrznąć jak długa o ziemię. Chwilami zostawała trochę w tyle, więc on czekał znecierpliwiony, aż znowu się do niego zbliży.

Po drugiej stronie góry las robił się gęstszy i mroczniejszy, popołudniowe słońce ledwie się przedzierało przez gałęzie drzew sklepione niczym dach. Szczekanie Murzyna i pobekiwanie stada, wiatr przebiegający po zboczach – to wszystko zostało w oddali. Nagle Guillén zatrzymał się przed wejściem na jakąś polanę, za grubym pniem starego drzewa. Nie dyszał, Lena wręcz przeciwnie; miała wrażenie, że zaraz pęknie jej serce. Schyliła się, czując, że chwyta ją kolka.

– Zwariowałaś... Jak szalona koza... Za dużo czasu spędzasz z tymi okropnymi zwierzakami.

– Ciii... Cicho... Może jest w domu...

„W domu?” – powiedziała do siebie Lena. „Jakim domu?”

Spojrzała uważnie na Guillena: patrzył na polanę, na której stała rozpadająca się chatka – szopa na drewno zarośnięta chwastami. Z krzywego komina wznosiła się smużka dymu. Cisza nagle wydała się Lenie przerażająca... i to, w jaki sposób resztki światła padały na mroczną polanę. Wzdrygnęła się.

– Chodźmy stąd – poprosiła ciekawym głosem.

A jednak Guillén zignorował jej prośbę i z tą swoją zwierzęcą zwinnością ruszył w stronę domku.

– Guillén... Guillén, chodźmy... – upierała się przerażona Lena, podczas gdy on się oddalał.

Chłopak podszedł do chatki i teraz zaglądał do środka przez okienko. Machnął do niej ręką, żeby podeszła. Lena niechętnie go posłuchała.

– Nie ma jej – wyszeptał, gdy stanęła przy nim, skulona ze strachu. – Pewnie

poszła w góry po zioła. Czasem to robi.

– Kto?

Oboje mówili cicho jak w konfesjonale.

– Czarownica, głupolu.

Lena wykrzywiła buzię w przerażeniu.

– Nie mów takich rzeczy.

– Chodź, wejdziemy.

– Nie, Guillén, proszę, nie chcę tam wchodzić – błagała uczepona jego ramienia.

– Nie tchórz. Nic się nie stanie. Chcę ci coś pokazać.

Pociągnął Lenę do drzwi – czterech źle zbitych desek, które nie pasowały do futryny. Przy lekkim pchnięciu ustąpiły; zawiasy i drewno zaskrzypiały, jakby miały się połamać.

Wnętrze było ciemne, oświetlał je tylko ogień z małego kominka, który dyszał dymem zupełnie jak śpiący smok. Dziewczynę uderzył w twarz mdlący smród kociego moczu, wilgoci i gnijącego mięsa; zasłoniła sobie nos i usta ręką i oszołomiona szła za Guillenem. To pomieszczenie było stare, brudne i biedne. Kurz i gęsty dym w powietrzu – duszące. W rogu stało łóżko, deska na czterech nogach wznosiła się pośrodku, zavalona stosami rzeczy; dwa połamane krzesła, zgaszona świeca, pęczki ziół zwisające z sufitu, które wyglądały jak śpiące nietoperze, miękka pod stopami podłoga pokryta słomą i ścinkami materiału, kociołek kipiący na ogniu...

– Jest to dom czarownicy czy nie jest?

Lena wolala nie odpowiadać, była oszołomiona.

– Czasem dobiegają stąd krzyki kobiet. Krzyczą z bólu... – Głos Guillena stał się mroczny. – A stara wynosi zakrwawione szmaty i pierze je w rzece...

– Dostyc już! Chcę stąd iść... – przerwała mu Lena ze łzami w oczach.

– Czekaj, musisz zobaczyć to.

Guillén podszedł do kominka, nad nim była półka, której dziewczynka wcześniej nie zauważyła; stało tam mnóstwo zakurzonych słoików. Chłopak zapalił świecę i je oświetlił. Szkło odbiło matowy blask. Stopniowo płomień świecy odsłonił przed nimi straszliwą zawartość: spirale żmij i jaszczurek, zdechły szczur, żuki, pająki... Wszystkie pływające w lepkiej cieczy...

– Patrz...

Chłopak chwycił jeden ze słoików i wyciągnął go w stronę Leny. To było okropne: do jego wnętrza wciśnięto malutkie dziecko, nie większe niż dłoń, z dużą głową, żyły prześwitywały przez skórę, dwie ciemne plamy w miejsce oczu, nogi oddzielone od ciała...

Dziewczyna pobladła, wstrząsnęły nią mdłości. Jednak nie mogła przestać patrzeć na słoik. Na szczęście Guillén zabrał go jej sprzed oczu i odstawił na półkę,

ale tylko po to, żeby sięgnąć po następny, wypełniony żmijami.

– Co to ma być? Czarci pomioście! Co tu robicie?!

Krzyki grzechoczące jak orzechy w koszyku przeraziły ich. Guillenowi słoik wypadł z rąk, uderzył o krawędź kominka i roztrzaskał się na kawałki, a jego obrzydliwa zawartość rozlała się po podłodze.

– Ja wam dam! – wrzasnęła starucha, zbliżając się z kijem w rękę.

Guillén uciekł, wyskakując przez okno, ale Lena została, sparaliżowana strachem, i patrzyła w bezruchu, jak ta kobieta z poraną twarzą, przygarbiona i odziana w szmaty podchodzi do niej.

– Ty mały gadzie, już cię mam!

Koścista ręka chwyciła ją za kołnierz. Lena czuła, że się dusi. Cofnęła się o krok i nadepnęła na żmije, które mlasnęły, rozplaszczając się na podłodze jak bardzo dojrzały owoc.

Stara wybuchła piskliwym śmiechem, z całej siły ciągnąc ją za ucho. Usta baby były czarną dziurą, z której wydobywał się nieprawdopodobny odór. Lena chciała krzyczeć, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. Zacisnęła powieki i łzy spłynęły jej po policzkach. Dokładnie w tamtej chwili usłyszała wycie i poczuła, że jest wolna. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że starucha klęczy i zwija się z bólu. Guillén zdzieriał ją po nogach pogrzebaczem.

Chłopak mocno chwycił przyrodnią siostrę za rękę i pociągnął ją za sobą: na zewnątrz, przez las, w dół wzgórza, pośród skał... Nie zatrzymali się ani na chwilę, nie oglądali się za siebie. Nawet kiedy Lena potykała się i przewracała. Guillén biegł i ciągnął ją za sobą bez ustanku, aż znaleźli się na polanie. Dopiero wtedy padli na trawę, dysząc niemal bez tchu. Murzyn wybiegł im na powitanie i skrupulatnie obwąchał ich ubrania.

Lena miała poobijane nogi i obolałe, poskręcane kostki. Serce jej łomotało. Na policzkach zostały wyschnięte ślady łez, ale nie płakała; była zbyt przestraszona.

Guillén podparł się i spojrzał na nią badawczo.

– Słuchaj, to jest tajemnica. Nikomu o tym nie mów. Moglibyśmy skończyć w więzieniu.

– W więzieniu? – wybąkała.

– Za włamanie.

– Nie... Nic nie powiem. Obiecuję.

Spóźnili się na kolację, ale nikt nie zwrócił na to uwagi; nie pierwszy raz się spóźniali. Balbina po prostu kazała im szybko umyć ręce i siadać do stołu; złażala też Lenę za to, że nie poszła po wodę ani nie pomogła w domowych obowiązkach. Nic więcej. Przecież było ich tyle i w porze kolacji robiło się takie zamieszanie, że bladeść i poobijane nogi Leny nie zostały zauważone.

Ramón zajął swoje miejsce u szczytu stołu i rozpoczął długą modlitwę, żeby pobłogosławić stół. Ledwie powiedział „amen”, a już odezwał się Pepe:

– Mówią, że to wodnopłatowiec rozbił się w górach. – Jego głos wznosił się ponad szczykiem sztućców. – Leciał z Lizbony do Paryża i musiał zboczyć z drogi przez burzę. Zdaje się, że chcieli wylądować na zaporze, ale w burzy nie mogli jej dostrzec. To niesamowite, przez cały dzień szukali szczątków, ale nic nie znaleźli.

– Co to jest wodnopłatowiec? – zapytał cicho Tomás.

– Taki smok, głupku. Ale nie jest niebezpieczny – natychmiast zapewniła go Julia.

– Ach... – wyszeptało dziecko, szeroko otwierając oczy, które ledwie było widać nad talerza.

– Ale z Paryża nie przylatują smoki, tylko bociany – dodała Renata.

– Taa... Może to był wielki bocian.

Tomás skinął głową, ale nic więcej nie powiedział. Skupił się na jedzeniu. Ziemniaki z kiełbasą były znacznie bardziej interesujące niż bociany, choćby największe.

Tymczasem starsi dalej rozmawiali, nie zwracając na maluchy większej uwagi.

– Widziałam, jak on spadł – oznajmiła Lena.

Pepe odwrócił się do siostry.

– Serio?

– Tak, dziś w nocy. Patrzyłam przez okno na burzę. Spadł po drugiej stronie Szczytu Szaleńca. Zrobiła się wielka kula ognia i okropnie się przestraszyłam.

– Kula ognia? – powtórzył Pepe. – Jak to możliwe, tato? To znaczy dlaczego samolot, spadając, musi się zapalić?

Ramón powiercił się na krześle i pociągnął łyk wina. Ten przeklęty chłopak wiecznie wprawiał go w zakłopotanie swoimi diabelnymi pytaniami.

– To oczywiste... – stwierdził z pewnością siebie, której nie miał. – To przez elektrykę i całą resztę...

– Może powinniśmy powiadomić władze o tym, co widziała Lena... – zauważyła nieśmiało Balbina.

– Cicho, babo. Oni już tam wiedzą, co robić.

Balbina pokornie spuściła głowę i pokołysała Matiasa leżącego w kołysce zaraz obok niej.

– Ale to, co mówisz o elektryce, tato...

– Dobra, dosyć już tego gładzenia – uciął Ramón. – To nie jest sprawa dla dzieciaków. No, jak pies je, to nie szczeka.

*

Góry nie miały przed Guillenem tajemnic. Z czasem chłopak sporządził w głowie własną mapę wzgórz, grani i szczytów; dolin i wąwozów. Znał najbardziej urwiste i niebezpieczne zbocza, ścieżki przecinające najgęstsze lasy, zakamarki, w których można się ukryć w złą pogodę, znaleźć wodę w lecie albo jagody. Potrafiłby tam przeżyć samodzielnie jak pustelnik albo ta czarownica z chaty, za towarzystwo mając tylko orły i wilki... Być może też Murzyna.

Nikt nie wspinał się na Szczyt Szaleńca, Pico del Loco. Miał niemal pionowe ściany, absolutnie niedostępne, północną jego część ledwie muskały promienie słońca, a śnieg nigdy nie topniał do końca, nawet w lecie. Może dlatego nosił taką nazwę – tylko szalenięć mógłby próbować się na niego wdrapać.

Jednak Guillén znał drogę, wąziutką, kamienistą ścieżynę biegnącą skrajem rozpadliny, którą chodziły kozice w poszukiwaniu młodych, jędrnych pędów. Droga nie należała do najłatwiejszych, zbocze było bardzo strome, a głazy zagradzające przejście gdzieś miały wielkość koła wozu; często zdarzały się osunięcia, które mogły pogrzebać człowieka pod tonami kamieni. Mimo wszystko można było się tam wdrapać.

Guillén zebrał stado w zagrodzie, napełnił poidło w strumieniu i z Murzynem u boku ruszył w kierunku Szczytu Szaleńca.

Fermín Pajares, na którego wszyscy wołali Nin, był synem alkada. Jego ojciec miał więcej ziemi i więcej sztuk bydła niż ktokolwiek w wiosce. Wiele rodzin dzierżawiło od niego ziemię, na której mieszkali albo którą uprawiali; trzymał ich za gardło, jak sam mawiał, kiedy chwalił się przed bliskimi. Ojciec Nina był w tym małym wiejskim świecie potężnym człowiekiem. I dlatego Nin go podziwiał. Jak dobry syn, rywalizował z ojcem na polu kłótności i wyzysku. Uważał siebie za małego kacyka wśród wioskowych dzieciaków: pyszny, złośliwy, rozpieszczony, rozmyślnie wredny, zupełnie jakby nie był dzieckiem.

Tamtego popołudnia, wracając ze szkoły, Nin wybrał się w góry wraz z kolegą Tatem, doskonałym kompanem: niezbyt lotnym, wiernym psem. Alkad obiecał synowi kilka duros, jeśli odnajdzie rozbity samolot; nic tak bardzo nie ucieszyłoby tego człowieka jak to, że jego jedyny potomek zostałby lokalnym bohaterem. Gdyby udało mu się tego dokonać, stałby się godnym synem swojego ojca. Mógłby nazwać jego imieniem jedną z ulic, nawet plac. Zamówiłby piękną, błyszczącą tabliczkę: Fermín Pajares Barreda, najlepszy syn.

Nina nęciły rzecz jasna pieniądze. Mógłby sobie kupić nową procę z mocną gumą, pudełko petard, paczkę cukierków i jeszcze by zostało kilka monet na zaś. Jednak najbardziej uśmiechało mu się oglądanie swojego imienia na tabliczce w wiosce. Ludzie baliby się go tak bardzo jak ojca i tak samo szanowali.

Nie za bardzo lubił góry, przeznaczony był do spraw znacznie wyższych

i poważniejszych niż dreptanie po kamienistych ścieżkach jak zwykły pastuch. Nagroda warta jednak była poświęceń. Cokolwiek by mówić, samolot jest zbyt duży, żeby można go było nie znaleźć. Problem w tym, że ci gwardziści źle wykonywali swoją robotę.

Po dwóch godzinach krążenia po górach przyszło mu do głowy, że zadanie nie jest tak proste, jak to sobie wyobrażał. Nin i Tato byli wyczerpani, głodni; bolały ich nogi od wspinania się bez sensu na okoliczne wzgórza. Ten cholerny samolot został połknięty przez ziemię.

Słońce jeszcze nie tknęło linii szczytów, kiedy Guillén go odnalazł. Niemal na niego wpadł. Nie musiał nawet się wdrapywać na Szczyt Szaleńca; samolot leżał u jego podnóża, rozbity o skalną ścianę. Szczątki były porzucane po bukowym lesie, w szerokim kole wypalonego terenu.

Poczuł ukłucie w sercu i drżenie rąk, kiedy się zbliżał. Nigdy nie widział nic podobnego, nic tak przynębiającego. Cisza tego miejsca, w którym nawet nie ćwierkały ptaki, wydała mu się złowroga i przytłaczająca. Zagubiony krążył pośród metalowych kawałków kadłuba, kształtów, których nie był w stanie zidentyfikować. Murzyn zatrzymał się przy czymś, co wyglądało jak resztki paleniska. Dopiero kiedy Guillén podszedł, zdał sobie sprawę, że to zwęglone ciało; poczuł, że zaraz zwymiotuje, ledwie się pohamował. Niebawem odkrył następne ciała, nienaruszone, które zostały wyrzucone z samolotu, zanim ten zajął się ogniem. Dwóch poskręcanych mężczyzn. Nie był w stanie dłużej na to patrzeć.

Odszedł stamtąd, omijając rzeczy, których nie chciałby rozpoznać: ubrania, torby, książki, okulary bez szkieł... Życie obrócone w strzępy na jego oczach.

– Patrz, Tato, to ten głupek pastuch.

Nin, odpoczywający na kamieniu, usłyszał hałas za plecami. Przestraszony odwrócił się, w obawie, że jakieś dzikie zwierzę skoczy mu na plecy, lis, a może nawet wilk. Jednak był to tylko ten głupek ze swoim psem.

Syn alkada ukrył się za kamieniem i natychmiast zmusił Tata do pójścia w swoje ślady, chociaż Guillén schodził ze spuszczoną głową i w pośpiechu. Tak bardzo był pogrążony w myślach, że na pewno by ich nie zauważył.

– Co on tu może robić bez swoich kóz? – zapytał Nin na głos.

– Może przyszedł się wyszczać – odpowiedział Tato.

Nin wolał pominąć milczeniem uwagę kolegi. Za bardzo był zajęty rozmyślaniami o tych okolicznościach. Ten pastuch to cwaniak. Obrzydliwy cwaniak, który pewnego razu rozwalił mu wargę i upokorzył go przed wszystkimi. Ale był też przebiegły i świetnie znał góry. Czego szukał tak daleko od swojego stada?

– Dobra, wstawaj – rozkazał Tatowi.

- Dokąd idziemy?
- Sprawdzić, skąd wraca ten skurwiel.

Guillén nie za bardzo wiedział, co ma teraz zrobić. Był trochę oszołomiony tym, co właśnie zobaczył. To jasne, że musi przekazać wiadomość, ale komu? Alkad był mendą, z którą wolałby nie zamieniać ani słowa. Ksiądz też nie był znowu taki święty. Pomyślał o poruczniku Guardia Civil, o matce, ojczymie... Jak miał im to wyjaśnić?

Kiedy dotarł do wioski, wciąż jeszcze nie podjął decyzji. A jednak niemal bezwiednie wszedł do domu i pojawił się w kuchni. Upewnił się, że Lena jest sama, zajęta zadaniem domowym, które zawsze odrabiała przy kuchennym stole.

– Lena.

Dziewczyna aż podskoczyła na krześle. Kleks spadł jej na zeszyt.

– Guillén... Przestraszyłeś mnie.

Usiadł obok niej, oparł się rękami na stole i wyszeptał:

– Znalazłem go. Znalazłem samolot.

Nin uznał siebie za geniusza. Tylko geniusz byłby w stanie odgadnąć, że pastuch coś odkrył. I to jeszcze jak!

Kiedy trafił na rozbity samolot, w pierwszej chwili ogarnęła go wściekłość. Ten przeklęty dupek go wyprzedził. Teraz już pewnie jest w wiosce i na całe gardło chwali się swoim odkryciem. Żegnajcie duros i plac imienia Nina. Zaczął przeklinać i rzucać kamieniami w rozbity samolot, górskie echo zmieniło te uderzenia w bicie dzwonów.

Potrzebował kilku chwil, żeby się uspokoić i zacząć jasno myśleć.

– Chodźmy, co tak stoisz jak ćwok? – krzyknął do Tata, kiedy postanowił przyjrzeć się wszystkiemu z bliska.

Kolega zatrzymał się na skraju wypalonego kręgu, obawiając się tak samo ataku złego humoru Nina, jak wejścia na ten wzbudzający niepokój teren. Niechętnie zdecydował się ruszyć za nim, wiedział wszak, że nie może mu się przeciwstawić.

Nin szedł, odkopując przeszkody na boki. To miejsce wyglądało jak wysypisko złomu i śmieci. Było obrzydliwe. Zatrzymał się jak wryty przed trupem.

– Kurwa mać – zauważył, jednocześnie popychając zwęglone ciało czubkiem buta.

– Nie rób tego, Nin... – poprosił go Tato, przygnębiony.

– Zamknij się i nie marudź. Ten facet nie żyje, więc nic nie czuje.

Nagle Nin zauważył, że na jego nadgarstku coś lśni. Zegarek. Pochylił się, żeby go zobaczyć: szwajcarski, złoty; na pewno bardzo drogi. Chłopak się uśmiechnął. Nagle te dwa duros, które obiecał mu ojciec, wydały mu się żalosalne.

rekompensatą.

*

Wiadomość o znalezisku wstrząsnęła całą wioską. Uderzono w dzwony i wszyscy mężczyźni, którzy czuli się na siłach, ruszyli w góry pod przewodnictwem Guardia Civil. Kiedy zniesiono ciała na grzbietach mułów, złożono je w trzech trumnach w kościele, w kaplicy Matki Boskiej Przenajświętszej, gdzie panował chłód nawet w lecie. Czekano na przyjazd sędziego. Dewotki nieustannie modliły się za dusze ofiar katastrofy, jakby należały do rodziny. Ktoś przyniósł trochę kwiatów. Mówiło się, że ci nieszczęśnicy to francuscy piloci. Jeden z nich spłonął i był praktycznie nie do zidentyfikowania, spekulowano więc, że może to on pilotował samolot. W barze jedyne radio w wiosce stało, o dziwo, wyłączone; mieszkańcy woleli pograć się w debatach na temat wypadku, które ciągnęły się do późnej nocy, przyćmiewając piłkę nożną, korridę, politykę i partie domina. Problem pojawił się, kiedy lekarz sądowy stwierdził, że jeden z tych mężczyzn jest obrzezany, a więc musiał być Żydem. Trzeba było zabrać ciało z kaplicy i zanieść je do ratusza. Dewotki przeżyły głębokie rozczarowanie, chociaż zrozumiały, że skoro ci trzej byli Francuzami, człowiek może się spodziewać wszystkiego.

I tak Guillén został bohaterem wioski. Ku swemu utrapieniu, gdyż nie znośił znajdować się w centrum wydarzeń. Uwaga, jaką poświęcali mu ludzie, sprawiała, że paskował, pozdrowienia i zachwyty wprawiały go w zakłopotanie i marzył tylko o tym, by się schować na swoich pastwiskach, z dala od ludzi. Nie mógł jednak przewidzieć, że jeszcze zatęskni za swoją rolą bohatera, gdyż w jednej chwili przestanie nim być i stanie się łotrem. A to, rzecz jasna, będzie znacznie bardziej nieprzyjemne i wprawi go w jeszcze większe zakłopotanie.

Jego zasługi i zaszczyty rozwiały się równie szybko, jak się pojawiły, kiedy pewnego wieczoru w domu pojawiło się dwóch funkcjonariuszy Guardia Civil, zaskakując rodzinę przy trzeciej tajemnicy różańcowej. Zabrali chłopaka, oskarżając go o kradzież. Ofiary katastrofy zostały bardzo skrupulatnie ograbione: zegarki, sygnety, łańcuszki, pieniądze... Zniknęło wszystko, co miało jakąkolwiek wartość. Ponieważ tylko pasterz był na miejscu tragedii, zanim dotarli tam przedstawiciele władzy, było oczywiste, że podejrzenie o przestępstwo spadnie na niego.

Guillén wyszedł z domu przestraszony, zapewniając, że niczego nie ukradł, ale jego nieśmiałe protesty, wypowiedane cieniutkim głosem, na nic się zdały. Ramón i Balbina nie wiedzieli, jak zareagować; patrzyli bezsilnie, gdy zabierano chłopca, eskortowanego niczym przestępcę. Nikt nie włożył ręki w ogień za

niewinność Guillena. Nikt poza Leną.

– Tato, nie pozwól, żeby go zabrano. To nie on, ja wiem, że to nie on. – Jednak jej krzyk odbijał się pustym echem.

Guillén spędził noc na komisariacie Guardia Civil, zaimprovizowanym w ratuszu, w oczekiwaniu na przesłuchanie.

Następnego poranka wypuszczono go, chociaż oskarżenie zostało podtrzymane. Gwardziści niczego od niego nie wyciągnęli, trzeba więc było czekać na sąd. Sytuacja nie wyglądała dobrze. Ramón, raczej zbolały niż wściekły, zamknął chłopaka w szopie, o chlebie i wodzie, jak to robił innymi razy. Wypuścił go, kiedy tylko zdał sobie sprawę, że to wszystko może potrwać i że syn jest bardziej użyteczny, pomagając w domu przy licznych obowiązkach: pracując od wschodu do zachodu słońca.

– I co z tobą będzie? – pytała go zaniepokojona Lena, podczas gdy Guillén pogwizdywał sobie w oborze.

– Wsadzą mnie do więzienia – zapewnił z udawaną obojętnością, nie przestając pogwizdywać. Tak naprawdę bał się tak bardzo, że od kilku dni nie spał.

– Ale ty tego nie zrobiłeś!

– Oni tak nie uważają. – Guillén westchnął, milczał przez chwilę i stanął twarzą w twarz z przyrodnią siostrą. – Poza tym skąd możesz być taka pewna, że to nie ja?

Lena poczuła się zbita z pantałyku, nic nie potrafiła na to odpowiedzieć.

Chłopak odrzucił grabie i usiadł na ziemi, chowając twarz w dłoniach pomiędzy kolanami. Był na skraju załamania z napięcia i strachu. I zachowywał się jak kompletny idiota: ona była jedyną osobą, która wbrew wszystkim i wszystkiemu dalej w niego wierzyła, a mimo to właśnie jej pokazywał zęby jak wściekły pies. Inny na jego miejscu przynajmniej by się usprawiedliwił. Ale słowo „przepraszam” nie mogło przejść Guillenowi przez usta.

– Wiem, kto to zrobił – obwieścił chłopak, wciąż z głową między kolanami.

Stojąc niczym lodowy posąg, Lena patrzyła na niego zmieszana.

– Kto? – zapytała z niepokojem.

– Nin... I Tato. Kiedy już znalazłem samolot i wracałem ze Szczytu Szaleńca, zauważyłem ich przyczajonych za skałą. Udałem, że ich nie widzę. Jestem pewien, że poszli po moich śladach i tak dotarli na miejsce wypadku.

Lena uklękła obok niego.

– I powiedziałaś to podczas przesłuchania?

Guillén pokręcił głową.

– Po co? Nie mam dowodów, to moje słowo przeciwko ich słowu. I na pewno pan alkad robi, co trzeba, żeby jego syn nie pojawił się w zeznaniach. To jego zemsta.

Lena natychmiast zrozumiała, o czym mówi Guillén. Nin już dawno

przysiągł mu zemstę, i to częściowo z jej winy.

Wszystko zaczęło się, kiedy przy drzwiach szkoły Nin zabrał Lenie ciastko z kremem. Poprzedniego dnia, gdy z okazji chrztu dziecka Encarny ojciec chrzestny rozrzucił monety na szczęście, dziewczynka chwyciła w locie kilka peset, więc Balbina pozwoliła jej kupić sobie ciastko w cukierni pani Adeli. To był jej mały luksus. Lena zaprotestowała i poprosiła, żeby Nin je oddał. Chłopak nie tylko nie posłuchał, ale jeszcze z typową dla siebie złośliwością zaczął dokuczać Lenie: „A może pobiegнешь się poskarżyć mamusi? Ach, nie możesz, bo przecież twoja mamusia nie żyje”, i odszedł, zaśmiewając się z własnego dowcipu, on i jego przybocznicy. Ona odwróciła się, ocierając łzy pięściami, żeby nikt nie widział, że płacze. Ktoś powiedział o tym Pepemu, więc brat próbował ją pocieszyć: „Wcześniej czy później Bóg stawia nas na właściwym dla nas miejscu”. Lena nie wiedziała o boskiej sprawiedliwości, ale co mogła zrobić, jeśli nie uczeplić się braterskiej porady... O zdarzeniu skądś jednak dowiedział się Guillén. I jeszcze tego samego popołudnia, kiedy Nin i jego przyjaciele grali w kości na placu, podszedł do grupki, chwycił syna alkada za ubranie, żeby zmusić go do wstania, i zdzielił go pięścią w twarz tak, że chłopak padł na ziemię pośród krzyków zdumienia i bólu. Wszyscy pozostali rzucili się na Guillena. Na szczęście Evaristo, właściciel baru, wybiegł na czas, żeby zapobiec linczowi. Wieczorem alkad pojawił się w ich domu w towarzystwie Nina, zbolełego i przygnębionego, z ustami jak granat. Był wściekły. Zagroził Ramonowi, że zgłosi na policję tego dzikusa, jego pasierba; straszył go sądem, grzywnami, więzieniem, poprawczakiem; zażądał, żeby Ramón wymierzył chłopakowi karę. Kiedy Lena chciała opowiedzieć swoją wersję wydarzeń, alkad najpierw spalił ją wzrokiem, a później zarzucił jej kłamstwo, bo przecież jego syn nie byłby w stanie zrobić ani powiedzieć niczego podobnego. Ten furia ustąpił dopiero wtedy, gdy Ramón zapewnił go, że ukaże Guillena. I tak się stało: w obecności alkada i jego syna Guillén otrzymał pięć pasów na tyłek, od strony kłamry, równie bolesnych, co upokarzających; i spędził noc w szopie, o chlebie i wodzie. Lena czuła się okropnie winna z powodu całego zajścia. Mimo wyraźnego zakazu poszła do szopy z kocami, poduszką i odrobiną jedzenia, które zwędziła ze stołu podczas kolacji. Ramón jej nie przyłapał albo nie chciał przyłapać.

Pewne jednak było to, że pięć pasów i noc w szopie nie uleczyły zranionej dumy i pękniętych ust Nina. Chłopak nienawidził Guillena, a na zemstę nigdy nie jest za późno.

Lena wiedziała, że nie ma sensu próbować przekonać Guillena, żeby zmienił zdanie; jeśli zdecydował się nie mówić, nie przemówi. W jego milczeniu było trochę racji: nie miał dowodów przeciwko Ninowi. A jednak Lena była przekonana, że ta menda nie może wygrać. Tym razem nie, sprawa była zbyt

poważna i jeśli nic nie zrobią, Guillén skończy w więzieniu.

Porozmawiała z Pepem. Może nie było to najlepsze wyjście, ale jedyne. I chociaż Lena miała plan, potrzebowała pomocy. Wysłuchawszy jej, brat wykazał niechęć. Pepe był spokojnym chłopcem, który nie lubił kłopotów i wolał radzić sobie z nimi w sposób pokojowy. Lena szybko mu uzmysłowiła, że w tym przypadku nie ma pokojowego rozwiązania.

Tato zarabiał drobne pieniądze, pomagając przy wycince w lesie i rozwożąc drewno staruszkom, którzy nie byli już w stanie robić tego sami. Niemal codziennie przemierzał trasę z wioski do lasu i z powrotem.

Pepe przygwoździł go do muru na tyłach cmentarza, kiedy chłopak rozpoczynał swój marsz z pustym wózkiem, gotowym do załadunku. Chociaż spokojny, Pepe był wysoki i silny i mógłby wielu przestraszyć, gdyby tylko chciał. A Tata przestraszyć było bardzo łatwo. Jego opór został złamany, kiedy Pepe podniósł go za kołnierz; niepotrzebne były bardziej wymyślne formy przemocy, wyśpiewał wszystko.

Funkcjonariusze Guardia Civil odwiedzili mieszkanie alkada i w pokoju Fermina Pajaresa Barredy, w puszcze po ciastkach ukrytej na dnie szafy, znaleźli jego łupy; zabrał nawet kłamry pasów, niczym sroka zwabiona blaskiem metalu.

Rzecz jasna Nin nie skończył w więzieniu, jego ojciec się o to zatroszczył. Ale co się najadł strachu, to się najadł, i to porządnie. Trafił też na trzy miesiące do internatu u księży z zamiłowaniem do dyscypliny, żeby mieszkańcy wioski jak najszybciej zapomnieli o żałosnych wydarzeniach.

Tak więc Guillén mógł wrócić na swoje pastwiska i do swoich gór, w objęcia świeżej trawy i pod osłonę gołego nieba. Z dala od hałasu i od ludzi.

Do jedynego miejsca, gdzie chciał być.

Sierpień 1927

Od bardzo dawna hrabina Urszula Zaleska nie przyjeżdżała do Hiszpanii. Od tak dawna, że czuła się niezręcznie, używając poznanego niegdyś języka: brakowało jej słów i czasem budowała zdania jak trzyletnie dziecko. I mimo że powód podróży był w jakimś stopniu tragiczny, cieszyła się z powrotu do tego kraju, gdzie spędziła większą część dzieciństwa i który wspominała z nostalgią.

Chociaż jej rodzina należała do starej polskiej arystokracji – jej dziadek wyemigrował do Francji po powstaniu listopadowym – teraz była Francuzką, wciąż jednak z dumą obnosiła się ze swoim nazwiskiem, tytułem i polskimi korzeniami. Jej ojciec był wysokim dygnitarzem w rządzie Trzeciej Republiki Francuskiej i członkiem poselstwa dyplomatycznego w Madrycie, dokąd rodzina się przeniosła, kiedy Urszula miała zaledwie pięć lat. W stolicy Hiszpanii dorastała, odebrała edukację i zakochała się po raz pierwszy w życiu. Ciągłe z niejakim rumieńcem wspominała tę pierwszą miłość, matadora. Zarówno jej ojciec, jak i ona uwielbiali walki byków i regularnie chodzili na arenę w Madrycie. Podczas jednej z wielu korrid mistrz Antonio Pinzón Romero, zwany Toñete, podszedł do łoża prezydenckiej, z której młoda dama oglądała spektakl, i ze szpadą w jednej ręce i kapą w drugiej zadedykował jej ostatniego byka tego dnia: „Dla pani, za pani wdzięk”. Kiedy z dużą biegłością wykonał swoje zadanie, widownia zażądała uszu i ogona dzikiej bestii, podczas gdy Urszula wyjęła wpleciony we włosy goździk i pocałowałwszy jego szkarłatne płatki, rzuciła przystojnemu i dzielnemu torreadorowi. Spotkali się ukradkiem kilka razy, przeżyli chwile uniesienia, składali sobie obietnice. On jednak był tylko niemożliwą miłością, której ojciec położył kres, wysyłając Urszulę do jednego z paryskich internatów. Tam została, wyszła za męża, miała dzieci... Nigdy więcej nie wróciła do Hiszpanii.

„Życie tak szybko upływa...”, pomyślała Urszula. Czarny sedan wspinał się po górskich serpentynach, przyprawiając ją o mdłości. Miłość wyгнаła ją z Hiszpanii, a trzydzieści pięć lat później również miłość ją tu przygnała: plecy nieco przygarbione, zmarszczki na twarzy i dusza zahartowana od światła i cieni życia. Bardzo tęskniła za Léonem i miała za nim tęsknić już zawsze; była za stara, żeby rany mogły się szybko zabliznić. „Dlaczego zostawiłeś mnie samą? Fabryka, dzieci... Nie dam sobie z tym rady...” Urszula uchyliła okno i zamknęła oczy; czuła coraz silniejsze mdłości.

Szmer rzeki, brzęczenie owadów, szczekanie psa, rozmowy płynące kaskadą pomiędzy uderzeniami klocków domina, szepty kum u drzwi kościoła i śmiech dzieci bawiących się na placu... Takie dźwięki wypełniały wioskę w każde letnie niedzielne popołudnie. Dlatego warkot silnika sprawił, że wszystko w jednej chwili

zamarło i mieszkańcy zwrócili zaintrygowany wzrok na ulicę – po zboczu wspinał się samochód w eskorcie motocykla Guardia Civil. Zatrzymali się przed ratuszem, pod omdlałą flagą. Samochód był wielki, robił wrażenie i mimo pyłu na drodze jego karoseria pozostała czarna, a chromowane dodatki lśniły w słońcu. W pełnej oczekiwania ciszy otworzyły się drzwi i szofer w na poły wojskowym stroju, w czapce, oficerkach i bryczesach, z niemal uroczystą powagą wysiadł z auta. Dzieciaki już zaczynały się przybliżać zaciekawione, kiedy szofer pomógł jakiejś kobiecie wysiąść z tyłu auta. Wyglądała, wypisz wymaluj, jak królowa Wiktorja Eugenia w reportażach z „ABC”: sukienka z koronki, kapelusz z szerokim rondem, rękawiczki z satyny i długi sznur pereł. Bez wątpienia była wielką damą. Pytanie jednak brzmiało, co takiego robi w tej właśnie wiosce.

Na powitanie hrabiny alkad włożył swój jedyny garnitur – ze zbyt dużą chusteczką w kieszeni – i odświeżne trzewiki. Coś naprawdę szczególnego. Kiedy jednak do niej podszedł, uwagę Urszuli przykuły jego zaczesane do tyłu tłuste strąki włosów i bijący od niego nieprzyjemny zapach zjełczałego tłuszczu. Nie była w stanie przyzwycząić się do tego zapachu nawet po dłuższym objeżdżaniu miejsc związanych z wypadkiem Léona w nużącym towarzystwie alkada. Na szczęście młody porucznik Guardia Civil choć trochę ją chronił przed tym natłokiem służalczności i smrodu.

– Oczywiście, proszę pani, że gdy tylko się dowiedzieliśmy, że pani mąż nie był... chrześcijaninem, rozumie mnie pani, wynieśliśmy jego ciało z kościoła. Jak to zrobił Jezus w świątyni, ha, ha, ha! – Po tym wybuchu nerwowego śmiechu alkad dodał bardzo poważnie: – Z całym szacunkiem, rzecz jasna.

Urszula przewróciła oczami. To dopiero wyjaśnienie... Léonowi prawdopodobnie byłoby wszystko jedno, czy leży martwy w świątyni chrześcijańskiej, czy jakiegokolwiek innej. Nie można powiedzieć, że jej mąż był szczególnie religijny; żydem był, oczywiście, bo trzeba być jakiegoś wyznania, a jemu akurat przypadło to. Biedny Léon... Urszula zawsze wiedziała, że jego pasja, lotnictwo, będzie przyczyną jego śmierci. I w jakiś sposób była za to wdzięczna: nie potrafiła go sobie wyobrazić zniszczonego przez wiek, w łóżku. Zginął, prowadząc aktywne życie, pełne przygód, był pionierem i lotnikiem... Był dokładnie taki jak wtedy, gdy go poznała, taki jak zawsze. Przedstawiono ich sobie po pokazach akrobacji powietrznej, w których on, wtedy jeszcze młody pilot, brał udział: Léon Bicart, inżynier, właściciel jednej z najważniejszych we Francji fabryk lotniczych... obdarzony błękitnymi oczami, łotrowskimi i bezczelnymi, najpiękniejszymi, jakie Urszula kiedykolwiek widziała. Wzięli ślub rok później.

– Pani hrabino – odezwał się porucznik, wytrącając ją z zamyślenia – kiedy pani zechce, możemy pójść poznać chłopaka, który odnalazł samolot pani męża. Naszego małego lokalnego bohatera.

Przez chwilę hrabina Zaleska czuła przyływ paniki w tym ciemnym, śmierdzącym gnojem pomieszczeniu. Upał i muchy doprowadzały ją do szału.

A jeśli podjęła decyzję zbyt pochopnie? „Po co to robisz, Urszulo?”, zapytała ją przyjaciółka Claire z miną absolutnego niezrozumienia, jakby sądziła, że śmierć Léona przyćmiła jej rozsądek. Tysiąc razy jej wyjaśniała, że powoduje nią wyłącznie wdzięczność, ale Claire nie chciała tego zrozumieć. Może ktoś lepiej obznajomiony z psychologią dostrzegłby, że ten gest doskonale wpasowuje się w filantropijną naturę hrabiny oraz jej zmysł praktyczny i wizję przyszłości. Jednak Claire ani nie odznaczała się empatią, ani nie była dobrym psychologiem.

Urszula ponownie spojrzała na chłopca; miał zaledwie piętnaście lat, ale już był od niej wyższy niemal o głowę. Początkowo wydał jej się interesujący: przystojny, z oczami w dziwnym kolorze, z mrocznym, ukośnym spojrzeniem zdradzającym nieufność. Urszula uważała, że nieufność jest oczywistym dowodem inteligencji, a to spotkanie przede wszystkim miało na celu wychwycenie u chłopca jej przeblysków. Jednakże po rozmowie z nim naszyły ją wątpliwości: uciekał wzrokiem, stał się posępny i zaczął odpowiadać na jej pytania monosylabami, wymijająco.

Chociaż jej intencje były dobre, grała w grę zarezerwowaną dla bogów, bardzo niebezpieczną grę; wtrącanie się w ludzkie losy może mieć nieoczekiwane konsekwencje. Cóż, dotarła do tego miejsca i nie miała zamiaru się wycofywać. Wierzyła tylko, że sprawa znajdzie najlepsze możliwe rozwiązanie, dla niej i dla tej skromnej rodziny.

– Dobrze, Guillén – mówiła powoli, splatając ręce na okrągłym stoliku, który Balbina ozdobiła swoją najlepszą serwetą – teraz posłuchaj mnie uważnie. Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia, tobie i twoim rodzicom. Tylko po to przyjechałam tu z tak daleka...

Całe rodzeństwo czekało z uszami przy zamkniętych drzwiach. Najgorsze było to, że kawa i ciasteczka maślane, które Balbina upiekła na tę okazję, zostały po drugiej stronie i ta odwiedzająca ich pani z pewnością już zajęła się smakołykami. Chyba tylko Lena naprawdę martwiła się tym, co działo się tam w środku.

– Co mówią, Renato? Słyszysz ich?

Dziewczynka patrzyła przez dziurkę od klucza.

– Nic nie widzę i nic nie słyszę. Ale ten zapach kawy... Brzuch mnie boli z głodu od tego zapachu.

– Po co taka pani mogła tu przyjechać? Czego może chcieć od Guillena? A jeśli to coś złego?

– Do diabła, Lena – warknął Pepe – zamknij się wreszcie... Ja chcę tylko, żeby wreszcie skończyli i żebyśmy mogli coś zjeść.

Guillén wpadł w panikę. Zamilkł. Zwykle milczał, bo nie chciał mówić, a nie dlatego, że nie miał nic do powiedzenia; przeciwnie, tysiące myśli wiecznie kłębiło mu się w głowie, ale nie chciał się nimi dzielić z nikim. Przy tej jednak okazji miał w głowie pustkę; tym razem po prostu nie wiedział, co powiedzieć. A ta pachnąca kwiatami kobieta wbijała w niego spojrzenie, jakby oczekiwała odpowiedzi. Spojrzał na matkę i na Ramona, którzy wyglądali na równie osłupiałych jak on.

– Mówi pani, że da nam sto sztuk bydła? – upewnił się ojczym, miętosząc beret w rękach.

Hrabina lekko skinęła głową:

– I teren oraz wszystko, czego potrzeba do ich utrzymania.

Tak, tego już Guillén wysłuchał, ale nie to go niepokoiło. Jak to wyjaśnić, od czego zacząć pytać, protestować, negocjować... To tak jakby chcieć wypić strumień wody jednym łykiem.

– Czyli że... – zauważyła Balbina nieśmiało – chce pani zabrać chłopaka?

– Cóż – Urszula się uśmiechnęła – kiedy pani tak o tym mówi, brzmi to niemal jak porwanie. Tak naprawdę chcę dać mu wykształcenie, najlepsze. Będzie mieszkał w moim domu, z moją rodziną, jako jeden z nas, przez cały czas nauki. Zapewniam panią, że będzie miał wstęp do najbardziej prestiżowych i najlepszych szkół i uniwersytetów Francji, jeśli tylko wykaże ochotę i zdolności.

Wtedy hrabina ponownie zwróciła się do niego. Szczęśliwie jej piękna upudrowana twarz, o delikatnej białej cerze, jakiej Guillén nigdy nie widział, była miła.

– Mam wobec ciebie dług wdzięczności za to, co zrobiłeś, Guillén. Dzięki tobie mój mąż spoczywa w ziemi i zarówno ja, jak i nasze córki mamy miejsce, gdzie możemy oddawać mu cześć. Nie przychodzi mi do głowy lepszy przejaw wdzięczności niż ten. Ale nie musisz podejmować pochopnej decyzji. Ty i twoi rodzice powinniście spokojnie to rozważyć. Przede wszystkim ty; jeśli pojedziesz ze mną, musisz być absolutnie przekonany, że tego chcesz. Ja zaczekam na decyzję tyle czasu, ile będzie trzeba.

Guillén przełknął ślinę. Tak naprawdę czuł, że strumień wody wpada mu do ust i zalewa go całego.

– Nie jestem pewien, kobieto... Nie jestem pewien, że to najlepsza rzecz. Czy będziesz w stanie żyć bez chłopaka? Ale sto sztuk bydła... Cholera, to dużo. Mógłbym przestać pracować na kolei...

Balbina zdobyła się na odwagę. Wreszcie powie, co myśli, narzuci swoją wolę, bez względu na konsekwencje. Nie miała zamiaru pozwolić się zdominować przez kogoś, kto nawet nie był ojcem Guillena. Ona i tylko ona mogła się wypowiadać w tej sprawie.

– Nie słyszałeś hrabiny? To rekompensata dla Guillena. Nie dla ciebie ani dla mnie, ani dla nikogo innego. Tylko dla chłopaka.

– A co ci każe sądzić, że to by było najlepsze dla chłopaka? Oderwanie go od ciebie, od rodzeństwa, od rodziny? Zabranie go do nieznanego miejsca, do życia z nieznanymi ludźmi? Nie jest dość rzutki, jest jak ten mały królik. To niemożliwe, że nie znasz własnego dziecka...

Cierpliwość Balbiny na chwilę się wyczerpała. Nielatwo było ją wyprowadzić z równowagi, ale co ten facet wiedział o jej dziecku? Gdyby nie szacunek, który mu była winna jako żona, powiedziałaaby, że jedynym w całej rodzinie, komu brakuje rzutkości, jest on. I jeszcze by mu powiedziała, że nie dopuści do tego, żeby syn zamienił się w żalostną kopię swojego głupiego ojczyma.

– Ja nie chcę, żeby spędził całe życie w górach, żeby na zawsze został pastuchem kóz, praktycznie analfabetą. To jest jego szansa, Ramón! Dar Opatrzności. I odrzucenie tego daru byłoby obrazą boską.

Ramón się poddał; nie ma co gadać. Nalał sobie jeszcze wina i zabrał się do skręcania papierosa. Zamilkł, bo się zgadzał, a nie dlatego, że uległ kobiecie. Gdyby chodziło o jego syna, inna byłaby śpiewka.

Do diabła, sto sztuk bywała... Nigdy nie marzył nawet o połowie.

Guillén siedział nieruchomo u szczytu schodów, skąd słuchał matki i Ramona kłócących się w kuchni; był tak spięty, że bolały go wszystkie mięśnie. Wyrywał sobie skórki ze spierzchniętych ust, które teraz krwawiły i swędziały.

„Przede wszystkim ty – powiedziała do niego hrabina – musisz być absolutnie przekonany, że tego chcesz”. Ale jak on miał być do czegoś przekonany? Był tylko pastuchem, analfabetą...

Balbina bezszelestnie wślizgnęła się do pokoju chłopców; po oddechach wyczuła, że śpią. Usiadła na skraju łóżka, przy skulonym ciele Guillena i pogładziła go po czole. Chłopak otworzył oczy.

– Jeszcze nie śpisz? – wyszeptała czule.

– Nie mogę zasnąć...

– Rozumiem... – Znowu go pogłaskała.

Guillén wzruszył ramionami.

– Zrobię to, co mama i Ramón zdecydują.

– Guillén, synku... Tym razem to ty musisz podjąć decyzję.

– Ale mamo, skąd ja mam wiedzieć? Nic nie wiem... – odpowiedział podenerwowany, niemal przygnębiony. – Co mam zrobić?

– Wszystko zależy od tego, czego chcesz dla siebie. Dzisiaj masz coś, czego wczoraj nie miałaś; wolność w decydowaniu, dokąd chcesz dojść. Temu jednak zawsze towarzyszą wątpliwości i odpowiedzialność. Rozumiem twój niepokój...

– Nigdy się mamie nie udało nawet przekonać mnie, żebym poszedł do szkoły, a teraz mam jechać do Francji? Tak daleko od mamy, od wszystkiego... Ledwie umiem czytać i dodawać... Jestem osłem...

Balbina uścisnęła rękę chłopaka, hamując emocje.

– Nie, mój synu, nie jesteś żadnym osłem. Przeciwnie, masz dar rozumu i szkoda by go było tracić na kozy. Nigdy nie miałam dość pieniędzy, żeby zapewnić ci wykształcenie, na jakie zasługuje twój rozum, ani nie miałam argumentów, żeby pokonać twoje lenistwo i obojętność twojego ojczyma. Teraz jednak, kiedy przeznaczenie zsyła ci taką okazję... Słuchaj, Guillén, wykształcenie to wszystko. Nie ma wolności, godności ani przyszłości bez wykształcenia. I dzisiaj dostałeś ten wielki prezent.

– W takim razie powinienem pojechać? Mama chce, żebym pojechał?

Kobieta westchnęła ciężko.

– Mój Boże... Niech ci nie przyjdzie do głowy, że chcę się ciebie pozbyć. Pęka mi serce na samą myśl o tym, jak będę za tobą tęsknić... Ja też się boję...

Guillén podparł się na łóżku i usiadł.

– Mamo... Płaczesz? Nie wyjadę, jeśli to ci się nie podoba...

Balbina mocno go przytuliła.

– Nie, Guillén, podoba mi się, jestem z tego dumna.

Chłopak przytulił się do piersi mamy. Od tego wszystkiego bolał go brzuch.

– Nie chcę być pastuchem analfabetą... – zapewnił po chwili, również zalewając się łzami.

Ona jeszcze mocniej go przytuliła i zasypała pocałunkami i pieszczotami.

– Nie będziesz, mój synu. Nie będziesz.

Październik 1927

Po mszy Guillén zniknął. Lena poszła po niego do pokoju chłopców, gdzie sądziła, iż zostanie go przy pakowaniu, ale nie było tam nikogo. Na jego łóżku leżały porządnie złożone ubrania, które miał ze sobą zabrać: dwie zmiany bielizny, koszula, trzyczęściowy garnitur i sweter. Balbina pojechała autobusem do miasta i kupiła mu wszystko nowe, nawet płaszcz, bo wiadomo, że ludzie we Francji ubierają się bardzo elegancko.

Jeśli Guillena nie było w pokoju, Lena wiedziała, gdzie się podziewa.

Chociaż minął dopiero pierwszy tydzień października, pogoda już się popsowała. Padało niemal całymi dniami, zrobiło się zimno; od dość dawna nie było widać górskich szczytów, ciągle zasnutych chmurami żeglującymi z północy. Nie było już przyjemnie pokładać się na trawie łąk, teraz mokrych i chłostanych wiatrem. Jednak kiedy Lena dotarła do zagrody, Guillén tam był, wyciągnięty jak długi na ziemi.

– Zmokniesz – odezwała się, gdy podeszła do niego. Wiatr rozwiewał jej włosy i smagał spąsowiałe policzki; ciasno otuliła się kurtką.

– Zobaczyłem w chmurach cztery kształty: turkawkę z rozłożonymi skrzydłami, ugryzione ciastko z kremem, but i twarz wujka Eladia, całą spuchniętą i pomarszczoną.

Lena uśmiechnęła się. Kucnęła i tak została, nie chciała siadać na mokrym.

– Myślisz, że we Francji chmury będą miały takie same kształty jak tutaj?

– zapytał wtedy Guillén.

– Pewnie tak.

– A myślisz, że tam są góry?

– To na pewno. Nauczyciel pokazywał je nam w książce: Alpy; są najwyższe w Europie. I Pireneje, które są też w Hiszpanii.

– Ale na pewno nie są tak ładne jak te...

Lena rozejrzała się, omiotła spojrzeniem ten krajobraz, którego nie oceniała już tak sprawiedliwie, bo doskonale go знаła. Był jednak naprawdę piękny: groźne szczyty w górze, kolorowe lasy, delikatne, lśniące łąki w dole.

Zdrętwiały jej nogi od tego kucania. Nie bacząc na wilgoć, położyła się obok Guillena, przeczuwając, że te ostatnie chwile trzeba chwycić w lot, zanim znikną, może na zawsze.

– Będę za tobą tęskniła – przyznała po chwili. Prawdopodobnie wdrapała się na tę górę tylko po to, żeby to powiedzieć.

– Nie sądzę. Murzyn jest bardziej rozmowny niż ja. A w domu jest was tyle, że zauważycie mój brak tylko dlatego, że będzie o jeden talerz za dużo. Wciąż przecież będziecie robić dość zamieszania.

Zdziwił się, że Lena nie odpowiedziała; ona, która zawsze musiała mieć ostatnie słowo. Odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć: miała twarz zwróconą w stronę nieba i oczy pełne łez.

Guillén spojrział jeszcze raz na szybko przepływające chmury i westchnął.

– Chodźmy... – Pocieszał ją najśłodszym głosem, na jaki było go stać: – Nauczę się mówić po francusku i kupię ci kapelusz, żeby zabrać cię na spacer po Paryżu jak wielką panią. – Dla Leny grał zadowolonego, maskował strach i mocno ściśnięte gardło.

Ona otarła łzy i się uśmiechnęła.

*

Guillén, wbity w garnitur i płaszcz, wydawał się kimś zupełnie innym. Jakby nagle urósł, jakby przybyło mu kilka lat; wyglądał na mężczyznę i przypominał swojego ojca. Balbinie ścisnęło się serce. Znowu poprawiła mu kołnierzyk.

– Bardzo ładnie wyglądasz, synu. Masz wszystko? Zabrałeś różaniec? A chusteczkę?

– Wszystko w porządku, mamó. Już mi mama poprawiała koszulę ... Tak, mam wszystko.

Lena nie pamiętała, żeby kiedyś z kimś się żegnała, nawet z matką. Na pogrzebie wszyscy mówili, że to było pożegnanie, ale jak się można pożegnać z kimś, kto już nie żyje? Może była zbyt mała, żeby to zrozumieć, ale nie miała wrażenia, żeby się pożegnała z mamą, tylko za nią tęskniła, i tyle. Tak więc nie wiedziała, jak pożegnać się z Guillenem: czy powinna go przytulić i pocałować, jak to zrobiła Balbina? Uścisnąć mu rękę i poklepać po plecach, jak to zrobił ojciec? Po prostu powiedzieć mu cześć? Woląла zostać z tyłu, schowana za tłumem braci i sióstr, i gapiów bardziej zainteresowanych samochodem, który przyjechał po niego, niż czymkolwiek innym. Tak lepiej, nie chciała, żeby ktokolwiek zobaczył, że jest bliska łez.

Guillén po raz ostatni przytulił matkę i poszedł do samochodu. Zawahał się na chwilę. Odwrócił się i odszukał Lenę wzrokiem. Uśmiechnął się lekko, a potem znów się odwrócił i niezgrabnie wsiadł do środka.

Wszyscy stali na skraju drogi, spoglądając w milczeniu, jak samochód bierze ostatni zakręt w wiosce i znika.

Lena odkryła wtedy, że pożegnania to coś okropnego, że zostawiają wielką dziurę w piersi i powodują ból, na który nie ma lekarstwa i który mija dopiero z czasem. W tym sensie podobne są do śmierci, ale jest to coś odwracalnego, więc da się znieść.

*

Po kilku dniach podróży dotarli do Lyonu. Przesiadali się z samochodu do samochodu, z pociągu do pociągu, przemierzali dziwne miejsca, otoczeni nieznanymi ludźmi. Czuł się wyczerpany, brudny i oszołomiony.

A teraz jeszcze musiał oswoić się z tym wielkim budynkiem, który zupełnie nie przypominał mu domu. Oczywiście był ładny, nie mógł zaprzeczyć. Ładny na swój pretensjonalny i wyniosły sposób. Bujny bluszcz wspinał się po grubych murach z szarego kamienia i był lśniaco zielony jak pastwiska w górach; słońce odbijało się w dachu czarnym jak szkolna tablica i rzucało cienie pomiędzy szpiczastymi jaskółkami wykwitającymi z niego jak kapelusze; okna podzielone na białe kwadraty przywodziły mu na myśl obrus z posagu jego matki, ten, który wyciągała z kufra na Boże Narodzenie.

W życiu nie wybrałby takiego miejsca dla własnej przyjemności; na pewno jest bardzo zimne i łatwo się w nim zgubić. Odruchowo rzucił okiem na ubłocone po podróży buty. Pomyślał, że nie może tam wejść w takich butach, że musi odwrócić się na pięcie i wracać, skąd przyszedł. A jednak zniecierpliwiony szofer popychał go po schodach w górę, mamrocząc słowa, których nie był w stanie zrozumieć.

Ten luksus go przytłaczał: podłogi jak lustra, dachy aż do nieba, lśniące boazerie, obrazy, dywany, kotary. Nie był w stanie ogarnąć tego wszystkiego wzrokiem, kiedy prowadzili go po korytarzach przypominających labirynt. Szedł z rozdziawionymi ustami, uczipiony swojego tłumacza – jedynej znajomej rzeczy.

Wprowadzono go do białego, błyszczącego pomieszczenia, w którym stały donice wielkie jak wiadra, także białe i błyszczące. Potem przesunięto dźwignię i z rury popłynęła woda, i to gorąca! Całe wnętrze wypełniło się parą i przyjemnym aromatem kwiatów. Na migi pokazali mu, żeby się rozebrał i umył.

Nigdy nie czuł nic podobnego. To doświadczenie w niczym nie przypominało obmywania się zimną wodą, do którego w każdą sobotę zmuszała go mama; była tylko jedna miska dla wszystkich, więc szybko nacierali całe ciało szarym mydłem z sody i łożu, które Balbina sama wyrabiała w rondlu. Ta kąpiel była gorąca, przyjemna i pachnąca. Mógłby nawet tam zasnąć... Ale po co, skoro jego pokój był zaraz za drzwiami: wielkie łóżko pokryte jedwabnymi poduszkami, biurko z toczonymi nogami, szafa z lustrem na drzwiach i balkon z widokiem na ogród... Wszystko tylko dla niego. Zostawili mu też czyste ubrania – delikatne tkaniny pieściły jego skórę – i piękne sznurowane buty.

A jednak, gdy już się wykąpał i ubrał, wyperfumował i porządnie uczesał, z przedziałkiem na boku, zauważył, że pokój jest dziwnie pusty. Gdzie są jego

rzeczy? A jego garnitur i płaszcz, zmiana bielizny, którą przywiózł w węzélku, ubrudzone błotem trzewiki? Odnalazł tylko różaniec i chusteczkę haftowaną przez jego matkę, na nocnej szafce.

Jak umiał, zagadnął o nie panią ubraną w szarą sukienkę z białym fartuszkim, która go przyjęła i obsłużyła.

– *Vos vêtements? Ils étaient vieux. Nous les avons donnés... Donnés, donnés. Ils ne sont pas. Il étaient vieux.*

Zrozumiał ją na migi: dotknęła jego ubrania, zrobiła pełną obrzydzenia minę i poruszyła z lekceważeniem rękami. *Donnés*. Dać? Oddano komuś jego rzeczy?

Guillén pobladł. Ależ... dlaczego? Gdyby lepiej znał francuski, nakrzyczałby na nią. Jakim prawem dała komuś rzeczy, które ofiarowała mu matka?! Pojechała do miasta tylko po to, a on przyrzekł jej, że będzie o nie dbał! To był jego płaszcz! A poza tym bardzo tęsknił za mamą!

Zamiast tego mocno zacisnął zęby i pohamował łzy przed tą kobietą, która patrzyła na niego z głupawym, przymilnym uśmieszkiem. Kiedy w końcu wyszła, zadowolona z dobrze wykonanej pracy, Guillén usiadł na łóżku ze spuszczoną głową; czuł się jak przekłuty balon.

Hrabinę zobaczył dopiero w porze kolacji. Przyjęła go w salonie sąsiadującym z jadalnią. Popijała złoty likier z malutkiego kieliszka z rżniętego kryształu. Chyba ucieszyła się na jego widok.

– Kochany Guillén! Mam nadzieję, że już odpocząłeś po podróży. Jak ci się podoba twój pokój? To jeden z najbardziej słonecznych pokoiów w domu.

Chłopak z rezerwą przyjął tę serdeczność. Kochany Guillén? Jak może go kochać, skoro nawet go nie zna? Mimo to spróbował się zachowywać grzecznie i miło, jak pouczyła go matka.

– Jest bardzo dobry, proszę pani, ładny i wygodny. Bardzo dziękuję.

Ona przyjrzała mu się od stóp do głów.

– Zdaje się, że urosłeś od naszego ostatniego spotkania. Cieszę się, że ubranie na ciebie pasuje, wybierałam na oko. W każdym razie jutro pojedziemy do miasta na zakupy. Potrzebujesz kompletnej wyprawki.

Guillén mógł jej powiedzieć, że już miał kompletną wyprawkę, ale jakiś głupek mu ją zabrał. Wolał jednak tego nie robić, wydało mu się, że byłoby to bardzo nieeleganckie.

– Jak sądzę, jesteś głodny. Zaraz będzie kolacja. Kiedy moje niepunktualne córki nas zaszczycą... Chciałabym bardzo, żebyś je poznał.

Hrabina Zaleska miała dwie córki: Louise i Delphine. Były dużo starsze od Guillena, mogły mieć nawet ponad dwadzieścia lat. Nie mówiły po hiszpańsku, znały zaledwie kilka słów i zaśmiewały się do rozpuku za każdym razem, kiedy je wypowiadały z silnym francuskim akcentem. Ale były miłe: uśmiechały się i mówiły do niego słodko, jakby był szczeniaczkiem, którego właśnie dostały

w prezencji.

Louise i Delphine tak się od siebie różniły, że aż trudno było uwierzyć, że są siostrami. Louise była wysoka i szczupła, pod jedwabną bluzką odznaczały się szerokie plecy, nietypowe dla kobiety. Nosiła spodnie, czarne jak smoła włosy miała krótko przycięte i paliła sprowadzane z Ameryki mentolowe papierosy w długiej lufce. Była zawołaną sportsmenką: grała w tenisa, pływała, jeździła na nartach i konno, a latem żeglowała wzdłuż wybrzeża Cap Ferrat. Hrabina powiedziała mu, że parkur z odpowiednimi przeszkodami, kort tenisowy i dwa baseny (jeden letni, a drugi zimowy) są w domu tylko dlatego, że Louise ma obsesję na punkcie sportu. Miała nawet narzeczonego, zawodowego gracza w polo, którego zapewniała swoim aksamitnym, głębokim głosem, że nigdy za niego nie wyjdzie. Guillenowi wydała się bardzo ekstrawagancka i przez całą kolację musiał się pilnować, żeby nie patrzeć na jej skośne oczy podkreślone kredką, kiedy uśmiechała się przewrotnie przez zasłonę papierosowego dymu.

Delphine, przeciwnie, była delikatna jak cukrowa figurka. Miała białą, piegowatą skórę, zielone oczy i gęste rude włosy. Hrabina powiedziała, że wygląda jak Madonna Botticellego, chociaż Guillén nie wiedział, co to takiego. Grała na pianinie, pisała poezje i studiowała sztuki piękne na uniwersytecie. Jej głos był miły, a śmiech brzmiał jak kryształowe dzwoneczki. Delphine nie miała chłopaka, ale wzdychała do jednego kolegi z roku, chudzielca z bujną czupryną, sprzedającego swoje słabiotkie obrazy na ulicach, który – opowiadała hrabina – nigdy nie będzie w stanie się z nią ożenić. Przykro, pomyślał Guillén; wydała mu się bardzo miłą i czułą dziewczyną.

Usiedli do kolacji przy stole zbyt dużym na cztery osoby, ustawionym pośrodku jadalni tak wielkiej, że ich głosy odbijały się echem. Kilkoro służących serwowało im dania i napoje.

Guillén na krześle szerokim i wygodnym jak fotel czuł się, jakby siedział na szpilkach. Na tym stole stało zbyt wiele kieliszków, leżało zbyt wiele sztuców, zbyt dużo jedzenia o obcym wyglądzie, smaku i zapachu; i uznał, że dziwnie wygląda z serwetką wiszącą pod szyją, skoro wszystkie kobiety ukryły je pod stołem. Ale jak, u diabła, serwetka na kolanach ma je uchronić przed poplamieniem się? Niezgrabny i spięty, miał wątpliwości, jak używać sztuców, trzymał nóż niczym sztylet, a nawet niechcący rozlał na obrus trochę wody.

Zarówno hrabina, jak jej córki zdawały się nie zauważać tych niezręczności i dalej rozmawiały z ożywieniem. Od czasu do czasu Urszula tłumaczyła fragmenty Guillenowi i nazywała po francusku niektóre przedmioty: *fourchette*, *cuillère*, *couteau*, *coupe*... Chciały, żeby czuł się dobrze. A jednak na koniec kolacji dalej miał ściśnięty żołądek.

Może dlatego przez całą noc czuł się źle, mdliło go i bardzo bolał go brzuch. Czuł się samotny w tym wielkim pokoju pełnym szmerów i dziwnych kształtów.

Pożałował swojej decyzji, pożałował tego, że zostawił rodzinę, że nie chciał już być pastuchem analfabetą. I z wielkiego żalu łkał jak dziewczynka w satynową poduszkę.

Styczeń 1928

Matka miała rację, kiedy zapewniała go, że we Francji pada i jest zimno, ale w Lyonie nie przydałaby mu się jego stara wełniana marynarka; wszyscy śmialiby się z niego, gdyby wyszedł w niej na ulicę. Teraz Guillén miał płaszcz z wielbłądziej skóry, skórzaną kurtkę... inny płaszcz i wiele, wiele różnych rzeczy. Tak naprawdę niczego mu nie brakowało. A jednak dopiero po kilku tygodniach przestał płakać po nocach.

Raz na jakiś czas dostawał list od mamy albo od Leny, jedynych osób z rodziny, które pisywały z pewną regularnością: „Kochany Guillenie, tutaj wszystko po staremu... Urodziła się jałówka... Już spadł śnieg... Na Boże Narodzenie zabijemy baranka... Matiasowi wypadł pierwszy ząb... Kocham Cię... Mam nadzieję, że u Ciebie wszystko dobrze i że niedługo napiszesz. Kocham Cię... Tęsknię za Tobą...”.

Jemu pisanie nie za bardzo szło, a zwłaszcza pisanie listów, ale od czasu do czasu wysyłał kilka linijek, tak oschłych, jak on sam: „Kochana Mamo, Leno i reszta rodziny, zdrowie mi dopisuje i mam nadzieję, że Wam również... Lyon to bardzo ładne miasto, chociaż trochę hałaśliwe... Jedzenia nie brakuje i jest dobre... Mam książki, zeszyty, kredki i skórzaną torbę... Wasz Guillén”. Nigdy nie pisał o tym, jak bardzo za nimi tęskni (szczególnie matce), ile płacze ani jak często myśli, żeby wrócić, jak wiele kosztuje go nauka francuskiego ani jak wiele reprimend usłyszał od swoich nauczycieli. Nie chciał ich martwić ani nie chciał, żeby uważali go za mięczaka i niewdzięcznika.

Hrabina postanowiła, że przynajmniej przez pierwszy rok chłopak nie pójdzie do szkoły. Będzie raczej miał lekcje prywatne w domu, żeby nauczyć się języka, a także podstaw takich przedmiotów, jak matematyka, kaligrafia czy czytanie, w których miał wielkie zaległości. Na szczęście, choć odrobinę leniwy i rozkojarzony, był posłuszny i inteligentny, więc szybko się uczył. Guillén poczuł ulgę, że nie musi iść do szkoły pełnej francuskich dzieciaków, nadętych i zarozumiałych, których nawet nie będzie potrafił zrozumieć. Kiedy tylko znajdował wolną chwilę, najbardziej lubił uciekać do stajni i spędzać czas z końmi. Często spotykał tam Louise, która namówiła go, żeby wskoczył na grzbiet Cocó, spokojnej klaczy o białym umaszczeniu, i przejechał się po parkurze. Obiecała mu też, że nauczy go pływać – różnymi stylami, nie pieskiem, jak pływały latem przy zaporze wszystkie dzieciaki z jego wioski – i grać w tenisa. Guillén lubił Louise; była ładna i wesoła, nie obawiała się, że zabrudzi sobie ubranie, a przy tym dokazywała jak chłopak: biegała, skakała i bawiła się w chowanego. Bez wątpienia była najlepszą jego przyjaciółką.

W końcu dobrze się zaadaptował w rodzinie. Kobiety ułatwiły mu to,

wiecznie mu nadskakując, wykazując cierpliwość i czułość. Tylko jedna rzecz cały czas intrygowała Guillena. Za każdym razem, kiedy po zmierzchu wracał do domu ze stajni, widział światło w jednym z okien na ostatnim piętrze; jedyne w całym ciemnym rzędzie.

Przez jakiś czas zastanawiał się nad tą sprawą. O ile wiedział, trzecie piętro było niezamieszkałe; znajdowało się tam kilka pustych pokoi, zarezerwowanych dla ewentualnych odwiedzających, którzy i tak zajmowali przestronne sypialnie na drugim piętrze, w sąsiedztwie jego pokoju. Na drugim piętrze były też pokoje hrabiny, Louise i Delphine. Służba spała w skrzydle wychodzącym na tyły domu, przeznaczonym także na kuchnię i magazyny. Salony, biblioteka, jadalnia i kilka gabinetów znajdowały się na pierwszym piętrze. To światło, wiecznie zapalone, nawet w najbardziej słoneczne dni, nie miało logicznego wyjaśnienia.

Guillén potrzebował kilku tygodni, żeby uzbroić się w odwagę i wyruszyć na badanie. No i musiał poczekać na odpowiednią okazję. Tego niedzielnego popołudnia został sam, gdyż hrabina z córkami miały umówioną wizytę w mieście: jedna z ich przyjaciółek organizowała recital poezji i herbatkę, na którą nie mogły nie pójść. Większość służby miała wolne, a ci, którzy zostali, byli zajęci w innych częściach domu. Guillén miał się w tym czasie uczyć trybu oznajmującego czasowników *être* i *avoir*, ale po kilku chwilach bezowocnych usiłowań, żeby zapamiętać odmianę w czasie zaprzeszłym, zostawił otwartą książkę na stole i ruszył w górę po schodach.

Na dworze lało, jak zwykle, i bębnienie kropel o szyby było jedynym dźwiękiem, który słyszał, wchodząc po schodach, stopień za stopniem, z przyspieszonym oddechem. Wiedział, że nie robi dobrze, wężąc tak, jakby był złodziejem. Jednak ciekawość była silniejsza niż sumienie. A poza tym nikogo nie krzywdził. Kiedy tylko dowie się, co jest w tajemniczym pokoju na trzecim piętrze, wróci do siebie. Może ktoś dawno temu zapomniał zgasić światło?

Ostatnie piętro miało charakter poddasza, więc mdławie światło szarego zmierzchu wlewające się przez świetlik w dachu ledwie rozjaśniało korytarz; i dlatego jasny sierp przeciskający się pod drzwiami na końcu korytarza tak wyraźnie odcinał się na dywanie. Guillén podszedł tam na palcach, bezszelestnie jak myszka. Nieśmiało zapukał, ale nie usłyszał odpowiedzi. Przytknął ucho do drzwi z grubych pomalowanych na biało desek, ale deszcz z taką siłą uderzał o dach, że nic nie mogło się przebić przez ten hałas.

Niewiele myśląc, położył rękę na klamce, a ta ustąpiła bez oporu. Drzwi nieco się uchylily i Guillén nieśmiało wejrzał do środka; była to sypialnia, podobna do jego pokoju, ale większa, i całkiem zwyczajna, poza tym, że oświetlona wielkim brązowym żyrandolem wiszącym z sufitu oraz dwiema lampkami stojącymi na nocnych stolikach. I ten zapach... Silna woń drewna, skóry i maści... Zupełnie

inny od kwietnego aromatu, tak kobiecego, panującego w całym domu.

Urszula zdecydowała się wreszcie zakończyć ten wieczorek poetycki. Mimo entuzjazmu, z jakim przygotowała go jej przyjaciółka Adélaïde, spotkanie zakończyło się fiaskiem: było beznamiętne i nudne. A wszystko z winy tego bladego poety, który bez sensu wystrzeliwał z siebie wersy w irytującym, apokaliptycznym tonie. Skąd Adélaïde go wzięła? Ostatnimi czasy te spotkania intelektualistów przyprawiły Urszulę o ataki ziewania. Może się starzała, ale tęskniła za wesołymi przyjęciami z fokstrotem, których jej zdziwaczałe koleżanki unikały.

Tylko Delphine wydawała się zachwycona tymi recytowanymi monotonna głupstwami. Po kim jej córka ma tę wielką pasję do sztuki w jej najbardziej nużącej wersji? Na pewno nie po niej, oczywiście. Po Léonie też nie; dla niego piękno kończyło się na samolotach. To pewnie okropny wpływ tego narzeczonego marksisty, który właściwie nawet nie jest jej narzeczoną.

Louise znikła już dawno temu, usprawiedliwiając się jakimś wcześniej zaplanowanym spotkaniem, oczywiście zmyślnym. Teraz pewnie spija koktajle w Klubie Tenisowym, szczęściara.

Wykorzystując przerwę i nie czekając, aż nieszczęsny poeta zasypie ich nowymi wierszami, Urszula wstała, udając dotkliwy ból głowy, pożegnała się z Adélaïde i weszła do powozu, który zawiózł ją do domu na boulevard des Belges. Zdąży jeszcze napić się koniaku i sprawdzi postępy Guillena we francuskiej gramatyce.

Guillén wstrzymał oddech. Na tle okien balkonu zalanych deszczem dostrzegł postać mężczyzny siedzącego tyłem z podniesioną głową. Był nieruchomy, wręcz nie wydawał się człowiekiem, tylko woskową figurą, rzeźbą. Guillén także zamarł w bezruchu.

– Przepraszam, proszę pana... *Je suis... Je...* – wybąkał, niezdolny do wykrztuszenia usprawiedliwienia po francusku.

Mężczyzna ani drgnął. Więc może jednak to manekin. Guillén podszedł powoli, nie odrywając oczu od tych skamieniałych pleców.

– *Monsieur...* – znowu się odezwał, gdy znalazł się na odległość wyciągniętego ramienia.

Milczenie i bezruch. Wydawało się, że tylko deszcz po drugiej stronie okna jest tam żywą istotą; gdyby nie jego walenie o szyby, w tej grobowej ciszy rozbrzmiewałoby bicie serca Guillena.

– *Monsieur...* – powtórzył, bardziej po to, żeby usłyszeć własny głos, niż spodziewając się odpowiedzi.

W końcu stanął przed tym mężczyzną, a to, co zobaczył, zmroziło mu krew

w żyłach. Była to zdeformowana twarz przypominająca posztukowane mięso. Coś przerażającego. I potwór oddychał. Był żywy.

Guillén cofnął się o krok, wpadł na stół, stół się zakołysał i stojący na nim wazon zsunął się na podłogę. Chociaż nie rozprysł się na kawałki, przerażony chłopak szybko rzucił okiem na wazon i wybiegł z pokoju.

Ale gdy tylko znalazł się na zewnątrz, zderzył się gwałtownie z kimś, kogo nawet nie rozpoznał. Chłopak wrzasnął.

– Guillén!

On wrywał się instynktownie, ale hrabina trzymała go za ramiona i zmuszała, żeby na nią spojrzał.

– Guillén... uspokój się. Co ty tutaj robisz?

– Ja... Ja... – Nie potrafił znaleźć słów, żeby się usprawiedliwić lub choćby wyjaśnić, co zaszło.

Spodziewał się bury, krzyków, kary, może kilku pasów... A jednak hrabina przyciągnęła go do siebie.

– Kochany... Przepraszam, bardzo mi przykro. To moja wina – powtarzała, tuląc roztrzęsionego chłopaka. – Powinnam ci była opowiedzieć wcześniej. – Odsunęła go nieco i spojrzała mu w oczy. – Słuchaj. Dobrze mnie posłuchaj, Guillén – poprosiła, gładząc go po policzkach. – Teraz ten dom to także twój dom; należysz do rodziny. Nie musisz skradać się tu korytarzami jak intruz. Jeśli coś cię niepokoi, tylko mi o tym powiedz... Ja czasem... Czasem... trudno mi stawić czoło rzeczywistości...

Na korytarzu stała elżbietańska ławeczka. Urszula i Guillén usiedli na niej, każde próbując uspokoić oddech i przegnać własne upiory. Przez chwilę milczeli. Guillén przeżuwał swój wstyd. Urszula również.

– To mój syn Armand... – wyjaśniła w końcu hrabina, patrząc przed siebie, a nie na Guillena. – Albo raczej to, co z niego zostało...

Guillén nie odezwał się ani słowem. Myślał o tej zniekształconej twarzy i przerażeniu, w jakie go wprowadziła. Urszula uśmiechnęła się nostalgicznie.

– Szkoda, że go nie widziałeś przed wojną... To był bardzo wesoły i miły chłopak... Zawsze w świetnym humorze, zawsze miał dla wszystkich dobre słowo. I uwielbiał sport, tak jak Louise; przede wszystkim rugby. Grał nawet w Lyon Olympique Universitaire – dodała z dumą. – A jednak najbardziej pasjonował się lataniem; idealny syn swojego ojca... Kiedy wybuchła wojna, studiował inżynierię na paryskiej politechnice, ale rzucił studia, żeby wstąpić do lotnictwa. Nie wyobrażasz sobie, jak kochał to, co robił: pisał do mnie pełne entuzjazmu listy, w których opowiadał o misjach, o swoim pięknym samolocie, srebrnym spadzie z czarnymi orłami po bokach, o swoim pragnieniu, żeby zostać asem... Wiesz, kto to jest as?

Guillén pokręcił przecząco głową.

– Pilot, który stracił przynajmniej pięć samolotów wroga. Armand zestrzelił ponad dwadzieścia; i trzy balony obserwacyjne, które są szczególnie niebezpieczne, bo zmieniają się w ogromne kule ognia, gdy je trafić... Odbывał po kilka misji dziennie, latał przez tydzień bez odpoczynku, widział przyjaciół spadających na ziemię w płomieniach, branych w niewolę, wracających w kawałkach w drewnianej skrzyni... On sam miał dwa wypadki, z których w cudowny sposób ocalał, zaledwie trochę połamany. Ale nie bał się niebezpieczeństwa, nieustannie rzucał mu wyzwania, pił je jak eliksir, którego potrzebował, by czuć, że żyje. Oczywiście... nie można wiecznie kroczyć na krawędzi przepaści... Pewnego dnia, wracając ze swoim drugim pilotem z lotu rozpoznawczego nad Compiègne, został trafiony ogniem niemieckiej artylerii przeciwlotniczej. Jego towarzysz zginął na miejscu. Armand miał rozerwane ramię, szyję i mięśnie twarzy z lewej strony... Już widziałeś skutki. Chociaż ranny, zdołał wyprowadzić samolot z terytorium wroga i wylądował w chwili, kiedy kabina zajęła się ogniem. Spędził w szpitalu wiele miesięcy, wciąż znieczulany z powodu straszliwego bólu. Kiedy się obudził... Cóż, nie wiem... Nie wiem, czy naprawdę się obudził... Już nie mówił, zdaje się, że nie słyszy, nie jest w stanie chodzić, przewraca się. Panicznie boi się ciemności, dlatego światło w jego pokoju zawsze jest zapalone. Prawie nie śpi, prawie nie je, tylko żyje... *Sans vie*, tak nazywa się we Francji tych biednych chłopaków, którzy chociaż oddychają, to tak naprawdę oddali życie na froncie. Nerwica wojenna, tak o tym mówią lekarze. Ale... co za różnica, jak to się nazywa?

Hrabina nagle odwróciła się do Guillena. Chłopakowi wydało się, że jej zmarszczki są głębsze, a twarz bardziej poszarzała; jakby w kilka chwil przybyło jej wiele lat.

– To nie jest potwór, Guillén – powiedziała niemal błagalnym tonem. – To tylko człowiek zniszczony przez wojnę, wojnę, która oby była lekcją i nigdy więcej się nie powtórzyła. – Urszula westchnęła i czule poczochnęła mu włosy. – Teraz będzie lepiej, jeśli pójdziesz do siebie i przygotujesz się do kolacji. Może kiedyś zechcesz go odwiedzić. Mówiłam mu o tobie i na pewno chętnie cię pozna.

Chłopak kiwnął głową i posłusznie odszedł, jeszcze poruszony tym, co zobaczył. Urszula westchnęła z wyczerpania, ciężko wstała z ławki i weszła do pokoju syna. Początkowo to ostre światło doprowadzało ją do szału, ale z czasem się przyzwyczaiła.

Pocałowała Armanda w czoło. Pogładziła mu włosy. Usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Już nie doprowadzało jej do rozpacz, że to nieruchome ciało nie odpowiada.

– Ach, Armandzie... Wydaje ci się, że ten chłopak sobie poradzi? Jakżebyś chciała, żebyś go poprowadził... Chociaż w tej sytuacji pewnie bym go tu nie sprowadziła. Ty byś się tym wszystkim zajął.

Czerwiec 1935

Kochany Guillenie,

mam nadzieję, że gdy otrzymasz ten list, po Twoim skręceniu kostki nie zostanie nawet ślad. Może od tej chwili będziesz bardziej uważał, wsiadając na konia, chociaż jak Cię znam, na pewno będziesz ryzykował bardziej, niż potrzeba.

Dzięki Bogu, w domu wszyscy zdrowi, bo biedny Matías już wyzdrowiał ze świnki. Twoja mama i ja codziennie chodzimy do kościoła zapalić świeczkę, a Julia wyhaftowała śliczny lniany korporał. Dzięki wstawiennictwu Matki Boskiej i leczeniu wydobrzał w niecały tydzień i już biega po łąkach jak koziołek.

Co do mnie, mam wspaniałą wiadomość. Pamiętasz stare ciotki ojca, które mieszkały w Oviedo? Słyszałeś już, że były bardzo szczodre, płacąc za naukę Pepego w liceum i jego przygotowanie do Akademii Piechoty. Właśnie w przyszłym miesiącu skończy ją w stopniu porucznika i chcemy wyprawić z tej okazji wielkie przyjęcie; zabijemy dwa baranki i upiekę ciasta. Tata modli się, żeby nie wysłali go do Maroka; mówi, że Maurowie są bardzo zmyślni.

No tak, od zeszłorocznych strajków i buntów robotniczych ciotki bardzo się boją. Wierzą, że anarchiści i syndykaliści mogą napaść na nie w każdej chwili, bo są bardzo religijne. Rzeczywiście, wielu ludzi zginęło wtedy w Oviedo, mordowano księży i zakonnice i podłożono bombę w katedrze. Potem represje ze strony żołnierzy były tak ciężkie, że teraz wielu ludzi bardzo się ich obawia. Ciotki boją się mieszkać same, więc poprosiły ojca, żebym ja się do nich przeprowadziła, pomagała im i służyła za towarzystwo.

Bardzo się na to cieszę: będę mieszkać w mieście! Możesz to sobie wyobrazić? Chociaż jestem też trochę zaniepokojona. Nigdy nie wyjeżdżałam z wioski ani nie mieszkałam poza domem. Teraz myśl, że Ty wyjechałeś jeszcze jako dziecko, dodaje mi otuchy i sił. Już wiele razy Ci mówiłam, jak bardzo Cię podziwiam za to, co zrobiłeś.

Ojciec jeszcze się nie zdecydował, czy pozwolić mi pojechać. Wydaje mi się, że sam się też trochę boi, i mogę to zrozumieć. W sumie widzi, jak rodzina powoli się rozpada: najpierw Ty wyjechałeś, później Pepe, teraz ja... Cóż, Bóg zadecyduje.

W ostatnich dniach w wiosce panowało wielkie poruszenie. W zeszłym miesiącu przyjechali do nas ludzie z Misji Pedagogicznej. Byli tu przez prawie dwa tygodnie, podczas których zbieraliśmy się pod wieczór w stajni ciotki Raimundy, żeby oglądać teatrzyk lalkowy. Zainstalowali też gramofon, żeby puszczać muzykę orkiestrową i piosenki Argentyny, i kino, w którym wyświetlali kroniki i filmy (jeden bardzo śmieszny z Chaplinem). Ojciec i don Mariano zrzędzili po kątach i odmówili udziału; twierdzą, że to pomysły rządu republikańskiego i że wszyscy

oni są wrogami wiary chrześcijańskiej. Ja naprawdę nie rozumiem, czym odrobina kultury może zaszkodzić chrześcijańskiej wierze, ale wiesz przecież, jak uparty jest ojciec w swoich poglądach. Bardzo się z nim namęczyliśmy, żeby pozwolił nam iść na tańce. W tym roku z okazji świąt będzie orkiestra i sztuczne ognie. Twoja mama uszyła nam, wszystkim siostrom, podobne sukienki z materiału, który Pepe przywiózł z Toledo. Ale ojciec i tak się naburmuszał, twierdził, że tańce nie są dla porządnych chrześcijańskich dziewcząt. Nie wiem, co mu powiedziała Twoja mama, że w końcu zmienił zdanie, niech będzie błogosławiona. Renata nawet chce się umalować; lepiej, żeby ojciec jej nie zobaczył...

Cóż, bracie, ten list i tak jest już zbyt długi. Uważaj na siebie i szybko odpisz.

Pozdrawiamy Cię wszyscy i mocno ściskamy

LENA

Lipiec 1935

Kochana Leno,

bardzo się cieszę z wiadomości od Was i że u Was wszystko w porządku. Piszę do Ciebie podwójnie radosny, bo właśnie dziś dowiedziałem się, że zdałem egzaminy na politechnikę. W końcu będę studiował inżynierię w Paryżu. W nagrodę hrabina dała mi w prezencie wspaniałe pióro, którym właśnie teraz piszę do Ciebie. Bardzo Ci się spodoba, kiedy je zobaczysz.

Przez ten cały miesiąc będę pracował na pół etatu w fabryce rodziny Bicart. Hrabina uważa, że dobrze będzie, jeśli poznam proces produkcyjny samolotów od strony taśmy fabrycznej. Jestem w dziale montowania skrzydeł – to wielki hangar, bo każde skrzydło ma nawet i pięć metrów. Wierci się tam precyzyjnie różne otwory w płatach blach, gdzie później wtyka się i zabija nity. Kiedy skrzydła są już gotowe, trzeba je porządnie wyczyścić i zalepić szpary pomiędzy częściami od środka, bo w nich mieszczą się baki z paliwem, więc muszą być absolutnie szczelne. To bardzo ciężka i skomplikowana praca, trzeba precyzyjnie posługiwać się narzędziami. Na koniec dnia jestem dość zmęczony, a ręce mam obolałe i brudne od smaru. Ale uczę się wielu nowych rzeczy.

Drugim powodem mojego zadowolenia jest to, że przyszedł mi do głowy pomysł, który hrabinie wydał się znakomity. Chciałbym, żebyś przyjechała do Francji na koniec wakacji. Zostalibyśmy kilka dni w Lyonie, a potem pojechalibyśmy do Cap Ferrat, domu na plaży. Madame mówi, że napisze do Twojego ojca, żeby mu to zaproponować, jeśli tylko się zgodzisz i nie będziesz musiała wcześniej pojechać do Oviedo. Bardzo Ci się to wszystko spodoba, Leno, jestem pewien, a ja bardzo chciałbym Ci to wszystko pokazać. Poszlibyśmy do teatru, do Klubu Tenisowego, moglibyśmy popływać jachtem Louise... Jest tyle zabawnych rzeczy, które tu można robić...

Poza tym uczę się prowadzić samochód Louise. To bardzo ładny czerwony samochód sportowy, którym można udać się na przejażdżkę nad morze. Madame mówi, że jak już będę studiował, to za dobre oceny da mi taki sam. Chciałbym bardzo, żeby był szary.

Powiedz, proszę: czy jeśli ojciec Cię puści, przyjedziesz?

Ściskam

GUILLÉN

Sierpień 1935

Cieszyli się wspaniałym latem. Całe dni na świeżym powietrzu: kapali się i łowili ryby w rzece, zbierali poziomki w górach, wylegiwali się na łąkach... Hucznie świętowali promocję Pepego, który tak pięknie wyglądał w mundurze porucznika piechoty i zachwyił całą wioskę. Jej brat chciał też zrobić kurs pilotowania samolotów wojskowych.

Wieczorami rodzina w komplecie zbierała się przy stole, więc kolacja znowu była tak wesoła jak kiedyś. Jak zawsze odmawiali wspólnie różaniec po skończonym posiłku, a Lena często się emocjonowała, słysząc modlitwę. Potem wychodzili na dwór, rozmawiali i patrzyli w gwiazdy. Pepe znał nazwy wielu konstelacji: Wielka Niedźwiedzica, Mała Niedźwiedzica, Kasjopeja, Orzeł, Lutnia, Łabędź... Rysował je na niebie czubkiem palca i jednocześnie wskazywał najjaśniejsze gwiazdy: Wega, Altair, Deneb... I opowiadał mityczne historie, od których wzięły swoją nazwę.

Wszyscy razem udali się z pielgrzymką do Najświętszej Panienki. Zjedli *churros* z czekoladą i tańczyli do rana, dziewczyny w swoich nowych sukienkach, pod kolorowymi chorągiewkami i sznurami żarówek.

Czas mógł się wtedy zatrzymać i całe życie przebiegłoby jak w te tygodnie, leniwie i szczęśliwie.

Pierwsze oznaki jesieni pojawiły się znienacka, niczym burza po słonecznym dniu, i nie miały nic wspólnego z pogodą. Wkrótce Julia oświadczyła z rozpromienioną buzią, że wstępuje do nowicjatu Córek Jezusa. Siostra don Mariana, która była mniszką w tym zakonie, miała ją przedstawić w klasztorze. Julia wyjeżdżała z domu, jak wcześniej zrobili to Guillén i Pepe, jak miała zamiar zrobić Lena. Ramón, dumny z tego, że jedna z jego córek wybrała drogę Boga, wstał i przytulił ją z powagą, nieco wzruszony. Tomás, który tak bardzo był związany z Julią, prawie zalał się łzami. „To z radości”, mówił. Lena nie była tego taka pewna. Tej nocy wcześniej poszli spać; ona wyjeżdżała do Francji nazajutrz, o świcie.

Już nigdy więcej nie liczyli gwiazd razem. Nigdy więcej.

Wrzesień 1935

Lena pozwoliła, żeby łzy powoli spływały jej po policzkach; ciemność chroniła ją przed niedyskretnymi spojrzeniami. Chociaż nie przed wszystkimi: Guillén w milczeniu podał jej chusteczkę.

Nigdy by nie przypuszczała, że muzyka może ją wzruszać aż tak bardzo. Popatrzyła na program rozłożony na kolanach: *O mio babbino caro*. Nawet nie rozumiała, co to znaczy ani co śpiewa ten sopran. Jak więc to możliwe, że tak się zalewa łzami? Może to dlatego, że nigdy nie wyjeżdżała z wioski, że była głupia i wrażliwa.

Ukradkowo wytarła oczy.

Od pierwszej chwili bała się tej podróży. Obawiała się świata, który nie był dla niej, martwiła się, że nie rozpozna Guillena, który wyjechał z wioski i teraz na pewno zachowuje się zupełnie inaczej, podczas gdy ona będzie się czuła nie na miejscu, w swoich starych sukienkach i z kulawym francuskim ze szkoły oraz z kursu Radia Uni6n, którego z takim zapalem słuchoła w telefunkenie don Mariana – tylko po to, rzecz jasna, żeby zrobić Guillenowi niespodziankę. Bała się, że przyniesie wstyd swojemu przyrodniemu bratu, który stał się człowiekiem światowym.

A jednak była tam, na widowni opery w Lyonie, w cudownej sukience obszytej koralikami, którą pożyczyła jej Louise, i z fryzurą à la Greta Garbo, której zażyczyła sobie tego poranka w ulubionym salonie fryzjerskim hrabiny. Zobaczywszy ją w pelerynie spływającej z ramion, Guillén stracił mowę, jakby jej nie poznał. Wziął ją pod rękę i wyszeptał na ucho: „Wyglądasz cudownie”.

Opera, teatr, kino, luksusowe restauracje, wystawy malarstwa, bale do północy i koktajle z szampana. Lena przeżywała sen, który wykorzystywała do cna, wiedząc, że wcześniej czy później trzeba się będzie obudzić.

I tak, to oczywiste, że Guillén się zmienił. Stał się bardziej elokwentny, otwarty, charyzmatyczny, towarzyski... Wydawał jej się nieprawdopodobnie atrakcyjny w tych skrojonych na miarę garniturach i koszulach z mankietami i spinkami, z tą łatwością, z jaką posługiwał się francuskim, a nawet polskim w rozmowach z hrabiną i jej córkami, z zamiłowaniem do sportu, biegłością za kierownicą, delikatnością w tańcu... i z tym uśmiechem, który zamieniał jego oczy w szparki jak u rysia. Chociaż wciąż mogła go traktować z tym samym zaufaniem i naturalnością, jak wtedy, gdy był młodszy, gdy był chłopakiem ze wsi, to teraz stał się mężczyzną, wykształconym i eleganckim, zupełnie innym od tych chłopaków, których znała, od jej braci, od niej samej. To wzbudzało w niej dziwne uczucie: że Guillén jest kimś zupełnie nieznanym, wobec kogo odczuwa niepokojący pociąg.

W każdym razie jej przyrodni brat był namacalnym dowodem na to, że świat jest szkołą samą w sobie; miejscem nazbyt fascynującym, żeby go nie zbadać. Lena miała nigdy nie zapomnieć tej lekcji.

– Jest wcześniej. Chodźmy coś wypić – zaproponowała Delphine swoim śpiewnym głosem przy schodach opery, pośród tłumu, który zaczął się rozpraszać.
– *Champagne?*

To było jedyne słowo, które Lena z całą pewnością zrozumiała: szampan. Reszta pograżyła się w wymianie zdań, z których ona chwyciła tylko strzępy bez większego sensu.

Sébastien objął pulchne ciało Delphine i pocałował jej blade policzki.

– Jesteś godną pogardy burżujką – wyszeptał, jakby kierował w jej stronę najbardziej wysublimowany komplement, a ona uśmiechnęła się, jakby rzeczywiście tak było. – Ty mnie przywiozłaś do opery, teraz ja powinienem cię zabrać na swój teren.

Sébastien od miesiąca był nowym narzeczonym Delphine, ale skrojonym na miarę poprzednich: wyglądał jak ostatni typ mężczyzny, którego można by się spodziewać u boku takiej kobiety. Chyba dlatego żaden z jej narzeczonych nie był nim zbyt długo, choć ona miała nieuleczalną skłonność do potykania się raz, drugi i trzeci o ten sam kamień. Lenie wydało się, że narzeczony Delphine jest co najmniej malowniczy. Przyszedł do opery bez krawata i w pomiętej brązowej marynarce. Miał włosy dłuższe niż wszyscy inni i lekko przetłuszczone – powinien się porządnie wykąpać – i nieustannie pociągał z fajki, bez względu na to, czy była zapalona czy nie. Co do reszty, wydawał się chłopakiem wesołym i sympatycznym, choć jego gesty zdradzały nerwowość.

– Pójdziemy do tawerny, gdzie dają dobre wino, dobre piwo i prawdziwy alkohol. Znam jedną na lewym brzegu. Idziecie? – zapytał, patrząc na Guillena.

Ten wzruszył ramionami. Dlaczego nie? Jego frak nie będzie współgrał z klimatem tawerny, ale kiedy wypije kilka kieliszków, przestanie to mieć dla niego większe znaczenie.

– Jedziemy samochodem?

Sébastien kpiąco się uśmiechnął.

– Lepiej nie. Do rana nic by z niego nie zostało. Weźmiemy taksówkę.

Guillén odwrócił się do Leny.

– Sébastien zabiera nas do tawerny. Ale jeśli chcesz, mogę najpierw zawieźć cię do domu...

Do tawerny? Nigdy nie była w podobnym miejscu, którego sama nazwa przywoływała na myśl grzech i nałóg. Ojciec pewnie chciałby poddać ją egzorcyzmowi, gdyby się dowiedział.

– Nie, oczywiście, że nie. Wolę iść z wami. Będzie zabawnie.

Zajęli stolik przy samym parkiecie, na którym kilka par niezbyt zgrabnie tańczyło tango – ich kroki prowadził raczej alkohol niż rytm muzyki zagłuszanej przekleństwami. Zamówili butelkę koniaku.

A zatem to zadymione, hałaśliwe, duszące i plugawe miejsce to jest tawerna, pomyślała Lena, przypatrując się ludziom stłoczonym przy barze, mężczyznom grającym w karty przy stolikach i przymilnym kobietom w skąpych ubraniach. Nad wszystkim unosił się zaduch potu, alkoholu i tytoniu.

Sébastien wzniósł toast. Na słowo „santé” stuknęli się kieliszkami z rżniętego szkła, rozchlapując część koniaku na drewnianym stole. Wszyscy wypili.

Alkohol był tak mocny, że Lena niemal się zakrztusiła. Chciała powstrzymać atak kaszlu i oczy nabiegły jej łzami; mimo to miała ochotę na jeszcze jeden łyk, palący jak ogień. Nie była pewna, czy zdoła dopić do dna swój kieliszek. W tym czasie kieliszki pozostałych na nowo się napełniły. Wszyscy palili: Sébastien fajkę, Guillén i Delphine papierosy – i żywo rozmawiali, niemal krzyczeli, żeby się nawzajem słyszeć. Sébastien usilnie coś tłumaczył Guillenowi, coś bardzo ważnego, sądząc po tym, jak gestykulował: przyczesał ręką włosy i od czasu do czasu uderzał pięścią w stół. Mówił, palił i pił, wszystko naraz z niesamowitą zręcznością. Delphine słuchała go jak urzeczona, okazując ten sam brak zainteresowania koniakiem, co Lena. A Guillén czasem wtrącał pytanie i z przekonaniem kiwał głową, gdy otrzymywał odpowiedź.

Skończyło się tango i młodzieniec o wyglądzie skromnego intelektualisty – okulary, tani garnitur, dobrze przystrzyżona broda – który chyba wypił zbyt wiele, wszedł na parkiet i zaczął wygłaszać płomienne przemówienie. Lena była zaskoczona uwagą, jaką poświęcili mu wszyscy obecni. Powoli w tawernie zaległa cisza. A zatem słowa tego mężczyzny musiały być interesujące.

– O czym on mówi? – zapytała.

– O walce klas – odpowiedział Guillén. – O tym, że robotnicy muszą powstać z bronią w rękę przeciw burżuazyjnym oprawcom i utworzyć rząd robotniczy jak w Rosji. – Zrobił przerwę, żeby dalej posłuchać, i dodał kilka słów: – Jest przeciw Kościołowi i zdegenerowanym rządowi, które oszukują klasę robotniczą. Teraz mówi o Niemcach i Włoszech: mówi, że rządy europejskie nic nie robią wobec zagrożenia faszyzmem, że trzeba zareagować albo czekają nas poważne konsekwencje... Klasa robotnicza nie może pozwolić się oszukiwać fałszywymi obietnicami faszyzmu, bo będzie karmić bestię. Faszyści to wspólnicy tych, którzy akumulują bogactwo i niewolą lud.

Nastrój robił się coraz bardziej gorący. Ludzie wtórowali wypowiedziom mówcy, wiwatowali i podnosili pięści. Czoło młodzieńca lśniło od potu, był czerwony z uniesienia, na skroniach wystąpiły mu żyły. Zaczęto rozdawać ulotki, rzucać je z parkietu. Ktoś zaintonował *Międzynarodówkę* i wszyscy zaczęli

śpiewać.

Wtedy Guillén wstał gwałtownie, wziął pod ramię Lenę i Delphine.

– Chodźmy stąd – rozkazał z poważną miną.

Sébastien spojrział na niego zdumiony, ale wyszedł bez protestów. Guillén zdecydowanie kluczył pomiędzy rozpalonym tłumem, bardzo mocno trzymając kobiety za rękę, żeby ich nie zgubić. Już na ulicy Sébastien rzucił ostro:

– Co z tobą? Skąd ten pośpiech?

– Tam robi się niezły dym.

Ze środka ciągle dobiegały do ich uszu pieśni i przemowy. Gapie zebrali się pod oknami i drzwiami; część zwyczajnie szukała zaczepki, nie zważając na żadną ideologię.

Sébastien uznał to za żart.

– A więc pana burżuja obleciał strach?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział Guillén bez urazy. – Widziałeś, jak jestem ubrany? Jak one wyglądają? Zauważyłem kilka noży i rewolwer; na pewno jest tego więcej. Nie chcę, żeby walka klas zaczęła się dziś w nocy, od nas.

Odwrócił się do Leny i opowiedział jej po hiszpańsku, co się stało.

– My wracamy do domu – oświadczył potem. – Idziesz, Delphine?

Ona pocałowała go czule w policzek.

– Chyba nie, braciszku. Sébastien i ja przespacerujemy się po innych, mniej niebezpiecznych dżunglach. Ale dziękuję, że mnie stamtąd wyciągnąłeś, ten koniak to świństwo.

Sébastien podał mu rękę. Chociaż był marksistą, czasem zachowywał rozsądek.

– Kiedy indziej dokończymy naszą rozmowę – zagadnął. – Nawet rewolucja wymaga roztropności, a frak nie jest dobrym mundurem w boju, towarzyszu – dodał, puszczając do niego oko.

Przez całą drogę na boulevard des Belges milczeli. Mimo że w domu wszyscy spali, Guillén poprowadził Lenę do biblioteki i nalał sobie spory kieliszek. Ona nie usiadła.

– Dlaczego ludzie są tak podnieceni? – zapytała, jakby zastanawiała się nad tym przez całą drogę z tawerny. – Tu, we Francji, w Hiszpanii... Odkąd pamiętam, wszyscy są przeciwko wszystkim: republikanie, monarchiści, duchowni, anarchiści; ludzie z jednej partii, z drugiej... I bardzo często skaczą sobie do gardeł.

Guillén zapalił papierosa i rozsiadł się w fotelu. Zanim odpowiedział, wziął łyk koniaku, zaciągnął się i powoli wypuścił dym.

– Bogaci są bardzo bogaci i nie chcą utracić swoich przywilejów. Biedni są bardzo biedni i chcą bardziej sprawiedliwego podziału dóbr. Czy to pojedynczy

ludzie, klasy społeczne czy narody, sprawy zawsze mają się tak samo. I wielu sądzi, że przemoc to jedyna droga do osiągnięcia celów.

– Ja jestem z klasy robotniczej, chłopskiej... Czy rzuciliby się na mnie, dlatego że mam na sobie pożyczoną elegancką sukienkę?

– Przemoc nie jest racjonalna... Ale to nie zmienia faktu, że ludzie uciekający się do przemocy czasem mają rację w niektórych swoich poglądach. Spójrz na to wszystko – wskazał oczami – spójrz na nas samych... A teraz pomyśl o tym, skąd pochodzimy: twój ojciec pracuje od rana do nocy za pensję mniejszą niż sto peset miesięcznie; tyle kosztuje kolacja w dobrej restauracji. A nasza rodzina i tak nie może się skarżyć, bo są ludzie, którzy głodują, cierpią prawdziwą nędzę.

– Ale ojciec nie znosi marksistów i rewolucjonistów.

– Twój ojciec boi się stracić tę odrobinę, którą ma. I religia wyprała mu mózg. To ciągle walenie się w piersi i różaniec, to całe poniżanie siebie...

Lena starała się nie okazać przerażenia, wszak Guillén mógłby zostać ekskomunikowany, gdyby ktoś go usłyszał.

– Jak możesz tak mówić? Chrystus głosił równość, miłosierdzie i braterstwo na długo przed marksistami.

– Chrystus, być może... Ale Kościół to zupełnie inna śpiewka. Kasta gromadząca przywileje, władzę i bogactwo, których nie ma zamiaru oddać, chociaż żeby je utrzymać, musi mieć pewność, że jej stado jest złożone z bezmyślnych owieczek.

Lena ponownie spojrzała na Guillena, upewniając się, że stoi przed człowiekiem zupełnie jej obcym. Najwyraźniej przez te wszystkie lata jej brat nie tylko nauczył się francuskiego, arytmetyki i skomplikowanych manier; zmieniły się też jego sumienie i moralność. Po raz pierwszy wejrzała głębiej niż ta imponująca fasada, która ją zauroczyła, i poczuła się rozczarowana. Nie miała jednak ochoty na kłótnię, za bardzo była na to zmęczona.

– Późno już. Idę się położyć.

– Czekaj... – Guillén zerwał się z miejsca, zgasił papierosa w popielniczkę i podszedł do niej. – Obraziłaś się – bardziej stwierdził, niż zapytał.

Lena pokręciła głową.

– Nie... Chodzi o to... nie rozumiem, dlaczego tak mówisz... Nie tak nas nauczono...

On westchnął. Jak to wyjaśnić delikatnie, nie raniąc jej uczuć? Ujął zimne dłonie Leny.

– Tutaj wychowano mnie w inny sposób...

– Nie wydaje mi się, żeby hrabina wciskała ci podstawy marksizmu – rzuciła Lena sarkastycznie.

– Nie... ale nauczyła mnie mieć własne zdanie, nie pozwolić się

manipulować innym ludziom, samemu dostrzegać, co jest dobre, a co złe, nie udawać, że na świecie nie ma niesprawiedliwości.

– I to mówisz ty, w swoich drogich butach i koszuli ze srebrnymi spinkami. – Lena zaśmiała się w wymuszony sposób. – A my, cała reszta rodziny w jesionkach, widzimy tylko czubek własnego nosa, rzecz jasna, bo zachowujemy się jak bezmyślne owieczki, odrzucając przemoc, nieporządek, chaos i brak szacunku. – Mówiąc to, uwolniła ręce z uścisku Guillena. Oburzała się bardziej, niżby sobie tego życzyła. Nie chciała się na niego złościć. Przecież to jej brat.

On też nie chciał się kłócić, a już na pewno nie na ten temat, który przyprawiał go o zmieszanie i budził w nim wątpliwości. Nie było warto kłócić się z Leną z takiego powodu. Przyjrzał się jej w ciemnym świetle lampy i po raz kolejny tej nocy pomyślał, jaka ona jest piękna. Po kiego diabła mu marksizm czy jakaś inna bzdura, skoro ma tu taką piękność? Naszło go niepokojące pragnienie, żeby ją objąć, aby naprawić sytuację. I pocałować ją. Nade wszystko ją pocałować.

Zawsze, odkąd się poznali, bardzo chciał ją pocałować; odbierał to pragnienie jako czysto seksualne, nie mógł zaprzeczyć. Lena nie była już tą małą dziewczynką, którą zostawił w wiosce, ani on nie był chłopakiem pasającym kozy. Nie byli rodzeństwem; już się tak nie traktowali. Zdał sobie z tego sprawę, gdy ją zobaczył pierwszy raz po tylu latach: serce skoczyło mu do gardła, kiedy wysiadała z pociągu; wszystko wokół znikło, ucichło. Jakby patrzył na nią przez obiektyw aparatu, widział tylko ją; zachwycał się doskonałymi krągłościami jej ciała i delikatnością jej twarzy – tak zaskakująco znajomej twarzy, a jednocześnie nowej. Później zrozumiał, jak bardzo cieszy się jej towarzystwem, samą jej obecnością, i dotarło do niego, że tak było od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, gdy byli dziećmi i ta wiecznie rozgadana niespokojna dziewczynka stała się jego najlepszą przyjaciółką, prawdopodobnie jedyną przyjaciółką. Przypomniał sobie, jak zawsze mu się podobała, chociaż nie do końca był tego świadomy, i teraz poczuł, jak bardzo za nią tęsknił przez te wszystkie lata z dala od domu.

– Nie jestem obrażona, Guillén, i nie chcę się obrazić. Lepiej się położę. Jutro też jest dzień, a w świetle dnia wszystko wygląda lepiej. – Spróbowała się uśmiechnąć, wyszeptala „dobranoc”, które Guillenowi wydało się oschłe, i poszła.

Nici z przytulania, a zwłaszcza z pocałunków.

Stał pośrodku biblioteki, nie wiedział, co ma robić. Pobiec za nią, też iść do łóżka, nalać sobie jeszcze koniaku... „Cholera – pomyślał – dlaczego Lena nie jest w stanie mnie zrozumieć?”

Chodziło o kwestię zwykłej sprawiedliwości. O skończenie z przywilejami. O danie wszystkim takich samych możliwości. Rzucił okiem na mankiety koszuli, na lśniące srebrne spinki; na srebrny zegarek, który hrabina mu ofiarowała na ostatnie urodziny, na czubki wypolerowanych butów szytych na miarę, stojących na afgańskim dywanie... Nagle poczuł się dziwnie. Jeszcze tak niedawno był

pastuchem w wyświechtanych ubraniach i starych łapciach; pospolitym, głupim, bez znaczenia... Gdzie tak naprawdę jest jego miejsce? Za kogo i za co ma prawo walczyć? Która to jego klasa?

„Jesteś mądrym i pracowitym chłopcem, Guillenie. Daleko zajdziesz”, powtarzała mu hrabina. Jednak gdyby nie ona, sam do niczego by nie doszedł. Tak jak nie udaje się to tysiącom chłopaków równie mądrych albo jeszcze mądrzejszych, odpędzających głód pięściami, bo nikt nie zajmuje się zaspokajaniem ich podstawowych potrzeb, nikt nie zapewnia im spokojnego domu ani wykształcenia. Tymczasem rządy karmią się kilkoma skorumpowanymi osobami, które dzielą tort i tuczą swoje beneficja... Dlaczego Lena nie potrafiła tego zrozumieć? Dlaczego nie była w stanie dostrzec, że ona, która zawsze była inteligentniejsza i bardziej pracowita od niego, ciągle jest usłużną niewolnicą w przeciętnym domu? Niech to szlag, dlaczego właśnie ona nie jest w stanie tego zrozumieć?

Pomacał kieszeń spodni i sprawdził, że ma w nich kluczyki do samochodu. Zrobił kilka kroków stronę drzwi, ale właśnie gdy miał wychodzić, przypomniał sobie o niedopitym kieliszku; wychylił jednym haustem koniak i szybko wyszedł z biblioteki, nawet nie gasząc światła.

Poduszka pachniała perfumami... Z jednej strony fiołkami. Z drugiej – paczulą. Mdlilo go od tych zapachów. I od lampy z kolorowymi szkiełkami, rzucającej czerwone drżące światło w powietrze przesycone dymem.

Ostrożnie wyplątał się spod ramienia, które przyciskało go do materaca. Było mu gorąco, a gąszcz platynowych włosów kochanki Louise przyklejał się do jego spoconego ciała. Na imię miała Alexia i mówiła po francusku z niemieckim akcentem; wielu nie znosiło jej z tego powodu. Była śliczna, ładniejsza od Louise; w każdym razie bardziej kobieca. Miała zmysłowe ciało, o wyraźnych krągłościach i wielkich piersiach chłopki, które ledwie mieściły się w rękach. Kochała się inaczej, słodka i uległa, jakby łaskotała; wiedziała, jak go całować i pieścić, aż go nastroiła, przygotowała do przyjęcia dzikiego ataku Louise i przeżycia duszącego orgazmu. Wszystkiego nauczyła się od Louise. Ona, ze swymi zdecydowanymi i dominującymi gestami, była doskonałą nauczycielką; bez uprzedzeń, bez granic. Nie miało znaczenia, że ciało Louise, o wąskich biodrach i drobnym biuście, kościste i opalone, jest androginiczne, kiedy po drugiej stronie łóżka leżała Alexia, pełna, miękka jak jedwabna poduszka, z mleczną skórą. Guillén pochylił się nad Louise, sięgnął po zieloną butelkę na nocnym stoliku i pociągnął prosto z niej. Szampan był ciepły, ale pił go łączywie aż do dna. W końcu wstał do toalety, a potem wyszedł na balkon wypalić papierosa.

Louise miała mansardę na place des Jacobins, z której okien było widać kwadratowe wieże katedry. Słysząc też było jej dzwony. Guillén naliczył cztery

uderzenia. O tej porze nocy ulice wydawały się mokre i puste, rozmazane.

Tak był skoncentrowany na paleniu i na krętych liniach chodnika daleko w dole, że lekko się przestraszył, poczuwszy dotyk na ramionach.

– Okryj się, jak wychodzisz na balkon, bo nas wsadzą za obrazę moralności – usłyszał głos Louise za plecami.

– Nie ma tu nikogo...

Ona uciszyła go długim pocałunkiem, z mocno otwartymi ustami i językiem dotykającym jego zębów. Poglądziła go pomiędzy nogami, ale jego penis ledwie drgnął.

– I tak się okryj, bo zupełnie ci zniknie z zimna – rzuciła kpiąco, patrząc mu w oczy.

Oddech Louise był mocno alkoholowy; a może to jego oddech?

Kobieta wzięła papierosa z jego ręki i opierając się łokciami o poręcz, zaciągnęła się. Guillén włożył szlafrok, który mu przyniosła, i bez słowa stanął obok niej.

– Co się z tobą dzieje, że jesteś taki nieobecny i poruszasz się flegmatycznie jak kiepski poeta?

Guillén wzruszył ramionami, ale Louise dodała przenikliwie:

– Co takiego przypomniała ci twoja siostra?

– Jesteś cholerną czarownicą – wymamrotał.

– Wiem – przyznała z dumnym uśmiechem. Znowu włożyła sobie papierosa do ust, zaciągnęła się porządnie, spalając znaczną jego część, i oddała go Guillenowi. – Pewnie dziwnie jest się spotkać z rodziną po tak długim czasie, żyjąc tak inaczej...

– Powiedz: co myślałyście, kiedy tu przyjechałem?

Louise roześmiała się głośno.

– Że jesteś spłoszonym zającem... – Potem zrobiła się poważniejsza i dodała: – Pomyślałyśmy, że to kolejne dziwactwo mamy, bo tak bardzo lubi urządzać loterie i herbatki dobroczynne, ofiarowywać koszyki z łakociami dzieciom pracowników i skrzynki z jedzeniem na święta... A do tego jest Żydówką... Może się pomyliła, ściągając biednego chłopaka do domu... Ale nie, stara hrabina nie jest głupia, ani trochę: wszystko, co robi, ma swoją przyczynę i swój sens...

– Nie byłyście zazdrosne? Nie czułyście się zagrożone?

– Nie, co za bzdury. Zagrożone, dlaczego? Już ci mówiłam, że mama nie robi nic bez celu. Ojciec nie żyje, Armand jest chory, więc mama potrzebuje pomocy, kogoś, kto zajmie się fabryką i interesami. Ani Delphine, ani ja się do tego nie nadajemy, znasz nas. Delphine interesuje tylko własna miłość do sztuki i nieudacznym artystów, a mnie tylko moje nałogi. Uwierz mi, kochany, zyskałyśmy bardzo odpowiedniego brata, jesteś jedynym spadkobiercą całej

roboty, a tymczasem my sobie pożyjemy! – zażartowała, chociaż natychmiast znowu zrobiła się poważna. – Cokolwiek by mówić, jesteś już członkiem rodziny, i ona zdała sobie z tego sprawę.

– Kto?

– Twoja siostra. Lena.

– Coraz trudniej mi ją zrozumieć, ją i całą moją rodzinę. Czuję się coraz bardziej daleki i nie chodzi mi tylko o odległość, tego jestem pewien. I to mnie przeraża. Przeraża mnie myśl o tym, kim się stałem. Przeraża mnie myśl, że ich zdradziłem. Czasem wydaje mi się, że jestem złym człowiekiem, bo niewiele brakuje, bym nimi gardził za to, że są tacy prości, za ubóstwo ich dusz. Może tym się stałem, złym człowiekiem?

Louise odwróciła się do niego i pogłaskała go po głowie.

– Nie można oddać komuś człowieka bez obawy, że się go straci – zapewniła. – W każdym razie wydaje mi się, że oni są bardzo z ciebie dumni. I na pewno mają do tego powody. Poszedłeś do przodu i widzisz rzeczy w innym świetle, ale to nie znaczy, że stałeś się złym człowiekiem. A jeśli powstała między wami przepaść, czułość będzie musiała ją zasypać. Cokolwiek się zdarzy, Lena jest twoją siostrą i na pewno cię kocha.

– W tym kłopot: Lena kocha mnie, bo jestem jej bratem. A ja... – zawahał się – jestem w niej zakochany.

Louise znowu wybuchnęła śmiechem. Było to dość upokarzające dla Guillena.

– Mnie to nie śmieszy – zaprotestował urażony.

– Zakochany? – kpiła dalej. – To dla ciebie zbyt poważne słowo. Co ty wiesz o zakochaniu?

– Nic... Ale wiem, że chcę tylko na nią patrzeć, słuchać jej, dotykać, zawsze mieć ją przy sobie... Wiem, że nie wyobrażam sobie życia bez niej.

Louise położyła rękę na jego policzku i zmusiła go, żeby na nią spojrzeć.

– Mój Boże... – wyszeptała już z poważną miną. – Rzeczywiście jesteś zakochany – podsumowała, jakby zdiagnozowała u niego ciężką chorobę.

Guillén przytulił się do niej, chcąc zapłakać na jej ramieniu, ale nagle ogarnęły go mdłości.

– Muszę się napić – oznajmił głucho.

Louise zaplotła mu rękę na szyi i spojrzała na niego z czułością.

– Otworzę butelkę i obudzę Alexię. Zrobimy to znowu, zanim się kompletnie upijesz. Jesteś beznadziejnym przypadkiem, ale trochę seksu i alkohol przyniosą ci ulgę.

Poszedł do łóżka z obiema kobietami. Wypili połowę butelki szampana, a drugą porozlewali. Pieścił je i całował, przesuwając suchy język po wilgotnych ciałach ich obu, dotykał i pozwalał się dotykać, ale nie zdołał się podniecić, więc

zakończyły sprawę we dwie, podczas gdy on leżał jak trup. Kiedy się obudził, rozmazany pokój kręcił się jak na karuzeli. Gdy zwymiotował po raz trzeci, poczuł się nieco lepiej. Przemysł twarz. Ubrał się i wyszedł, nie żegnając się ze śpiącymi kochankami.

Lena bardzo długo wierciła się w łóżku, nim zasnęła. Miała sen lekki i niespokojny, z którego często się budziła, spocona i zaplątana w prześcieradło. Dlatego usłyszawszy stukanie do drzwi, nie wiedziała, czy dzieje się to w rzeczywistości, czy dalej śni. Wtedy usłyszała swoje imię:

– Lena...

Dniało i pokój spowijało szarawe światło. Drzwi się uchyliły i pojawiła się w nich twarz Guillena.

– Lena, muszę z tobą porozmawiać...

Ledwie usiadła, a on już klęczał przy łóżku i trzymał ją za rękę.

– Musisz mi wybaczyć, Leno... Wybacz mi, proszę... Lena, wybacz mi....

Ona wyrwała się z jego rąk i zapaliła lampkę na szafce. Światło niemal oślepiło Guillena, więc nisko pochylił głowę.

– Wybacz mi – odezwał się znowu.

– Wybacz ci... Co?

– To, że się zmieniłem... – załkał.

Wtedy Lena zrozumiała.

– Piłeś, prawda?

Nie usłyszawszy odpowiedzi, delikatnie uniosła jego głowę i popatrzyła mu w twarz, bladą i zalaną łzami, błagającą. Pachniał alkoholem. Jedynie lekko pokręciła głową i spojrzała na niego wymownie.

Pomogła mu położyć się w swoim łóżku i poszła do łazienki, żeby zamoczyć ręcznik w zimnej wodzie. Potem usiadła obok niego i przetarła mu czoło. Guillén cały czas na nią patrzył.

– Kiedy tak wyładniałaś?

– Oj tam, zawsze byłam ładną dziewczynką – zażartowała. – I w wiosce wszyscy się tłuką, żeby ze mną zatańczyć.

– A więc to znowu moja wina, bo nie potrafiłem zobaczyć tego, co miałem pod nosem... – Nieśmiało pogładził ją po twarzy czubkami palców. – Wyglądasz jak baletnica, delikatna i elegancka...

– Nie gadaj bzdur – przerwała mu.

Guillén przesunął się i położył głowę na jej kolanach.

– Tak bardzo, bardzo za tobą tęskniłem... Wiesz, dlaczego zostawiłem wioskę i tu przyjechałem? – Lena nie zdążyła odpowiedzieć, bo Guillén ciągnął: – Chciałem, żebyś była ze mnie dumna.

– I jestem, bardzo...

– Ciii... – Ścisnął jej ręce. – Pozwól mi mówić. Nie jestem sierotą. Prawda jest taka, że mój ojciec nie umarł, przynajmniej z tego, co wiem... Więc moja matka nie jest wdową; zresztą nigdy za niego nie wyszła. Mój ojciec był... pewnie dalej jest... anarchistą. Kiedy się urodziłem, właśnie wsadzili go do więzienia... Czasem chodziliśmy do niego z matką. To ciekawe, ledwie go pamiętam, nie pamiętam dobrze jego twarzy ani tonu głosu; nie pamiętam, jaki był. Ale tamto miejsce przypominało mi o ciarki... Wydawało mi się przerażające, więc błagałem matkę, żeby nie kazała mi ze sobą tam chodzić. Przypuszczam, że gdyby miała mnie z kim zostawić... Kiedy skończyłem sześć lat, on pojawił się w domu... i już został. Rano spał, jadł, kiedy chciał, i od czasu do czasu sprowadzał podejrzanych typów, z którymi rozmawiał przez całe noce, pili i grali w karty. Przez resztę czasu kłócił się z matką, strasznie krzyczeli, a teraz wiem, że też ją bił, chociaż ona wmawiała mi, że uderzyła się w drzwi od szafy. Nie pamiętam, by się do mnie odzywał, chyba że wyzywał mnie od darmożjadów albo wysyłał po tytoń. Nagle któregoś dnia zniknął, wyszedł w jednym ubraniu i zabrał ze sobą sto peset, które matka trzymała w puszcze pod łóżkiem; oszczędności całego roku pracy w pralni.

Guillén rozpiął kołnierzyk i otarł spocone czoło. Wyglądało na to, że jest mu duszno. Lena, osłupiała, słuchała opowieści ze ściśniętym sercem, tylko raz przetarła mu czoło ręcznikiem.

– Na początku odejście ojca przyniosło mi ulgę – ciągnął Guillén nieco uspokojony. – Jednak po jakimś czasie inne dzieciaki z dzielnicy zaczęły nazywać mnie bękartem i rzucały we mnie kamieniami. Któregoś dnia na drzwiach domu ktoś napisał: „Tu mieszka kurwa anarchisty”... Matka płakała i płakała, całe noce... A ja... zacząłem myśleć, że wszystko to moja wina. Że mój ojciec odszedł, bo nie chciał nawet na mnie patrzeć, że naprawdę jestem darmożjadem, że mu przeszkadzałem, że nie umiem się nauczyć czytać ani pisać, ani porządnie robić rachunków, i że dlatego matka jest smutna i wszyscy nas obrażają...

Lena odłożyła ręcznik i pogładziła Guillena po czole.

– Wyjazd z Madrytu na wieś był jak wyzwolenie – ciągnął. – To prawda, że sąsiedzi patrzyli na nas i szeptali i że w nowej szkole sprawy nigdy się za dobrze nie ułożyły... Ale wtedy pojawiliście się wy: twój ojciec i twoje rodzeństwo... Ty... – Spojrzał na nią. – Przede wszystkim ty, z tą swoją energią, radością i gadaniem. Natychmiast zrobiłaś mi koło siebie miejsce przy kolacji, męczyłaś mnie, dopóki nie wyrecytowałem ci alfabetu, i zmusiałaś do przeczytania w całości tej głupiej historii o dziewczynce, która pokonuje potwora, co to zamieniał wszystko w kamień...

– *Mari-Flora* – Lena przypomniała sobie z uśmiechem ilustrowaną bajkę wydawnictwa Calleja.

– Ty zawsze chciałaś, żebym był kimś dobrym...

– Nie... – zaprzeczyła, odgarniając mu włosy z oczu. – Ty zawsze byłeś dobry. Teraz zmieniłeś się w kogoś lepszego... A ja jestem bardzo, ale to bardzo z ciebie dumna.

Znowu wziął ją za rękę. Chciał unieść głowę, żeby spojrzeć na nią z bliska, ale była nieprawdopodobnie ciężka.

– Lena... Kocham cię.

Lenie nie wiedzieć czemu zapłonęły policzki, o co się zezłościła na siebie. Z całą naturalnością, na jaką było ją stać, powiedziała:

– Też cię kocham, jesteś moim bratem.

Guillén posłał jej ponure spojrzenie.

– Nie, nie jestem twoim bratem.

Odruchowo dziewczyna zasłoniła sobie dekolt koszuli, przesunęła głowę Guillena na poduszkę i wstała.

– Lepiej odpocznij... – Ściągnęła mu buty i przykryła go kołdrą.

– A co ty zrobisz?

Nie chciała na niego spojrzeć, więc popatrzyła w stronę okna.

– Już świta... Wstanę i się ubiorę.

Nie pocałowała go przed wyjściem z sypialni. To nie był dobry znak. Nie było nim też ogarniające ją uczucie wstydu ani to dziwne łaskotanie w żołądku, które nie pozwoliło jej zjeść śniadania. Czowała się zagubiona. Coś z założenia pięknego zmierzało ku katastrofie. Dorastanie okazało się katastrofą; zmiany również. To, że Guillén nie uważa jej za siostrę, zaskoczyło ją i zupełnie zbiło z tropu. Przez cały dzień zadawała sobie pytanie, dlaczego jej się wydaje, że połknęła słoik motyli, które trzepoczą się nerwowo za każdym razem, gdy o nim pomyśli. Może to wyjaśniało, dlaczego tak bardzo płakała, kiedy on odjechał, i dlaczego tak bardzo za nim tęskniła, i dlaczego tak go teraz podziwia, i jak bardzo się jej podobało, gdy chwycił ją za rękę, uśmiechnął się do niej, prawił jej komplementy, patrzył na nią. Nie rozumiała tylko, dlaczego czuje się tak przestraszona i winna.

Po południu Lena ukryła się w chłodnym zakątku ogrodu, w cieniu wierzby przy sadzawce z karpiami. Starła się skupić na czytaniu, ale jej myśli szybowały nad wodą z lśniącymi ważkami, a lekki wietrzyk przewracał strony leżącej na kolanach książki, o której zapomniała.

– Wreszcie cię znalazłem.

Lena aż podskoczyła, usłyszawszy głos za plecami. Odwróciła się i mrużąc oczy pod słońce, zobaczyła twarz Guillena.

– Przestraszyłeś mnie.

– Przepraszam... Nie chciałem.

Przyjrzała mu się dokładnie: chociaż ogolony i trzeźwy, twarz ciągle miał bladą, a oczy podkrążone. I nie było to znajome oblicze chłopaka, który był jej

bratem.

– Jak się masz?

Spróbował się uśmiechnąć, żeby odpowiedź nie zabrzmiała grobowo.

– Okropnie.

– Słuszna kara za twoje wysoki.

– Obawiam się, że tak – przyznał, siadając na trawie obok leżaka.

W ciszy brzęczały owady, ćwierkały ptaki, z oddali docierały odgłosy ruchu ulicznego... Guillén wyrывał źdźbła trawy, Lena utkwiała wzrok w sadzawce.

– W nocy... – zaczął on.

– W nocy byłeś bardzo pijany.

– Tylko pijacy i dzieci mówią prawdę.

Te słowa sprawiły, że Lena oniemiała. To był problem: prawda.

– Przepraszałeś mnie za to, że się zmieniłeś – powiedziała i ciągnęła z hamowanym niepokojem: – Ale nie wszystko musi się zmienić. Kiedyś wrócisz do Hiszpanii, do wioski. Oboje wrócimy... A tam dalej stoją góry, twoje góry, i jest łąka, i rzeka, i las. I wciąż można, leżąc w trawie, patrzeć na chmury, łowić ryby i zbierać jeżyny... A ja dalej będę cię budzić w środku nocy, kiedy przestraszę się burzy, a ty za każdym razem powiesz mi, że jestem głupia, i będziesz kazał mi wracać do łóżka... Niektóre rzeczy nie muszą się zmieniać, jeśli tego nie chcemy... Lepiej, żeby się nie zmieniły.

Guillén westchnął.

– Rozumiem...

– A ja tak naprawdę nic nie rozumiem... – przyznała.

– To oczywiste, że nie czujesz do mnie tego samego. I nie mów mi, że tak, że mnie kochasz, bo jesteś moją siostrą – dodał szybko. – Nie tak cię kocham...

Korzystając z jej milczenia, wstał. Czuł, że głowa zaraz mu pęknie. Podał Lenie rękę, żeby pomóc jej wstać. Kiedy stanęli naprzeciw siebie, nie puścił jej. Spojrzał jej w oczy, wielkie i błękitne, pełne wyczekiwania. Pogładził ją po zaczerwienionych policzkach. Powoli przybliżył się do niej i ją pocałował. Czując, że ona nie oponuje, przedłużył pocałunek, rozkoszował się dotykiem jej ust. Poczul takie pragnienie, że zaczynało mu brakować tchu. Odsunął się, żeby zaczerpnąć powietrza i znów spojrzeć jej w oczy. To nie ulżyło jego pragnieniu.

– Leno... – odezwał się niemal bez sił. – Zakochałem się w tobie...

Lena czuła, że ma miękkie nogi, a serce waliło jej jak oszalałe; motyle w brzuchu kotłowały się tak, jakby miały wyfrunąć przez usta. Wydawało jej się, że straciła kontrolę nad wszystkimi zmysłami, chciała tylko znowu go pocałować. Powiedziała sobie w duchu, że go kocha, że to, co odczuwa, to musi być miłość.

Nie potrafiąc już wytrzymać spojrzenia Guillena, oparła policzek o jego pierś. Dzięki temu dowiedziała się, jak mocno bije jego serce.

– Kocham cię... – wyszeptała, jakby zawstydzona jego wyznaniem.

Radość Guillena wykwitła mu na ustach w szerokim uśmiechu. Jeszcze mocniej ją przytulił i pohamował jęk rozkoszy.

– Zostań ze mną... Nigdy nie wyjeżdżaj... Nie mogę znowu cię stracić...

Lena zebrała się na odwagę, żeby spojrzeć mu w twarz, przynajmniej tyle była mu winna.

– Muszę wrócić do domu... Wiesz to równie dobrze jak ja. Jeśli zostanę... co tu będę robić? Ty za dwa tygodnie wyjeżdżasz do Paryża, musisz zacząć i skończyć studia... Ja bym tylko przeszkadzała... To nie jest dobry moment, Guillenie...

Niechętnie musiał przyznać jej rację.

– Niech to szlag... – zaklął dla poprawy samopoczucia. – Poczekasz na mnie?

– Jasne, że tak – zapewniła go z uśmiechem. – Przez ten cały czas czekałam na ciebie...

I wtedy to ona go pocałowała.

Lipiec 1936

Drzwi do salonu nagle się otworzyły, powodując przeciąg, który wstrząsnął oknami i firankami.

– Wojsko zbuntowało się w Maroku i chce zająć całą Hiszpanię!

Hrabina ledwie odwróciła głowę. Popołudnie było parne, więc przymknęli okiennice, żeby żar nie wlewał się do domu. W półmroku światło wpadające z korytarza tworzyło aureolę wokół Guillena, podekscytowanego, ze zwiniętą gazetą w rękach.

– Wiem. – Urszula smutno kiwnęła głową. – Przez cały dzień siedzę przy radiu.

Dopiero wtedy chłopak usłyszał charakterystyczny szmer i trzeszczenie. Hrabina pokręciła gałką i zgasiła aparat.

Jak gdyby scenariusz, który pośpiesznie sobie nakreślił w Paryżu, nagle skończył się właśnie w tym miejscu, Guillén stał zbity z tropu na progu pokoju. Przesunął dłonią po rozczochranych włosach i po nieogolonej brodzie; wydało mu się, że czuje na skórze koszulę i pogniecione spodnie.

Chociaż zajęcia i egzaminy skończyły się kilka tygodni wcześniej, postanowił zostać w Paryżu jeszcze przez jakiś czas i cieszyć się rozkoszami miasta w lecie, zanim uda się z rodziną na wybrzeże. Niemniej jego wakacje zostały gwałtownie przerwane tego rana, kiedy po nocy, z której pamiętał tylko skąpo ubrane tancerki i kilka kieliszków koniaku, dotarła do niego ta straszna wiadomość. Nie tracąc ani chwili na przebieranie się – nocą padł na łóżko w ubraniu – pobiegł na dworzec, żeby złapać pierwszy pociąg do Lyonu. Pięć godzin później był tam i zastanawiał się nad następnym krokiem. Nagle poczuł się wyczerpany.

Hrabina zaproponowała, żeby usiadł obok niej. Następnie zadzwoniła srebrnym dzwonkiem, a kiedy pojawiła się służąca, kazała przynieść kawy.

– Spróbuj zachować spokój – poradziła mu, czule klepiąc go po kolanie. – Na razie wiadomości są niejasne...

– Powstanie wygrało w Maroku! I przyłączyła się do niego znaczna część wojska w Hiszpanii! To zamach stanu!

– Ale zdaje się, że upadł w najważniejszych miastach: w Madrycie, Barcelonie, Bilbao, Walencji... rząd przetrwał.

Guillén spojrzał na nią w rozpacz.

– Ale w całym kraju są miejsca oporu! Hiszpania jest podzielona! Od dawna jest podzielona! A jeśli zamach się nie uda... – niemal zadrzał, wypowiadając następne słowa – będzie wojna domowa. Nie da się tego zatrzymać.

– Nie ma co się śpieszyć – mówiła dalej hrabina, starając się go uspokoić.

– Najlepiej będzie poczekać i zobaczyć, jak się to potoczy. Może się uda i wszystko skończy się na strachu...

Rozmowę przerwało nagle pojawienie się służącej. Kiedy wyszła, hrabina nalala kawy. Guillenowi trzęsły się ręce, kiedy sięgał po filiżankę, którą wychylił jednym haustem.

Nieco pokrzepiony, odważył się powiedzieć:

– Muszę jechać...

Chociaż Urszula się tego spodziewała, i tak była skonsternowana. I przeszła do obrony.

– Jechać? Po co?

– Tam jest moja rodzina. – „Tam jest Lena”, pomyślał jednocześnie, ale tego nie powiedział. – Będę musiał pomóc im wyjechać z kraju, jeśli wybuchnie wojna.

– Ale może nic się nie wydarzy, może wszystko wróci na swoje miejsce – przekonywała hrabina. – Już ci mówiłam, że najlepiej będzie poczekać.

– Nie, nie mogę czekać. Jeśli poczekam, może się okazać, że będzie za późno.

Zrozumiawszy, że przegrywa to starcie, hrabina zagrała kartą rozpacz, burząc ducha spokoju, którym miała zamiar opanować sytuację. Sama straciła zimną krew.

– Ależ to wojna, Guillenie! Czy ty nie zdajesz sobie z tego sprawy? Wojna to nie jest żadna gra ani przygoda! To okropne nieszczęście!... Użyjemy naszych kontaktów, żeby pomóc twojej rodzinie. Ty nie musisz się narażać.

Guillén nie wiedział, jak jej wyjaśnić, że problem jest znacznie bardziej skomplikowany. Nawet on sam nie potrafił jasno analizować tych spraw, opanować rozumem impulsu, który nim targał. Przemówił, bardziej improwizując, niż czerpiąc z własnego przekonania:

– Miałem wielkie szczęście... Dzięki pani, madame. Jestem uprzywilejowany i skorzystałem z najlepszych rzeczy, jakie może ofiarować ten naród, z możliwości, wykształcenia, wolności, postępu... Może republika nie jest rządem idealnym, ale w moim przekonaniu na pewno najlepszym. A jeśli to powstanie wygra, w Hiszpanii wrócimy do czasów nierówności, zacofania, do czasów kacyków... Nie mogę siedzieć z założonymi rękami. To mój kraj i chcę dla niego jak najlepiej. Muszę przynajmniej pojechać i zobaczyć na własne oczy, co się dzieje.

Urszula wiedziała, że nie ma sensu się sprzeciwiać. Ona sama zrobiła, co mogła, żeby wychować chłopaka zgodnie z wartościami i zasadami, w które ślepo wierzyła. I najwyraźniej to jej się udało. Przede wszystkim jednak była człowiekiem, była matką. Nie potrafiła wyzbyć się egoizmu. Zawstydzona i świadoma, że to będzie bezskuteczne, pochyliła głowę, aby wyznać szeptem:

– Straciłam już jednego syna na wojnie, nie chcę przez to przechodzić

jeszcze raz.

Spojrzenie Guillena rozplynęło się w czułości. Ta kobieta, potężna, odważna, zdecydowana, która równie dobrze natychmiast rozwiązywała problem strajku, co pewną ręką podpisywała milionowe interesy, po raz pierwszy wydała mu się słaba i krucha. Zawsze czuł wobec niej wdzięczność i podziw, ale w tamtej chwili poczuł również wielką miłość, taką samą, jaką obdarza się matkę. Był głęboko wzruszony tym, że ona naprawdę uważa go za syna. Gdyby nie respekt, jaki w nim wzbudzała, wziąłby ją, drobną i wątłą, w ramiona.

A jednak ujął tylko jej dłonie, zimne mimo panującego upału.

– Będę uważał, przyrzekam. I wrócę cały i zdrowy. Jestem pani to winien.

*

Lena mieszkała w Oviedo od dwóch lat. Przeniosła się do domu ciotek sama, opiekowała się nimi i była dla nich towarzystwem. Rok później, kiedy zamknięto linię kolejową kopalni, ojciec znalazł pracę w Renfe, na Estación Norte, więc do miasta przeprowadziła się cała rodzina i zajęła mały dom w osadzie kolejowej Argañosa, ale Lena została z ciotkami.

Podobało jej się życie w Oviedo. Było zupełnie inne od życia na wsi, gdzie nigdy nic się nie działo. Oviedo było miastem wielkim i ruchliwym, pełnym atrakcji i rozrywek, zwłaszcza jeśli miało się pieniądze.

Ciotki nie były może bogate, ale prowadziły wygodne życie. Jedna z nich, Encarnita, starsza, była bezdzietną wdową po leońskim hodowcy bydła, który wyjechał do Ameryki po tym, jak całe jego stado zdechło na jakąś chorobę; po powrocie z niewielką fortuną otworzył sklep nabiałowy na rynku Fontán, gdzie handlował śmietaną, masłem, mlekiem i serem pochodzącymi od małych lokalnych producentów z wiosek dookoła miasta. Przeszedłszy na emeryturę, już w słusznym wieku ożenił się z Encarnitą, której zapisał sklep w testamencie; sprzedając go, kobieta zapewniła sobie spokojną starość. Ciotki prowadziły proste życie: codzienna msza, spacer po parku, przekąska w ciastkarni Royalty i zarzuele z patefonu po skromnej kolacji. Od czasu do czasu chodziły na koncerty pieśni asturyjskich w teatrze Principado i do kina Salón Toreno na westerny Johna Forda. Lena bardzo lubiła te wyjścia z domu, a także niedzielne wyprawy do ogrodu zoologicznego na Campo de San Francisco. To oczywiste, że dbanie o ciotki, dwie starsze panie, które świetnie sobie same radziły i oczekiwały tylko miłości i towarzystwa, było zajęciem znacznie lżejszym niż zajmowanie się liczną rodziną w wiosce daleko w górach bez bieżącej wody i prądu. Miała nawet czas, żeby co drugi dzień chodzić na zajęcia z maszynopisania i z języka francuskiego.

Język francuski przywodził jej na myśl Guillena... Tak naprawdę to myślała

o Guillenie przez cały czas. Pisywała do niego niemal codziennie i równie często otrzymywała jego odpowiedzi; listy były smutnym wypełnieniem pustki. Każdy dzień spędzony z dala od Guillena utwierdzał Lenę w przekonaniu, jak bardzo jest w nim zakochana. Jak mogła nigdy wcześniej tego nie zauważyć? Paradoksalnie, teraz, kiedy była tak daleko od niego, czerwieniła się na myśl o nim, wzdychała, popadała w melancholię... miała najprzeróżniejsze objawy młodzieńczego zakochania rodem z romansideł. Wszystkie jej przyjaciółki tak jak ona czuły tę oszałamiającą eksplozję hormonów: każda wzdychała do modnego aktora – najlepiej amerykańskiego – którego urokowi uległa, oglądając jego najnowszy film; do torreadora, który świetnie wypadł na ostatniej korridzie, albo do tego chłopaka z dzielnicy o nieznanym imieniu, ale który uśmiechnął się do niej, przechodząc мимо. Lena nie musiała się chwycić miłości będącej raczej ideą niż rzeczywistością. Jej miłość była autentyczna, dotykalna, odwzajemniona i materializowała się w postaci codziennego listu. Wszystkie jej zazdrościły, że ma kogoś takiego jak Guillén.

Lena zawsze będzie wspominać te miesiące z nostalgią – ten czas, kiedy nie mogła sobie nawet wyobrazić, jak jej szczęśliwa, wolna od zmartwień i prosta egzystencja zacznie przypominać rejs statkiem, który wychodzi z portu w czasie pięknej pogody i płynie powoli w stronę sztormu.

Dowiedziała się o buncie żołnierzy w Afryce, czekając w kolejce w sklepie rybnym. Gdy słuchała rozmów i pełnych przygnębienia komentarzy zebranych tam kobiet, odniosła wrażenie, że Maurowie zaraz zaleją Hiszpanię, po drodze podrzynając gardła kobietom i dzieciom. Zrezygnowała więc z kupna sardynek i biegiem ruszyła do domu, gdzie zastała ciotki pakujące dobytek i wspominające ze łzami tragiczne zdarzenia sprzed lat, kiedy budynek trząsł się w posadach od wybuchów dynamitu w mieście, a z okien można było zobaczyć, jak ogień liże fasadę Banco Asturias i hotelu Covadonga i jak ludzie biegają przerażeni po ulicach, w tym wielu zalanych krwią. Nie, one nie chcą jeszcze raz przechodzić przez te mroczne chwile, w których hordy komunistów zasiały terror wśród porządnych ludzi w Oviedo. Wyjeżdżały do Leonu, do rodzinnej wioski nieboszczyka męża Encarnity; miejsca spokojnego i dalekiego od barbarzyństw rewolucji, w którym ciągle jeszcze miała mały dom. Lena postanowiła więc wrócić do rodziny.

Minęły dwa dni zamieszania i niepewności, plotek i spekulacji. Jak wszyscy, Lena z niepokojem wsłuchiwała się w biuletyny informacyjne. W barach, sklepach, warsztatach, fabrykach, domach... w każdym miejscu, w którym stało radio, ludzie gromadzili się dookoła niego i gorączkowo dyskutowali nad wydarzeniami. Niektórzy, jak jej ojciec, uważali, że to musi się skończyć wojną domową.

To prawda, że klimat napięcia w ostatnich miesiącach kazał przypuszczać, że

konflikt niebawem wybuchnie. Od chwili przeprowadzki Leny do Oviedo codziennie dochodziły informacje o starciach pomiędzy stronnikami różnych frakcji ideologicznych, nierzadko w biały dzień rozbrzmiewały strzały na ulicach. W jednej sytuacji ona sama znalazła się w niebezpieczeństwie i musiała schronić się w jakiejś bramie. Udało się jej dotrzeć do domu cało i zdrowo, ale była blada ze strachu. Nawet jej bracia, będący członkami Akcji Katolickiej, co tydzień bywali bici i obrzucani kamieniami przez grupki młodych komunistów, którzy na nich czekali przy wyjściu z centrum Świętego Jana, gdzie grywali w *parchís* i odmawiali różaniec.

Niedawno z Madrytu dotarła wiadomość o zamordowaniu porucznika Josego Castilla przez skrajnie prawicową bojówkę i deputowanego Calva Sotela przez bojówkę socjalistów. Zaostrzyło to tylko napięcie i brutalność.

Mimo wszystko Lena, jak większość optymistów, wołała myśleć, że będzie tak jak przy innych okazjach, kiedy krew nie popłynęła rzeką, że będzie to kolejna rewolucja, jak ta z roku 1934. Kiedy pucz zostanie stłumiony, wszystko wróci do normy. Powstanie wybuchło w Maroku, a Maroko jest przecież tak daleko...

W sumie nikt nie wiedział, co się dzieje w pozostałej części Hiszpanii. I stopniowo każdy zajmował wobec całego zamieszania konkretne stanowisko. Lena zaczęła się martwić, kiedy działacze socjalistyczni, anarchiści, komuniści opanowali ulice, uzbrojeni w pistolety, strzelby, a nawet karabiny. Tysiące niebieskich kombinezonów i czerwonych chust zalało miasto. Znakomita ich część wyruszyła do Madrytu, żeby bronić stolicy z okrzykiem: „Niech żyje rewolucja!”, „Niech żyje Rosja!” i „Śmierć burzujom!”. Niektórzy intonowali *Międzynarodówkę* ze wzniesionymi pięściami. Słysząc było ten zgiełk w jej domu, leżącym nieopodal dworca.

Dzień 19 lipca, niedziela, wstał wyjątkowo spokojny. Był to jednak bardzo niepokojący spokój, absolutnie nierzeczywisty. Poszła plotka, że rząd rozpuścił wojsko, żeby uniknąć jego przyłączenia się do puczu, i wydał rozkaz gubernatorom prowincji, żeby rozdali broń milicjom partyjnym. Oburzenie i panika ogarnęły zwolenników puczu, nawet tych, którzy opowiadali się wyłącznie za spokojem. Odnosiło się wrażenie, że rząd nie panuje nad sytuacją, i to wzbudzało nerwowość. Lena z rodziną udała się na mszę wcześniej rano. Potem mężczyźni zebrali się w barze, żeby napić się cydru. Ktoś zawołał: „Niech żyje Hiszpania!”, po czym zapanowała cisza podszyta wściekłością i hamowanym strachem – jak opowiadał ojciec, w czasie gdy kobiety przygotowywały obiad. W domu zdecydowano, że nazajutrz porządnie wyposażą spiżarnię, na wypadek tego, co mogło się wydarzyć.

Pozostała część dnia upłynęła leniwie. Ramón znów poszedł do baru. Balbina zabroniła chłopcom chodzenia do Akcji Katolickiej, więc zostali w domu i grali w karty, jakby nic się nie wydarzyło. Lena i Renata cerowały skarpetki. W domu nie było radia; wcale go nie potrzeba, stwierdziła raz Balbina. I miała

rację: szybko się dowiedzieli, że o 21.30 pułkownik Aranda, wojskowy komendant prowincji, zwrócił się przez Radio Asturias do ludności, żeby ogłosić swoją decyzję o zakończeniu okresu zbrodni przeciw demokracji i ojczyźnie. Na koniec wezwał wszystkich ochotników do chwycenia za broń w ich obronie.

Następnego dnia ukonstytuowała się grupa, która ogłosiła „stan wojenny”. Oviedo nie zgadzało się na powtórkę rewolucji 1934 roku i wobec braku działania rządu stanęło po stronie powstańców.

Lena, uwięziona w tłumie, który zalał plac Escandalera, ze wstrzymywanym oddechem i gęsią skórką wsłuchiwała się w te słowa, nie do końca rozumiejąc ich znaczenie. Ona nie przeżyła tragicznych wydarzeń rewolucji, chociaż słuchała ludzi opowiadających przerażające historie i widziała jej ślady ciągle obecne na budynkach, spalonych i zburzonych, których nie udało się odbudować. Ale wojna... Czy wojna nie była czymś znacznie gorszym?

W tej chwili pomyślała o Guillenie. Znowu. O tym, że jest tak daleko, o tym, czy wie, co się stało, czy będzie mogła dalej do niego pisać, czy jeszcze go zobaczy... I wtedy zapłakała, może po raz pierwszy świadoma tego, co się naprawdę dzieje.

Sierpień 1936

Guillén bardzo szybko miał pożałować swojej decyzji, ale nie mógł przewidzieć, że popełnia błąd. Chciał tylko jak najszybciej dostać się do Hiszpanii, bo sytuacja w jego kraju pogarszała się z minuty na minutę i przestał już dostawać listy od Leny i od reszty rodziny.

Zarezerwował bilet z Paryża do Hendaye, chociaż doszły go plotki, że niektóre pociągi są zatrzymywane na granicy i że jedynym sposobem na jej przekroczenie jest przejście pieszo, potajemnie. Nie miało to dla niego znaczenia, i tak czuł, że musi jechać, obawiał się tylko, że dotarcie do Oviedo zajmie mu wiele tygodni. Wtedy dowiedział się, że pewien pilot z Lyonu, który czasem oblatywał samoloty dla fabryki, polecą własnym samolotem do Barcelony, dokąd został wysłany jako korespondent przez dziennik „L’Intransigeant”. Kiedy znajdzie się na terenie Hiszpanii, z łatwością dotrze do Oviedo, pomyślał.

– Saint-Exupéry! Ten uparty szaleniec? Dopiero co rozbił samolot na Saharze, bo chciał pobić jakiś głupi rekord! I ty mówisz, że z nim polecisz? Kategorycznie ci zabraniam!

Na nic się zdały słabe protesty hrabiny na wieść o jego zamiarach. Dla niej każdy sposób na dostanie się do Hiszpanii w tej sytuacji był wyrazem zuchwałości, więc z marszu je skreślała.

Wystartowali w pogodny dzień, z niewielkim wiatrem i dobrą widocznością, niemal bez bagażu i przepełnieni niepewnością. Z góry patrzyli na wioski jak pająki, nieruchome na swojej pajęczynie. Nawet Pireneje, które pojawiły się jak zadrapanie na kobiercu ziemi, zdawały się ograniczać teatr dramatu. Z góry widać było tylko spokój. „Wydaje się niemożliwe, że tam w dole się zabijają!”, krzyknął pilot i pisarz w jednej osobie, próbując się przebić przez warkot silników. Guillén nic nie powiedział. Miał własną ideę wojny: płonące ulice, trupy na ziemi, pochody skulonych jeńców, bombowce i karetki, rozhisteryzowane kobiety, porzucone dzieci... Nieustający huk wystrzałów i eksplozji. Widmowy kraj w stanie szoku.

Zaskoczyły go ulice Barcelony i musiał zweryfikować swoje wyobrażenie o wojnie. W rzeczywistości wszystko wydawało się zaskakująco normalne: ulice pełne krzątających się przechodniów, spokojny ruch, kioski z prasą i obwoźni sprzedawcy, kawiarnie i ich stoliki w słońcu, i ten staruszek, który nie zrezygnował z codziennego spaceru i śmiało przechodzi przez jezdnię... Oczywiście widać było budynki w ruinie i samotne fasady, jakby zrobione z kartonu, a na wielu domach czarne języki niedawnego dymu. Wszak Barcelona właśnie przeżyła tygodnie walk na ulicach, aż antyfaszystowskiej milicji udało się zdusić rebelię i opanować miasto. Jednak wydawało się, że nic z tego nie wpłynęło na codzienne życie. Guillén czuł się tak, jakby tylko on zwracał uwagę na ciężarówki z uzbrojonymi

mężczyznami, wypisane na murach rewolucyjne hasła, kościoły zamienione na domy ludowe i banki na komitety regionalne, samochody skonfiskowane i opisane przez CNT, FAI¹ albo jakąś inną proletariacką organizację... To nie tak, że nie było wojny, tylko wojna stała się rutyną, rutyną omijania ruin i ignorowania luf karabinów, rutyną przeżycia.

Jego hotel znajdował się na Rambli, w pobliżu placu Cataluña. Gdyby nie ślady po kulach na fasadzie i grupka uzbrojonych milicjantów pilnujących wejścia, mogliby się czuć jak dwaj turyści odwiedzający miasto. Było to niepokojące.

Kiedy znalazł się w samotności pokoju, w półmroku – poradzono mu, żeby nie otwierał okiennic – odwiesił kilka koszul do szafy i usiadł na skraju łóżka. Był już w Hiszpanii, ale wciąż znajdował się wiele kilometrów od rodziny, a jednocześnie z dala od bezpieczeństwa domu w Lyonie. I co teraz?

Zjedli wczesną kolację w hotelowej restauracji. Było to ciekawe miejsce. Przetrwały tam wprawdzie resztki dawnej świetności: tapety, gipsowe dekoracje i kryształowe żyrandole, jednak krzesła i stoły były niewygodne, a zastawa mogła zostać wyciągnięta z dowolnej szkolnej stołówki. Ktoś starał się przykryć luksus – przestępstwo w owym czasie.

Zajęli stolik pośród ludzi rozmawiających półgłosem; wszyscy wydawali się korespondentami zagranicznej prasy, brakowało tylko małych flag na stołach. Saint-Exupéry okazał się znakomitym towarzystwem, przyjemnym człowiekiem, z którym świetnie się rozmawiało i który sypał jak z rękawa anegdotami z podróży lotniczych po świecie – fascynacja lotnictwem była czymś, co ich łączyło.

Kiedy jedli deser – zwykłą pomarańczę pokrojoną w plastry, którą celowo zepsuto cukrową posypką – podszedł do nich człowiek około trzydziestoletni, wysoki, chudy, o wielkim nosie, a jego blond, niemal białe włosy kazały przypuszczać, że nie jest Hiszpanem.

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale usłyszałem, że mówią panowie po francusku. Czasem jest to miłe, kiedy jest się za granicą... Jesteście panowie Francuzami?

– Przyjechaliśmy z Francji. Antoine de Saint-Exupéry – przedstawił się lotnik. – I mój kolega Guillén Álvarez. Adoptowany Hiszpan – dodał, zauważywszy, że rozmówca jest zaskoczony. – To dość skomplikowana historia.

– Bardzo mi miło, panowie. Nazywam się Étienne Eglert. I nie jestem Francuzem, tylko Belgiem. – Uśmiechnął się filuternie, podając im rękę.

Saint-Exupéry poprosił, by się dosiadł, i przywołał kelnera, żeby zamówić kawę dla całej trójki.

– Proszę nam powiedzieć, monsieur Eglert, co porabia Belg w tym... niespokojnym mieście? – zagadnął Antoine.

Przybysz wyciągnął papierośnicę i poczęstował ich, a zapaliwszy papierosa,

odpowiedział:

– Jestem dziennikarzem, jak większość tutaj. Ale w odróżnieniu od nich to nie wojna mnie zwabiła do Barcelony, tylko Olimpiada Ludowa. Pracuję dla „Le Soir” i wysłano mnie na początku lipca, żebym pisał o tym wydarzeniu, ale nigdy nie udało mi się opublikować na ten temat żadnego artykułu...

– Olimpiada Ludowa? – Guillén słyszał jedynie o tej olimpiadzie, która odbyła się w Berlinie.

Eglert przytaknął.

– Zorganizowano ją jako odpowiedź na olimpiadę Hitlera. Miały to być igrzyska robotnicze i antyfaszystowskie, ale dwa dni przed ich inauguracją wybuchło powstanie, więc trzeba było zawiesić rozgrywki. Ja postanowiłem zostać. Wielu uczestników zaciągnęło się na ochotnika do walki z faszyzmem, poparło lud Barcelony w tym zamieszaniu. Mam zamiar dać świadectwo tego, co tu się dzieje, przekazać reszcie Europy, jak dzielnie walczą ci mężczyźni i kobiety i nie pozwalają, żeby barbarzyństwo opanowało republikę. Reszta świata musi się dowiedzieć, że jeśli pozwolimy, aby powstańcy tu zwyciężyli, damy krok wstecz w zakresie praw i wolności, będziemy się cofać przed katolicką, opresyjną burżuazją i przyzwolimy na to, żeby wcześniej czy później ten wirus się rozprzestrzenił. Niemcy, Włochy, Hiszpania... Kto będzie następny? – Belg popił łyk kawy i strzepnął popiół z papierosa. – Przepraszam... Nie podszedłem do panów, żeby wygłaszać pogadankę polityczną. Czasem daję się ponieść pasji. Bo co, jak nie pasja, każe nam podnieść pięść przeciw niesprawiedliwości?

– Dobrze jest mieć ideały – zauważył Antoine. – Wszyscy, którzy tu siedzimy, mamy je, takie czy inne. Ja także jestem korespondentem, ale zamierzam dać świadectwo polityczne i ludzkie konfliktu.

Eglert gorzko się uśmiechnął.

– W takim razie, monsieur Saint-Exupéry, znajdzie pan tu dość materiału do swoich artykułów. To nie jest tylko wojna, to również rewolucja, więc dramatów ludzkich nie brakuje.

Zaległa cisza. Guillén, z oczami utkwionymi w czarną kawę, poczuł, że spojrzenia obu mężczyzn zwróciły się na niego. „Wszyscy, którzy tu siedzimy, mamy ideały”, stwierdził Saint-Exupéry. I Guillén zagubił się w myślach na ten temat. Czy on je ma? Musiał przyznać, że bardziej był zainteresowany budowaniem siebie jako człowieka wykorzystującego okazje i dobrze sytuowanego niż jakimikolwiek ideałami. A może to jego ideały zderzały się z otoczeniem i uznał, że lepiej zostawić je na uboczu. Kiedy był robotnikiem w fabryce samolotów, nasłuchiwał się o tyranii kapitału, o wyzyskiwaniu proletariatu, o zaniżaniu wartości pracy... Zetknął się ze związkami zawodowymi i wysłuchiwał ich żądań. A jednak myślał, że nie były całkowicie sprawiedliwe, przynajmniej w konkretnym przypadku tych robotników, gdyż hrabina, jak na właściciela

fabryki, miała wysokie poczucie sprawiedliwości społecznej, więc traktowała dobrze wszystkich swoich pracowników; od jakiegoś czasu w przedsiębiorstwach rodziny robotnicy korzystali z płatnych urlopów i nadgodzin, otrzymywali też dodatki socjalne i mieli zagwarantowaną pensję minimalną – zdobycze, które z inicjatywy rządu stały się powszechne we Francji dopiero przed miesiącem. W czasie studiów przeczytał *Kapitał* i poszedł na kilka wieców z Maurice'em Thorezem i innymi komunistycznymi przywódcami, zanęcony ich społecznymi propozycjami. Cokolwiek by mówić, na własnej skórze doświadczył nędzy i wykluczenia. Jego matka była tylko jednym przykładem: zostawiła część swojego życia w pralni i wielokrotnie nie było ich stać na trzy posiłki dziennie. Z pochodzenia należał do klasy robotniczej, rozumiał i podzielał wiele z jej żądań, ale nie zgadzał się z postulatami padającymi na tych wiecach: mówiono o zniesieniu własności prywatnej i płaceniu każdemu wedle jego potrzeb, o podporządkowaniu jednostki dobru wspólnemu. Gdzie w takim razie ambicja, żeby stać się kimś więcej i mieć więcej, która jego pchała do przodu? Czasem myślał o wstąpieniu do którejś z partii robotniczych, jako jeden z tej klasy... To były tylko myśli... Nie wiedział tak do końca, do której klasy należy. W sumie wszystko sprowadzało się do osobistego sumienia: działać tak, żeby nie ucierpiało sumienie, a nie tak, jak partia, klasa społeczna albo religia każą.

– A pan, panie Álvarez? – zapytał z zainteresowaniem monsieur Eglert, człowiek o niezaspokojonej ciekawości.

– Ja szukam swojej rodziny – odpowiedział lakonicznie Guillén; nie miał ochoty dzielić się ideologicznymi wątpliwościami z nieznanym Belgiem.

Dziennikarz najwyraźniej oczekiwał więcej informacji, lecz Guillén spokojnie palił dalej, jakby sprawa go nie dotyczyła.

– A wie pan, gdzie ona może być?

– Byli w Asturii, ale nie miałem od nich wiadomości, od kiedy to wszystko się zaczęło – odpowiedział niechętnie.

– W Asturii? Ależ to po drugiej stronie kraju!

Cholerny mądrała, pomyślał Guillén. Może jeszcze będzie mu dawał lekcje geografii?

– Wiem. – Strzepnął lekceważąco popiół. – Ale tylko w tym miejscu mogłem się dostać do kraju, a teraz mam zamiar udać się w podróż... na drugi jego koniec – powtórzył z sarkazmem.

Eglert pokręcił głową.

– No to ma pan kłopot... Rebelianci podzielili kraj na pół. Nie uda się panu dotrzeć na północ, bo środek kraju jest opanowany przez faszystów.

Ta wiadomość podziałała na Guillena jak kubeł zimnej wody. Pod wpływem słów wszytkowiedzącego Belga jego pewność siebie w jednej chwili się rozwiała.

– Ale musi istnieć jakiś sposób, żeby się przedostać...

– Wie pan, pomiędzy Huescą i Badajoz można wykreślić krętą linię frontu – zauważył Eglert, zygzakiem przesuając palcem po obrusie. – Wzdłuż tej linii wszelka komunikacja jest przerwana. A to oznacza, że nie przedostanie się pan stąd na północ. Można oczywiście zaryzykować, ale to jest bardzo niebezpieczne. Jeśli pana złapią, to rozstrzelają. Chyba że okaże się pan jednym z nich, faszystą, albo ich stronnikiem... – dodał złośliwie.

– Nie jestem jednym z nich! Nie jestem po niczyjej stronie! – zaprotestował Guillén, czując się atakowany bez powodu.

Eglert pokręcił głową.

– Słuchaj, przyjacielu, w tej wojnie lepiej być po którejś ze stron, bo jak nie, ktoś w końcu cię zabije, myśląc, że jesteś z tymi drugimi. I chce pan przejść przez obie strefy? No to ciekawe, jak wyjaśni pan władzom, żeby wydały dokument, że nie jest pan za żadną ze stron...

– Ale nie jestem! Chcę tylko odnaleźć swoją rodzinę, już to mówiłem!

Guillén odnosił wrażenie, że podniósł głos bardziej, niżby sobie tego życzył; sala nagle pograżyła się w milczeniu. Zaczął się denerwować. Czuł, jak zimny pot spływa mu po plecach i jak zbiera się na brzuchu.

Saint-Exupéry nie wtrącał się aż do tamtej chwili, bo to nie była jego sprawa, ale cała sytuacja zaczynała go już nużyć.

– Nie rozumiem, skąd w panu ta potrzeba atakowania, monsieur Eglert. Jeśli przysiadł się pan, żeby nas nękać, lepiej, żeby zmienił pan stolik.

Belg szybko przeprosił. Naprawdę nie miał zamiaru nikomu psuć humoru. Uważał siebie za człowieka ciekawskiego, więc czasem stawał się natrętny; lubił wypowiadać swoje zdanie na każdy temat i często nie szanował granic. A jednak nie miał złych zamiarów. Nauczył się, że w tych niespokojnych czasach lepiej być ostrożnym. I nie miał problemu, żeby to przyznać.

– Proszę o wybaczenie. Nie chciałem panów niepokoić. Czasem coś chlapnę ozorem... Chciałem tylko panu pomóc, panie Álvarez, zapewniam. Tak naprawdę pańska sprawa w ogóle nie powinna mnie interesować. Czasem gubi mnie ciekawość; jak sądzę, to skrzywienie zawodowe. – Wzruszył ramionami jak dziecko. – Przykro mi, naprawdę.

Guillén się rozluźnił.

– Nie ma o czym mówić... Pewnie wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani...

– Proszę pana, jutro udaję się do koszar Bakunina. Tam rekrutuje się ochotników na front. Może się zaciągnę... Chcę zobaczyć, jak to wygląda na pierwszej linii. Mówię to, bo mógłby pan pójść ze mną. Ci ludzie są najlepiej poinformowani, może będą w stanie wskazać jakiś sposób, żeby przedostać się na północ.

Guillén zastanowił się przez chwilę nad tą propozycją. Kompletnie nie

wiedział, co robić, a Belg przynajmniej podsunął mu jakiś pomysł. Ten wścibski człowiek zdecydowanie nie należał do jego ulubieńców, ale...

– Tak... Tak, pójdę z panem. Bardzo dziękuję.

Przenieśli się na taras kawiarni przed hotelem, pod podartą markizę i lampę bez klosza. Noc była ciepła, chociaż lekki wiatr znad morza ochładzał powietrze. Nikt nie miał ochoty na zamykanie się w hotelowym pokoju, przynajmniej nie do godziny policyjnej. I większość barcelończyków pewnie podzielała to zdanie, bo ulice były pełne ludzi: spacerujących, tłoczących się w barach i tawernach albo zwyczajnie gawędzących i palących papierosy na ławkach.

Zamówili biber, równie mocny, co niedobry. Guillén miał tylko nadzieję, że szybko uderzy mu do głowy. Saint-Exupéry i Eglert cały czas rozmawiali – obaj byli bardzo gadatliwi. On dla odmiany siedział w milczeniu, nieobecny duchem, przezuwając swą nieszczęsną sytuację i zalewając ją bimbrem.

Chwilami wszystko wydawało się dziwacznie normalne. Poza sytuacją, kiedy pojawił się milicjant taszczący wielki fotel z pozłacanego drewna i czerwonego aksamitu. Guillenowi przyszło do głowy, że alkohol zaczyna robić swoje; ale nie, tak naprawdę chodziło o łup wojenny, komiczny i nadzwyczajny.

Groteska zaraz się skończyła, kiedy kilku mężczyzn z bronią przeszło pośród stolików i wycelowało w jakiegoś samotnego człowieka. Przeszukali go, wyciągnęli przepocone papiery z kieszeni jego marynarki, na które ledwie rzucili okiem, po czym zabrali go i poprowadzili ulicą, karabinem dźgając nieszczęśnika po nerkach.

– Faszysta – wymamrotał Eglert beznamiętnie. Następnie pociągnął łyk i wrócił do rozmowy w tym samym miejscu, w którym ją przerwał.

To było szaleństwo. Guillenowi żołądek podszedł do gardła, nie mógł zachować obojętności. Zostawił towarzystwo i wrócił do swojego pokoju.

Leżąc w obcym łóżku, myślał tylko o Lenie. Jakie nieszczęścia mogły na nią spaść na drugim końcu kraju? Te rozważania go przygnębiały. Musiał się do niej dostać. Chwyci za broń, jeśli będzie trzeba. W tych czasach wszyscy to robią, żeby bronić tej czy tamtej sprawy. A jego sprawą jest Lena.

*

Kiedy anarchiści zdobyli koszary piechoty Pedralbes, od razu nadali im imię Bakunina i wciągnęli na maszt flagę CNT. To tam zainstalowała się część Komitetu Milicji Antyfaszystowskich, stamtąd wyszły pierwsze kolumny bojowników na front aragoński dowodzone przez Buenaventurę Durrutiego i innych liderów anarchistycznych i to tam rekrutowało się i szybko szkoliło ochotników do nowych kolumn wsparcia. Te kolumny szerzyły libertarianizm

wszędzie, gdzie przeszły.

Po drodze do koszar Eglert opowiedział Guillenowi, że ma zamiar przyłączyć się do jednej z nich. Powtórzył mu swoim propagandowym tonem potrzebę odsunięcia faszystowskich oligarchów, łotrów niewolących robotników. Jego słowa przypominały mu te przemówienia przewodniczących związków zawodowych w fabryce podczas strajków. Zawsze go zaskakiwał sposób, w jaki hrabina stawiała im czoło. Bez wątpienia miała jaja... Hrabina, ta sama, która nie znosiła faszyzmu i odżegnywała się od wojny w Hiszpanii. Po której opowiedziałyby się stronie? Jakże irytowali Guillena ludzie postrzegający wszystko w kategoriach czerni i bieli...

Koszary Bakunina wyglądały jak biały zamek zbudowany z klocków. Wokoło kręciły się grupki entuzjastycznie nastawionej młodzieży z czarno-czerwonymi chustami na szyi – jedynym elementem, który ich wszystkich łączył. Najbardziej jednak zwracały uwagę pojazdy okryte nieforemnym pancerzem, z napisem „CNT–FAI”, stojące na przyległych podwórkach.

Zagadnęli sierżanta na warcie, gdzie znajduje się biuro werbunkowe. To oczywiście: tam, gdzie stoi kolejka młodych ludzi.

– Tak naprawdę nie chcę iść do biura werbunkowego. Potrzebuję informacji, jakiegoś papieru – protestował Guillén, przemierzając za Eglertem dziedziniec, na którym panowało duże zamieszanie.

Belg wznosił ręce do nieba.

– Myślał pan, że przyjdziemy tu i wszystko samo się załatwi... Nawet oni nie wiedzą, jak to działa. Ważne jest, żeby z kimś porozmawiać, bez względu na to, z jakiego będzie biura, proszę mi uwierzyć. Poza tym nie miał pan zamiaru zaciągnąć się na ochotnika? Twierdzi pan, że nie jest faszystą, a zatem najlepszym sposobem na pomoc pańskiej rodzinie będzie dołożenie się do tego, żeby ta wojna szybko się skończyła, nie uważa pan?

Ponieważ ten człowiek wciąż wtrącał się w jego życie, Guillenowi przychodziły do głowy tylko dwa rozwiązania: albo ordynarnie odesłać go do diabła, albo go ignorować. Wybrał tę drugą możliwość i siedł za nim w chmurach pyłu wznoszonego przez dwukolorowe buty.

Po dłuższym oczekiwaniu w bezlitosnym słońcu i lepkiem upale weszli do biura równie dusznego, ale przynajmniej zacienionego. Było to niewielkie pomieszczenie z okienkiem przy suficie, przez które nie wpadało ani powietrze, ani słońce. Dwa stoliki, kilka krzeseł, stukanie maszyny do pisania i flagi oraz plakaty propagandowe CNT w miejscach, gdzie wcześniej wisiały insygnia wojskowe. Personel składał się z maszynisty, dwóch mężczyzn za stołem (zaskakujące było to, że jeden z nich nosił krawat – rzadki widok od chwili, gdy Guillén przyleciał do Barcelony; faszysta, którego wyprowadzano z baru poprzedniego dnia, również miał krawat) i jeszcze jednego, z twarzą przysłoniętą czapką, który palił papierosa

oparty o ścianę pod czerwono-czarną flagą.

Eglert od razu przedstawił dokumenty potwierdzające, że jest członkiem CIDA, Comité International de Défense des Anarchistes, belgijskiej organizacji anarchistycznej. Od tamtej chwili wszystko zaczęło się kręcić wokół dziennikarza. Spisali jego dane i natychmiast został wciągnięty na listę.

– A ty? Masz dokument jakiejś partii albo organizacji?

Guillén zaczął się jąkać:

– Nie... Ja nie...

– Nazwisko.

– Nie... Znaczy się... Ja tylko potrzebuję informacji...

Facet uniósł wzrok, jego mina wskazywała na mieszkankę rozbawienia i cierpliwości.

– Informacji, co? Wydaje ci się, że to jakieś ministerstwo czy jak, młody? Chcesz zostać ochotnikiem czy przyszedłeś tu tylko zabierać mi czas?

– No... ja...

– Podasz mi wreszcie imię i nazwisko?

– Pan Guillén Álvarez – pospieszył z informacją Eglert, zanim on sam zdołał temu zapobiec.

Miał ochotę złapać tego cholernego Belga i wykopać go stamtąd, ale zdążył jedynie spiorunować go wzrokiem, nim jeden z milicjantów zakpił:

– A więc „pan”. – Wpatrywał się otwarcie w jego szwajcarski zegarek z bransoletką, podczas gdy reszta wybuchła śmiechem. – Że nie jesteś panią, to widać od razu, poza tym tutaj nikt nie jest niczym panem, nie zapominaj o tym. Álvarez, a jak dalej?

– Ale ja nie chcę...

– Nie chcesz się zaciągnąć? Nie chcesz walczyć z tyranami? Oddać życia za rewolucję? Jesteś faszystą czy tchórzem?

Przez chwilę Guillén myślał, że dalej kpi sobie z niego, ale mężczyzna sięgnął do kabury wiszącej na koalicyjce.

– Nie o to chodzi...

– No dobrze, Guillenie Álvarez... co jeszcze?

Chłopak westchnął i czując się przyparty do muru, wycedził przez zęby nazwisko matki. Zadawał sobie pytanie, jak się to wszystko skończy, w której chwili uda mu się to zatrzymać.

Wtedy facet pałący pod flagą, który śledził z uwagą tę żywą wymianę zdań, podszedł do człowieka z pistoletem i powiedział mu coś na ucho. Następnie wyszedł z sali. Milicjant znowu zwrócił się do Guillena.

– Siadaj tutaj – rozkazał mu sucho, wskazując ołówkiem krzesło w kącie.

– Słucham?

– Siadaj tam i czekaj.

– Ale...

– Żadne ale, bez gadania. Chyba że chcesz, żebym cię zaprowadził pod broń do tego cholernego krzesła. Kurwa, cholery można dostać....

Zbity z tropu i przestraszony nie odważył się dalej przeciągać struny, w każdym razie nie w koszarach Bakunina, z trzema uzbrojonymi anarchistami, którzy nie spuszczały z niego wzroku. Szczerze znienawidził Eglerta za to, że wpakował go w tę kabałę.

– A ja? – zagadnął Belg.

– Też chciałbym wiedzieć, co ty tu jeszcze, kurwa, robisz? Do intendenty, niech ci wydadzą ekwipunek... Następny!

Guillén poczuł ulgę, patrząc, jak Eglert znika za drzwiami. Może teraz się uspokoją i będzie mógł im wyjaśnić, na czym polega nieporozumienie. Gdyby miał dokument mówiący: „Nie jestem faszystą”! Ale to wszystko było absurdalne. Oczywiście im dłużej siedział na krześle, tym stawał się bardziej nerwowy. Spojrzał na okienko; odniósł wrażenie, że wpadający przez nie kurz wypełnia i tak już gęste powietrze. Rozpiął jeszcze jeden guzik koszuli i wierzchem dłoni otarł sobie pot z czoła. Dlaczego go tu zatrzymali?

Zapisałi jeszcze czterech ochotników. Był już na skraju hysterii, chciał krzykiem zażądać wyjaśnień, kiedy podeszła do niego kobieta ubrana w niebieski kombinezon, z karabinem na ramieniu. Z kamienną twarzą (szkoda, mogłaby być ładna, gdyby tylko się uśmiechnęła) kazała mu iść za sobą.

– Dokąd idziemy?

Ona, wpatrzona przed siebie, nawet mu nie odpowiedziała.

Weszli po schodach, pokonali korytarz i zatrzymali się przed zamkniętym gabinetem. Dziewczyna szybko zastukała do drzwi, pchnęła je i wpuściła go do środka.

Guillén zmieszany spojrzał na tego samego mężczyznę, który palił papierosa w biurze werbunkowym. Teraz palił tutaj, za biurkiem, i wstał z miejsca. Bez czapki widać było ostre i poorane przez czas rysy jego twarzy, która jednak wciąż była atrakcyjna. Był wysoki i dobrze zbudowany, ale nie tak jak Guillén. Także miał na sobie niebieski kombinezon, koalicijkę na piersi i broń za pasem. Tego dnia się nie ogolił.

– Czy może mi pan wyjaśnić, co się tutaj dzieje? – zwrócił się do niego Guillén, starając się kontrolować gniew i nerwy.

Mężczyzna przyjrzał mu się dokładnie. Z jego twarzy nie można było wyczytać żadnych emocji; co najwyżej ciekawość. Guillén poczuł się obserwowany.

– Tak, tak, mogę – odpowiedział, po czym wyciągnął do niego paczkę papierosów.

Rzeczywiście potrzebował papierosa. Zapalił go niemal z łapczywością

i uspokoił się nieco po pierwszym hańsieniu dymu.

– A więc Guillén Álvarez... – powtórzył mężczyzna.

– Chce pan powiedzieć, że moje nazwisko jest przestępstwem? – rzucił zadziornie.

Tamten roześmiał się głośno.

– Przestępstwem? Co to za okropne słowo... Co za dyscyplina.... Gdyby nie twoje drugie nazwisko... To prawda, że Guillén to nie jest popularne imię. Ona tak chciała... Zawsze miała wielkopańskie fanaberie...

Ten facet był wariatem, musiał nim być. A to czyniło go niebezpiecznym. Guillén odwrócił się do drzwi, pragnąc stamtąd wyjść.

– I ta blizna... Tak, tak, ta nad brwiami. Została ci po tym, jak próbowałeś strzelać z procy do tyłu. O tak, nad ramieniem. Ciekawy pomysł... Co za durny dzieciak...

Guillén uniósł drżącą rękę do czoła. Nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

– Skąd... skąd pan to wszystko wie?

Mężczyzna uśmiechnął się obojętnie.

– Bo jesteś moim synem.

Melchor Pardo właśnie skończył dwadzieścia lat, kiedy poznał Balbinę. W tamtym czasie jego głównym zajęciem było podsycanie ideologii: wiece i tajne zebrania, roznoszenie ulotek, intrygi i ogólnie konspiracja... Wiele godzin w tawernach. I od czasu do czasu jakaś chałtura murarska, tyle ile było trzeba, żeby starczyło na kawę z wódką z rana i na pensjonat (nie miał domu, nie miał go od dwunastego roku życia, kiedy zmarła jego matka; co do ojca, kto to może wiedzieć?). Balbina była córką pracownika Banco de España: pewny pieniądz i mieszkanie przy ulicy Santa Engracia. Panienska ucząca się kroju i szycia u salezjanek, oczko w głowie tatusia, bo chociaż miał jeszcze jedną córkę, Manolitę, biedaczka została skazana na wózek inwalidzki w wieku lat czterech, kiedy zapadła na polio. Balbina miała w sobie dużo współczucia i chrześcijańskiego miłosierdzia, bez wątpienia wpojonych przez matkę, dewotkę pierwszej klasy. Dlatego codziennie chodziła do przytułku dla ubogich przy ulicy Josego Abasala, żeby posiedzieć przy chorych, wyprać, pocerować i wyprasować pościel. Schodziła Balbina w dół ulicą Santa Engracia o piątej po południu w filcowym kapelusiku, drobnymi i ostrożnymi kroczkami, kołysząc biodrami bardziej, niżby chciała, gdyby zwróciła na to uwagę. Dziesięć minut później przechodziła przed barem Casa Zayas, gdzie Melchor wypijał kilka szklanek wina i rozgrywał kilka partyjek domina z towarzyszymi, zawsze przy tym samym stoliku pod oknem. Nie potrafił powiedzieć, jak to się stało, że zwrócił na nią uwagę, ale stopniowo, widząc ją co dzień po drugiej stronie okna, nabrał przekonania, że pod tym kapelusikiem i za tymi drobnymi krokami skrywa się zmysłowość godna

Lilith. Któregoś dnia ją zaczepił, z uśmiechem i eleganckimi słowami. Balbina zignorowała go, gdyż była dziewczyną bardzo roztrofną. Nie była jednak w stanie przestać myśleć o tym impulsywnym chłopaku. Następnego dnia odpowiedziała mu uśmiechem. Trzeciego dnia pozwoliła się odprowadzić do rogu ulicy. Czwartego była już pewna, że jest zakochana, mimo że uważała siebie za osobę pełną rezerwy. Melchor bez wątpienia nie był kawalerem, którego mogłaby przedstawić rodzicom, ale był wysoki, silny i dobrze się prezentował, bardzo przystojny; miał miły dla ucha głos, był uważny i dobrze wychowany, i zawsze przynosił jej ciasteczka cyrnonowe, gdy czekał na nią przed drzwiami przytułku. Po trzech miesiącach kochali się pod murem Casa de Campo. Balbina, ta dziewczyna w filcowym kapelusiku, naprawdę cechowała się zmysłowością Lilith i inteligencją wystarczającą, żeby zrozumieć, że jej współczucie i chrześcijańskie miłosierdzie mają wiele wspólnego z ideą sprawiedliwości społecznej Melchora, tyle że to nie była idea zniewalająca. I chociaż musiała chodzić z matką na mszę, przestała się spowiadać, przystępować do komunii, modlić się wieczorami i odwiedzać przytułek. Zamiast tego towarzyszyła Melchorowi w zebraniach. Tymczasem chłopak przeplatał akcje protestacyjne i sabotaż, uciezki przed policją i noce spędzone na komisariacie ze słodyczą ciała Balbiny. Aż dziewczyna zaszła w ciążę. Wtedy pokłócili się po raz pierwszy: ona była gotowa urodzić to dziecko. On na nią krzyczał, przeklinał ją, groził jej... Jednak bezskutecznie, bo ona była bardzo uparta; porzuciła dom rodzinny, przekonana, że i tak zostanie z niego wyrzucona, i stanęła z walizką przed drzwiami Melchora. On pozwolił jej zostać, bo miał znacznie poważniejsze problemy na głowie. Często wyjeżdżał: Barcelona, Gijón, Saragossa... Wplątał się w coś poważnego. Balbina dowiedziała się tego od policji: Melchor wraz z innymi terrorystami napadli na bank, w strzelaninie zginął dyrektor oddziału. Złapali go. I Melchor Pardo w więzieniu dowiedział się, że ma syna.

Usłyszawszy to wyznanie, Guillén w pierwszym odruchu chciał zwyzywać mężczyznę, odwrócić się na pięcie i odejść tam, skąd przyszedł. Ale z jakiegoś dziwnego powodu, może z ciekawości, usiadł, żeby wysłuchać jego historii do końca.

– Przypuszczam, że pamiętasz, co się wydarzyło potem... Przecież nie byłeś znowu taki mały. Staralem się. Staralem się być ojcem, prowadzić normalne życie. Ale... ja się do tego nie nadaję. I powiedziałem to twojej matce, ona jednak nie chciała o tym słyszeć. Mój żywioł to rzeczy wyższe, walka, rewolucja...

– I bicie jej po twarzy... Bardzo to szlachetne, naprawdę... – Guillén nie mógł się pohamować.

Melchor, zmieszany, podrapał się po karku.

– Kilka razy mnie poniosło, to prawda... Nie przeczę. – Wydawał się skruszony. – Ale to były ciężkie czasy. Więzienie cię naznacza, rozumiesz? Robi

z ciebie gorszego człowieka... A ja piłem... Ona chciała, żebym był człowiekiem, którym nie mogłem być!

– Odpowiedzialnym ojcem? Partnerem, który by ją kochał? – rzucił Guillén sarkastycznie.

– Staralem się... Przysięgam, że się starałem... I wydawało mi się, że jestem w stanie to zrobić, ale... sytuacja robiła się coraz trudniejsza... Nie odszedłem ot tak sobie, byłem zmuszony wyjechać z kraju, w przeciwnym razie czekała mnie kara śmierci. Argentyna, Chile, Francja, Belgia... wiecznie prześladowany i dziesiątki razy uwięziony. Dopiero dwa lata temu mogłem wrócić do Hiszpanii! Jakim byłbym ojcem? Nigdy jej nie okłamywałem, nigdy nie obiecałem jej nic innego... Ona zawsze wiedziała, jakie są moje priorytety.

Guillén westchnął. Uznał, że ma już dosyć. Ta zdumiewająca sytuacja do niczego nie prowadziła, była zwykłą stratą czasu. A nie mógł sobie pozwolić na stratę jeszcze choćby sekundy z tym człowiekiem, który okazał się jego biologicznym ojcem. Dla niego był kimś zupełnie obcym, a historia jego egoizmu mogła tylko oburzać.

Wstał.

– Muszę już iść.

Melchor podszedł do niego.

– Czekaj... Zjedźmy razem obiad...

– Nie, ja naprawdę...

– Powiedziałeś w biurze, że potrzebujesz wiadomości. Może zdołam ci pomóc...

Guillén zawahał się.

– Daj mi szansę... szansę na zrobienie czegoś... dla ciebie... W tych dniach śmierć staje się dziwną towarzyszką – zapewnił Melchor, klepiąc pistolet – i porusza sumienia swoimi milczącymi przemowami... Pozwól mi wyrwać chociaż jeden cierń...

Naprzeciwko koszar był bar, dziura śmierdząca trocinami i skisłym piwem. Podali im jednak chleb *tumaca*, kielbasę i zupę jarzynową, wszystko to podlane dość dobrym winem i osłodzone bakaliami z gałką muszkatołową. Z jakiegoś powodu towarzysz Pardo, którego przywitano szybkimi uściskami dłoni, miał klucze do spiżarni w tym lokalu.

Podczas krótkiej drogi z koszar Guillén zobaczył entuzjazm, jaki ten mężczyzna wzbudzał w mijanych ludziach: pozdrowienia, radosne powitania, przemowy... Nie wiedział, że Melchor Pardo jest bardzo ważnym członkiem organizacji, legendą, przykładem dla młodszych, wśród których samo wspomnienie jego imienia obok Durrutiego, Ascasa, Jovera i innych anarchistów roznieca ducha walki.

– Cieszy widok tylu ludzi, mężczyzn i kobiet, poświęcających się sprawie – zauważył. – Powiem ci, Guillenie, że jeśli możemy za coś podziękować tym skurwysyńskim faszystom, to za to, że oczyścili nam drogę do rewolucji... To nie byłoby możliwe albo droga byłaby znacznie dłuższa, gdyby oni nie chwycili za broń. Żeby zbudować, najpierw trzeba zburzyć... Teraz nadeszła chwila budowy. Wszystkie te kolumny odważnych ludzi wyruszających do Aragonii i Madrytu po drodze wprowadzają komunizm anarchistyczny: kolektywizuje się fabryki, ziemie, nawet niewielkie sklepy; nikt nie jest niczym szefem, nie ma już pasożytów korzystających z cudzej pracy, tylko pracuje się i produkuje dla społeczności, prawdziwej komuny... A powtarzali, że to jest niemożliwe, że to jest utopia! – Śmiał się, mówiąc to. Jednak nagle jego entuzjazm się rozwiął. – No dobrze, najpierw trzeba wygrać wojnę...

Guillén musiał w duchu przyznać, że ta krótka przemowa wyjaśniała więcej niż wywody teoretyków uprawiających politykę na fotelu w domu. Jednak nic nie powiedział na ten temat. Dalej patrzył pod nogi. Oczywiście Melchor Pardo nie zgadzał się na to milczenie.

– A ty? Co ty o tym wszystkim sądzisz?

– Tak naprawdę niewiele... To wszystko nie jest dla mnie takie oczywiste jak dla pana. Nie lubię etykietek.

– Ale chłopaku, w tym świecie trzeba się opowiedzieć po którejś stronie. Po lewicy albo po prawicy; czerwony, biały; kościelny, ateista... Wszystko jedno. Niezdecydowani są tylko tchórze, a nikt nie lubi tchórzy.

– Naprawdę? – Guillén spojrział na niego z powątpiewaniem. – Wiele jest form tchórzostwa. Ucieczka przed odpowiedzialnością to też tchórzostwo.

Wcale nieurazony Melchor Pardo się roześmiał.

– Ożeż kurwa... Zdaje się, że masz z matki więcej niż tylko te dziwne oczy...

– Niech pan zachowa swoje oceny dla siebie. W ogóle mnie pan nie zna.

– Do cholery z tym panem! – zawołał Melchor, popychając drzwi tawerny, żeby zanurzyć się w gorące powitania towarzyszy.

– A co się dzieje z twoją matką? – zapytał, mieszając łyżką w kawałkach brukwi i marchwi pływających w zupie.

Bez zbytnich emocji ani nie wdając się w niepotrzebne szczegóły, Guillén streścił mu perypetie losu matki oraz swojego. Melchor Pardo ucieszył się z nowego statusu społecznego syna. „Masz jaja Pardów”, pochwalił go z dumą, uderzając szklanką w stół. Guillén nie rozumiał, dlaczego ten człowiek, mieniący się anarchistą, okazuje taki zachwyt tym, że jego syn stał się obmierzłym burzumem, który do tego nie ma żadnej legitymacji partyjnej.

– Kurwa mać, Balbi... Czyli że wróciła na łono naszej Świętej Matki

Kościola? – Ta „święta”, „matka” i „kościół” zabrzmiały w ustach Melchora Pardo jak przekleństwo. – Szkoda, że jej nie widziałeś, jak wiwatowała na cześć rewolucji.

– Moja matka robiła to, co uważała za słuszne dla mnie. Po to, żeby dać mi rodzinę i dom. A Ramón to dobry człowiek, dobry ojciec. O panu tego nie można powiedzieć.

Melchor Pardo westchnął głośno.

– Słuchaj, synu... Nie mówię, że na to nie zasługuję, ale dźgasz mnie z każdej strony jak byka na arenie. I zaczynam mieć dosyć...

– Ja nie chciałem tego spotkania ani tej rozmowy. Jesteśmy tutaj na pana życzenie.

Melchor Pardo uśmiechnął się przebiegle.

– Nie oszukuj się, chłopaku – poprawił go, wskazując na niego niedopałkiem papierosa trzymanym pomiędzy dwoma palcami. – Jesteśmy tutaj, bo mnie potrzebujesz. Bo sądzisz, że mogę ci pomóc. I lepiej, żebyś przestał się dąsać jak małe dziecko, bo jesteś po niewłaściwej stronie. Spójrz na siebie. W tym dobrze dopasowanym garniturku, z jedwabnym krawacikiem, drogim zegarkiem i w skórzanych butach... Udajesz, że nie masz żadnych ideałów, że nie jesteś po żadnej ze stron! Zdaje ci się, że chroni cię to, że mieszkasz we Francji, ale tak nie jest, tutaj zdrajcy nie mają pochodzenia, są zdrajcami i tyle. I gdybyś nie był moim synem, już bym cię wysłał pod ścianę, bo strzeliłem w czoło wielu innym, którzy nawet w połowie nie wyglądali na faszystę, tak jak ty wyglądasz. A więc podziękuj za szczęście, jakie cię spotkało... Nie chcę od ciebie żadnych zachwyty, sam nie uważam siebie za ojca jak należy, nie mam też zamiaru takim być, ale przynajmniej okaż wdzięczność komuś, kto uratował ci dupę. I przestać zwracać się do mnie per pan, do kurwy nędzy! Bo tutaj dystans mierzy się tylko strzałami z pistoletu, towarzyszu.

Guillén spuścił wzrok, a wraz z nim spuścił z tonu. Trzeba być praktycznym, nie czas na żale. Cokolwiek by mówić, ten facet miał rację: całe szczęście, że jest jego ojcem; na niewiele by się teraz zdało robienie mu wyrzutów, że nigdy nim nie był. Mądrzejsze wydawało się odrzucenie na bok żalów i skupienie się na wyciągnięciu korzyści z tej sytuacji.

– Uważa pan... Uważasz, że wyglądam na faszystę, ale jesteś w błędzie. Do twoich też nie należę: nie wierzę w kompletny brak hierarchii i władzy; należę do tych, którzy uważają, że to utopia. Już ci mówiłem, że nie podobają mi się etykiety; ty mnie oznaczyłeś taką, która zakłada, że nie wierzę w demokrację, w sprawiedliwość społeczną, w równość szans... Ja też żyłem w nędzy, a tego się nie zapomina. Może się wydawać, że jest na odwrót, ale nie znalazłem się po nie swojej stronie.

Melchor Pardo uśmiechnął się z zadowoleniem i przyłożył butelkę

z czerwonym winem do szklanki Guillena.

– Tak się przemawia, chłopaku! Popij sobie i powiedz: po jaką cholere przyjechałeś do Barcelony?

– Chcę zabrać moją matkę i całą rodzinę z Hiszpanii. Problem w tym, że oni są w Oviedo.

Ojciec uniósł brwi.

– No to masz przejebane...

– Gdybyś mi wydał jakiś papier...

Melchor, odwołując się do swojej niewyczerpanej cierpliwości, wziął wykałaczkę do ust, wsparł się łokciami o stół i pochylił się do przodu w geście niemal nauczycielskim.

– Nie masz bladego pojęcia... Po pierwsze: co do rzonego papieru, to mógłby ci posłużyć jedynie w strefie republikańskiej; jak zamierzasz przejść przez ziemie buntowników, żeby dostać się na północ? Po drugie: to oczywiste, że tego nie wiesz, ale właśnie w tej chwili Oviedo jest oblężone. Dowództwo wojskowe miasta, popełniając tysiąc i jedną zbrodnię, przeszło na stronę powstańców. Oczywiście ich klęska jest tylko kwestią czasu, dysponują jedynie garstką żołnierzy i mają niewiele broni. Są otoczeni przez siły milicji i wojsko republiki. Przerwano linie zaopatrzenia, bombarduje się ich z ziemi i powietrza.... Pewnie nie jest im tam za dobrze – podsumował z żalem, który wydawał się szczerzy.

Guillén pobladł.

– Mówiłem ci: masz przejebane – ciągnął Melchor. – Najrozsądniej będzie wrócić do Francji i poczekać. Przy odrobinie szczęścia miasto szybko upadnie i będziesz mógł po nich wrócić. A może chcesz chwycić za broń i przyłączyć się do walki za sprawę...? – Nawet on nie wierzył w to, co właśnie powiedział, ale nigdy nie należy tracić okazji, żeby spróbować.

– Nie porzucę ich. Wyciągnę ich stamtąd – odparł Guillén z wściekłą determinacją. Przekłęci faszyci, którzy wywrócili do góry nogami nasze życie! – pomyślał. I przekłęci wszyscy, którzy na tym korzystal.

– Kurwa, co za uparta i nieświadoma niczego młodość...

– Dasz mi dokumenty? Resztą to już ja się zajmę.

– Przepustkę wypiszę ci nawet tutaj na serwetce i przybiję swoją pierdoloną pieczętkę, i już. Tak po prostu. Dzięki niej dotrzesz do Madrytu i koniec trasy, chłopaku. Nie wiem, jak masz zamiar zająć się resztą.

– Dobrze, to tak zrób. Daj mi dokument.

Melchor Pardo nie odpowiedział. Siedział nieruchomo ze wzrokiem utkwionym w brudny plakat po drugiej stronie stołu reklamujący wódkę anyżową Anís del Moro.

– Proszę... – dodał Guillén zaniepokojony jego milczeniem.

– Słuchaj... – wyszeptał w końcu milicjant, drapiąc się po brodzie. – Może

da się coś zrobić...

Guillén nerwowo chwycił się krawędzi stołu; miał pobielące palce, a oczy – które ojciec uważał za dziwne – bardziej przenikliwe niż zwykle.

– Co?

– Niemal codziennie wylatują z Madrytu samoloty do Asturii. To samoloty wojenne, więc nie będziesz mógł wejść do nich z twoją piękną buźką. Ale znam jednego człowieka, który jest mi winien przysługę... To niebezpieczne: mówimy o starych rupieciach przerobionych na bombowce, ale jeśli jesteś gotowy...

– Tak, tak, oczywiście, że jestem – zapewnił pośpiesznie, ale zaraz dodał szczerze: – Dziękuję... Bardzo dziękuję.

– Nie dziękuj. Nie robię tego dla ciebie. Jesteś bardzo zdecydowanym człowiekiem i pokazujesz, że masz jaja, to bardzo dobrze, ale z tym poczuciem dobra i zła, jakie prezentujesz, ciężko ci będzie w życiu – pouczył go. – Robię to dla twojej matki. Możesz mi nie wierzyć, ale ja naprawdę ją kochałem. – Wzruszył ramionami. – Na mój sposób, co zrobić... Ale kochałem ją. Żadna kobieta nie chwyciła mnie za jaja tak mocno i na tak długo, i już żadna tego nie robi.

CNT (Confederación Nacional de Trabajo) – Krajowa Konfederacja Pracy – i FAI (Federación Anarquista Ibérica) – Iberyjska Federacja Anarchistyczna (wszystkie przypisy tłumacza). [\[wróć\]](#)

Wrzesień 1936

Wstał piękny słoneczny dzień. Od jakiegoś czasu nie było widać wrogich samolotów, jedynie kilka jednostek narodowych latających z Leonu do Oviedo, żeby zrzucić lekarstwa, skondensowane mleko i paczki gazet. Poza tym ostrzał artyleryjski z pozycji na froncie prowadzono tylko w nocy. Od tygodnia nie było słyhać ani jednego strzału w ciągu dnia. Można by powiedzieć, że przeżywali okres względnego spokoju. Ludzie zaczęli nawet wychodzić z ukrycia; na ulicach w centrum był tłum, a kina wypełniały się po brzegi.

Lena wzięła sobie wolne poprzedniego dnia. Gdy tylko Oviedo ogłoszono miastem oblężonym, zgłosiła się na ochotnika jako sanitariuszka. Po szybkim przeszkoleniu w udzielaniu pierwszej pomocy znalazła się w wirze dyżurów, leczenia, ran i pomagania chorym, co nie zostawiało jej czasu na nic innego. Tak lepiej. Lepiej nie mieć czasu na myślenie. Tego poranka wstała wcześniej, żeby udać się do pracy w szpitalu Llamaquique. Postanowiła pójść pieszo, żeby nacieszyć się piękną pogodą. Ostatnio trasa stała się mniej więcej bezpieczna, bo okolica została oczyszczona z czerwonych strzelców wyborowych, którzy ukryci w budynkach i mieszkaniach strzelali do wszystkiego, co się ruszało.

Miasto budziło się do jeszcze jednego dnia strachu i niepewności zmieszanych z rutyną, którą narzuca człowiekowi konieczność przeżycia: odżywiać się i wystawiać na światło słoneczne, rozmawiać z sąsiadami i wyjść na ulicę. Przed lokalami zaopatrzeniowymi zaczynały się już tworzyć długie kolejki: chleb, ziemniaki, cieciora, ryż, trochę mięsa... i woda, po wodę też trzeba było stać w kolejce. Jakiś czas temu skończyły się jajka, mleko i ryby. Tylko dzieci i chorzy mieli dostęp do skondensowanego mleka, i to na receptę lekarską. Widywało się grupki kobiet, które dziarskim krokiem kierowały się do kuchni, gdzie przygotowywano jedzenie dla wojska – nigdy nie mogło zabraknąć posiłku dla dzielnych obrońców miasta. Niektóre z nich nawet śmiały się do pięknego poranka pod uważnym okiem wojskowej straży porozstawianej na każdym rogu ulicy – byli to głównie chłopcy, którzy z większym entuzjazmem niż przygotowaniem odpowiedzieli na apel pułkownika Arandy. Społeczność Oviedo zdawała się popierać sprawę narodową – złudzenie, wszak nie wszyscy czerwoni wyjechali – i to znajdowało odzwierciedlenie w jej własnej rodzinie.

Balbina i Renata codziennie pracowały w kuchniach. Ramón był za stary, żeby ruszyć na front, ale patrolował ulice i organizował ewakuację do schronów podczas bombardowań. Tomás wstąpił do Falangi; zgłosił się na ochotnika na front i teraz siedział w okopie w okolicach Campón. Matías też miał taki plan, ale ponieważ skończył dopiero dziesięć lat, poklepano go po ramieniu i odesłano do domu; dlatego na niego spadł obowiązek zdobywania jedzenia dla rodziny i całymi

dniami wystawał w kolejkach. A Pepe, jej kochany braciszek Pepe... Był w lotnictwie i jeszcze przed wybuchem wojny uczył się latać i walczyć w powietrzu na lotnisku w Alcalá de Henares, które zostało w strefie czerwonych. Nie miała od niego wiadomości od zamknięcia oblężenia Oviedo. Najbardziej martwiło Lenę, że jej brat zawsze był przeciwny republice; może musiał za to drogo zapłacić...

Osobną sprawą byli Julia i Guillén. Odkąd komunikacja z oblężonym miastem została przerwana, rodzina jakby podzielili się na pół. Często zastanawiali się, czy wiadomość o wojnie w Hiszpanii dotarła do Chin, gdzie Julia była misjonarką. Chiny leżały tak daleko...

We Francji, przeciwnie, z całą pewnością wiadano wszystko. Jak zareagował Guillén? Ostatni jego list dostała na początku lipca; mówił w nim o końcu studiów i swoich dobrych kwalifikacjach, o wielu planach na tak długo wyczekiwane wakacje... „Ten chłopak już bardziej jest Francuzem niż Hiszpanem, wystarczy mu poczytać o wojnie w gazetach”, mówił Ramón z pewnym lekceważeniem. „Oby tak było”, szeptała pod nosem Balbina nad garnkami, unikając klótni. „Oby tak było”, powtarzała w myślach Lena, pocieszając się tym, że chociaż on jest bezpieczny.

Szła ulicą Cervantesa, kiedy zaskoczył ją ryk syreny z fabryki La Amistad zmieszany z biciem dzwonów katedry. Alarm bombowy. Tłum pognał do najbliższego schronu, wszystkie one były oznaczone wielkimi plakatami i strzałkami na murach. Ona wpadła do piwnicy jakiejś stolarni. Usiadła na drewnianej skrzyni. Czuć tam było zotalem, ale zapach substancji odkażającej nie drażnił jej już tak jak kiedyś. Najgorszy był brak tlenu i upał; nierzadko ludzie w schronach mdleli. Rozejrzała się; było ich mniej więcej pięćdziesiąt osób: staruszkowie, kobiety i dzieci, i tylko dwóch młodych mężczyzn, żołnierzy na przepustce, jeden w połowie ogolony, jeszcze z mydłem na twarzy, drugi z serwetą wokół szyi. Jakaś kobieta, bardzo wystrojona i elegancka, w butach na obcasie i z biżuterią na rękach, opowiadała innej, że kilka tygodni wcześniej zbombardowano jej dom, ale obyło się bez wielkich szkód; tylko jeden pocisk armatni wleciał przez okno i uderzył w sekretarzyk. „Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że czerwoni mają takie wyczucie smaku”, dodała. „Wcelowali dokładnie w ten okropny mebel, prezent od teściowej, niech spoczywa w pokoju”.

Niebawem usłyszeli silniki samolotów. W piwnicy zaległa gęsta i przejmująca cisza. Po chwili rozbrzmiały pierwsze wybuchy. Lena już nawet się nie bała. Ale staruszka siedząca – albo raczej skulona – przed nią zaczęła szlochać. Mąż bezskutecznie próbował ją pocieszać. Dwie inne kobiety zaczęły odmawiać Ojczy nasz drżącym głosem. Lena złożyła ręce na kolanach i przyłączyła się do nich. Pozostali także. Dziecko, na oko trzyletnie, patrzyło zdumione, nic nie rozumiejąc, i zęgnęło się niezgrabnie, jakby to była zabawna gra. Nagle bomba

wybuchła w pobliżu schronu, może nawet na tej samej ulicy. Ściany piwnicy się zatrzęśły i ze szczelin i pęknięć zaczął opadać pył. Zduszony krzyk przebiegł przez pomieszczenie. „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna...”

Zostali tam przez ponad godzinę wypełnioną okresami ciszy i eksplozjami, aż w końcu znowu uderzono w dzwony, obwieszczając tym samym odwrót samolotów. Wyszli na powierzchnię jak szczury ze swych dziur, ostrożnie i oślepieni światłem. Ulica zasnuta była dymem. Kilka numerów dalej płonął budynek. Umilkły dzwony. Ogień pełzał wśród trzaskających ruin i zduszonego lamentu. Poprzez dym zobaczyła na asfalcie pierwsze ciała. Tak jak wszyscy ruszyła na pomoc i dobiegła do dziecka: miało bardzo szeroko otwarte oczy zwrócone ku niebu, a w ręku kubek z resztką mleka; ile wysiłku musiało kosztować jego zdobycie, a teraz się rozlało i zrobiło różowawe, zmieszawszy się z krwią, którą spłynęła ziemia. Lena położyła rękę na piersi dziecka i powstrzymała łkanie. Nagle przypomniała sobie brata Matiasa, który odmawiał schodzenia do schronu podczas alarmu i w ten sposób zajmował pierwsze miejsce w kolejce po wodę. Odrzuciła od siebie tę okropną myśl, drżącymi rękami zamknęła powieki małego i ocierając łzy, pobiegła na pomoc innym ludziom.

Na płonący budynek spadła bomba i przebiła się do środka. W bramie schroniło się kilkoro nieszczęśników. Pierwsi ranni wychodzili o własnych siłach, dezorientowani i zalani krwią. Lena nawet nie chciała myśleć o horrorze, którego spodziewała się w środku. Skupiała się na pomocy, dopóki nie pojawili się strażacy i sanitariusze.

Nastąpiły dwa dni intensywnych bombardowań, trwających niemal bez przerwy, od rana do nocy. Eskadry po dwa albo trzy samoloty przelatywały nad miastem, zrzucały swój śmiertcionośny ładunek, uzupełniały go na lotnisku i wracały. Kiedy nie spadały na nich bomby, strzelała artyleria lądowa. Szkody było widać we wszystkich dzielnicach Oviedo; czasem bomba zapalająca potęgowała straty i panikę.

Po ponad dwudziestu czterech godzinach szpitalnego dyżuru Lena mogła w końcu wrócić do domu, przybita i wyczerpana. Mimo że zapadał zmrok, na ulicach widoczny był obraz zniszczenia: budynki, z których pozostał tylko szkielet, ruiny wszędzie dookoła, dym i płomienie, których jeszcze nie zdążono ugasić, martwy muł na chodniku... Lepiej było iść z oczami utkwionymi w ziemię.

– Lena... Córeczko... – na tylko tyle zdobyła się Balbina, zobaczywszy ją w drzwiach, wymizerowaną i upoconą. Każde inne słowo okazałoby się zbyt oczywiste.

Przytuliły się do siebie wzruszone, a Lena poczuła ulgę, zobaczywszy, że rodzina przetrwała naloty.

– Niemal cały ten czas spędziliśmy w schronie. – Dom nie miał piwnicy,

więc musieli się udać na drugą stronę ulicy do sklepu powroźnego. – Nie można było wyjść... Ledwie wychodziliśmy, a znowu ogłaszali alarm. A mówią, że nie wolno przynosić jedzenia... Co mamy jeść, skoro nie można wychodzić? Dzisiaj zabrałam trochę chleba i smalcu... – przyznała Balbina, czując się nieco winna z tego powodu. – Dobrze, córko, siadaj i zjedz zupę, póki ciepła...

Wskazała ruchem głowy garnek stojący na niewielkiej kuchni, gdzie płonęło kilka szczapek drewna, które dodatkowo oświetlały pomieszczenie, bo przerwy w dostawie prądu były coraz częstsze. Lena spojrzała na nią z czułością i pocałowała ją w policzek.

– Nie, dziękuję. Poczekam na kolację. Teraz chcę tylko ściągnąć buty i zmienić ubranie. – Dodałaby „i wziąć gorący prysznic”, ale to był luksus nie do pomyslenia.

W tej samej chwili do domu wpadł Matías niczym wulkan energii.

– Wróciłem! – obwieścił, a zobaczywszy Lenę, podbiegł, żeby ją uściskać. – Ty też wróciłaś...

Lena wycalowała brata.

– Oczywiście, że tak. – Chwyciła go za ramiona i spojrzała na niego poważnie. – Powiedz mi, że pognałeś do schronu, gdy zabrzmiały syreny.

– Czy pognałem?... Odkąd ojciec spuścił mi łomot za to, że tego nie zrobiłem... – Poglądził się po tyłku.

Lena znowu go przytuliła.

– Dlaczego płaczesz?

– Bo się bardzo cieszę.

– Ja też... Patrz. – Pogrzebał w kieszeniach i opróżnił ich zawartość. – Bomba spadła na magazyn z jedzeniem i cała ulica została zasypana tabliczkami czekolady. Wiele się spaliło, a inne są trochę zjełczałe, ale dają się zjeść.

– Ale z ciebie dzieciak...

– A to? – wtrąciła się Balbina, pokazując ze zmarszczonym czołem kilka łusek. – Nie chcę w domu tego świństwa.

– Potrzebujemy tego na wojnę, mamo. Żeby zabijać czerwonych.

– Nie mów takich rzeczy – skarciła go.

Matías zwrócił się do Leny.

– Dzisiaj mianowali mnie porucznikiem w miejsce Angelina, który od czwartku nie przyszedł się bawić.

Lena i Babina wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

– Dobra, dosyć tego gadania – przerwała matka. – Idź umyć ręce.

Reszta wieczoru minęła spokojnie. Nie było więcej alarmów. Może dlatego, że padał deszcz i chmury wisiały nisko nad miastem; samoloty nie latały w złą pogodę, a na pozycjach artyleryjskich pewnie też nie było wielkiej ochoty do zaczepki. Ramón przyniósł do domu kilka ziemniaków, które znalazł na

opuszczonym polu w pobliżu linii frontu. Balbina była przerażona jego uporem, ale z radością wrzuciła je do garnka.

Garnek bulgotał na ogniu i zaczęli nakrywać do stołu, kiedy pojawił się Tomás.

– Dzień dobry wszystkim! Zobaczcie, kogo ze sobą przyprowadziłem. Dali nam przepustkę, więc pomyślałem sobie, że możemy wpaść na kolację. Mamy cieciorkę, która została z dzisiejszej racji. – W przeciwieństwie do ludności cywilnej obrońcom miasta zwykle nie brakowało jedzenia.

– Dobry wieczór wam wszystkim...

Lena odłożyła widelec na stół i uniosła wzrok. Serce jej zamarło, kiedy zobaczyła Nina na progu. Nie miała ochoty go znosić.

Jedną z niespodzianek, jakie ją czekały, kiedy zamieszkała w Oviedo, było spotkanie Fermina Pajaresa pewnego dnia przy wejściu do teatru. Okazało się, że syn alkada studiuje prawo na uniwersytecie. Podczas krótkiej rozmowy Lena odniosła wrażenie, że Nin się zmienił: był teraz uprzejmy i miły w obejściu. Może czas spędzony w internacie u księży miał na niego taki wpływ. Problem w tym, że młodzieniec zaczął się zalecać do Leny: przysyłał jej kwiaty, po niedzielnej mszy zapraszał ją wraz z ciotkami na wermut, a w piątkowe wieczory spacerowali ulicą Uría w eskorcie starszerek. To podczas pogawędek, które wtedy odbyli, Lena doszła do wniosku, że Nin jednak aż tak bardzo się nie zmienił: dalej był zarozumiały i zapatrzony w siebie, a z upływem czasu okazał się jeszcze napuszony. Jego zachwyty nad samym sobą, nad własnymi osiągnięciami i pozycją były naprawdę nudne. Ale kroplą, która przelała czarę, było to popołudnie, kiedy za nieopatrzną zgodą ciotek poszli we dwoje na koncert orkiestry miejskiej w parku Campo de San Francisco. Nin bardzo zręcznie wsunął rękę pomiędzy krzesła w ten sposób, że jego palce znalazły się dokładnie pod pośladkami Leny, i wybijał nimi rytm ostatnich pasodoble. Przyjemność, jaką sprawił mu ten czyn, była wyraźnie widoczna pomiędzy jego nogami. Lena jeszcze się czerwieniła na samo wspomnienie. Od tamtego dnia starała się go nie widywać, a w tym przypadku wojna była doskonałym sprzymierzeńcem. Wiedziała, że wcześniej czy później ponowne spotkanie będzie nieuniknione, ale tamtego wieczoru, i to w rodzinnym domu, sytuacja wydała jej się szczególnie nieprzyjemna.

Tomás podszedł, żeby przywitać ją pocałunkiem. Nin szedł za nim z falangistowską czapką w ręku i z głupim uśmiechem zadowolenia. Lena wyciągnęła do niego rękę, żeby zaznaczyć dystans.

– Jak się masz, Leno? Dziś wyglądasz wyjątkowo pięknie. Tyle czasu minęło.

– Nie gadaj głupot. Dzisiaj jestem wyjątkowo zmęczona i w złym humorze – odpowiedziała cierpko. Aby uniknąć rozmowy, poszła do kuchni zobaczyć, czy nie ma dla niej czegoś do roboty.

– Nie uwierzycie, co widzieliśmy – obwieścił Tomás. – Kiedy wychodziliśmy z koszar, natrafiliśmy na wielki tłum, który przyłączył się do manifestacji przeciw czerwonym bandytom. Na czele szła grupa z Regimiento Milán. Odśpiewaliśmy hymn Falangi i wznieśliśmy kilka okrzyków: „Niech żyje Hiszpania, pułkownik Aranda i wojsko!”. Kiedy chodziliśmy po głównych ulicach centrum, przyłączali się do nas radośni ludzie, wołając, że jesteśmy obrońcami Oviedo. Potem komendant Caballero wygłosił przemówienie z balkonu siedziby rządu, zapewniając, że miasto się obroni. Było to bardzo podniecające...

Lena także natknęła się na tę manifestację niemal u wejścia do szpitala, ale wolała ją ominąć z daleka; nie miała siły ani ochoty niczego świętować.

– Przynajmniej to opowiadali – wtrącił się Nin – o jakiejś grupie czerwonych, którzy stojąc na środku ulicy, wołali zadowoleni: „To nasi! To nasi!”. Aż tu nagle walnęło w nich i wszyscy zginęli. Palanty!

Tomás i Nin śmiali się do rozpuku. Pozostali również. Lena nie; nie śmiałyby się z Ninem, choćby opowiedział najśmieszniejszy dowcip.

– Dość! Nie pozwalam, żeby ktokolwiek śmiał się ze zmarłych, czy to jednego, czy drugiego koloru. To jest tragedia dla wszystkich – Balbina zwróciła się do nich bardzo poważnie.

Zapadła cisza, równie niezręczna, co trudna do przerwania. W końcu odezwał się Ramón:

– Powiedz, Nin: wiesz coś o swoim ojcu i o ludziach z wioski?

Przez całą kolację Lena nic nie powiedziała, była zamyślona. Wyobrażała sobie, że jest z nimi Guillén, że to on niespodziewanie pojawił się w domu, ubrany w mundur, i teraz opowiada tysiące anegdot... Nie... Guillén nie był gadatliwy. Ale w mundurze wyglądałby pięknie... Wyobrażała sobie, jak pod stołem chwyta go za rękę i jak potajemnie go całuje... Niemal natychmiast odsunęła od siebie te fantazje. Guillenowi lepiej było we Francji, bezpieczniej. Ale tak bardzo za nim tęskniła, że smutek i nostalgia napełniały jej głowę głupotami...

Nie było deseru, chłopcy musieli wrócić do koszar, a reszta szybko się położyła.

Ninowi udało się zostać z Leną sam na sam, kiedy reszta żegnała się z Tomaszem.

– Wylosowałem dwa bilety do kina Principado, z tych, co to je losują wśród żołnierzy. Mam jutro przepustkę i pomyślałem sobie, że mogłabyś pójść ze mną.

– Bardzo ci dziękuję, ale jutro mam dyżur w szpitalu – skłamała.

Nin nie znosił odrzucenia i chociaż poczuł się dotknięty, starał się to ukryć.

– Dobrze – wzruszył ramionami – nie zabraknie chętnych na moje bilety.

Następnego dnia bardzo wcześnie rano powietrze znów rozbrzmiało syrenami, odgłosem silników i licznymi wybuchami. Nie było filmu w kinie, ani

wtedy, ani później. Wojna stawała się coraz bardziej zażarta.

*

Ta podróż z Barcelony do Madrytu była piekłem. Zablokowane drogi, zatrzymane pociągi, kontrole na każdym kroku. Mijał opuszczone miejscowości i uzbrojone miasta, widział strach, gniew i żal; rzucał z ukosa spojrzenia podzielonego narodu. I był świadkiem tyranii anonimowej śmierci. Strzał w plecy, seria pod murem i trup na ziemi. Taka śmierć, która nie tylko boli, ale też oburza; taka, której można było uniknąć.

Madryt był czerwono-czarny pod plakatami „No pasarán” – „Nie przejdą”. Miasto z uniesioną wysoko pięścią, miasto politycznej propagandy, pustych sklepów i pełnych teatrów, miasto kawy i papierosów bojowników, kolejek po jedzenie na kartki i handlu wymiennego na ulicy Torrijos, leżących na matach uchodźców, strzelców wyborowych o zmierzchu, pejzażu znaczonego karabinami i strzałami w tył głowy.

Benito Morales było nazwiskiem, które Guillén miał wypisane na serwetce ręką swojego ojca. Mechanik na lotnisku w Getafe. Anarchista. Znalazł go w mieszkaniu na Peunte de Vallecas w chwili, gdy ten siadał do kolacji przy kuchennym stole z żoną i z dziećmi. Nie wszyscy anarchiści byli jak jego ojciec.

Ten mężczyzna przyjął go w swoim domu bez pytania; zaproponował mu materac i koc przy piecu, w najcieplejszym miejscu. „Zawdzięczam życie twojemu ojcu”, wyjaśnił. Następnie poszukał dla niego kombinezonu, na którym małżonka wyszyła inicjały jakiejś partii. „To jedyny sposób, żeby nie wzięli cię za faszystę”.

To było kilka dziwnych tygodni. Jak obóz letni w całkowicie teatralnej scenerii wojennego Madrytu, czasem tak rzeczywistego, a czasem tak nieprawdopodobnego. Nie rozstawał się z Benitem, który okazał się seminarzystą renegatem i byłym anarchistą nawróconym na komunizm. Człowiekiem o szerokich horyzontach i z bogatym doświadczeniem. Zdrojem wiedzy doktrynalnej, którą aplikował w niewielkich dawkach przy winie po długich dniach pracy, nieodmiennie kończących się w barze. W tym niezapomnianym barze z piwem z kija i winem z zapieczętowanej beczki, z pustą ladą na zakąski i tabliczką „Na krechę nie dajemy”, tak ciepłym i przytulnym dla klienteli robotniczej i przestępczej, gdzie Benito był prorokiem, równo Chrystusa, Proudhona i Marksa. Przy szóstej szklance wina Guillenowi wydawało się, że ten mądry człowiek zdołał osiągnąć równowagę wszystkiego najlepszego, co historia, religia, filozofia, ekonomia i polityka dały światu.

Noce kończyły się spokojnie w domu, przy kakao dla dzieci i paczce papierosów Ideales dla starszych, które Guillén zdobywał na czarnym rynku, po

lekkich kolacjach, z których pamiętał tortille z ziemniaczanych obierek z mąką przygotowywane przez panią Morales.

– Nie będzie łatwo, żeby jakiś pilot zechciał cię do towarzystwa. To nie jest aeroklub. Będziesz musiał zyskać jego zaufanie – przestrzegł go Benito, gdy tylko się dowiedział, jakie ma zamiary.

I tak zrobił. Umieścił go na lotnisku jako ucznia mechanika. Na szczęście Guillén nie po raz pierwszy grzebał we wnętrznościach samolotu, a więc bardzo szybko się nauczył: rozebranie i złożenie silnika, smarowanie śmigieł, mocowanie sterów, naprawianie skrzydeł... Opanował też inne zadania, które nie były stricte lotnicze, jak ładowanie bomb, kalibrowanie karabinów, przygotowywanie ładunków wybuchowych... Poza tym spędzali wolne godziny, strzelając na strzelnicy, zarówno z mauzera, jak i z naranjero i astry, aż udało im się trafić w środek tarczy.

– Dlaczego nie pójdziesz na kurs pilotażu? – zachęcał go Benito, gdy palili papierosy w słońcu przed hangarem. – Republika bardzo potrzebuje pilotów, a ty, który już potrafisz latać, łatwo zdasz egzaminy.

– Bo ja chcę się jak najszybciej dostać do Oviedo.

– Przestań... Przynajmniej spróbuj, a jak uda ci się znaleźć kogoś, kto cię weźmie do swojego złomu, to przerwiesz naukę. A może polecisz do Oviedo sam? Mówią, że Rosjanie przyślą tu kilka nowych polikarpowów, które świetnie się prowadzi. Nie chciałbyś polatać taką maszyną?

Guillén wzruszył ramionami i rzucił niedopałek na ziemię.

– Dobra, muszę przeczyścić te zawory przez zmrokiem – odpowiedział niechętnie.

Przez chwilę zastanawiał się nad tym, jak przyjemnie byłoby zostać pilotem republiki. Codziennie podziwiał tych bohaterów ubranych w skórę, którzy niczym współcześni błędni rycerze w chwale galopowali na swych stalowych rumakach i osiadali na ziemi. Latali na starych samolotach – niektóre nawet nie były wojskowe, tylko cywilne przerobione na bojowe i wyposażone w karabiny wystające przez okna. Mimo to potrafili dokonywać wielkich czynów. A jednak, jak on mógłby się cieszyć wolnością otwartego nieba, kiedy Lena umierała, dusząc się w jakimś mieście? Kurs trwał sześć miesięcy, a na tyle czasu nie mógł sobie pozwolić.

Aż nagle pojawiła się okazja zupełnie niespodziewana. Zdarzyło się to nad ranem, w chwili, kiedy eskadry startowały i kierowały się w stronę frontu północnego. Gdy Guillén stawił się na swoim stanowisku, w hangarze panowało wielkie poruszenie, bo członek załogi bregueta 19 kapitana Jimeneza miał właśnie atak wyrostka. Ten breguet leciał na lotnisko Carreño na obrzeżach Oviedo. Nie zastanawiał się ani chwili i zgłosił się na ochotnika, żeby zastąpić niedysponowanego kaprała.

Kapitanowi Jimenezowi zdecydowana negatywna odpowiedź zatrzymała się na skraju sztucznej szczęki – pohamował się, gdy zobaczył twarz Guillena. Zmierzył go wzrokiem od góry do dołu. To ten chłopak zdołał wyregulować przedni karabin maszynowy, który bez przerwy stwarzał kłopoty...

Guillén pomyślał, że kapitan się waha.

– Potrafię prowadzić samolot, panie kapitanie. Nie jestem pilotem wojskowym, ale potrafię prowadzić samolot cywilny.

– Ja będę pilotował. Potrzebuję strzelca. Potrafisz strzelać z darne'a?

– Tak jest, panie kapitanie – skłamał natychmiast z przekonaniem, które nawet jego samego zdumiało. Strzelał z vickersa, lewisa, ale nigdy z darne'a.

– Jak się nazywasz?

– Guillén Álvarez.

– Zgoda, Álvarez. Dzisiaj będziesz strzelał z darne'a. Dowiesz się, że to główniana broń, ale nic innego nie mamy.

Guillén nie potrafił pohamować uśmiechu zadowolenia, ale nie mógł też ukryć prawdy:

– Panie kapitanie... Będę mógł polecieć tylko w tamtą stronę.

– Ożeż kurwa, a to czemu? Myślisz, że to samolot pocztowy?

– Chcę polecieć do Asturii, żeby wstąpić do milicji antyfaszystowskiej.

Jiménez spojrział na niego z niedowierzaniem.

– Co to za wariat, który będąc w powietrzu, chce wrócić na ziemię do grupki fanatycznych bojowników? – Rzucił okiem na zegarek, jakby ważąc możliwości. Najwyraźniej nie było żadnej. Zrozumiawszy, jakiego ma pecha, zawyrokował: – Za piętnaście minut masz być na pasie startowym.

Guillén ledwo zdążył pożegnać się z Benitem. Objęli się z nieprzyjemnym wrażeniem, że prawdopodobnie nie zobaczą się nigdy więcej.

– Co mam zrobić z twoimi rzeczami? Zostawiłeś u mnie wszystko...

Guillén szybko przejrzał te rzeczy w głowie: nieco ubrań, pędzel do golenia z włosia łasicy, brzytwa, para butów, dwie książki, pióro, które dostał w prezencie od hrabiny, i trzydzieści duros.

– Zatrzymaj to. Przydadzą ci się na wymianę za coś użytecznego. Poza piórem, daj je Crispinowi. Powiedz mu, żeby je sobie zachował na czas, kiedy będzie dorosły i zacznie studiować projektowanie.

Benito mocno go przytulił.

– Uważaj na siebie, stary.

Wystartowali przed świtem, żeby przelecieć nad strefą powstańczą pod osłoną nocy. Załadowali trzysta kilogramów ładunków wybuchowych podwieszonych pod skrzydłami, więc nie mogli rozwinąć zbyt wielkiej prędkości. Breguet kołysał skrzydłami jak gruby ptak, nawet rytm silnika okazał się

monotonny i leniwy. Guillén poddał się jego warkotowi, czując, że ma twarz tak zimną, że ledwie mógł poruszać mięśniami. Teraz, kiedy znalazł się setki metrów ponad ziemią, lecąc w stronę Asturii, zdał sobie sprawę, że nie zastanowił się nad tym, jaki będzie jego następny krok. Kiedy wreszcie znajdzie się na ziemi, będzie musiał zlokalizować swoją rodzinę w oblężonym czterdziestotysięcznym mieście. A jeśli w ogóle ich tam nie ma? A jeśli udało im się uciec przed oblężeniem? Zdał sobie sprawę z tego, co widzi wokół siebie: ciemność, a poza tym wiatr na twarzy, mantra silnika i on sam, wbity w dziurę drugiego pilota bombowca, z karabinem przed sobą. Najpierw trzeba dotrzeć do tej Asturii...

Wstawało słońce, kiedy dostrzegli pierwsze kolumny rebeliantów zmierzające z Galicji do Asturii.

– Zaczyna się zabawa! – zawołał kapitan, zniżając lot.

W ślad za nimi leciał następny breguet, który wystartował tuż po nich w Getafe. Zrzucili pierwsze bomby i natychmiast zaczęła do nich strzelać artyleria przeciwlotnicza.

Kiedy Guillén chwycił za karabin, serce podeszło mu do gardła. To nie miało nic wspólnego z ćwiczeniami na strzelnicy; wszędzie czarny dym, kołyszające się obrazy. Zewsząd słyszał strzały i odnosił przytłaczające wrażenie, że kulę można zobaczyć tylko raz, gdy ma się ją wbić w ciało. Wystrzelił kilka serii ze swojego darne'a.

– Strzelaj do rzeczywistych celów! A nie dlatego, że się boisz! – pouczył go Jiménez.

Rzeczywistymi celami były baterie przeciwlotnicze, które pojawiały się i znikały z jego pola widzenia. Samolot tak lawirował, że nie sposób było trafić. Guillén zacisnął zęby i czekał, aż je zobaczy pośród czarnego dymu, zanim nacisnął spust. Broń zatrzęsała się, wypluwając kule i łuski.

Wyrzucili cały ładunek i właśnie zabierali się do odwrotu, kiedy nagle dostrzegli dwa myśliwce Fiata, które natychmiast do nich wystrzeliły. Guillén zauważył pierwsze ślady na poszyciu. Kapitan Jiménez walczył z niewielką zwrotnością bregueta, żeby im uciec. On odwrócił karabin i puścił serię w ich kierunku, jakby postradał zmysły. Cel był rzeczywisty, aż za bardzo rzeczywisty, ale wyglądało na to, że kule gubią się w powietrzu. Szklane gogli zaparowały, więc niewiele widział. Aż tu nagle zobaczył czarną smugę dymu unoszącą się ze skrzydła fiata. Samolot przechylił się na bok i zaczął spadać na ziemię. Nie miał czasu na radość: w tej samej chwili usłyszał krzyk w przedniej kabinie:

– Trafili mnie w nogę!

Guillén zaklął przez zęby.

– Mam przejąć stery?

– Nie... Chyba dam radę dolecieć do Carreño.

Breguet 19 wylądował podziurawiony jak rzeszoto, prowadzony przez

kapitana Jimeneza na skraju omdlenia. Guillén miał kłopot z utrzymaniem się na nogach, gdy wreszcie znalazł się na ziemi. Całą swoją adrenalinę zostawił w tym samolocie.

Kapitana wyniesiono na noszach, ale zanim go zabrano, zdążył jeszcze powiedzieć swojemu strzelcowi:

– Dobra robota, Álvarez; nie co dzień strąca się myśliwca. Pokazał mu pan jaja tam w górze. Jak panu przejdzie ten niedorzeczny pomysł łązenia po ziemi z bojownikami, z największą przyjemnością przyjmę pana do załogi.

– Bardzo dziękuję, panie kapitanie. – Guillén uśmiechnął się, cały czas czując się niepewnie. – Wydaje mi się, że miałem szczęście żółtodzioba. – Przez szacunek nie powiedział kapitanowi, że tak naprawdę to właśnie on pokazał jaja. Nigdy nie wyobrażał sobie, że można pilotować samolot i wylądować z nogą naszpikowaną odłamkami. – Życzę panu powodzenia.

– Ja tobie też, chłopcze.

Pilot uniósł rękę do czoła w wojskowym pozdrowieniu, po czym rozkazał noszowym, żeby go stamtąd zabrali.

I Guillén został pośrodku mokrego pasa startowego lotniska Carreño, z jeszcze ciepłymi silnikami bregueta za plecami. Personel naziemny rozszedł się, pewien, że doskonale wie, gdzie ma się podziać. On zaś nie wiedział nawet, w którą stronę zrobić pierwszy krok na tym wielkim asfaltowym placu.

Dziewięćdziesiąt dni oblężenia. Sytuacja była rozpaczliwa. Zapasy żywności i wody się kończyły. Ludzie zaczęli pić wodę z zanieczyszczonych studni, więc w mieście wybuchła epidemia tyfusu; zmarłych można było liczyć na setki. Prądu nie dostarczano już wcale, prawie nie było paliwa. Pożary, niegaszone z braku wody, oświetlały noc. Bombardowania z rana i wieczorem – niektóre trwały nawet po trzynaście godzin i w niedługim czasie ukształtowały przygnębiający pejzaż ruin, płomieni, worków z ziemią, pośród których zmarło już ponad tysiąc cywilów. Bojownicy republikańscy zaciskali pętlę, a ludzie, uciekając do centrum, tłoczyli się, chorzy i niedożywieni, w niewielu jeszcze możliwych do zamieszkania miejscach. Życie przeniosło się do piwnic, podczas gdy obrońcy cofali się ulica za ulicą i dom za domem, przy coraz mniejszej liczbie mężczyzn i amunicji. Z trzech tysięcy trzystu, którzy rozpoczęli obronę miasta, zostało zaledwie pięciuset, reszta poległa w boju albo zmarła od chorób. Nawet pułkownik Aranda chwycił za broń na pierwszej linii. „Zostało nam już tylko zginąć jak Hiszpanie”, obwieścił w obliczu niesłabnącego naporu wroga. I Oviedo przygotowywało się na śmierć.

Lena nie wychodziła ze szpitala. Z każdym dniem widziała napływ coraz większej liczby rannych i chorych. Pokoje i sale operacyjne były zatłoczone. Personel gonił resztkami sił. Ona sama nie spała od kilku nocy albo przez chwilę tylko drzemała, siedząc na krześle. Miała niewiele wieści o rodzinie. Kiedy wojska oblegające zajęły La Argañosa, musieli się przenieść do domu ciotek, na czwarte piętro w budynku stojącym obok drugiego niemal w całkowitej ruinie. Nie było to bezpieczne miejsce, a więc większość czasu spędzali w schronie. Oprócz ojca. Nawet on walczył w ochotniczym batalionie na drugiej linii. Sytuacja wymagała mobilizacji wszystkich mężczyzn, którzy byli w stanie bronić miasta. Tomás z kolei walczył na pozycjach w pobliżu Naranco i chociaż został ranny, ponieważ był w stanie utrzymać się na nogach i posługiwać karabinem, sam poprosił o powrót na front.

Dzięki pracy Lena nie popadała w rozpacz. Miała okresy smutku i przygnębienia, ale czuła się zbyt zmęczona i głodna, żeby pozwolić się ponieść panice albo hysterii. Bała się i ogarniała ją trwoga, czasem, zwłaszcza gdy słuchała historii zaczynających się od słów: „Jak wejdą czerwoni, wszyscy zginiemy”, „Anarchiści gwałcą kobiety i zabijają dzieci”, „Zemszczą się za trzydziesty czwarty”. Woląla jednak ukrywać niepokój pod otwartą raną, którą musiała pilnie opatrzyć, albo pod cierpieniem pacjenta, którego nadzieje się rozwiewały. W tych dniach Lena nauczyła się, czym jest siła ducha i nieprawdopodobna zdolność człowieka do przetrwania. Skargi i przypadłości z innych czasów teraz wydawały jej się banalne, a nawet obraźliwe. Życie nabierało nowego wymiaru, nowej

wartości. A ona na wszelki wypadek nosiła w kieszeni kawałek stłuczonego szkła; była gotowa użyć go, gdy nadejdzie pora.

– Nie słyszysz tego, Leno? – wyszeptała jej do ucha przestraszona przyjaciółka Carmina, wolontariuszka z Falangi, kończąc zakładać opatrunek.

Lena nadstawiła uszu: rzeczywiście odgłos strzelaniny docierał z bardzo bliska, niemal zza okien. Bez słowa komentarza dokończyła wiązanie bandaża, ułożyła ramię młodego żołnierza na pościeli i otrzymała od niego uśmiech wdzięczności, gdy zbierała narzędzia.

W korytarzu Carmina chwyciła ją za rękę.

– Weszli, Leno. Przerwali linie obrony, jestem pewna. Nigdy wcześniej nie było słycać wystrzałów tak blisko. – Przerażona popatrzyła na okna, które raz po raz drżały, jakby były z papieru. Drżała też różowawa woda, którą niosła w miseczce. – Boję się...

Lena też się bała. Miała gęsią skórkę i przyspieszony oddech. Może to koniec krętej drogi i początek nowej, jeszcze gorszej. Mimo wszystko starała się uspokoić.

– Nie możemy się bać teraz... Dobrze, możemy i się boimy...
– Uśmiechnęła się nerwowo. – Ale... trzeba trwać, Carmino. Nie myśleć o tym. Wszyscy, którzy tam na zewnątrz przelewają krew, potrzebują nas.

Przyjaciółka przełknęła ślinę.

– Tak...

Jakaś zakonnica przeszła obok nich szybkim krokiem.

– Za mną, dziewczyny! Przyjeżdżają karetki.

To już nawet nie były karetki, ale porozbijane ciężarówki, którymi zwożono dziesiątki rannych, jedni siedzieli, inni leżeli. Dla niektórych nie można było zrobić nic innego poza zamknięciem im powiek i przykryciem twarzy. Inni, ci, którzy docierali o własnych siłach, pomagali przenosić ciężej rannych.

Lena podeszła do jednego, który szedł skulony, z rękami przyłożonymi do brzucha; nie było dla niego noszy. Objęła go ramieniem, żeby mu pomóc. Był bardzo młody, za młody.

– Proszę się nie martwić, proszę pani... – Ból zniekształcał mu głos. – Dzielnie walczymy... Wytrzymamy, z Bożą pomocą...

Lena położyła go na jedynym materacu, który pozostał wolny w pogrążonym w chaosie i zatłoczonym westybulu szpitala. Obejrzała ranę chłopaka – była mała i mocno krwawiła; to nie była rana postrzałowa, tylko od broni białej. Lena pobladła – walczyli wręcz.

– Wytrzymamy – powtarzał chłopak, po czym stracił przytomność.

– Wiem – powiedziała Lena, gładząc go po policzku. Zamknęła mu oczy.

*

Znalazł transport z lotniska Carreño do Gijón. Miał jeszcze dokumenty podpisane przez ojca, które pozwalały mu przemieszczać się po strefie republikańskiej. Gijón było już trzecią stolicą, którą odwiedzał, i sytuacja w niej nie była jakoś szczególnie inna od pozostałych: miasto bombardowane, oplakatowane strzypami propagandy i opanowane przez bojowników. Tam przenieśli się komitet, który reprezentował rząd republiki w Asturii; skolektywizowano przemysł, przedsiębiorstwa i warsztaty, skonfiskowano dobra i prowiant, żeby zorganizować sprawiedliwy system zaopatrzenia ludności, i tak jak w Katalonii przyjęto anarchokomunizm. Po zaledwie trzech miesiącach wojny Hiszpania była krajem zranionym, ale też w jakiś sposób pełnym nadziei: na zmianę, na rewolucję, na zwycięstwo. To nie przestawało go zdumiewać.

Guillén przetrząsnął kieszenie i znalazł zaledwie pięć peset i dwadzieścia pięć centymów. Cały jego kapitał. Nie było tego wiele jak na pobyt, który zapowiadał się na długi. Musiał dobrze pomyśleć o tym, co dalej robić, jeśli nie chciał zostać zmuszony do powrotu do Francji z powodu tak żalostnego jak brak środków. Jednak był głodny, nie wiedział, od jak dawna nie jadł, a z pustym żołądkiem nie mógł nawet myśleć. Wałęsając się po mieście, w pewnej chwili znalazł się w pensjonacie na tyłach stacji zaopatrzenia. Został jeden wolny pokój z prawem do śniadania i obiadu – zapleśniała dziura z okienkiem wychodzącym na dziedziniec i umeblowaniem sprowadzającym się do krzesła i siennika rzuconego na ramę z zardzewiałymi sprężynami. Był okropny, ale kosztował tylko pięć peset dziennie, a on nie byłby w stanie zapłacić ani centyma więcej. W jadalni połknął talerz bobu bez mięsa i jajko na twardo, szklankę cydru z fusami i robaczywe jabłko. Kiedy zaspokoił głód, naszała go wielka senność i poczuł zakwasy w ramionach i plecach po napięciu i szarpaniu karabinu. Poprosił o kawę, którą podano mu bez mleka i cukru. Wykorzystał sytuację, żeby przejrzeć stary egzemplarz „Avance” i dowiedzieć się, jaka obecnie panuje sytuacja w Oviedo: trzy miesiące oblężenia, ostrzeliwanie, przesunięcie frontu w głąb, dzielna i krwawa walka z kolumnami z Galicji, które zmierzały na pomoc powstańcom; niebawem faszystowski opór zostanie zmieciony, a miasto zdobyte, twierdził socjalistyczny dziennik. Musiał się dowiedzieć, czy Lena i rodzina dalej tam są, ale jak? Może znajdzie kogoś, kto trafił na nich pośród tego chaosu? Benito podał mu nazwisko przyjaciela z Partii Komunistycznej w Asturii i tylko tego mógł się uchwycić.

– Gdzie jest siedziba Partii Komunistycznej? – zapytał właścicielkę pensjonatu, zwałistą i wąsatą, która układała pasjansa w rogu jadalni.

Kobieta powoli uniosła głowę i odpowiedziała opryskliwie:

– W domu Paqueta, tam gdzie Musel.

Nie było łatwo wyciągnąć od niej konkretniejszych wiadomości, kiedy jednak mniej więcej zrozumiał, jak tam dotrzeć, postanowił pójść przez miasto na piechotę, w mżawce, drobnej i przesywającej; wołał kupić papierosy, zamiast zapłacić za tramwaj.

Dom Paqueta był burżuazyjnym pałacykiem na rogu ulicy z widokiem na morze. Nad wejściem wisiał herb, łuki, okapy i górowała majestatyczna wieża. O tej popołudniowej porze w środku nie było wielu ludzi. Guillén znalazł tylko jedną bojowniczkę za kontuarem; kobietę dojrzałą i dość miłą, która poinformowała go, że mężczyzna znajduje się na froncie, dowodząc kompanią ochotników.

– Przykro mi, synku. Jeśli mogę ci w czymś jeszcze pomóc...

Guillén skupił się na twarzy tej kobiety: była słodka, okrągła i pulchna. Miała w sobie coś matczynego. A on czuł się już tak zmęczony, tak zniechęcony... Włożył rękę do kieszeni i wyciągnął pognieciony, wilgotny papier: ostatni list od Leny. Ostrożnie rozłożył list na kontuarze, bojąc się, że go podrze. Tyle razy go otwierał i czytał, że zaczynał się drzeć w zgięciach.

– Szukam swojej rodziny... To jest ostatni adres, jaki mam, ale nie wiem, czy wciąż tam są, czy udało im się uciec... – Nie chciał brzmieć żałośnie, ale głos mu się łamał, bardziej z wyczerpania i rozpacz niż z jakiegoś innego powodu.

Bojowniczka poprawiła okulary i przeczytała adres na kopercie.

– Argañosa... To jest osiedle kolejowe, jeśli się nie mylę...

– Tak, mój ojciec pracuje na kolei.

– Trudno w dzisiejszych czasach znaleźć ludzi... – zauważyła przygnębiona.

– Może gdybyś spotkał jakiegoś sąsiada... Wielu kolejarzy z partii poszło do batalionu, który się nazywa Październikowa Krew. Teraz też się biją, właśnie w Oviedo. Ale kilku z tylnej straży spotyka się w barze przy pałacu Revillagigedo. To niedaleko stąd...

Bar nazywał się Pod Wielorybem i był tak marynarski, jak wskazywała jego nazwa: sieci na ścianach, stery, szklane boje i plakaty Sportingu Gijón, które dodawały wewnątrz trochę ciepła. Powietrze przesiąknięte było wilgocią, potem, papierosami i kwaśnym zaduchem trocin zalanych cydrem.

Kiedy Guillén wszedł do środka, przerwano grę i rozmowy, wszystkie spojrzenia zwróciły się w jego stronę; był nieznanym w miejscu, gdzie wszyscy się znali. Udając obojętność, podszedł do baru i zamówił szklaneczkę, tak jak to robili wszyscy inni ludzie w tym mieście. Wypił ją jednym haustem, zostawiając sobie niewielką ilość na dnie, którą wylał na ziemię; ten zadziwiający zwyczaj także zaobserwował u innych. Wykorzystując to, że dokładnie wszyscy na niego patrzą, zebrał się na odwagę i zapytał na głos:

– Czy jest tu ktoś z Argañosy?

Cisza i wrogość, nieufne spojrzenia spode łba. W pewnej chwili Guillén obejrzał się na drzwi, zastanawiając się, czy nie będzie lepiej czmychnąć z podkulonym ogonem.

– Kto chce wiedzieć?

Nie był pewien, z której strony padło to suche pytanie, więc przemówił do wszystkich:

– Nazywam się Guillén Álvarez i szukam swojej rodziny, mój ojciec był kolejarzem na Estación del Norte w Oviedo, kiedy wybuchła wojna.

Śmieszki w tle, jakieś szeptki i ciekawskie spojrzenia. Guillén, rozczarowany, wyszukał kilka monet, żeby zapłacić.

– Guillén? Pasierb Ramona Alvareza?

Słowo „pasierb” wprowadziło go w stan niepokoju. Odwrócił się i zobaczył chudego, czarnowłosego chłopaka z twarzą żółtą i pryszczatą, który przyglądał mu się z ciekawością.

– Tak... – odpowiedział ostrożnie.

– Nie pamiętasz mnie? Sabino... – Uderzył się w piersi, wyszczerzając żółte zęby. – Sabino Mera... Bawiliśmy się razem na rynku w wiosce...

Pamięć Guillena zaczęła przeglądać wypłowiałe obrazy, jakby nią wstrząsnęto: Sabino... tak... Ten chłopak szybki jak zając, który zawsze wygrywał gonitwy od kościoła do mostu; ten sam, co miał kurczaka, któremu odpuścili, bo był niejako członkiem rodziny, a Sabino wszędzie go prowadził na sznurku, aż któregoś dnia uciekł mu i zniknął, na pewno zjadły go lisy. Sabino... tak... To był dobry chłopak, jeden z niewielu, którzy nie robili mu krzywdy.

– Tak... Tak, już cię pamiętam.

– Ale ty przecież wyjechałeś do Francji.

Guillén wzruszył ramionami i uśmiechnął się, czuł, że policzki mu drętwieją z nerwów.

– Wyjechałem...

W końcu usiadł przy stoliku Sabina Mery i jego towarzyszy; wszyscy należeli do batalionu Październikowa Krew, a teraz mieli dzień odpoczynku. Towarzysze Manolín, Chato, Sabugo... Przy butelce cydru i paczce papierosów opowiedzieli mu o nieszczęściach, które spadły na miasto przez ostatnie tygodnie: zdrada Arandy, konieczność odbicia Oviedo jako miejsca symbolicznego, surowość walki na obrzeżach. Na początku października ruszyła mocna ofensywa na miasto, osłabione, zdemoralizowane i wygłodzone; obrońcy zaczęli się cofać i zajęto już wiele z peryferyjnych dzielnic, między innymi Argañosę i jej bocznice kolejową. Niedługo przerwą oblężenie, to tylko kwestia kilku dni.

– Mnie wybuch powstania złapał poza Oviedo, byłem za palacza na linii Gijón–León. Ale twoja rodzina tam była – zapewnił go Sabino. – Mieszkali w domku kolejowym niedaleko moich rodziców. Oni wyjechali do wioski, kiedy

zaczęło się robić niebezpiecznie, ale matka mi powiedziała: „Ramón i reszta z Falangi zostali. To wariaci”. No cóż, wiesz przecież, jaki jest twój ojczym... Walenie się w piersi, msza i różaniec. Nigdy nie interesowałem się polityką, nie chciałem wstąpić do żadnego związku. A twoja matka... Co za kobieta! Na krótko zanim się to wszystko zaczęło, rozdawałem ulotki przy drzwiach Ateneo Obrero; od czasu do czasu podnosiła pięść i recytowała kilka wersów *Międzynarodówki*, wiesz? – Zaśmiał się, jakby to był żart. – Nagle pojawiła się grupka falangistów: bródki, mundury spod igielki i gotowi, żeby mi przyłożyć. Pokazałem im rogi i dałem nogę, ale biegli jak nie wiem co i prawie mnie złapali. Skoczyłem za zakręt jakiejś ulicy, żeby ich zgubić, aż tu nagle otwierają się drzwi twoich rodziców i twoja matka woła mnie do środka. Wskoczyłem tam z największą przyjemnością. Ona zamknęła drzwi na klucz i kiedy czekaliśmy, aż te palanty sobie pójdą, poczęstowała mnie mlekiem i herbatnikami, żeby przeszedł mi strach. Czyli że uratowała mi skórę, a przynajmniej uchroniła przed obiciem gęby. Co za kobieta!

Guillén nagle mocno za nią zatęsknił.

– Ona... ona jest niesamowita.

Jeden z towarzyszy uniósł szklanę.

– Za matki, kurwa!

I wszyscy się przyłączyli. Tak naprawdę przyłączył się cały bar, a gdy wychylili do dna, zaśpiewali rzewną piosenkę:

W kopalni María Luisa
Zginęło czterech górników,
Ach, jakże ciężko na duszy,
Jak smutno mi, moja miła.

W końcu wszyscy z zapalem śpiewali zgodnym chórem. Brakowało tylko łaź, które przytłumiono następną kolejką cydru na koniec zwrotki.

– A widziałeś Lenę? – Guillén zapytał Sabina.

Ten otarł usta rękawem, po czym odpowiedział:

– Tak, widziałem ją. Chociaż ona nie mieszka z rodziną. Jest w centrum u jakichś ciotek. I teraz to wielka pani – rzucił sarkastycznie. – Jasne, że ją widziałem... Wiesz, z kim teraz chodzi? Pamiętasz Nina? Fermina Pajaresa?

Wspomnienie tego imienia, które niemal zapomniał, zmroziło go. Nawet nie odpowiedział.

– Kiedyś spotkałem ich razem przy kawiarni na ulicy Uría, bardzo szczebioczących. – Mrugnął do niego. – Bardzo poważny facet... Zapuścił wąsik...

– Dla żartu przyłożył sobie palec pod nosem. – Nie rozumiem, jak ten koleś może się jej podobać, zawsze był wredny. Jasne, że ma możliwości... tego mu nie brakuje.

Guillén zauważył, że zaczyna się pocić i że jego ręka zbyt mocno ściska szklankę cydru. Nalał sobie dwa razy więcej niż zwykle i wypił jednym haustem.

– Chcę się zaciągnąć – obwieścił ze zmarszczonym czołem.

Sabino przyjął wiadomość z radością i mocno klepnął Guillena po plecach.

– Stary! No to witaj po stronie wolności! W naszym batalionie zawsze jest miejsce dla jeszcze jednego człowieka. – Zaśmiał się, uderzając łokciem siedzącego obok towarzysza, który też się śmiał. – A ponieważ widzę, że należysz do partii... – Zawiesił spojrzenie na literach wyszytych na jego kombinezonie.

– No... niezupełnie. Nie mam legitymacji.

– Ech, to zwykła formalność. Jutro pójde z tobą i wyrobimy ci dokumenty. Do nocy mam przepustkę. Będziesz musiał podpisać deklarację i pokazać, że potrafisz strzelać... Byłeś w wojsku?

Guillén tylko pokręcił głową. Nie chciał wchodzić w zawile wyjaśnienia, że skoro mieszkał za granicą, mógł być odraczany w nieskończoność.

– Ale potrafisz obchodzić się z bronią?

– Tak, jasne, że tak – odpowiedział lakonicznie; nie wydawało mu się słuszne opowiadać o wszystkim, co się wydarzyło w ostatnich tygodniach, w tym o samolotowym karabinie.

– Czyli że wszystko gra. W oddziale mamy kilka braków. Postaram się, żeby przydzielili cię do nas, tyle że teraz ci na górze chcą nas militaryzować, więc przestają nas słuchać.

– Dowodzisz?

– Sekcją piechoty, oni tak ją nazywają... – podkreślił i wzmocnił to jeszcze gestem. – Kilku towarzyszy z parowozowni i mamy mniej broni, niż potrzebujemy. Przed kilku tygodniami mianowali mnie kapitanem. Przynajmniej dostaję trochę więcej pieniędzy.

– Oni płacą?

– Oczywiście! Dziesięć peset dziennie i wyżywienie. Utrzymanie to twoja broszka. Ale mogę ci znaleźć zakwaterowanie w jakimś porządnym domu za kilka peset.

Tej nocy Guillén położył się na sienniku z dziwnym uczuciem. Był podniecony, nawet pełen nadziei. W barze na koniec zaintonował *Międzynarodówkę* i *Hymn Riego*, obejmując ramionami towarzyszy. Wyciągnął w górę pięść i zawołał: „Niech żyje Rosja!”, „Niech żyje rewolucja!”, „Niech żyje republika!”, i przez chwilę miał wrażenie, że jest częścią tego wszystkiego: tych ludzi z wioski i z kolei, tych, którzy mieli tak ciężkie dzieciństwo jak on. Nazajutrz będzie bojownikiem gotowym walczyć za idee.

Nie, nie myli się, myślał, zasypiając. Robił to dla Leny, dla matki, żeby je odnaleźć... Ale stanie przed nimi z przekonaniem, z towarzyszami. Już nigdy nie

będzie się czuł samotny.

Podpisał więc pod dziesiątym punktem deklaracji przystąpienia do milicji:

Od tej chwili istnieje dla mnie tylko jeden cel: ZJEDNOCZENI ZWYCIĘŻYĆ FASZYZM. To szczere i zdecydowane dążenie sprawi, że będę walczył z płomiennym entuzjazmem, czcząc ideały wolności.

W Gijón, 16 października 1936

Bojownik Guillén Álvarez

*

17 października w sobotę Lena poszła na mszę na ósmą rano. Od świtu towarzyszył im ryk silników na niebie, ale nie było bombardowania. Może to były nasze samoloty, lecące na lotnisko w Leonie, ale nikt już nie wychodził, żeby sprawdzić. „Nie ufaj samolotom, choć przylatują z Leonu”, śpiewano na ulicach. W oddali, na szczytach góry Naranco, słychać było intensywną strzelaninę. Poza tym wszędzie panował dziwny spokój. Nawet w salach szpitala i na korytarzach było mniej krzątania, kroki były wolniejsze, a pojękiwania cichsze. Umierano w ciszy, z rezygnacją, po tym, jak poprzedniego dnia słyszeli odgłosy walki w pobliżu szpitala, coraz bliżej. Byli świadomi, że czerwoni już tam są; zdobycie szpitala było kwestią czasu.

O zmierzchu zaległa nad miastem gęsta mgła i wszystko wyglądało jak nie z tego świata, parujące opuszczone ruiny, pogrążone w takiej ciszy, że aż ciarki przechodziły. W pomieszczeniu aptecznym Lena, siostra Camila i kapitan rezerwy farmaceuta robili opatrunki ze szmat, które już nawet nie były bawełniane.

Początkowo nie zdawali sobie z tego sprawy, tak byli pogrążeni w pracy i błażej rozmowie prowadzonej dla zabicia czasu, ale na korytarzach robiło się coraz gwarniej i głosy wzmagały się niczym wzbierająca fala. Lena uniosła głowę, nasłuchując, ale zanim zdołała cokolwiek powiedzieć, jak huragan wpadła jej przyjaciółka Carmina.

– Widziano kolumny wojska z Galicji zjeżdżające po Naranco! Setki ludzi idą tu nas uratować! Idą na ulicę Uría od Estación del Norte! Wszyscy wyszli na ulice! – wykrzyczała.

Carmina śmiała się i płakała jednocześnie. Na korytarzach panowała nieprawdopodobna radość.

– Dzięki Bogu! Jesteśmy uratowani! – Siostra Camila zaczęła się żarliwie

modlić.

Kapitan stanął na baczność i zagryzł usta z emocji.

Lena z zaciśniętym gardłem rzuciła się w ramiona przyjaciółki. Nigdy nie czuła się tak szczęśliwa.

Tej nocy nie spano zbyt wiele. Była to noc eksplozji dynamitu w okopach wroga i rakiet oraz wiwatowania na ulicach Oviedo. Karmienia i przytulania żołnierzy, którzy dotarli do miasta po trzech dniach ciężkich walk. Noc miodu i piołunu. Pierwsza bitwa była wygrana, ale wojna nadal trwała.

O poranku wyszli przed bramę szpitala, żeby popatrzeć na defilujące wojsko. Byli wśród nich poborowi z północnej Afryki, o opalanej skórze i bardzo jasnych oczach, w szarawarach i turbanach jak król Baltazar, ochotnicy galisyjscy pod bardzo zabawnymi sztandarami, białymi z kolorową krewetką. I żołnierze, wielu żołnierzy.

Ludzie klaskali, wiwatowali i krzyczeli na ich widok, zagłuszając stukot ich butów. Jedni płakali, a inni się modlili. Śpiewano hymn Falangi: *Twarzą ku słońcu*. I latały kapelusze, chusteczki. I salutowano. Takiej radości, ferworu i rozpalonych tłumów nigdy wcześniej nie widziano, nawet w święto Santiny – Matki Boskiej z Covadongi – ani w dzień Świętego Mateusza.

Lena i Carmina machały żółto-czerwonymi flagami, które same uszyły i zabarwiły jodyną; towarzyszyły grupie rannych, którzy nie chcieli przegapić zabawy. Wmieszali się w tłum ze swymi owacjami i łzami – przede wszystkim Carmina, która nie była w stanie wypuścić chusteczki z rąk. Wtedy Lena go zobaczyła. Dostrzegła go pośród wielu innych twarzy. Na początku pomyślała, że to niemożliwe, że emocje robią jej złośliwego psikusa. Ale nie... To był on: wysoki na czele jednej kompanii, z karabinem na ramieniu.

Przecisnęła się pomiędzy ludźmi, przebiegła obok kolumny żołnierzy i rzuciła mu się w ramiona, krzycząc jego imię: „Pepe! Pepe!”

Przebiegła rękami po jego ciele, żeby się upewnić, że jest prawdziwy, zasypała go pocałunkami i wtuliła twarz w jego wilgotne ubranie, szorstkie i brudne. To był jej brat, jej kochany brat, o którym tak wiele myślała, za którego tyle się modliła, którego w najgorszych koszmarach wyobrażała sobie uwięzionego albo nawet martwego. A oto tutaj był i przytulał ją szaleńczo, podczas gdy wojsko defilowało obok, a dla nich czas jakby się zatrzymał. Jej brat wrócił do domu.

Jego plecak i karabin stały obok drzwi. Ramón odstąpił mu miejsce na jedynym fotelu w domu, głębokim i koślawym. Balbina usmażyła mu kiełbasę i nalala cydru, przechowywanego na specjalną okazję. I cała rodzina zebrała się, żeby posłuchać jego opowieści. Wychudł bardzo, a jego znużona twarz była znaczone zadrapaniami, ręce też, pełne odcisków i pokryte kawałkami brudnego materiału, które kiedyś były bandażami. Lena zastąpiła je nowymi.

A jednak nie przestawał się uśmiechać. W końcu był wśród swoich.

– Na lotnisku dowódca Gómez Spencer zachował wierność republice od pierwszej chwili, mimo że jest osobistym przyjacielem Ruiza de Alda i innych lotników falangistowskich – opowiadał im Pepe, zajadając się kielbasą, pierwszym ciepłym posiłkiem od tygodni. – Dowódcy innych koszar w Alcalá de Henares też poparli republikę. Kazali uwięzić wielu oficerów ze Szkoły Lotnictwa, oskarżyli ich o faszyzm i zabrali do więzienia w Guadalajarze. Ja nie widziałem możliwości ucieczki i przyłączenia się do powstańców. Krążyły plotki, że Burgos, Ávila, Segowia i Salamanka przyłączyły się do powstania; żadne z tych miast nie było daleko. Sytuacja się pogorszyła, kiedy grupa oficerów zbuntowała się w koszarach i zabiła dowódcę republikanów. Z Madrytu zaczęły docierać wojska, żeby stłumić rebelię, a najgorsze były pozbawione wszelkiej kontroli milicje. Wtedy zrozumiałem, że nie zostało mi wiele czasu. Tej samej nocy, 21 lipca, wymknąłem się z baraku i oszukałem straż, która bardziej skupiała się na tym, co się dzieje na zewnątrz, a nie na terenie lotniska. Wśliznąłem się do jednej z awionetek, Tiger Moth, motyl tygrysi – wyjaśnił, machając dłońmi przed rozdziawioną buzią Matiasa, który wybuchnął śmiechem, bo ta nazwa wydała mu się zabawna jak na samolot. Renata wykorzystała sytuację, żeby dolać mu wody. – Uruchomiłem go. Warkot silnika zaalarmował strażę, więc pobiegli w stronę samolotu, wygrażając rękami i karabinami. Puścili kilka serii, ale tylko trochę podziurawili kadłub. Po kilku minutach byłem w powietrzu, chociaż bardzo się bałem. Przez chwilę wydawało mi się, że skończę martwy na ziemi.

Wszyscy patrzyli na niego z otwartymi ustami, wstrzymując oddech. Ramón nawet się przeżegnał, wydawało mu się tak dziwne to, że te maszyny wznoszą się w powietrze i tak łatwo spadają; to sprawy czarów.

– Problem w tym, że miałem mało paliwa – ciągnął Pepe. – Wiedziałem, że w Burgos jest następne lotnisko ćwiczebne, więc leciałem nisko i z pomocą mapy drogowej, którą zabrałem z sali oficerskiej, zmierzałem w tamtym kierunku. Na szczęście była pełnia, więc jako tako było widać drogi. Ledwie udało mi się dolecieć do Gamonal, gdzie jest pas startowy. Jakieś trzysta metrów nad ziemią skończyło się paliwo, więc musiałem szybować, o mały włos bym nie doleciał. Nigdy czegoś takiego nie robiłem! Kiedy trzymałem drążki, widząc coraz bliżej ziemię, czując, że samolot coraz trudniej kontrolować, błagałem Boga, żeby pozwolił mi dołączyć do walki o Niego i ojczyznę.

Po tej epickiej historii, trzymającej w napięciu publiczność, milczącą i wsłuchaną, Pepe uśmiechnął się i wzruszył ramionami, po czym wziął do ust kawałek kielbasy.

– Pewnie dlatego mi się udało, że nasza walka jest słuszna. Wylądowałem i nie uszkodziłem samolotu. I za to dostałem awans na porucznika.

Wszyscy poczuli ulgę, zaklaskali i pogratulowali mu. Byli bardzo dumni

z własnego bohatera.

– A co się działo potem? – chcieli wiedzieć.

Pijąc lurowatą kawę, która pachniała mu chwałą, a smakowała jeszcze lepiej, Pepe w szczegółach opowiedział im swoje przygody do chwili, aż znalazł się z nimi w domu. Po Burgos przeniesiono go na lotnisko Virgen del Camino w Leonie, gdzie odbył pierwsze loty rozpoznawcze. Wiele razy przelatywał nad Oviedo, wiedząc, że rodzina tam jest; widział słupy dymu wznoszące się w niebo i przeczuwał nieszczęście swoich. Wtedy, bardzo chcąc im pomóc, poprosił dowódcę o przydział do jednej z kolumn ruszających z Galicji i przeznaczonych do walk o oswobodzenie Gijón i Oviedo. W ten sposób na początku sierpnia dołączył w Lugo do kompanii strzelców pułku Zamora. Postępy były wolne i okupione wysiłkiem. Kawalek po kawalku, wioska po wiosce musieli pokonywać twardą obronę milicji republikańskiej. Wysadzone mosty, intensywny ostrzał moździerzy i karabinów maszynowych z ufortyfikowanych linii, wojna partyzancka, ataki z powietrza... Mnóstwo towarzyszy poległo. Przez wiele dni walczyli bez wytchnienia, szczególnie pod koniec, kiedy już w pobliżu Oviedo napotkali dziką obronę wojsk oblężniczych, ulewny deszcz i błoto.

Ale udało im się. Przerwali okrążenie *in extremis*, kiedy Arandzie zostało tylko trzydziestu ludzi do obrony Oviedo. Otworzyli już korytarz, przez który dowiozą do miasta prowiant, lekarstwa i więcej wojska z tak zwanej strefy narodowej; gdyż jak zadeklarował generał Francisco Franco: „To jest ruch narodowy, hiszpański i republikański, który uratuje Hiszpanię od chaosu, w jakim chciano ją pogrożyć”. I on w to ślepo wierzy. Masy robotników i chłopów nie mają się czego obawiać, przerażone i manipulowane przez tych, którzy zawłaszczyli sobie republikę dla własnych korzyści. On, który tak jak wielu powstańców pochodził z tych biedniejszych klas, był pewien, że nie będzie kroku wstecz w sprawie zdobyczy socjalnych, które obwieszczali tamci. Był pewien, że przeciwnie, wyrównywano drogę, po której zostanie wprowadzona Hiszpania sprawiedliwsza, zjednoczona i w pokoju.

Z tym silnym przekonaniem i słodkim smakiem pierwszego zwycięstwa zasnął, w końcu w miejscu ciepłym i suchym; wciąż w zabłoconych butach i brudnej, nierozpiętej kurtce; z filiżanką kawy w zabandażowanych rękach i pocałunkiem Leny na nieogolonym policzku.

Następnego dnia musiał wracać do walki o zniesienie oblężenia miasta.

Listopad 1936

Ofensywa na Oviedo zakończyła się niepowodzeniem. A do strat w ludziach i sprzęcie oraz fizycznego wyczerpania wojska należało doliczyć straty moralne, które to niepowodzenie spowodowało. Bo Oviedo dla bojowników to było coś znacznie więcej niż miasto, to był symbol przegranej rewolucji, cierni od roku 1934. „Napić się kawy w Peñalbie!”, brzmiało hasło. Jak gdyby ta symboliczna kawiarnia przy ulicy Uría, odwiedzana przez klasy wyższe, była celem wojskowym ważniejszym niż koszary Pelagiusza.

Dlatego, mimo porażki i dyskusji, którą ona wywołała wśród członków Rady Rządzącej w Gijón, Oviedo dalej było najważniejszym celem, obsesją.

Front ustabilizował się wokół miasta, przebiegał mniej więcej po tej samej linii co w lipcu. Ponadto rozciągał się na północ wzdłuż rzeki Nalón i na zachód równoległe do tak zwanego przesmyku Grado, przez który miasto łączyło się z Galicią.

Do jednego z tych punktów, w sektorze Buenavista, został początkowo skierowany Guillén. W końcu udało mu się wstąpić do oddziału Sabina Mery. Wydano mu koc, menażkę, kubek i łyżkę. Odrobinę go przeszkolono i ruszył na front bez karabinu. Nie było broni. Sabino dał mu stary rewolwer, który on sam zabrał jeszcze ciepłemu nieboszczykowi, buntownikowi.

– Długo to nie potrwa – zapewnił go w sprawie uzbrojenia. – Zdaje się, że Rosjanie już nam wysłali pierwszy duży transport i niedługo będziemy tu mieli więcej broni. Chwilowo musisz się zadowolić rewolwerem. A jeśli któryś z towarzyszy polegnie, sam rozumiesz: bierzesz jego karabin i strzelasz.

Na jego pozycji były gniazdo karabinów maszynowych, punkt obserwacyjny, otwarte okopy i jeden okop, który nazywali „pancernym”, takie około stumetrowe przejście podziemne łączące ich z tyłami, gdzie znajdowały się dowództwo batalionu, kuchnia i punkt opatrunkowy. Wrogie okopy leżały sto pięćdziesiąt metrów dalej. Strefa przechodziła okres względnego spokoju, ze stałym frontem i całą akcją skoncentrowaną przede wszystkim na drugiej stronie miasta, a nie na Naranco, przesmyku Grado i froncie Nalón.

Pierwszy raz Guillén zobaczył Oviedo z punktu obserwacyjnego. Na widok miasta ogarnęło go przygnębienie: dymiący szkielet, w którym nie mogło zostać nic żywego. Była to bez wątpienia najbardziej dantejska scena z wielu, które już wcześniej zobaczył na tej wojnie. Patrzenie dzień po dniu na ruiny, kiedy nie mogli ruszyć naprzód, a tylko czekać, doprowadzało go do szaleństwa. Od czasu do czasu pomiędzy okopami następowała wymiana ognia, rzucano kilka granatów, puszczano kilka serii z karabinów maszynowych, po czym powracała cisza i bezczynność; jak gdyby obie strony chciały tylko przypomnieć, że ciągle tam są,

żeby nie było wątpliwości. Jednak Guillén, rozbrojony, nawet nie mógł sobie ulżyć, naciskając spust. Ponieważ umiał czytać i porządnie pisał, polecono mu sporządzać meldunki i nosić je na tyły. To proste zajęcie nie uspokajało jego serca.

Po dwóch tygodniach, zmęczony tym, że pająki wielkie jak dłoń chodzą mu po butach, że papierosy są tak zawilgocone, że prawie nie daje się ich palić, że leniwi bojownicy wiecznie opowiadają głupie kawały o falangistach... zmęczony tym, że mija czas, postanowił pójść do Sabina z propozycją wynikającą z jego niewysłowionego pragnienia przedarcia się do centrum miasta.

– Udał się do sektora Colloto – powiadomił go niechętnie oficer na służbie, kiedy zapytał go o kapitana Merę. – Nie wiem, kiedy wróci.

Kapral Melquíades był dynamiciarzem o niedzisiejszym wyglądzie, przyszedł z oddziału leońskich saperów, wysadzał mosty i całe pierzeje domów w dzielnicy San Lázaro materiałami wybuchowymi, które sam produkował, a przy tym zamiast butów zawsze nosił drewniane chodaki; koledzy z jego grupy leońskich saperów nazwali go kapralem, a przełożeni potwierdzili tę nominację. Jednak poza tymi wyczynami nie posiadał żadnego talentu wojskowego i był tak nieokrzesany, że podobno w swojej wiosce trykał się głową z mułem i wygrał.

Guillén pomyślał, że wykorzysta sposobność, którą podsunęło mu przeznaczenie, i oszuka kaprała Melquiadesa.

– Dobra, ponieważ teraz ty jesteś dowódcą na służbie, chcę prosić o pozwolenie przeprowadzenia misji rozpoznania.

Melquíades uniósł wzrok. Z jednego kącika ust zwisał mu niedopałek papierosa, a z drugiego wykałaczkę.

– Ja nie jestem dowódcą na służbie – przyznał z żalem. – To sierżant Viñas. Jest w latrynie i zabrał coś do czytania...

Guillén skrzywił się rozczarowany.

– Ach... sierżant Viñas... A to szkoda... Bo człowiek taki jak ty potrafiłby ocenić wagę tej misji, o której mówię... Nie wiem... Trzeba patrzeć strategicznie, rozumiesz?

Saper zmarszczył swoją jedyną i bardzo gęstą brew, był zaintrygowany.

– O czym ty, do cholery, gadasz?

Guillén wsparł się łokciami na stole, jakby klęczał w konfesjonale. Zapach czosnku z ust kaprała trochę go odrzucił, ale dalej szeptał poufale:

– Słuchaj, widziałem jakieś ruchy w okopach wroga. Dyskretne. Wyraźnie widać, że nie chcą, żebyśmy to zauważyli. Ale zdaje się, że coś kombinują. Pomyślałem, że pod osłoną nocy mógłbym podejść pod ich linie i przewąchać, co szykują.

– Na mózg ci padło. Chcesz, żeby odstrzelili ci łeb? – odparł kapral, nie okazując żadnych emocji.

Guillén poczęstował go papierosem, dobrym, amerykańskim, z tych, co to

jeszcze można je było dostać na czarnym rynku w Madrycie. Wykałaczką i niedopałek natychmiast zostały wyrzucone z głośnym splunięciem.

– To nie za duże ryzyko. Dokładnie przejrzałem teren i znalazłem przejście w martwej strefie, prawie poza zasięgiem naszych i ich strzałów. Muszę tylko się tamtędy prześliznąć i przygotować dobry raport. Jeśli się uda, obaj na tym zyskamy.

Spróbował papierosa, Melquíades obejrzał go dokładnie, obracając w podrapanych palcach. Wydał mu się za słaby, nic nie zastąpi porządnego skręta z czarnego tytoniu...

– No i co powiesz? Technicznie, dopóki sierżant Viñas jest w latrynie, to ty rządysz...

– A co będzie, jeśli sprawa się rypnie?

Guillén wzruszył ramionami.

– Mi odstrzelą łeb, a ty powiesz, co uznasz za stosowne.

Lakonicznym „twoja sprawa” z dodatkiem „jeśli będę miał przez ciebie kłopoty, utnę ci jaja i zmuszę, żebyś je zeżarł”, groźbą, co do której Guillén nie miał żadnych wątpliwości, że ją spełni, rozmowa została zamknięta. Tego mu było trzeba. Napełnił magazynek rewolweru, schował do chlebaka książeczkę, ołówek i latarkę. Oddałby pół życia za łyk alkoholu przed wyjściem na otwarte pole.

Linia obrony Oviedo miała około piętnastu kilometrów długości. Guillén był przekonany, że musi się w niej znajdować jakieś pęknięcie, niestrzeżone przejście, choćby najmniejsze, może zwykła dziura w płocie za plecami rozartagnionego wartownika. I był gotowy znaleźć to przejście, które pozwoli mu wśliznąć się do miasta i odszukać rodzinę. Dlatego za każdym razem, kiedy pozwalały na to warunki, zapuszczał się w stronę linii obrony wroga, prześlizgiwał się jak żmija po błocie, maskował jak kameleon w terenie, chowając się, gdy zaszła taka potrzeba, za ostrzem miecza. Wybierał spokojne noce, te, podczas których nikt nie strzelał i mógł się zbliżyć do wrogich okopów tak, że słyszał rozmowy żołnierzy, widział maleńki pomarańczowy ogień papierosa albo słyszał rzewne piosenki. Docierały też do jego uszu dalekie wystrzały z innych, bardziej aktywnych frontów.

Wszystko, co widział, skrupulatnie zapisywał i stopniowo tworzył szczegółową mapę terenu, na której umieszczał pozycje wojska i przybliżoną liczbę żołnierzy albo lokalizację umocnień obronnych, które wydawały mu się nieistotne, bo zwykle były to okopy bez żadnych dodatków poza drutem kolczastym, w najlepszym przypadku z deskami i workami z piaskiem. Widział zaledwie kilka bunkrów, gniazd karabinów maszynowych, magazynów amunicji albo baterii, chociaż w każdym przypadku starał się dokładnie opisywać uzbrojenie tych mniej lub bardziej ufortyfikowanych enklaw. Był nawet w stanie ustalić godziny zmiany wart na wielu z tych pozycji, jak również liczbę czuwających na każdej z nich

żołnierzy. Trudno mu jednak było znaleźć przejście przez linie wroga, które zostały wzmocnione galisyjskim wojskiem.

Poszukiwał już od kilku dni, aż pewnej księżycowej nocy dosłownie pełnąc zygzakiem po ziemi równoległe do linii kolejowej, dojrzał do kilku zrujnowanych domów w Argañosie. Tam, przechodząc od jednej budowli do drugiej przez dziury w murach, dotarł do placu, na którego podziurawionej tablicy przeczytał „Plaza de América”. Znalazł się na tyłach wroga.

Zrobił jeszcze kilka wycieczek, podczas których nabrał pewności, że ta okolica jest niezbyt skrupulatnie patrolowana. Zobaczył tylko jeden posterunek warty w bramie budynku na ulicy, przez którą musiał przejść, ale wystarczyło poczekać, aż wartownik skręci za róg, żeby przebiec na drugą stronę. W mieście dotarł aż pod mury szpitala. Wtopił się w nie, gdy przechodził patrol.

O świcie pojawiła się bardzo gęsta mgła i powietrze wypełniły krople wody, które stopniowo go przemoczyły. W brzuchu czuł głód ryczący jak dzika bestia. Był bardzo zmęczony i czekał go długi dzień bez żadnych wydarzeń na punkcie obserwacyjnym i w dowództwie.

W jego głowie kotłowały się myśli. Teraz, skoro udało mu się dotrzeć do miasta, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek wcześniej dręczyła go myśl o odszukaniu rodziny. Mógł stwierdzić, że w Argañosie, ostatnim znanym mu miejscu pobytu bliskich, już ich nie ma; nie było tam żywego ducha, dzielnica zmieniła się w równinę zburzonych i opuszczonych domów... W jednym z nich natknął się na książki, które zabrał ze sobą: porzucane pośród śmieci i gruzu; jedyne rzeczy ostające się po szabrownikach spalonej na miejscu skromnej biblioteki. Był wśród nich tomik wierszy rewolucyjnych Broniewskiego, po polsku, i krótka powieść Vargasa Vili z osmaloną okładką. Poczul instynktowną potrzebę ocalenia ich od zapomnienia i brudu, więc włożył je do chlebaka. Od tak dawna nie czytał... Prawdziwych książek, a nie tendencyjnej prasy czy propagandowych ulotek... Jego książki zostały w Paryżu, niektóre w Madrycie. Marzył o czytaniu... Dobra historia... fotel, ogień na kominku, kieliszek, spokojna muzyka...

– Stój! Hasło!

Ciepły, złoty salon się rozwiął. Nie zdając sobie z tego sprawy, dotarł do pozycji, i teraz Nata zastąpiła mu drogę z karabinem wycelowanym w pierś. Nata była jedyną bojowniczką, która chodziła z bronią na pierwszej linii. Były inne bojowniczki, ale pracowały w kuchniach albo w aptece i zbliżały się do pierwszej linii tylko po to, żeby rozlewać kawę do kubków. To oczywiście, że Nata nie była zwykłą kobietą, strzelała lepiej niż wielu mężczyzn, wyrażała się gorzej niż niejeden z nich i żuła tytoń jak krowa. Gdyby nie była kobietą, zostałyaby sierżantem, a nawet kapitanem. Tak mówiła ona. Mówiła również, że jest na wojnie, żeby bronić swoich ideałów, bo miała je jak każdy człowiek. I nie przez zemstę, „jakby jebany żal mógł być jedynym powodem, dla którego kobieta może

chwycić za broń. Mnie nie zgwałcił żaden faszysta ani nie zabił mi ojca. Jestem tu, bo... tak mi się podoba i chuj!”. Czasem nawet Nata gryzła się w język.

– Daj mi przejść, Nata... Jestem zmęczony...

– Nie niszczyj mi tej przyjemności. No podaj hasło. Jeszcze nigdy nie miałam okazji prosić nikogo o hasło.

Guillén spostrzegł, jak bardzo blisko znalazły się ich ciała, gdy bojowniczką podeszła do niego. Westchnął.

– Cudowne jest patio mego domu – wyrecytował niechętnie pierwszą rzecz, która przyszła mu do głowy.

Nata wybuchła śmiechem.

– Ale z ciebie jebany żartowniś! I co, u diabła, robisz tam przez te wszystkie noce? Czy kapitan o tym wie?

– To nie twoja sprawa.

Guillén ruszył naprzód, ale ona znowu zastąpiła mu drogę. Bojowniczką odłożyła broń na bok i pogładziła go po policzku; miała szorstkie dłonie.

– Wiesz, że nie mam nic pod kombinezonem?

To, że Nata przemówiła jak kobieta, wydało mu się zdumiewające. Zwłaszcza że ścisnęła mu jądra z siłą mężczyzny. Guillén odsunął jej rękę.

– No to powinnaś coś na siebie włożyć, bo się przeziębisz.

Chciał iść.

– Co jest? Jesteś pedałem czy dla Francuzika nie jestem wystarczająco dobra?

To go zaintrygowało.

– Skąd wiesz, że przyjechałem z Francji?

Ona wzruszyła ramionami i wypluła tytoń.

– Bo wszyscy mówią o tobie Francuz.

– Nie jestem Francuzem.

Ona znowu się zaśmiała z szeroko otwartymi ustami – były tak wielkie, że przy nich jej oczy wydawały się malutkie.

– Ha! A mówiłam, że nie możesz być Francuzem. Mówisz po hiszpańsku tak dobrze jak ja!

Guillén był przekonany, że mówi lepiej od niej. Ta arogancka, acz przelotna myśl natychmiast odeszła na bok, kiedy zobaczył, że Nata rozpięła kombinezon i wyciągnęła jedną pierś. Rzeczywiście nie miała nic pod spodem.

– Co? Nie chciałbyś spróbować? Pozwolę ci sobie possać, ile będziesz chciał. Tam, za drzewem. Nikt nas nie zobaczy...

Zrobiło mu się jej żal. Z jakiegoś powodu ta kobieta myślała, że to najlepszy sposób, żeby się dowartościować, żeby uznano ją za równą, taką jak mężczyzna.

– Nie rób tego, Nata...

– Robię ze swoim ciałem, co mi się podoba. Jestem wolną kobietą!

Guillén pokręcił głową ze smutkiem. Odwrócił się na pięcie i odszedł. Ledwie się jednak odwrócił, kiedy poczuł silne uderzenie w plecy.

– Jebany Francuz! – Nata jeszcze z piersią na wierzchu groziła mu następnym kamieniem. I dalej wyrzucała z siebie przekleństwa, w miarę jak on znikał pośród zarośli. – Jasne, że tak! Idź sobie ze swoimi muchami w nosie, jebany pedale! Twój chuj jest na mnie za mały! Idź się walić! Chuju!

Guillén przyspieszył kroku, żeby nie zdążyła chwycić za karabin i go zastrzelić, bo wydawało mu się to całkiem prawdopodobne.

Po kilku dniach bez snu, poza króciutkimi drzemkami na posterunku, w końcu dostał wyczekiwaną przepustkę. Cały dzień spędzony w łóżku.

Sabino załatwił mu zakwaterowanie w domu wdowy po górniku poległym podczas zamieszek po jednym z wielu strajków, które wstrząsnęły kopalniami. Można było uznać, że to bardzo ładny pokój, z jednym oknem wpuszczającym promienie słońca, z siennikiem i dwoma grubymi kocami, które dołożone do jego koca i żarownika, wypożyczanego przez wdowę za dodatkową drobną opłatą, zmieniały godziny snu w doświadczenie ciepłe i przyjemne. Było to miejsce proste, czyste i tanie. Poza tym znajdowało się w Langreo, niezbyt daleko od frontu, o kilka minut jazdy autobusem. A za dodatkowe dwie pesety wdowa prała ubranie, przygotowywała śniadanie i kolację.

Pani Rosina była kobieciną drobną i pulchną, z twarzą wyprofilowaną piśszczotami i zamiast oczu miała dwa lśniące węgielki. Lekko szpakowate ciemne włosy wiązała w kok i nie nosiła chusty, żeby nie przeszkadzała jej w pracy. Miała ręce suche i czarne od węgla. Więcej kaszlała, niż mówiła, głosem łamiącym się, ale zaskakująco miłym (może dlatego, że mówiła do niego synu i wiecznie lamentowała, że jest taki chudy). Zwykle siadała przy stole w kuchni, kiedy on jadł, żeby z nim rozmawiać.

Rosina zaczęła pracować w kopalni, gdy owdowiała, na pół etatu. Ale była patronom bardzo wdzięczna za to, że ją przyjęli, mimo że jej mąż brał udział w strajkach, a ona mogła pracować tylko rano. Dzięki temu wychowała córkę i dobrze ją wydała za mąż za rybaka z La Coruñi. Teraz dziewczyna mieszkała w Galicji i od początku wojny nie miała z nią kontaktu; nie wiedziała nawet, czy przyszło już na świat dziecko, którego się spodziewała mniej więcej w tym czasie. Nie była kobietą zbyt religijną, ale wierzyła w Boga i przede wszystkim w Santinę, „bo jest bardzo cudowna. Ona uwolniła nas od Maurów, a teraz ci generałowie z powrotem ich sprowadzają”, lamentowała. Odżegnywała się od polityki: „Ja nigdy nie chciałam, żeby mój Ernesto wstępował do związku. Wiedziałam, że z tego nie przyjdzie nic dobrego... Ale on... On był taki uparty... A teraz co? Zginął, i to tak bez sensu. Ta wojna zresztą też jest bez sensu. Nie przyniesie nic dobrego. Robotnicy walczą z robotnikami. Bracia przeciw braciom. Chłopaczki

takie jak ty... A jedyni, którzy coś na tym zyskają, to będą ci z góry; oni zawsze wygrywają i się przy tym nie narobią”.

Czasem była tak zmęczona, że siadała przy stole nad filiżanką kawy z mlekiem i z nieobecnyim spojrzeniem głaskała kota, który od tych pieszczot szerniał całkiem jak węgiel. Wtedy Guillén sprzątał kuchnię i zmywał naczynia. „W twoim wieku nie powinnaś tyle pracować, Rosino”, mówił z rękami do łokci w tłustej wodzie. „Ach, chłopcze... w moim wieku ciągle mam taki zły nałóg, że bardzo chce mi się jeść”.

Tamtego popołudnia Rosina już była w domu i gdy wszedł, poczuł zapach gotowanej mąki kukurydzianej z papryką, dania, które wdowa tak świetnie przygotowywała. Ona uszczypnęła go w policzki, przypomniała mu, jak bardzo jest chudy, i powiedziała:

– Ktoś do ciebie przyszedł, chłopcze.

Zapalił świeczkę i wszedł po schodach do pokoju, zaintrygowany zastanawiając się, kto to może być. Szybko rozwiał swoje wątpliwości, gdy popchnął drzwi i zobaczył Sabina siedzącego na łóżku.

– Sabino! Nie wiedziałem, że wróciłeś! Cieszę się, że cię widzę...

Radość nie była odwzajemniona. Kapitan zmarszczył czoło i zacisnął szczęki. Jego twarz wydawała się bardziej koścista i ostrzej zarysowana niż zwykle.

– Czy to prawda, że nocami wypuszczasz się za linie wroga? – rzucił bez wstępów.

– Wiesz... Ja... Miałem ci o tym powiedzieć...

Sabino zeskoczył z łóżka jak dzikie zwierzę, chwycił go za kołnierz koszuli i pchnął na ścianę. Świeczka spadła na podłogę i zgasła; pokój pograżył się w ciemnościach i Guillén poczuł lułę pistoletu na czole.

– Czyli że to prawda! Pierdolony skurwysynu! Jesteś zdrajcą? Jesteś jebanym zdrajcą? Bo jeśli jesteś, przysięgam, że zabiję cię na miejscu! Bez sądu i pierdolenia!

Guillén starał się zachować spokój, chociaż ledwo mógł mówić, czując, jak stal wbija mu się boleśnie w skórę.

– Nie... Nie jestem zdrajcą... Daj mi... Daj mi wyjaśnić... Wszystko ci wyjaśnię... Tylko zabierz ten pistolet... Kurwa!

Guillén wszystko mu wyjaśnił. Czuł wściekły oddech Sabina na twarzy i jego pistolet twardo wbijający się w pierś. Z czoła spływała mu po nosie strużka krwi. Odnosił wrażenie, że Sabina guzik obchodzą jego argumenty; on już go skazał i miał ochotę wreszcie nacisnąć spust. Nie było łatwo.

Siedząc na skraju łóżka, podawali sobie butelkę wódki z zapasów pani Rosiny. Guillenowi delikatnie trzęsły się ręce; spadek adrenaliny i nadmiar

alkoholu. Rana przestała krwawić, ale brzydki czarny strup przecinał mu czoło. Wyglądał okropnie.

– Na początku chciałem ci opowiedzieć... Przysięgam... Ale potem... Dobra, pomyślałem sobie, że nie pozwolisz mi tego zrobić.

– I nie pozwoliłbym ci. Bo to czyste szaleństwo. Nie rozumiem, jak to możliwe, że jeszcze żyjesz... Powiedz: jak ty to, kurwa, robisz? Jak sprawiasz, że cię nie widzą?

Guillén pociągnął łyk z butelki i wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

– Kurwa, jak ja was nienawidzę! Jak ja nienawidzę tych, którzy mają talent i zawsze mówią to samo: nie wiem, nie wiem, jak to robię... – kpił Sabino, przedrzeźniając go. – Bo masz talent, chłopaku. Masz jebany talent, skoro udało ci się pójść i wrócić tyle razy i nie odstrzelili ci łba, jakbyś był jakimś duchem! To, kurwa, czyste szaleństwo!

Guillén kołysał się przy każdym dźgnięciu palcem wskazującym Sabina. Chciał opaść na materac i się przespać.

– Kto ci o tym powiedział?

– Nata... Kurwa, jak ta kobieta cię nienawidzi! Coś ty jej zrobił?

– Raczej czego nie zrobiłem... Wszystko jedno... Masz papierosa? Zgubiłem swoje... – powiedział, nerwowo obmacując koszulę.

Łapczywie zapalił papierosa, którego podał mu Sabino, i mówił dalej:

– Słuchaj, nie będę sobie wieszał medali, nie zrobiłem tego dla sprawy ani z żadnego szlachetnego powodu... Zrobiłem to z egoizmu, czystego, prostego egoizmu. Bo dręczy mnie rozpacz, bo nie mogę siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić, bo muszę dowiedzieć się czegoś o mojej rodzinie, bo muszę wejść do tego pierdolonego miasta i wyciągnąć ich stamtąd... No, ale skoro już byłem... – Sięgnął do chlebaka i wyciągnął zeszyt. – Zanotowałem wszystko: pozycje, wojsko, wartownicy, zmiany warty, uzbrojenie...

Sabino wziął notes do rąk i przejrzał go z ciekawością, strona po stronie. Plany, mapy, zapiski...

– Kurwa, stary... To jest nieprawdopodobne... Słuchaj – spojrzał na niego podniecony – to jeszcze tajemnica, ale na koniec tego miesiąca przypuścimy następny szturm, żeby odzyskać stracone pozycje. I dlatego ten zeszytek jest na wagę złota!

– Dobra... Cieszę się... – Guillén nie okazał zbyt wielkiego entuzjazmu; może dlatego, że nie miał już na to sił. – Przypuszczam, że więcej nie będę mógł wychodzić...

Sabino westchnął. Z tym zeszytem w kieszeni czuł, że może okazać wielkoduszność.

– Coś trzeba zrobić z tą twoją zdolnością, którą nagle nam objawiłeś...

Oczywiście, że nie możesz wałęsać się jak ten samotny wilk. Dobrze to czy złe, teraz jesteśmy wojskiem... przynajmniej tak mówią. Ale przyszło mi coś do głowy... – Z żalem stwierdził, że butelka jest pusta, i mówił dalej: – Jest pewna grupka... Z dziesięciu takich porąbanych facetów jak ty. Teraz nazywają ich wywiadem wojskowym, jebnąć można. To sabotażyści, szpiedzy, duchy, które przekradają się przez linie wroga. Dowodzi nimi jakiś Galisyjczyk, blondyn z twarzą dziecka i wielkimi jajami. Porządny chłop... Nigdy nie wiesz, czy wchodzi, czy wychodzi; no bo to Galisyjczyk, sam rozumiesz... Ale porządny chłop. Wydaje mi się, że twój... talent świetnie im podejdzie. Dobra, przemyśl to, zanim się zgodzisz. Ci goście są w otchłani, nikt nie chce mieć z nimi nic wspólnego. A jeśli ich łapią... strzał w tył głowy.

Dowódca Sabino Mera, świeżo awansowany po śmierci poprzedniego dowódcy, poległego na froncie Grado, dokonywał przeglądu pododdziałów: stare i brudne ubrania, różne obuwie, przeważnie łapcie, berety, furazerki, kilka hełmów na uprzywilejowanych głowach; zdecydowane spojrzenie i nic do stracenia. Oto byli ludzie, którym mógł zaufać.

W ramach przygotowań do planowanej ofensywy przeniósł swój batalion do tak zwanego sektora Lugones–Colloto, na pozycję Fitoria. Czasem okopy znajdowały się na odległość rzutu kamieniem od wrogich linii, w niektórych miejscach oddzielone od siebie wyłącznie linią kolejową. Często w długie i nudne dni żołnierze przekrzykiwali się z okopu do okopu: „Jebani faszyści!”, „Czerwone śwynie!”. Potem wysyłali do siebie parlamentariuszy i wymieniali się prasą, kłamstwami i fanfaronadami, żeby w końcu zegnać się w przyjaźni poklepywaniem po plecach. Krążyła legenda, że w Sograndio w środku wymiany ognia ktoś zawołał: „Przestańcie, bo jeszcze kogoś traficie!”. I ci drudzy przestali strzelać. Ale to tylko legenda.

Czy było to prawdą czy nie, Sabino wpadł na pomysł. Porozmawiał na uboczu z sierżantem, który zajął się logistyką operacji: wezwali bojownika Eduarda Sendina, mężczyznę o potężnym głosie, i przekazali mu odpowiednie instrukcje.

– Ej, wy, faszyści! – zawołał Sendín z okopu.

Po kilku sekundach ciszy z wrogich okopów dobiegła odpowiedź.

– Co jest, czerwony?

– Czy jest u was jakiś krewny Guillena Alvareza?

Cisza.

– Macie gazety?

Na to zaskakujące pytanie towarzysz Sendín stracił rezon i odwrócił się do sierżanta z prośbą o instrukcje, ten zawołał do dowódcy, a dowódca odpowiedział mu krzykiem:

– Nalegaj, człowieku, nalegaj!

Sendín znowu zawołał:

– No, ale jest tam jakiś krewny Guillena Alvareza czy nie?

– Ale, kurwa, o co chodzi? Dobra, jest Pedro Álvarez, Victorino Álvarez, Ricardo Álvarez i Seraffín Álvarez, ci dwaj są kuzynami... Kurwa, nawet muł nazywa się Álvarez! A, i jest jeszcze porucznik José Antonio Álvarez. Aleście wymyślili rzadkie nazwisko.

– Ten! – przejął inicjatywę Sabino. – José Antonio Álvarez! To brat tego, o którym mówimy. Guillena. Chcemy z nim porozmawiać.

– No to raczej niemożliwe, bo jest na stanowisku dowodzenia.

– A nie możecie po niego pójść?

Cisza.

– No to macie te gazety czy nie macie?

Po rozwiązaniu kilku problemów komunikacyjnych Sabino i Pepe spotkali się pośrodku linii kolejowej pod ciekawskim okiem żołnierzy obu stron, którzy wystawili głowy z okopów. Pozdrowili się uściśnięciem dłoni, rozmawiali chwilę, wymienili gazety na wyraźną prośbę zbuntowanego garnizonu i pożegnali się przyjaznym gestem.

Sabino wrócił na pozycje z pragnieniem przekazania Guillenowi dobrych wiadomości: widział jego brata, rodzina ma się dobrze i umówili się na następne spotkanie za dwa dni w tym samym miejscu. „Chce zobaczyć matkę. Ryzykował życie, żeby ją zobaczyć”, nalegał Sabino, ale Pepe nie mógł mu niczego zagwarantować. „Gdyby to ode mnie zależało, oczywiście, że by ją zobaczył, ale decyzja należy do dowódcy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy”.

Guillén stracił ochotę na sen i apetyt. Przewracał mu się żołądek. Nie mógł uwierzyć, że spotka się z przyrodnim bratem, że dostanie wiadomości od swoich po tak długim czasie i po tak wielu wysiłkach, po tak wielkiej niepewności. Z plecami przypartymi do parapetu z worków z piaskiem, cierpiąc od przedłużającego się czekania, przeliczał te dziewięć lat, podczas których nie widział matki. Myślał o jej głosie, twarzy, która już mu się zamazywała, była niewiele ponad spojrzenie, uśmiech; głos.

„Nadszedł czas”, usłyszał. Otarł pot wierzchem lodowatej dłoni i głęboko odetchnął. Tak, w końcu nadeszła pora.

Towarzyszili mu Sabino i jeszcze dwóch bojowników. Razem ostrożnie wychylili się z okopu. Ogłosili przerwanie ognia i zapadła niepokojąca cisza. Ostre światło południowego słońca roztapiało horyzont i oślepiało. Ledwie dostrzegł postaci kołyszące się na tłuczniu, ale gdy znalazł się na nasypie, rozpoznał go. Brata.

Rzucili się sobie w ramiona, w milczeniu i na długo. Odsunęli się od siebie,

żeby coś powiedzieć, ale tylko się zaśmiali i znowu objęli. Aż w końcu Pepe spojrzął mu w twarz.

– No proszę... ale urosłeś... – Poczochrał go po głowie.

– Ty też. – Guillén uśmiechnął się. Brat w wojskowym mundurze zrobił na nim wrażenie.

Kiedy się żegnali jako dzieci, Pepe nawet nie mógł sobie wyobrazić, że zobaczą się ponownie jako żołnierze stojący po przeciwnych stronach barykady w bratobójczej wojnie. To spotkanie pośrodku torów kolejowych, możliwe dzięki przerwaniu ognia, było słodko-gorzkie. Ze smutkiem spojrzął na zniszczone ubranie bojowników i brata i pomyślał o banknocie, który miał przy sobie.

– Słuchaj, Guillén...

– Jak tam reszta? – zapytał Guillén, nie pozwalając mówić bratu. – A moja matka?

– Wszyscy zdrowi, dzięki Bogu. Trochę chudsi, ale żyją. Twoja mama też. Bardzo chciała cię zobaczyć. Zrobiłem wszystko, żeby dzisiaj była tu ze mną, ale ze względów bezpieczeństwa kapitan nie pozwolił jej przepuścić do dowództwa. Nie może się doczekać, aż wrócę i opowiem, co u ciebie słychać.

– Powiedz jej, że u mnie wszystko w najlepszym porządku, jak widać. I że przyjechałem po nią.

– Jak to...?

– Powiedz jej to. A Lena?

– Jak wariatka, odkąd się dowiedziała, że tu jesteś. Żeby ją utrzymać z daleka od dowództwa, trzeba by z pół garnizonu – zażartował. – Nie jest tak rozsądna jak matka...

– Czyli że dalej jest w Oviedo? Jest z rodziną?

– Tak, pracuje jako pielęgniarka ochotniczka w szpitalu. Słuchaj, nie mamy więcej czasu... – Spojrzął kątem oka na wartowników z obu stron, rozmawiających ze sobą i palących papierosy o kilka metrów opodal. – Nie wiem, czy jesteś po drugiej stronie przez przypadek czy z przekonania. Wolę myśleć, że to pierwsze. W każdym razie proszę cię, cała rodzina cię prosi, szczególnie twoja matka, żebyś przeszedł na tę stronę. – Chwycił go za rękę i ukradkiem wsunął mu w nie jakiś papier. – Możesz to zrobić z całkowitą pewnością przez wskazane miejsce i podając zapisane hasło.

Guillén oddał mu kartkę.

– Przykro mi... Nie mogę tego przyjąć.

– Mam więc rozumieć, że...

– Że chcę być po tej stronie.

Pepe był zdumiony.

– Ale Guillén... Czy nie zdajesz sobie sprawy, że oni chcą zniszczyć Hiszpanię dla własnej korzyści? Że to oni sprowadzili chaos, anarchię, że poróżnili

społeczeństwo? Po tej stronie walczymy w imię Boże za ojczyznę, w której wszyscy mogą żyć w pokoju i dobrobycie.

Guillén nie należał do miłośników wyszukanych przemów. Nie lubił okrągłych zdań, często pozbawionych treści. On był znacznie bardziej dyskretny i oszczędny w słowach.

– Słuchaj, przyjechałem tutaj w nadziei, że wyciągnę was z kraju, uwolnię od tej wojny, która nigdy nie powinna się była zacząć. Ale widzę, że zajęliście stanowisko... W porządku, szanuję to. Ja jednak, gdy mam chwycić za broń... jestem z ludźmi z mojej klasy.

Z mojej klasy? Pepe poczuł wściekłość. Ileż argumentów przeciw przychodziło mu do głowy, ileż powodów, dla których własną postawę miał za słuszną. Potrzebował tylko odrobiny czasu, żeby przemówić bratu do rozumu, ale już zbliżali się wartownicy, żeby skończyć tę rozmowę. Poszedł na spotkanie z bratem, a żegna się z nieznanym.

– Przykro mi – zakończył, wyciągając do niego rękę. – Uważaj na siebie.

Guillén przytulił go.

– Ty też... To nie my, Pepe. To wojna. Ta pierdolona wojna.

*

Lena nie była rozczarowana. Znała Guillena lepiej niż pozostali, oprócz Balbiny. A Balbina również nie była rozczarowana. Koziarz analfabeta, bękart anarchisty... Nie ma znaczenia, do czego doszedł. Są blizny, z którymi można się obnosić jak z medalami, kiedy rany już przestaną boleć. I dla Leny to właśnie była wielkość Guillena: nie zapominał, skąd pochodzi. To oczywiste, że Lena była w nim zakochana.

Na pewno trudno było mu się do tego przyznać, bo robiąc to, zamykał książkę z piękną historią i otwierał inną z niepokojącym prologiem o postaciach stojących po dwóch stronach barykady, odległych światach i odnalezionych mirażach, a po nich następowały inne, nie mniej niepokojące czyste strony. Ale to, że się przyznał, sprowadziło na nią spokój ducha; nic nie musiało się zmieniać, ponieważ ona na swój sposób zawsze go kochała. Musiała tylko pozwolić biec czasowi, a przeznaczeniu napisać nowe wersy; Guillén we Francji, ona w Hiszpanii. Bóg ich połączy.

Wszystko było znakomicie zaplanowane, dopóki się nie skomplikowało. I nie, to nie tylko wojna, chociaż ta wojna postawiła ich po przeciwnych stronach i mogła otworzyć rany, wszystko zniszczyć... Dlaczego nie został we Francji? Skończyło się to słodkie i skrywane uczucie, to cierpliwe oczekiwanie nie wiadomo na co, a oni – jeszcze dzieci – na trawie, ta miłość pozbawiona praw

i obowiązków... Guillén znalazł się po drugiej stronie frontu, a ona wiedziała, że to nie jest przypadek.

Te motylki, które połknęła we Francji i które ledwie zdołała uśpić, teraz budziły się i towarzyszyły jej trzepotaniem skrzydełek przez cały dzień. Przeklęte owady.

Na nich koncentrowała się tego dnia, gdy wyszła ze szpitala po skończonym dyżurze. Ciągle rozpamiętywała tę samą historię.

– Przepraszam, panienko... Czy zechciałaby pani przejść się ze mną?

Lena odwróciła się, zdumiona i oburzona. Kto może być aż tak bezczelny? Krew ścięła jej się lodem w żyłach. Oto stał tam, opierając się o mur szpitala, jak ciepły narzeczonny. Jakby zawsze tam był. Miał na sobie garnitur w prążki, zakurzony, oczy ukryte pod kapeluszem, kpiarski uśmiech wyłaniający się spod ronda. Dyskretnie uniósł palec wskazujący do ust. Nie musiał, Lena nie była w stanie wykrztusić ani słowa.

Wziął ją pod rękę i poprowadził za róg, na mniej uczęszczaną ulicę. Tam ją pocałował. Skradziony pocałunek, w czerni i bieli, gdzie nie sięgały światła latarni. Kiedy odsunął się, żeby na nią spojrzeć, Lena wciąż miała zamknięte oczy.

– Chodź za mną.

– Dokąd?

On się uśmiechnął.

– Naprawdę ma to dla ciebie znaczenie?

Jak uciekające szczury przebiegli ciemne ulice wśród ruin. Dziwny pejzaż, sceneria, która płynęła, falując i rozmazując się. Czuła, że ją mdli, ale brnęła za Guillenem lekka i nieświadoma jak papierowa lalka.

Weszli do opuszczonego budynku dawnej prywatnej szkoły. Ławki leżały poprzewracane wśród porozrzucanych kartek i porozlewanego atramentu, podziurawione tablice odchyłały się od ścian, na których wisiały jeszcze podarte zdjęcia uczniów.

Guillén znowu ją pocałował, całował bez wytchnienia.

Ileż nieprzespanych nocy, spędzonych na zastanawianiu się nad tym, co jej powie, kiedy w końcu weźmie ją w ramiona, ile daremnie wygłoszonych przemówień... Czasem magia zadowalała się milczeniem i nawet najpiękniejsze słowa okazują się pospolite i niewczesne, bo zmuszają do oderwania ust od ust Leny.

W żarze tej namiętności chciałby zerwać z niej płaszcz i fartuch, który już nawet nie był biały. Myślał o skórze pod spodem, różowawej skórze brzoskwini, i czuł, jak wrze w nim krew. Resztki rozsądku zatrzymały jego dłoń już na jej obojczyku.

– Mój Boże, Leno... Leno, ja...

Język wydawał mu się szmatą, a mózg pustym kartonem. Jego zmysły były

całkowicie otepiały.

– Oszalałeś... Co ty tu robisz? – Słowa rozwiewały się jak dym na wietrze. Było zimno i Lena zadrżała.

– Przyszedłem po ciebie. Wyciągnąć cię z tego piekła.

Lena przebiegła oczami po jego twarzy. I dopiero wtedy poczuła, jak bardzo za nim tęskniła przez te wszystkie miesiące, przez te wszystkie lata. Chciało jej się płakać. Znowu rzuciła mu się w ramiona i powtórzyła jego imię, upewniając się, że Guillén naprawdę tam jest i może go przytulać do granic swoich sił.

– Ale teraz jesteś z nimi. Jesteś bojownikiem – przypomniała sobie w chwili przebłysku świadomości.

– Jestem z nimi, bo w tym przeklętym kraju nikt nie rozumie, że nie można nie być ani jednego, ani drugiego koloru... Nikt nie rozumie, że moją jedyną religią i moją jedyną ideologią jesteś ty.

Lena pogładziła go po policzku.

– Nie oszukuj mnie, Guillén, już we Francji mi powiedziałeś, co myślisz, jakie są twoje ideały.

– Powiedziałem ci też, że cię kocham, a ty uciekłaś w te pędy. Ale to teraz nie ma znaczenia. Nie ma dla mnie znaczenia, czy mnie kochasz czy nie. Chcę tylko, żebyś była bezpieczna, bo jeśli coś ci się stanie, ja umrę... Uwierz mi, Leno, nie przyjechałem walczyć, przyjechałem po ciebie i dlatego był mi potrzebny mundur, to wszystko.

W końcu stało się tak, że hamowane łzy popłynęły po policzkach. Lena nie chciała, żeby je zobaczył.

– Nie mogę, Guillén... – Zamilkła, walcząc o to, żeby nie usłyszał jej zduszonego łkania. Ale było za późno.

– Nie płacz... – Przytulił ją. A wtedy ona rozplakała się na dobre.

– Ja... ja nie chcę cię zranić i chcę być przy tobie... Ale nie mogę... Potrzebuję mnie... To jest moje miejsce... To jest moja wojna... – łkając, wyrzucała z siebie słowa. Nie potrafiła wyrazić wszystkiego, co czuła.

Guillén postawił jedną z ławek i usiedli na niej. Pozwolił Lenie płakać na swoim ramieniu, aż powoli się uspokoiła.

– To było okropne... Widziałam rzeczy potworne... Ludzi umierających na ulicach, na moich rękach... Tak bardzo się bałam... Czasem myślałam o tobie... Tak naprawdę cały czas o tobie myślałam, zawsze to robiłam: każda rzecz, którą widziałam, którą robiłam, która mi się przytrafiła, wszystko to chciałam ci opowiedzieć... Pamiętasz, jak bardzo bałam się burzy? Były setki burz: wybuchy, wystrzały, kanonady... a po nich śmierć i zniszczenie. A ja nie mogłam się schronić w twoim łóżku i płakać... Teraz już się nie boję, teraz jest mi tylko smutno i boli. Tak bardzo za tobą tęskniłam... Napisałam do ciebie dziesiątki listów, których nie mogłam wysłać. Ale to pisanie przynosiło mi ulgę... A teraz

jesteś tutaj... – podsumowała smutno.

– Tak, jestem tutaj i wszystko już się skończyło...

Lena wbiła w podłogę oczy otwarte szeroko jak u nocnego ptaka. Wiatr przeciskał się przez szpary i poruszał dywanem z kartek. To miejsce przyprawiało o ciarki, niemal dało się słyszeć krzyki dzieci bawiących się w przerwie między lekcjami, a jednak było puste i martwe jak reszta miasta.

– Musisz wyjechać, Guillenie... Wracaj do Francji, ratuj się; to nie jest twoja wojna...

– Jest moja, jeśli ty w niej bierzesz udział. Nie wyjadę bez ciebie, Leno.

Ona wzięła go za rękę. Była wzruszona, ale nie pozostało jej nic innego, jak zastawić na Guillena pułapkę.

– No to zostań tutaj, po tej stronie frontu – rzuciła mu wyzwanie.

Guillén poczuł się przyparty do muru. Przesuwał rękami po włosach, nie będąc w stanie ukryć zmieszania.

– Ta cholerna wojna jest absurdalna! I mnie tak samo absurdalni wydają się ci, którzy chcą z niej zrobić rewolucję, jak ci, którzy chcą z niej zrobić krucjatę. Jest to absurdalne i niegodziwe przez wzgląd na życie, które odebrała i odbierze w przyszłości. Przez te wszystkie niepotrzebne śmierci... Do diabła, Leno, nie możesz mnie o to prosić! Bo jeśli muszę wybrać jedną ze stron, nie przyłączę się do tych, którzy wystąpili przeciw legalnemu i demokratycznemu rządowi, żeby narzucić swoje ideały i swój ustrój.

Lena zaśmiała się z czułością i pogłaskała go, jak się głaska niespokojne zwierzątko.

– Wiem o tym... Nie byłbyś mężczyzną, którego kocham, gdybyś zrezygnował ze swojego sposobu bycia i widzenia świata. Nigdy nie mogłabym cię o to poprosić i ty mnie o to nie proś. Ta strona, Guillenie, to jest moja strona. Ja nie jestem tutaj uwięziona. Jestem tu, bo tak chcę, bo uważam, że to właściwa droga. Jestem tu ze swoimi ludźmi, z rodziną, z tymi, którzy mnie potrzebują. Gdybym z tobą odeszła i ich zostawiła, nigdy bym sobie tego nie wybaczyła, zjadłyby mnie wyrzuty sumienia. Byłabym bardzo nieszczęśliwa i ciebie uczyniłabym nieszczęśliwym. Wojna zrobiłaby z nas wrogów. Nie chcę, żeby nasza historia miała taki początek.

Spojrzał na nią pokonany.

– A więc... tak się kończy?

– W ten sposób możemy dać jej szansę. Ta wojna się skończy...

– Jeśli coś ci się stanie, ja...

– Nic mi się nie stanie – przerwała mu, żeby odgonić złe przeczucia, i objęła go mocno, znowu bliska płaczu.

Zaległa cisza, która była tylko odroczeniem tego, co nieuniknione. Oboje to wiedzieli, ale Lena odważyła się ją przerwać.

– Zaraz będzie godzina policyjna...
– Leno... Muszę zobaczyć matkę.
– Boże, jak ty to robisz? Jak wchodzisz i wychodzisz ot, tak sobie? Nie, nie chcę tego wiedzieć. Zanotuję ci adres. – Wyciągnęła kartkę i ołówek z kieszeni.
– Z rana zastaniesz ją samą.

– I muszę znowu zobaczyć ciebie – oznajmił zdesperowany.
– Nie. To jest szaleństwo. Nie powinieneś tu wracać, Guillenie. Idź zobaczyć swoją mamę i nigdy więcej nie wracaj. Jeśli cię złapią, zabiją cię, zabiją nas oboje.

To był jedyne argument, którym mogła go przekonać. Guillén w milczeniu zgodził się z tym, co oczywiste.

– Muszę iść... – powiedziała.

Guillén tylko mocniej ją objął, jak dziecko uczone zabawki, której nie ma zamiaru wypuścić.

– Odprowadzę cię. Nie powinnaś chodzić sama, jest niebezpiecznie.

– Lepiej nie... Tylko przedłużalibyśmy agonię. Nie chcę się żegnać, Guillenie. Nie zniosłabym tego. Pocałuję cię i pójdę sobie, jakbym szła do drugiego pokoju.

Pocałunek, który był kroplą wody spadającą na ziemię popękaną od suszy. Z tym gorzkim uczuciem Lena odwróciła się na pięcie i ani razu nie spojrzała za siebie.

Guillén padł na pustą ławkę i ukrył twarz w dłoniach, zatruty bólem i wściekłością.

Nin był cieniem w mieście pełnym cieni. Codziennie ją śledził i z zapamiętaniem wielkiego miłośnika liczył każdy jej krok, jej uśmiech, których mu szczydziła, podsycając nimi swoją obsesję. A Lena nawet tego nie przeczuwała.

Nin zawrzał z wściekłości, zobaczywszy ją w ramionach innego mężczyzny. Ale kiedy zdał sobie sprawę, że nie był to byle kto, uśmiechnął się i pomyślał, że czasem wspaniałe okazje podają ci na głównianej tacy.

– Skąd wracasz o tej porze?

Nie widziała, jak się zbliżał. Nie mogła go zauważyć, mając oczy zalane łzami i myśli pomieszane jak rozkołysane ruiny, przez które się przedzierała, idąc ulicą. Przestraszyła się. Chciała go wyminąć i dalej iść swoją drogą; nie chciała, żeby widział, że płacze. Ale on zastąpił jej drogę.

– Idę do domu. Śpieszę się.

– Nie pytałem, dokąd idziesz, ale skąd.

Lenę oburzyła ta impertynencja.

– Guzik cię to obchodzi. To nie twoja sprawa.

Nin chwycił ją za ramię, żeby zmusić do zatrzymania.

– Oczywiście, że to moja sprawa. Jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa

i czuję się odpowiedzialny za twoje dobre imię. Wielu mogłoby pomyśleć, że jesteś ulicznicą, gdyby zobaczyli, że się obściskujesz z mężczyzną po ciemku. A do tego ten mężczyzna to jebany czerwony, więc uznaliby cię za zdrajczynię.

Lena pobladła.

– Puść mnie. To boli. – Chciała pokazać, że się go nie boi, ale jej drżący głos nie był zbyt przekonujący.

On chwycił ją za rękę i pogłodził.

– Nie martw się, Leno. Nie musisz się mnie bać. Powiem im, że nie jesteś dziwką, przecież ten mężczyzna, cokolwiek by mówić, to twój brat Guillén, nie? Słyszałem już, że wrócił z Francji...

Te słowa były jak uderzenie pałą w głowę. Lena bezskutecznie starała się uwolnić i uciec. Przyparta do muru poczuła furję.

– Jesteś łotrem, Nin.

On uśmiechnął się, jakby to był komplement, i pocałował ją w rękę.

– Źle mnie oceniasz... I nie wiem dlaczego. Zawsze starałem się być wobec ciebie usłużny i miły, a jednak w zamian dostaję tylko lekceważenie. Co ty sobie wyobrażasz?! Że kim jesteś? Mimo że jesteś bardzo ładna, i tak na mnie nie zasługujesz. Nie możesz nawet marzyć, żeby wyjść za człowieka o mojej pozycji.

– Spojrzał na nią z obrzydzeniem, ale nagle zrobił się miły, co Lenie wydało się jeszcze gorsze. – A jednak złożę ci szczerą i szczodłą ofertę: wyjdiesz za mnie, Leno?

– Oszalałeś...

– Nie, mam dosyć. Dostyc tego, że mnie nie zauważasz. Teraz, kiedy już wiem, że to nie jest kwestia dobrego wychowania ani skrupułów, bo kokietujesz innych, nie będziesz mogła mi odmówić swojej słodczy.

Lena wstrząsnęła się z obrzydzenia, czując rękę Nina zsuwającą się po jej dekolcie.

– Nie waż się mnie dotykać.

– Nie muszę się ważyć, moja ukochana. Ty klęknieś i poprosisz mnie, żebym to zrobił, żebym ustami przebiegał po całym twoim ciele...

Nin wręcz ślinił się z pożądania. Lena chciała mu się wymknąć, ale chwycił ją za kark.

– Koniec zabawy, Leno. Teraz będziesz dla mnie bardzo czuła, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, że włóczysz się z komunistą, jeśli nie chcesz, żeby wszyscy się dowiedzieli, że jesteś dziwką i zdrajczynią... Nie musisz tego robić dla siebie, zrób to dla rodziny. Przykro by było, gdyby ten klan bohaterów wielkiego powstania popadł w niełaskę z twojej winy... nie sądzisz? A Guillén, mój kochany kolega z dzieciństwa, ten biedny, głupi pastuch, teraz nagle bojownik... Bardzo by żałował, gdybym natrafił na niego na Campo de San Francisco, gdzie wymierza się sprawiedliwość zdrajcom, jebanym czerwonym.

Wstrząsnęły nią mdłości, kiedy Nin wtulił twarz w jej szyję, zostawiając na niej ślad śliny. Czuła w jego przyspieszonym oddechu, gorącym na jej skórze, jak bardzo jest podniecony. Chciałaby zemdleć, ale mogła tylko płakać ze strachu i niemocy.

Nagle Nin odsunął się od niej. Jego czerwona twarz była wykrzywiona hamowaną lubieżnością.

– Nie... – wydyszał. – Teraz nie... Chcę, żeby to było doskonale... Doskonale... Musisz być doskonała... Nie chcę cię zaryczanej i brudnej, śmierdzącej innym facetem... – Z pośpiechem pogładził ją po włosach i po wilgotnych policzkach. – Wystroisz się dla mnie. I wypachnisz się tymi perfumami, które ci kupiłem... Na całym ciele... We wtorek mam przepustkę. Przyjdę po ciebie. Moja kochana Leno... Nie zapomnij, we wtorek o siódmej, przed kinem Principado. – Przeczuwając, że będzie oponować, zamknął jej usta brudnym pocałunkiem. – Bez wymówek... Bez żalu... Przyniosę ci kwiaty... Kwiaty w tym jałowym miejscu, Leno. – Teraz z oddaniem pocałował jej rękę. – Jestem twoim rycerzem, moja kochana – zakończył, po czym odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemności.

Wcześniej Renata nie miała kłopotów ze snem. Wszyscy śmiali się z niej, że nawet gdyby obok spadła bomba, ona by się nie obudziła. Aż zaczęły spadać prawdziwe bomby. Nie udawało jej się zapaść w głęboki sen; co noc często się budziła, czasem przestraszona bez powodu, żeby zaraz powrócić do stanu półprzytomności, z którego wstawała bardziej zmęczona niż przed snem.

– Lena...? Nie śpisz?

Spały razem w małżeńskim łóżu, które należało do ciotki Encarnity. Matías cicho pochrapywał na materacu u ich stóp, chociaż w zimniejsze noce przytulał się do nich i grzali się jak zwierzęta. Przez szpary okiennic jeszcze nie przeciskało się światło.

– Lena... – nalegała, nie usłyszawszy odpowiedzi; siostra była nieruchomym kształtem po drugiej stronie łóżka. Za bardzo nieruchomym. – Lena – pochyliła się nad nią – ty płaczesz...

– Nie. Śpij – powiedziała Lena i trochę się odsunęła.

– Nie kłam. Od jakiegoś czasu cię słyszę. – Odgarnęła jej włosy z twarzy i zobaczyła, że są wilgotne, przyklepione do policzków. – Co ci jest?

– Nic. To nic takiego. Idź spać, to nic...

Renata się nie poddawała.

– Jesteś chora? Coś cię boli? Dlatego nie zjadłaś kolacji?

Lena przysła do domu późno. Przemknęła przez kuchnię, żeby powiedzieć dobranoc i że nie będzie jadła, bo jest bardzo zmęczona, po czym poszła do łóżka. Nikomu nie wydało się to dziwne: biedna Lena, tak dużo pracowała w szpitalu.

Nikt nie zwrócił uwagi na jej bladość ani na zaczerwienione oczy wbite w podłogę. Rutyna przyćmiewa szczegóły.

– Opowiedz mi...

Lena w końcu się odwróciła, nie mogąc dłużej ukrywać łez. Tłumiony płacz nie przynosił ulgi. Chciałaby wykrzyknąć swoje nieszczęście i swoją niemoc, wyrwać je z piersi z wrzaskiem. Ale tylko przytuliła się do siostry i nie patrząc jej w twarz ze wstydu, łkając, opowiedziała jej wszystko, co się wydarzyło.

– A to menda – podsumowała Renata, równie zdumiona, co rozwścieczona.

– Doniesiemy na niego do Guardia Civil!

– Nie. Tego nie możemy zrobić. Wydałybyśmy Guillena, a mnie oskarżyliby o zdradę. Cała rodzina byłaby zamieszana. Nin jest z Falangi, jest szyczą w partii. Byłoby jego słowo przeciwko mojemu.

– No to opowiedz to Pepemu albo Tomasowi. Oni będą w stanie coś zrobić – zasugerowała dziewczyna; nie chciała tej sprawy tak po prostu zostawić. – Albo nie, im nie, lepiej Guillenowi! Musi istnieć jakiś sposób, żeby go powiadomić. Jak się dowie, zabije go...

– Nie! – zawołała Lena, z całą mocą chwytając siostrę za koszulę nocną.

– On nie może się dowiedzieć! Wystawiłby się na niebezpieczeństwo, złapaliby go, gdyby chciał się zemścić. Ach, Renato! Obiecuj mi, że nikomu o tym nie powiesz. Jeśli ktoś się dowie, będzie jeszcze gorzej.

– Ale coś trzeba zrobić! Ta menda nie może postawić na swoim!

Lena znowu poczuła, że łzy napływają jej do oczu, i ukryła twarz w ramionach siostry.

– Nic się nie da zrobić. Nic.

Renata pocieszała ją pieszczotami, ale nie mogła się poddać tak jak ona. Ponad drżącymi ramionami siostry spojrzała na Matiasa, który spokojnie spał. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł.

*

Guillén uciekał w swoje misje, coraz częstsze i coraz bardziej niebezpieczne, żeby poradzić sobie z nieszczęściem. Wzburzony wzdargą, w pierwszym odruchu chciał wrócić do Francji, zostawić wszystkich samym sobie, skoro tego właśnie pragnęli, ale nie był w stanie: stopniowo i zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy, włączył się do walki w wojnie, którą uczynił swoją, i był przekonany, że znajduje się po stronie sprawiedliwości. Nie tylko dalej był Hiszpanem, bo ten konflikt przekroczy granice, jeśli nie zrobi się nic, żeby wyplenić totalitaryzmy; informacje docierające z Niemiec i z Włoch były coraz bardziej niepokojące. Chociaż jego rodzina i reszta Europy sympatyzowała z faszysmem, on nie mógł pozostać

niewzruszony wobec tego, co uważał za zagrożenie dla wolności. Sądził, że po raz pierwszy w życiu robi coś szlachetnego i że być może taka okazja więcej mu się nie przydarzy. Jeśli teraz nic nie robi, w przyszłości będzie żałował. Poza tym Lena mogła zmienić zdanie...

Od chwili kiedy Sabino go polecił, Guillén był w batalionie kapitana Ferreira, grupy realizującej zadania wywiadowcze i sabotażowe za liniami wroga. Wziął udział w zniszczeniu mostu i dwóch magazynów broni, wysadzili w powietrze drogę w chwili przejazdu kolumny wojska. Niektórzy uważali go za nieustraszonego; tak naprawdę nie dawał kroku, który nie byłby dobrze zaplanowany, a jego największą zasługą była zręczność i niebywała szybkość poruszania się niezauważonym. Dlatego awansowano go na porucznika, porucznika samego siebie, zwykła formalność, poklepanie po ramieniu, bo zwykle wołał działać w pojedynkę; był samotnym wilkiem, jak te, których niesione echem wycie słyszał jako dziecko w górach.

Poza tym wołał zadania szpiegowskie. Fotografował wrogie umocnienia, gromadził dane na temat liczby wojska, pozycji, uzbrojenia, wiedział na bieżąco o represjach politycznych i o ściganych osobach, pomagał konkretnym ludziom przejść na drugą stronę frontu, zbierał współpracowników i informatorów, badał nastroje społeczne...

W Oviedo ustanowił swego rodzaju bazę operacyjną w domu przy ulicy Uría, w którym mieszkał pewien adwokat znany z obrony liderów związkowych zamieszanych w rewolucję 1934 roku. Na krótko przed rozpoczęciem wojny został aresztowany i rozstrzelany na cmentarzu San Salvador. Po nim dom zajmował samotnie sześćdziesięcioletni rzeźbiarz, Anselmo Seguí, u którego adwokat zamieszkał, kiedy przybył do Oviedo na początku lat dwudziestych. Mówiono, że byli braćmi... ale krótko po poznaniu Anselma Guillén zrozumiał, kim byli naprawdę. „Cierpię jak wdowa, nie doświadczając takiego jak wdowa współczucia”, wyznał mu przy jakiejś okazji, po wypiciu połowy butelki fałszowanej anyżówki o perfumowanym zapachu. Anselmo zawsze był wolnym duchem, apolitycznym artystą; artystą i filantropem, miłośnikiem nałogów równie ekstrawaganckich jak drogich. Jednak wojna to wszystko zmieniła; strata ukochanego jeszcze bardziej. Twierdząc, że w życiu nie zostało mu już absolutnie nic do stracenia, z zapalem poświęcił się ruchowi oporu przeciw faszyzmowi, nie zważając na niebezpieczeństwa, i udzielał Guillenowi gościny, kontaktów i ubrań po swoim zmarłym kochanku, kiedy Guillén musiał ukryć się w tłumie; no i oczywiście dał dostęp do wspaniałej piwniczki, godnej zazdrości w tych czasach, kiedy wszystkiego brakowało. Aby nie wzbudzać podejrzeń wśród sąsiadów, Guillén zawsze wchodził do domu po zmroku, przez klapę prowadzącą do piwnicy w ogrodzie na tyłach.

Tego wieczoru spotkał się w atelier Anselma z kilkoma osobami, które

mogły mu pomóc w zdobyciu informacji o więźniach politycznych. Powrócił na jedną z pozycji na froncie na krótko przed wschodem słońca. Tam na śniadanie zjadł chleb z masłem i popił kawą, po czym przez większą część przedpołudnia redagował raport dla dowództwa. Po obiedzie z kilkoma towarzyszami wyruszył do Langreo, marząc o porządnym odpoczynku.

Gdy wszedł do domu Rosiny, zdziwiły go głosy docierające z kuchni; jego gospodyni nie miewała częstych wizyt. Zajrzał do środka nieco zaintrygowany, spodziewając się, że zobaczy jakąś starszą kobietę, którą szybko pozdrowi, zanim uda się na górę. Jakież było jego zdumienie, gdy odkrył, że przy stole w kuchni siedzi chłopak i łakomie pożera talerz zupy i chleb z kiełbasą – kiełbasą! Jemu wdowa nigdy nie dawała kiełbasy! Chłopak uniósł głowę, z policzkami wypchanymi jedzeniem jak wiewiórka, i przyjrzał mu się zaciekawiony. Rosina przestała mówić i się odwróciła:

– Ach, jesteś wreszcie...

Wtedy chłopak zmarszczył czoło i przełknąwszy, zapytał zdecydowanie:

– Ty jesteś Guillén?

Ponieważ nie odpowiedział młodemu gościowi, Rosina zrobiła to za niego:

– Jasne, że to on! Język stanął ci kołkiem, człowieku?

Zanim kobieta dokończyła zdanie, chłopak zeskoczył z krzesła i rzucił się na niego. Guillén o mały włos uchyliłby się, na wszelki wypadek, ale zdał sobie sprawę, że dzieciak tylko chciał się do niego przytulić, przyjął go więc, choć sztywno, jakby połknął kij.

Chłopak w końcu wyjaśnił, o co chodzi:

– Jestem Matías! Twój brat!

Guillén nie posiadał się ze zdumienia. Matías... Był maluchem, kiedy on wyjechał do Francji, jak miał go poznać? Jego brat... Jego jedyny prawdziwy brat! Zamiast się ucieszyć, poczuł się zbity z tropu.

– Mój brat... – powtórzył, przytrzymując jego twarz w dłoniach, żeby mu się dokładnie przyjrzeć. Chłopak też popatrzył na niego, kpiarsko i z zaciśniętym uśmiechem. I wtedy Guillenowi wydało się, że widzi twarz swojej matki, którą ledwie pamiętał. Serce podeszło mu do gardła. – Do wszystkich diabłów... Co zrobiłeś z tym wrzeszczącym berbeciem, którego zostawiłem w domu?

Matías wzruszył ramionami, nie mogąc ukryć lekkiej próżności.

– Urosłem! I ty też. Prawie cię nie rozpoznałem. Jesteś grubszy!

– Och! – Guillén potarł mu policzek pięścią. – Jestem bardzo silny!

Rosina, która ze wzruszeniem przyglądała się całej scenie, wtrąciła się, wracając do swoich garnków i talerzy:

– Ani gruby, ani silny! Taki wymizerowany. Chudzielec po prostu. Chodź do ognia i ściągnaj te mokre łachy, bo się przeziębisz. I jedz.

Guillén spojrzał na zupę bez szczególnego apetytu. Jednak ściągnął

przemoczony płaszcz i usiadł koło ognia, żeby rozetrzeć zmarznięte ręce. Obok niego Matías dalej pałaszował zupę, z takim zapamiętaniem, jakby miano mu ją odebrać. Guillén podsunął mu swój talerz, przekonany, że jego porcję też zje.

– Co tu robisz? Jak mnie znalazłeś?

Chłopak uśmiechnął się psotnie.

– Łatwizna. Trzeba było tylko wyjść na łąkę i pójść tam, gdzie nie ma żołnierzy. Czasem to robię, żeby zdobyć kukurydzę albo kartofle, które zostały na opuszczonych polach. Trzeba unikać okopów, nic więcej, ale ja doskonale wiem, gdzie są, więc jeśli przemykasz się od drzewa do drzewa albo czołgasz pomiędzy krzakami, nie zobaczą cię. Jeśli nasi mnie zobaczą, nic się nie dzieje, tyle że odsyłają mnie do domu. Gorzej było, jak podszedłem pod stanowiska wroga... No dobra, to nie twoi wrogowie, ale moi tak, bo ja zostałem mianowany dowódcą szwadronu Balillas – dodał z dumą.

Guillén spojrzął na Rosinę kątem oka, ale kobieta słuchała tej historii z podziwem; raczej nie wiedziała, że Balillas to dzieciaki Falangi.

– Nawet nie zauważyłem, że przeszedłem za linie wroga, dlatego nie za bardzo się bałem – ciągnął Matías. – No dobra, tylko trochę, jak tacy jedni wycelowali we mnie i powiedzieli: „Stój! Kto idzie! Hasło!”. W sumie to nie do końca byłem pewien, którzy to są, bo przyłapali mnie wałęsającego się po łące. Uniosłem ręce i powiedziałem to, co przyszło mi do głowy: „Nie strzelajcie, jestem z wami!”. Powiedziałem „z wami”, czyli mogłem być z każdym, nie?

Guillén uśmiechnął się, podziwiając przebiegłość brata.

– Kazali mi podejść, a kiedy im opowiedziałem, że szukam ciebie, bo jesteś moim bratem, opuścili karabiny. Potem jacyś sympatyczni faceci podwieźli mnie tu samochodem. Dobrze, że przyszedłeś, bo muszę wrócić do domu przed zmrokiem, inaczej mama się będzie denerwować.

– Dzielny chłopak! – podsumowała Rosina i się przeżegnała.

– Mogę pogłaskać kotka? – zapytał Matías, kiedy zwierzak podszedł do niego i zaczął się ocierać o nogi.

– Spróbuj... Może ci się uda.

– No dobra, ale po co przyszedłeś? To bardzo niebezpieczne. Nie wszyscy pytają, zanim strzelą.

– Renata mnie poprosiła. Powiedziała, że to bardzo ważne, żebym przyniósł ci wiadomość. Chodzi o Lenę.

Guillena aż ścisnęło w dołku.

– Lenę? Wszystko z nią w porządku?

Chłopak wzruszył ramionami, nie wypuszczając kota z rąk i nie przestając na niego patrzeć.

– Wydaje mi się, że tak... Ale sam wiesz... kto zrozumie kobiety?

Guillén zmusił go do odłożenia kota i skupienia się; zaczynał się

niecierpliwić.

– No to co się dzieje?

Spoglądając kątem oka na Rosinę, wyszeptał:

– Mam ci to powiedzieć w tajemnicy...

Kobieta natychmiast zrozumiała tę uwagę. Wytarła ręce w ścierkę i wzięła koszyk.

– Idę nakarmić kury i zobaczę, może coś zniosły.

– Co się dzieje z Leną? – nalegał Guillén, kiedy Rosina wyszła.

Chłopak zaczął wyjaśniać, co się wydarzyło, tak jak mu opowiedziano i odrobinę zmyślając.

– Renata mówi, że Nin zrobi Lenie coś złego – podsumował. – Nie wiem co, ale ja w to nie wierzę. On zawsze dobrze się zachowuje wobec Leny, robi jej prezenty, zaprasza ją do kina... A ta głupia nie chce iść! Ile ja bym dał, żeby pooglądać Indian w kinie...

Na stężącej twarzy Guillena rysowała się wściekłość.

– Zabiję tę mendę... – wymamrotał.

– Ach nie, to to nie – przerwał mu Matías. – Renata wiele razy powtarzała: „Powiedz mu, żeby się nie ważył zabijać”. Najwyraźniej Lena nie chciała, żebyśmy ci mówili, i będzie wściekła, jak się dowie. Renata powiedziała, żebyś coś wymyślił i to naprawił, ale nie zabijał Nina, i była przy tym bardzo poważna.

Coś wymyślić? Co znowu miał wymyślić? W tej chwili nie mógł się skupić na niczym innym – myślał tylko o tym, że chwyci skurwysyna za szyję i zaciśnie rękę, aż język wylezie mu na zewnątrz.

*

Matías chodził po ulicach Oviedo zdecydowanym krokiem i z wypiętą piersią w uniformie Falangi. Tak naprawdę nie był to prawdziwy mundur, lubił sobie jednak wyobrazać, że taki jest. On sam wymalował atramentem jarzmo i strzały na swojej jedynej niebieskiej koszuli, za co dostał po łbie od matki, ale kiedy ją wkładał, czuł się prawdziwym żołnierzem.

Tego dnia szedł swoim wojskowym krokiem, a na ramieniu niósł patyk jak karabin. Niektórzy chłopcy śmiali się z niego, ale Matías ignorował ich, bo ci głupcy nie wiedzieli, że szedł z tajną misją, misją specjalną, którą zlecił mu jego brat, brat porucznik. Kiedyś i on zostanie porucznikiem, jak Guillén, oczywiście nie czerwonych; będzie porucznikiem narodowców jak Pepe. Albo lepiej generałem jak Franco.

Wolał nie myśleć o tym, że dowództwo tej jego misji znajduje się po stronie wroga, myślał tylko o tym, co powiedział mu Guillén: „Czasem na wojnie nie ma

wrogów i przyjaciół, tylko ludzie, rodzeństwo w tym przypadku. To jest misja rodzinna”. A sprawa była taka, że po wielu przekleństwach i wyrzucanej z siebie złości, po dwóch szklankach wódki, której resztę niechący wypił Matías, Guillén wreszcie wpadł na pomysł. Starszy brat napisał list do Renaty, po czym odstawił go całego i zdrowego do miasta, prowadząc go przez tajne przejście, gdzie z całą pewnością nigdy nie spotkają żadnego bojownika. „Nie przejmuj się, Guillén; jak na nich trafimy, trzeba tylko powiedzieć «jestem z wami!»”, uspokajał go Matías, pewien, że spotkanie na swej drodze żołnierza nie byłoby takie straszne, jak łajanie matki i lanie od ojca za to, że wraca po zmroku.

Matías udał się do koszar Santa Clara; słabe grudniowe słońce ogrzewało jego policzki. W kieszeni niósł list, który zgodnie z instrukcją Renaty miał oddać Ninowi.

– Dlaczego piszesz list jako Lena? – zapytał siostrę.

– Bo on powinien myśleć, że to Lena go napisała.

– A dlaczego?

Renata ciężko westchnęła.

– Bo taki jest plan Guillena. I dość już tych pytań. Ty rób, co ci powiem, i niech ci nie przyjdzie do głowy rozpowiadać o tym, bo wszystko zepsujesz.

Rozpowiadać... to ci dopiero. Co sobie myślała ta jego siostra, że on nie potrafi wypełnić zadania?

Musiał trochę poczekać, aż Nin wróci ze swojej warty w katedrze, ale nie przeszkadzało mu to, bo jakiś kapral z Lugo poczęstował go smacznymi ciasteczkami, które przysłała mu matka. Od tak dawna nie jadł słodczy, że pochłonął je w jednej chwili. I niemal przeoczył Nina. Wszedł przez bramę koszar w grupie kolegów, rozmawiali i palili papierosy. Matías zeskoczył z krzesła i klepnął go w ramię. Ten odwrócił się oburzony. Jeśli zaskoczył go widok chłopaka, nie dał tego po sobie poznać.

– Czego chcesz? – rzucił lekceważąco.

– Mam do ciebie list. Od Leny.

Matías pogrzebał w kieszeni i wyciągnął list, który Nin natychmiast wyrwał mu z rąk i ze zniecierpliwieniem otworzył kopertę.

– A ty na co czekasz? – rzucił, ledwie zacząwszy czytać, gdy zdał sobie sprawę, że chłopak cały czas tam stoi i mu się przygląda.

– Na odpowiedź. Muszę zanieść Lenie odpowiedź.

Nin znowu spojrzął na papier. Matías przyglądał się, jak jego mina się zmienia, jak kąciki ust się unoszą, zarysowując uśmiech klauna, i jak w końcu lekko się śmieje, co jemu wydało się raczej bezgłośnym beknięciem. Na koniec Nin złożył kartkę, powąchał ją jak szczur i schował do kieszeni munduru.

– Powiedz jej, że tak. Ale gorąco, gorąco.

Matías zmarszczył czoło.

- Gorąco co?
- Powiedz jej dokładne to: gorąco, gorąco. Nie zapomnij.
- A napiwek? – odważył się zapytać chłopak, zanim Nin się odwrócił.
- Napiwek? Kopnę cię w tyłek, jeśli zaraz stąd nie znikniesz, gówniarzu. Matias puścił się biegiem, widząc, że tamten zamierza się do kopniaka.

*

Nin dokładnie się ogolił, ostrożnie przyciął wąsik, skropił się wodą kolońską, natarł włosy brylantyną i włożył najlepszą koszulę. Tej nocy miał służbę, ale za dziesięć peset i butelkę cydru sierżant Domínguez przymknął na to oko. Cena była warta tego, co miał w zamian otrzymać. I sama myśl o tym sprawiała, że twardniał tak mocno, że ledwie mógł chodzić.

Wiedział, że wcześniej czy później Lena nabierze rozumu. Udawała niedostępną, bo była świętoszkowata, ale żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie mogła odrzucić tak dobrej partii jak on – chłopak atrakcyjny, bogaty i z wysoką pozycją. Ten głupi pastuch nie miał żadnych szans, choćby teraz świetnie mówił po francusku. I ona o tym wiedziała. Jej gotowość, nawet pragnienie przejawiało się w każdym słowie listu (ile razy go przeczytał, onanizując się!). Ta historia, że dali jej dyżur w szpitalu, więc musiała przełożyć spotkanie, była tylko usprawiedliwieniem żadnej samicy.

W końcu dotarł na ulicę Paraíso, której nazwa świetnie oddawała charakter spotkania. Na początku, naprzeciw starego muru, ledwie stała stara chałupa ze zniszczonym szyldem: HOTEL. W ciemnym holu śmierdzącym latryną Nin natknął się na staruszkę drzemiącego za okienkiem recepcji; kilka razy musiał mu podawać nazwisko María Pérez, bo był głuchy jak pień. Drugie piętro, pierwsze drzwi na prawo. Wszedł powoli po rachitycznych schodach, przekonany, że ten beznadziejny przybytek jest w stanie zgasić nawet najbardziej płomienne libido. Nie przejmował się tym; zrobią to po ciemku, szybciotko. Tylko żeby przy tej wielkiej erekcji nie skończył za szybko, co czasem mu się zdarzało, trawionemu przez żądze.

Pociły mu się ręce, kiedy pukał do drzwi. Ponieważ nikt nie odpowiedział, pchnął je. Pokoik był ciemny.

– Lena?

W mdłym świetle wpadającym przez okno dojrzał wiszącą z sufitu żarówkę. Podszedł, żeby ją zapalić, ale zanim udało mu się chwycić sznurek, drzwi za jego plecami zamknęły się z trzaskiem. Przestraszył się, ale nawet nie zdążył się odwrócić, bo ktoś unieruchomił go od tyłu, a do szyi przyłożył mu ostrze.

– Kopę lat, Ferminie Pajares... – usłyszał szept prosto do ucha. Oszałały

z przerażenia, nie był w stanie rozpoznać osoby. – Zmieniłeś się, chociaż cały czas jesteś tym samym skurwysynem jak za dzieciaka; nawet gorszym...

– Co...? Kto...? – wybąkał z wysiłkiem.

– To bez znaczenia. Jestem człowiekiem, który przyłożył ci nóż do szyi...

Nin poczuł, jak ostrze nieco zagłębia mu się w skórę, zaledwie lekko przesunięte; nie czuł bólu, tylko napięcie tak wielkie, że mogłoby mu rozsadzić głowę na wykręconej szyi. Popuścił w spodnie.

– To jedynie ostrzeżenie, żaloszny kutasie. Jeśli coś stanie się Lenie, jeśli się do niej odezwiesz albo chociaż na nią spojrzysz, zabiję cię. I niech ci się nie wydaje, że możesz przede mną uciec, bo jestem twoim pierdolonym cieniem. Czy to jasne? – Nóż znowu zaczął zagłębiać mu się w szyję.

Ledwie zdołał wydobyć z siebie jęknięcie na znak zgody. W chwilę potem silne uderzenie w głowę pozbawiło go przytomności.

*

Tak jak rozbitek wlecze się po upragnionym stałym lądzie, tak Guillén dotarł do domu Anselma. Zwalił się na pierwszą kanapę, na którą się natknął na parterze. Po dniu, w którym jego emocje sięgnęły zenitu, miał zszargane nerwy. Nie czuł się na siłach, aby rozpocząć ryzykowną drogę powrotną przez linię frontu. Przepęlniały go złe przeczucia.

Mimo że minęła już północ, Anselmo nie spał. Jak mawiał, geniusz twórczy jest nocnym zwierzęciem, więc zwykle czekał na Guillena w pracowni z dłutem w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej. Z takimi atrybutami i w jedwabnym kimonie w kwiaty wyszedł mu naprzeciw. A kiedy zobaczył, w jak kiepskim jest stanie, postawił na stole butelkę swojego najlepszego koniaku – francuskiego, rzecz jasna – i emaliowaną szkatułkę.

Guillén musiał odwołać się do całego swojego dobrego wychowania, żeby natychmiast nie przyssać się do butelki, i poczekał, aż rzeźbiarz napełni mu kieliszek z czeskiego szkła, który wychylił w wielkim pośpiechu.

– A to co? – zapytał, spoglądając na szkatułkę.

Anselmo otworzył ją ceremonialnie i podsunął Guillenowi pod oczy ukryty w niej skarb – zwyczajny biały proszek.

– Kokaina – oznajmił.

– Ach... Nie, dziękuję. Koniak mi wystarczy.

– Popatrz w lustro, kochany... Nawet cała ta butelka nie zdoła cię rozweselić, pomijając już fakt, że musisz ją dzielić z jednym sługą. Weźmiesz trochę tego i poczujesz się jak nigdy w życiu. To lekarstwo. Już mądre tango o tym mówiło.

Przygotowując z dbałością wybitnego mistrza kuchni wążutką białą kreskę na szklanej płytce, Anselmo zaśpiewał:

– „Wszystko w domku jest: poduszki i kanapy też; jak w aptece... koko... I wszystko spoko... tariro-riroro, całuję cię w półmroku, pocałunki koko...”

Na szczęście puścił na gramofonie prawdziwe tango i zamilkł. Przetęczył przez całe pomieszczenie i podał Guillenowi rurkę z kości słoniowej.

– Tylko troszeczkę. Jestem zmuszony ją racjonować, bo w tych czasach nie sposób jej dostać.

Guillén nappełnił kieliszek koniakiem i wziął rurkę. Dlaczego nie?

Winna była koka i alkohol. Kac przyniósł mu okropne samopoczucie, głęboki smutek i straszliwe mdłości. Ta niemoc ciała i ducha zniszczyła jego wolę, zmieniła go w kukłę poddaną własnym słabościom. Lena była jedną z nich. Długo opierał się pokusie, przekonany, że oglądanie jej tylko przedłuży jego cierpienia. Ale już nie był w stanie tego znieść. Ona była jak narkotyk konieczny do utrzymania fikcyjnego stanu normalności.

Czekał na nią wieczorem przed drzwiami szpitala, ukryty jak żebrak w mieście pełnym wałęsających się szarych dusz. Obserwował ją ukradkiem jak złoczyńca, którym tak naprawdę mógł być. Napawał się jej pochyloną sylwetką w poszarzałej bieli, obojętny na siąpiący deszcz. I poczuł ból, w dziwny sposób zbliżony do rozkoszy.

A potem ona rozplynęła się pośród wielu cieni, podczas gdy on dalej stał na deszczu. Samotny. Umierający.

*

Lena pchnęła drzwi bez zamka i weszła do ciemnego korytarza, zostawiając za sobą stróżkę wody na podłodze. Nie zadała sobie trudu przywitania się z pustką, poszła do swojego pokoju w przemoczonym płaszczu, ale zanim zdążyła go zdjąć, coś zwróciło jej uwagę. Na poduszce leżały gałązka białego wrzосу i wiersz:

*Ty, coś na twarzy czuł zimowy wiatr,
Widziałeś chmury śniegowe we mgle...*

Pod wpływem nagłego impulsu wybiegła na korytarz.

Zatrzymała się na progu kuchni. Zimne, szare światło, absolutny spokój i nieruchoma Balbina, siedząca przy stole z założonymi rękami; ani nie kroiła, ani nie szyła, ani nie obierała, ani nie prasowała... Tylko patrzyła na popękana,

pokrytą sadzą ścianę.

– Był tu. Przyszedł do ciebie – powiedziała Lena bez żadnych wstępów. W jej głosie slychać było podniecenie.

Balbina lekko skinęła głową, wciąż zamyślona.

– Mój synek... Prawie go nie rozpoznałam... Co za matka oddaje w taki sposób swoje dziecko? Tak bardzo za nim tęskniłam, codziennie przez te wszystkie dni, odkąd wyjechał... Żadne pocałunki ani przytulanie nie pozwolą odzyskać straconego czasu. Przytuliłam go, nie chciałam, żeby znowu odszedł... A jeśli go więcej nie zobaczę?

– Nie mów tak! – Ton głosu Leny był surowszy, niżby chciała. Przebiegł ją dreszcz, ale nie miał nic wspólnego z mokrym ubraniem, którego jeszcze nie zdjęła. Podeszła i usiadła przy Balbinie, złapała ją za spracowane, ciepłe dłonie.
– Odejdiesz z nim?

Balbina spojrzała na nią, jakby właśnie usłyszała wielkie głupstwo.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Ale on przyjechał po ciebie...

– Nie... On przyjechał po ciebie. – Balbina z czułością ścisnęła palce Leny i spojrzała jej głęboko w oczy. – Od samego początku widziałam, że jest między wami coś specjalnego, od najmłodszych lat.

Dziewczyna spuściła wzrok zasmucona.

– Uważasz, że popełniłam błąd...

– Miłość, obowiązek, ideały... Nie sposób popełnić błędu, jeśli każda z tych możliwości jest szlachetna.

– Ale ja go kocham – powiedziała Lena gwałtownie.

– Wiem. I właśnie z miłości podejmujemy czasem bolesne decyzje.

– Tak jak ty, kiedy pozwoliłaś, żeby wyjechał do Francji...

Balbina, pogrążona w żalu po ponownym odejściu syna, wiedziała, że tak właśnie było: podjęła tamtą decyzję powodowana miłością i tylko ta myśl zawsze przynosiła jej ulgę. W końcu uśmiechnęła się melancholijnie.

– Wojna wystawia nas na próbę. Waszą miłość też, tym bardziej że znajdujecie się po przeciwnych stronach barykady. Nie... Dobrze zrobiłaś. Poczekaj, nadejdą lepsze czasy.

– Oby Guillén tak to rozumiał...

– Och, oczywiście, że to rozumie. Jak uważasz, dlaczego postanowił zostać po drugiej stronie? Czasem jednak łatwiej jest czuć się ofiarą, to nas uwalnia od odpowiedzialności. To defekt większości mężczyzn... A Guillén jest dodatkowo dziedzicznie obciążony; aż za bardzo przypomina swojego ojca. Postanowił kochać w nieodpowiednim momencie... Nigdy nie mówił ci o swoim ojcu? – Balbina rzuciła okiem na kuchenny zegar. – Jeszcze nie musimy przygotowywać kolacji. Przebierz się w suche ubrania, bo masz lodowate ręce. Nastawię kawę.

*

Nin przylgnął do ciemnej ściany. Serce biło mu jak oszalałe, nogi drżały, czuł mdłości. Bał się. Nie, był przerażony. Od czasu do czasu oglądał się za siebie, nie mogąc pozbyć się obsesyjnej myśli, że jest obserwowany. Nigdy nie powinien był tego próbować, nigdy nie powinien był się nawet do niej zbliżyć.

Po drugiej stronie ulicy Lena czekała pod markizą kina Principado, w starym brązowym płaszczu i ze znoszoną skórzaną torebką. Czy wyperfumowała się, tak jak jej kazał? I chociaż wyobraził sobie ten zapach na jej nagiej skórze, nie czuł podniecenia. Bał się. Był przerażony.

Cholerny tchórz, ojciec splunąłby mu w twarz. Tyle razy to robił, tyle razy wytykał mu tchórzostwo, że Nin mu uwierzył. Był tchórzem, i co z tego? Odwaga jest dla głupców. Takich jak ci wszyscy towarzysze, którzy walczyli o to, żeby być pierwszymi na placu boju, pierwszymi na liście nieboszczyków. Bęcwałami byli ci, którzy gardzili nim za to, że on wołał się ukryć i przeżyć. Same bęcwały.

Znowu spojrzał na Lenę. Czekala na niego i od czasu do czasu unosiła wzrok, by popatrzeć na zegar. Czekala na niego. Wystarczyło tylko przejść przez ulicę i wziąć ją. Zerznąłby ją jak dziki, aż krzyczałaby z bólu. Upokorzyłby ją, tak jak jego upokorzono z jej powodu. Zemściłby się z wściekłością i całym swoim gniewem.

Nerwowo się rozejrzał. Zimny pot zalewał mu czoło. Uniósł drżącą rękę do zranionej szyi. Nie musiał sprawdzać, jego tam w ogóle nie powinno być. Czuł, że jest obserwowany. Nie zastanawiając się nad tym, uciekł stamtąd, ciągle przyklejony do ściany jak karaluch, prawie sikając w spodnie.

Następnego dnia Fermín Pajares syn wyjechał z Oviedo, nie będąc w stanie wytrzymać spojrzenia tysięcy oczu miasta.

Luty 1937

Jak długo można wymykać się kulom, skoro świszczą dookoła? Zawsze, odpowiadał sobie Guillén, kiedy w alkoholowym oświeceniu nachodziło go to inteligentne pytanie. I wiedział, że kłamie. Na trzeźwo nigdy go sobie nie zadawał.

A jednak tej nocy śnił o deszczu pocisków padających w zwolnionym tempie – pomiędzy nimi poruszały się setki ludzi i za każdym razem, gdy ktoś został trafiony, wylewały się rzeki krwi. On tam był, pełzał zygzakami między pociskami jak gad. I matka. I Lena. Krzyczał, żeby wyciągnąć je z tego pola bitwy, ale one go nie słyszały, nawet na niego nie patrzyły.

Jak długo można unikać kul? – pytał sam siebie przed lustrem, z policzkami pokrytymi brudnym plastrem. Nie był w stanie kłamać sobie prosto w oczy.

Nie wrócił do Oviedo. Ostatnie tygodnie spędzał w rejonie Trubii. Rząd Belarmina Tomasa przygotowywał nową ofensywę na stolicę; ostateczną, mówili...

Teraz był kapitanem, dowodził kompanią bojowników, jego zadaniem było planowanie i przeprowadzanie operacji na tyłach wroga, które miały zaowocować zamknięciem przesmyku Grado, żeby na nowo okrążyć miasto. Poprzedniej nocy, kiedy przygotowywali materiały wybuchowe, które mieli podłożyć na szosie, aby wysadzić kilka faszystowskich ciężarówek, jedna z min eksplodowała w rękach jego najlepszego człowieka; szczątki chłopaka musieli zbierać w promieniu wielu metrów. On stał tak blisko, że mięso, krew i odłamki uderzyły go w twarz. Jak długo można unikać kul?

Zerwał plastry bolesnymi szarpnięciami i umył twarz wodą z mydłem. Nie mógł się ogolić. Włożył jedyną czystą koszulę i ruszył do Gijón, żeby złożyć raport i odebrać nowe rozkazy.

Jechał szosą, kiedy dobiegły go odgłosy intensywnego bombardowania. Szyby autobusu zdrząły. Wychyliwszy się, dostrzegł kilka kolumn białego dymu wznoszących się w środku miasta. Poprosił kierowcę, żeby się zatrzymał, i wysiadł, nie dojechawszy do Gijón. Deszcz pocisków dalej padał na Oviedo, jak podczas festiwalu sztucznych ogni. Odnalazł najbliższe stanowisko dowódcze, gdzie potwierdziły się jego najgorsze przeczucia.

– Nasi bez ustanku bombardują szpital z sektora Manjoya. Zdaje się, że rozkaz przyszedł z góry, od samego Belarmina – zauważył wartownik, mając na myśli Belarmina Tomasa, tego ambitnego i pozbawionego skrupułów syndykalistę, który stał na czele władzy republikańskiej w Asturii. – Podobno wróg tam się przegrupował...

Guillén więcej nie słuchał. Wiadomość oszołomiła go jak cios w szczękę. Natychmiast pomyślał o Lenie. Jak długo można unikać kul? Jak długo...?

I wybiegł ze stanowiska dowodzenia, wprawiając wartownika w zdumienie.

*

W dniu, w którym Pepe został ranny, Lena nie miała dyżuru. Jej przyjaciółka Carmina kazała ją powiadomić, więc Lena wypadła na ulicę zaniepokojona wiadomością; chociaż biegła najszybciej, jak mogły nieść ją nogi, zdawało jej się, że nigdy nie dotrze do szpitala.

– Dostał serię z karabinu – poinformowała ją siostra Paciencia, która zajmowała się Pepem. – Jest ranny w obie nogi i w rękę, ze złamaniem. Ale spokojnie, nie jest w szoku i nie boimy się o jego życie. Chociaż miał krwotok, udało nam się go zatamować.

– Mogę go zobaczyć?

– Tak. Dostał już morfinę i jak tylko go przygotują, pojedzie na salę operacyjną. Trzeba wyciągnąć kule.

– Która pielęgniarka jest na dyżurze?

– Angelines.

– Zastąpię ją – powiedziała Lena, kończąc pośpiesznie zapinać fartuch.

Ledwie zdążyła wyszeptać do brata kilka uspokajających słów i pocałować go w czoło, zanim założyli mu maskę z eterem.

Operacja była prosta, codziennie robili kilka takich, żeby wyciągnąć zarówno kule, jak i odłamki. Otwarte złamanie palca serdecznego mogłoby stanowić większe zagrożenie, gdyby wdała się infekcja i gangrena, ale na szczęście przyjęli go na czas. Lena zapomniała, że na stole leży jej brat, dla niej była to absolutnie rutynowa operacja; nauczyła się już podawać narzędzia, obsługiwać autoklawy, maszynki spirytusowe i oświetlenie... Doskonale wiedziała, jak działają chirurdzy i co ona powinna robić w każdej chwili; i robiła to mechanicznie.

A jednak nie była przygotowana na to, co miała zaraz przeżyć.

Chirurg właśnie naciął krawędzie skóry i rozszerzył rany, kiedy usłyszeli pierwsze detonacje. Nawet nie zwrócili na nie uwagi, bo oswoili się już z bombardowaniami. Każdy dalej skupiał się na swoim zadaniu. Gdy lekarz wyciągał kule i przemywał rany wodą utlenioną, zatrzęsły się ściany sali operacyjnej i zadrżały szyby. Lena jedną ręką przytrzymała kołyszącą się lampę, a drugą wózek z narzędziami. Zobaczyła wtedy pierwsze oznaki przerażenia na twarzach zakrytych maskami. A jednak operacja trwała dalej pośród coraz liczniejszych i coraz bliższych wybuchów.

– Trzeba się pośpieszyć – zauważył chirurg z czołem lśniącym od potu.

Uderzenie silniejsze niż wszystkie wcześniejsze przewróciło na podłogę

jedną z szaf, roztrzaskując na kawałki jej szyby. Niemal jednocześnie usłyszeli pierwsze krzyki na korytarzu, bieganinę, ogólne zamieszanie. Poczuli zapach spalenizny i przez szczeliny zamkniętych drzwi przecisnął się pył.

– To niemożliwe, że bombardują szpital. – Głos anestezyjologa nawet nie wyrażał strachu, tylko niedowierzenie.

Nikt nic nie powiedział; może nie chcieli uwierzyć w to, co z drugiej strony wydawało się oczywiste. Lena wytarła sobie pot z czoła i spojrzała na ciało brata. Biegłe dłonie chirurga zakładały ostatnie szwy na nogach, a trzeba było jeszcze zoperować rękę. Kolejne eksplozje wstrząsały salą operacyjną.

– Nie założymy drenu. Proszę opatrzyć rany gazą z jodyną – nakazał chirurg instrumentariuszce. – Musimy kończyć w tej chwili, nie wiem, co tam się, u diabła, dzieje na zewnątrz...

Ledwie to powiedział, kiedy jedno z wysokich okien roztrzaskało się na kawałki od fali uderzeniowej pobliskiego wybuchu. Lena aż krzyknęła. Przeżegnała się.

– A niech to...!

Zdanie zostało nagle przerwane. Granat mózdzierza wleciał przez okno i eksplodował w kącie sali operacyjnej.

Lena poczuła uderzenie w piersi i upadła na podłogę. Zrobiło się ciemno. Gruz i szkło zasypały salę, wózek instrumentariuszki przewrócił się jej na nogi. Wszystko wydarzyło się w okamgnieniu.

Przygnębiona cisza, przerywana tylko chrzęstem szkła pod nogami, spowijała pomieszczenie. Eter z sykiem wyciekał z butli. Lena była oszołomiona. W ustach miała pył i nie mogła otworzyć oczu. Dźwięczało jej w uszach. Poruszywszy się, nie poczuła bólu, tylko dziwne otępienie. Wydostała się spod roztraskanego wózka i z trudem stanęła na nogi. Spróbowała zakręcić zawór butli z eterem, ale bez skutku, był zniszczony. Nowa eksplozja wstrząsnęła budynkiem. Lena także się zakołysała i znowu prawie upadła. Głosy i krzyki na zewnątrz wzmagaly się. Poprzez chmurę pyłu zobaczyła, że belka oderwana od rozbitego sufitu zatrzymała się na lampie, dokładnie nad stołem operacyjnym. Prerażona tym widokiem obmacała ciało brata, nie rozumiejąc, dlaczego jej ręce poruszają się tak wolno, gdy próbowała wyczuć puls na jego szyi. W końcu go znalazła, słaby; Pepe był żywy, choć wciąż pod narkozą. Stopniowo dochodziła do siebie, czuła, jak przyspiesza jej oddech, jak tłucze się jej serce, jak drżą nogi. Jak pierwsze łzy pojawiają się w jej oczach i spływają po policzkach. Rozejrzała się wokół: chirurg, anestezyjolog, instrumentariuszka leżeli przywaleni gruzem; nieruchomi i milczący. Potrząsnęła ich ciałami i zawołała po imieniu, ale nie dostała odpowiedzi. Po kolejnej detonacji usłyszała piskliwy zgrzyt – belka nieco się osunęła i zakołysała na lampie. Lena z przerażeniem spojrzała na obnażone ciało Pepego. Pośpiesznie wypełniła kieszenie fartucha gazą, bandażami i flakonami lekarstw, których etykiet

nawet nie czytała. Przeciągnęła nosze na kółkach do stołu operacyjnego i natężając wszystkie siły, przeniosła na nie ciało brata. Z wielkim wysiłkiem omijając stopy gruzu na podłodze, wypchnęła nosze na korytarz.

Tam ujrzała dantejski widok: personel, niektórzy ranni, próbowali ewakuować chorych, część z nich chodziła bez celu, zakrwawiona i zdezorientowana; ze wszystkich sal dobiegało wołanie o pomoc, płacz i lamenty; na podłodze leżały trupy, ludzie z pourywanymi kończynami z trudem czołgali się do wyjścia. A eksplozje powtarzały się bez przerwy. Jakiś młody człowiek chwycił ją za nogi.

– Proszę mi pomóc. Proszę mi pomóc – błagał z podłogi.

Lena spojrzała na niego: jedna noga zwisała mu od kolana w dół jak wahadło, miał kompletnie zgruchotane kolano.

Ona chciała tylko jak najszybciej wyciągnąć stamtąd swojego brata, uratować mu życie. Przygnębiona spojrzała w jedną i drugą stronę, ale nie znalazła nikogo, kto byłby w stanie jej pomóc, każdy był zajęty sobą. Niewiele myśląc, podniosła tego wyjącego z bólu chłopaka i położyła go na brzuchu na noszach między nogami Pepego.

– Przykro mi... Proszę się jakoś trzymać...

Pchnęła ciężkie nosze. Z trudem przedzierała się przez korytarz. Bolały ją ramiona, plecy, nogi... całe ciało. Omijała gruz i inne przeszkody, obawiając się, że w każdej chwili mogą połamać się kółka noszy i że młodzieniec spadnie na ziemię. Jednak udało jej się dotrzeć do wyjścia.

Na zewnątrz panował nie mniejszy chaos. Przed drzwiami szpitala stały karetki, ludzie się ich czepiali. Niektórzy uciekali na drugą stronę ulicy i szukali schronienia pod drzewami na Campo de San Francisco. Inni biegali we wszystkie strony, niosąc rannych. Deszcz pocisków nie ustawał. Dym był coraz gęstszy; hałas coraz bardziej ogłuszający. Wszędzie dookoła byli lekarze i pielęgniarki, zakonnice, księża, mężczyźni, kobiety, starcy i dzieci. Czarne i białe plamy. Lena poczuła, że słabnie, mdliło ją, nie była zdolna do dalszego działania. Gdzieś w pobliżu spadła bomba i huk ją ożywił. Popatrzyła na ciała leżące na noszach, a potem rozejrzała się wokół.

– Ej, chłopaku! Pomóż mi! – zawołała.

Przechodzący obok piętnastolatek zatrzymał się – mundur Falangi i ręce pokryte krwią, twarz zalana potem, do którego przylepił się pył.

– Wszystko w porządku?

– Tak, proszę pani... Noszę rannych do parku... Więcej się nie zmieści w karetkach... – Głos mu się rwał, tak ciężko dyszał.

– Pomóż mi przy tych noszach. Też spróbujemy dostać się do parku. Przede wszystkim trzymaj tego faceta, żeby nie spadł na schodach.

Kiedy Guillén dotarł w pobliże szpitala, ogarnęło go przerażenie. Bombardowanie jeszcze nie ustało, choć teraz było nie tak celne i nie tak intensywne. Może dlatego, że z budynku już niewiele zostało: zamienił się w dymiącą ruinę. Syreny karetek pozostawiły po sobie przejmującą ciszę, przerywaną od czasu do czasu zduszonym jękiem. Przepchnął się między wychudzonymi ludźmi, którzy właśnie wydostali się z piekła. Niektórzy wynosili ostatnie ciała na zaimprovizowanych noszach, inni usuwali gruz, część wałęsała się bez celu, byli też tacy, którzy siedzieli na ziemi bez sił. Serce mu podskoczyło na widok pielęgniarki płaczącej pośrodku chodnika. Ale nie była to Lena; po Lenie nie było ani śladu.

– Dobrze się pani czuje?

Pielęgniarka uniosła wzrok; w jej oczach odbijało się przerażenie.

– Już więcej nie mogę... Więcej nie dałam rady zrobić... Zostali w środku...

Wszyscy nie żyją.

Podszedł do nich funkcjonariusz Guardia Civil.

– Musicie stąd odejść. Nikt tu nie może przebywać.

– Czy ktoś został w środku?

Gwardzista spojrział na nią, jakby była wariatką.

– Tylko trupy. No już, idźcie stąd.

– Szukam kogoś – powiedział Guillén, rozpaczliwie chwytając się ostatniej deski ratunku; sam fakt, że rozmawia z gwardzistą, sprawiał, że zaczynał się robić nerwowy.

– Przejdźcie przez Campo de San Francisco i tam zapytajcie.

Guillén wziął pod rękę dziewczynę, która wzruszona nie stawiała oporu, i wraz z nim przeszła przez ulicę.

W parku było mnóstwo rannych i chorych, leżeli dosłownie wszędzie. Mieszkańcy przynieśli materace i koce, także wodę. Niektórzy księża i zakonnice oraz personel medyczny pomagali ofiarom, jak mogli. Widać było, że są wyczerpani. Jakiś ksiądz udzielał namaszczenia tym, którzy tego zapragnęli. Szli pośród nędzy, bólu i opuszczenia; śmierdziało żelazem, prochem, dymem, ludzkim zbiorowiskiem. Guillén dokładnie przyglądał się każdej twarzy, podczas gdy pielęgniarka podążała za nim jak automat.

– Rosarín...

Zakonnica w zakrwawionym habicie zastąpiła mu drogę, rozpoznawszy dziewczynę.

– Moja kochana córeczka...

Młoda pielęgniarka rzuciła się do niej i wybuchła płaczem. Zakonnica mocno ją przytuliła, pocieszając czułymi słowami.

– Znalazłem ją na środku ulicy, stała i płakała. Jest zagubiona.

Po raz pierwszy zakonnica spojrziała na Guillena.

– Dziękuję, synu... Nikt nie powinien przez to przechodzić. Bombardowanie szpitala, w którym są tylko chorzy i ranni... Nie ma już żadnych granic ani choćby krztyny człowieczeństwa.

– Szukam jednej pielęgniarki: Lena Álvarez.

– Tak, Lena. Dzisiaj nie miała dyżuru, ale przyszła, żeby pomóc bratu. Został ranny na froncie. – Ze smutkiem kręciła głową, jakby nawet ona nie rozumiała postanowień Bożej Opatrzności.

– Gdzie mogę ją znaleźć?

– Nie... Przykro mi. Nie widziałam jej, odkąd się to wszystko zaczęło...

– Czy tu są wszyscy ewakuowani?

– Tylko ci, których nie udało nam się zawieźć w inne zaimprovizowane miejsca. Reszta jest u salezjanów, u Świętego Izydora albo w Círculo Mercantil.

Guillena ogarnął smutek; znalezienie Leny będzie tytaniczną pracą, a zwłaszcza o tej porze, kiedy zaczyna zapadać zmrok. Musiał koniecznie się dowiedzieć, czy ona żyje, w przeciwnym bowiem razie oszaleje.

– Idź z Bogiem, dziecko... Nadzieja umiera ostatnia.

Guillén uśmiechnąłby się, ale nie był w stanie nawet wykrzywić ust.

– Dziękuję, sestro.

Być może wałęsanie się po tym polu nędzy było bezsensowne, ale nie potrafił myśleć o niczym innym. Przeszuka to miejsce twarz po twarzy, a później uda się do salezjanów i wszędzie, gdzie tylko będzie trzeba. Nie przyjmował do wiadomości, że mógłby nie znaleźć jej żywej.

Mrok nocy nie osłabił strachu. Przeciwnie, kiedy zapadła ciemność, to miejsce wyglądało jak piekło: płacz i zgrzytanie zębów. Ogniska oświetlały tylko śmierć i cierpienie. Wilgoć i ziąb przenikały go do szpiku kości. Podszedł do jednego z ognisk, żeby ogrzać sobie ręce. „Wody... wody...” – błagał staruszek leżący na mokrej ziemi obok tego, co zostało z kiosku zmieczonego pociskiem artyleryjskim; przykryty był tylko starym płaszczem. Guillén rozejrzał się wokoło, ale nie zobaczył nic, czym mógłby go napoić.

– Spokojnie... Pójdę po wodę – zapewnił go, ściągając własny płaszcz i przykrywając go.

Kilka metrów dalej natknął się na pielęgniarkę zajmującą się rannym.

– Przepraszam, gdzie mogę znaleźć wodę? Jest tam człowiek, który...

Słowa zamarły mu na ustach, kiedy się odwróciła.

– Lena... – wyszeptał jedynie. – O Boże...

Chciał ją przytulić i zasypać pocałunkami, ale jej spojrzenie go powstrzymało. Nie tylko nie było zaskoczenia ani uśmiechu, ani łez; tragiczne było to, że patrzyła na niego z pogardą.

– Lena... – powtórzył, jak gdyby wypowiedzenie jej imienia miało to zmienić.

Ona wzięła jedynie poobijany kubek i podeszła do staruszka. Guillén szedł za nią zbity z tropu; to było jak koszmar, w którym wszystko dzieje się gdzieś daleko od niego. Dziewczyna uniosła głowę staruszka, przyłożyła krawędź kubka do jego spierzchniętych ust, żeby ostrożnie go napoić, a potem fartuchem otarła krople wody spływające mu po brodzie i wstała.

Guillén zrozpaczony chwycił ją za ramiona. Tyle napięcia się w nim zgromadziło, że był na skraju łez.

– Żyjesz!

W odpowiedzi spuściła wzrok.

– Leno, błagam cię, co się dzieje? Powiedz coś, błagam. Dlaczego się do mnie nie odzywasz? Zaraz oszaleję...

Dziewczyna wzruszyła ramionami, żeby się od niego uwolnić, i poszła dalej.

– Odejdź, Guillén. Nie powinno cię tu być – powiedziała, nie odwracając się.

Zmusił ją, żeby się zatrzymała i spojrzała na niego; w jej twarzy nie było ani śladu emocji.

– Nie rozumiem... Nie możesz sobie wyobrazić, ile wycierpiałem, jak byłem przerażony, że cię nie odnajdę. Nie mogłem nawet myśleć o tym, że coś ci się stało! Nie mogę znieść myśli o tym, że cię stracę!

Nagle twarz Leny się zmieniła. Ściągnęła się z żalu, strachu, wściekłości i innych złych uczuć.

– Ty? Ty wycierpiałeś? Ty byłeś przerażony? – Mówiła cicho, niemal szeptem, ze spokojem, który go przytłaczał. – Zdaje się, że nie jesteś świadomy tego, co się stało. To, to właśnie zrobił legalny i demokratyczny rząd, to zrobili ci, którzy zawłaszczyli sobie szlachetne idee pokoju, równości i sprawiedliwości: zbombardowali szpital! Wyładowali swoją wściekłość na rannych i chorych! Tak pojmują wojnę! I to są twoi ludzie, Guillén, a ty szczycisz się, że jesteś po ich stronie. Dlatego nie mów mi o przygnębieniu, nie przychodź mi tu opowiadać o cierpieniu, nie mów, że martwisz się o mnie albo o kogokolwiek z nas, bo jesteś z tymi, którzy dziś dokonali tej zbrodni, to niczym nieusprawiedliwione barbarzyństwo, nawet wojną. Nie jesteśmy rodzeństwem, to oczywiste, więc nic cię nie powinno obchodzić, co ze mną będzie; ani z Pepem, którego musiałam wyciągnąć z sali operacyjnej, żeby tam nie zginął, a teraz nie wiem, jak zabezpieczyć jego ciągle otwarte rany. Odejdź, odejdź i nie wracaj. To nie jest twoja strona frontu.

Odwróciła się i odeszła. Guillén wbił spojrzenie w jej plecy, skamieniały, niezdolny do reakcji.

Tak, zawsze się okłamywał, sądząc, że potrafi unikać kul. Wiedział o tym. Jednak nigdy nie mógłby sobie wyobrazić, że w środku wojny zostanie raniony nie stalowymi kulami, ale słowami Leny, które niczym lód trafiły go prosto w serce. I było tak, że powoli, niepostrzeżenie się wykrwawiał.

*

Z czasem Guillén nauczył się, że duma jest wadą charakteru. Odwołując się do źle rozumianej dumy, popełnia się wiele błędów. Jednak kiedy jest się młodym człowiekiem, duma jest pancernem, który dodaje człowiekowi sił i pewności siebie.

Powodowany dumą tej nocy opuścił Oviedo z silnym postanowieniem, że nigdy tu nie wróci, chociaż ta sama zraniona duma nie pozwoliła mu wsiąść w pociąg do Francji i powrócić do wcześniejszego życia, sprzed wojny, które teraz przyprawiało go o niesmak. Oszukiwał samego siebie, że pozostanie jest kwestią lojalności i ideałów. Łatwo dał się przekonać Sabinowi Merze.

Udał się do niego, gdy wściekłość zastąpiła ból, gotowy uderzyć pięścią w stół, żeby wyładować złość i frustrację. Sabino był ważnym członkiem Partii Komunistycznej i Międzyprowincjonalnej Rady Asturii i Leonu; był doradcą Juana Ambou, który szczycił się stanowiskiem delegata Rady i członka Komisji Wojskowej. Sabino był najwyższą szarżą, na którą mógł nawrzeszczyć i zostać wysłuchany.

– Do jasnej cholery! Przecież to szpital, to przeklęty szpital! Jak komuś mogła wpaść do głowy, żeby go bombardować? To wbrew wszystkim konwencjom, wszelkim zasadom! To cholerne barbarzyństwo!

Spokój Sabina niezwykle kontrastował ze wzburzeniem Guillena. Niewzruszony czekał, aż młodzieniec wyrzuci z siebie wszystko, aby flegmatycznie wejść z nim w polemikę.

– Tak, to prawda. Nie zaprzeczę. Ale co mam ci powiedzieć? – Wzruszył ramionami, patrząc przez okno gabinetu na pałac Revillagigedo, gdzie mieściły się koszary milicji. – Od grudnia trzaskamy się z tymi upartymi mułami, socjalistami i anarchistami. Od grudnia nalegamy na to, żeby zebrać się i zaatakować kolumny galisyjskie. Ale oni, stary, mają jakąś obsesję na punkcie tego miasta. Jak sądzisz, dlaczego wywalili Ambou z Rady Wojennej? Bo uwierał ich jak kamień w buty. On nigdy by się nie zgodził na podobny bezsensowny atak. Teraz Belarmino robi w Komisji Wojskowej, co mu się podoba. A Belarmino to bydlę. Jak dla mnie to bombardowanie szpitala jest raczej wynikiem bezsilnej wściekłości niż jakiegokolwiek strategii. Absurd. Oviedo będzie się opierał, dopóki będzie mieć wsparcie z zewnątrz, może wreszcie uda nam się to wbić do tych ich zakutych łbów.

Ten pokaz zrzucania z siebie odpowiedzialności, zupełnie tak samo jak się otrzępuje kurz, sprawił, że Guillenowi zabrakło argumentów. Dyszał tylko wściekłością jak rozjuszony byk, z zaciśniętymi pięściami, gotowy rozbić stół. Sabino zapalił papierosa i rzucił mu paczkę.

– A poza tym, o co, kurwa, tyle zamieszania? Co się stało, to się nie odstanie, to jest wojna, do kurwy nędzy. Może ich Legion Condor nie równa z ziemią całych miast, co?! A może nie rozstrzelują na lewo i prawo kobiet i starców?! A może nie mają więzień zapelnionych politycznymi? Każda metoda jest dobra, Guillén. Tak jest zawsze na wojnie.

Guillén zapalił papierosa i rzucił zapalniczką o stół. Nieco uspokojony odpowiedział:

– No to przykro mi, ja już nie chcę brać w tym udziału. To już nie jest moja wojna.

Zupełnie niewzruszony Sabino powoli podszedł do fotela, opadł nań i położył ubłocone buty na stole.

– Naprawdę? I co zamierzasz zrobić?

– Wrócę do Francji. Jutro. W tej chwili.

– Taa... I wydaje ci się, że tam będziesz bezpieczny, w swoim burżuazyjnym schronieniu. No dobra, a co zrobisz, kiedy Niemcy wycelują działa w linię Maginota? Dokąd wtedy uciekniesz? – Sabino zaciągnął się papierosem i zdjął z języka drobinę tytoniu. – Przestańcie pierdolić, towarzyszu! To oczywiste, że ta wojna jest twoja. Nie tylko dlatego, że jesteś Hiszpanem tak samo jak ja i gra toczy się o twój kraj, ale i dlatego, że to tu i teraz trzeba zatrzymać faszystowskie barbarzyństwo, zanim pożre Europę. Ucieknij dziś, ucieknij jutro, a przez całe życie będziesz musiał się wstydzić tego tchórzostwa.

Po wysłuchaniu kazania Sabina Guillén natychmiast pomyślał o Lenie i po raz pierwszy w życiu czuł taką wściekłość i żal. Jej ideały nie były wyższe od jego ideałów, ona nie mogła udzielać mu lekcji na temat wielkich wartości, nie mogła go oskarżać o to, że znalazł się po nieodpowiedniej stronie. Do diabła z Leną; on ma swoje pryncypia, swoją dumę, swoje ideały, a ona nie miała prawa wyrzucać mu tego. To oczywiste, że dalej będzie walczył. Do diabła z Leną!

*

Klęska lutowej ofensywy na Oviedo doprowadziła do stabilizacji frontu niemal aż do końca wojny w Asturii. Od tego momentu ataki były sporadyczne i rozproszone, koncentrowały się w zasadzie na pierwszej linii.

Pepe uszedł z życiem, ale musiano mu amputować palec serdeczny prawej ręki. W kwietniu wrócił do swojego oddziału na froncie.

Lena schroniła się w rutynie, w intensywnej pracy aż do wyczerpania, która utrzymywała jej sumienie w uśpieniu. Gdy nadchodziła noc, odkupiała swoją winę, bo codziennie żałowała niesprawiedliwego okrucieństwa, jakie okazała Guillenowi. Ani ból, ani napięcie, ani strach, ani wściekłość nie usprawiedliwiały jej

zachowania. Grzech jednak został odpokutowany, bo Guillén więcej się nie pojawił i nie sposób się było z nim skontaktować. Jej jedynym lekarstwem były listy, które pisywała do niego w bezsenne noce; listy bezużyteczne, kończące w szufladzie jako świadkowie jej szaleństwa, bo rzeczywiście obawiała się, że straci głowę, pisząc słowa, których nikt nie miał czytać, i podpisując je „kocham cię” rzucając w próżnię, jałową i poza czasem.

Październik 1937

Powinien napisać list do hrabiny, ale strasznie bolało go ramię. Może przez tę nieubłaganą wilgoć, spowijającą miasto w słoną mgłę, która nadciągała z nad morza. Zażył środek przeciwbólowy i położył się do łóżka. I leżał tak, przykryty aż po uszy, ze wzrokiem utkwionym w popękany sufit upstrzony rozgniecionymi muchami jak czarnymi znamionami.

Mieszkał w pensjonacie w Gijón, dochodząc do siebie po otrzymanych ranach. Kilka tygodni wcześniej walczył na asturyjskim froncie wschodnim, pomagając w zatrzymaniu ofensywy powstańców z Kantabrii. Pięć tysięcy ludzi przeciwko ponad trzydziestu tysiącom żołnierzy nawarryjskich i samolotom Legionu Condor. Gdy bronił ze swym oddziałem pozycji w wiosce El Mazuco, kilka kilometrów od Llanes, wybuch moździerza wyrzucił chmurę odłamków, która go dosięgła. W szpitalu dowiedział się, że ten opór był bezskuteczny: powstańcy niepowstrzymanie zbliżali się do Gijón. Ponieważ nie mógł wrócić do walki, miał mnóstwo czasu na przemyślenia i na strach. Często zadawał sobie pytanie o to, co się stanie, kiedy upadnie Asturia, co wtedy będzie z nim.

Podczas spacerów po porcie przyglądał się grupom uchodźców – całe ich życie mieściło się w tobołku na plecach, na ich twarzach malował się strach. Czekali w tłumie na wejście na cokolwiek, co unosi się na wodzie i zabierze ich stamtąd. Łzy, zmęczenie i wybuchy na morzu, na które trzeba wyruszyć, pod osłoną dział *Ciscara*, jedyne go niszczyтеля broniącego wybrzeża, oraz brytyjskich okrętów pilnujących przestrzegania porozumienia Komitetu o Nieinterwencji, który nie zgodzi się na pomoc zagraniczną dla żadnej ze stron hiszpańskiego konfliktu. Okręt powstańców – pirat, jak mawiano – *Almirante Cervera* blokował dostawy żywności i sprzętu do tej części terenów republiki, które jeszcze pozostały w Asturii.

W tej masie zdesperowanych ludzi byli nie tylko uchodźcy. W gazecie „Avance” codziennie publikowano listy uciekających i dezertersów, by szydzić publicznie z nich samych i ich rodzin; tak samo jak szydzono z rozstrzeliwanych dowódców tych oddziałów, które schodziły ze swych pozycji, utraciwszy mniej niż połowę stanu. W tych dniach agonii nie było miejsca na sianie strachu i tchórzostwo. I chociaż Guillén codziennie patrzył w morze, jak więzień patrzy na świat przez kraty swojej celi, tłumiał wątpliwości i strach, łykał je jak rycynę; on nie będzie zdrajcą.

Delikatne stukanie do drzwi wyrwało go z tych błędnych myśli.

– Proszę.

Sabino Mera – coraz bardziej wygłodzony, bez śladu uśmiechu – wszedł do pokoju. Postawił na stole butelkę wódki.

– Przyniosłem ci lekarstwo. Wypij je od ręki i wylaż z łóżka. Idziemy.

Guillén z grymasem bólu i lekkimi mdłościami wsparł się na łokciu; pieczołowicie zajął się podejrzaną miksturą z butelki.

– O co chodzi? – zapytał, wycierając brodę ręką.

– Faszyci są w Infiesto, o rzut kamieniem. Nie ma już kogo zmobilizować. Ani broni, ani amunicji, ani ochoty. Godzinę temu było posiedzenie tego, co zostało z rządu – odpowiedział Sabino. Miał na myśli Radę Suwerenną; pod taką bowiem nazwą funkcjonowała teraz Rada Międzyprovincialna. – Zdaje się, że jesteśmy skazani: nakazują odwrót, ewakuację i zniszczenie wszystkiego, co może mieć zastosowanie wojskowe. Koniec imprezy.

Nie mając nic do powiedzenia, Guillén znowu pociągnął łyk.

– Rada w całości została dziś w Musel, będą się ewakuować. Belarmino twierdzi, że w porcie są statki dla pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Wątpię... Jeśli pójdiesz na nabrzeże i policzysz wszystko, co jest w stanie pływać, nawet jakieś pierdolone deski, to nawet nie zbliżą się do pięćdziesięciu tysięcy. A do tego jeszcze te masy zdesperowanych cywili, które będą się rzucać do wody jak szczury, jeśli nie zdołają wejść na pokład.

Guillén wiedział, że to prawda, chociaż od kilku dni nie chodził do portu – od kiedy zbombardowano magazyny paliwa Campsy i morze stało się pomarańczowe. Nie sądził, żeby nagle znikąd pojawiły się statki.

– W takim razie dokąd mamy się tak śpieszyć? Lepiej będzie, jeśli zostaną w łóżku i faszyci złapią mnie pijanego.

– Ostatnio ciężko znieść twój humor, tak ciężko, że w sumie to nie wiem, czy chcę cię za towarzysza podróży...

Guillén uniósł jedną brew, nagle okazując zainteresowanie.

– Słuchaj, znam jednego rybaka z Luanco; dziś po zmroku wypływa do Francji i ma na kutrze miejsce dla nas dwóch i jeszcze kilku towarzyszy. To okazja, Guillén. W tych dniach nie będzie innego sposobu na opuszczenie tej dziury, a ja nie mam zamiaru tu zostać, żeby faszyci mnie obdarli ze skóry. Dotrzemy do Francji, a stamtąd z powrotem do Katalonii.

– Co ci każe myśleć, że wrócę do tego piekła? Musiałbym zwariować...

Sabino po raz pierwszy wyszczerzył zęby w tym typowym dla siebie łotrowskim uśmiechu. Wyrwał mu butelkę, zamknął ją i pod obojętnym spojrzeniem Guillena schował do torby wraz z innymi rzeczami zebranych ze stolika.

– Wszyscy zwariowaliśmy. A ty jesteś jednym z nas. Asturia padła, ale wojna dalej trwa i Madryt dzielnie się broni. *No pasarán*, Guillenie! Nie damy im przejść. Musimy tam być, żeby powstrzymać faszystowski but, albo piekło rozleje się na wszystko dokoła, na Francję też.

Guillén wyrzucił z siebie śmierzące alkoholem przekleństwo, wstał z łóżka,

zwinął swoją jedyną koszulę na zmianę i wrzucił ją do torby przygotowanej przez Sabina.

Grudzień 1938

Oviedo

29 października 1938

Kochany Guillenie,

mam nadzieję, że w chwili, kiedy ten list dotrze do Ciebie, będziesz miał się dobrze. Piszę do Ciebie te słowa w wielkim smutku, gdyż jestem zmuszona Cię powiadomić, że dziś zmarła Twoja mama. Wszyscy ją oplakujemy, nie mogąc się pogodzić z tak niespodziewanym i smutnym końcem. I jedyne, co nas pociesza, to że odeszła podczas snu w wyniku ataku serca.

W ostatnim czasie, od śmierci Tomasa na froncie pod Teruelem, była bardzo przygnębiona. Wydawała się znaczne słabsza. We wrześniu pojechała do Cellai, wioski, w której jest pochowany nasz kochany brat. Towarzyszyła jej Renata, bo ojciec w tamtym czasie chorował. Otrzymała pozwolenie sądu i kapelana na otwarcie grobu i pożegnanie się z tym, którego zawsze uważała za syna. To musiało być dla niej bardzo ciężkie przeżycie. Dobrze wiesz, że była silną kobietą, nie lubiła niepotrzebnych łez, ale łzy napływały jej do oczu, kiedy nam opowiadała, jak zostawiła mu różaniec w rękach i przypięła medalik do swetra, który sama mu zrobiła, zanim wyjechał z Oviedo i dokąd nigdy nie powróci. Powiedziała, że kiedy go przykryli prześcieradłem i musiała go tam zostawić, tak daleko, pękło jej serce. Może naprawdę pękło.

Jestem świadoma bólu, który sprawia Ci ta smutna wiadomość, tego samego, który teraz wszyscy czujemy. Chcielibyśmy, żebyś był tu z nami i udzielił nam pocieszenia, którego poszukujemy u siebie nawzajem. Może jednak pocieszy cię nieco to, że Twoja matka była bardzo z Ciebie dumna, do samego końca, że zawsze podziwiała siłę Twoich przekonań, wierność, odwagę i Twoją dobroć, którą często wychwalała wobec bliskich i obcych. I zawsze miała Cię w tym swoim wielkim sercu, w którym było miejsce na tyle czułości – wiesz doskonale, że zajmowałeś tam specjalne miejsce.

Dziś rano Renata i ja umyłyśmy ją, założyłyśmy chustkę, którą jej podarowałeś, i włożyłyśmy jej do rąk Twoje zdjęcie, to, które stało przy łóżku. Wydawało mi się, że się uśmiecha i że w jej twarzy jest spokój, którego od tak dawna brakowało. Już jest w Królestwie Niebieskim, skąd będzie czuwać nad nami wszystkimi, szczególnie nad Tobą, ukochanym synem.

Kochany Guillenie, w tym czasie żałoby i smutku, w których proszę Boga, aby zachował Cię całego i zdrowego, ślę Ci moją miłość.

LENA

Lena szybko otarła łzę, strofując siebie, że płacze za każdym razem, gdy czyta ten list, napisany już dwa miesiące temu i ciągle niewysłany. Złożyła list i schowała do kieszeni uniformu, gdzie zawsze go nosiła. W tej samej chwili poczuła na twarzy lodowaty wiatr unoszący płatki śniegu jak konfetti. Podniosła kołnierz płaszcza, chuchnęła w dłonie i zatarła je, jednocześnie poszukując pomiędzy drzewami i domami widoku gór. Nie były to jej góry, tylko Sierra de Guadarrama, a jednak przypominały jej szczęśliwe dni dzieciństwa i Guillena leżącego w trawie i liczącego chmury. Czasem tęsknota ścisnęła jej serce, ale cierpienie, na które co dzień patrzyła, było tak wielkie, że jej własne wydawało się nieistotne.

Gdy wojna w Asturii dobiegła końca, poczuła, że Oviedo wali jej się na głowę; z miastem wiązało się zbyt wiele nieszczęśliwych wspomnień. Zapisła się na kilka kursów, żeby zdobyć dyplom pielęgniarki Czerwonego Krzyża, i dostała go zaraz po śmierci Tomasza. Jej pierwszym miejscem przeznaczenia był Szpital Wojskowy w Saragossie, potem przeszła przez różne szpitale polowe w Huesce, Guadalajarze i Cáceres. Po bombardowaniach, ewakuacjach i służbie na pierwszej linii pod krzyżowym ogniem miasteczko La Granja de San Ildefonso w Segowii, dokąd przyjechała zaledwie przed kilkoma tygodniami, wydawało jej się rajem.

Służyła w izbie przyjęć szpitala polowego mieszczącego się w budynkach dawnego domu ludowego. Chociaż La Granja znajdowało się zaledwie o kilka kilometrów od frontu, sytuacja tam była względnie spokojna od lata poprzedniego roku. Niemniej to miasteczko, które można by uznać za przyczółek, było bardzo silnie zmilitaryzowane i przez ulice wciąż przetaczało się wojsko – z pozycji i na pozycje na froncie; to wszystko wpływało na życie codzienne mieszkańców od samego początku wojny. A jednak oprócz drobnych potyczek w górach od czasów bitwy pod La Granja de San Ildefonso na samym początku konfliktu nie zdarzyła się tu żadna ważna operacja wojskowa. Tak więc, pomijając sporadyczne rany od kul, większość pacjentów cierpiała na odmrożenia, hipotermię, grypę albo bronchit.

Wiele tamtejszych domów i mieszkań zostało przejętych na potrzeby wielkiej liczby wojska. Lena mieszkała w prywatnym domu, gdzie wraz z trzema innymi pielęgniarkami zajmowała ciepły, przestronny pokój z widokiem na pałac królewski i góry w tle. W szpitalu miała dwa dyżury dziennie, poranny i popołudniowy, i raz w tygodniu nocny. Resztę czasu poświęcała na spacer, czytanie przy kominku w saloniku, pisanie listów do rodziny, grę w karty z koleżankami; trzy razy w tygodniu pomagała jako wolontariuszka w stołówce pomocy społecznej. Od dawna nie prowadziła tak wygodnego życia. Od bardzo

dawna nie była tak smutna.

Siedząc na granitowej ławce w pokrytym warstwą śniegu małym ogrodzie, myślała o powrocie na front, skąd ją odsunięto, gdy przekroczyła sześć miesięcy nieprzerwanej służby. Nagle przed bramą szpitala zatrzymał się wóz ciągnięty przez muła i eskortowany przez grupę żołnierzy; ściągnięto z niego mężczyznę na noszach. Lena wstała z miejsca i podeszła do nich.

– Mamy rannego.

Nie trzeba było tego mówić, widok krwi wystarczył za wszelkie słowa.

Lena pokazała im ręką, żeby wnieśli rannego do środka, i poprowadziła ich do izby przyjęć.

– Połóżcie go na tej kozetce...

Żołnierze zrobili ruch, żeby podnieść mężczyznę, ale ten ich powstrzymał.

– Dam radę sam. – Wstał z noszy, lekko kulejąc, i opadł na kozetkę.

– Co się stało?

– Służba, panienko – odpowiedział lakonicznie sierżant, najwyraźniej Andaluzyjczyk. – Ale spokojnie, nie było kul ani bomb, tylko kamień na drodze.

– Możecie odejść, Bermúdez – przerwał mu gwałtownie ranny.

– Na rozkaz, panie poruczniku – powiedział sierżant i przyjął postawę zasadniczą.

Lena dostrzegła odrobinę kpiny w całej tej scenie.

Ucieszyła się, kiedy ta banda sobie poszła i pozwoliła jej spokojnie wykonywać swoją pracę. Ranny mężczyzna trzymał przy skroni chusteczkę, którą bezskutecznie próbował zatamować krew spływającą mu na policzek.

– Pozwoli pan? – Zabrała mu chusteczkę. Oczyszczywszy okolice rany wodą utlenioną, zobaczyła długie, głębokie rozcięcie. – Niech pan teraz znów przyciśnie – poleciła mu, przykładając do rany gazę. – Czy jest coś jeszcze, czego nie widzę?

– Nie wiem, czy nie złamałem sobie żebra.

– Gdzie boli?

– Tutaj – wskazał na żebro – kiedy głęboko oddycham. I jeszcze kostka, ale mniej.

Lena rozpięła mu mundur i koszulę; przyjrzała się dwóm gwiazdkom i znaczkowi piechoty.

Młodzieniec wzdrygnął się.

– Boli? – zdziwiła się Lena, bo ledwie go musnęła.

– Nie – uśmiechnął się – ma pani bardzo zimne ręce.

Lena też się uśmiechnęła, ale poczuła, że oblewa się rumieńcem.

– Przepraszam. – Zasłoniła pierś oficera. – Wezwę lekarza.

– Czy to tak poważne? – zapytał ze zboląłą miną, bez wątpienia udawaną.

– Spokojnie, tym razem pan przeżyje. Ale ja jestem tylko pielęgniarką, musi pana zobaczyć lekarz, nawet gdyby przyszedł pan jedynie z obierającym się

paznokciem.

Lena otrzymała od lekarza szczegółowe instrukcje, zanim ten udał się do innego pilnego przypadku: zaszyć ranę na skroni i zrobić zdjęcie rentgenowskie klatki piersiowej. Co do kostki, było to tylko skręcenie, na które należy przyłożyć lód i maść przeciwzapalną.

– Dobrze, na początek zaszyjemy tę ranę – poinformowała pacjenta.
– W izbie przyjęć nie mamy znieczulenia miejscowego, więc są dwie możliwości: albo użyję chloroformu, albo będę pana szyc bez znieczulenia. Nie będzie wiele szwów... – skłamała; wiedziała, że założy ich przynajmniej siedem.

Porucznik westchnął.

– Nie najlepiej wspominać kaca po chloroformie, a zatem... do dzieła, może pani szyc na żywca.

– Musi mi pan obiecać, że nie będzie się ruszał.

– Słowo Dzieciątka Jezus. – Pocałował się w kciuk.

Lena nie rozumiała, jak ten młody człowiek może pajacować w takim stanie. A jednak, pokręciwszy z dezaprobatą głową, ograniczyła się do wypełnienia swoich obowiązków: umyła ręce wodą z mydłem, natarła je spirytusem i przygotowała cały materiał. Dała pacjentowi zastrzyk przeciwwężcowy, wyczyściła i porządnie zdezynfekowała ranę, i przygotowała się do szycia.

– Proszę pamiętać, niech się pan nie rusza.

Porucznik przy pierwszym szwie zamknął oczy i zacisnął usta; przy drugim przyspieszył mu puls, przy trzecim zacisnął pięści, aż knykcie zrobiły mu się białe; przy czwartym czoło zrosił mu pot...

– Proszę mi powiedzieć, panie poruczniku... – zaczęła Lena spokojnie, nie przerywając swojego zadania.

– Aranzadi... – dorzucił głosem lekko zniekształconym przez ból. – Jaime Aranzadi.

– Proszę mi powiedzieć, panie poruczniku Aranzadi, co się wydarzyło.

– Chce pani znać prawdę czy to, co wpiszę do raportu, żeby nie wyjść na idiotę?

– Zależy od tego, jak smakowita jest to prawda.

– Jest raczej komiczna...

– W takim razie na pewno chcę poznać prawdę.

– To trochę przydługa historia... – przerwał i skrzywił się z bólu. – Ale sprowadza się do zakładu z sierżantem Bermudezem.

– I przegrał pan.

– Och, nie, wygrałem. To moja jedyna pociecha. Wszystko zaczęło się wczoraj w nocy. Mieliśmy zająć pozycje nieprzyjaciela w rejonie Malagosto i pośród wielu przygotowań, których wymagała operacja, kazałem sierżantowi

Bermudezowi dać koniom ręczniki.

– Koniom ręczniki?

– Tak, zawiązać im kopyta, żeby nie stukały, jak się będziemy zbliżać. Musiałaby pani zobaczyć te biedne zwierzęta, wyglądały, jakby szły w pantoflach. Dla wojskowej szkapy to dyshonor, ale jeszcze nie wymyślono butów dla koni.

Lena dokładnie mu się przyjrzała.

– Zapewniam panią, że ta historia jest prawdziwa.

– Wierzę panu. To zbyt cudaczna historia, żeby mogła być nieprawdziwa.

– No to dlaczego przestała pani szyć?

– Bo już skończyłam. Muszę posmarować ranę jodyną i zabezpieczyć, ale najpierw proszę mi opowiedzieć zakończenie, bardzo mnie ciekawi ta historia.

Porucznik Aranzadi szklanym wzrokiem spojrzał na twarz pielęgniarki i w końcu się uśmiechnął.

– Dobrze się zachowałem?

– Jak bohater, ale nie spodziewałam się niczego innego po hiszpańskim żołnierzu. Proszę powiedzieć, co stało się z końmi.

– Ach, z końmi nic. Stało się to, że sierżant Bermúdez zdenerwował się, że musi wykonać podobne zadanie, a jest bardzo obraźliwy i wszystko bierze do siebie. Sprawa jest taka, że wyruszyliśmy na misję i zajęliśmy pozycje bez jednego wystrzału. Można powiedzieć, jeśli pozwoli mi pani na to wyrażenie, że przyłapaliśmy ich w gaciach; wartownik wrzucił niedopałek papierosa do lufy karabinu opartego o drzewo. W każdym razie uciekli z krzykiem: „Nadchodzą faszyci!”.

Lena z zaskoczeniem stwierdziła, że sama się śmieje.

– Ci faszyci to muszą być okropni ludzie – rzuciła żartem.

– Tak, tacy są: atakują pozycje na koniach w pantoflach.

Lena znowu się zaśmiała.

– No dobrze, ale co sierżant Bermúdez ma z tym wszystkim wspólnego?

– Chodzi o to, że czerwoni, uciekając, zostawili parę nart i sierżant zaczął sobie ze mnie żartować, że nie miałbym dość odwagi, żeby się na nich przejechać, i w ogóle to on się założy ze mną o butelkę anyżówki, że nie pojedę... Nie można sobie pozwolić na coś takiego przed swoimi ludźmi, prawda? Poza tym wydało mi się, że to będzie łatwe: przypnę narty, zjadę na nich kawałek i wygram butelkę anyżówki, chociaż tak naprawdę anyżu nie znoszę. – Porucznik pokręcił głową. – Powiem pani coś... jazda na nartach to dość wymagające zadanie. Na samym początku nawet całkiem dobrze mi szło, nieźle trzymałem się na nogach i zjeżdżałem z godnością. Najgorsze jest to, że zacząłem nabierać coraz większej szybkości, i jeszcze, jeszcze większej... aż na koniec, ponieważ nie byłem w stanie się zatrzymać, straciłem panowanie i wyrzuciłem w jedyną skałę, która wystawała spod śniegu; głową, co mogła pani stwierdzić... No, ale zakład wygrałem.

– Mój Boże, co za upór. Mógł się pan zabić!

– I zamiast medalu pośmiertnego matka otrzymałaby zaświadczenie o mojej głupocie... Żalodne.

Z uśmiechem na ustach Lena zaczęła bandażować mu ranę.

– Proszę się nie denerwować, pański sekret jest u mnie bezpieczny.

– Sekret? W tej chwili to już na pewno nie jest żaden sekret. Ta menda Bermúdez bez wątpienia zdążył wszystko rozpowiedzieć na cztery wiatry... – odparł gniewnie. – Mogę zapalić?

Nie odpowiadając, Lena poszukała papierosów w jego kurtce, wyciągnęła jednego i włożyła mu do ust.

– Tak naprawdę, to nie... Ale może zdołam sprawdzić, czy złamał pan sobie któreś żebro, oszczędzając przy tym płytkę rentgenowską. Proszę się porządnie zaciągnąć – poleciła, zapalając mu papierosa.

– Ach! – jęknął. Zachłysnął się dymem i zaczął kaszleć, co tylko spotęgowało jego ból.

Lena podała mu szklankę wody.

– Och, to zabrzmiało jak złamanie, i to poważne. Żadnych papierosów. – Zabrała mu papierosa.

Jaime Aranzadi popatrzył na pielęgniarkę z komiczną mieszanką bólu i radości w oczach. Nigdy jeszcze nie spotkał dziewczyny tak zdecydowanej jak ta i niewiele równie ładnych.

– Wie pani, jest pani kobietą niebywale... praktyczną.

– To dlatego, że mam wielu braci.

*

Był sylwester i padał gęsty śnieg, wielkie płatki, jak płatki białych róż. Powietrze pachniało lodem i palonym drewnem. Na ulicach dzieci śpiewały kolędy i patriotyczne przyśpiewki. „Don Marcial – zapytało jedno nauczyciela – możemy rzucić petardy?” „Nie, dziecko, nie. Nie czas na żarty”.

Przy kościele Rosario wolontariuszki z Sekcji Kobiecej rozdawały tabliczki turronu i torebki winogron pod szyldem obwieszczającym: PRZYBYŁA HISZPANIA! na tle zdecydowanych falangistów... Jakby Hiszpanii tam wcześniej nie było. Dusza równie pobożna, co naiwna zasłoniła Dzieciątko Jezus Narodzone kawałkiem materiału. Naprzeciwko – żeby nie mieszać modlitw – jakiś Maur zachwalał swój towar: „Indyki, bardzo świeży!” – może nawet mrożone – i „Znaczkę twarz Franco!”.

Lena dawno już nie czuła tak świątecznego nastroju. By świętować zakończenie roku, wraz z innymi pielęgniarkami i kilkoma rannymi ze szpitala

udali się na uroczystą mszę w kościele Los Dolores. Potem całe miasteczko miało się zebrać na placu, by wysłuchać dwunastu uderzeń zegara i przywitać nowy rok śpiewami zorganizowanymi przez oddział muzyki Sekcji Kobiecej. Tańce w ratuszu i czekolada z ciasteczkami miały zwieńczyć tę noc.

To w czasie mszy Lena zdała sobie sprawę, że pośród wiernych znajduje się porucznik Aranzadi. Siedział z oficerami i komendantem wojskowym w pierwszej ławce. Wydał jej się bardzo elegancki w galowym mundurze: bryczesy, oficerki, kurtka wojskowa, niebieska szarfa i czapka oficerska pod pachą; i po jednej stronie twarzy biały opatrunek. Wyróżniał się przy tym wzrostem: był wyższy od wszystkich swoich towarzyszy. Lena musiała przyznać, że jest mężczyzną atrakcyjnym.

Z zamyślenia wyrwało ją szarpanie za rękaw.

– Siadaj – szepnęła jej koleżanka z ławki.

Lena z przerażeniem stwierdziła, że stoi jako jedyna w całym kościele.

– O czym myślisz?

– O niczym... – wybąkała zawstydzona, jednocześnie składając ręce i mechanicznie modląc się, żeby dojść ze sobą do ładu.

Gdy wybrzmiały już dzwony i przedstawienie muzyczne na scenie zbudowanej wyłącznie w tym celu na placu, który wszyscy nazywali Los Dolores, chociaż tak naprawdę był to plac Franco, zabrały rannych, żeby mogli odpocząć po tyłu emocjach. Spełniwszy swój obowiązek, grupa młodych pielęgniarek dostała pozwolenie przełożonej na udział w tańcach. Jednakże Lena nie miała tej nocy dobrego humoru. Kiedy rozbrzmiały pierwsze takty *La mazurca de las sombrillas*, postanowiła udać się do domu.

– Sostro! Sostro!

Usłyszała, że ją wołają, i odruchowo się obróciła, spodziewając się, że ktoś oczekuje od niej pomocy. Z zaskoczeniem odkryła, że stoi twarzą w twarz z porucznikiem Aranzadim.

– Sostro... – powtórzył po cichu. – Boże, to okropne. To takie żałosne musieć za panią wołać „sostro”, jakbym się wykrwawiał... Ale nie znam pani imienia.

Nie przestając się zastanawiać, czy to spotkanie ją cieszy czy nie, uśmiechnęła się na wszelki wypadek i oficjalnie się przedstawiła:

– Lena Álvarez. – Wyciągnęła do niego rękę.

On ją ujął i lekko się pochylając, przybliżył do niej usta w geście staromodnej elegancji.

– Porucznik Jaime Aranzadi.

– Wiem... Już mi się pan przedstawił.

– Ach, przepraszam... – Nerwowo podrapał się po karku. – Zdaje się, że

tamtego dnia byłem nieco... oszołomiony.

– Tak, też się tego obawiam. Czy już panu lepiej?

– Och, tak. Już mogę swobodnie oddychać. – Nabrał powietrza w płuca, ale zatrzymał się w połowie. – No cóż, prawie.

– A rana?

– Nawet jej nie zauważam.

– No to niech pan nie zapomni, że za kilka dni trzeba będzie ściągnąć szwy.

– Nie, nie zapomnę. Kiedy będzie pani na dyżurze, żeby mi je ściągnąć?

– Może pan przyjść na izbę przyjęć, dyżurna pielęgniarka je panu ściągnie.

– Ach, co to, to nie. Skoro pani mi je założyła, uważam, że powinna je też pani ściągnąć. Nie zgodzę się na to, żeby robiła to inna pielęgniarka.

Nie wiedziała, jak bardzo młodzieniec sobie żartuje, w każdym razie podjęła wyzwanie.

– Zgoda, przyjmuję swoją odpowiedzialność za tę sprawę. Może pan przyjść w środę między ósmą a dwunastą. Zdejmę je panu.

– To mi się podoba. – Spojrzał na jej puste ręce i zauważył: – Nic pani nie pije. Życzy pani sobie, żebym coś przyniósł? Filiżankę czekolady? Może coś... mocniejszego?

– Nie, nie, bardzo dziękuję. Tak naprawdę to już wychodzę.

Porucznik wydał się niemal oburzony.

– Już pani idzie? Jak to możliwe? Noc dopiero się zaczyna! To pierwsza noc 1939 roku! Tego, który będzie rokiem zwycięstwa! Nie słyszała pani przemówienia komendanta wygłoszonego w imieniu Franco? Trzeba to uczcić!

– Tak, słyszałam – potwierdziła Lena bez wielkiego entuzjazmu. – Ale jestem trochę zmęczona, a jutro rano mam dyżur.

– W takim razie odprowadzę panią do domu.

– Nie, naprawdę dziękuję, pójdę sama; to niedaleko.

– Nalegam.

Lena westchnęła.

– Proszę posłuchać, poruczniku, dziś w nocy nie nadaję się do towarzystwa. Proszę sobie znaleźć jakąś ładną dziewczynę i poprosić ją do tańca.

Jaime Aranzadi uśmiechnął się przebiegle.

– Ale ja już znalazłem. Czy zechce pani ze mną zatańczyć, panno Leno Álvarez?

– Nie mogę tańczyć w uniformie, to wbrew regulaminowi – skłamała bezczelnie.

Aranzadi rozejrzał się ostentacyjnie wokoło: inne pielęgniarki tańczyły na parkiecie. A zatem nie zamierzał się poddawać.

– Prawda jest taka, że ja też nie mogę tańczyć, kostka boli mnie jak diabli.

– Kostka? – Zmarszczyła czoło. – Ale ona była tylko skręcona...

– Ale za to solidnie. Gdyby mogła mi pani podać swoje pielęgniarskie ramię, żebym zdołał dojść do tej ławki...

– Dobrze, wystarczy tego teatru – przerwała mu, nie mogąc zachować powagi. W sumie schlebiał jej ten jego upór, więc postanowiła zostać. – Proszę mi przynieść coś do picia.

Przysiedli na ławce w kącie, z dala od orkiestry i parkietu tanecznego. Sangria dla niej i coś mocniejszego dla niego.

– Nie zjadła pani winogron – stwierdził porucznik Aranzadi. Ona spojrzała na niego pytająco. – Tak, przyznaję, przyglądałem się pani. I to dokładnie. Próbowałem sobie przypomnieć pani imię. Którego przecież nie znałem. Aż się zakrztusiłem przy siódmym uderzeniu.

Rzeczywiście nie zjadła winogron. Przy każdym uderzeniu zegara wkładała je do ust rannego, którym się opiekowała. Był to kapral zaledwie dwudziestoletni, który stracił obie ręce i jedno oko od wybuchu bomby. Siedział na wózku inwalidzkim, otwierał usta i gryzł je mechanicznie, nie okazując żadnych emocji; emocje też stracił przy wybuchu.

– Ten chłopak nie mógł zjeść winogron rok temu, był na wysuniętej pozycji pod Leridą.

– Jest pani przesądna?

Lena pokręciła głową i utkwiała wzrok w sangrii, której niemal nie ruszyła.

– Oby wszystko było tak proste, że można by to załatwić zjedzeniem dwunastu winogron. – Uśmiechnęła się.

Porucznik Aranzadi przysunął się bliżej i spojrzał jej w oczy.

– Dlaczego wcześniej powiedziała mi pani, że nie nadaje się dziś do towarzystwa? Czy może tęskni pani za chłopakiem albo, co gorsza, za narzeczonym?

– Nie, nie. Ani za chłopakiem, ani za narzeczonym. – Nerwowo obciągnęła sobie spódniczkę.

– A zatem dlaczego kiedy się pani uśmiecha, ten uśmiech jest smutny, panno Álvarez?

Przyłapana w chwili słabości, poddała się ciepłemu głosowi porucznika.

– Bo dziś nie miałam dobrych wiadomości.

– Czy to coś poważnego?

– Zależy, z czym porównać... Nie, może nie – poprawiła samą siebie. – Chodzi raczej o nagromadzenie rzeczy, znużenie, zmęczenie... To ciekawe, jak człowiek może się trzymać wobec ogromnych tragedii i załamać z powodu drobiazgu.

– Jedna karta rozwała zamek z kart... Co się pani stało?

– Właśnie karta, ale nie taka. Dzisiaj rano zdałam sobie sprawę, że nie będę w stanie wysłać bardzo ważnego listu do osoby, która jest po stronie republiki. I co

gorsza, od dawna nie mam wiadomości od tej osoby. Na dziś jest zaginiona, a to w obecnych czasach nie wróży nic dobrego.

– Proszę mi wszystko opowiedzieć. Całą historię.

Lena spojrzała na niego zaintrygowana.

– Jest sylwester, poruczniku. Dlaczego nie pójdzie się pan bawić z innymi?

Parkiet taneczny wrzał. Alkohol płynął rzeką. I rozbrzmiewało pasodoble.

– Bo nie przychodzi mi do głowy inne miejsce na świecie, w którym chciałbym teraz być. Zapewniam panią.

Lena musiała cofnąć się do czasów dzieciństwa, żeby porucznik Aranzadi zrozumiał całą historię. W żadnej chwili nie przyszło jej do głowy, że opowiada swoje życie kompletnie obcemu człowiekowi; po prostu czuła się dobrze, nawet odczuwała ulgę po trzech miesiącach narzuconej sobie samotności.

– Dziś rano dostałam odpowiedź hrabiny – kończyła, widząc dno szklanki sangrii. – Chociaż Guillén nie wrócił do Francji, byłam pewna, że zdoła się z nim skontaktować, że dowie się, gdzie go znaleźć i przesłać mu list zawiadamiający o śmierci matki. Ale myliłam się, od ponad miesiąca nie ma o nim żadnych wiadomości. Wcześniej hrabina pisała do niego na adres na froncie El Pardo, w Madrycie, ale w ostatnim liście Guillén jej oznajmił, że mają się przenieść, i polecił, by nie pisała, dopóki nie prześle jej nowego adresu. Ten adres jeszcze nie przyszedł...

– Rozumiem... W każdym razie proszę pamiętać, że w tej chwili strefa republikańska jest pogrążona w chaosie. A to wpływa też na działanie poczty, rzecz jasna. Zwłaszcza kiedy chodzi o korespondencję zagraniczną. Jest bardzo prawdopodobne, że ten list z nowym adresem się zgubił, to wszystko, i że pani brat ma się dobrze.

– Tak... to możliwe – przyznała Lena, bardzo starając się w to wierzyć.

– Próbowала pani poszukać go przez Czerwony Krzyż? Może już to pani wie, przecież jest pani pielęgniarką tej instytucji, ale Międzynarodowy Komitet w Genewie organizuje specjalną pocztę do komunikowania się ludzi z przeciwnych stron frontu. Trzeba wypełnić odpowiedni formularz z danymi nadawcy i odbiorcy i kilka linijek opisujących sytuację: wszystko w porządku, zmarł członek rodziny itd. Oni starają się go dostarczyć, a nawet proszą o potwierdzenie odbioru. Jeśli napisze pani na ostatni znany adres brata...

– Nie znałam go. Ale tak, zrobię to. Muszę spróbować wszystkiego, zanim się poddam.

Porucznik Aranzadi zapatrzył się w jakiś punkt po drugiej stronie sali. To jego zamyślenie, tak jakby nagle już go tam nie było, zaskoczyło Lenę.

– Poruczniku... – Odwrócił się do niej rozkojarzony. Lena szeroko się uśmiechnęła. – Dziękuję.

– Cieszę się, że się pani uśmiecha. Tak naprawdę, jak teraz.

– Cieszę się, że nie poszłam do domu, żeby użalać się nad sobą i płakać w poduszkę, która nigdy nie odpowiada, a tylko mnie słucha.

Jaime Aranzadi objął ją wzrokiem: spojrzenie jak koc z zielonego aksamitu, ciepłe i delikatne.

– Ja też się cieszę, panno Álvarez.

Porucznik Jaime Aranzadi nie zmrzył oka tej pierwszej nocy nowego roku. Nie był zdenerwowany ani zmartwiony jak w inne bezsenne noce. Przeciwnie, jego stan można by zakwalifikować jako przyjemne upojenie, a wypił tylko jeden kieliszek. Inna trucizna oszołomiła jego zmysły, nawet jego ciało; i w ten sposób unosił się w powietrzu, w poczuciu dobrostanu. Ta trucizna miała imię kobiety: Lena.

Zamykał oczy i myślał o panie Lenie Álvarez; otwierał je i też o niej myślał.

Żeby nie uchybić prawdzie ani nie popadać w fałszywą skromność – co jest absolutnie banalne, kiedy rozmawia się z samym sobą – musiał przyznać, że cieszy się u kobiet znacznym powodzeniem, powodzeniem, które wydatnie wzrosło, od kiedy zaczął nosić oficerski mundur; nie był całkowicie pewien, czy gdyby chodził w majtkach, skutek byłby podobny. Jakkolwiek by było, nie miał kłopotów w przewycięzaniu obrony płci przeciwnej. Podczas swojego raczej krótkiego życia zabawiał się z ilomaś tam dziewczynami, jego matka próbowała go ożenić z nie mniejszą ich liczbą, a tak naprawdę nie zainteresowała go żadna. Były ładne, to prawda, przynajmniej większość; o dobrej pozycji również; aż nadto eleganckie i tak dalej. Jednak daleko im było do panny Leny Álvarez. Lena... Jej imię wymawiało się słodko... Jej imię wymawiało się, jakby czekając na pocałunek. Żadna nie była taka jak Lena. Przeczynał to od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczył, i mógł podziwiać z bliska nieprawdopodobne piękno jej oblicza, kiedy szła mu ranę. Potem pojawiła się jej rezolucja i poczucie humoru. Jej miotające iskry oczy, niebieskie jak atrament, jej głos, jej uśmiech... Od tamtej chwili nie mógł przestać o niej myśleć. Tak... ona była inna. I odbierała mu sen.

Przyszłość była niepewna, a zakochiwanie się należało do przejawów szaleństwa. Niemniej jedno było pewne: jeśli dusiło go w piersi i brakowało mu oddechu, to nie tylko z powodu złamanego żebra. Doszedłszy do wniosku, że za Lenę oddałby wszystko, Jaime Aranzadi ucieszył się, stwierdzając, że tak wielki wysiłek nie będzie konieczny, gdyż on wie, w jaki sposób uczynić ją znacznie bardziej szczęśliwą, niż gdyby rzucił jej cały świat do stóp. Musi tylko odnaleźć jej brata.

Ten plan, który komuś innemu mógłby się wydawać zupełnie nierealny albo przynajmniej bardzo trudny, w jego przypadku był nieco prostszy. Bo poza oczywistymi dwoma sześcioramiennymi gwiazdkami na epoletach, które

oznaczały, że jest porucznikiem, oraz emblematem miecza i arkebuzą wraz z pocztową trąbką, które nosił na patkach jako oznakę przynależności do piechoty, rzeczywistej natury służby Jaimego Aranzadiego nie było widać ani na szyi, ani na epoletach, ani na kołnierzu. Był bowiem członkiem Sztabu Generalnego, konkretnie Służby Informacyjnej i Żandarmerii Wojskowej, sieci ponad trzydziestu tysięcy agentów dowodzonych przez Josego Ungrię, która wykonywała zadania wywiadowcze i kontrwywiadowcze, polityczne i wojskowe.

Groteskowa przygoda, którą opowiedział wtedy jeszcze nieznanym pielęgniarce, była tylko historyjką przykrywającą prawdę. Rzeczywiście konie miały pantofle, żeby nie stukać kopytami, ale wroga placówka wcale nie była taka niewinna. Chodziło o strategiczne miejsce: stację nadawczą republikańskiego wojska. Celem misji było zdobycie kluczy do szyfrowania transmisji radiowych. „Żadnych strzałów, chyba że w obronie własnej”, pouczył sierżanta Bermudeza. I chociaż Bermúdez lubił sobie postrzelać i przyjął rozkaz z niechęcią, wywiązał się z niego znakomicie: sześciu jeńców i jeden wystrzał w powietrze na wiwat.

Jego obecność na tym odcinku frontu w Sierra de Guadarrama wiązała się także z globalną operacją mającą na celu demoralizację ludności ze strefy republikańskiej i osłabienie jej rządu, na co składało się infiltrowanie agentów na wszystkich poziomach, zarówno wojskowych, jak rządowych i społecznych, oraz korzystanie ze wsparcia piątej kolumny, sympatyków powstania, którzy od początku wojny potajemnie pracowali w Madrycie dla wspólnego celu: zwycięstwa narodowego.

Tak więc porucznikowi Aranzadiemu wydawało się, że odnalezienia Guillena Alvareza będzie całkiem proste. Po prostu uruchomi swoją sieć kontaktów i jeśli odkryją, że brat Leny żyje, będą mogli mu przekazać rzeczony list znacznie skuteczniej niż Czerwony Krzyż czy ktokolwiek inny.

Było jeszcze przed świtem, kiedy młody porucznik, w samym podkoszulku, nie zważając na lodowaty chłód w koszarowym pokoju, usiadł przy biurku, żeby napisać rozkaz.

Luty 1939

W tak zimne noce jak ta Lena i jej koleżanki pielęgniarki siadały przy kominku w saloniku i czytały, robiły na drutach albo grywały w karty. Jednocześnie słuchały Radio Nacional de España, czekając na pełne godziny, kiedy nadawano wiadomości o przebiegu walk i ze świata. Kiedy pani Enriqueta, właścicielka domu, miała przyływ szczodrości, robiła im kawę i kanapki, a jeśli była niedziela albo jakieś święto, czytywała im Ewangelię.

Radio nadawało właśnie Brahmsa, kiedy dzwonek do drzwi wstrząsnął nimi wszystkimi. Pani Enriqueta odłożyła robótkę na stolik żarownika i niezadowolona, mamrocząc pod nosem, poszła otworzyć. Po szuraniu kroków gospodyni i szczęku zasuwki dziewczyny usłyszały krótką wymianę zdań. Spojrzały po sobie pytająco: kto to może być o tej porze, w taki wiatr przy temperaturze poniżej zera?

Pani Enriqueta wróciła do salonu z miną nieco bardziej skwaszoną niż zwykle.

– Jakiś młodzian mówi, że musi z panią porozmawiać, pani Leno. Bóg jeden raczy wiedzieć, skąd ta nagła potrzeba o tak późnej porze... Musi pani wyjść do niego przed dom, bo wie pani, że oprócz lekarzy i duchownych nie chcę tu żadnych mężczyzn.

Pani Enriqueta, należąca do Akcji Katolickiej i prawdopodobnie mizoandryczka, podchodziła do tych spraw bardzo poważnie. Nie tylko przyjmowała pielęgniarki pod swój dach, ale też przypisywała sobie rolę ich przewodniczki duchowej oraz policji obyczajowej i wszystkie potknięcia zgłaszała natychmiast ich przełożonej, żeby przypadkiem te młode dziewczyny, pozbawione nadzoru, nie zeszyły na manowce.

Lena wstała, a gospodyni ciągnęła swoje kazanie:

– Niech będzie jasne, że uległam prośbie tego młodego człowieka wyłącznie dlatego, że należy do naszej chwalebnej armii. Ale proszę pamiętać, że lampka nad drzwiami cały czas ma być zapalona, panno Leno. I proszę pamiętać, że przez cały czas będę na was patrzeć przez okno.

Gdy wygłaszała tę groźbę, María Teresa, dość psotna koleżanka Leny, ostrożnie schowała między poduszkami okulary pani Enriquety.

Lena nie słuchała, zaprzątnięta własnymi myślami. Była niemal pewna, że po drugiej stronie drzwi stoi porucznik Aranzadi, choć zadawała sobie pytanie, co mogło go tam sprowadzić tak niespodziewanie. Poczula łechtanie w brzuchu, kiedy narzucała na ramiona płaszcz.

Od sylwestra spotkała się z porucznikiem przy kilku okazjach. Po dwóch dniach młodzieniec punktualnie o wyznaczonej przez Lenę godzinie stawił się na ściągnięcie szwów; i wtedy, gdy ostrożnie nożyczkami przecinała nitkę, zaprosił ją

do kina. A ona się zgodziła. Wybrali się do Segowii zobaczyć film z Robertem Taylorem w Teatrze Cervantesa. Ale pojechali w towarzystwie. Mina Jaimego Aranzadiego wyrażała cały długi poemat, kiedy zobaczył, że wraz z Leną przyszła znacznie starsza pielęgniarka. Kobieta od razu usiadła pomiędzy nimi, a podczas kroniki filmowej wstała z miejsca z podniesioną ręką i zawołała: „Niech żyje Franco! Niech żyje Hiszpania!”; pod koniec filmu pochlipywała. Nie dała im nawet chwili spokoju, kiedy po filmie poszli na kawę do kawiarni Montañés; znikła tylko na kilka krótkich minut, kiedy okazało się, że wiele szklanek kawy zbożowej, które wypła, w końcu zaczęło działać, więc musiała czym prędzej udać się do toalety. W tym czasie Lena zdążyła powiedzieć porucznikowi: „Przepraszam, zmusili mnie do przyścia w tym towarzystwie. Stali się bardzo zasadniczy od zeszłego miesiąca, kiedy musieli zwolnić pielęgniarkę ze szpitala wojskowego po tym, jak przyłapali ją z praktykantem w bardzo niezręcznej i... brzemiennej w skutki sytuacji”.

Od tamtego dnia oficer zmienił strategię. Co wieczór, jeśli pozwalały na to jego obowiązki, przychodził na izbę przyjąć w chwili, kiedy Lena kończyła dyżur. Razem i co ważniejsze sami szli powoli do narożnika ulicy, przy której mieszkała. Podczas tych spacerów Lena dowiedziała się, że porucznik Aranzadi jest z Pampeluny, gdzie mieszkał z owdowiałą matką i jedyną siostrą, która wyszła za przemysłowca z Bilbao i została matką dwóch córek. Jego ojciec był dyplomatą, dlatego w dzieciństwie Jaime Aranzadi mieszkał w różnych krajach. Mając zamiar pójść w ślady rodzica, postanowił studiować prawo, więc był w Salamance, na czwartym roku studiów, kiedy zaskoczył go wybuch powstania. Natychmiast zgłosił się na ochotnika do powstańczego wojska i zrobił kurs zawodowego chorążego. Poza tym nie mówił za wiele o swoich czynach wojennych, a chętnie opowiadał, co zwykle robią inni znani mu żołnierze.

Początkowo Lena przyjmowała to wszystko spokojnie, ale stopniowo, widząc go z okna izby przyjąć co wieczór, opartego o płot szpitala, po każdym spacerze o zmierzchu pachnącym palonym drewnem, z każdym szelmowskim uśmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem, z każdym uprzejmym gestem, zaczynała czuć mrowienie w brzuchu, gdy on znajdował się w pobliżu.

Kiedy Lena otworzyła drzwi, przywitał ją gęsty, śnieżny podmuch wiatru i poczuła, że dostaje gęsiej skórki. On tam stał, patrząc na nią z uśmiechem; twarz wciśnięta pomiędzy izabelińską czapkę i kołnierz kurtki, zaczerwieniona i napięta od mrozu.

– Poruczniku... Co pan tu robi?

Jaime Aranzadi odpowiedziałby, żeby rzec prawdę, że z przyjemnością spędziłby całe dnie pod jej drzwiami, wyjąc jak porzucony pies. Ale nie chciał tak od razu wystawiać na szwank swojej godności.

– Przynoszę pani wiadomości.

– Wiadomości? O tej porze?

Uśmiech porucznika zrobił się jeszcze szerszy, odsłaniając niepohamowany entuzjazm.

– Panno Álvarez... Odnalazłem pani brata.

Jak gdyby dzwony katedry rozbrzmiały z całych sił przy samych jej uszach, Lena poczuła się oszołomiona, zmrożona, niezdolna do reakcji. Zabrakło jej słów.

– Jest żywy, zdrowy i dalej znajduje się w Madrycie. Należy do batalionu, który broni sektora frontu przebiegającego przez pasaż Rosales.

Lena uniosła ręce do ust, wciąż zdumiona.

– Boże... Jak...? Jak go pan odnalazł?

– Ach, ważny jest grzesznik, a nie grzech... Czy na odwrót? – zażartował.

– Proszę słuchać, jeśli ma pani ochotę... ale proszę nie zadawać mi więcej pytań, na które... nie mogę odpowiedzieć... Jestem w stanie przekazać mu ten list.

– Naprawdę zrobiłby pan to? – Jej oczy lśniły radością i niepewnością.

– Oczywiście. Musi mi go pani tylko dać.

Lena wsunęła dłoń pomiędzy fałdy płaszcza i sukienki w poszukiwaniu kieszeni. Palce ledwie jej słuchały. W końcu wyciągnęła kopertę i podała mu ją z drżeniem ręki.

– Jest otwarty – przypomniała sobie.

On przytrzymał jej dłoń przez dłuższą chwilę, jakby chciał ją uścisnąć. Potem wziął kopertę, poślinił krawędź i ją zakleił.

– Już nie. Proszę się nie niepokoić, ma pani moje słowo, że niebawem go dostanie. – Schował list. – Proszę nie płakać... – powiedział do niej czule. – To miało panią uszczęśliwić.

– Jestem szczęśliwa – odpowiedziała Lena, śmiejąc się i płacząc. – Nie wiem... Nie wiem, jak zdołam się panu odwdzięczyć.

Porucznik Aranzadi pohamował śmiały impuls wyciągnięcia ręki i otarcia jej łez. Przez okno saloniku pani Enriqueta do granic możliwości wysilała zmęczony wzrok, jednocześnie wołając o okulary.

– Już to pani zrobiła, panienko Álvarez, bo te dni, które mogę spędzać z panią, to rekompensata większa, niż mógłbym sobie życzyć pośród tej okropnej wojny, oby Bóg sprawił, że szybko się skończy. – Porucznik spuścił wzrok, nagle posmutniały. – Pani słodkie wspomnienie będzie mi dodawać sił, kiedy będę musiał wyjechać.

Twarz Leny ponownie stężała.

– Wyjechać?

– Tak... To wiadomość, którą przyszedłem pani przekazać. Dostaliśmy nowe rozkazy: mój oddział musi się przenieść, wyjeżdżamy o świcie.

– Rozumiem... – wyszeptowała, nie potrafiąc ukryć zawodu.

– Nie sposób sobie wyobrazić, jak bardzo nienawidzę tej wojny, która mnie od pani oddziela. Nienawidzę jej bardziej niż kiedykolwiek, a zapewniam panią, że

już wcześniej wielokrotnie jej nienawidziłem. Pocięsza mnie tylko myśl, że kiedy się skończy, będę mógł panią zobaczyć, jeśli pani pozwoli. Tymczasem uczyniłyby mi pani wielką łaskę, gdyby zgodziła się zostać moją matką chrzestną. Nic nie ucieszyłoby mnie bardziej niż otrzymanie od pani listu.

Lena uśmiechnęła się, znowu na skraju łez. Próbowała opanować drżenie głosu.

– Oczywiście, że tak. Z przyjemnością zostanę pana matką chrzestną. Ja... będę za panem tęsknić – powiedziała zaskoczona własnymi słowami.

To było najlepsze, co porucznik mógł usłyszeć. Poczł, że pierś przepęlnia mu szczęście. Spojrzał na nią, by zapamiętać jej twarz, złotą w świetle migoczącej lampy i otoczoną płatkami śniegu.

– Panno Álvarez... Ja... Przepraszam za śmiałość, ale... bardzo chcę panią pocałować.

Lena uśmiechnęła się szelmowsko.

– W takim razie, panie poruczniku, powinien się pan zwracać do mnie Lena... – pouczyła go, zanim zgasła światło.

– Lena... Moja kochana Lena... – wyszeptał, obejmując ją ramionami i słodko całując.

I chociaż Lena poddała się temu pocałunkowi, odczuła też ulgę na myśl o tym, że to pocałunek pożegnalny, gdyż zaczynało ją przerażać to, co czuła wobec porucznika Jaimego Aranzadiego.

Marzec 1939

Od czasu do czasu spoglądał z okopu w niebo upstrzone gwiazdami; to była jedyna rzecz, która w Madrycie się nie zmieniła. Poza tym głód, strach, śmierć i zniszczenie wykoślawiały miasto. Po trzydziestu jeden miesiącach wojny, po tym, jak wyczerpały się determinacja i zaufanie, madrytczycy znajdowali się na skraju wytrzymałości; niczym cienie, wygłodniali i przybici, przechodzili pod podziurawionymi i podartymi plakatami z napisem „No pasarán”. Nie przejdą, teraz to już i tak wszystko jedno.

Od kilku dni Madryt był podzielony i strzelali do siebie z przeciwnych stron ulicy ci, którzy jeszcze kilka miesięcy wcześniej walczyli ramię w ramię. Pułkownik Wojsk Centralnych Segismundo Casado przewodził zamachowi stanu przeciw rządowi Negrina i był gotowy położyć kres tej wojnie, którą od upadku Katalonii w lutym uważał za przegraną. Teraz jego zwolennicy ścierali się z komunistami gotowymi do przeciągania walki do ostatniej kropli krwi; walki, od której odciął się sam Związek Radziecki. Tymczasem ludzie kierujący wojną zza biurka przygotowywali już sobie spokojne miejsce odpoczynku, podczas gdy naród, zdziesiątkowany i głodny, walczył dalej.

Na którejś z tych ulic jest pewnie Sabino Mera, zastępujący kulami rozsądek, wyciskający do cna ideały, nieracjonalnie fanatyczny. Tym razem Guillén z nim nie poszedł.

Udał się za Sabinem po wyjściu z Asturii, to prawda, popłynęli przez morze szalupą tak małą, że niemal nie mieli miejsca, żeby się poruszyć, ciągle omijali wrogie patrole, niemal utonęli przy brzegu w Biarritz. Zamiast zostać we Francji i wrócić do swojego poprzedniego życia, w środku zimy poszedł za nim przez Pireneje. Dotarł do Barcelony na skraju wyczerpania, z porażonym ramieniem i bredząc w malignie z powodu infekcji, która wdała się w dawną, źle zabliznioną ranę. Doszedł do siebie, znowu chwycił za broń i walczył w Teruelu, w Segre, Maestrazgo. Po wykonaniu odwrotu, pod naporem wroga, znalazł się w Madrycie. Od frontu do frontu, z okopu do okopu. Był świadkiem niszczenia miasta. Słuchał Sabina, który mówił, że ciągle mogą wygrać tę wojnę. „Już nie, już nie, Sabino. To już koniec”.

Siedział w błocie, znowu spojrzał w gwiazdy. Po raz pierwszy zobaczył, że się zamazują. Ale to nie one się zmieniły, tylko on. Ścisnął w rękę list, jedyny, który otrzymał od wielu miesięcy, odkąd przerwała się wymiana korespondencji z Francją. Miesiące odosobnienia i samotności, miesiące bez Leny... Lena... Miał jej list w dłoniach. Lena pisała, że jego matka nie żyje. Jego matka była wszystkim, co miał, a teraz ona nie żyje... A jego tam nie było, z nią... Nie pożegnał się, nie powiedział jej, jak bardzo ją kocha, jak bardzo zawsze ją kochał... Nie powiedział

jej tak wielu rzeczy... Czuł się winny, żaloszny, nieszczęśliwy, pusty i samotny, przerażająco samotny.

– Czas na pana wartę, dowódco.

Otarł łzy brudną od ziemi ręką. Niezgrabnie schował pognieciony list do kieszeni. Złapał karabin i ruszył w stronę parapetu.

Odbył dwie godziny służby. Ze wzrokiem i umysłem utkwionym w mroczny horyzont. Zastanowił się nad tym wszystkim, co stracił. Zrobił podsumowanie. Po służbie zszedł do okopu i ruszył przed siebie, w stronę nowego horyzontu.

„Już nie, Sabino, już nie. To już koniec”, powtarzał, nie patrząc za siebie.

1 kwietnia 1939

W dniu dzisiejszym, po pokonaniu i rozbrojeniu wojska czerwonych, armia narodowa osiągnęła swe ostatnie cele wojskowe. Wojna dobiegła końca.

Dzwony wszystkich kościołów biły jak oszalałe. Radośni ludzie wylegli na ulice. „Koniec wojny! Koniec wojny!” – obejmowali się i całowali, płakali i śmiali się, tańczyli, śpiewali, krzyczeli ze szczęścia. Lena była jedną z osób, które poddały się tej fali emocji.

Pomyślała o tych, którzy zostali po drodze, o Tomasie i Balbinie, jak bardzo by się teraz cieszyli, jak bardzo za nimi tęskni. Pomyślała o ojcu, o Pepem, Renacie i Matiasie, o chwili, kiedy ich przytuli i będzie z nimi dzielić swoją radość. Pomyślała o Jaimem Aranzadim i wyobraziła go sobie, jak kroczy w chwale po ulicach Madrytu. I pomyślała o Guillenie... Pomyślała o Guillenie... Po przeciwnej stronie frontu... Frontu, który już nie istniał... A może tak... Dla nich na pewno... Obraz zaczął się jej rozmazywać.

*

Opierając się łokciami o reling na lewej burcie *Maine*, statku szpitala płynącego do Marsylii, Guillén słuchał ostatnich wiadomości o wojnie podawanych przez BBC.

„Po pokonaniu i rozbrojeniu wojska czerwonych”. Dzięki mediacji francuskiego konsula udało mu się wejść na jeden z ostatnich statków z uciekinierami odbijających od hiszpańskich wybrzeży. Do ostatniej chwili obawiał się, że zostanie w walencjańskim porcie Gandía z wrogim wojskiem po jednej stronie i morzem po drugiej.

Od jakiegoś czasu nie było już widać hiszpańskiego brzegu. Tylko nieskończoną błękitną dal.

– To się nie może tak skończyć. Kiedyś wrócimy.

Rozkojarzony szukał wzrokiem osoby, która wyrwała go z zamyślenia. Ciemnowłosa dziewczyna opierała się obok niego ze wzrokiem utkwionym w dal.

– Ja nie – odpowiedział stanowczo. – Ja już tam nic nie mam.

Ona spojrzała na niego zaintrygowana.

– Bojownik? – Tak naprawdę nie było to pytanie, widziała mundur, ale chciała sobie pogadać.

Guillén skinął głową.

– Komunista, anarchista, socjalista...?

– Mam legitymację PCE¹ – odparł bez entuzjazmu.

– No to jesteśmy towarzyszami. Lucía Crespo, dziennikarka. – Wyciągnęła do niego rękę.

– Guillén Álvarez. – Ściskając dłoń kobiety, przyjrzał się jej. Była ładna; nie miała w sobie nic nadzwyczajnego, ale w sumie należała do tych atrakcyjnych. Nie miałby nic przeciwko temu, by pójść z nią do łóżka.

– I zostanie pan we Francji, panie Álvarez, czy woli pan inny kraj na wygnanie?

– Zostanę. Tak naprawdę to stamtąd przyjechałem. – Westchnął. – To dość długa historia.

Lucía Crespo uśmiechnęła się i w jej policzkach pojawiły się dołeczki. Guillén przekonał się wtedy, że jej nadzwyczajną cechą jest właśnie uśmiech. Tak, zdecydowanie, nie miałby nic przeciwko temu, żeby pójść z nią do łóżka.

– Długa podróż przed nami, może mi pan opowiedzieć.

PCE (Partido Comunista de España) – Komunistyczna Partia Hiszpanii.

[wróć]

CZĘŚĆ DRUGA

* *

Czerwiec 1940

Po wojnie nie chciała wracać do Oviedo. Woląca zostać w Madrycie, gdzie przeniesiono ją po zakończeniu walk, i pracować w szpitalu San José y Santa Adela. W Madrycie został również porucznik Jaime Aranzadi, przygotowywał się do wstąpienia do Szkoły Dyplomacji. W tych krótkich chwilach, kiedy nie byli zajęci, utrzymywali związek, którego Lena nie chciała uznać za narzeczeństwo. Lubiała spędzać czas z Jaimem, spacerować z nim po parku Retiro, chodzić do kina w środę wieczorem, jeść ciasteczka i rozmawiać godzinami w kawiarni La India, oddawać skradzione szybkie pocałunki na pożegnanie. Jednak byli za młodzi, każde chciało się uczyć, zanim podejmą jakieś życiowe zobowiązania. Wojna zabrała im już zbyt wiele czasu. Jaime miał przed sobą długi okres studiów, a ona, dzięki spadkowi po ciotce Encarnicie, planowała we wrześniu zdawać na medycynę, jednocześnie pracując jako pielęgniarka.

Niebawem jej plany legły w gruzach. Nie minął jeszcze rok od końca wojny, gdy nadszedł list od Renaty z wiadomością o jej ślubie. Miał się odbyć pod koniec kwietnia, wychodziła za gwardzistę i planowała przeprowadzkę do Leonu. Od śmierci Balbiny Renata zajmowała się ojcem i Matiasem, ale skoro siostra miała wyjechać, Lenie nie pozostało nic innego, jak wrócić do Oviedo i służyć rodzinie.

Spakowała się, pożegnała z Madrytem, ze studiami medycznymi i przygnębionym Jaimem Aranzadim, który obiecywał, że będzie do niej pisał, odwiedzał ją i pamiętał o niej codziennie, aż skończył się peron na stacji i nie mógł dalej biec za pociągiem.

Jej życie w Oviedo było drastycznie różne od tego, do jakiego przywykła w ostatnich latach. To prawda, że wiele przeszła: pracowała aż do wyczerpania, przeżywała niebezpieczne i dramatyczne sytuacje, oglądała z bliska horror śmierci, choroby i okaleczenia, cierpiała z powodu straty kochanych osób. Ale prawdą też było to, że cieszyła się pewną wolnością i niezależnością, które po powrocie do domu zostały w znacznym stopniu ograniczone. Trudno jej było ponownie przyzwycząć się do nużącej domowej rutyny, do wymagań – często tyranii – starego ojca, wychowywania i pilnowania nastoletniego brata. W sumie do spełniania obowiązków matki i żony.

A poza tym w Oviedo pozostały cienie Tomasa i Balbiny. Za każdym razem, gdy wchodziła do kuchni, wydawało jej się, że spotka macochę i będzie mogła się jej wyzalić, trzaskając przy tym garami, albo na chwilę przed kolacją w drzwiach pojawi się uśmiechnięty brat, dumny ze swojego żołnierskiego mundurku, sypiący kawałami jak z rękawa... Był tam też cień Guillena... Sucha gałązka wrzosu i poźółkły wiersz na dnie szuflady, paczuszka przewiązanych niebieską wstążką listów, fotografie z tego lata w Lyonie w albumie ze sztucznej skóry. Guillén żył,

tak, ale był duchem jak pozostali; wiedziała tylko tyle, że wrócił do Francji, co obwieścił w lakonicznej pocztówce przysłanej na początku kwietnia. Guillén ciążył jej na sumieniu stratą, za którą winiła siebie. Dzieliły ją od niego dal mierzona w kilometrach i niezmierzona dal, której nie sposób pokonać.

*

Obudziło go światło słońca jak podmuch w oczy. Promień przeciskał się przez szparę między okiennicami, których nigdy całkowicie nie domykał. Guillén burknął coś niezadowolony i przewrócił się na drugi bok. Czasem jeszcze zdarzało mu się, że po przebudzeniu nie wiedział, gdzie się znajduje. Skośny niebieski sufit, owalne okna, zaciągnięte zasłony, rozklekotane żelazne łóżko i szafa z krzywym zwierciadłem. Jego sypialnia na poddaszu w Dzielnicy Łacińskiej była jak ekspresjonistyczny obraz. Wynajął ją na początku roku akademickiego, kiedy wrócił do Paryża, aby kontynuować studia inżynierskie, i zamieszkał tam z Lucią. Było to bardzo dobrze położone miejsce, o kilka kroków od École Polytechnique, pośród bogatego życia kulturalnego i nocnego dzielnicy. W dzień chodził na zajęcia i uczył się, a Lucía pisała artykuły protestacyjne, które sprzedawała jakimś radykalnym gazetkom. Nocami pili, palili i kochali się do rana. Od czasu do czasu zajmowali się niezbyt istotną działalnością polityczną: jakiś wiec, jakaś narada, jakiś protest, noc na komisariacie. Weekendy spędzali w muzeum d'Orsay albo leżąc na trawie w Ogrodzie Luksemburskim. Doskonałe życie. Albo prawie.

Jeszcze z na wpół zamkniętymi oczami usłyszał, że ktoś chodzi po pokoju.

– Co robisz? – wymamrotał zaspanym głosem.

– Niemcy są o kilka kilometrów od Paryża. Nie mam zamiaru ich tu przyjmować. Wracam z meksykańskiego konsulatu, mam już wizę.

Guillén usiadł na łóżku i przetarł oczy. Naszedł go zwyczajowy poranny atak kaszlu. Tymczasem Lucía otwierała szuflady komody i pakowała wszystkie rzeczy do walizki, szybko i nie dbając o porządek. Opanowawszy kaszel, Guillén sięgnął po papierosy leżące na nocnej szafce. Musiał zapalić, żeby się wreszcie obudzić, rozjaśnić myśli.

We wrześniu 1939 roku Niemcy najechały Polskę, wywołując lawinę wypowiedzeń wojny. Jednak przez kilka następných miesięcy sytuacja była względnie spokojna – Francuzi nazywali to *drôle de guerre*, „dziwna wojna”. Aż w końcu w maju 1940 wydarzenia nabrały rozpędu. Guillén przypomniał sobie wtedy wróżby Sabina Mery: „Co zrobisz, kiedy Niemcy wycelują działa w linię Maginota?”. Teraz, po Blitzkriegu, Niemcy znajdowali się w pobliżu Paryża, a on leżał w łóżku na wpół ubrany i nie wiedział, co robić.

– To niesamowite! Chodzą plotki, że Pétain naciska na Reynauda, żeby

podpisał zawieszenie broni: chcą oddać Francję Niemcom! Cały świat zwariował...
Gdzie, do diabła, jest moja różowa koszula nocna?

Dziewczyna, stojąc pośrodku pokoju podparta pod boki, patrzyła, jak Guillén wyciąga koszulę z pościeli. Przez chwilę przyglądała mu się, jakby widziała go po raz pierwszy, jakby znowu się w nim zakochiwała: zaspana twarz, przenikliwe spojrzenie, rozczochrane włosy i ten nagi tors, który doprowadzał ją do szaleństwa.

– Pojedź ze mną do Meksyku. Mogę ci szybko załatwić wizę, mam kontakty – znów spróbowała go przekonać.

Guillén spuścił wzrok, nie chciał patrzeć jej w oczy. W milczeniu uniósł do twarzy koszulę, zaledwie skrawek jedwabiu, i wciągnął jej zapach. Nappełnił się niepowtarzalnym aromatem róż. Lucía usiadła na łóżku naprzeciw niego.

– Wiem, że nie pojedziesz – przyznała zrezygnowana, wyjmując mu papierosa z ust, żeby się zaciągnąć. Pogładziła go po kłujących policzkach, po czym pocałowała w czoło. – Tak lepiej... W sumie trudno mi znieść to, że nie odwzajemniasz uczucia.

On spojrzał na nią smutno.

– Przykro mi – szepnął, bawiąc się kosmykiem jej włosów i wykorzystując sytuację, żeby koniuszkami palców pogłodzić jej odsłonięty obojczyk.

– Z jakiego powodu ci przykro? Że nie jedziesz ze mną do Meksyku czy że nie jesteś w stanie o niej zapomnieć?

Guillén skrzywił się zniecierpliwiony.

– Nie... Nie mówmy o tym znowu, proszę... Na pewno nie mamy wiele czasu na pożegnanie.

Pocałował ją, zagarniając rękami jej piersi.

– Masz nieświeży oddech... .

– Nie przejmuj się, nie będę cię już całował w usta.

Rozpiął jej bluzkę, wy dobył jedną pierś ze stanika i zaczął pieścić ją ustami.

Czerwiec 1941

Lena przez kilka miesięcy przyzwyczajała się do rytmu nowego życia. Do wymagań opieki nad ojcem i Matiasem, który chodził do liceum dominikańskiego; do domowych obowiązków i do wyzwań reorganizacji; do poruszania się na czarnym rynku...

Po śmierci ciotki Encarnity, zaraz po zakończeniu wojny, rodzina odziedziczyła małą sumkę, która w tych czasach głodu i braków w zaopatrzeniu pozwalała im żyć trochę lepiej. Lena uprawiała też ogródek na tyłach domu, gdzie sadziła warzywa, miała jabłoń i cztery kury nioski. Raz w tygodniu mogła ugotować bób z kiełbasą i chociaż nigdy nie była dobrą kucharką, udało jej się osiągnąć biegłość w przyrządzaniu fasolki szparagowej.

Podtrzymywała też kontakt z resztą rozproszonej rodziny. Pisywała do Renaty do Leonu i do Julii, misjonarki Córek Jezusa, do szkoły w Pekinie, a ta w swoich długich listach opowiadała jej o gwałtach i nędzy, których była świadkiem podczas wojny chińsko-japońskiej. Z Pepem, który podczas wojny odbył szkolenie we Włoszech i teraz był pilotem myśliwca w Madrycie, pisywali do siebie co najmniej raz w tygodniu. Tymczasem śledziła z niepokojem wiadomości z Francji, napisała do Guillena, ale w odpowiedzi otrzymała tylko suchą notkę długości trzech zdań, w której zapewniał, że ma się dobrze i jest zdrowy. Niczego więcej o nim nie wiedziała.

Szybko zdała sobie sprawę, że tak naprawdę ma dużo wolnego czasu, więc wróciła do pracy pielęgniarki w szpitalu, gdzie miała dyżury w dni powszednie. Ponadto w piątkowe popołudnia, podczas gdy ojciec grywał w karty w barze, pomagała w przedszkolu pomocy społecznej dla dzieci wdów i kobiet, których mężowie przebywali w więzieniu – matek zmuszonych do pracy.

W ten deszczowy piątek załadowała koszyk półtuzinem jajek, kilkoma jabłkami i ziemniakami, pękiem marchewki, kawałkiem żeberka i paczką kawy, którą udało jej się zdobyć na czarnym rynku. Wiedziała, że Domi przyjdzie odebrać swoje pociechy pod wieczór, więc planowała ją zaskoczyć tym dodatkowym jedzeniem, którego ta kobieta tak bardzo potrzebowała.

Domi codziennie dojeżdżała ponad trzydzieści kilometrów do pracy w fabryce konserw w Candás. Musiała zostawiać w przedszkolu swoje małe dzieci, cztero- i sześciolatka, praktycznie na cały dzień. Poza tym miała jeszcze trójkę, która chodziła do szkoły albo wałęsała się po mieście, zależnie od dnia, i szóstą dziewczynkę, najstarszą, która w wieku piętnastu lat już była służącą i w ten sposób pomagała w utrzymaniu rodziny. Mąż Domi, robotnik w fabryce zbrojeniowej w Trubii, siedział w więzieniu, czekając na sąd, oskarżony o to, że należał do socjalistycznej milicji.

Przypadek Domi, choć bolesny, nie był odosobniony. Większość kobiet, które przychodziły do przedszkola, znajdowała się w podobnej sytuacji: czy to dlatego, że ich mężowie zginęli w czasie wojny, czy to dlatego, że trafili do więzienia w wyniku represji, one były zdane same na siebie. To na nie spadł trud utrzymania rodziny, zazwyczaj licznej i niemal bez środków do życia; dostawały żalosne pensje, za które nie można było kupić nawet podstawowych rzeczy, dlatego cierpiały głód, dosłownie, i często nie miały dachu nad głową, mieszkały więc w ruinach miasta, którego odbudowa, szczególnie biedniejszych dzielnic, była powolna i kosztowna.

– Ale to? Boże... Bardzo dziękuję! To będzie uczta... Możemy codziennie jeść tortillę – stwierdziła z oczami pełnymi entuzjazmu. Jej dłonie były pokryte odciskami, czerwone od ciągłego patroszenia ryb i moczenia ich w solance.
– A jabłka zaniosę Avelinowi.

Przynajmniej raz w tygodniu Domi odwiedzała męża w więzieniu. Czasem prowadziła tam dzieci, żeby ojciec mógł je zobaczyć i przytulić przez kraty. Wykorzystywała wizyty, żeby przekazać mu ubrania, jedzenie i, przy odrobinie szczęścia, tytoń. Lena dała jej kilka koszul i spodnie Tomasa, które leżały porzucone na dnie skrzyni. Ponieważ zbliżała się zima, miała zamiar wydać jeszcze kilka starych swetrów i zrobić na drutach porządną wełnianą kurtkę, bo Avelino cierpiał na płuca, a w celi było zimno i panowała wilgoć, więc jego choroba postępowała.

– Czy wiadomo coś o procesie?

Domi pokręciła głową. Kiedy jej uśmiech gasł, nagle się starzała. Nie miała jeszcze trzydziestu pięciu lat, a wyglądała jak staruszka z pomarszczoną twarzą i siwymi włosami.

– Nic... To czekanie jest coraz bardziej przytłaczające. I to patrzanie, jak codziennie wyprowadzają kilku na rozstrzelanie...

Co Lena mogła powiedzieć? Czasem odnosiła wrażenie, że wojna skończyła się tylko dla niektórych, bo śmierć dalej przechadzała się pomiędzy szeregami pokonanych.

– Nie ma co tracić nadziei – chciała ją pocieszyć, głaszcząc po ramieniu. – Ja co dzień się za niego modlę.

Kobieta odwzajemniła jej uśmiech, tak wdzięczna, jak rozczarowana. Modlić się... Co za sens się modlić, skoro Franco zabrał sobie też Boga na własność?

*

Poszła z Matiasem na ostatni seans, żeby zobaczyć *El hombre de la Legión*. Podczas kolacji chłopak chwalił film i najwyraźniej nie mógł się doczekać, kiedy

wreszcie zostanie żołnierzem. Jego ojciec, jak zwykle oszczędny w słowach, przytaknął między jedną a drugą łyżką zupy.

Zanim zmówili różaniec, jak co wieczór, zjedli deser, siedząc wokół radia, które kupili z drugiej ręki na poprzednie święta. Dzień wcześniej dowiedzieli się, że Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji. „Cywilizowana Europa rozpoczęła wyprawę krzyżową przeciw bolszewizmowi, który pod przewodnictwem Stalina, krwiożerczego Gruzina, zagraża unicestwieniem naszej tysiącletniej kultury”, recytował dudniącym głosem spiker.

Czekano z niepokojem na reakcję Caudillo. Wielu wzywało do przyłączenia się do walki z komunizmem. Dlatego tamtego wieczoru szczególnie uważnie słuchali Radio Nacional. Wiadomości z Madrytu podawały, że tłum manifestantów wyległ na ulice miasta, by wezwać rząd do opowiedzenia się Hiszpanii po stronie żołnierzy niemieckich, zraszających swoją krwią rosyjską ziemię. Minister Serrano Súñer z balkonu Sekretariatu Generalnego Ruchu skierował się do tłumu, deklarując: „Rosja jest winna!” i zapowiadając stworzenie dywizji ochotników hiszpańskich, którzy mieli walczyć na froncie wschodnim przeciw komunistycznym hordom odpowiedzialnym za tyle śmierci w wojnie domowej.

– Właśnie tak, właśnie tak, historia wzywa nas do zniszczenia Rosji. – Ramón zgodził się z ministrem i dalej skręcał papierosa. – Ile śmierci! Ile nieszczęść spowodowali Rosjanie w Hiszpanii!

– Chciałbym iść z tymi ochotnikami! – odezwał się Matías.

Siostra uśmiechnęła się i poczochnęła mu włosy.

– A co ty zgubiłeś w Rosji? Tam jest tak zimno...

Audycja dobiegła końca. „Chwalebni poległi za Boga i Hiszpanię oraz wszyscy obecni!” Lena poczekała, aż skończy się hymn państwowy, żeby wyłączyć radio, i czule pogładziła ramię ojca, który zawsze się wzruszał, wspominając Tomasa, poległego za Boga i Hiszpanię.

Październik 1941

Dni stawały się coraz krótsze i kiedy przechodził przez dziedziniec École du Service de Santé, już zmierzchało. Mżyło, było chłodno; postawił kołnierz kurtki i przycisnął do piersi książki, jednocześnie przyspieszając kroku. Szedł prosto do miejsca, gdzie zostawił rower.

Pedałując, wjechał w uliczki Lyonu. Nie przestało go zdumiewać to, jak mało zmieniło się miasto, może tylko ruch był mniejszy, a co za tym idzie hałas, tak naprawdę uspokajający. Zresztą po zawieszeniu broni Lyon został na południe od linii demarkacyjnej, w tak zwanej strefie wolnej pod rządami marszałka Petaina zainstalowanego w Vichy, więc ludność wróciła do codziennej rutyny, wojna zaś zmieniła się w anegdotyczną – w takim sensie, że walka ograniczała się do płomiennych dyskusji w kawiarni albo tawernie z gazetą w rękę.

Ale inna walka – sekretna – toczyła się za zaciemnionymi oknami garaży, domów czy warsztatów... Walka tych, którzy nie godzili się na zginanie karku pod niemieckim jarzmem, którzy buntowali się przeciw potulnym – przeciwko tym, którzy zniszczyli demokrację we Francji i zmienili wolność, równość i braterstwo w puste słowa podporządkowane *Deutschland über alles*. Manifestacje, ulotki, publikacje, tajne spotkania i represje – taka była wojna w Lyonie.

Zaczęło się prześladowanie Żydów. Antysemityzm zawsze wydawał się Guillenowi irracjonalny i absurdalny. On sam nie potrafiłby wskazać różnic dzielących Żydów od innych. Myślał choćby o hrabinie, pani w dosłownym znaczeniu tego słowa, damie, wykształconej, wysublimowanej, francuskiej w każdym calu, właścicielce fabryki stojącej na terytorium francuskim, która dawała pracę francuskim robotnikom i płaciła podatki, i nie potrafił znaleźć różnic, powodów infamii i prześladowania. To wyprowadzało go z równowagi, napawało go wściekłością i bezsilnością. A jednak musiał ją prosić, żeby opuściła Francję dla własnego bezpieczeństwa.

– Nie zrobię tego. Nie wyjadę – odpowiedziała spokojnie. – Nie mogę zostawić tu Armanda, a on nie jest w stanie podróżować. Poza tym to jest mój kraj, nasz kraj. Armand walczył za niego. Nikt nie ma prawa nas stąd wyrzucać.

W sierpniu poprzedniego roku zakomunikowano jej, że fabryka, którą z takim wysiłkiem zbudował jej mąż, zostaje tymczasowo znacjonalizowana i będzie produkować części do niemieckich bombowców, zaspokajając w ten sposób zapotrzebowanie wojenne.

– Niemieckie bombowce! – krzyczała. – Nie zgadzam się, żeby moja fabryka dokładała się do tego barbarzyństwa! Raczej wysadzę ją w powietrze!

Guillén zaczął się obawiać, że spełni swoje groźby. Ale to równałoby się złożeniu w ofierze własnego dziecka, tak więc ograniczyła się do krzyków pod

niebiosa, poruszenia wszystkich możliwych instancji i uruchomienia wszelkich kontaktów. Bezskutecznie. Najwierniejsi poradzili jej, żeby siedziała cicho, jeśli nie chce, by całkowicie pozbawiono ją własności. A ona ustąpiła, ponieważ zawsze była bardziej racjonalna niż impulsywna. Jednym sprytnym ruchem znikła spośród akcjonariuszy i nominalnie przekazała zarządzanie w ręce Guillena. Schroniła się w cieniu, pełna godności i roztropna, częściowo dla Armada, bezbronno z powodu choroby.

Louise i Delphine, znacznie bardziej praktyczne, wyjechały do Stanów Zjednoczonych zaraz po wybuchu wojny. Osiadły w Nowym Jorku u dalekiej krewnej ojca i tam dalej cieszyły się rozkoszami życia.

Guillén bardzo za nimi tęsknił, zwłaszcza za Louise. Gdy wrócił z Hiszpanii, ona była jego główną pocieszycielką. Na jej kościstym ramieniu wypłakiwał swoje rozczarowanie, zmienione w pogardę wobec Leny i samego siebie. Zanim związał się z Lucią, znalazł schronienie w łóżku tej niepomamowanej kobiety, gdzie odbył bezlitosną terapię, poza wszelką naukową ortodoksją, ale za to wysoce skuteczną.

– Przestań się mazać jak dziecko! – Louise rzuciła mu raz w twarz, spoliczkowawszy go i zrzuciwszy z siebie bardzo zdecydowanie, kiedy wspomniiał imię Leny w środku orgazmu. – Jesteś żaloszny. – Ponieważ był nagi, ta zniewaga była po stokroć dokuczliwsza. – Zrozum wreszcie, że ona na ciebie nie zasługuje! Nie zasługuje na twoją odwagę, wierność, ideały! I chwyć za rogi to swoje żaloszne życie, do jasnej cholery! Nie masz nawet trzydziestu lat, a wydaje ci się, że życie sprowadza się do jednej kobiety!

I Guillén skorzystał z tej rady. Wrócił do Paryża na studia, z irracjonalną pasją oddał się miłości z Lucią i zradkalizował swoje poglądy. Łatwo było kochać się z młodą stalinistką, która przedstawiała ideologię jako swoją najlepszą cnotę. Dla niego był to również sposób na uwolnienie się od żalu: skoro Lena rzuciła mu jak obelgę, że jest czerwony, będzie taki aż do granic. Z czasem stał się niemal fanatykiem. Wszedł w kontakt z członkami Komunistycznej Partii Hiszpanii na uchodźstwie, którzy podobnie jak on oburzeni bezczynnością europejskich mocarstw wobec frankistowskiej dyktatury, przygotowywali się do walki własnymi siłami.

Wojna w Europie zniweczyła jednak wszystkie te projekty. Alians pomiędzy Hitlerem i Stalinem wprowadził hiszpańskich komunistów w konsternację. Kto teraz był wrogiem? Liberalne demokracje? Guillén, za ledwie działacz z przypadku, z łatwością rozwiązał ten dylemat: czy Niemcy są sojusznikiem Stalina czy nie, priorytetem jest zatrzymanie ich postępów.

Guillén nie był Francuzem, więc nie został zmobilizowany, ale zgłosił się na ochotnika. Nie przeszedł badań lekarskich: jego prawe ramię nie było w pełni władne z powodu rany, jaką odniósł w Hiszpanii; poza tym kilka plamek na płucach wykrytych dzięki badaniu rentgenowskiemu potwierdziło, że te ciągle

ataki kaszlu są skutkiem bronchitu, którego prawdopodobnie nabawił się w okopach w Castellón, leżąc w błocie po kolana.

Kiedy Niemcy weszli do Paryża, a Lucía wyjechała do Meksyku, on wrócił do Lyonu. Dalej uczył się w École Polytechnique, która właśnie przeniosła się z Paryża do Villeurbanne i Lyonu, gdzie dzieliła budynek z École du Service de Santé. Wielu jego kolegów z roku poległo na froncie, inni byli ranni i okaleczeni. A on poczuł się winny.

Czuł się winny również tego, że musi rano pracować w fabryce produkującej elementy niemieckich bombowców. Na co komu ideologia, która w praktyce istnieje tylko w potwierdzającej ją legitymacji? Stwierdził, że jego życie znalazło się w ślepym zaułku, puste i bez celu. A Louise już tam nie było, żeby go spoliczkować i kazać wracać do walki.

Szybko jednak zdał sobie sprawę z tego, że istnieją różne sposoby walki.

Przemierzył połowę miasta, żeby dotrzeć do Villeurbanne. Skręcił w ulicę Mozarta i zatrzymał się przed słupem ogłoszeniowym, do którego przywiązał rower. Podszedł do drzwi na tyłach odrapanego żółtego domu i zadzwonił. Dwa długie dzwonki i jeden krótki; jego inicjał w alfabecie Morse'a.

*

Lena miała poranny dyżur w szpitalu. Po jego zakończeniu poszła do apteki, gdzie kupiła kilka liści eukaliptusa, bo ojciec był lekko podziębiony, więc chciała mu przygotować parówkę. Na ryneczku kupiła chleb i kawałek słoniny do fasoli na niedzielę; udało jej się zdobyć też kilka cielęcych kości, które miała zamiar dołożyć do zupy na kolację. Już nie zwracała uwagi na zupełnie puste sklepy ani na kolejki ludzi stojących po swój przydział warzyw, mąki albo cukru. Nie mogła jednak powstrzymać ukłucia w sercu na widok dzieciaków w łachmanach, które rzucały się na liść sałaty, gdy wypadał z koszyka, na wpół zgniłe jabłko albo na puszkę po sardynkach, w której zostało jeszcze trochę oleju; również na widok wychudzonych starców zebrzących na ulicach. Nie była w stanie spokojnie patrzeć na wszechobecną nędzę, a nachodzące ją w takich sytuacjach poczucie niemocy często wprawiało ją w zły humor.

W domu, zawilgoconym i zimnym, czekał na nią zrzędcący ojciec, czekały miotła w kącie kuchni, góra ubrań do pocerowania i kolacja do przygotowania. A jednak nauczyła się, że myślenie o biedzie jest zupełnie bezproduktywne. Dlatego włożyła fartuszek i stawiała czoło złemu samopoczuciu w rytm radiowych piosenek. Wcześniej czy później nadejdą lepsze czasy.

„Przyplyną obcym statkiem...” Conchita Piquer śpiewała *Tatuaż*, kiedy

ojciec zawołał z pokoju:

– Ktoś puka!

Wytarła ręce, wyłączyła radio i szybko przeszła przez korytarz, żeby otworzyć.

– Och, całe szczęście nie pomyliłem numeru... Cześć...

Zdumiona zobaczyła na progu Jaimego Aranzadiego, tak eleganckiego w filcowym kapeluszu, płaszczu z wielbłądziej wełny i w ciemnym garniturze, zupełnie nie na miejscu pod przeciekającym, zniszczonym daszkiem domu. Uśmiechnęła się szeroko i rzuciła mu na szyję, przytuliła go szybko, co on przyjął z radością, nie mogąc się odwzajemnić, gdyż miał zajęte ręce.

– No proszę... Wobec takiego przywitania moje „cześć” jest raczej żalosne...

– Ale co ty tutaj robisz?

– Akurat przechodziłem obok La Duquesita i zobaczyłem te babeczki, które tak bardzo lubisz, więc pomyślałem, że kupię ich całą tacę i ci przywiozę...

– O Najświętsza Panienko, babeczki...

– Możliwe, że po twoim powitaniu są zgniecione na miazgę, ale... Boże, Leno, jaka ty jesteś śliczna...

Lena oblała się rumieńcem i szybko odgarnęła kilka kosmyków z czoła, jakby to mogło w jakiś sposób poprawić jej okropny wygląd i uczynić go godnym takiego komplementu. Następnie spojrzała z czułością na Jaimego i na tacę ciastek przykrytą pogniecionym papierem. Deszcz padał na jego płaszcz i kapelusz. Uśmiechał się jak dziecko. Ledwie mógł uwierzyć, że stoi tam naprzeciw niej.

– Wejdiesz? Mój ojciec jest w domu...

– Z przyjemnością.

W malutkim przedpokoju wręczył Lenie babeczki i ściągnął kapelusz oraz płaszcz. I wtedy objął ją, zatopił twarz w jej włosach, tak jak wielokrotnie to sobie wyobrażał.

– Zostaniesz z nami na kolację, prawda?

Zapraszając go, Lena zauważyła, co nigdy wcześniej jej się nie zdarzyło, jak stara jest słaba lampa sufitowa, jak gołe i odrapane są ściany, jakie plamy ma lustro, jak rozchwiane są meble w salonie, zavalone różnymi rzeczami, których nigdy nie ma czasu posprzątać.

– Nie mamy nic wielkiego... – Przypomniała sobie wtedy zupę z brukwi na cielęcych kościach, która jeszcze kilka minut wcześniej wydawała się luksusem. Gotowała się na kuchni i aż do przedpokoju docierał jej mało zachęcający zapach.

– Przyjechałem z Madrytu, żeby cię zobaczyć... Cokolwiek przygotowałaś, na pewno jest doskonałe.

Jaime Aranzadi przysunął się do niej i jego brzuch oparł się o tacę z ciastkami. Spojrzał jej w oczy z tym swoim półuśmiechem, od którego serce

Leny przyspieszyło.

– Znowu przeszkadzają babeczki – zażartował, dotykając palcami jej zaczerwienionych policzków.

– Lena! Kto to?

Nagle wołanie ojca sprawiło, że oboje niemal stanęli na baczność.

*

André Bourdain uchylił lekko drzwi, dokładnie na tyle, żeby Guillén mógł się wśliznąć do środka.

– Chodźmy do salonu. Są już wszyscy.

Poszedł za przyjacielem w głąb domu. Poznali się w Paryżu, chodzili na te same zajęcia na politechnice i ponownie spotkali się w Lyonie. André był człowiekiem eleganckim i dobrze zbudowanym, cieszącym się wielkim powodzeniem u kobiet; lubił dobrze żyć: drogie restauracje, amerykańskie papierosy, ubrania szyte na miarę... Kto mógłby powiedzieć, że za tą burżuazyjną fasadą skrywa się dusza rewolucjonisty, albo raczej człowieka gotowego bronić swego *status quo*? Zażarty antykomunista i katolik do szpiku kości, stanowił egzotyczną parę z Guillenem, którego kpiarsko nazywał *rojo*, czerwony po hiszpańsku. Jednak bardzo się wzajemnie cenili, mimo dzielących ich różnic. Znaleźli wspólnego wroga, więc ideologia, jak stary rupieć, została odłożona na bok. Guillén często się nad tym zastanawiał.

W salonie spowitym dymem i ciemnym światłem czekali pozostali towarzysze: Bernard Bastaits i Jean-Guy Weill; była również Julie, siostra tego ostatniego, która nalewała kawę z niebieskiego dzbanka – ich ojciec, człowiek bardzo zamożny, szczerze finansował grupę. Guillén szybko pozdrowił towarzystwo, wziął filiżankę i podszedł do grzejnika; kaszlnął kilka razy i ogrzał sobie ręce. Bernard rzucił mu paczkę papierosów.

– Jakie masz wieści z północy? – zapytał Guillén, mając na myśli strefę okupowaną przez Niemców.

– Nic nowego. Grupa wpadła całkowicie, wszyscy są w rękach Gestapo. W Paryżu komórka jeszcze się trzyma, ale dla bezpieczeństwa rozproszyli się i są nieaktywni – poinformował Bernard. – Frenay ukryje się na jakiś czas, aż sprawy trochę się uspokoją. Ale jest przekonany, że Vichy nas zdradziło, zdradziło Francję, więc on popiera zmianę strategii – dodał, odnosząc się do lidera grupy.

Guillén w milczeniu wypił kawę. Wolał nie dolewać oliwy do ognia, to do niczego nie prowadziło. Jeśli on skończył w Ruchu Wyzwolenia Narodowego, RWN, to raczej w wyniku zbiegu okoliczności, a nie z własnej woli. Ci ludzie byli mu najbliżsi; koledzy ze studiów zaprosili go do przyłączenia się do ruchu oporu

przeciw niemieckim okupantom w chwili, kiedy niewielu miało ochotę na opór. Jednak ideologicznie znacznie się między sobą różnili. Członkowie ruchu oporu, któremu przewodził Henri Frenay, byli prawicowi, konserwatywni, wielu z nich było żołnierzami uważającymi Pétaina za wielkiego marszałka wielkiej wojny, za kogoś, kto grał na dwie strony, żeby w dalszej perspektywie przynieść korzyści Francji. W ten sposób Ruch Wyzwolenia Narodowego powstał jako ruch informacji i propagandy przeciw niemieckiej inwazji, ale popierał reżim Vichy. Guillén od początku uważał, że to wielka bzdura: Pétain pokazał, że jest takim samym faszystą jak reszta, a w każdym razie oportunistą, co było jeszcze gorsze. Zachowywał jednak tę opinię dla siebie, zresztą i tak nikt by go nie słuchał. Dopiero gdy zaczęła ich prześladować francuska policja do spółki z Gestapo, a strona wolna stała się karką strefy okupowanej, zdali sobie sprawę, że marszałek to tylko stetryczały starzec w rękach Pierre'a Lavała i innych stronników Niemiec, którzy tworzyli niepoważny rząd. Dopiero wtedy RWN postanowił zmienić strategię.

– Rzeczywiście – ciągnął Bernard – Frenay już wszedł w kontakt z innymi grupami z południa. Od spotkania z Jeanem Moulinem...

– Jean Moulin? – powtórzył André Bourdain.

– Dawny prefekt. Był ważną osobistością, najmłodszym prefektem Francji. A jednak Pétain wyrzucił go za radykalnie socjalistyczne poglądy i podobno jeszcze za to, że jest masonem. To bardzo waleczny typ, nie boi się głośno mówić, nie raz postawił się Niemcom i już za to siedział. Teraz zszedł do podziemia. Chodzi o to, że jest zwolennikiem scalenia wszystkich organizacji ruchu oporu i pojechał do Londynu, żeby koordynować akcję z de Gaulle'em i Wolnymi Francuzami. Kiedy spotkali się w lipcu, ustanowiono łączność i bezpieczny sposób komunikacji z grupami północnymi oraz określono formy współpracy z komunistami, którzy po inwazji Niemiec na Rosję pojawiają się jak grzyby po deszczu.

André spojrział wymownie na Guillena.

– Spokojnie, nie powiem „a nie mówiłem” – zauważył ten, korzystając z okazji. – Nie powie wam tego również Jean-Guy, który też wam to mówił, kiedy wyrzucili go ze szkoły, bo jest Żydem. Czy nie tak, towarzyszu? – Poklepał chłopaka po plecach.

Jean-Guy jedynie poprawił sobie okulary i się uśmiechnął. Był człowiekiem o miękkim charakterze, chociaż który Żyd mógłby być inny w tamtych czasach. Tylko hrabina, oczywiście, ale hrabina miała silniejszy charakter niż wielu mężczyzn.

Guillén pozwolił Julie ponownie napełnić filiżankę. Ta prześliczna dziewczyna nieustannie prowokowała. Nie bez powodu została modelką z plakatu RWN: blond włosy rozwiane na wietrze, francuska flaga spowijająca jej nagie

ciało, opinająca krągłość jej piersi...

– Dziękuję... – Guillén uśmiechnął się, zadowolony z tego, że może ukryć przed światem swe obsceniczne myśli.

– Przejdiesz teraz do swoich przyjaciół, komunistów? – zapytała go Julie.

– Kiedy w końcu wyszło na to, że to ja miałem rację? Nie... Poza tym za bardzo was lubię. Czy w innej grupie byłbym w stanie znaleźć kogoś tak ślicznego jak... André?

Julie przez chwilę popatrzyła mu w oczy z lekkim uśmiechem. Spuściła wzrok, zwilżyła usta i poszła dolać kawy komuś innemu. Guillén nie mógł oderwać wzroku od jej kołyszących się bioder.

André, nie zwracając uwagi na tę parę, mówił dalej:

– Przejdźmy wreszcie do tematu naszego zebrania. Chciałem wam zakomunikować, że zamykam gazetę. W obecnej sytuacji nie mogę narażać na niebezpieczeństwo drukarni ani infrastruktury, a już na pewno nie madame Martinet, która dotychczas udzielała nam pomieszczeń. Była u niej policja, wypytywali, pewnie niedługo będzie rewizja. Najpóźniej jutro trzeba wszystko posprzątać.

– Ale jeśli zamkniesz gazetę, przestaniemy robić jedyną rzecz, którą tak naprawdę robimy – sprzeciwił się Guillén. – Nic nam nie zostanie... Czy może w końcu mnie posłuchasz i zaczniemy wreszcie kopać właściwe tyłki?

– Tymczasem nie będziemy nikogo kopać, czerwona przybłędo – zażartował André. – Chodzi o chwilowe zamknięcie. Trzeba zaadaptować publikację do nowej strategii i powiększenia grupy. Pracuję nad procesem fotoskładu, który pozwoli na stworzenie szrotki tutaj, w Lyonie, a drukować będzie można w wielu miejscach. Musimy się zastanowić, w jaki sposób wsadzić Niemcom i ich kolegom z Vichy palec w oko przy użyciu wyłącznie słów, i zrobić to nie tylko tutaj, ale w całej Francji. Na razie najpilniejsze jest znalezienie nowego miejsca na drukarnię.

Guillén po raz ostatni zaciągnął się papierosem, wypuścił dym, kaszłając, i obwieścił:

– To nie jest problem. Możemy wsadzić ją całą do fabryki. Jest tam niewykorzystany magazyn, z częściami tych wodnopłatowców, których Niemcy nie pozwalają nam już budować. Możesz tam nawet wsadzić tę twoją nową maszynę i produkować gazetę. Jako członek spółki mogę kupować papier na fabrykę bez wzbudzania podejrzeń. Wiadomo przecież, że musimy drukować faktury, plany...

André ten pomysł wydał się nazbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy.

– No nie wiem, to dla ciebie zbyt ryzykowne. Ty już masz swoje problemy. Jeśli złapią cię na jednym, to na drugim też.

– Gdybym robił to, myśląc, że mnie złapią, nie robiłbym nic, drogi przyjacielu... Daję wam to, co mam; chyba że ty masz lepszą ofertę?

– On ma rację, André – wtrącił się Bernard. – Nie uda nam się znaleźć nic lepszego ani gorszego do jutra rana.

– Dobra – ustąpił André, wzdychając. – Chwilowo ukryjemy tam materiał. Potem się zobaczy. – Odwrócił się do Guillena. – Dzięki, *rojo*.

– Nie ma za co – odpowiedział Guillén z udawaną obojętnością. W rzeczywistości miał świadomość, że właśnie dołożył następną kartę do swojego zamku z kart.

*

Lena od dawna nie spędzała czasu w tak miły sposób. Rozmowa, śmiech, nawet jedzenie smakowało lepiej niż zwykle. Nie mówiąc już o przesmacznych babeczkach, popijanych świeżą kawą i butelką anyżówki, którą ojciec przechowywał jeszcze od przed wojny.

Było tak, jakby w zakurzonej, dusznej i ciemnej sypialni nagle wzeszło słońce i powiał wiosenny wietrzyk. Taka była wizyta Jaimego Aranzadiego, zawsze w dobrym humorze, zawsze uśmiechniętego. Młodzieniec łatwo zaskarbił sobie sympatię Ramona butelką wina i historią kariery wojskowej. Matiasa zjednął albumem z kartami Atletico de Aviación, który był mistrzem ligi, oraz złotym znaczkiem milicji uniwersyteckiej.

– A teraz powiedz mi, po co naprawdę przyjechałeś... – wyszeptała Lena, żeby nie budzić ojca, który zasnął w fotelu zaraz po kolacji; wino, anyżówka i przeziębienie pokonały go.

Matias poszedł do swojego pokoju uczyć się, więc zostali sami. Radio cicho brzęczało w tle, stary zegar z wahadłem odmierzał rytm w oczekiwaniu na odpowiedź, a Jaime w tym czasie zapalał papierosa. Lena po raz pierwszy zobaczyła, że jest poważny.

– W zeszłym tygodniu ogłoszono wyniki egzaminów... Zdałem – oznajmił takim tonem, jakby naprawdę oblał.

– Ale Jaime, to jest wspaniała wiadomość!

Chłopak uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak, rzeczywiście jest. Spełniło się moje wielkie marzenie... Miałem ci o tym napisać, ale nie chciałem żegnać się z tobą listownie...

Lena nie potrafiła ukryć smutku.

– Żegnać się?

– Wysyłają mnie do konsulatu w Brukseli.

– Bruksela... – Próbowwała dojść do siebie po tym kubku lodowatej wody. – To dobre miejsce... prawda?

Jaime przytaknął.

– Teraz, kiedy są tam nasi przyjaciele Niemcy...

Czując się niezręcznie, Lena wierciła się na krześle, jak gdyby było jej zimno.

– Ach, Jaime... Dziwnie jest gratulować ci z tego powodu, skoro masz taką minę... Nie cieszysz się?

Wydawało się, że on też czuje się niezręcznie. Co chwilę nerwowo strzepywał popiół. Ze spuszczoną głową wyznał:

– Sam odnoszę dziwne wrażenie: jakbym zjadł ciastko cytrynowe, słodkie, a jednocześnie kwaśne. Przez całe życie chciałem być dyplomatą, a teraz... Uważaj, czego pragniesz, bo może ci się to spełnić...

– Dlaczego tak mówisz? – Spojrzała mu w oczy.

– Bo teraz, kiedy już spełniło się to moje marzenie... będę o tysiące kilometrów od ciebie. I nie wiem, czy zdołam to znieść.

W końcu na nią spojrział tymi swoimi wielkimi oczami, o tak długich, niemal kobiecych rzęsach. Wziął ją za rękę i trzymał jak skarb.

– W tej chwili byłoby absurdem ukrywać to, co czuję, Leno... Już pewnie zauważyłaś, że nie tylko lubię z tobą spacerować w niedzielę po południu... Absurdem byłoby też zadowolić się pisaniem do ciebie kilka razy w tygodniu. Poza tym kocham cię...

Lena zadrżała, poczuła smagnięcie w brzuchu, jakby kopnął ją prąd. Chciała coś powiedzieć, ale Jaime do tego nie dopuścił.

– Nie, nic nie mów... Poczekaj, aż wytoczę wszystkie działa... – Pocałował jej palce i trzymał jej ręce blisko swoich ust, mocno je ścisnął. – Wyjdź za mnie, Leno. Pojedź ze mną do Brukseli, do Finlandii albo do Timbaktu... Dokądkolwiek zaprowadzi mnie przeznaczenie. Bądź ze mną do końca życia.

Lena przełknęła ślinę, oczy zaszyły jej łzami, ale nie chciała płakać. Wysunęła dłoń z jego rąk i pogładziła go po twarzy, przyłożyła ją do policzka, rozplywając się z czułości. Tykanie starego zegara z wahadłem odmierzało czas na odpowiedź.

*

Julie zwykle była łączniczką grupy. W spódniczce w szkocką kratę, szkolnym berecie i z włosami zebranymi w dwie kitki wyglądała jak dziewczynka, więc wymykała się policji, jeżdżąc po mieście na rowerze z tajnymi rozkazami ukrytymi w książkach w skórzanej torbie.

Pojechała do wielkiego domu przy boulevard des Belges, ale Guillena tam nie było. Powiedziano jej, że być może zastanie go jeszcze w fabryce; często zostawał po godzinach, by pracować w biurze.

Tego wieczoru Guillén łamał sobie głowę nad listą dwudziestu osób

o polskich nazwiskach. Pokazał ją hrabinie. Wszyscy byli żydowskimi uciekinierami, których należało zatrudnić w fabryce. „Nie obchodzi mnie, że nie ma dla nich pracy, wymyślisz ją. Jeśli zadeklarujemy, że są nam potrzebni, nie wywiozą ich do Niemiec”, wyjaśniła mu, jak zwykle kategorycznie. To było szaleństwo. Większość z nich nie miała żadnych kwalifikacji, które można by wykorzystać w fabryce. Byli pośród nich szewc, nauczyciel muzyki, lekarz, bibliotekarka, dwie przedszkolanki i piętnastoletni chłopak. Co, u diabła, miał robić z tymi ludźmi?

– Proszę! – zawołał, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Ucieszył się, gdy zobaczył, że do biura wchodzi Julie. Zawsze miło mu było ją spotkać, choćby tylko po to, żeby nacieszyć oczy.

– Można?

Guillén wstał.

– Oczywiście, Julie. Wejdz, proszę. – Zebrał stos papierów z jedyne go krzesła w gabinecie. – Siadaj... Przepraszam za bałagan – powiedział, obrzucając smętnym wzrokiem brzydki, prosty pokój, zavalony papierowymi teczkami i skoroszytami, ze starymi wieszakami i fotelem, i zdjęciami pionierów lotnictwa stanowiącymi całą dekorację. Ostatnim ruchem zrzucił do kosza na śmieci resztki obiadu.

– Nie zostanę długo. Przywiozłam ci to. – Podała mu książkę. Spomiędzy jej stron wystawała krawędź koperty.

– Ach, książka, którą miałaś mi pożyczyć. Dziękuję... Czy szybko muszę ją oddać?

– Nie, nie ma pośpiechu. Możesz ją zatrzymać tyle, ile będziesz chciał.

Zaległa kłopotliwa cisza. Stali twarzą w twarz, rozdzieleni przez biurko. Guillén zdał sobie sprawę, że zaczął już zapadać zmierzch, więc zapalił lampę. Zakaszłał.

– Powinieneś się podleczyć.

– Och, nie, to nie przeziębienie... Zawsze tak było. Wiecznie kaszlę. Przepraszam...

Julie wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się. Guillén odniósł wrażenie, że dziewczyna doskonale wie, jak atrakcyjny jest jej uśmiech.

– Nie masz za co przepraszać, przynajmniej jeśli o mnie chodzi. – W końcu usiadła. – Wiesz? Pić mi się chce od tego jeżdżenia na rowerze. Masz może coś do picia?

Julie założyła nogę na nogę, nagie kolano wychylało się prowokacyjnie spod spódniczki. Guillén zadał sobie pytanie, czy pan Weill, będący niebywale surowym ojcem, zgadza się na to, żeby córka paradowała w tak krótkiej spódniczce. Domyślił się, że w pasie musi być odrobinę podwinięta pod swetrem; na samą myśl o tym poczuł żalosne podniecenie.

– Obawiam się, że mam tylko wodę. Nie mam tu żadnych innych napojów ani mleka...

Julie się zaśmiała.

– Napoje albo mleko? Nie jestem już dzieckiem...

Guillén zmierzył ją wzrokiem.

– A wyglądasz, jakbyś była – stwierdził, żeby ją sprowokować; dekolot pojawiający się na skraju rozpiętej koszuli nie był dekoltem dziewczynki.

– To te idiotyczne kitki. Żeby zmylić policję, rozumiesz... – wyszeptała. Zaraz potem rozwiązała kokardki, uwalniając jasne włosy, miękkie i falujące. Poglądziła je zmysłowo. – Tak naprawdę myślałam o czymś mocniejszym...

Guillén podszedł do szafy, która musiała być kiedyś apteczką, bo na drzwiczkach miała wymalowany czerwony krzyż. Wyjął z niej butelkę i dwa kieliszki. Podszedł do Julie.

– Czy koniak jest dla ciebie wystarczająco mocny?

Julie uśmiechnęła się i bez słowa wyciągnęła rękę.

Wypili i Julie rozsiadła się na krześle. Guillén oparł się o biurko, wyciągnął pudełko papierosów i zapalił. Patrzyła na niego tak, że postanowił ją poczęstować.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że palisz.

Dziewczyna włożyła papierosa do ust i Guillén go zapalił.

– Wiele jest rzeczy, których o mnie nie wiesz, monsieur Álvarez – stwierdziła, zaciągnąwszy się po raz pierwszy. – Jak to możliwe, że tu jest tak cicho?

– Skończyła się praca i ludzie poszli do domu.

– Więc jesteśmy sami? Możemy porozmawiać?

Trochę zaintrygowany, Guillén odpowiedział:

– Cóż, wiesz przecież, że czasem ściany mają uszy, ale owszem, możemy porozmawiać.

Julie wybuchnęła śmiechem, jednocześnie wydychając dym z papierosa.

– Niech ci się nie wydaje, że będę ci robić wielkie wyznania! – Znów się zaśmiała. – O tym myślisz, prawda? A ja chciałam tylko zaspokoić swoją ciekawość.

– A zatem...

– O co chodziło André, kiedy powiedział, że masz już swoje problemy?

Guillén nie odpowiedział od razu. Palił. Pił w spokoju. Rozchylił usta w lekkim uśmiechu.

– Teraz pracujesz dla policji?

– Nie bądź głupcem, już ci mówiłam, że to tylko ciekawość. Wkurza mnie, że wszyscy wiecie rzeczy, o których ja nie mam pojęcia. Jestem jedną z was, a traktujecie mnie tylko jak dziewczynę na posyłki.

Guillén westchnął.

– Nie mogę ci opowiedzieć. Co będzie, jeśli któregoś dnia złapie cię policja?
– spróbował uprzedzić jej protesty. – Połamałaby ci ten śliczny nosek w kilku miejscach, a wtedy powiedziała byś im wszystko, co wiesz; o moich problemach też. Uwierz mi, Julie, czasem lepiej nie wiedzieć.

Julie wstała z krzesła, wrzuciła papierosa do pustego kieliszka i pod źle skrywanym pretekstem odstawienia go na stół uwięziła Guillena pomiędzy biurkiem i swoim ciałem.

– Jak możesz być tak niemęły? – Jej oddech o zapachu papierosów i koniaku uderzył go w twarz.

– Życie na zewnątrz jest niemęłe. To nie moja wina.

Spojrzała na niego uważnie.

– Jakiego koloru masz oczy?

– Ty mi powiedz...

Julie przyglądała mu się przeciągle.

– Czasem są zielone, a czasem szare... I jeszcze miedziane. Bardzo są dziwne...

Ich biodra już się stykały. Ona pewnie już poczuła, jak bardzo jest podniecony. Parzyła na niego wyzywająco.

– I co, nie pocałujesz mnie, Guillenie Álvarez? Myślisz, że nie widzę, jak na mnie patrzysz? Jak bardzo tego chcesz?

Jej rozchylone i wilgotne usta były pokusą trudną do przezwyciężenia. Wyrzucił papierosa, położył ręce na jej pośladkach i przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej.

– A ty sądzisz, że nie wiem, że sypiasz z André?

– Tak ci się wydaje? No to się mylisz. Flirtujemy, nie zaprzeczam. Ale nie dostałam od niego nic ponad jeden czysty pocałunek w policzek. André pójdzie do łóżka tylko z własną żoną, za bardzo jest konserwatywny – zapewniła go lekceważąco. – W tych sprawach komuniści są znacznie bardziej zabawni – stwierdziła, wsuwając mu rękę między nogi.

Nie będąc w stanie się opierać ani chwili dłużej, gwałtownie ją pocałował. Ona zaczęła mu rozpinąć koszulę, on włożył ręce pod jej spódnicę. Rozbierali się wzajemnie, dysząc z podniecenia. Silne uderzenia o stół zwały stos papierów i na nich kochali się bez wielkich ceremonii, niczym przynaglane instynktem zwierzęta.

Jeśli Guillén czegoś się nauczył, to tego, że w czasach, w których przyszło im żyć, może nie być jutra.

Grudzień 1941

W zimnym powietrzu unosił się zapach pieczonych kasztanów. Czasem Lenie wystarczyło zamknąć oczy i cieszyć się tymi drobiazgami, rzeczami, które nigdy się nie zmieniały: pieczone kasztany, chłód w Boże Narodzenie tak samo jak wtedy, kiedy była mała.

Stała pośrodku ulicy, z zamkniętymi oczami, twarz smagał jej deszcz, zawsze ten sam deszcz. Nie istniały ani nędza, ani upływ czasu; nostalgia również nie.

– Co pani wyprawia?!

Pchnięto ją, a gdy otworzyła oczy, zorientowała się, że znajduje się w tłumie na ulicy Cimadevilla i tarasuje przejście.

– Przepraszam... – wyszeptała, chociaż nikt jej nie słuchał.

Zobaczyła wystawę jubilera, u którego Jaime Aranzadi na chwilę przed wyjazdem postanowił kupić jej medalik z Santiną. Tak bardzo za nim tęskniła... Może nawet bardziej, niż gdyby nie poprosił jej o rękę, gdy nie miała poczucia, że spóźniła się na pociąg, który już odjechał. „Nie chodzi o to, że ciebie nie kocham – zapewniła go – ja po prostu nie mogę zostawić ojca i Matiasa. Kto się nimi zajmie, jeśli wyjadę?” I on, zrezygnowany, przyznał jej rację i przysiągł, że poczeka na nią tyle, ile będzie trzeba. Jednak Bruksela była bardzo daleko, a kto wie, do jakiego innego miejsca, jeszcze bardziej odległego, zawiedzie go kariera... Pociągi przejeżdżały, a Lena ciągle stała na peronie stacji, wiecznie tej samej stacji.

Czasem starała się być szczerą z samą sobą i zadawała sobie pytanie, czy może pociągi jej odjeżdżają dlatego, że w gruncie rzeczy ona nie chce do nich wsiadać. Zadawała sobie pytanie, czy nie uciekła od Guillena pod byle pretekstem i czy nie odrzuciła Jaimego pod innym. Prawdą jednak było, że próbując odpowiedzieć na to pytanie, znajdowała w sobie uczucie do pewnego stopnia uspokajające: obaj, odchodząc, zostawili po sobie gorzką pustkę, poczucie, że jakaś część jej samej odeszła wraz z nimi.

Włożyła rękę do kieszeni płaszcza i dotknęła kartki z życzeniami, którą napisała do Guillena. Nie wysłała jej... Przecież komuniści nie obchodzą świąt Bożego Narodzenia. Otworzyła parasol i ruszyła przed siebie, szlakiem relikwii przeszłości.

Przez cały ranek krążyła bez celu. Przed Bożym Narodzeniem miasto wydawało się zupełnie inne niż na co dzień. Sklepy kolonialne zostały dosłownie zawałone smakołykami, których przez cały rok nikt nie oglądał. Ciastkarnie również; oblizła się na widok ogromnego krokodyla z marcepanu ze szklanymi oczami na wystawie ciastkarni Lyon. Minęła wejście do baru Dragón, gdzie przed wojną chodziła z ciotkami po mszy, żeby napić się wermutu i zjeść sałatkę

jarzynową. W księgarni Cervantesa kupiła krótką powieść Luisy Marii Linares, antologię poezji Gerarda Diego i almanach pisma „Chicos” dla Matiasa. Później oczarował ją ołowiany żołnierz z wojny o niepodległość, którego zobaczyła na bazarze San Mateo, gdzie dzieciaki wystawały przed witrynami sklepików, marząc o prezentach od Świętego Mikołaja; które z nich nie chciałoby kolejki elektrycznej, roweru, samochodziku z pedałami albo lalki w pięknej sukience? W Magazynach Botas wybrała wełniany szalik dla ojca, żeby dobrze się opatulał, wszak zrobił się tak delikatny po zapaleniu płuc, które na miesiąc złożyło go do łóżka. A dla Pepego kazała wyhaftować chusteczki z inicjałami.

Lena była bardzo zadowolona ze swych świątecznych zakupów. Przez cały rok oszczędzała na Boże Narodzenie; do puszki schowanej w kredensie co miesiąc wkładała po kilka peset i dzięki temu mogła kupić indyka – który już się piekł w domu na wieczór – butelkę szampana cydrowego z szyjką w sreberku i tabliczkę turonu z Jijony z ciastkarni Diega Verdú.

Wszedłszy w ulicę Fierro, poczuła przesmaczny zapach prażonych orzeszków dobiegający z Casa Floro i poczekała na swoją kolej, żeby kupić paczuszkę; były jeszcze ciepłe. Na placu Fontán panował wyjątkowy gwar. Wokoło starej pięcioramiennej latarni kłębiły się mleczarki z kankami i przekupki z koszykami kartofli, brukwi, patatów i dyni... Pod podcieniami stali sprzedawcy chodaków, *paxarines* i glinianych garnków, śledzi, ciastek i słodyczy; byli tam też człowiek ostrzący noże, parasolnik, sprzedawca miodu i wyrobów metalowych. Wszyscy zachwalali swój towar, przekrzykując kolędy płynące z katarynki, której korbką niezmordowanie kręcił Cygan, właściciel robiącej sztuczki kozy. Obok niego jakiś mężczyzna bez ręki i nogi zapewniał o spełnianiu się marzeń, sprzedając kupony wiszące wstęgami u klapy jego marynarki niczym order, których odmówiono pokonanym. Bo są rzeczy, których nawet Boże Narodzenie nie jest w stanie zmienić. Dzieciaki w łachmanach dalej kradły, żeby móc coś zjeść, wyniszczone prostytutki wciąż kłębiły się na ulicy Concepción, w stołówkach pomocy społecznej codziennie tworzyły się kolejki głodnych, dziesiątki szarych ludzi wciąż jeszcze żyły praktycznie pod gołym niebem w ruinach dawnej fabryki zapalek... Życie było niesprawiedliwe.

Spacer doprowadził ją w okolice osiedla Santo Domingo, ciągle w ruinach po niemal całkowitym zrównaniu z ziemią. W budynku podpartym drewnianymi belkami znaleźli schronienie Domi i jej dzieci. Dzielili małe mieszkanie na ostatnim piętrze z dwiema innymi rodzinami, ściśnięci wszyscy w trzech pokojach bez wody po tym, jak kanalizacja wyleciała w powietrze. Weszła do wilgotnej i śmierdzącej bramy; dwie sąsiadki drące pierze z indyka na półpiętrze przyjrzały się jej nieufnie, ale ona dalej szła po krętych schodach. Wybiegła jej naprzeciw jedna z córek Domi.

– Mamo! To pani Lena!

Z mieszkania dobiegały krzyki i wrzawa i wydobywał się gęsty dym, śmierdzący zjełczalym tłuszczem. Zaraz pojawiły się maluchy, którymi Lena zajmowała się w przedszkolu. Otoczyły ją w podskokach, z radością wyśpiewując jej imię: „Pani Lena! Pani Lena!”. Ściągnęły z niej płaszcz i próbowały zabrać koszyk, nie mogąc się doczekać, aż zobaczą, co jest w środku. Domi przyszła korytarzem, wycierając ręce w fartuch; kilka ciekawskich głów wychynęło zza drzwi.

– Lena... – Ledwie się uśmiechnęła.

– Przyszłam złożyć wam życzenia. Przyniosłam kilka rzeczy dla dzieci. – Podala jej koszyk.

Domi zajrzała do środka: dwie kiełbasy, pudełko migdałów w cukrze, turon, paczka orzeszków ziemnych i biały chleb. Były też drewniane zabawki, po jednej dla każdego dziecka. Nie unosząc wzroku, Domi podziękowała:

– Bóg ci zapłaci... schowam je. – Udało jej się ukryć prezenty przed dziećmi.

– Trzeba wiecznie uważać... Mąż Casildy, ten okropny pijak... Nie raz go przyłapałam, jak podpija mleko moich dzieci. Niech będzie przeklęty!

Kobieta otarła oczy, wściekła. Lena nie zauważyła wcześniej, że płacze.

– Domi... Co się dzieje?

– Nic... Dobra, włączcie do środka, smarkacze. – Wepchnęła dzieci do mieszkania i zeszła z Leną na półpiętro. Ścisnęła ręce, a jej spojrzenie było dalekie. – Nie chcę, żeby dzieci zobaczyły, że płaczę... Jest już wyrok dla Avelina...

Lena wstrzymała oddech, pełna złych przeczuc.

– Śmierć... Taa... – Domi zagryzła usta, nie była w stanie nic więcej powiedzieć. Otarła oczy fartuchem.

Zimny dreszcz przebiegł Lenie po plecach. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Jak to...? – Tylko na tyle się zdobyła.

– Oskarżyli go o udział w rebelii wojskowej... Właśnie dziś... w wigilię Bożego Narodzenia! – Domi stopniowo się rozpałała, gotowa wyrzucić z siebie krzykiem całą wściekłość. – Pierdoleni falangiści! Zabijają nam mężów! A nas głodzą! To jest ta ich wielka Hiszpania? Gówna, a nie Hiszpania! Gówniana Hiszpania! Bydlaki!

Przerażona tym wybuchem złości Lena czym prędzej poprowadziła Domi do mieszkania i zamknęła drzwi.

– Cicho! Przestań, na Boga, bo jeszcze cię usłyszą! – wyszeptała przerażona. Wiedziała, że wykrzykując takie rzeczy, Domi naraża się na grzywnę albo nawet na więzienie.

Z kobiety uszło powietrze. Łzy płynęły jej niepohamowanie po policzkach. Lena mocno ją przytuliła.

– Oj, matulu, zabiją mi go jak psa... Co będzie z moimi dziećmi bez ojca?

– płakała Lenie w ramię.

Jej też chciało się płakać. To była niezrozumiała tragedia. Autentyczne obrzydzenie ścisnęło jej żołądek.

Po kolacji poszli na pasterkę. Lena wolałaby, żeby ojciec został w domu, bo jeszcze nie czuł się dobrze i świszczało mu w płucach, a noc była wilgotna i bardzo zimna. Jednakże on, uparty jak zawsze, poszedł z nią. „Doskonale opatulony – mówił – i w chodakach, żeby nie zmoczyć sobie nóg”. Córka nie miała siły, żeby się z nim kłócić, więc ustąpiła. Jak należało się spodziewać, wrócił do domu wyczerpany i Lena natychmiast zapakowała go do łóżka, pod trzy koce i z eukaliptusowym kompresem na piersiach. Tym razem rodzina nie odmówiła wspólnie różańca.

Matías wznosił toast odrobiną cydrowego szampana, może dlatego szybko zasnął w fotelu, obok szopki z figurkami z kartonu, które wycięli z gazety „Flechas y Aguiluchos”; tylko Dzieciątko Jezus było gliniane. Lena kupiła je od rzemieślnika na placu Fontán, gdy odkryła z żalem, że wszystkie figurki z jej starej szopki potłukły się w czasie wojny. Pepe zrobił jeziorko ze sreberka z butelki cydru.

W pograżonym w ciszy domu Pepe, który spędzał z nimi kilka dni przepustki, pomagał Lenie zmywać naczynia.

– Martwię się o ojca – wyznał siostrze, wycierając sobie czoło. – Wygląda, jakby miał się już z tego nie podnieść.

– Jest starszy, potrzebuje więcej czasu, żeby wyzdrowieć. A ta pogoda... nie pomaga. Ale na pewno z wiosną poczuje się trochę lepiej. Będzie mógł wyjść na powietrze i zażyć słońca.

– Mam nadzieję...

Pepe położył miskę na szczycie talerzy i w jednej chwili skończył robotę. Wykręcił szmatkę.

– Chciałbym zgłosić się na ochotnika do Błękitnej Eskadry... – obwieścił.

– Organizują ją teraz w lutym, dziewiętnastu pilotów, w Morón. Po miesięcznym przeszkoleniu odlecą do Niemiec.

Lena przestała szorować garnek zanurzony w ciepłej wodzie.

– Nie dość ci było naszej wojny? – zapytała bardziej zaintrygowana niż wzburzona.

– Nie o to chodzi... To wielka okazja. Będziecie mieć podwójne kartki na żywność i ponad siedem peset pensji...

Lena się uśmiechnęła.

– Nie chcę, żebyś ryzykował życie dla podwójnych kartek. To nie jest konieczne.

– Nie o to chodzi, Leno. Ja muszę działać. Czuję się moralnie zobowiązany

wobec Niemców za to, co zrobili dla nas w naszej wojnie: przyjechali tu i z narażeniem życia pomagali nam. Pamiętasz historię Wilhelma, pilota z Legionu Condor, który był moim instruktorem w Leonie podczas wojny? Miał żonę i dwoje małych dzieci. Jego samolot został zestrzelony w Tarragonie. Zginął tutaj, w Hiszpanii, za nas... Nie chodzi o to, żebym miał ochotę polec w Rosji, ale chcę strącić kilku czerwonych. Co z tego, że pokonaliśmy tutaj młodszego brata komunizmu, skoro zostawimy Niemcy same wobec olbrzyma, który zagraża Europie?

Lena wytarła ręce i wzdychając, usiadła przy kuchennym stole.

– To twoja decyzja. I ja ją szanuję – podsumowała z lekkim poczuciem zazdrości. Walka w mundurze zawsze była dla niej czymś szlachetnym, była ideałem. To oczywiście, że niełatwo trwać przy tych ideałach w zwyczajnym życiu. W zwyczajnym życiu nie ma granic, dobra ani zła, ani górnolotnych słów, ani wyższych wartości; są tylko ludzie, dramaty ludzkie, ideologie tracą sens w obliczu codzienności.

– Co się z tobą dzieje, Leno? Wydajesz się smutna, zmęczona...

Nie odpowiedziała. Pepe nalał dwie filiżanki kawy, postawił je na stole i usiadł.

– Rozumiem, że to za dużo dla jednej osoby: zajmowanie się ojcem, Matiasem, domem, szpitalem... Za dużo robisz. Jeśli do tego ojciec nie wydobrzeje... A ja wyjeżdżam tak daleko i zostawiam cię z tym wszystkim. To niesprawiedliwe.

Lena wyciągnęła rękę przez stół i ujęła jego dłoń.

– Nie musisz się o mnie martwić – zapewniła go wdzięczna. – Znakomicie się wszystkim zajmę. Tak, jestem smutna i zmęczona... Ale to nie jest zmęczenie fizyczne. To coś innego, coś, co zupełnie nie ma z tym związku – powiedziała, obrzucając spojrzeniem kuchnię.

Pepe patrzył na nią, nic nie rozumiejąc, Lena tymczasem wypła łyk kawy.

– Wydali wyrok na męża Domi – powiedziała po chwili. – Pamiętasz? Mówiłam ci o niej.

Brat skinął głową.

– Skazali go na śmierć za udział w rebelii wojskowej. Śliczne Boże Narodzenie dla rodziny... Nie mogę przestać myśleć o Domi i jej dzieciach... I o wszystkich rodzinach, które tak jak oni przechodzą przez to i będą przechodzić. Już wygraliśmy, prawda? Wojna się skończyła. Czy to jest konieczne?

Pepe wyciągnął papierosa z cygarniczki i zapalił go ostatnim żarem z paleniska.

– Wiesz, że ja nie jestem zwolennikiem kary śmierci ani rozstrzeliwania. I nie wierzę, żeby większość ludzi, nawet spośród tych, którzy wydają wyroki, była ich zwolennikami. W sumie coraz więcej kar śmierci zamienia się na więzienie.

Jednak jestem w stanie zrozumieć powody ich wydawania, jestem w stanie zrozumieć, że to zło konieczne. Właśnie dlatego, że wojna się skończyła, zwycięzcy muszą walczyć o utrzymanie pokoju, bo wielu ludziom nie podoba się przegrana, a w ten sposób konflikt będzie się przeciągał w nieskończoność. Pamiętasz, co się wydarzyło w trzydziestym dziewiątym? Miasta takie jak Madryt czy Walencja były pokonane od miesięcy, a jednak niektórzy podpuszczali jakichś nieszczęśników, żeby chwyтали za broń, której już nie mieli, i stawiali samobójczy opór, który powodował tylko nowe cierpienia ludności. A dzisiaj ciągle ci sami z za swoich biurków za granicą podżegają do następnej wojny. Nie możemy pozwolić na to, żeby kilku fanatyków niszczyło pokój, którego zdobycie tyle nas kosztowało. Jak sądzisz, co oni by zrobili, gdyby wygrali wojnę? Przebaczyliby wszystkim, których przez lata ścigali?

Lena pokręciła głową. Była skołowana, nie wiedziała, co ma myśleć.

– Ale kara śmierci... To zemsta na zimno... Czysta zemsta... A zemsta może wywołać tylko następną zemstę. Jeśli będziemy działali w taki sposób, nigdy nie wybaczymy i możemy zapomnieć o tym kraju. Zostawimy po sobie jedynie złe wspomnienie i pokonanych, a później poniżonych. Co powiedzą o nas kiedyś dzieci Domi? Jak będą mogły zaświadczyć, że zrobiliśmy coś dobrego? Będą tylko wołać o zemstę, będzie tylko żal. I to się nigdy nie skończy...

– Niech oceni nas historia.

– Historia oceni nas głosem serca rozżalonych, uwierz mi, to głos tych represjonowanych, którym nie umieliśmy wybaczyć, wdów, sierot... Każdy z tych wyroków, każda z tych egzekucji robi ze mnie nikczemnego współnika. Ale ja nie jestem złym człowiekiem, Pepe... A może tak? Nie chcę stać się złym człowiekiem, dlatego że popierałam sprawę, w którą wierzyłam, bo głosiła dobro.

– Przygnębiona spojrzała na brata.

– Oczywiście, że nie jesteś złym człowiekiem. Gdybyś była, nie prowadzilibyśmy tej rozmowy. Słuchaj, Leno, zanim wyrok zostanie wykonany, musi zostać zbadany przez audytora wojskowego i zatwierdzony przez szefa państwa. Powiedz Domi, że jeszcze może mu załatwić ułaskawienie, musi tylko pomyśleć o kimś, kto będzie w stanie wyświadczyć jej tę przysługę, kto może się za nim wstawić, musi zebrać podpisy i wiarygodne zeznania... Ja sam mogę napisać kilka linijek...

Ktoś, kto będzie mógł jej wyświadczyć tę przysługę... Kto mógłby wyświadczyć przysługę biednej Domi? Jakiego wpływowego człowieka może znać ta nieszczęsna kobieta? Nagle Lenę przebiegł dreszcz. Może Domi nie zna nikogo, ale ona tak... Żołądek podszedł jej do gardła i na skroniach wystąpił zimny pot.

– Jeszcze coś wymyślimy, ale teraz chodźmy spać. Bardzo źle wyglądasz, musisz odpocząć.

Lena prawie nie słuchała brata, który podał jej rękę, żeby pomóc jej wstać.

Lena była w piekle albo bardzo blisko niego.

*

W święta wioskę zawsze przykrywał śnieg; czasem padało tak bardzo, że droga do wsi była zasypana przez kilka dni, droga w góry też. Wtedy godziny płynęły powoli przy kominku, piekło się kasztany, grało w karty albo w domino, albo walczyło się na śnieżki na łące przy pustelni. Robili szopkę w starym pudełku po owocach, z mchem i górą z kory; Guillén lubił robić owce z wełny, która zaczepiała się na płocie, i dodawał im nogi z patyczków. Pepe robił rzekę i jezioro ze sreberka od czekoladek. Na Boże Narodzenie zabijali baranka, a Lena zawsze płakała nad biednym zwierzakiem... Chociaż później chętnie się objadała podczas kolacji. W Wigilię dom pachniał ciasteczkami maślanymi, które jego mama piekla w piecu opalonym drewnem, a które dzieci pochłaniały ze szklanką gorącego mleka, gdy wracały, umierając z zimna, po kolędowaniu po całej wiosce. Chodzili od domu do domu, grając na bębenkach i tamburynach, i na pustej butelce po anyżówce, po której przesuwano się łyżką. Najgorsze było to, że zmuszano go, żeby służył do mszy na pasterce, więc zawsze straszliwie się nudził. Jednego roku złapał mysz w stajni, wsadził ją do kieszeni i podczas kazania wpuścił pod sutannę don Marianowi. Kiedy ten poczuł, że mysz wspina mu się po nogach, zaczął podskakiwać, jakby tańczył jotę. Było to przezabawne, chociaż ojczym porządnie go zlał kijem i do tego nie dostał prezentu. Lena pożałowała go i podzieliła się swoim, pudełkiem kredki. Po co mu kredki, skoro nie umiał rysować? „Oczywiście, że umiesz – powiedziała ona, wkładając mu kartkę w rękę – musisz tu tylko umieścić te góry, jakbyś je chował w pudełku, ułożyć je tak, jak je widzisz”. Wykorzystał zieloną kredkę, brązową, niebieską i żółtą. Narysował góry, jak kolorowe plamy, takie, jakimi je widział...

Guillén jednym ruchem wyrwał kartkę z kalendarza z numerem 25 wydrukowanym na czerwono. Zmiał ją i wyrzucił do kosza. Od wielu już lat nie obchodził Bożego Narodzenia. To absurdalne, że teraz sobie o tym przypomniał. To absurdalne, że jeszcze bolało... Mógł całymi dniami nie myśleć o matce ani o Lenie, ale kiedy myśl o nich przychodziła sama, niespodziewanie i przypadkowo, czuł ukłucie w piersiach. Nie była to tęsknota; to była wściekłość, niemoc. To nie ból go zadreęczał, ból rozpałał w nim gniew, wprawiał go w zły humor.

Może dlatego niechętnie przyjął Saula Lévy'ego; i jeszcze dlatego, że Saul Lévy zawsze wydawał mu się typem godnym lekceważenia. Był tchórzem najgorszego gatunku, z tych, którzy dla paru groszy sprzedałby własną matkę. Zawsze kręcił się przy takim drzewie, które rzucało najlepszy cień. Ostatnio został mianowany sekretarzem Zgromadzenia Ogólnego Izraelitów Francuskich, ZOIF,

organizacji utworzonej przez Vichy na polecenie rządu niemieckiego, która miała reprezentować Żydów w instytucjach państwowych. Dla Guillena była to tylko prymitywna pułapka na myszy, zastawiona przy aplauzie samych myszy.

Siedząc po drugiej stronie stołu w jego gabinecie, w płaszczu i z kapeluszem w rękach, bo Guillén nie poprosił go, żeby się rozgościł, Saul Lévy wyłuszczył mu powody wizyty.

– Przychodzę z domu madame Zaleskiej... – Przesunął dłonią po łysej głowie; chociaż był dość młody, niewiele starszy od Guillena, zostały mu ledwie cztery kosmyki włosów, które zaczesywał na jedną stronę, rozpaczliwie starając się ukryć przedwczesną łysinę. – Cóż, ta kobieta... – Zaśmiał się nerwowo. – Wiesz, to charakterna osoba.

Z jakiegoś powodu nie wydało się to Guillenowi komplementem, wręcz przeciwnie.

– Odmawia współpracy z ZOIF! Powinna zrozumieć, że nie możemy odtrącać ręki, którą rząd do nas wyciąga, że w tych trudnych chwilach trzeba współpracować, trzymać się razem. Ona, która należała do Komitetu Pomocy Uchodźcom, powinna rozumieć to lepiej niż ktokolwiek inny, powinna rozumieć, że nie sposób pomagać narodowi żydowskiemu za plecami rządu. – Podkreślał swoje słowa stukaniem palcem wskazującym w stół, co Guillena doprowadzało do szału. – Sam komitet scalił się w ZOIF z resztą żydowskich organizacji! Nie rozumiem, dlaczego madame tak się opiera... Może ty będziesz w stanie przemówić jej do rozsądku...

Guillén odchylił się na krześle, układając w głowie przemowę, która byłaby wystarczająco obraźliwa. Tak naprawdę miał ochotę wysłać Lévy'ego w diabły, po prostu wyrzucić go z gabinetu. Był jednak gotowy dać mu okazję do zastanowienia.

– Wydaje mi się, że madame rozumie te rzeczy znacznie lepiej, niż sobie wyobrażasz, i akurat ona należy do niewielu osób zdolnych zobaczyć rzeczy takimi, jakie one są. Madame nie daje się łatwo zauroczyć zaklinaczom węży bez skrupułów.

Lévy przewrócił oczami, udając bardziej obrażonego, niż był w rzeczywistości. To prawda, że był człowiekiem bez skrupułów, ale przy tej okazji Guillén nie odnosił się do niego, tylko do tej bandy z Vichy.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał, stając w defensywie.

– Chcę powiedzieć, że najprawdopodobniej madame nie wierzy w wyciągniętą rękę rządu, który jest tylko niemiecką marionetką; ani ona, ani nikt, kto widzi dalej niż czubek własnego nosa. Choć oczywiście mogę się mylić. A może ty, jako wysoki przedstawiciel kolaboracjonizmu, będziesz potrafił mi wyjaśnić, w jaki sposób wy, tam w ZOIF, usprawiedliwiacie prawa antysemickie, patrole, łapanki, masowe aresztowania i wywózkę.

– Och, Boże, co za demagogia! To są środki stosowane wyłącznie wobec obcokrajowców! We Francji nie ma problemu antysemityzmu, jest problem kontroli imigracji. Już na początku wojny staliśmy się workiem, do którego wpadły setki tysięcy uchodźców ze środkowej i wschodniej Europy. Francja nie jest w stanie przyjąć takiej fali emigracji! Rząd tylko stara się położyć kres nadużyciom: nielegalni obywatele i nielegalne interesy. Ci ludzie nie potrafią nic innego, tylko nam szkodzić, nam, francuskim Żydom.

Guillén był zdumiony jego pychą i ślepotą.

– Nie tylko obcokrajowcy, również siedmuset francuskich Żydów zostało aresztowanych kilka dni temu w Paryżu i tyle samo policja francuska aresztowała właśnie tutaj, w Lyonie, w naszym mieście, w tej tak źle nazwanej wolnej strefie, gdzie naiwnie wydaje nam się, że jesteśmy bezpieczni.

Lévy zaśmiał się złośliwie.

– Nie, oczywiście, że nie... To byli komuniści... To następny problem, z którym musi zmagać się Francja.

Guillén podparł się na krzesło; nie był w stanie dłużej się hamować.

– Słuchaj, Saul, jesteś durniem, jeśli sądzisz, że to kwestia klasowa czy walki prawicy z lewicą. Wszyscy, którzy z tą głupkowaną kastową dumą zgodziliście się prowadzić ZOIF, jesteście durniami, jeśli sądzicie, że wasze pieniądze i wasza pozycja społeczna pomogą wam uratować skórę. Dalej wpisujcie nazwiska do żydowskich stowarzyszeń, prowadźcie dzieci do domów dla żydowskich dzieci, dalej róbcie za nich brudną robotę. Pewnego dnia wezmą sobie te listy, które dla nich przygotowaliście, pojawią się w waszych domach i załadują was na ciężarówkę jadące do obozu, bo dla nich nie jesteście ani Francuzami, ani burżujami, ani ideologicznymi partnerami, jesteście wyłącznie Żydami.

Czerwony z wściekłości Saul Lévy gwałtownie wstał, przewracając krzesło.

– Bardzo się mylisz! To nie my jesteśmy problemem, tylko takie szmaty jak ty, przekłeci komuniści! Myślisz, że nie wiemy, że byłeś w Hiszpanii i walczyłeś po stronie republiki? – Guillén mógłby dodać, że miał legitymację PCE, ale Saul, plując słowami jak karabin maszynowy, nie dopuszczał go do głosu. – Tak, masz rację, byłem durniem, myśląc, że przemówisz hrabinie do rozumu, skoro to ty jesteś jadem, który ją zatruwa swoimi komunistycznymi i rewolucyjnymi mrzonkami. Wcześniej czy później przyjdzie jej drogo zapłacić z twojej winy i ty będziesz ją miał na sumieniu. I możesz być pewien jednego: nie dopuścimy do tego, żeby ludzie tacy jak ty nam szkodzili. Nie będzie wielu płaciło za ignorancję kilku buntowników, tobie podobnych. Tak, Guillenie Álvarez, sporo o tobie wiemy: ty też nie jesteś Francuzem ani burżujem, tylko komunistą i zdrajcą... A może uważasz, że nie wiemy o twoich mętnych machinacjach i o sabotażu, w który jesteś zamieszany w fabryce?

Guillén natychmiast zrozumiał zawołowaną groźbę. Z zaciśniętymi zębami

i pięściami starał się powściągnąć wściekłość, impuls, który nakazywał mu trzasnąć Lévy'ego w pysk.

– Chcesz mnie nastraszyć fałszywymi oskarżeniami, na które nie masz najmniejszych dowodów?

– Ty lepiej niż ja wiesz, że nie są fałszywe – prowokował go Lévy.

– Mylą ci się wrogowie, Lévy... Obyś nie musiał tego żałować.

Saul skierował się do drzwi i otworzył je wzburzony.

– Przyszedłem tu jako sojusznik, by prosić cię o współpracę dla dobra wszystkich, a w zamian otrzymałem obelgi i pogardę. Jeszcze zobaczymy, kto będzie żałował – zagroził mu, wychodząc i trzaskając za sobą drzwiami.

Styczeń 1942

Zachęcona przez Lenę Domi rozpoczęła pospieszną kampanię zbierania podpisów pośród przyjaciół, sąsiadów i znajomych, aby wystąpić o ułaskawienie Avelina. Jednocześnie uderzyła do wszystkich możliwych osób po rekomendacje: do brygadzysty męża w fabryce Trubia, do nauczycielki dzieci i dyrektorki przedszkola pomocy społecznej, wszystkich popierających Ruch.

– Właściciel domu, w którym służy moja córka, też przygotowuje rekomendację – opowiedziała Lenie pełna nadziei. – Jest kapitanem artylerii i dołączył do Arandy zaraz na początku powstania. To dobrzy ludzie i mają wpływy u góry. Kuzynka pani wyszła za oficera, który pracuje w Ministerstwie Obrony. Postara się przekazać rekomendację samemu ministrowi!

To była doskonała wiadomość, ale Lena nie mogła przestać zadawać sobie pytania, czy te wysiłki okażą się wystarczające. Domi też się tym dręczyła.

– Pewien dziennikarz z Gijón był uwięziony z moim mężem w zeszłym roku. Też skazano go na śmierć, a jego rodzina, bardzo ważna i dobrze ustosunkowana, dotarła do najwyższych sfer w Madrycie. Nawet jego syn zgłosił się na ochotnika, żeby pojechać do Rosji i oczyścić nazwisko ojca. Myślisz, że to coś pomogło? Akurat! Rozstrzelali go w listopadzie... – podsumowała przestraszona. – Mówią, że potrzeba pieniędzy, dużo pieniędzy... Jak ja mam je zebrać, skoro brakuje mi nawet na jedzenie?

Lena nie mogła spać w nocy, nadwyreżając głowę i sumienie. Sądziła, że jeśli się wypowiada, przyniesie ulgę udręczonemu sumieniu.

– Wyznaję, ojcze, grzech pominięcia... – wyszeptała przez drewnianą kratkę w stronę twarzy, której nie widziała.

– Pominięcia czego, córko?

– Pomocy bliźniemu. Kochania go jak siebie samego.

– Nasz Pan, Jezus Chrystus, daje nam żywy przykład miłości i poświęcenia dla bliźnich, a naszym obowiązkiem dobrych chrześcijan jest naśladować Go. Żałuj za swoje grzechy, a jako pokutę zmów trzy Ojcze nasz i dwie Zdrowaś Mario. *Ego te absolvo in nomine...*

Ale ani puste słowa duchownego, ani mechanicznie powtarzane modlitwy nie pomogły uzdrowić jej duszy. W końcu podjęła decyzję, którą musiała podjąć.

*

Fermín Pajares z satysfakcją przyglądał się sobie w lustrze. Delikatnie pogładził wąsy i obciągnął marynarkę. Lubił chodzić w uniformie, nadawał mu

powagi, władzy. Nie był to mundur wojskowy, nie znosił słuchać niczyich rozkazów (na wojnie dosłużył się tylko stopnia kaprała, a to dlatego, że nie miał szkoły). Cokolwiek by jednak mówić, to był mundur dowódcy Falangi, ze złotymi guzikami i naszywkami. Wkładał go zawsze, idąc do Delegatury Informacyjno-Śledczej w Gijón, zwykle popołudniami, bo z rana pracował jako adwokat. Nosił też mundur podczas uroczystości i oficjalnych spotkań, kiedy należało podkreślać swój status; dzięki własnemu wysiłkowi zdołał osiągnąć wysoką pozycję w społeczności Gijón, zwłaszcza po poślubieniu córki markiza, dodatkowo właściciela lokalnego banku. Tak mało ładna i nudna wydawała mu się małżonka, tak trudna do zniesienia w swojej głupocie, że często musiał przypominać sobie prawdziwy powód małżeństwa, bo pogardzanie nią i ciągle upokarzanie jej nie były dla niego wystarczającą rekompensatą.

Dzwonek telefonu wyrwał go z rozmyślań przed lustrem. Podeszedł do stołu i nacisnął guzik.

– Słucham, Angelines.

– Przepraszam, don Fermín, ale przyszła jakaś pani, która chce z panem rozmawiać, chociaż nie była umówiona. To panna Álvarez, Lena Álvarez.

Fermín uniósł brwi. Lena... Po tylu latach i tylu zdarzeniach... Po kilku chwilach milczenia zdołał przywołać w sobie odrobinę dawnych uczuć. Nie zastanawiając się, rzucił okiem w lustro, które odbiło jego idealny obraz.

– Proszę powiedzieć, żeby weszła – oznajmił do telefonu.

Lena mocno trzymała torebkę; miała lodowate ręce i ściśnięty żołądek. Posłała sekretarce wymuszony uśmiech, kiedy ta otworzyła drzwi i wpuściła ją do gabinetu.

Było to niewielkie pomieszczenie, o białych ścianach i podłodze z terakoty. Znajdowały się tam regał i proste biurko, dwa krzesła i lustro – wszystko pod czujnym spojrzeniem Generalissimusa i Josego Antonia rzucanymi z portretów. Nin przyjął ją, stojąc obok żółto-czerwonej flagi.

– Kochana Lena... – Miły, ale zimny, nie zrobił ani kroku do przodu; czekał, aż ona podejdzie. – Ileż czasu... Lata, prawda?

– Cześć, Nin. Jak się masz? – Krótco uściśnęła jego dłoń.

On mierzył ją wzrokiem z góry na dół, z lekkim uśmiechem.

– Nie tak dobrze jak ty, ale nie narzekam.

Lena włożyła swoją najlepszą sukienkę, która i tak wyglądała na starą i prostą; ozdabiał ją tylko medalik Santiny, prezent od Jaimego, jedyne skarby, jakie posiadała.

Czuła się bardzo niezręcznie, a on, wciąż milcząc i patrząc na nią obojętnie, niczego jej nie ułatwiał; choć prawdę mówiąc, Lena nie spodziewała się po nim innego zachowania. Chciała tylko wreszcie doprowadzić tę sprawę do końca. Spojrzała kątem oka na puste krzesło; chciałaby usiąść i żeby Nin też to zrobił, za

swoim biurkiem, tak żeby mebel ich oddzielał. Znajdowali się zbyt blisko siebie.

– Nin, ja...

– Proszę się do mnie zwracać Fermín – przerwał sucho. – Już nie jesteś dzieciakiem ze wsi.

Jego zachowanie zaczynało ją drażnić. Przecież jeśli ktoś mógł się czuć urażony, to raczej ona. Ta myśl dodała jej odwagi.

– Jasne... Czy don Fermín może być? – Nie ukrywała sarkazmu w tonie swojego głosu.

– Fermín wystarczy. Przecież jesteśmy starymi znajomymi...

Lena zdziwiła się, jak zwykle zdanie łatwo zmienia się w agresję seksualną, a może była już przewrażliwiona?

– Słuchaj... Fermín, nie będę owijała w bawełnę. Przychodzę poprosić cię o przysługę.

Po raz pierwszy szeroki uśmiech Fermina Pajaresa zmienił się w wąską linię. To niemożliwe, żeby miał aż tyle szczęścia.

– Wiesz przecież, kochana Leno, że z największą przyjemnością pomogę ci we wszystkim, co tylko będzie w mojej mocy.

– Tak naprawdę to nie jest przysługa dla mnie. Chodzi o męża mojej koleżanki – doprecyzowała, jednocześnie kładąc na stole list zawiadamiający o karze śmierci dla Avelina.

Lena wyjaśniła Ferminowi całą historię tego człowieka, zaczynając od zatrzymania po zakończeniu wojny w domu jakichś krewnych w wiosce w górach Picos de Europa, gdzie się ukrywał, aż wydał go któryś sąsiad, i kończąc na wyroku skazującym go na śmierć. Słuchał jej teatralnie poważny, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Jego żona zebrała już podpisy i rekomendacje na rzecz ułaskawienia. Ale ty, dzięki swojej pozycji i historii, jesteś wiarygodny i możesz wpłynąć na władze sądownicze. Twoja opinia, w której stwierdzisz, że oskarżony wykazuje skruchę i przejawia sympatię wobec Ruchu, mogłaby być decydująca dla odstąpienia od kary śmierci.

Fermín nie odpowiedział natychmiast. Westchnął. Przytaknął...

– Wiesz, ile próśb takich jak twoja mam na biurku? Nagle wszystkie czerwone mendy i glisty przymuszone przez okoliczności stały się dobrymi duszyczkami, obywatelami skruszonymi i nieszkodliwymi... Gdzie się podziały te płomienne przemówienia, krzyki „śmierć burżujom” i „niech żyje Rosja”, strzały z karabinów i wysoko wzniesione pięści? Teraz już nikt nie popełnił żadnej zbrodni, nikt nie zabił żadnego falangisty, żołnierza ani policjanta; nikt nie zrzucił bomb na kobiety, dzieci i starców w Oviedo, nie rozstrzeliwał porządnych ludzi przed drzwiami ich domów, na oczach dzieci; nikt nie palił kościołów ani nie mordował duchownych... Więzienia tego kraju pełne są biednych mężczyzn

i kobiet, niewinnych, których jedyną zbrodnią były lewicowe poglądy, jakich teraz najwyraźniej już się wyrzekli.

– Ale ten człowiek nie jest oskarżony o zbrodnie krwi! Nie zasługuje na karę śmierci!

– To w swoim czasie zweryfikował już sąd sprawiedliwym wyrokiem. Minęły wszak czasy Świętej Inkwizycji.

– Sprawiedliwym wyrokiem? Adwokat ograniczył się do uznania zarzutów prokuratora i poproszenia sądu o łaskę!

– No nie mów mi, że teraz znasz się też na prawie! Twoja opinia wydaje mi się co najmniej nazbyt śmiała. Wy, kobiety, nie powinnyście się mieszać w tak poważne sprawy.

Lena czuła, jak oburzenie rozpała jej szyję i policzki.

– To jest gruba przesada! – wybuchła, nie mogąc się pohamować. – Nie można rozstrzelać wszystkich z tamtej strony! Nie można rozstrzelać połowy kraju!

– Ciii... – Wziął ją za ręce i poklepał jej dłoń. – Spokojnie, kochana... Gdybym był innym człowiekiem, mógłbym wziąć te słowa za osobistą obrazę i obrazę Ruchu... Nie chciałbym myśleć, że wpadasz w pułapkę tych, którzy twierdzą, że tak naprawdę nikt nie pragnął tej wojny, że byliśmy tylko ludźmi z gorącymi głowami, którzy chcieli czegoś lepszego dla naszej zniszczonej ojczyzny, że nawet pragnienie większości nie legitymizowało naszego powstania narodowego. Nie, Leno, nie. Nie powtarzaj wynikających z żalu kalumnii kilku pokonanych. Zapewniam cię, że gdyby połowa kraju znajdowała się po przeciwnej stronie barykady, wojna ciągle by trwała.

To stwierdzenie wydało się Lenie upokarzające. Oburzona wysunęła dłoń z jego rąk.

– To oczywiste, że mi nie pomożesz. Nie będę więcej zajmować twojego czasu. – Ruszyła w stronę drzwi, ale on chwycił ją za łokieć.

– Nie powiedziałem, że ci nie pomogę. Powiedziałem tylko, że codziennie dostaję podobne prośby. Muszę mieć solidny powód, żeby twoja stała się priorytetowa... – Jego głos był przymilny, czuły.

Lena zmarszczyła czoło.

– Mówisz o pieniądzach, czy tak?

– Och, nie, na Boga! – Skrzywił się z niezadowoleniem. – Jakież to wulgarne, pieniądze. Poza tym wiesz, że tego mi nie brakuje... – Mocno chwycił ją za ramiona. – Pomogę ci wyłącznie przez wzgląd na naszą przyjaźń, Leno. Bo mam do ciebie słabość. – Zaczął gładzić jej kciuki. – Ale ty nigdy nie okazałaś słabości wobec mnie. Wręcz przeciwnie... Wariat i menda, to najlepsze słowa, jakimi mnie nazwałaś. Myślisz, że o tym zapomniałem? Pewnych rzeczy się nie zapomina, Leno. Mam śliczną ranę na szyi od noża tego dzikusa, twojego brata...

Lena pobladła.

– Ja nie...

– Nie, nie, nie, proszę, nie staraj się usprawiedliwiać. Nie chcę słuchać od ciebie żadnych wyjaśnień. Po tym, jak mnie skrzywdziłaś, przychodzisz do mnie po przysługę. Wielu ludzi mogłoby powiedzieć, że nie jesteś sprawiedliwa, ty, która tak wściekle domagasz się sprawiedliwości. – Fermín zaczął delikatnie gładzić jej włosy i wreszcie zawinął kosmyk na palcu wskazującym. Lena stała nieruchomo, bała się nawet oddychać. – Masz szczęście, że nie jestem człowiekiem mściwym. Jestem gotowy ci wybaczyć... Bo ja cały czas cię kocham. Daję ci słowo, że mimo wszystko nigdy nie przestałem cię kochać. I dlatego jestem skłonny zrobić dla ciebie wszystko, o co mnie prosisz. No dobrze, sądzę, że byłoby sprawiedliwie oczekiwać od ciebie niejakiej wzajemności. Żebym sobie nie pomyślał, że jesteś oportunistką...

– Wzajemności? – Ledwie zdołała wykrztusić to słowo.

Fermín w końcu ją wypuścił i podszedł do biurka.

– Oczywiście, kochana, nie tak trudno to zrozumieć. – Zapisał coś w notatniku, wyrwał kartkę i wsunął jej do torebki. – Przyjdź do mnie, pokaż, że cenisz mnie wystarczająco, żeby prosić o podobną przysługę, a ja napiszę taki raport z największą... przyjemnością.

Choć czuła, że brakuje jej słów, znalazła w sobie dość siły, żeby zareagować na tę obelgę.

– Ale... wydaje ci się, że kim ja jestem? – syknęła.

On uśmiechnął się i Lenie wydało się, że zobaczyła dwa ostre kły w kącikach jego ust.

– Ni mniej, ni więcej, niż okazujesz: kobietą gotową na wszystko, żeby osiągnąć cel. Przychodzą mi też do głowy mniej szlachetne słowa, które to określają...

Nie dając jej czasu na reakcję, Fermín uniósł słuchawkę telefonu.

– Angelines, panienska Álvarez już wychodzi. Proszę, odprowadź ją do drzwi.

Fermín Pajares rozsiadł się na krześle, czując mrowienie w całym ciele. Uśmiech nie schodził mu z ust. Od dawna nie czuł się tak zadowolony; z pewnością było to zasługą balsamu chłodnej zemsty, podniecającej i budującej.

Otworzył szeroko ręce, rozciągnął palce, następnie wziął czystą kartkę i ściągnął skuwkę złotego pióra, które sam sobie podarował na ostatnie urodziny. Sprawdził dane w liście, który zostawiła mu Lena, i zaczął pisać:

Jego Ekscelencja Audytor Wojskowy Asturii,

w odniesieniu do pisma nr 234.765, dotyczącego skazanego Avelina Garcii

Domingueza, mam zaszczyt przekazać następujące informacje:

Dokumenty przechowywane w delegaturze, przeprowadzone śledztwo i informacje publiczne oraz opinie ogólnie dostępne potwierdzają jednoznacznie aktywność socjalisty Avelina Garcii Domingueza, który nawet w więzieniu pojawia się na spotkaniach i uprawia propagandę o charakterze lewicowym, tak głęboko zakorzenione są jego marksistowskie przekonania. Rzeczony okazuje silną niechęć wobec naszego Chwalebnego Ruchu. Mając na uwadze dowiedzione czyny oraz wyrok wydany przez Sąd Wojskowy w Oviedo, jesteśmy przekonani o jego bardzo złym wpływie społecznym i politycznym, w związku z czym ten komisariat zdecydowanie zaleca wykonanie nałożonej kary.

Niech Bóg chroni Hiszpanię i Waszą Ekscelencję przez wiele lat

Gijón, 15 stycznia 1942. IV rok Zwycięstwa

Fermín Pajares przeczytał tekst ponownie. Wydał mu się wystarczająco zdecydowany w tonie. Lena się nie myliła: ten człowiek, nie mając na sumieniu zbrodni krwi, prawdopodobnie zostałby ulaskawiony, nawet bez zbyt wielu rekomendacji, a przez to jego niemoralne czyny pozostałyby bezkarne. Ostatnio w rządzie pojawił się prąd rewizjonistyczny, co skutkowało rosnącą liczbą ulaskawień podpisywanych przez Generalissimusa i utworzeniem Komisji Badania Kar, która miała doprowadzić do zmniejszenia liczby skazanych na kary więzienia. Mówili, że w jakiś sposób trzeba rozwiązać problem przepełnienia hiszpańskich więzień. To była wielka głupota! Jego zdaniem okazywano słabość charakteru, za którą przyjdzie drogo zapłacić. To wstydlive opuszczenie spodni. Najlepszym sposobem na zaradzenie przepełnionym celom byłoby rozstrzelanie wszystkich więźniów, a nie wypuszczanie elementów szkodliwych dla społeczeństwa, prawdziwych zgniłych jabłek, które mogą zaszkodzić kruchemu pokojowemu współzyciu.

Ponownie uniósł kartkę na wysokość oczu. On tylko wypełniał swój obowiązek.

Wezwał sekretarkę, która usłużnie pojawiła się w drzwiach.

– Proszę przepisać to na maszynie, zwrócić mi do podpisu i jeszcze dziś wysłać do audytora wojskowego.

*

Sytuacja pogarszała się z każdym dniem. Szczególnie na północy.

Codziennie docierały do nich wiadomości o aresztowaniach, zabójstwach zakładników i wywózkach do Niemiec. Ruch oporu był tam bardzo aktywny, coraz bardziej; represje również były coraz ostrzejsze. W Lyonie trzymali się propagandy i manifestacji; czterech ludzi na krzyż wykrzykujących hasła i machających plakatami przed kordonem policji i obojętną publicznością. W opinii Guillena sytuacja wymagała bardziej zdecydowanych działań. Coraz częściej zatrzymywano Żydów, komunistów i innych, uważanych za wrogów państwa, których zamykano w obozach internowania; nacjonalizowano coraz więcej żydowskich przedsiębiorstw; wciąż zmniejszano racje chleba, mięsa i mleka; zasądzano coraz wyższe kary za działania antyrządowe. Wolna strefa była coraz mniej wolna; rząd Vichy był tylko przedstawicielstwem Berlina, a policja francuska kolejnym narzędziem Gestapo. Guillén ciągle naciskał na grupę, żeby zrobić krok naprzód w działaniach ruchu oporu. Jemu, który z taką łatwością poruszał się po przeciwnej stronie linii frontu podczas wojny w Hiszpanii, wachlarz możliwości jawił się jako bardzo szeroki: od aktów przemocy na ulicach do sabotażu na liniach transportu i komunikacji. Reszta nie była jednak gotowa do poświęcenia działań propagandowych na rzecz innych, bardziej niebezpiecznych. „Ja to zrobię – powiedział André. – Jeśli grupa dostarczy mi infrastrukturę, ja będę ramieniem wykonawczym i przyjmę na siebie całą odpowiedzialność”. Guillén myślał o wrzuceniu materiałów wybuchowych do Biura Przedstawicielstwa Niemieckiego; nie muszą być mocne, wystarczy, że potłuką szyby, wzniecą dym, wywołają panikę i chaos na kilka minut. Początek...

– Jesteś dziś bardzo cichy...

Guillén spojrzał na madame. Światło było bardzo słabe, bo dla oszczędności prądu wykręcono większość żarówek z wielkiego żyrandola. Mimo to dostrzegł uśmiech na jej pomarszczonej twarzy, jedyną przyjemną rzecz w tej zimnej jadalni, ogromnej, wypełnionej echem dawnych, lepszych czasów.

Włożył łyżkę do talerza i uniósł ją do ust. Zupa już była zimna.

– Zwykle też niewiele mówię – przyznał.

– Rzeczywiście. Tak naprawdę chciałam powiedzieć, że wydajesz mi się zmartwiony. Prawie nic nie jesz, no i, nie możesz siebie zobaczyć, ale masz nieustannie zmarszczone czoło.

Odwzajemnił jej uśmiech.

– Jestem okropnym kompanem.

– Cóż, aż tak bardzo bym nie przesadzała. W każdym razie milczącym, ale przynajmniej jesteś towarzystwem. Wolę twoje towarzystwo niż samotne przesiadywanie w tym wielkim, ciemnym domu.

Guillén zwykle nie jadał kolacji w domu. Często zostawał w fabryce, pracując do późna, albo spędzał noc z Julie w hotelowym łóżku. To była rzadka okazja, która bardzo ucieszyła hrabinę. Było jej przykro, że nie jest w stanie

odgadnąć jego zmartwień. Oczywiście nie miał zamiaru wtajemniczać jej w swoje niszczące plany. Chociaż hrabina popierała każdy przejaw oporu wobec Niemców i marionetkowego rządu, Guillén nie chciał mieszać jej w to ani niepokoić. W każdym razie postanowił się poprawić.

– Jestem tylko zmęczony. Dzisiaj był ciężki dzień. Znowu mieliśmy nieprzyjemną wizytę jakiegoś szarogęszącego się Niemca z Komisji Kontroli Uzbrojenia i jego francuskiego pieska.

Hrabina spojrzała na niego zaniepokojona.

– Czy nie...

– Och, nie, nie. To samo, co zwykle. Przyjeżdżają, żeby spisywać swoje szczegółowe raporty na temat tego, co mamy w magazynach, jaka jest nasza zdolność produkcyjna, sytuacja siły roboczej, dostawcy, kontrakty... I jak zwykle marudzili na zbyt długi czas dostawy. I nic ich nie obchodzi, kiedy im wyjaśniam, że nie mogę go skrócić, skoro nie mam wykwalifikowanych pracowników, bo nie żyją, są inwalidami, siedzą w ich obozach jenieckich albo, co gorsza, są w Niemczech i pracują dla nich. Ani że nie mogę montować samolotu, dopóki nie mam części, które też są wykonywane późno i źle, bo nie ma dość surowca ani nie będzie, dopóki oni będą wszystko wywozić do Niemiec. Że nie ma węgla, a bez węgla nie ma stali. Że transporty przez linię demarkacyjną to koszmar. Że wymiana marki na franka po złodziejskim przeliczniku niszczy moje finanse. Że z powodu coraz ściślejszej reglamentacji robotnicy coraz częściej są głodni i produkują coraz mniej. I tak dalej, i tak dalej.

– Nie mówili nic o żydowskich robotnikach?

– W papierach nic nie ma o tym, że są Żydami, zająłem się tym.

Weszła służąca, żeby zabrać talerze po zupie i podać im drugie danie: nieduży kotlet z ziemniakami i gotowanym groszkiem; na wielkim porcelanowym talerzu porcja wydawała się jeszcze mniejsza.

– Monsieur Martin, rzeźnik, załatwił mi trochę dodatkowej cielęciny – powiadomiła go hrabina. – Przywozi ją jakiś jego kuzyn, który hoduje woły, więc nie podchodzi pod reglamentację.

Guillén wiedział, że został szczególnie obdarowany. Dlatego choć nie był wcale głodny, zjadł ze smakiem.

– Bardzo dobra.

– A... reszta? – hrabina wróciła do rozmowy.

Guillén wzruszył ramionami i przełknął, żeby odpowiedzieć:

– Nic. A co oni mogli powiedzieć?

Madame podparła się lekko na stole i wyszeptała:

– Że przed tygodniem silnik zapalił im się w locie? Że w zeszłym miesiącu skończyło się paliwo w połowie drogi? Że następny samolot wszedł w korkociąg w wyniku usterki steru, a jeszcze inny przewrócił się na pasie startowym?

– Tak, to prawda, że wypadkowość jest nieco wysoka. – Uśmiechnął się złośliwie. – Ale nikt nie jest w stanie dowieść, że takie zdarzenia nie są wynikiem zbiegu okoliczności. Mogę zapewnić, że to robota – pokazał palcami cudzysłów – znakomicie wykonana.

– W to nie wątpię, ale... Zaczynam się niepokoić, Guillén. A jeśli wizyta inspektora nie była rutynowa?

– Oczywiście, że była. Odwiedza nas od dwóch lat. Wcześniej przyjeżdżał nawet raz w tygodniu, a teraz pojawia się rzadziej.

– Nie wiem... Słuchaj, nic ci nie mówiłam, ale wczoraj był tu Saul Lévy.

– Ten szczur? – Mina mu zrzedła.

– To jest bardzo niebezpieczny szczur. Insynuował mi, że coś wie...

Guillén opuścił sztućce i popił wino, żeby utopić w nim wspomnienie Saula Lévy'ego.

– Mnie też to insynuował. Ale to gaduła. Nic nie wie, bo niby skąd miałby wiedzieć.

– Gdybym mogła być tego pewna – powiedziała hrabina, kręcąc głową. – Tyle rzeczy wymyka się spod naszej kontroli... Jakiś robotnik, któremu alkohol rozwiązał język i coś tam chlapanął w tawernie, wzgardzony członek związków zawodowych...

– Nie... Dopuszczeni do tajemnicy są tylko ludzie, do których mam pełne zaufanie.

– W każdym razie... Zaczynam myśleć, że lepiej będzie to zostawić. Ryzyko jest zbyt duże. Coraz większe.

– Wiem... Ale co ja mogę robić poza narażaniem się? Pani to co innego... – sugerował, jak zwykle, kiedy mógł.

– Och... – odpowiedziała z westchnieniem rozpacz. – Wykorzystasz każdą okazję, prawda? Aż za dobrze wiesz, że nigdzie się stąd nie wybieram, choćbyś nie wiem jak nalegał. Nie mam zamiaru zostawić syna, domu ani kraju. Będzie tak, jak jest. I nie próbuj mnie przekonywać, że zawadzam – dodała, jak zawsze uparta.

Guillén nie miał zamiaru wszczynać kolejnej sprzeczki na ten temat. Rozparł się na krześle i podniósł kieliszek.

– Niech tak będzie.

Wypił wino z rozkoszą. Tak, to był bardzo długi dzień. A następny będzie jeszcze dłuższy.

*

Nic nie jest warte tyle, ile życie. Lena powtarzała to sobie do upadłego, jak uspokajającą litanie, kiedy wreszcie obeschły łyzy niemocy zalewające jej oczy

i umysł.

Powtarzała to sobie przed drzwiami tego hotelu dla letników w jakiejś małej nadmorskiej miejscowości, który wcale nie był mroczny, chociaż tak jej się wydawało, bo od jakiegoś czasu widziała wszystko przez pryzmat strachu i obrzydzenia. Weszła ze zwieszoną głową i wyszeptała w recepcji fałszywe nazwisko; w zamian otrzymała numer pokoju i spojrzenie dezaprobaty.

Przypominała sobie całą tę scenę fragmentami: wąskie schody ze stopniami, które wydawały jej się ogromne; numerki tańczące nad drzwiami; Fermín po drugiej stronie. Jeśli powiedział jej coś na powitanie, nie usłyszała tego. Szkoda, że nie straciła przytomności w tamtej chwili.

– Okropnie wyglądasz...

– Przykro mi – wychrypiała. – Miałam kilka złych dni... Mój ojciec jest w szpitalu...

– To znakomicie... Wydaje mi się, że zasługuję na coś więcej niż szary kwiatek ubrany w tanią sukienkę – powiedział, obserwując ją, jakby była sztuką bydła. – Mogłaś się chociaż trochę umalować.

Nie umalowała się specjalnie: czerwone usta i rumiane policzki; wyglądać jak dziwka i zachowywać się jak dziwka. To była ostatnia rzecz. Na tę myśl łzy znów napłynęły jej do oczu. Zrobiła się jeszcze bardziej nerwowa, obiecała sobie, że nie będzie płakać.

– Co, kurwa?! Niech ci nie przyjdzie do głowy ryczeć! Chcesz, żebym się źle poczuł? Jesteś tu, bo tego chciałaś, nikt cię do tego nie zmuszał. Jeśli o mnie chodzi, możesz spadać, skąd przyszedłaś. Zapewniam, że jak cię taką widzę, to mi się odechciewa.

Lena natychmiast otarła łzy.

– Nie, nie. Jest w porządku, w porządku. Tylko... jestem trochę zdenerwowana. – Próbowała zmusić się do uśmiechu, ale wyszedł jej dziwny grymas.

– Ty nerwowa? Nie mów mi, że to twój pierwszy raz...

Spuściła wzrok, zawstydzona.

– Popatrz, popatrz... – Uśmiechnął się zadowolony. – Czyli że to mnie kopnie ten zaszczyt, co? To ci niespodzianka... – Dotknął jej. Delikatnie. Tylko koniuszków włosów. – A ja myślałem, że jesteś kurewką tego czerwonego bezwstydnika... Czyli że ptaszek jest zalękniony...

Powolnymi ruchami wyciągnął jej torebkę z rąk i płaszcz, niemal uprzejmym gestem. Odłożył je na krzesło, podszedł do niej i nie tracąc czasu na słowa, pocałował ją w usta. Lena zeszywniała. Poczowała znowu, że zaraz się rozplacze, ale zdusiła to w sobie. Nie musiała się szczególnie wysilać, bo łzy szybko znikły wobec chorobliwego obrzydzenia, które wzbudzał w niej język Fermina wpychający się w usta i ten zapach, który nie był zły, ale po prostu był jego, a więc

nieprzyjemny.

– Cholera... To jak całować jebaną ścianę – kłął między zębami. Bez wielkiego machania rękami, nawet nie odsuwając się od niej i nie zmieniając wyrazu twarzy, chwycił ją za szyję i zaczął przyduszać pod brodą. – Albo zmienisz nastawienie, albo cię do tego zmuszę. Nie mam zamiaru tracić tutaj czasu na rżnięcie trupa.

Puścił ją i wściekły odszedł kilka kroków. Lena pomasaowała sobie bolącą szyję, dysząc, łapała powietrze.

– Rozbieraj się.

Spojrzała na niego przerażona.

– Rozbieraj się.

Ręce tak bardzo się jej trzęsły, że nie potrafiła rozpiąć guzików, a jednocześnie rozkazywała sobie w myślach, żeby nie płakać. Z zaciśniętymi ustami powoli ściągnęła zakiet, spódnicę, bluzkę pod sztywnym spojrzeniem Fermina. Gdy doszła do bielizny, zatrzymała się.

– Dalej.

Więc dalej się rozbierała. Zrobiło się jej zimno w tym nieogrzewanym pokoju; miała gęsią skórkę, coraz bardziej drżała. Zdjęła pończochy. Znowu przestała.

– Ściągaj wszystko, do cholery! Co ty rozumiesz przez rozbieranie się?

Nigdy w życiu nie czuła się tak upokorzona, jak wtedy, gdy wystawiała piersi i krocze na lubieżne spojrzenie tego dzikusa. On wybuchnął śmiechem.

– W końcu nabrałaś rumieńców! A czego ja miałem nabrać... Świetnie się zabawimy, Leno. – Cieszył się, ściągając spodnie i wyciągając z nich pasek.

Twarz lśniła mu od potu, kiedy rozkazał jej sucho:

– Na czworaka.

Lenie trzęsła się broda.

– Że... co?

– Na czworaka, jak suka, dziwko!

I uderzeniem w twarz przewrócił ją na podłogę.

Nic nie jest warte więcej niż życie...

– Nic nie jest warte więcej niż życie – wyszeptala w poduszkę zaplamioną krwią.

Bolały ją usta, gdy mówiła. Ale ledwie jęknęła. Leżała cichutko na materacu, ciało obolałe od ciosów i poranione plecy; nie była w stanie znieść nawet dotyku prześcieradła. To było bez znaczenia. Już się skończyło. W końcu została sama. Fermín poszedł sobie. Z niedopiętymi spodniami rzucił, że „idzie po inne dziwki, chętniejsze i tańsze”.

Upokorzył ją, bił, chłostał, penetrował aż do bólu... Ale koszmar już się

skończył. Może... A może jedynie się zaczął.

Z bólem podparła się, żeby zapalić światło w pokoju. Zebrała rzeczy i przykryła się płaszczem. Na końcu korytarza była łazienka. Chciała tylko zmyć z siebie brud, szorować skórę aż do krwi; szkoda, że nie mogła jej zmienić jak wąż. Bo nie było wody, która mogłaby oczyścić jej duszę.

Chciał zły los, że gdy dotarła do domu, już w nocy, wlokąc nogi i duszę, czekał na nią w skrzynce list od Jaimego Aranzadiego. Wybuchła histerycznym płaczem, drąc go na kawałki. Nigdy więcej do niego nie napisała. Teraz była kobietą brudną, naznaczoną hańbą i wstydem.

Luty 1942

Rozstrzelano Avelina Garcię na cmentarzu San Salvador w poranek deszczu i słonej mgły.

Domi nawet nie płakała. Czowała tylko nienawiść. „Wszyscy niewinnieni oprócz niego. Adwokat mówi, że Delegatura Falangi z Gijón przedstawiła bardzo złą opinię o Avelinie... Coś ci powiem, wszyscy mogą wypierdalać w chuj: trzydzieści lat w więzieniu też by go zabiło. Teraz odpoczywa, wolny od tego pieskiego świata. Ale moje dzieci nigdy nie zapomną, kto zabił ich ojca”.

Lena też czowała tylko nienawiść pulsującą jej w skroniach. Nienawiść, która ją oszołomiła, sprawiła, że oniemiała i straciła rozum. Która zaprowadziła ją, nieświadomą własnych czynów, do domu, gdzie Pepe trzymał pistolet pomiędzy koszulami. Jej jedyną myślą było zabić Fermina Pajaresa, delegata Falangi, zastrzelić go z zimną krwią, twarzą w twarz, patrzeć mu w oczy i napawać się jego śmiercią.

Wzięła pistolet, potrzywała go w rękach, tak lekki i nieznaczący. Przyglądała mu się dłuższą chwilę. Tak łatwo byłoby nacisnąć spust. Tak łatwo byłoby wyrzucić z siebie całą wściekłość...

– Lena!

Domi ze zdumieniem patrzyła na Lenę, której jedyną reakcją na wiadomość o śmierci Avelina było kompletne milczenie. Jak gdyby nigdy nic wstała z miejsca i poszła sobie, mimo nawoływań Domi. Jakby nagle postradała zmysły. Postanowiła pójść za nią, kluczyła między ludźmi, podczas gdy ona szła bez wahania. Wołała ją bez skutku. Zdecydowanie Lena oszalała.

– Co robisz?

Lena odwróciła się przestraszona. Popatrzyła na Domi. Później na pistolet w swoich rękach. Wydawało jej się, że obudziła się z koszmaru, przestraszyła się i odrzuciła go na podłogę. Pistolet wypalił, upadając. Obie kobiety krzyknęły.

– Matko Boska! Ale o co...?

Wtedy Lena wybuchła płaczem. Domi ją przytuliła.

Wrzesień 1942

Dom był pogrążony w ciszy, jakby spał w wieczór po pięknym letnim dniu. Ciężkie tchnienie wiatru wstrząsało firankami, półmrok osłaniał rany. Guillenowi przypomniały się dawne czasy, kiedy w salonie stały kwiaty, a z kuchni dobiegał zapach ciasta i świeżo mielonej kawy. Louise, Delphine i on wchodzili ze śmiechem, jeszcze mokrzy po kąpieli w basenie, zostawiając za sobą stróżkę wody na podłodze, na którą majordom patrzył z dezaprobatą. Radosna wrzawa przedwojnia jeszcze zdawała się rozbrzmiewać pomiędzy szklanymi łzami lampy.

Nagły atak kaszlu przerwał tę magiczną chwilę. Kiedy Guillén doszedł do siebie, zapachy się ulotniły, postaci rozplynęły się w powietrzu, a śmiech już nie wstrząsał szklanymi łzami. Wspierając się na poręczy, wspinał się po schodach powolnym krokiem staruszka. Zmęczony.

Wszedł na ostatnie piętro i skierował się do pokoju na końcu korytarza. Zza przymkniętych drzwi słychać było recytujący głos hrabiny. Zapukał i nie czekając na odpowiedź, wszedł do środka.

Mimo że bywał w tym pokoju wielokrotnie, nigdy nie przyzwyczał się do ostrego światła: chociaż promienie słoneczne ciągle wpadały przez na wpół otwarte okna, lampy były zapalone. Na suficie, na stolikach, na biurku. To był jedyny pokój w domu, gdzie nie wykręcono żadnej żarówki, wszystkie lśniły dzień i noc.

Hrabina szybko rzuciła na niego okiem znad książki, uśmiechnęła się i powróciła do głośnej lektury. Nieruchomy na swoim krześle naprzeciw okna, Armand wydawał się uważnym słuchaczem, chociaż na jego zdeformowanej twarzy nie pojawił się nawet cień emocji. Hrabina czytała *Nędzników*, którzy zawsze byli jego ulubioną książką.

Guillén usiadł obok niej. Zamknął oczy i pozwolił się ponieść opowieści w pięknej francuszczyźnie madame, z jej charakterystyczną wymową nosowego „a”. Czytała aż do końca rozdziału:

– „Mam na imię Mariusz. A pani?” „Ja nazywam się Kozeta”. – I powoli zamknęła książkę.

Guillén napawał się ciszą; tylko ptaki ćwierkały w ogrodzie.

– Mam nadzieję, że to nie z mojego powodu przerwała pani lekturę.

– Nie. Czytam od jakiegoś czasu i już się zmęczyłam.

Podszedł do stolika i nalał jej szklankę wody. Zobaczył obok dzbanka pudełeczko z maścią na bazie oliwy i migdałów, którą hrabina smarowała ręce i ramiona syna, oraz tacę z nietkniętym obiadem; prawdopodobnie starsza pani spędziła tam cały dzień. Podał jej szklankę. Ona podziękowała mu czułym uśmiechem.

– To ciekawe... – powiedziała, wypiwszy. – Armand nigdy nie lubił Kozety.

Uważał, że to najsłabsza postać w całej historii: tak dobra, tak miła, tak doskonała... Nudna, mówił. Zapewniał, że na miejscu Mariusza wybrałby Eponinę. Coś takiego...

– Ja bez wątpienia wybrałbym Eponinę. Poza jej alkoholowym głosem, bo nie lubię kobiet o głosie starego marynarza – zażartował. – Ale zgadzam się z Armandem, wydaje mi się, że Eponina jest znacznie bardziej interesującą postacią. Jest odważna, zdecydowana i ma dobre serce, potrafi pokonać własne błędy i własną przeszłość.

Madame poklepała go po kolanie.

– Zawsze mówiłam, że wy dwaj świetnie byście się dogadali.

Guillén spojrzał na Armanda. Już od dawna nie robił na nim wrażenia jego wygląd, przyzwyczał się do niego i teraz widział w nim człowieka bardziej zniszczonego w środku niż na zewnątrz. To wzbudzało w nim największy żal; to było tragiczne. Kiedy w Hiszpanii leciał breguetem z karabinem w rękach i musiał strzelać na ślepo pośród serii wrogich kul, myślał o Armandzie, o jego zmasakrowanym ciele i pustej duszy. To wtedy zdał sobie sprawę, do jakiego stopnia nieobecna postać przykładnego syna była dla niego przykładem.

– Chociaż nie podobałoby mi się, gdyby któryś z was pojawił się w domu z taką Eponiną – nagle ironicznie przyznała madame. – Na synową wolę Kozetę, poprawną i kojącą.

Guillén uniósł brew.

– Nie wierzę... Więcej ma pani z Eponiny niż z Kozety. Uważam nawet, że ma pani więcej charakteru niż one obie razem wzięte. Mimo upływu lat jeszcze dziś skręca mi się żołądek, kiedy mam z panią dyskutować...

– A więc po to przyszedłeś – zauważyła przebiegle hrabina.

Guillén westchnął.

– Nie... Nie przyszedłem dyskutować. Dziś nie będzie dyskusji, nie mogę sobie na nią pozwolić. Decyzja została podjęta. Sprawa załatwiona.

Madame spojrzała na niego bardziej zaintrygowana niż oburzona.

– Naprawdę?... A co to za decyzja, nad którą nie mogę dyskutować?

– Wyjeżdżacie. Oboje. Armand i pani. Wszystko jest już przygotowane. Zorganizowałem lot na czwartego listopada, specjalnym samolotem, ze wszystkim, czego Armand potrzebuje do podróży. Macie też wizy, czekają, aż podpisze pani dokumenty. Polecicie do Portugalii. Dawny wspólnik pani męża ugości panią w willi w Estoril tyle czasu, ile będzie trzeba. I nie przyjmuję do wiadomości odpowiedzi odmownej. Sytuacja zaczyna się wymykać spod kontroli. Coraz więcej ludzi jest aresztowanych, robi się coraz bardziej niebezpiecznie. Zabierają dzieci, kobiety, całe rodziny. Wiemy, że na północy pociągi pełne Żydów wyjeżdżają w kierunku Niemiec. Wpychają ich do wagonów bydłowych, tłukąc kolbami, a tych, którzy się opierają, zabijają na miejscu. To szaleństwo niedługo dotrze do strefy

nieokupowanej. Odkąd ta kanalia Darquier zastąpił Vallata w Komisji do Spraw Żydowskich, prześladowania są coraz gorsze i coraz bardziej jawne. Teraz chcą zmusić wszystkich Żydów do noszenia gwiazdy na ubraniu, jak w strefie okupowanej. To zaledwie pierwszy krok do zamknięcia ich w obozach, francuskich czy zagranicznych, to już bez znaczenia. Niewiele trzeba, żeby SS zaczęło patrolować ulice Lyonu, a Gestapo pozbyło się hamulców. To, co się zdarzyło na Vélodrome d'Hiver, to zaledwie początek...

– Nie będzie mnie gościł. Porządnie mu zapłacę za wynajem. Ani mój syn, ani ja nie jesteśmy uchodźcami, którzy potrzebują miłosierdzia.

Guillén wygłosił swoje przemówienie niemal bez przerwy na oddech, żeby nie dać madame najmniejszej szansy na wtrącenie swoich trzech groszy. I dalej miał zamiar ją przekonywać, jeden argument za drugim, a miał ich dziesiątki. Jednak te niespodziewane słowa zaskoczyły go.

– Że jak?

– No przecież mówiłeś, że nie będziesz ze mną dyskutował. Ale wiesz, że to jest niemożliwe.

– Ale... pojedzie pani?

Madame nie odpowiedziała od razu. Pochyliła się nad Armandem i pogładziła go po pomarszczonej twarzy.

– On walczył za Francję. Wygląda tak, bo bronił tego kraju, swojego kraju, tego samego, który teraz go prześladowuje, który zwraca się przeciwko niemu jak wściekły pies.

– To już nie jest ten kraj, za który on walczył. Gdyby w tej chwili doszedł do siebie, nie rozpoznałby go.

– A jeśli nie wytrzyma podróży?

– Sądzę, że w bydlęcym wagonie jego szanse nie będą większe. Poza tym... co by z nim zrobili w Niemczech, z człowiekiem, który nie jest w stanie nie tylko pracować, ale nawet zająć się samym sobą?

Hrabina zadrżała.

– A ty? Dlaczego nie jedziesz z nami?

– Ktoś musi się zajmować fabryką i pilnować, żeby to było jej nie rozszabrowało.

Przemilczał otrzymaną tego poranka formalną skargę Komisji Kontroli Uzbrojenia na liczne usterki dostarczanych jednostek. Ponadto zawiadamiali go o wyczerpującej kontroli ze strony ekipy ekspertów Wehrmachtu. Jego pierwszą troską było to, jak wyciągnąć z magazynu drukarnię André Bourdaina...

– To niebezpieczne. Wszystko, co robisz, jest niebezpieczne.

– Dam sobie radę. – Uśmiechnął się, żeby ją uspokoić. – Nie jestem Żydem.

– Jesteś komunistą. Uważasz, że jesteś od nas lepszy? – odpowiedziała sarkastycznie.

Wzruszył ramionami.

– Wiem, wiem... – ustąpiła w końcu madame. – Ty urodziłeś się, żeby walczyć, Guillenie Álvarez. Gdybym była tobą, też bym to zrobiła. Poszłabym z Mariuszem na barykady z krzykiem *Vivre libre ou mourir* – zacytowała zawołanie rewolucyjne, głaszcząc książkę Victora Hugo.

– *Vivre libre ou mourir...* żyć wolnym albo umrzeć – powtórzył, ze wzrokiem utkwionym w syna hrabiny.

Guillén zamrugał. Znużenie płatało mu figle: zdawało mu się, że Armand kiwnął głową.

*

Lena czuła się winna tego, że tak myśli. Była jednak pewna, że gdyby choroba jej ojca nie postępowała, skoczyłaby do wąskiej studni o gładkich ścianach. Obowiązek siedzenia przy nim, zajmowania się nim i towarzyszenia mu w tych, jak była przekonana, ostatnich dniach, zmusił ją do wzięcia się w garść i spojrzenia przed siebie. Hańba i wstyd zmieniły się we wrzody, które przynajmniej przestały krwawić.

Wraz z nastaniem ładnej pogody Ramón jakby dochodził do siebie. Wypisano go ze szpitala i zalecono kąpiele słoneczne i dobre odżywianie. Lena co rano wyprowadzała go na podwórze. Zdobyła leżak, na którym kładła go porządnie otulonego kocem, naprzeciw jabłonki już obsypanej kwieciami. Najbardziej jak się dało naciągała budżet, żeby zdobyć jakieś wartościowe produkty na czarnym rynku, i dzięki podwójnym kartkom, które dostawali za ochotnicze wstąpienie Pepegó do Błękitnej Eskadry, karmiła ojca jak króla: kurczak, cielęcina, świeża ryba, owoce i warzywa z własnego ogródka.

Mimo to jej wysiłki okazały się bezskuteczne. W końcu sierpnia, kiedy Matías wrócił z obozu Frontu Młodzieży i po tygodniu burz i chłódów, stan zdrowia ojca nieodwracalnie się pogorszył. „Nic się nie da zrobić – stwierdził lekarz. – Ma za słabe serce, zalane płuca i wysiadają mu nerki”. Nawet nie zabrali go do szpitala; Lena zdecydowała, że nie będzie umierał pośród obcych.

Przez całą noc nie odeszła od jego łóżka; już prawie nie oddychał, rzęził w agonii. Lena pragnęła tylko, żeby zatrzymało mu się serce i skończyło jego cierpienie. Nad ranem dostał ostatnie namaszczenie, a potem podano mu morfinę, pozwalając, żeby zasnął. W salonie grupka sąsiadek w żałobie odmawiała tajemnicze bolesne różańca, jednostajnym szeptem jak szemrzący strumień. Renata, która kilka dni wcześniej przyjechała z Leonu, podawała im kawę z ciasteczkami. Milczący Matías siedział sam w kącie, z różańcem zwisającym w dłoni i z oczami utkwionymi przed siebie, smutny i zmęczony.

Ramón poruszył się niespokojnie, rwał mu się oddech. Lena pochyliła się nad nim i poprawiła mu poduszkę, a on chwycił ją za rękę.

– Lena... córeczko... – Jego głos był ledwie słyszalny.

– Nie mów, ojcze. Nie męcz się...

Chciała dać mu pić, ale Ramón odmówił.

– Słuchaj... Otwórz szufladę... Stolika...

Posłuchała. W środku było mnóstwo rzeczy.

– Biblia Balbiny... Weź ją... Ciebie zawsze najbardziej kochała...

Lena wzięła Biblię obłożoną w skórę ze srebrną skuwką, jedwabną wstążką, złotymi krawędziami i pięknymi kolorowymi obrazkami.

– A Guillén... On jest zagubiony... Nigdy by jej nie docenił...

Lena była tak wzruszona, że obawiała się przemówić, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Ja ją podarowałem Balbinie... Nie była... głęboko wierząca... Ale na niej... na niej nauczyła was czytać...

Ramón chwycił powietrze, które nie docierało do płuc. Przy każdym oddechu całe ciało przebiegał dreszcz.

Lena uniosła wzrok znad Biblii.

– Wiedziałeś? Wiedziałeś, że ona nie...?

– Wszystko wiedziałem... Ona... Ona mi opowiedziała. – Uśmiechnął się z wysiłkiem. – Wiara... nie ma nic wspólnego... z dobrymi... z dobrymi ludźmi...

Znowu się dusił. Lena bezsilnie położyła mu rękę na piersiach, które charczały i trzęsły się jak stary silnik. Ramón miał tyle do powiedzenia... Lena przysunęła się, żeby go posłuchać.

– Jestem... bardzo dumny... ze wszystkich swoich dzieci... Wszystkich... Jej to zawdzięczam... Wychowała was... jak matka. A ty... Lena... – Delikatnie ścisnął jej rękę. – Ona mówiła, że jesteś szczególna... Rozum i serce... w doskonałej równowadze... To prawda... – Spojrzał na nią z czułością. – Ale dbaj o serce... Leno... Jest najsłabsze... I najcenniejsze... Bez serca... nie ma nic... Nie pozwól mu stwardnieć... Zachowaj... współczucie... szczodrość... odwagę... Niech smutek... uczyni je... silnym i... wielkim.

Ramón zamknął oczy wyczerpany. Lena pocałowała go w czoło. Od kilku chwil łzy płynęły jej niepohamowanie po policzkach. Oparła głowę na ramieniu ojca. Na zewnątrz rozbrzmiewały żałobna litania i deszcz bijący o szyby.

Listopad 1942

Wszystko zaczęło się od spotkania w hotelu Paris w Tuluzie. Generał Carayon był szefem sztabu lotnictwa; człowiekiem lojalnym wobec Vichy... początkowo. Kiedy Guillén zapytał go, jaki ma związek z grupą oporu Combat, opisał siebie jako kogoś, kto próbuje pogodzić poglądy antynazistowskie, antykomunistyczne i antygaulloowskie. „Działam w cieniu na rzecz naszej sprawy, pod przykryciem swojego stanowiska...” Cokolwiek robił, Carayon był dowódcą Armanda podczas wielkiej wojny, więc kiedy Guillén poprosił go o pomoc, bez wahania się zgodził. „Ten chłopak to jeden z najodważniejszych ludzi, jakich miałem pod swoim dowództwem”, powiedział o Armandzie. Podczas tego spotkania omówili sposób ucieczki hrabiny i jej syna. Najważniejsze było, żeby ich samolot opuścił terytorium kontrolowane przez Vichy i przez Niemców.

Na początek generał oddał do ich dyspozycji starego laté 28 z dawnych Pocztywowych Linii Lotniczych, który niszczał w hangarze lotniska w Franczal, i wybrał jednego z pilotów do tej misji. Resztą miał się zająć Guillén. Największy kłopot sprawiło mu zorganizowanie transportu na ponadpięciusetkilometrowym odcinku pomiędzy Lyonem i Tuluzą. Armand nie ruszał się ze swojego pokoju przez ostatnie dwadzieścia cztery lata; nikt nie odważyłby się przewidywać, jak zniesie podróż. Z drugiej strony Guillén musiał mieć na względzie częste kontrole drogowe. W końcu przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

Lało jak z cebra tego 1 listopada. Hrabina obesza cały dom, swój dom. Wszystkie pokoje były pełne wspomnień i nie chciała zostawiać żadnego z nich. Poświęciła już dosyć. Była coraz bardziej zdruzgotana, po kolei zamykając drzwi i nie mając pewności, że kiedyś znowu je otworzy. Z samego rana pielęgniarka umyła Armanda i włożyła mu wygodną odzież na podróż; miała też im towarzyszyć na portugalskim wygnaniu. Hrabina także włożyła uniform pielęgniarki. Niedługo spodziewali się karetki, która miała ich zabrać do Tuluzy z fałszywym skierowaniem do szpitala psychiatrycznego. Hrabina zatrzymała się na ostatnim przystanku swojego obchodu – w salonie. Tam usiadła, nie dotykając oparcia fotela, jakby przyszła z wizytą. Przypomniła sobie pogawędki, śmiechy, dyskusje, partyjki brydża i szachów przy kominku, lektury przy oknie, popołudnia, w które Léon przychodził z pracy i całował ją w policzki...

– Madame... Przyjechała karetka.

Guillén czekał na drodze do opuszczonego dworu przy szosie do Franczal. Przyjechał do Tuluzy dzień wcześniej, żeby dopilnować ostatnich przygotowań do podróży. Siedział w wojskowym samochodzie, chroniąc się przed bezlitosnym

deszczem, i czuł się jak zwierzę w klatce, ofiara niepokoju. Spalił już prawie paczkę papierosów w mniej niż godzinę; coraz częściej kaszlał i czuł, że płuca zaraz mu eksplodują. To nerwy... Znowu rzucił okiem na zegarek: już dawno powinni tam być. Nawet nie chciał myśleć, że coś mogło pójść nie tak, ale do głowy przychodziły mu setki niepokojących obrazów: kontrole żandarmerii, Gestapo, nawet wojska; awaria, wypadek, kryzys Armanda... Tyle rzeczy mogło zawieść...

Zapalił kolejnego papierosa i wysiadł z samochodu. Wpadł w błoto. Poszedł aż do końca drogi, deszcz niemal natychmiast go przemoczył. Wyjrzał na pustą drogę. Zaczął zapadać zmrok i niewiele było widać. Pomyślał o tym, by wrócić do samochodu, kiedy w oddali, poprzez zasłonę deszczu, dostrzegł migoczące światła.

– Co za podróż! – poskarżyła się hrabina, przesiadając się z karetki do wojskowego samochodu, którym mieli wjechać na teren lotniska. – Kiedy Armand zrozumiał, że będziemy go wsadzać do karetki, zaczął się rzucać i... krzyczyć, i... prawie spadł nam z krzesła, chociaż był do niego przywiązany. W życiu go takiego nie widziałam... Nie znosi ciemnych i małych przestrzeni... Uwierz mi, byłam pewna, że nie wyjedziemy, że trzeba będzie wszystko odwołać. W końcu pielęgniarka dała mu zastrzyk uspokajający. Potem, w okolicach Valence, czekaliśmy z godzinę, aż przejedzie konwój wojskowy. Zdaje mi się, że żalosny wygląd Armanda był najbardziej przekonujący z tej całej farsy; tylko rzucili okiem na papiery – podsumowała madame, sadowiąc się w samochodzie pod osłoną parasola trzymanego przez Guillena. – Naprawdę chciałabym już być w samolocie. Żaden głupi policjant nie będzie nas przecież zatrzymywał pośrodku nieba.

Guillén uniósł wzrok. Oby na czas startu przestało padać i poprawiła się pogoda.

Przynajmniej wiatr zelżał. Pilot zapewnił Guillena, że w panujących w tamtej chwili warunkach meteorologicznych będą mogli wystartować. Na lotnisku Franczał ruch o tej porze nocy był niewielki. Na pustym pasie startowym stały tylko dwa samoloty obserwacyjne Potez, które nie miały wystartować przed rankiem. Jego laté 28 czekał z wyłączonymi silnikami naprzeciw starych zamkniętych hangarów firm Dewoitine i Latecoere.

Nie musieli targać wiele bagażu, bo aby nie wzbudzać podejrzeń, zabrali ze sobą tylko to, co najpotrzebniejsze. Najwięcej czasu zajęło im ulokowanie w kabinie Armanda. Gdy go usadowili, pilot rozpoczął przygotowania do startu.

– Musisz uważać na ten kaszel – nakazała mu hrabina już na pasie startowym, gdy zobaczyła, że Guillén nie przestaje kaszlać. – Zakazuję ci palić. Przyrzeknij mi, że więcej nie będziesz palił.

Guillén wyrzucił papierosa i uśmiechnął się.

– Nie mogę przyrzec czegoś, o czym wiem, że tego nie dotrzymam.

Hrabina westchnęła.

– W takim razie przysięgnij mi, że jeśli sprawy zaczną się mieć jeszcze gorzej, wyjedziesz stąd i dołączysz do nas w Portugalii.

– Przysięgam, że nic mi nie będzie.

– Przeklęty człowiek... jesteś tak uparty, że aż wydajesz się moim synem.

Guillén wzruszył ramionami.

– Chociaż... wiesz, że cię kocham, jakbyś nim był, prawda? – ciągnęła madame, ciągle trzymając dystans, silna niczym żołnierz. – Nie pamiętam, żebym ci to kiedyś powiedziała... I nie wyskakuj mi teraz z historią, że kochasz mnie, jakbym była twoją matką, bo to zaczyna się robić za bardzo sentymentalne i przypomina ckliwe pożegnania z romansideł.

– W taki razie nic nie powiem...

Pilot zapalił silniki. Zawirowały śmigła.

– Do diabła! – Hrabina rzuciła mu się w ramiona. – Niełatwo się wzruszam.

Chyba się starzeję...

Guillén przycisnął ją do piersi.

– Wszystko będzie dobrze. Pamiętaj pani, jak pojechałem na wojnę do Hiszpanii?

– Pamiętam... Ta scena powraca aż do znudzenia.

– Wtedy wszystko się udało. Tym razem nie będzie inaczej. Znowu się spotkamy; cała rodzina. Wrócą dobre chwile.

Madame uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć. Jej wilgotne oczy wiele mówiły, było w nich tyle odnalezionych uczuć, że w końcu Guillén nie był w stanie odczytać żadnego.

– Tak, jestem pewna.

*

– Oszalałaś? Nie masz tam czego szukać! Nie musisz robić tym z góry takiej przyjemności! Nie należysz do nich, nie jesteś taka jak oni!

Lena nie była pewna, do kogo należy: czy była z nimi czy nie, jak zapewniała Domi. Była zmęczona tym, że musi do kogoś albo do czegoś należeć. Zmęczona ocenianiem i byciem ocenianą przez pryzmat koloru idei. Nie miało znaczenia, czy należy do nich czy nie. Jedyne, co skłoniło ją do podjęcia tej decyzji, to że nie mogła dłużej zostać w Oviedo, nie miała tam nic do roboty, nikt jej tam nie potrzebował; Matías też nie, bo miał pójść do szkoły dominikanów z internatem. Poza tym mogła się nim zająć Renata. Lena dała już z siebie wszystko, do czego była zdolna, i czuła się pusta jak porzucona na piasku skorupa ślimaka. Po raz pierwszy w życiu musiała pomyśleć o sobie, tylko o sobie.

Kobiety nie miały zbyt wielu możliwości – Błękitna Dywizja była prawdopodobnie jedyną opcją niewymagającą ślubów kościelnych. A Rosja była wystarczająco daleko od Oviedo.

Po wstąpieniu do Oddziału Pielęgniarek została wyznaczona do trzeciej ekspedycji, którą zaplanowano na koniec roku. Wraz z czterema innymi pielęgniarkami pojechała do Madrytu, skąd po tygodniowym przeszkoleniu miały rozpocząć podróż.

Znalazła się w zimnym i szarym listopadowym Madrycie, gdzie dzieliła czas między praktyczne i teoretyczne zajęcia oraz wizyty kulturalne, religijne i patriotyczne. Tego poranka, po wczesnej mszy, złożyła hołd Josemu Antoniowi. Mając wolne popołudnie, kilka koleżanek postanowiło spędzić czas w kinie. Ona dla odmiany zdecydowała się zostać w pokoju w Domu Falangi przy ulicy Atocha i napisać do Julii. Siostra nadal była na misji Córek Jezusa w Chinach, w prowincji Anhui, gdzie prowadziły szkołę i ochronkę. Na samym początku wojny japońsko-chińskiej Japończycy opanowali prowincję i sytuacja misji stała się co najmniej trudna – siostry były bacznie obserwowane przez wojska inwazyjne i jednocześnie atakowane przez partyzantkę. Konfrontacja pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Japonią oraz rozszerzenie konfliktu na Pacyfik jeszcze pogorszyły sprawę. Lena starała się często pisać do siostry, którą po raz ostatni widziała jeszcze przed wojną hiszpańską, by się upewnić, że wszystko jest w porządku.

– Lena!

Nati, jedna z pielęgniarek ochotniczek, z którymi dzieliła pokój, wpadła jak wichur, bez pukania. Przeciąg porwał leżące na stole kartki, Lena uderzeniem ręki przygniotła je do stołu.

– Już wróciłyście? Jak tam film?

– Och, przepiękny i strasznie smutny. Płakałam przez całą drogę do domu.

– Dziewczyna ściągnęła przemoczoną pelerynę i powiesiła ją na wieszaku.

– A Robert Taylor jest taki śliczny... A w tym mundurze... Ach... – westchnęła głośno. – Szkoda, że nie spotyka się takich mężczyzn... Uważasz, że jak będziemy w Rosji...? Rosja! Lena, zagadałaś mnie i nie powiedziałam ci najważniejszego! Jedziemy! Już! Jutro! Dopiero co przyszły rozkazy.

Twarz Leny się rozjaśniła. W końcu wyjeżdżają!

– Jestem taka podniecona... – Nati uniosła ręce do piersi jak święta Teresa w ekstazie.

– Skąd wiesz?

– Powiedzieli nam, gdy przyszłyśmy. Na dole nie mówi się o niczym innym. No właśnie, mamy być w jadalni za pięć minut. Nawet nie zdążę się odświeżyć... – powiedziała, poprawiając włosy przed lustrem.

Nati była prawdopodobnie największą kokietką, jaką Lena poznała. Wiecznie martwiła się swoim wyglądem: ani jeden włos nie mógł być nie na

swoim miejscu, makijaż dyskretny, ale perfekcyjny, nienaganny uniform. Nie była żadną pięknoscią, ale potrafiła tak się wyszykować, że zawsze wyglądała bardzo atrakcyjnie. Jej kokieteria wykraczała poza grę uwodzenia: Nati lubiła lubić, czy to mężczyzn, czy kobiety; to była zwykła kwestia jej „ja”.

– Mogli nas powiadomić z większym wyprzedzeniem – zrzędziła Agustina, druga koleżanka, wchodząc do pokoju. – Kupiłabym sobie wełniane pończochy na to zimno, które tak zapowiadają. I pas, ten mój do niczego się nie nadaje.

Nati i Agustina były dwiema stronami tej samej monety. Lena nie miała wątpliwości, że Agustina była reszką. Należała do arystokratycznej rodziny z Sewilli, przywiązanej do najbardziej zatechłej tradycji monarchistycznej i katolickiej. Była bardzo religijna. Lena powiedziałaaby, że była dewotką, bo szeptała modlitwy, gdy inni po prostu by zamilkli, i formalistką; pielęgniarka skuteczna i pracowita, chociaż niewiele się uśmiechała, a uśmiech powinien być, tak uważała Lena, niezbędny u pielęgniarki. A może była taka, dlatego że straciła ojca i dwóch z czterech braci na wojnie? Poza tym nie była złą koleżanką – nie też tak zabawną jak Nati, ale opiekuńczą jak starsza siostra.

– To nie dlatego, że nie miałas czasu, kochana. Pas do pończoch możesz sobie kupić w każdej gorseciarni Madrytu – zapewniła ją Nati, poprawiając usta karminową szminką.

– Niektóre z nas wołały zobaczyć kościoły i zabytki, zamiast zajmować się frywolnościami... – broniła się Agustina.

Lena zapięła pod szyją zapinkę z emblematem Czerwonego Krzyża i otworzyła drzwi.

– Lepiej zejdźmy do jadalni. Już minęło pięć minut – przerwała rozmowę, która nieuchronnie zmierzała w stronę niepotrzebnej kłótni.

Wyjechały o dziewiątej rano ekspresem do Irún. Na stacji Atocha zebrało się niewielu ludzi. W niczym to pożegnanie nie było podobne do tych tłumnych pożegnań – orkiestra, flagi i kwiaty – pierwszych dzielnych ochotników w lecie 1941 roku. Entuzjazm już opadł, Rosja była zbyt dalekim frontem, żeby lud hiszpański się nim emocjonował, nawet ci, którzy wracali, mało co opowiadali; bohaterska wojna zamarzała w silnym mrozie.

Pięć pielęgniarek szło po pustym peronie; jedynie dziennikarz z „Arriba” przeprowadził z nimi króciutki wywiad i zrobił kilka zdjęć przy dyszącym parą pociągu, podczas gdy matka Nati, jedynej ochotniczki z Madrytu, a więc i jedynej odprowadzanej przez rodzinę, przytulała córkę z płaczem pod pytającym wzrokiem młodszego rodzeństwa.

Towarzyszyła im grupa składająca się z kapitana, dwóch poruczników, dwóch sierżantów i czterech żołnierzy Departamentu Zdrowia.

Dla zabicia czasu Lena zaczęła pisać pamiętnik. Szybkie wpisy na gorąco,

niemal notatki z tego, co widziała, tego, co przychodziło jej do głowy; punkty do napisania wspomnień.

W San Sebastián przyłączył się do nas batalion marszowy z uzupełnieniami na front, ale zajmują tylne wagony, daleko od naszego. Widziałyśmy ich tylko przez okna, jak szli radośnie ze wzniesionymi ramionami; strumień zielonych peleryn, czerwonych beretów i błękitnych koszul. Szli w rytm patriotycznych pieśni i okrzyków wznoszonych na cześć hiszpańskich pielęgniarek, i komplementów, kiedy przechodzili przed nami. Kapitan lekarz strofuje nas za to, że mocno się wychylamy przez okna. Kilka dziewcząt z Sekcji Kobiecej przyniosło nam jedzenie: kanapki z mortadela, jabłka, kawę i herbatniki.

Przesiadłyśmy się w Hendaye. Kiedy przekraczamy granicę, wschodzi słońce. Widać wielkie pola zbóż i winnice, i miasteczka z czerwonymi dachami. Stajemy kilka razy na krótko, żeby zabrać podróżnych. Ciekawie wyglądają flagi hitlerowskie przy francuskich napisach. Na każdej stacji stoi też niemiecka policja, chodzą po peronach z karabinami na ramieniu i z wilczurami.

Przyjeżdżamy do Paryża wcześniej rano. Powiadomiono nas, że odbędziemy krótki spacer turystyczny po mieście. Na stanowisku kontroli pod szyldem Feldgendarmie wpadamy w osłupienie, kiedy policjant odzywa się do nas z silnym andaluzyjskim akcentem – to gwardzista z Kadyksu! Ale bez trójgraniastego kapelusza trudno poznać...

Zobaczyliśmy wieżę Eiffla, kościół de la Madeleine i Pola Elizejskie. Montmartre obejrzeliśmy z daleka. Chociaż mieliśmy czas, żeby pójść do Galerii Lafayette: ileż tu pięknych rzeczy! jakie eleganckie są paryżanki! Kilku żołnierzy niemieckich – wszyscy wysocy jak wieże – gwizdało, gdy przechodziła Nati; ta to potrafi kołysać biodrami! Odwróciła się i uśmiechnęła do nich i ani trochę się nie zaczerwieniła. Agustina tylko zmarszczyła nos z dezaprobatą i ją uszczypnęła. Przy powrocie do pociągu buty dosłownie mnie zabijały. Czeka nas długa nocna podróż.

Słońce wstaje w Niemczech. Krajobraz się zmienił. Przemierzamy gęste, zasypane śniegiem lasy. Od czasu do czasu widać zamki na szczycie wzgórza. Fasady domów są białe, poprzecinane belkami, a dachy stały się jeszcze bardziej czerwone i szpiczaste. Jest jak w bajce. Niedaleko za Stuttgartem, gdzie zjadłyśmy kielbasę i wypiliśmy kawę, pociąg zatrzymał się na ponad pół godziny, żeby przepuścić konwój wojskowy. Purita bez przerwy kicha, pewnie się przeziębila.

Obiad w Norymberdze. Raczej niedobry. Niemcy chyba jedzą za dużo kiszonej kapusty, która jest trochę kwaśna, chociaż podobno bardzo dobra na żołądek. W każdym razie zjadłam wszystko, bo byłam głodna. Najlepsze – ciastko jabłkowe, nazywają je „apfel... coś tam” (muszę zdobyć przepis).

Po czterech dniach podróży w końcu przyjeżdżamy do Hof w Bawarii, miejsca stacjonowania Błękitnej Dywizji. Na stacji pod daszkiem jest stary napis,

który sądząc po rdzawych zaciekach w narożnikach, pewnie wisi tam od miesięcy: „Armia niemiecka pozdrawia hiszpańskich ochotników”. Pod nim czeka na nas mały komitet powitalny. Coś dziwnego dzieje się z moim brzuchem i chyba nie są to objawy głodu.

*

12 listopada Niemcy znieśli linię demarkacyjną. Cała Francja znalazła się pod okupacją. Do Guillena szybko dotarła plotka, że Wehrmacht chce przejąć kontrolę nad fabryką. Przez całą noc niszczył dokumentację; przynajmniej zdążyli wyprowadzić stamtąd drukarnię André Bourdaina i przenieść ją w bezpieczne miejsce. Następnego dnia fabryka zapełniła się szarymi mundurami i napisami w języku niemieckim. Guillén ucieszył się, że hrabina nie musi tego oglądać.

W końcu rozszedł się z André, który uważał, że dalej należy traktować druk jako jedyną formę oporu. Wszedł w kontakt z grupą młodych ludzi – wielu z nich było Żydami z Europy Wschodniej, którzy uniknęli wywózki; ludzie bez ojczyzny i bez rodziny, niemający wiele do stracenia. Wariaci i samobójcy, napędzani nienawiścią do nazizmu. Tak samo jak on. Kazali nazywać siebie „Karmaniola”, na cześć słynnej pieśni rewolucyjnej, i poświęcili się partyzantce miejskiej.

Guillén rozpoczął jako bierny współpracownik, ale stopniowo coraz bardziej się wciągał w działalność grupy. Nadali mu numer identyfikacyjny i wybrał sobie pseudonim, Mariusz – hrabinie by się spodobało. Opuścił dom i zszedł do podziemia. Przeskakiwał z jednego pensjonatu do drugiego, bez stałego zameldowania; unikał najbardziej uczęszczanych miejsc, gdzie legitymowano ludzi; idąc ulicą, zawsze oglądał się za siebie.

Karmaniola działała trójkami. Jego trójką dowodził młody Rumun, rok młodszy od niego, Ilie Balan. Był odważny aż do przesady i nie miał żadnych skrupułów, co swoją drogą Guillenowi wydawało się zrozumiałe w przypadku człowieka, który widział, jak SS strzałami w czoło zabiło jego rodziców na progu domu w Bukareszcie. I może brakowało kogoś takiego jak Ilie, z jego lekceważeniem wobec życia, żeby dowodzić akcjami, w których wziął udział: wysadzenie w powietrze garażu pełnego samochodów; podpalenie całego skrzydła Stalowni Rodan, co unieruchomiło na kilka tygodni warsztat produkujący części do niemieckich czołgów; wrzucenie granatu dymnego do kawiarni Le Moulin au vent, lokalu uczęszczanego przez Niemców, zwłaszcza tych z SD i SS; sabotaż linii kolejowych...

To prawda, że nigdy nie posunęli się tak daleko, jak tamtej nocy. Zaatakowanie trzyosobowego patrolu żołnierzy, żeby ich zabić i odebrać im broń, było zadaniem nazbyt ambitnym.

Guillén przewrócił się w brudnej pościeli hoteliku na Villeurbanne i pocałował nagie ramię Julie, próbując wyrzucić z głowy ciemne obrazy tamtego zaułka. Chociaż spała, odwróciła się i przylgnęła do niego miękkim ciałem, gotowa na to, by się kochać. Pocałował ją z furją, chwycił jej piersi, wsunął w nią palce, aż zaczęła jęczeć... ale nie był zdolny do niczego więcej. Przygnębiony opadł na łóżko. Nie potrafił uwolnić się od obrazu trupa Ilie na czarnych, mokrych kocich łbach ani kałuży krwi pod jego skronią, też czarnej, lepkiej. Zdążył tylko zabrać jego pistolet i magazynek i uciec stamtąd co sił w nogach.

Julie pogładziła go po spoconych włosach i pocałowała w usta, w piersi. Położyła głowę na jego ramieniu.

– Nie powinniśmy byli próbować. Mówiłem Ilie, że nie jesteśmy przygotowani. Uparty jak kozioł...

– Na coś takiego nigdy się nie jest dość dobrze przygotowanym. Gracie w rosyjską ruletkę i wiecie o tym. Dziękuję Bogu, że tobie udało się ujść z życiem.

– Otarła policzek o jego pierś jak łaszący się kot.

– Kurwa... – Nie przyszedł mu do głowy inny sposób na wyrażenie poczucia rezygnacji; Julie miała rację. Nie była to uspokajająca myśl, ale absurdalne byłoby negocjowanie, że znali ryzyko i brali je na siebie. Oczywiście na widok trupa kolegi ryzyko się materializuje i przekonania słabną.

Dziewczyna sięgnęła do nocnej szafki po papierosy. Zapaliła dwa i jednego włożyła w usta Guillenowi. Bolała go pierś, mimo to wypalił z ochotą, żeby uspokoić nerwy.

– A bosze?

– Jeden padł... Nie wiem, martwy czy ranny.

Nie mówiąc nic więcej na ten temat, Julie pocałowała go w usta.

– Wyjedźmy z Lyonu na jakiś czas... – powiedziała, odsuwając się. – Do Grenoble... Albo jeszcze lepiej na wieś. Moi rodzice mają dom w pobliżu Annecy, pośrodku lasu. Zabawnie będzie opiekować się tobą przez jakiś czas. – Uśmiechnęła się zadowolona.

Guillén poważnie zastanowił się nad tym pomysłem. Nie był w Julie zakochany, ale bardzo ją lubił. Może na jakiś czas... Lyon zaczynał go przygnębiać, osaczać. Chciał pocałować dziewczynę w czoło, zanim zaakceptuje jej propozycję, kiedy drzwi pokoju runęły z wielkim hukiem.

– Nie ruszać się!

Czterech mężczyzn w cywilu weszło do pokoju z pistoletami w rękach. Jeden pokazał im jakąś plakietkę.

Guillenowi krew zastygła w żyłach. Instynktownie przykrył nagie ciało; przykrył też Julie.

– Gestapo. Musicie z nami pójść. Proszę się ubrać. Ręce na widoku przez cały czas, bez numerów.

Jeden z nich zaczął przeszukiwać pokój: szuflady, szafa, łóżko pod materacem...

– Ale... – Guillén nie znajdował słów. – Dlaczego? O co jesteśmy oskarżeni?

– Niedługo się dowiecie. Wszystko w swoim czasie. – Jego głos wydawał się zaskakująco przyjazny.

– W każdym razie ta pani nie ma ze mną nic wspólnego – odważył się powiedzieć Guillén.

Julie milczała, ale czuł, jak cała drży. Dziewczyna spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, jakby w ten sposób chciała coś powiedzieć.

– To już my sprawdzimy. Szybko. – Lekko pomachał pistoletem. – Macie trzy minuty.

Guillén wstał. Zostawił prześcieradło na łóżku, żeby Julie mogła się okryć, ale dziewczyna obnażyła się, jakby w ogóle nie czuła wstydu. Wtedy on spuścił oczy, nie chciał na nią patrzeć; przy tych mężczyznach nagle wydało mu się to nieprzyzwoite. Odwrócił się, żeby się ubrać. Szkoda, że to zrobił...

Bo nie widział tego. Nie wiedział, jak... Jak to zrobiła, że gestapowcy nie zauważyli? Nawet oni nie zdążyli wyciągnąć broni, kiedy od ścian pokoju odbiło się echo strzału i wstrząsnęło żarówką na suficie. Gdy się odwrócił, zobaczył ciało Julie na łóżku, prześcieradło splamione krwią. Miała w ręku pistolet, jeszcze skierowany w stronę dziury w głowie. Niebieskie oczy ciągle szeroko otwarte, jakby w ten sposób chciała coś powiedzieć.

Wywlekli go z pokoju na wpół ubranego. We łzach krzyczał imię Julie.

Lena... Nie był w stanie znieść więcej. Rozsadzało mu pierś. Topił się. Woda zalewała mu nos i usta. Zabarwiona na czerwono woda o metalicznym posmaku. Nie miał już sił, żeby walczyć. Chciał wyciągnąć głowę i odetchnąć, ale nie miał już siły. Zakaszłał. Twarz pokryła mu się bąbelkami. Coraz więcej wody w nosie, w ustach, w płucach. Topił się. Lena...

Lena... Słyszał jej imię. Chwytając łyk powietrza. Jej imię w jęku rozpaczy. Duszenia się. Potrzebował powietrza. Płuca mu niemal eksplodowały. Pytanie. Jakie pytanie? Nie potrafił ich zrozumieć. Nie potrafił im odpowiedzieć. Nie chciał. Potrzebował powietrza. Potrzebował oddychać. Teraz. Szybko. Więcej powietrza. Lena...

Lena... Woda na twarz. Powietrze. Powietrze. Powietrze. Zabarwiona na czerwono woda o metalicznym posmaku. Lodowata. Potrzebował powietrza. Woda w nosie, w ustach, w płucach. Niemal wybuchał. Kaszłał. Bąbelki na twarzy. Powietrze. Powietrze. Powietrze. Lena... Topił się. Woda w gardle. Bez powietrza. Topił się. W końcu. Bez powietrza. Bez chłodu. Bez bólu. Lena...

Lena... Już nie jest ze mnie dumna... Lena... słyszysz mnie? Lena... gdzie

jesteś?

*

– Przysięgacie przed Bogiem na wasz honor Hiszpanów absolutne posłuszeństwo dowódcy wojsk armii niemieckiej, Adolfowi Hitlerowi, w walce przeciw komunizmowi i przysięgacie walczyć jako dzielni żołnierze, gotowi oddać życie w każdej chwili, aby wypełnić tę przysięgę?

– Tak! Przysięgam!

Jednogłośny krzyk rozbrzmiał w piersi Leny tak silnie, że nawet nie była w stanie usłyszeć samej siebie składającej przysięgę. Podniosła ramię. Wraz z towarzyszkami pielęgniarkami i żołnierzami tworzyła 250. Dywizję w Hof. Zimne powietrze uderzało ją w twarz i szarpało pelerynę, także flagi, hiszpańską i *Reichskriegsflagge*, flagę wojenną Rzeszy. Stały tam władze hiszpańskie, władze niemieckie, ksiądz... Były wiwaty na cześć Führera, Niemiec i armii niemieckiej. Podczas tej samej uroczystości wręczono odznaczenia, medale zawieszane na okaleczonych ciałach zwróconych przez front.

Przysięgam, powiedziała Lena, nie była pewna, czy na głos, nie usłyszała siebie. Przysięgam. Być posłuszną Hitlerowi jako dowódcy wojsk niemieckich. Walczyć z komunizmem. Walczyć. Oddać życie. Nic z tego nie przyszło jej do głowy, kiedy podpisywała formularz zgłoszeniowy. Jednak... Przysięgam. Jak wszyscy dookoła niej gotowi oddać życie, tak, ale każdy z własnych pobudek, i nie wszystkie one zostały wymienione w przysiędze.

– W sumie to Niemcy lepiej defilują... Czy to dlatego, że są wyżsi? – szepnęła do niej Nati z figlarnym uśmiechem.

Grudzień 1942

Z hotelu Terminus do więzienia Montluc. Codziennie pokonywał tę makabryczną trasę; pusty, wyobcowany. Życie było tylko sekwencją następujących po sobie siniaków pod spuchniętymi oczami, dźwięków w jego zakrwawionych uszach, bólu za bólem. *Sans baggage*, krzyczeli strażnicy, wyciągając go z celi. Wtedy wiedział już, co go czeka: tortury albo śmierć. Codziennie bezskutecznie pragnął, aby tym razem była to śmierć.

Sicherheitspolizei umieściła swoją Komendanturę Lyonu w hotelu Terminus, w pobliżu stacji kolejowej. Tam rzucali go na podłogę w jednym z pokoiów na drugim piętrze; niemal pustym, z zamurowanymi oknami i bez światła. Tracił poczucie czasu, siedząc wbity w kąt. Mogły mijać minuty albo godziny, zanim wreszcie wchodził ten człowiek, zawsze ten sam. Miał na sobie mundur SS. Początkowo po prostu go przesłuchiwał, w sposób cywilizowany, siedząc z nim twarzą w twarz przy stole. Miły oficer SS, pyszniący się swoim wyrafinowanym wychowaniem. Na samym początku... Już ledwie to pamiętał. Teraz pamiętał tylko ciosy pałą w twarz, uderzenia metalowego pręta w plecy, wiadro lodowatej wody, do którego wsadzali mu głowę, aż tracił dech... Nie pamiętał już nawet, o co go pytali ani czy odpowiedział. Nie... Nie odpowiedział, dlatego ciągle go torturowali.

Wieczorem odwozili go do Montluc. Początkowo był sam, oddzielony od reszty więźniów. Potem przenieśli go do celi Jacques'a, który był siwy i miał delikatny głos, i co wieczór przemywał mu rany, mocząc strzępy koszuli w tej odrobinie wody, którą dostawali do picia; rozgniatał kawałki marchewki i cebuli pływające w zupie i przykładał je na rany. Starał się też go karmić łyżkami tej zupy – spływała w kącikach jego pokiereszowanych ust.

Jacques był lekarzem. Od miesięcy siedział w Montluc, bo podczas jakiegoś kongresu publicznie wystąpił przeciwko wprowadzeniu zakazu pracy dla lekarzy Żydów. A Jacques nie był Żydem, tylko porządnym człowiekiem.

– Boże... Ale masz nadgarstki, synu. Żywe mięso – powiedział mu tamtego dnia, gdy przywieźli go z hotelu Terminus.

– Powiesili mnie pod sufitem... Kajdanki miały kolce...

Guillén leżał na ziemi, tam, gdzie rzucili go strażnicy. Nie miał siły dowlec się do pryczy; ani na to, by kaszleć, chociaż paliły go płuca. Jacques go podniósł i położył na desce, na której spali. Przykrył go marynarką, bo trząsał się z zimna.

Guillén zakaszlał słabo.

– Ma... kota... – wymamrotał.

Jacques spojrział na niego zdziwiony.

– Barbie?

Obersturmführer Klaus Barbie. Tak nazywał się oficer SS, który codziennie

znęcał się nad nim. Ten sadystyczny i nieludzki diabeł, śmiejący się na widok jego cierpienia.

– Tak... I traktuje go... z wielką czułością... – wyszeptał Guillén, próbując się cierpko uśmiechnąć, zanim zemdlał.

*

W miejscowości Hof nad Soławą w Bawarii znajdował się obóz szkoleniowy Błękitnej Dywizji. Tam formowano tak zwane bataliony marszowe tworzone z uzupełnień i stamtąd wysyłano je do różnych miejsc na froncie. Także w Hof zbierali się ci żołnierze, których miano odesłać do Hiszpanii, albo dlatego że skończył się czas ich służby na froncie, albo dlatego że zostali ranni i uznani za niezdolnych do walki.

Zaraz po przyjeździe pielęgniarki zostały wcielone do niemieckiego Czerwonego Krzyża. Jakiś oficer spisał ich nazwiska, daty i miejsca urodzenia i wręczył im koperty z blaszką identyfikacyjną, książeczkę i cztery opaski z oznaczeniami Czerwonego Krzyża. Później, tak samo jak żołnierze, miały się udać do intendentury po ekwipunek dostarczony przez niemieckie wojsko. Zarówno Lena, jak i Nati z entuzjazmem rozpakowały swoją paczkę, jakby to był świąteczny prezent. Nati każdą rzecz komentowała podniecona:

– Dwa fartuchy! Są szare, niezbyt pasują, ale te bielutkie kołnierzyki przydają im szyku... I flanelowe, żeby dobrze otulały. Ach, fartuszek, biały, całe szczęście; też są dwa i jeszcze dwa w paski, z herbem Falangi, żeby nie było wątpliwości. I pas wełniany! Ci Niemcy o wszystkim pomyślą... Pończochy też wełniane, szare, jakie brzydkie; przynajmniej będzie nam ciepło w nogi. Patrz, Leno, żakiet. Ale elegancki... i trzy bluzy! – Nati przyłożyła je do piersi. – Nieźle... Płaszcz, nieprzemakalna peleryna... I buty... Hmmmm... Cóż, nie poszłabym w nich na elegancki bal, ale przynajmniej mają mały obcasik. A co powiesz o tych butach? Są wspaniałe... – Przyglądała się im przez chwilę, lśniącym w świetle pokoju. – Idźmy dalej. Rękawiczki, bardzo potrzebne; nie chcemy mieć odmrożeń. I biały czepek na głowę. Mam nadzieję, że nie będę w nim wyglądać na zakonnicę. Uważaj, Lena, bo teraz nadchodzi najlepsze: manierka, sztućce, kubek, plecak... Wydaje im się, że jedziemy na piknik! Czekaj, coś jeszcze: kosmetyczka, igła z nitką, mydło, pudełeczko kremu Nivea... – Otworzyła je i podsunęła sobie pod nos. – Oj, jak ładnie pachnie... Jeszcze więcej: grzebień i jedna, dwie, trzy... Pięć szczotek! Po co aż tyle szczotek?

– Do ubrania, do butów, do zębów, do włosów...

– A piąta?

– Nie wiem... Zapasowa?

– Bez sensu! Och, patrz, żołnierski modlitewnik. My nie jesteśmy żołnierzami. – Odrzuciła go. – Chociaż to jest interesujące: *Rozmówki niemieckie*. – Nati otworzyła książeczkę i zaczęła czytać: – Cześć: *Hallo*. To łatwe. Dzień dobry: *Guten Tag*. Dziękuję: *Danke sehr*. Proszę: *Bitte*. Przepraszam: *Entst... Ents... Entschul... Ent-schul-di-gung*. Matko Przenajświętsza, lepiej nie musisz przepraszać!

– Najbardziej podoba mi się nieśmiertelnik – powiedziała Lena, ściągając z szyi blaszkę. Miała wygrawerowany krzyżyk i jej identyfikację: „*Freiwillige Krankenpflege. Wehrkreis XII. No. 4543*”. Poinstruowali je, żeby zawsze mieć nieśmiertelnik na szyi, nawet podczas snu.

– Przychodzi mi do głowy bardziej elegancka biżuteria, naprawdę. – Nati podeszła do przyjaciółki i szepnęła konspiracyjnie: – Wiesz, co dali mężczyznom?... Prezerwatywy.

– Co?

– To, co słyszysz. Ci Niemcy to naprawdę ludzie o otwartych umysłach.

– Skąd wiesz?

– Powiedział mi jeden żołnierz z intendentury, który chciał ze mną poflirtować... A wiesz, co zrobili żołnierze od niejakiego kapitana Portolesa? – Lena pokręciła głową. – Nadmuchali gumki i przeparadowali przed niemieckim dowództwem z balonikami przyczepionymi do luf swoich mauzerów. Możesz sobie wyobrazić miny tych niemieckich szych...

Lena szeroko otworzyła oczy.

– A dlaczego to zrobili?

– Żeby zaprotestować. Nie rozumieją, po co dostają prezerwatywy, skoro zaraz potem zabrania im się zadawać z Rosjankami.

Lena zaśmiała się.

– Pewnie dlatego, że mają się zadawać z Niemkami.

– Nie dziw się. Zdaje się, że strasznie się puszczają, sama rozumiesz... Pewnie nawet licealistki bardziej się puszczają niż zwykła Hiszpanka, nie ma co zaprzeczać.

Po otrzymaniu wyposażenia pielęgniarki zostały poddane badaniu medycznemu, podczas którego ustalono ich grupę krwi, następnie wygrawerowaną na nieśmiertelniku. Potem zaszczepiono je przeciw ospie, tężcowi, tyfusowi i cholercie. I na koniec otrzymały szybkie przeszkolenie w zakresie niemieckiego protokołu sanitarnego.

Niemiecka opieka zdrowotna była znakomicie zorganizowana, a ta organizacja opierała się w znacznym stopniu na tak zwanej *Begleitzettel für Verwundete*, czyli książeczce nadzoru nad rannymi, która szybko okazała się po prostu *Berbundete*. Chodziło o kartę, którą należało umieścić w widocznym miejscu na mundurze rannego – na niej zapisywano pierwszą diagnozę dotyczącą

rany, zastosowane leczenie (lekarstwa, opatrunki, transfuzje...). Dzięki kodowi barw i sprytnemu systemowi czerwonych pasków po bokach, które za sprawą perforowanej linii łatwo dawały się oderwać, wiadomo było, czy ranny może chodzić i zajmować się sobą (oba paski oderwane), czy można go przewozić (jeden pasek) albo czy nie można go przewozić (nieruszone paski). Żółte paski na karcie oznaczały chorobę zakaźną.

Kilka niemieckich pielęgniarek przeprowadziło też szkolenie na temat dezynfekowania i dezynsekcowania zarówno ludzi, jak i pościeli, po czym mogły wreszcie zająć swoje stanowiska.

Lena i Nati miały szczęście trafić do szpitala w samym obozie Hof. Reszta koleżanek została przeniesiona do Berlina.

– Cieszę się, że Agustinę wysłano do Berlina – zauważyła Nati bez ogródek.
– Ta kobieta jest tak nudna, że aż boli.

Szpital w Hof był przede wszystkim miejscem rekonwalescencji, do którego trafiali ranni przed powrotem do Hiszpanii i gdzie wystawiano orzeczenia komisji uznające ich za zdolnych albo niezdolnych do służby na froncie, chociaż większość z nich już była stracona dla wojska.

– Miałyście szczęście – pocieszyła je koleżanka z Kadyksu, bardzo sympatyczna, która przebywała w Hof od miesiąca. – Wszyscy, którzy tu trafiają, już są jedną nogą w domu i nikt nie sprawdza, jak poważna jest rana. Odkąd tu jestem, widziałam śmierć tylko jednego towarzysza, niech go Bóg ma w swojej opiece.

Rzeczywiście pocieszające. Chociaż Lena mogła też potwierdzić, że jak w każdym szpitalu wojskowym, w Hof nie brakowało dramatów. Byli tam okropnie okaleczeni chłopcy: oślepieni, głusi, bez rąk, z bezwładnymi nogami... Jak na każdej wojnie. Ale zaskoczyło ją – dziewczynę zaprawioną w bojach – to, że ci ludzie w ogóle nie rozmawiali o froncie. Nie oglądali się za siebie, lecz patrzyli w przyszłość. Z nadzieją oczekiwali spotkania z rodziną, domem, który zostawili tak dawno temu. Nie okazywali żalu, wręcz przeciwnie: byli dumni ze spełnionego obowiązku, ze spłacenia długu. Widzieli więcej, wiedzieli więcej i lepiej rozumieli. Przeżyli to, czego w żaden inny sposób nie byłiby w stanie przeżyć, rzeczy dobre i złe. Bo tak chcieli, bo byli ochotnikami, idealistami, ludźmi nieobojętnymi. I wracali do domu z podniesioną głową, z tym samym duchem, z którym zgłaszali się do wojska.

Była to jej pierwsza przepustka od przyjazdu. Po spędzeniu większej części poranka w pralni Lena zamknęła się w pokoju, pocerowała skarpetki, odpowiedziała na listy (Pepe postanowił przedłużyć służbę w Błękitnej Eskadrze; Renata spokojnie stawiała czoło ostatnim tygodniom swojej pierwszej ciąży, a Matías skreślił nogę w kostce, grając w piłkę) i w końcu oddała się spokojnej

lekturze, leżąc w łóżku.

Po południu przyszła Nati.

– Czemu siedzisz tu zamknięta jak odludek w dniu przepustki? Powinnaś wyjść na dwór, wykorzystać piękne popołudnie.

Lena rzuciła okiem za okno. Zaczynał zapadać zmierzch i niebo przybrało barwę niemieckiego munduru, tak było szare. Zanosiło się na solidną ulewę; może na śnieg, tak bardzo było zimno.

Nati ściągnęła fartuch i otworzyła szafę.

– Skończyłam dyżur. Z kilkoma dziewczynami postanowiłyśmy pójść na miasto. Wreszcie włożę tę śliczną garsonkę od Führera – obwieściła, ściągając ubrania z wieszaka. – Chodź z nami. Będzie fajnie.

Lena ziewnęła i wyciągnęła się na miękkim materacu. Znowu spojrzała na szare niebo.

– Nie chce mi się... Co ja będę robić w mieście?

– Oglądać świat... Patrzyć na wystawy... Podziwiać niemieckie zabytki... –

Nati podsunęła Lenie szminkę pod nos, zachęcając do jej użycia. Uśmiechała się przewrotnie. – Ty też powinnaś wyciągnąć garsonkę od Führera.

Lena odwzajemniła uśmiech koleżanki.

– Mówią, że są tu piękne kościoły... – rzuciła prowokacyjnie.

– Dobra, dobra... Wpiszemy twoje kościoły do naszej trasy – zgodziła się Nati z miną wyrażającą nieskończoną cierpliwość.

Coraz rzadziej zabierali go do hotelu Terminus. Guillén nie wiedział, jak rzadko, nie potrafił ocenić upływu czasu. W sumie nie było to wcale ważne; ważne było tylko nie słyszeć głosu strażników; leżeć na pryczy w stanie półświadomości, w którym mieszały się sen i jawa. Nie był ważny nawet ból, jeśli mógł leżeć. Jeśli mógł leżeć, widział góry; widział je z nieba, czystego i błękitnego jak na obrazku; czasem fruwał; innym razem wiedział, że jest w kabinie samolotu. Ale góry zawsze były w dole, biało-zielono-brunatne plamy. Jeśli mógł leżeć, widział uśmiechy, uśmiechy kobiety i drogę o delikatnej białej skórze, drogę nieskończoną pośród pustyni wydm, skórę jak piasek. Czasem krzyczał, ale nie z bólu. Krzyczał, bo widział rzeczy przerażające, czarno-czerwone obrazy, innych ludzi krzyczących, ludzi, których kochał. Krzyczał, bo był sam i nikt nie słuchał, jak krzyczy.

Jacques. Czasem widział Jacques'a. Ale wtedy miał oczy otwarte i czuł ból w całym ciele, ból nie do zniesienia. Dlatego zamykał oczy i wracał do gór i do uśmiechów kobiety, do skóry jak piasek. I ból znikał.

Któregoś dnia zmusili go do wstania. Zabrali go do przychodni i opatrzyli rany. Potem odprowadzili z powrotem. Jednak od tamtego dnia nie wystarczało mu już leżenie, zamykając oczy, nie zawsze widział góry i uśmiechy kobiet. Kiedy zamykał oczy, czuł zimno celi na skórze i dalej słuchał Jacques'a.

– Ani przez chwilę nie myślałem, że przeżyjesz, synu. Byłeś na skraju śmierci.

Guillén nie był pewien, czy ma powody do zadowolenia.

Czuł autentyczne przerażenie, kiedy strażnik otworzył celę i wywołał jego nazwisko. Gdyby mógł, w tej samej chwili by się zabił. Wtedy jednak strażnik krzyknął:

– *Avec baggage!*

Potrzebował kilku sekund, żeby to do niego dotarło: *Avec baggage*. Nie zabierali go do hotelu Terminus. Ani na szubienicę. Nie zabierali go do hotelu Terminus. *Avec baggage*. Przenosili go.

Spojrzał na Jacques'a. Staruszek uśmiechnął się do niego smutno i kiwnął głową.

– *Avec baggage! Allez!* – znowu krzyknął strażnik, uderzając pałką w metalowe drzwi.

Guillén wstał z trudem; jeszcze bolały go wszystkie kości. Wziął kurtkę rzuconą na pryczę i objął Jacques'a.

– Powodzenia, synu. Idź z Bogiem.

– Dziękuję...

„Nigdy cię nie zapomnę. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś. Jeszcze się zobaczymy... Obyśmy się zobaczyli. Kiedy wszystko się skończy. Może. Mój dobry przyjacielu Jacques...” Nic z tego nie zostało wypowiedziane. Wyszedł z celi, nie był w stanie odwrócić się za siebie.

*

Lena, Nati i kilka innych pielęgniarek wsiadły do autobusu przy bramie obozu, a potem w tramwaj, który dowiózł je na Ludwigstrasse w centrum miasta, kiedy już zapadał zmrok i sypał śnieg. O tej porze ulicami nie spacerowało wielu ludzi, ale sklepy ciągle były otwarte; także kościół św. Michała na mszę o czwartej. Postanowiły najpierw spełnić obowiązek duchowy, więc skierowały się do świątyni. Klęknięły w ławce z tyłu i szybko się pomodliły; był to przecież kościół luterański, więc bały się, że popełniają grzech herezji.

Gdy znowu znalazły się na ulicy, postanowiły zwiedzić miasto, ale niewiele już było widać. W każdym razie wyglądało na miejsce czyste i uporządkowane, jak wszystko, co niemieckie: o prostych alejach ograniczonych równymi budynkami, jakby wszystkie zostały zbudowane w jednej chwili, aby stworzyć piękną dekorację, i tylko wieże kościołów i wieża ratusza miały odwagę wystąpić przeciw ustalonej normie (jak to się zwykle dzieje z Kościołem i Państwem). Wszędzie

wisiały niemieckie flagi; nie tylko trójkolorowe, ale też te ze swastyką. I wszystkie ulice miały tabliczki z gotyckimi napisami. Rzeczywiście znalazły się bardzo daleko od Hiszpanii. Ta myśl wywołała w nich niejaki podniecenie, niemal dziecięce. Pośród śmiechów i podskakiwania na śliskich kamieniach szły jak grupka licealistek, z pelerynami dobrze zapiętymi pod szyją, bo robiło się coraz zimniej.

Weszły do jednego z tych sklepów, co to sprzedają wszystkiego po trochu. Lena dostała książeczkę z kartkami żywnościowymi, które mogły zrealizować podczas przepustki: chleb, masło, wędlina... Ale nie musiała niczego kupować. W szpitalu jadła tyle, ile potrzebowała, i zaczynała się przyzwyczajać do niemieckich przypraw i smaków: mięso przygotowane na margarynie zamiast oliwy, zupa z czerwonej kapusty z dużą ilością selera, trochę słodkie ogórki, a szynka galaretowata... I chociaż tęskniła za dobrym *cocido*, z tych, co to rosół można kroić nożem, to jedzenie nie było takie złe. Poza tym jabłecznik ciągle był jej ulubionym ciastem, z odrobiną cynamonu na kruchym cieście. W końcu kupiły tylko kilka pocztówek i pudełko wsuwek dla Nati, bo ta gubiła je ze zdumiewającą łatwością.

Rozmowa o jabłeczniku sprawiła, że poczuły się głodne, a ponieważ miały też zmarznęte nogi i ręce, postanowiły schronić się w kawiarni, która po chwili okazała się raczej napchaną żołnierzami piwiarnią – to pewnie oznaczało *Deininger Kronenbräu AG*, a nie ciastkarnię.

Lena i Nati usiadły same przy stoliku trochę oddalonym od dymu i wrzawy, bo dwie ich koleżanki zostały przy barze, by porozmawiać z dwoma hiszpańskimi sanitariuszami, których już znały. Postanowiły zamówić *glühwein*, grzane wino z korzeniami, które tak bardzo było reklamowane na tablicach w lokalu, kubek za kilka marek.

– Wypijmy – zaproponowała Nati z uniesionym kubkiem. – Za nas, bo jesteśmy tutaj, gdzie nigdy nie spodziewałyśmy się być.

Wzniosły toast i wypiły. Po chwili milczenia Lena odważyła się zagadnąć:

– Dlaczego zgłosiłaś się na ochotnika?

Nati wzruszyła ramionami.

– Bo nudziłam się na tyłach.

Lena zaśmiała się. Jej przyjaciółka była specyficznym człowiekiem.

– A ty?

Nati nie wyobrażała sobie, jak bardzo trudne pytanie jej zadała. Nawet ona sama czasem nie miała na nie odpowiedzi.

– Tak... Tak, ja też nudziłam się na tyłach – przyznała Lena. – Może pytanie powinno brzmieć: dlaczego się zgłosiłam na ochotnika, kiedy rozpoczęła się nasza wojna.

– A dlaczego to zrobiłaś?

– Bo to był mój obowiązek. Skoro mężczyźni mają obowiązek chwycić za broń, a ktoś ustalił, że my nie, to przecież jakieś zobowiązanie w czasie wojny jednak mamy, więc nie może to być nic innego, jak opatrywanie ran.

Nati napiła się. Zdawało się, że rozmowa dobiegła końca. Wtedy dziewczyna nachyliła się do Leny konspiracyjnie, chociaż nikt by ich nie usłyszał w tym całym hałasie.

– Wiesz? Byłam pielęgniarką republiki.

– Chcesz powiedzieć, że trafiła ci się strefa republikańska?

Nati zaprzeczyła.

– Byłam sanitariuszką ochotniczką. – Podkreśliła słowo „ochotniczka”. – Byłam w bitwie nad Jaramą, pod Guadalajarą i Brunete, a na koniec w sanatorium milicji w Madrycie. Mój ojciec był syndykalistą, a moja matka na cały głos śpiewała *Międzynarodówkę* z pięścią wzniesioną w górę, gdy w lecie trzydziestego szóstego bojownicy przechodzili po Gran Vía.

Lena spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Co? Teraz przestaniesz być moją przyjaciółką.

– Nie, oczywiście, że nie. Uważasz, że w tej chwili ma to jakiegokolwiek znaczenie?

– Dla niektórych tak.

– Dla mnie nie. Chodzi o to... że jesteś tutaj, żeby walczyć z komunizmem!

– Nie... No dobrze, tak... I co z tego? Słuchaj, ja nie byłam sanitariuszką republikańską, bo przypadkiem znalazłam się w czerwonej strefie, ale dlatego że urodziłam się w rodzinie czerwonych. Co innego mogłam zrobić? Ale... w sumie jestem nikim. Chcę tylko żyć swoim życiem, wycisnąć je, jakby było cytryną, dodać mu trochę cukru i wypić je wielkimi haustami. Już ci mówiłam, nudzą mnie tyły. Jest tam monotennie, szaro i głodno. Uważasz, że w Madrycie mogłybyśmy, dwie kobiety, siedzieć sobie spokojnie w piwiarni i popijać alkohol?

– Ale to nie jest na zawsze. Co zrobisz po powrocie?

– Wtedy będę już bohaterką. W końcu będę po stronie dobrych – rzuciła Nati ironicznym tonem – tych, którzy wygrali wojnę. Już nikt nie będzie wątpił w moją wierność wobec Ruchu i będę mogła dobrze żyć i wyciągnąć rodzinę z nędzy.

Lena przytaknęła. Mogła ją zrozumieć.

– Poza tym – dodała Nati – jestem dobrą pielęgniarką. A przecież o to chodzi, prawda?

Tak, rzeczywiście była dobra. Lena mogła się z nią zgodzić. Widziała, jak pracuje: czuła, cierpliwa, poświęcała się; zawsze z uśmiechem na ustach. Chorzy ją uwielbiali i nie tylko miało to związek z jej obfitym biustem i szelmowskim charakterem. Po prostu posiadała dar pocieszania ludzi, sprawiania, że czuli się lepiej. Ponadto robiła opatrunki z nadzwyczajną biegłością; zdaje się, że nauczyła się tego od amerykańskich pielęgniarek z Brygad Międzynarodowych.

– Dobra, dosyć tego gadania o poważnych sprawach – przerwała te rozmyślenia Nati. – Wypijmy jeszcze raz za nudne tyły.

W tamtej chwili jakiś niemiecki żołnierz zaintonował patriotyczną pieśń, co wynikało z jego stanu upojenia. Inni podchwycili nutę. Żołnierze hiszpańscy nie mogli pozostać w tyle, co do upojenia i repertuaru patriotycznych pieśni, więc zaraz wyrwali się z *Adelity*. Zapowiadał się pojedynek. Atmosfera zaczynała się rozgrzewać. Lena i Nati zaśmiały się.

Nagle dwóch niemieckich żołnierzy, jeszcze względnie trzeźwych, stanęło przy ich stoliku z zamiarem zaprzyjaźnienia się. Mimo bariery językowej druga kolejka grzanego wina uprościła sprawę. Hans i Otto, tylko tyle zrozumiała Lena. Hans intensywnie wskazywał na biało-czerwoną baretkę zaczepioną do guzika bluzy i pokazywał biceps, jakby był cyrkowym siłaczem. Że to żalosne zachowanie kryło w sobie jakąś wiadomość, to oczywiste, ale Lena nie miała ochoty na jej odcyfrowywanie, wystarczało jej znoszenie cielecego spojrzenia Ottona. Tymczasem Nati rozplątywała się w powtarzającym w kółko *ja* i w uśmiechach, od czasu do czasu wtrącając znalezione w rozmówkach *sehr gut*; już jakiś czas wcześniej wysunęła kolana spod spódniczki. Hans też to zauważył.

Lena zaczynała myśleć, że to dobry moment, aby sobie pójść, ale nie chciała psuć Nati zabawy, bo wydawało się, że ona świetnie się bawi tą dziwną rozmową. W tej chwili ktoś popchnął Lenę z tyłu. Odwróciła się.

– Och, przepraszam panią! Proszę wybaczyć. Potknąłem się o nogę tego krzesła. Nic pani nie jest?

– Nie, nie, nic się nie stało – uspokajała pechowego chłopca.

– No proszę!... To pani! – Jego mina natychmiast się zmieniła.

– No... trudno zaprzeczyć. Rzeczywiście, to ja.

– Wczoraj podała mi pani szczepionkę na ospę. Dokładnie tutaj – powiedział, pokazując rękę. – Nie zapomniałem. Jeszcze mnie boli – podsumował z uśmiechem satysfakcji, który absolutnie nie współgrał z sensem zdania.

– Rozumiem więc, że pan o tym nie zapomniał. Mam nadzieję, że nie ma pan do mnie żalu.

– Nie, oczywiście, że nie. – Nerwowo podrapał się po głowie.

– Przepraszam, że pana nie pamiętam. Zwykle przypatruję się ramieniu, kiedy mam wbijać igłę, ale wszystkie ramiona są takie same.

– W takim razie pani pozwoli, że się przedstawię – stanął na baczność – saper Antonio Ponte Anido. Właśnie przyjechałem z ostatnim batalionem marszowym.

Lena wyciągnęła do niego rękę i również się przedstawiła.

– Mam nadzieję, że ci Niemcy nie przeszkadzają... – Szeregowiec Ponte ewidentnie liczył na to, że jednak przeszkadzają, gdy spojrzał na Hansa i Ottona ze zmarszczonym czołem.

– Ach, w żadnym razie... Tylko trochę niezręcznie jest nie rozumieć, co mówią, ale to nie ich wina, że mówią po niemiecku.

– To diabelski język...

W tamtym momencie młodzieniec został popchnięty przez tłum ludzi wchodzących do piwiarni.

– Lepiej niech pan usiądzie, bo pana przewrócą. – Lena wskazała mu krzesło obok siebie; tamten natychmiast skorzystał z zaproszenia.

Jednak gdy usiadł, rozmowa nagle utknęła w martwym punkcie i zapadła między nimi męcząca cisza. Lena popiła łyk wina. Szeregowiec Ponte uderzał palcami w blat stołu, jakby wybijał rytm piosenki śpiewanej przez jego towarzyszy przy beczce z piwem: *Café!*

Dam ci
Piękna dziewczyno
Dam ci
To, co najlepsze, się wie.

– Café! – przyłączył się chłopak. – Wie pani, co oznacza café?

– No jeśli chodzi o napój...

– Nie... – Uśmiechnął się, jakby robił jej kawał.

Szeregowiec Ponte miał twarz dziecka. Ile on mógł mieć lat? Nie więcej niż dziewiętnaście, zastanawiała się Lena, a jednak wydawał się jeszcze młodszy: dobrze zbudowany, blada skóra, ostre rysy, niebieskie oczy, blond włosy i elegancki wąsik; mógłby uchodzić za Niemca, za niskiego Niemca.

– To falangistowski skrót. Dlatego tak często śpiewa się tę piosenkę. Café to inicjały: *Camaradas, arriba la Falange Española!*¹ Café! – krzyknął.

Lena nie wiedziała, jak to się stało, ale od tej chwili rozmowa popłynęła niczym roztopiony wosk. W ten sposób dowiedziała się, że Antonio Ponte Anido jest z La Coruñi, stąd ten słodki zaśpiew w głosie, chwilami melancholijny; że ma dwadzieścia trzy lata, co było zaskoczeniem; że zaraz po skończeniu osiemnastu lat wstąpił do Falangi i poszedł na front kataloński, gdzie po dwóch tygodniach został ranny; wojna szybko się dla niego skończyła: w kwietniu 1939 roku, kiedy wojsko narodowe prowadziło swój zwycięski marsz, on ciągle dochodził do siebie. Potem wrócił do służby w Mieszanym Regimente Inżynieryjnym w Lugo, a gdy tylko nadarzyła się okazja, zgłosił się na ochotnika do Błękitnej Dywizji, żeby dokończyć to, co w Hiszpanii zostawił rozgrzebane.

– Teraz, skoro mam już wszystkie szczepionki, umiem posługiwać się mauzerem, postawić namiot z nieprzemakalnym tropikiem, czekam na wysłanie na front.

– A saperzy zawsze idą na pierwszą linię.

Antonio Ponte uśmiechnął się z dumą.

– Oczywiście, że na pierwszą linię. – Chłopak wypchnął pierś, wyglądał jak Balilla w mundurze Wehrmachtu.

Lena spojrzała na niego z czułością.

Przy beczce z piwem Niemcy i Hiszpanie przechodzili przez fazę podniecenia wielką przyjaźnią, więc obejmując się, nucili razem *Kastylijskie strzały*, które, jak się okazało, Niemcy również znali, chociaż po niemiecku, rzecz jasna.

*

Na dziedzińcu więzienia Montluc wschodziło słońce. Szron białł bruk i dachy, nawet powietrze było białe i lodowate. Pod gołym niebem stała dwudziestka więźniów, także czarno-białych jak rozedrgane kamienie domina. Ich wyświechtane ubrania nie chroniły przed zimnem ani nie przywracały im utraconej godności. Niektórzy trzymali stare walizki, na wpół puste, i ta bezsensowna własność ich wyróżniała. Guillén był drugi z lewej w trzecim rzędzie; bez godności i bez walizki. Opatrunki na jego rękach zaczynały robić się czarne i strzępiły się na końcach; twarz ciągle była sina i spuchnięta; ból w piersiach nie pozwalał się wyprostować; starał się tłumić kaszel, żeby nie zwracać na siebie uwagi; już utrzymanie się na nogach było cudem; może gdyby zachował odrobinę godności...

Stali tak przez dobre dwie godziny, nieruchomo, w milczeniu, w rozformowanym szyku, jak cienie. Nagle, jakby operator maszyny, która rozstawiała ich na dziedzińcu, zdołał sprawić, że maszyna zaskoczyła, scena wypełniła się akcją: popychaniem i krzykami załadowali ich do autobusu i pod okiem policjantów Vichy ruszyli w nieznaną. Guillén skulił się na siedzeniu na końcu przejścia. Trząśił się z zimna i dusił kaszlem. Spojrzał przez okienko do tyłu, ale zaraz zwyciężyło zmęczenie, więc zapadł w półsen, wspierając się na lodowatej szybie.

Czasem otwierał oczy: przy hamowaniu albo na zakrętach, kiedy bolała go szyja i kiedy nachodził go atak kaszlu. Tablice wskazywały kierunek Paryż. Padał śnieg. Pusta szosa. Przydrożna knajpa. Zatrzymali się na odpoczynek; niektórzy poprosili o wodę, jedzenie lub pójście do toalety, ale w zamian otrzymali tylko wrogie spojrzenia i groźby; zganili też jednego, który modlił się na głos jak stara dewotka. Guillén podziękował w myślach za to, że policjant uciszył tego człowieka. Zamknął oczy.

Ocknął się, czując, że autobus hamuje. Spał dłużej, niż myślał, bo zapadał już zmrok. Wyrzwał przez okno i dostrzegł wieże strażnicze, reflektory i plac otoczony rowem i drutem kolczastym. Po kiego diabła wyciągali go z jednego

więzienia, żeby wsadzić do drugiego?

Szybko odkrył, że to nie jest jakieś tam więzienie. Bramy wejściowej strzegło SS, a na małej tablicy widniało: FRONTSTALAG 122 (KZ ROYALLIEU). Było to niemieckie więzienie na francuskiej ziemi.

Autobus zaparkował pośrodku placu otoczonego przez baraki ustawione w literę U. Znowu krzykami i popychaniem policjanci wyrzucili ich na zewnątrz. Gdy tylko Guillén postawił nogi na ziemi, w ciemności przecinanej snopami światła reflektorów, poczuł na twarzy podmuch lodowatego wiatru, niosącego ze sobą drobniutkie płatki śniegu; teraz zimne wnętrze autobusu wydało się przytulne i ciepłe. Znowu tworzyli rozłazącą się, rozedrganą grupę. Kaszel, pociąganie nosem, szepty niczym grzechotanie szklanych kulek w kieszeniach, zdania po niemiecku i groźne poszczekiwanie wilczurów. Strażnicy z SS zajęli miejsce francuskiej policji i zaczęli sprawdzać listę obecności, wymawiając nazwiska z silnym niemieckim akcentem. Guillén odpowiedział tak słabo, że musiał powtórzyć, by uniknąć uderzenia kolbą: *Moi!*

Przeszli później do polowego fryzjera, skąd wszyscy wyszli z ogolonymi głowami. Potem zostali wykąpani w zimnej wodzie, wystawieni na publiczny widok. Następnie nadeszła pora na pobieżne badanie lekarskie wykonane przez niemieckiego lekarza, który w zasadzie mógł być felczerem, bo wbił Guillenowi pieczętkę „zdolny”, mimo jego żalostnego wyglądu i mimo że głośno świszczowało mu w piersiach. Na zakończenie dostał kubek, koc i metalową tabliczkę. Został numerem 3794.

Było już po północy, kiedy przydzielono go do baraku A6. Wszedł po omacku do sali pełnej prycz. Wszyscy spali. Zanurzony w zaduchu ludzi, których istnienie potwierdzało chrapanie i inne mniej szlachetne odgłosy, wyszukał wolne miejsce. W końcu znalazł, niemal na ziemi: zawieszony i zapluskwiony barłóg, śmierdzący jak wszyscy diabli. Jednak sam fakt, że wreszcie może się położyć, sprawił mu niewypowiedzianą przyjemność.

– Ej, ty! Wstawaj! Wychodzimy! O ósmej trzeba być na placu.

Nie miał siły wstać ani nawet poruszyć żadnym mięśniem. Powieki ciążyły mu straszliwie, a oczy piekły, jakby były zasypane piaskiem. Drapał się po całym ciele jak szalony. Kaszlał i za każdym razem skręcał się z bólu.

Znowu go pogoniono.

– Lepiej wstawaj, jeśli nie chcesz zaliczyć kary już w pierwszy dzień.

Spojrzał w stronę okna; na zewnątrz ledwie było widać światło, słońce jeszcze nie wzeszło. Poczuł chłód i żołądek ściśnięty z głodu. Poczuł, że jest słaby i chory. Ale wstał, tak jak wstawał przez ostatnie tygodnie, siłą inercji, instynktownie, żeby nie dać się pokonać. I wlokąc nogę za nogą, ruszył na plac, żeby znowu zostać złym żołnierzem.

Kubek ciepłej wody miał starczyć za całe śniadanie. Mówili, że to herbata, chociaż Guillén wolał sobie wyobrazić, że to kawa, nigdy nie lubił herbaty. Wypił ją, rozglądając się wokół, jakby miało jakieś znaczenie, jak wygląda miejsce, do którego go wywieziono. Potem czekał. Spodziewał się tortur, wyczerpujących ćwiczeń, pracy przymusowej... A jednak ze zdumieniem obserwował, jak wszyscy się rozpraszają, każdy sam – najwyraźniej nie mieli żadnych obowiązków. Nie zastanawiając się za wiele, po szybkiej wizycie w latrynie wrócił do baraku.

Mimo że czuł się mocno osłabiony, zdołał się tylko zdrzemnąć. W baraku panował ciągły hałas: jedni wchodzili, inni wychodzili, jedni rozmawiali, inni zlorzeczyli, jeden się modlił, dwóch się kłóciło... Pluskwy gryzły mu plecy, kaszel nie pozwalał zasnąć. Na pryczy naprzeciwko kilku ludzi grało w karty. Krzyczeli, wydawało mu się, że po hiszpańsku. Podparł się łokciami i usiadł. Karaluch przebiegł mu po nogach, ale jego bieg skończył się pod butem jednego z grających. Tak, mówili po hiszpańsku i grali hiszpańskimi kartami. Guillén ostatni raz grał w karty w okopach.

– Jesteście hiszpańskimi towarzyszami?

Tamci go nie usłyszeli, tak bardzo byli pochłonięci grą.

– Tak, są Hiszpanami – odpowiedź nadeszła z nieba, od człowieka, który zszedł z pryczy nad nim.

Stał przed Guillenem. Był wysoki i suchy, czystszy, niż można by się spodziewać w takim miejscu, w swetrze w serek i koszuli w kratę. Guillén pozazdrościł mu grubego szalika otulającego szyję. Jego małe oczy wydawały się jeszcze mniejsze za okrągłymi szklami okularów. W ręku miał książkę. Wyglądał na intelektualistę.

– José Luis Barros z Teruelu. – Wyciągnął do niego rękę.

José Luis Barros nie był anarchistą ani komunistą, ani nawet socjalistą, ale w wyborach 1936 roku zagłosował na Front Ludowy, bo wydawało mu się, że to jedyna opcja polityczna, która będzie popierać laickie kształcenie, publiczne i koedukacyjne, jak również wspierać rozwój kultury, wszystkie te nieistotne sprawy w kraju z odsetkiem analfabetów przekraczającym trzydzieści pięć procent. A będąc nauczycielem greki w liceum w Saragossie, nie znajdował nic bardziej istotnego niż wykształcenie i kultura. „One czynią narody wielkimi”, mawiał.

Szkoda tej straconej możliwości. Już prawie nie pamiętał, kiedy uczył, jak traktował uczniów, jak zapładniał dziewicze umysły, przekazywał wartości, kształtował sumienia... Przekłęta wojna zmusiła go do chwycenia za broń, podczas gdy jedyną dopuszczalną bronią powinno być słowo. W styczniu 1939 roku nie miał innego wyjścia, musiał przekroczyć Pireneje po oblodzonych drogach prowadzących na wygnanie i wraz z pięciuset tysiącami innych pokonanych dusz natychmiast stał się *rouge espagnol*. On, który nie był ani anarchistą, ani

komunistą, ani nawet socjalistą. Zamknęli go w obozie dla uchodźców w Saint Cyprien. José Luis śmiał się gorzko z tej manii nienazywania rzeczy po imieniu. Kawał plaży ogrodzonej parkanem i drutem kolczastym, pilnowanej przez senegalskich żołnierzy, bez wody pitnej i opieki lekarskiej, bez szopy czy namiotu, w którym można by się schronić, nie jest obozem dla uchodźców... Później Francja przystąpiła do wojny z Niemcami, więc jemu, tak jak wielu innym, zaproponowano możliwość opuszczenia obozu, jednakże pod pewnymi warunkami: wstąpić do Legii Cudzoziemskiej, do oddziałów ochotniczych albo do kompanii robotniczej. On, który zawsze był pacyfistą, wybrał trzeci wariant. Kopał okopy na froncie i budował umocnienia linii Maginota. W czerwcu 1940 roku Niemcy otoczyli jego kompanię pod Verdun i wzięli ich do niewoli. Rząd francuski miał gdzieś pojmanych hiszpańskich republikanów; przecież oni w ogóle nie byli Francuzami. Rząd hiszpański oczywiście też; według nich przestali być Hiszpanami. No to kim są? *Rotspanier*. I tak José Luis Barros, nauczyciel greki w liceum w Saragossie, który nie był anarchistą ani komunistą, ani nawet socjalistą, został osadzony w Frontstalag 122 jako czerwony Hiszpan oraz wróg Rzeszy.

– Wróg Rzeszy... W tym akurat mają rację: wkurza mnie ta pieprzona Rzesza.

Guillén łakomie pogryzał suchara, którego dał mu José Luis. „Od czasu do czasu, rzadko, pozwalają nam na paczki od rodziny”, wyjaśnił nauczyciel, widząc jego utkwione w sucharze spojrzenie wygłodniałego zwierzęcia. „Przechowuję je w chusteczce jak złoto, ale ty wyglądasz na człowieka, który bardzo ich potrzebuje”. „Od dawna nic nie jadłem...”, tylko tyle zdołał wykrztusić Guillén z ustami zalanymi śliną.

– Od kiedy tu jesteś? – zapytał Josego Luisa pomiędzy gryzami, odzyskując każdy choćby najdrobniejszy okruszek spadający mu na koszulę.

– Od stycznia 1941. Praktycznie od powstania tego obozu. Wtedy byli tu tylko jeńcy wojenni. Większość z nich przeniesiono do innych obozów w Niemczech, żeby ich wymienić. Wszystkich poza Hiszpanami, nawet do wymiany się nie nadajemy, nikt nas nie chce. Juan, Mariano, Celestino, Miguel... – Pokazywał spojrzeniem grających w karty. – Także Antonio, który zmarł zeszłej zimy na dyzenterię, i Perico, którego zabili... Wszystkich nas tu zostawili i dołączyli jeszcze innych, uważanych za niepożądanych, z obozów z całej Francji: komunistów, członków ruchu oporu, Żydów... W czerwcu tego roku obóz przeszedł w ręce Sipo-SD, policji Rzeszy. Najpierw były to koszary wojska francuskiego, znane jako Royallieu-Compiègne, a podczas wielkiej wojny szpital wojskowy.

– Teraz rozumiem estetykę baraków: te pobielone ściany, dachy z czerwonej dachówki, ładne okna... Wyglądałyby jak przyjemne domki wypoczynkowe, gdyby nie to, że ciągną się jak tunele – zauważył Guillén sarkastycznie.

– Tak naprawdę są tu jakby trzy obozy, oddzielone od siebie. Obóz A, w którym trzymają nas, jest dla komunistów i członków ruchu oporu. Obóz B dla Amerykanów i Anglików i ich traktują trochę lepiej, bo pochodzą z krajów, które przystąpiły do wojny, więc muszą wobec nich przestrzegać konwencji genewskiej. Obóz C dzieli się na dwie części: jedna jest dla specjalnych więźniów francuskich – wysokich funkcjonariuszy, sam rozumiesz... ich też traktują lepiej – a druga też jest podzielona: inna dla Rosjan, inna dla więźniów zbuntowanych i niebezpiecznych, inna dla kobiet i inna dla Żydów... No dobra, Żydów już nie ma: tego lata wywieźli ich wszystkich.

– Dokąd ich zabierają?

José Luis wzruszył ramionami.

– Co jakiś czas zbierają po kilkuset – nie tylko Żydów, innych też – i prowadzą ich na stację. Ale... dokąd... Nikt tego nie wie. Może do Niemiec, do obozów pracy. Czasem jest ich tylko dziesięciu, najwyżej dwudziestu. To nie jest dobre... Tych rozstrzelują w odwecie za jakieś zamachy. Tak było z Perico...

Ponieważ Guillén już skończył jeść suchara, José Luis poczęstował go papierosem, ale odmówił, i ta odmowa zmartwiła go bardziej niż silny ból w płucach. Musi być bardzo ciężko chory, jeśli nie ma ochoty palić.

– Chociaż coś ci powiem – ciągnął towarzysz po zapaleniu papierosa. – Nie sądzę, żeby to było coś gorszego niż to, przez co już przeszedłeś. – Wnioskował z jego wyglądu. – Tutaj zabije cię głód, choroba, nuda, brud... Może któregoś dnia wyczytają twój numer, żeby zaprowadzić cię gdzieś i strzelić ci w tył głowy w lesie... Ale do tego czasu od ósmej rano do dziewiątej wieczorem czas jest twój i musisz go zabijać, jeśli nie chcesz, żeby on zabił cię wcześniej.

W tej chwili rozległa się syrena.

– Dwunasta, czas na obiad – zauważył José Luis, wstając. – Gówniana zupa. Ale lepiej, żebyś jej nie stracił, bo to jeden z twoich dziennych posiłków.

– Później będzie jeszcze jedna gówniana zupa?

– Och, nie. Tutaj jadłospis jest bardzo urozmaicony: o piątej dostaniesz kawałek chleba z czymś tłustym, co wydaje się woskiem i smakuje jak wosk. Jak już ci mówiłem, nie będzie to gorsze niż to, przez co przeszedłeś. Chodźmy, pomogę ci wstać.

*

Od długiego czasu Lena nie widziała śniegu na Boże Narodzenie... Śniegu o wielkich płatkach, które tkwały biały koc, gruby i puszysty niczym pierzyna. Jak w wiosce.

Patrząc na śnieg, myślała o Guillenie i widziała go dziwacznie dorosłego

w wiosce, z której wyjechał jako dziecko, dorosły w rodzinie, z której został już tylko cień. I on sam był tylko cieniem, tylko wspomnieniem; płatkiem śniegu, spadającym i znikającym w białym bezmiarze...

Od tak dawna nie miała od niego wiadomości... Zadawała sobie pytanie, gdzie teraz może być, czy jest zdrowy i bezpieczny. Kiedy przejeżdżali przez Francję, przyglądała się każdej twarzy, licząc na to, że spotka go w najmniej spodziewanym momencie.

Kiedy indziej myślała o Jaimem... Najgłupsze rzeczy sprawiały, że zaczynała o nim myśleć: rozcięcie na czole rannego, witryna jedynej ciastkarni w Hof, czapki izabelińskie niektórych żołnierzy... Jaime potrafiłby sprawić, żeby się uśmiechnęła nawet w najgorszej chwili. A jednak w tamtej chwili na pewno ją przeklinał, zbity z tropu zaskakującym brakiem odpowiedzi na listy. Z pewnością nigdy jej nie wybaczy, nie będzie chciał o niej słyszeć po tym, jak bardzo źle się z nim obeszła. Jego również utraciła na zawsze.

Guillén... Jaime... Nigdy nie przyszło jej do głowy, jak smutna i nieszczęśliwa będzie się bez nich czuć. Jak bardzo za nimi tęskni, jak często czuje się samotna.

„I znów myślisz o niebieskich migdałach!” – nabijała się z niej Nati. Praca i przyjaciółki sprawiały, że twardo stała na ziemi. Lena otrząsała się z melancholii i wracała do terażniejszości. Było Boże Narodzenie! I musiała podtrzymywać morale rannych i chorych, którzy znajdowali się z dala od domu.

Przystroili drzewko przy wejściu do szpitala łańcuchami z papieru i pustymi flakonikami po lekarstwach. Dekorowanie świerków w czasie świąt to niemiecki zwyczaj i pielęgniarkom wydał się on zwyczajem wesołym i ładnym. Chociaż nie odmówiły sobie tradycyjnej szopki. Kilku żołnierzy przygotowało figurki z desek i dokładnie je pomalowali: Święty Józef, Matka Boska i Dzieciątko Jezus zajęły uprzywilejowane miejsce pod drzewkiem, a ksiądz je poświęcił.

W tym czasie ochotnicy otrzymywali od rodzin wiele listów i paczek. Renata przysłała Lenie wielką paczkę książek, wodę kolońską, wędliny z Leonu i ciasteczka oraz gruby wełniany sweter, który sama zrobiła; Lenie wydał się doskonały, żeby nosić go na uniform w najzimniejsze dni.

Przysyłano też z Hiszpanii, dzięki szczodrym datkom, do których zachęcała Akcja Socjalna, i zgodnie z powstałą podczas wojny tradycją, specjalne prezenty dla żołnierzy: najróżniejszego rodzaju, bardzo elegancko zapakowane przez ochotników, pośród których znajdowały się scyzoryki z Albacete, swetry, skarpety, rękawiczki, znaczki i medaliki, papierosy, koniak, wino, kiełbasa w oliwie, konserwy, marcepan albo turon. Do tych darów należało jeszcze doliczyć tak zwany prezent Führera rozdawany niemieckim żołnierzom, a zawierający artykuły pierwszej potrzeby, których zaczynało brakować, przede wszystkim na froncie.

Wiele myśleli o froncie, szczególnie żołnierze. Przybyli stamtąd i wiedzieli,

że w Boże Narodzenie nie ma zawieszenia broni: walki z pewnością trwały jak zwykle, chłopcy spędzali święta w polu, przy niemal pięćdziesięciu stopniach poniżej zera, przytuleni do karabinu, pod ogniem nieprzyjaciela. Najwięksi szczęściarze zbiorą się wokół pieca w izbie, by pocieszać się wódką i śpiewanymi chórem kolędami, żeby zaraz potem wracać na pozycje na pierwszej linii. Niektórzy zginą w święta, bo wojna jest na święta obojętna.

W Boże Narodzenie odbył się koncert kolęd śpiewanych po niemiecku i hiszpańsku, na którym były obecne lokalne władze obu bratnich krajów, jak również ważny generał, bohater świętej wojny w Hiszpanii, który przyjechał, aby w imieniu Caudillo przekazać ochotnikom wyrazy solidarności i wsparcia ze strony rodaków.

Nastąpiły pompatyczne przemówienia, wręczanie odznaczeń i polowa pasterka, ponadto uroczysta kolacja dla dowództwa i żołnierzy, podlana dobrym winem i przypieczętowana mocniejszymi trunkami i eleganckimi cygarami, osobistym prezentem od generała Franco.

Wcześniej Lena miała poranny dyżur i musiała zajmować się całą salą niezdyscyplinowanych rekonwalescentów, którzy podnieceni świętami, wyskakiwali z łóżek, żeby wymieniać się prezentami, śpiewali kolędy, wymyślali świąteczne pozdrowienia i ogólnie się wygłupiali. „Siostró, zrobi sobie pani ze mną zdjęcie, dla mamusi?”, „Siostró, nikt jeszcze pani nie powiedział, że ładniejszej nie ma w całej Hiszpanii?”, „Siostró, skoczyła mi temperatura!” W końcu postanowiła wyjść z sali, która bardziej przypominała wybieg dla szympanów, i poświęcić resztę dyżuru na porządki. W ostatniej godzinie poczytała jakiemuś chłopakowi, który został oślepiony w wyniku eksplozji; potem napisała list chłopakowi, który jej dyktował, i zanim sobie poszła, przyrzekła mu, że od czasu do czasu wyjdzie z nim na spacer po okolicach szpitala.

Po dyżurze doprowadziła się do porządku i zmieniła fartuch, po czym udała się do kantyny na kolację. Po drodze spotkała saperską Antonia Pontego, którego już nazywała Toñín. Chłopak musiał zostać w Hof przez kilka tygodni z powodu grypy, chociaż już w zasadzie doszedł do siebie.

– Dwudziestego siódmego wyruszam na front, dzisiaj zostałem wypisany i skierowano mnie do dowództwa – powiadomił Lenę, idąc obok niej do kantyny po zaśnieżonym dziedzińcu. Młody żołnierz od czasu do czasu chuchał w rękę i zacierał je.

Lena uśmiechnęła się, nie spuszczając oka z oblodzonej drogi.

– Zawsze jestem trochę smutna, kiedy wyjeżdżają moi pacjenci – przyznała.
– Ale tak musi być.

– No przecież przyjechaliśmy tutaj, żeby walczyć. No bo po co? Ale żeby mieć panią za sanitariuszkę, trzeba było trafić aż do Niemiec i złapać grypę, więc

przyjechałem!

Tym razem uśmiechnęła się do niego w podziękowaniu za komplement.

– Też będę za panią tęsknić – ciągnął Toñín. – Bardzo się zaprzyjaźniliśmy ostatnio, co? Jak mnie ranią na froncie, zapytam, w którym jest pani szpitalu, żebym do pani trafił. Nie chcę innych sanitariuszek.

– Proszę nawet nie mówić o ranach – powiedziała z poważną miną. – Nie wolno tego wspominać. Proszę wracać w jednym kawałku i przywieźć mi rosyjską ikonę, taką, o jakich rozmawialiśmy. Przyniesie mi pan.

– To prawda... No właśnie, mam dla pani prezent. Prezent pod choinkę.

– Prezent dla mnie?

– No, tak naprawdę nie ode mnie, tylko od mojej matki. Proszę – zaczął wyjaśniać, jednocześnie przeszukując kieszenie niemieckiego munduru – napisałem do niej, że zachorowałem, ale nie powinna się martwić, bo miałem szczęście trafić na sanitariuszkę jak anioł: śliczną, ofiarną, dobrą i czułą, która dba o mnie tak dobrze jak ona... – Zanim Lena zdołała zaprotestować, żołnierz mówił dalej: – Dlatego w paczce do mnie załączyła to, z poleceniem, żebym pani przekazał.

Toñín podał jej torebeczkę, Lena była bardzo podniecona niespodzianką. Stanęli dokładnie przed kantyną. Grupki żołnierzy mijały ich w radosnym nastroju; Lena ani na chwilę nie spuściła wzroku z małej płóciennej torebeczki, którą zaczęła bardzo ostrożnie otwierać.

– To medalik Matki Boskiej Różańcowej – wyjaśnił Toñín – którą moja matka bardzo ceni. Mówi, że to po to, żeby panią chronił.

Lena zacisnęła medalik w pięści i przyłożyła do serca. Zagryzła usta. Nie potrafiła ukryć, jak bardzo wzruszył ją ten gest.

– Ja... Tylko wypełniłam swoje obowiązki.

Młody żołnierz wzruszył ramionami, jakby nie przywiązywał do sprawy żadnej wagi.

– Wie pani, jakie są matki...

– Napiszę do niej, żeby podziękować, a pan załączy to do swego następnego listu, proszę. – Powiedziawszy to, Lena podeszła do chłopaka i pocałowała go w policzek. – Proszę jej przekazać ode mnie pozdrowienia, jak ją pan spotka.

Antonio Ponte uniósł ręce do miejsca, gdzie jeszcze paliły go usta tej pielęgniarki, o której śnił na jawie, i się uśmiechnął. To dopiero był wielki gwiazdkowy prezent, talizman, z którym mógł pewnie wyruszyć na front.

*

Zgodnie ze zwyczajem panującym w niemieckich obozach jenieckich

zarządzanie większością rutynowych czynności w Frontstalag 122 należało do samych osadzonych. Kapo otrzymywał rozkazy bezpośrednio od niemieckich strażników i wykonywał je poprzez szefa służby porządkowej oraz szefów każdego baraku zajmujących się administracją. Jednym z obowiązków szefa baraku było codzienne sporządzanie listy więźniów przenoszonych do ambulatorium i powiadamianie o tych, którzy prosili o pomoc lekarską.

José Luis Barros był jednym z najdłużej osadzonych w obozie; nigdy nie brał udziału w żadnej bójce ani nie rzucał się w oczy jako agitator. Sprawiało to, że strażnicy obdarzali go zaufaniem wystarczającym, żeby został mianowany szefem baraku. José Luis był człowiekiem nad wyraz skrupulatnym, bez względu na naturę powierzonych mu obowiązków. Takie okoliczności okazały się dla Guillena niezwykle korzystne.

Była niedziela i panowało przenikliwie zimno. W niedzielę francuski ksiądz odprawiał mszę dla więźniów w polowej kaplicy. Nie wszyscy więźniowie byli praktykującymi katolikami, ale msza wytrącała z nudnej obozowej rutyny. Mimo to José Luis wolał pozostać w baraku i po raz kolejny czytać swoje książki. W pewnej chwili zmęczył się lekturą, a ponieważ chciało mu się pogadać, poszedł do Guillena, o którym już wiedział, że nie przepada za religijnymi rytuałami. Wystarczyło, że zbliżył się do jego pryczy, by zapaliły mu się wszystkie lampki alarmowe. Chłopak wyglądał jak trup i tylko wstrząsające nim dreszcze wskazywały na to, że jeszcze oddycha. Podszedł i dotknął jego czoła: płonęło.

– Jesteś bardzo chory. Trzeba zaraz cię zabrać do lekarza.

Guillén chwycił go za rękę.

– Nie – wydyszał szklanym głosem – tam się idzie tylko po to, żeby umrzeć...

– I tak umrzesz, jeśli nie zbada cię lekarz.

Guillén uśmiechnąłby się, gdyby nie kolejny napad kaszlu.

– Umrzeć... Wreszcie... – podsumował, gdy doszedł do siebie.

– Nie! Jeśli umrzesz, to będzie znaczyło, że oni wygrali. Nie możesz na to pozwolić. Dam znać strażnikom.

José Luis pośpiesznie wyszedł. Guillén już nie protestował. Zamknął oczy i wszystko się rozplynęło.

Podoficer straży, typ szorstki, o krępej budowie, któremu broda łączyła się z brwiami, zmarszczył czoło.

– Już zgłosiliśmy listę do lekarza, na dziś koniec – odrzucił prośbę Josego Luisa zgłoszoną okropnym francuskim i dalej zajmował się swoją papierkową robotą.

José Luis pominął drogę służbową i udał się bezpośrednio do podoficera, pomijając kapo, bo rozmowa z tym bezdusznym gryzpiórkiem, którego zamknięto

za to, że zatkął na śmierć kolegę z pracy, i został kapo, bo odznaczał się taką samą brutalnością wobec wszystkich więźniów, na nic by mu się zdała. Kapo zdecydowałby o przywiązaniu Guillena do pryczy.

– Wiem, *herr Unterschar* – nie ustępował José Luis. – Ale jest moim obowiązkiem poinformować pana, że może chodzić o przypadek gruźlicy...

Brandt, bo tak się nazywał ten sierżant, ponownie uniósł wzrok znad papierów.

– Gruźlica? Skąd pan wie?

– Nie wiem. Nie jestem lekarzem. Ale po co ryzykować epidemię?

Germaine Pourvoyeur była asystentką Czerwonego Krzyża z Compiègne. Mimo wielu przeszkód i utrudnień, które niemieckie władze stawiały przed Czerwonym Krzyżem próbującym pomagać więźniom Frontstalag 122, madame Pourvoyeur starała się być w obozie niemal codziennie. Więźniowie nazywali ją „naszym aniołem stróżem”. Zgłaszali się do niej z prośbą o dostarczenie listów do rodziny, jakby chodziło o przemyt. Prosilili ją o żywność, ubrania, książki, a nawet o okulary albo akwarele. A madame Pourvoyeur, ryzykując życie i w wielu przypadkach uciekając się do pomocy obywateli Compiègne, również ryzykujących życie, w miarę możliwości spełniała te prośby. Chodziła też do lazaretu, doglądać chorych z większą czułością niż lekarze, w miejscu, gdzie łóżko z pościelą było największym luksusem, jakim dysponowali.

W tę niedzielę przejmującego zimna, kiedy przeniesiono tam Guillena, Germaine Pourvoyeur była w obozie. Natychmiast zajęła się tym wychudzonym Hiszpanem, którego kilku więźniów przyniosło na noszach, bo nie mógł utrzymać się na nogach i bredził w malignie. Niemiecki lekarz ledwie rzucił na niego okiem, tylko tyle, żeby wykluczyć gruźlicę, i bez żadnych zaleceń co do leczenia wysłał go do szpitala.

Madame Pourvoyeur przebrała go i umyła; zmieniła mu stare bandaże na nowe, przyłożyła kompresy z chłodnej wody na czole i natarła piersi alkoholem, żeby obniżyć temperaturę; na koniec przykryła go wszystkimi kocami, jakie udało jej się znaleźć. Nie była lekarką, ale po latach odwiedzin u chorych wyrobiła sobie przenikliwe oko kliniczne: ten człowiek może i nie miał gruźlicy, ale poza niedożywieniem i ciężkimi obrażeniami, które wpłynęły na jego osłabienie, cierpiał na zapalenie płuc; jeśli go nie będą leczyć, szybko umrze.

Towarzysze, niech żyje Falanga Hiszpańska! [wrót]

Styczeń 1943

Po zakończeniu dyżuru przełożona pielęgniarek zebrała ostatnią grupę ochotniczek w szpitalnej sali. Czekać z niecierpliwością na niespodziewane spotkanie, Lena, Nati i inne kobiety śledziły wzrokiem kroki dowódcy lekarzy, który przeszedł przez salę i stanął przed nimi.

Oznajmiwszy, że nie muszą notować, ten wysoki mężczyzna ze skrupulatnie przyciętym wąsem i srebrnymi skroniami, który Nati wydawał się bardzo elegancki, wygłosił do nich przemówienie krótkie i zwięzłe, aby wprowadzić je w temat.

1 sierpnia 1942 roku ich dywizja otrzymała rozkaz przegrupowania się z Frontu Moskiewskiego na Front Leningradzki, aby wzmocnić oblężenie, które Wehrmacht od miesięcy trzyma wokół dawnej rosyjskiej stolicy. Dowództwo Wojskowej Służby Zdrowia zajęło pozycje w Miestielewie, niewielkiej miejscowości oddalonej o dwadzieścia pięć kilometrów od linii frontu, gdzie od września działał szpital polowy. Celem tego zebrania było wytypowanie pielęgniarek, które zastąpią te z Miestielewa, których czas służby dobiegał końca.

– Nie będę was oszukiwał – obwieścił dowódca stanowczym głosem. – Intensywność i zasięg wrogiej artylerii w tej okolicy są tak wielkie, że niekiedy tyły stają się szpicą. Bardzo często są ostrzeliwane: intendentura, magazyny amunicji i szpitale. Nie jest to miejsce, w którym wasze bezpieczeństwo jest zagwarantowane, i musicie być tego świadome, zanim podejmiecie decyzję. Powtarzam, że wasze zgłoszenie jest absolutnie ochotnicze. Teraz proszę was, aby te, które się zgłaszają, wstały.

Sala wypełniła się szuraniem krzeseł: niemal w jednej chwili wszystkie pielęgniarki podniosły się z miejsc.

Dowódca uśmiechnął się z satysfakcją i dumą.

– Dziękuję, towarzyszki. Tego się po was spodziewałem. Ponieważ stanowisk nie ma tak wiele, będziemy musieli przeprowadzić proces selekcji i niebawem wydamy odpowiednie rozkazy przeniesienia. Możecie się rozejść.

Nazajutrz Lena została wezwana do gabinetu szefowej pielęgniarek, kobiety dojrzałej, falangistki, która raczej rzadko się uśmiechała, a na sali operacyjnej robiła wrażenie ważniejszej niż chirurdzy. Krótko i bez zbędnych wstępów wyjaśniła jej, że mając na względzie zarówno jej przygotowanie, jak i doświadczenie pracy w szpitalach podczas wojny domowej w Hiszpanii oraz wysoką ocenę jej działań, zdecydowano się wysłać ją do szpitala w Miestielewie. Miała wyjechać w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Ucieszona Lena pobiegła do pokoju, żeby się spakować. Jak przy poprzednich okazjach, myślała tylko o wypełnieniu swojego obowiązku, nie

zwracała za bardzo uwagi na drobne szczegóły. Gdy niebawem pojawiła się Nati z wiadomością, że ona również została wybrana, bardzo się ucieszyła.

– Ładuj do walizy wszystkie te swoje medaliki i święte obrazki, Leno. – Przytuliła przyjaciółkę, machając w powietrzu rozkazem przeniesienia jak flagą.
– Będą musiały nas chronić w tej Rosji!

*

Trudno było o lekarstwa w tym czasie. Braki w zaopatrzeniu w surowce konieczne do ich produkcji, przeszkody w transporcie i fakt, że największa część zgromadzonych zapasów została skonfiskowana przez Niemców, doprowadziły do tego, że leki stały się towarem luksusowym. Na szczęście Germaine Pourvoyeur miała swoje kontakty i dzięki pomocy pewnego aptekarza z Compiègne zdołała zdobyć zastrzyki prontosilu, jedyne sulfonamidu naprawdę skutecznego w przypadku ciężkich infekcji. Zdobyła też aspirynę na gorączkę i ból oraz butelkę tranu.

Stopniowo gorączka spadała, ustąpił kaszel i świszczenie w płucach, Guillén zaczął jeść; kilka dni później odzyskał kolory, a skóra nie opinała w tak przerażający sposób kości; oczy nie wydawały się już tak zapadnięte ani pozbawione wyrazu, pozostały jednak smutne.

– Jesteś bardzo silny – zauważyła Germaine, zobaczywszy na termometrze, że jego temperatura zaledwie o kilka kresków przewyższa normalny stan. – Każdy inny na twoim miejscu już byłby załatwiony.

Guillén nie uśmiechnął się. Odwrócił tylko głowę, żeby na nią spojrzeć.

– Pani to zawdzięczam.

– No i cudowi.

– Proszę się rozejrzeć: to nie czasy cudów. Gdyby Bóg istniał, powiedziałbym, że mnie karze.

Germaine pogładziła go czule po włosach. Przychodziły jej do głowy dziesiątki argumentów na obalenie tych słów, ale więzień ciągle jeszcze był słaby, nie czas go pouczać. Nie sposób uzdrowić duszy, kiedy ciało szwankuje.

– Jutro spróbuję przynieść ci coś dobrego do jedzenia. Coś słodkiego. Dobrze ci to zrobi. Tak, coś słodkiego...

Madame Pourvoyeur zaglądała do niego codziennie: zmieniała mu opatrunki, czyściła i dezynfekowała rany...

– Co ci się stało? – zapytała przy którejś okazji, bandażując mu prawą rękę. Brakowało mu palca wskazującego i dopiero kilka dni wcześniej rana przestała ropieć.

– Zadali mi kilka pytań, a ja nie byłem rozmowny... Nawet ich nie pamiętam... Nie pamiętam tych głupich pytań. No i wtedy ten typ... Ten typ z SS... Wsadził mi palec pomiędzy metalowe drzwi, zaraz przy samym zawiasie, i zatrzaskał je. Znienacka.

Germaine zadrżała. Bez słowa skończyła go bandażować.

– Miał kotka... Białego kotka, który podszedł obwąchać zmiażdżony palec, jakby to była kiełbasa.

Tydzień później Guillén mógł już siedzieć. Madame Pourvoyeur podłożyła mu pod plecy poduszki, żeby mu było wygodnie. Oparty lepiej oddychał i mniej kaszłał; policzki miał zaróżowione, kiedy słońce wpadało przez okno i świeciło mu na twarz. Nie uśmiechał się.

– Mogę zdobyć dla ciebie papier i ołówek, żebyś napisał do rodziny. Pewnie się ucieszą, że masz się dobrze.

„Moja rodzina?”

– Nie mam rodziny.

Guillén rozparł się na poduszkach i zamknął oczy, jakby drzemał. Robił tak za każdym razem, kiedy chciał uniknąć pytań.

„Hrabina...” Napisać do hrabiny? Czy ona jest może jego rodziną? A... jak do niej napisać? Obiecał jej, że zajmie się fabryką, i zawiódł ją. Przymknął jej, że nic mu nie będzie, i zawiódł ją. Przymknął jej, że będzie walczył... Zawiódł ją.

„Nie mam rodziny”, powtórzył w myślach, choć wiedział, że się okłamuje.

Madame Pourvoyeur zrobiła mu ostatni zastrzyk z prontosilu. Wyrzuciła pudełko. Umyła strzykawkę i włożyła ją do wygotowania. Szkło błyszczało przy każdym bąbelku.

Nie trzeba już było zajmować się nim codziennie; rany się zabiłzniły. Wystarczyło mierzyć temperaturę raz dziennie. Mógł sam jeść i się umyć. Ciało już było uzdrowione.

Ograniczyła się zatem do podsuwania mu poduszek, żeby mógł spędzać godziny ze wzrokiem utkwionym w okno.

Pewnego dnia Guillén ją zawołał. Zaczekał, aż skończy się zajmować innym pacjentem chorym na dyzenterię, leżącym po drugiej stronie sali.

– Madame... Mówiła pani, że może pani zdobyć papier i ołówek?

Germaine się uśmiechnęła.

Kochana Leno,

chcę tylko okna. Widoku nieba za szybą. Kiedy życie jest wyrokiem, chcę tylko patrzeć wstecz. Stracone okazje, błędy, nieobecność...

Chcę tylko okna. Wyobrażać sobie góry za szybą. Chcę tylko myśleć o Tobie.

Pustka. Niczym konar uschniętego drzewa, bez korzeni pod nogami ani życiodajnych soków w żyłach. Pustka bez ciebie. Za to, że się walczyło, że się wierzyło... Za to, że się było zdeorientowanym idealistą. Bez niczego. Bez ciebie.

Chcę umrzeć przed oknem. Patrząc na wszystko przez szybę. Rozmyślając o straconych okazjach, błędach, nieobecności... Myśląc o Tobie. I wiesz, że cię kocham. Teraz już mogę umrzeć.

Zgiął kartkę, nie przeczytawszy tego, co napisał.

– Chcesz, żebym to wysłała? – zapytała go madame Pourvoyeur.

– Nikt nie czeka na ten list. Od dawna nikogo nie interesuję. Pomyliłem się, ustalając swoje priorytety. Teraz jest już za późno.

– Nie ma zwycięstwa bez poświęceń.

– W moim przypadku po prostu nie ma zwycięstwa. Nie widzi mnie pani?

– Widzę, że żyjesz, a jeszcze całkiem niedawno byłeś prawie martwy. Widzę, że jesteś pokryty bliznami, które będą bezsensowne, jeśli się poddasz. Nie uważam, żebyś się mylił, skoro dotarłeś aż tutaj. Uważam, że pomylił się, jeśli teraz zrezygnujesz. Jesteś po stronie dobra, nie zapominaj o tym. Nie musisz się tego wstydzić.

Guillén rozparł się na poduszkach i zamknął oczy. Tym razem jednak Germaine nie miała zamiaru na to pozwolić.

– Do kogo jest ten list?

– Do kobiety, która jest po drugiej stronie. A mimo to może ucieleśniać tylko dobro. Straciłem ją, bo mieszkaliśmy w świecie, który nie jest w stanie istnieć bez podziałów.

– Nie tylko ją stracisz, jeśli przestaniesz walczyć o to, żeby świat nie był podzielony.

Następnego dnia Guillén podarł list. Spojrzał na okno i kawałek nieba, który zobaczył, wydał mu się bardzo mały. Poczł pragnienie, by je otworzyć.

– Madame, chciałbym poczytać książkę.

Madame Pourvoyeur uśmiechnęła się i Guillén po raz pierwszy przyjrzał się jej miłej twarzy: drobniutkie zmarszczki wokół oczu, ciepłe spojrzenie, delikatne policzki. Patrząc na jej twarz, poczuł spokój.

– Co chcesz poczytać?

– *Nędzników*.

*

Lenie przyśniło się, że Guillén umiera. Widziała go wiszącego na sznurze, duszącego się, pośrodku wioskowego placu. Zawieszono mu tablicę z napisem po rosyjsku i niemiecku: „Partyzant, który zabił niemieckich żołnierzy”. Ludzie otaczali jego trupa, patrzyli na niego beznamyślnie, podczas gdy on kołysał się jak wahadło. Ona krzyczała, płakała, chciała się do niego dostać, ale nie była w stanie.

Ocknęła się z przygnębiającym uczuciem rozdierającego płaczu w piersiach, ale policzki miała suche. Otarła ręką pot z czoła i napiła się wody. Znowu się położyła, nie mogła jednak zasnąć pod wpływem tego koszmaru.

Ostatnio często jej się śnił. A kiedy na jawie o nim myślała, robiła to z dziwnym poczuciem winy, jakby go zdradzała. Miała na sobie niemiecki mundur i była ochotniczką w walce z komunizmem. To oczywiście, że go zdradziła. W którymś miejscu na świecie on walczył o komunistyczną sprawę. Znowu każde po swojej stronie frontu.

Tego poranka osądzili hiszpańskiego republikanina, którego złapali kilka dni wcześniej, dowodził oddziałem partyzantów. Po zakończeniu wojny w Hiszpanii uciekł do Rosji, żeby dalej walczyć. Skazali go za uporczywą rebelię zbrojną. Na śmierć. Nie mieli zamiaru prowadzić go związanego po uliczkach wioski, nie mieli zamiaru wieszać go publicznie z zawstydzającą tabliczką, nie zostawią go tam na trzy dni, aż jego trup zacznie śmierdzieć; nie zrobią tak jak Niemcy tworzący spektakl pogardy i poniżenia. Rozstrzelają go bez publiki.

„Znowu jesteśmy na wojnie”, powiedziała do niej Nati, gdy znalazły się w Miestielewie. Tak. Wszystko, co wydarzyło się wcześniej, było jedynie wstępem, przygotowaniem, przedłużeniem tego, co robiły w czasie pokoju, ale teraz w mundurze. Codziennie słyszały niedalekie kanonady, widziały na horyzoncie rozbłyski wybuchów, przyjmowały zakrwawione i porozdzierane ciała u drzwi szpitala. Grzebały wielu towarzyszy na cmentarzu o dwa kroki stamtąd: hiszpańskie imiona na brzoźowych krzyżach z zawieszonym hełmem; młodzieńców, którzy wyruszyli z uśmiechem i nigdy nie powrócą. „Znowu jesteśmy na wojnie”.

*

Guillén usiadł na ziemi i oparł się o zalaną słońcem ścianę; chociaż dzień był chłodny, zaraz poczuł przyjemne ciepło na policzkach. Poza tym z tamtego miejsca miał świetny widok na mecz piłki nożnej rozgrywany na dziedzińcu przez grupę więźniów i na wieżę kościoła w Compiègne w oddali, za drutami. Poszperał w kieszeni marynarki i wyciągnął herbatnik, który przechowywał jak skarb, odłamał kawałek i włożył go sobie do ust, żeby powoli rozkoszować się jego

smakiem. Schował resztę słodkości do kieszeni, otworzył *Nędzników*, których przyniosła mu madame Pourvoyeur, i wrócił do lektury.

Po chwili krzyki, które rozległy się po zdobyciu gola, oderwały go od książki. Uniósł wzrok: jak należało się spodziewać, strzelił Fabien; chłopak oprócz tego, że był komunistą, był też napastnikiem w pierwszoligowej drużynie, więc patrzeć, jak gra, sprawiało prawdziwą przyjemność. Nawet strażnicy na wieżach oglądali jego mistrzowskie popisy.

Marszcząc czoło z powodu intensywnego światła, zobaczył nadchodzącego Josego Luisa, który w milczeniu usiadł obok niego i zapalił papierosa.

– Cholera, rzeczywiście świetnie się tu siedzi – zauważył z twarzą zwróconą w stronę słońca. Potem podał mu papierosa. – Jest dobry. Amerykański. Pilot z Obozu B dał mi kilka.

– Nie, dziękuję. Jeśli madame Pourvoyeur zobaczy, że palę... – usprawiedliwił się Guillén, chociaż tak naprawdę nie za bardzo miał ochotę. I właśnie w tej samej chwili zakaszłał.

José Luis sam więc rozkoszował się zaciąganiem dymem, po czym się odezwał:

– Profesor Jeunet wygłosi wykład o Napoleonie dziś po południu w trzecim baraku. Pójdziemy?

Nie odwracając wzroku od meczu, którego w rzeczywistości nie śledził, Guillén oznajmił niespodziewanie:

– Spadam stąd.

José Luis odwrócił się do niego, jakby źle usłyszał.

– Co takiego?

– Muszę się stąd wydostać.

– Oczywiście – zaśmiał się – ja też muszę. Ale nie możemy – podsumował, akcentując słowo „nie”.

– Mówię całkiem serio. Nie mam zamiaru tu siedzieć i nic nie robić, czekając nie wiadomo na co. Na zewnątrz ludzie walczą i giną za to, żeby coś zmienić, a tymczasem ja jestem tutaj, opalam się i gapię na mecz.

– Mówisz, jakbyś był na wakacjach, nie pierdol. To jebane piekło. A ja nie mam zamiaru czuć się winny tego, że palę amerykańskiego papierosa oparty o ścianę kurewskiego więzienia.

– Oczywiście, że nie. I jasne, że to jest gówno. Ale nie mam zamiaru dostosowywać się do tego nieszczęścia. Tak czy owak, wyjdę stąd.

– Wydaje ci się, że nikomu przed tobą się nie śpieszyło? Zeszłego lata dziewiętnastu gości kopało tunel pomiędzy barakami trzy i cztery i uciekło. Jedenastu się udało, ale od tamtego czasu wzmocniono straż. Raz po raz dokładnie rewidują baraki, nocami wypuszczają psy, które rozszarpują wszystko, co się rusza, i już ogłosili, że nie będzie litości wobec nikogo złapanego na próbie ucieczki:

strzał w tył głowy i po sprawie.

– No to wolę umrzeć, starając się uciec, niż z obrzydzenia wobec tego miejsca. Jeszcze coś wymyślę.

José Luis wzruszył ramionami i zaciągnął się po raz ostatni. Zgasił mikroskopijny niedopałek i schował go do kieszeni. Wziął swoją książkę z zamiarem zagłębienia się w lekturze.

„No to możesz się zastanowić; nie ma sposobu, żeby stąd uciec”, powiedział do siebie i zaczął czytać.

*

Szpital polowy w Miestielewie zajmował budynki po wcześniejszym niemieckim szpitalu. Znajdował się około dwudziestu kilometrów od frontu i to tu przywożono rannych z punktów opatrunkowych na pierwszej linii, żeby ich wyleczyć w okresie nie dłuższym niż tydzień, w przeciwnym bowiem razie byli odsyłani dalej na tyły. Miał dwa oddziały po sto łóżek i na każdym z nich salę operacyjną, do tego ekipę odontologiczną, oftalmologiczną i aptekę.

Gdyby nie wielki czerwony krzyż na drzwiach wejściowych i napisy gotykiem LAZARETT i APOTHEKE, te zbudowane z bali budynki o zdobionych dachach mogłyby wyglądać na wiejski ośrodek wypoczynkowy. We wnętrzu zadziwiał kontrast pomiędzy chłodem instrumentów medycznych i ciepłem drewnianych ścian oraz starych pieców z lanego żelaza.

Lena i Nati zostały przydzielone do grupy sanitariuszy i pielęgniarek hiszpańskich, którym pomagał rosyjski personel. Tyle się mówiło o komunistach, że Lenie nie przyszło do głowy, że w Rosji są przede wszystkim Rosjanie, Rusczy, jak o nich mówili żołnierze, i nie wszyscy są komunistami. Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę po kontakcie z miejscowymi, była ich straszliwa bieda. Większość z nich była chłopami, w znoju uprawiającymi ziemię pośród wszelkich nieszczęść. Wcześniej pracowali dla państwa, a teraz dla Niemców. Mieszkali w drewnianych chatach, zwykle jednoizbowych, gdzie życie rodzinne toczyło się wokół wielkiego pieca, na którym gotowano, przy którym się grzano i przy którym spało się na podłodze; bardzo często nie mieli ani prądu, ani bieżącej wody. Dla nich przejście od władzy carskiej do bolszewickiej niewiele zmieniło; inwazja niemiecka również nie, a ponadto przyniosła im wojnę. Nie patrzyli przychylnie na mundury Trzeciej Rzeszy.

A jednak w przypadku Hiszpanów było inaczej.

Niebawem po przyjeździe Lena pomagała lekarzowi, podporucznikowi, który badał staruszkę Rosjankę, bo szpitale Dywizji służyły również lokalnej społeczności. Kobieta cierpiała na skorbut na skutek złego odżywiania. Oficer

badał ją uważnie, z uśmiechem, i dał jej konieczne lekarstwa. Ona rozpływała się w podziękowaniach: mówiła po rosyjsku bez ustanku, chciała całować mu ręce, żegnała się co i rusz ze łzami w oczach. Lenę pogładziła po policzkach. Następnego dnia pojawiła się znowu w szpitalu i zażądała widzenia z podporucznikiem. Z wielką nabożnością i z wielką nadzieją w oczach wręczyła mu filcowe buty, powtarzając w kółko: „Walonki, walonki”. Dla Leny również miała prezent: malutki krzyżyk wyrzeźbiony w drewnie do zawieszenia na szyi.

– Matko Boska, to nie jest prezent, to jest skarb – wyjaśnił jej później podporucznik. – Nie ma nic lepszego niż walonki na ostry mróz. Chłopi robią je ręcznie z owczej wełny. Nawet dla nich jest to luksusowy artykuł. Są tak dobre, że rosyjskie wojsko ma je na wyposażeniu, a Niemcy już też zaczynają je produkować.

– To bardzo mili ludzie – zauważyła Lena, wspominając nie tylko wdzięczność staruszki, ale i wielu innych ludzi, którzy przychodzili do hiszpańskiego lekarza, uśmiechnięte dziewczyny pracujące w szpitalu przy sprzątanii i praniu czy dzieci bawiące się w śniegu z żołnierzami.

– Nie zawsze tak było – odparł oficer, pozostający w służbie już od wielu miesięcy, od chwili, gdy na początku poprzedniego roku przydzielono go do szpitala w Porchowiu na Froncie Moskiewskim. – Początkowo byli zamknięci i usłużni, bo zawsze gnano ich do tego batem. Kiedy jednak zobaczyli, że chociaż mamy takie same mundury, nie jesteśmy Niemcami...

Lena uśmiechnęła się, słyszała już coś na ten temat.

– Hałaśliwi, obdarci, niezdyscyplinowani... – powtórzyła niemiecką krytykę.

– Tak, ale znacznie bardziej sympatyczni i zabawni – dopowiedział podporucznik. – I nie mają żadnego problemu, żeby bratać się z lokalną społecznością, zwłaszcza przeciwnej płci, jeśli mnie rozumiesz...

Lena skinęła głową.

– Niemcy mają bardzo surowy zakaz mieszania się z lokalną ludnością. Nam też chcieli go narzucić, rzecz jasna, ale to oddzielanie się od ludzi... nie leży w naszej naturze. I pasujemy tym ludziom, nie ma na to rady – dodał młody lekarz i mrugnął okiem. – Wie pani, co się wydarzyło, kiedy dostaliśmy rozkaz przeniesienia się z Wołchowa do Leningradu? Wielu Rosjan zgłosiło się na ochotnika do Dywizji, nawet niektórzy więźniowie! Ponieważ nie mieliśmy możliwości przetransportowania wszystkich, przyjechali za nami swoimi furami aż tu. I jestem przekonany, że pojedą za nami do Hiszpanii.

– Biedni ludzie... Musieli wycierpieć taką nędzę...

– A później nam opowiadają, jak to się dobrze żyje w komunistycznej Rosji. Czy oni tu nie byli, żeby to pooglądać?! – dodał lekarz, nie mogąc sobie odmówić ideologicznej pogadanki, zresztą tej samej, która go doprowadziła do tamtego miejsca.

*

Punktualnie o dziewiątej wieczór gasły światła w barakach i wszyscy więźniowie musieli leżeć na pryczach. Nie pozwalano na żadne hałasy ani ruchy. Odpowiedzialnym za nocne patrolowanie był znany z sadyzmu żołnierz SS o nazwisku Jäger, którego nazywano „gość od psów”. Jego ulubionym zajęciem było wybieranie kilku więźniów na chybił trafił, zostawianie ich na dziedzińcu i spuszczenie psów – Koldo, wilczura, i Prado, buldoga – żeby pogoniły ich po całym terenie obozu i wreszcie upolowały. Jäger zwykle odwoływał psy, gdy już chwyciły za gardło biednych nieszczęśników; nie był zainteresowany zabijaniem więźniów, chciał tylko siać terror.

Lepiej było ani drgnąć w nocy, kiedy Jäger miał służbę. Dlatego chociaż nie spał, Guillén leżał na pryczy z zamkniętymi oczami, od czasu do czasu nasłuchując przygnębiającego wycia psów, i rozmyślał...

Chciał stamtąd zwać. Odrzucił myśl o tunelu jako niepoważną. Rozważył możliwość schowania się w jednym z transportów z zaopatrzeniem, które wjeżdżały i wyjeżdżały z obozu; w ciężarówce z praniem albo śmieciami. Początkowo wydawało mu się to bardzo dobrą opcją. Ustalił jednak, że te wyjazdy zawsze odbywają się nocą, a przy tych cholernych psach spuszcanych ze smyczy i do tego szczegółowym przeszukiwaniu ciężarówek przez strażników pomysł nie miał szans, więc uznał, że lepiej go odrzucić.

Zdesperowany, wyobrażał sobie najbardziej szalone scenariusze: rzucenie się na strażnika, zabranie mu karabinu i ostrzeliwanie się przy ucieczce; przebicie się przez jeden z murów, bez narzędzi, na oczach wszystkich; udawanie martwego, żeby wywieźli go w trumnie... Te absurdalne plany zajmowały jego myśli, ale też dręczyły go swoją bezsensownością.

A jednak tej nocy coś się wydarzyło: niespodziewany incydent sprawił, że przyszedł mu do głowy pomysł, który przez cały czas miał po prostu pod nosem. Grupa więźniów przeszła przez bramę pod obojętnym spojrzeniem strażników. I Guillén nie był w stanie przestać o tym myśleć.

*

Lena i Nati zaprzyjaźniły się z młodą Rosjanką, która pracowała w szpitalu. Miała na imię Tania. Sprzątała, cerowała pościel i cieszyła oczy personelu swoimi szczodrymi kształtami matroszki, pszenicznymi warkoczami, błękitnymi oczami i różowymi policzkami.

Rodzina Tani uprawiała ziemię na obrzeżach Miestielewa. Było to gospodarstwo dziewięciorga rodzeństwa: pięć dziewcząt i czterech chłopaków, z których jedynie Misza, najmłodszy, został w domu; dwóch najstarszych wcielono do Armii Czerwonej, trzeci osiągnął pełnoletność, kiedy wojsko niemieckie weszło do wioski, i teraz walczył w Wehrmachcie. Przy braku rąk do pracy rodzina nie była w stanie obrobić całej ziemi, dlatego Tania musiała się zatrudnić w szpitalu. Ale nie przeszkadzało jej to, lubiła pracować dla Hiszpanów.

Przed pojawieniem się Hiszpanów pracowała dla Niemców, ale ci byli poważni i trzymali dystans, nie chcieli zadawać się z Rosjanami. Tylko tyle, ile trzeba. A dla Niemców tyle, ile trzeba, ograniczało się do kontaktów seksualnych, tak ważnych dla utrzymania odpowiedniego morale wojska. Dlatego zorganizowali burdele, wybierając najładniejsze dziewczyny. Dobrze płacili, to prawda, znacznie lepiej niż za sprzątanie koszar albo pranie mundurów, ale Tania nawet nie chciała o tym słyszeć i czuła żal z powodu kilku swoich przyjaciółek, które uległy pokusie łatwych pieniędzy.

Jej było dobrze z Hiszpanami, którzy traktowali ją jak równą sobie i dawali jej dodatkowe przydziały jedzenia dla rodziny. Ponadto flirtowała z jednym żołnierzem z piekarni, którą Dywizja zbudowała w Miestielewie w ramach zaopatrzenia swoich oddziałów. Chłopak był z Jerez i bardzo lubił korridę, i odkąd ofiarował dziewczynie plakat obwieszczający korridę Manolete na arenie w Sewilli, młoda Rosjanka stała się wielką miłośniczką tego narodowego święta oraz swojego szarmanckiego żołnierza, który obiecał zabrać ją do Hiszpanii, kupić sukienkę Cyganki i obwozić po rynku w Jerez. A ponieważ obiecał jej to po hiszpańsku z andaluzyjskim akcentem, ciekawe, co też ona zrozumiała.

Lena, Nati i Tania spędzały wiele czasu razem, ucząc się wzajemnie swoich języków, śmiejąc się z tego, jak źle wymawiają słowa, podśpiewując *La Tarara* i *Katuszę*, klaszcząc i od niechcienia tańcząc *sevillanas*. Czasem szły razem do cerkwi w miasteczku. W dzień urodzin Tani koleżanki zorganizowały jej korridę na dziedzińcu szpitala. Praktykant udawał byka, trzej noszowi banderilleros, a jej absztyfikant piekarz, jakżeby inaczej, został walecznym matadorem: z fartuchem w charakterze kapy, kijem od szczotki jako szpadą i czapką z kartonu. Trzeba było zobaczyć Tanię krzyczącą: *Olé!* z rosyjskim akcentem. Szkoda, że padający śnieg przyćmił spektakl i przyjęcie zostało nagle przerwane rozkazem komendanta szpitala, młodego kapitana z charakterem starego generała, na którego mówili „Kwaśny”.

– Kapitan każe natychmiast skończyć te wygłupy niegodne szpitala wojskowego. Wszyscy mają wrócić na swoje stanowiska pracy. I mówi, że to rozkaz – przekazał ordynans beznamiętnym tonem głosu.

Tamtego dnia Tania nauczyła się nowego słowa po hiszpańsku: „menda”.

Jeśli któregoś poranka pojawiała się słońce, co na tej szerokości

geograficznej zdarzało się rzadko, dziewczyny wykorzystywały sytuację, żeby napić się czekolady na jakiejś ławce pieszczonej promieniami zimowego słońca. Pewnego razu stanęło przed nimi dziecko. Na głowie miało filcową czapkę, spod której wystawały kosmyki czysto złotych włosów, mróz szczypał jego czerwone poliki. Z jednej ręki zwieszała się poobijana bańka na mleko. Chłopiec patrzył na nie smutnymi oczami.

Mimo że nie odezwał się ani słowem, Tania nakrzyczała na niego po rosyjsku. Wyglądała na bardzo złą.

– Co się dzieje? Znasz go? – zapytała Lena.

– To Dima... Kolega Miszy, mojego brat – wyjaśniła dziewczyna swoją słabą hiszpańszczyzną. – Tu bo wie, że dajesz czekolada. Mój brat gadać... On dużo gadać...

Zanim Lena mogła się wtrącić, dziewczyna znowu zaczęła łajać chłopaka po rosyjsku. Dzieciak spuścił wzrok i wymamrotał kilka krótkich zdań.

– Ja mówię: nie prosić! Ty nie *niszczysz*. – Zrobiła gest żebrania z wyciągniętą ręką. – On mówi daj mleka, a ty czekoladę.

– Przestań już gdakać, Tania! – przerwała jej Nati. – Ty: kura. – Pomachała rękami, zwracając się do dziewczyny. – Dlaczego nie mamy dać dzieciakowi czekolady?

Tamta prychnęła, chociaż tak naprawdę za wiele nie zrozumiała. Lena, która siedziała na murku, zeskoczyła na ziemię i zwróciła się do małego Dimy.

– Masz: całą tabliczkę czekolady. Ale nie jedz wszystkiego od razu, bo cię będzie bolał brzusek. – Mówiąc, pokazywała wszystko, i na koniec pogłaskała chłopca po brzuchu. Ten z uśmiechem podał jej bańkę. – Nie, dla ciebie. Zostaw je sobie – powiedziała Lena i delikatnie go popchnęła.

Dima schował czekoladę do jednej z głębokich kieszeni płaszcza, odstawił bańkę na ziemię i wyciągnął coś z innej kieszeni. Trzymając go za przednie łapki, podał Lenie małego białego kotka z ciemnymi łatami, który cichutko miauczał i próbował się uwolnić.

Dziewczyny przyjęły prezent z piskami zachwytu i z inicjatywy Tani natychmiast nazwały go Manolete.

– Jak kapitan Kwaśny się dowie, że wpuściłyśmy kota do szpitala, postawi nas przed sąd wojenny – zauważyła Nati bardziej rozbawiona niż przestraszona, podczas gdy Lena wiązała kotkowi na szyi wstążkę w kolorach hiszpańskiej flagi.

– Nie jest konkretnie w szpitalu, tylko w naszym pokoju. Poza tym, skoro ci z legionu mają kozę, dlaczego my nie możemy mieć kotka?

*

W ulewnym deszczu Frontstalag 122 wydawał się opuszczony, tylko postaci strażników na wieżach dawały złudzenie ruchu. Więźniowie schronili się w barakach, w ludzkim cieple, wilgotnym i śmierdzącym. Szare jak dzień przygnębienie zagęszczało powietrze; rozmowy, gra w karty, malowanie, poezja, wszystkie zajęcia płynęły powoli w tej lepkiej atmosferze.

Guillén wyciągnął Josego Luisa pomiędzy stron książki przeczytanej już sto razy.

– Wyjdźmy zapalić.

Pomyślał, że José Luis zaprotestuje, ale on po chwili wahania zamknął książkę.

Okryci kocem, przyłgnęli do ściany baraku, by się ukryć pod wąskim okapem, z którego przed ich oczami spływała zasłona deszczu. Rzeki wody torowały sobie drogę poprzez błotnisty dziedziniec. Pejzaż był rozmyty deszczem. Chłodny powiew na twarzy i woda pryskająca na policzki sprawiły, że Guillén poczuł ulgę. Papieros spalał się w jego palcach po ledwie kilku zaciągnięciach. Dym ciągle go dławił.

– Mam plan, jak się stąd wydostać. – Szum deszczu zagłuszył jego słowa.

– Jaki? – zagadnął sceptycznie José Luis.

– Jak będą zbierać ekipę, żeby iść do pociągu, pójdę z nimi.

José Luis nie mógł nie wybuchnąć śmiechem.

– I ty to nazywasz ucieczką?

– Nazywam to wyjściem stąd, żeby móc uciec. Wiemy już, jak nas tu pilnują i że nie ma stąd ucieczki. A jeśli wsadzą nas do pociągu do Niemiec, będziemy mieli trochę czasu, żeby coś zakombinować.

– Do wszystkich diabłów, w życiu nie słyszałem nic głupszego! Od ręki przychodzą mi do głowy setki powodów, dla których twój plan jest bez sensu. Po pierwsze: wydaje ci się, że będą takimi durniami, żeby pozwolić uciec wszystkim więźniom w czasie jazdy? Nie sądzę, żeby pilnowali gorzej niż tutaj. A do tego, w jaki sposób zamierzasz wyjść z wagonu zamkniętego na cztery spusty? I jeszcze, skąd wiesz, że transporty jadą do Niemiec i po co? Skąd wiesz, że nie zawiozą cię do wioski obok, żeby strzelić w tył głowy, i tyle? Po tych typach można się spodziewać wszystkiego. Nic nie wiemy o tym, co się dzieje, kiedy wychodzisz przez tę bramę; to tak, jak rzucić się w przepaść, jak wyskoczyć z patelni, żeby wpaść na grilla.

– Ja tylko wiem, co jest po tej stronie bramy: pierdolone więzienie bez żadnej możliwości ucieczki. Gdy znajdę się na zewnątrz, może mi się uda, a to już coś. Mając jakieś narzędzie, pewnie nie będzie tak trudno wyważyć drzwi wagonu, wyskoczyć pod osłoną nocy, kiedy pociąg zwolni.

– A jak chcesz zdobyć narzędzie?

Guillén zawahał się, niespokojny. Rzeczywiście musiał jeszcze dopracować

plan.

– Nie wiem... Wszystko się nada: nóż podwędzony z kuchni, pasek...

A może madame Pourvoyeur mogłaby coś przemycić...

José Luis pokręcił głową.

– Zwariowałaś.

Guillén rzucił niedopałek w błoto.

– Jeszcze nie... – Zakaszłał. – Ale jeśli tu zostanę chociaż trochę, bez żadnego światelka w tunelu, na pewno tak się stanie. Choćby to było fałszywe światło, choćby miało się rozwiać, kiedy podejść do niego, to już mi jest obojętne.

*

W spokojniejsze dni i kiedy pogoda na to pozwalała, ulice Miestielewa wypełniały się pod wieczór młodymi hiszpańskimi żołnierzami pragnącymi na chwilę zapomnieć o wojnie: odrobina wódki i spacer z ładnymi Rosjankami, którym wiele obiecywali, chociaż one i tak nic nie rozumiały. Inną z rozrywek było chodzenie do Soldatenkino, gdzie wystawiano przedstawienia teatralne albo wyświetlano filmy po hiszpańsku. Tego wieczoru widownia była zapelniona, bo w programie był *Cyrulik sewilski*, a artystkę Estrellitę Castro żołnierze bardzo cenili.

Lena, z nieodłączną Nati u boku, również cieszyła się filmem. Chociaż tak naprawdę wszystkie dziewczyny wzdychały do Roberta Reya, bardzo eleganckiego i ze zmysłowym głosem.

– Trzeba oczywiście przyznać, że Castro jest naprawdę śliczna – zauważyła Nati po zakończeniu filmu. – I śpiewa jak anioł...

Popchnięcie przy wyjściu przerwało jej wywód.

– Przepraszam... Ale... O jasny gwint!

– Toñín! Jak to możliwe? – zawołała Lena, zobaczywszy młodego sapera.

Chłopak uśmiechał się tak szeroko, że nawet jego naturalnie opadające oczy nieco się uniosły.

– Skoczyłem ze spadochronem! A ty tutaj? Myślałem, że jesteś w Hof... Parę tygodni temu wysłałem do ciebie kartkę, żeby dać znak życia!

– Na początku miesiąca przenieśli mnie do szpitala polowego.

– Tutaj w Miestielewie? Cholera, i dopiero teraz się dowiaduję! Kilka dni temu zraniłem się w palec i pozwoliłem, żeby jakiś wąsaty sanitariusz mi go zaszył. A tak przyszedłbym do ciebie!

Lena zaśmiała się z dowcipu.

– Ty też tu jesteś?

– Nie, jesteśmy w Antropszynie, dołączyli nas do 269. pułku piechoty.

Zostałem łącznikiem z kompanią, więc ganiam w tę i we w tę po froncie.

Pograżeni w rozmowie nie zdali sobie sprawy, że morze ludzi wyniosło ich na zewnątrz. I że nie są sami.

– Pamiętasz Nati, moją koleżankę? – zagadnęła Lena, kiedy wszyscy zaczęli się rozchodzić, przegnani mrozem.

– Tak, oczywiście. Cieszę się, że znowu panią widzę – pozdrowił ją Toñín, całkiem oficjalnie.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odpowiedziała tamta nie bez ironii.

– A to Francisco García, towarzysz saper. – Wymienili uścisk ręki.

– Przyszliśmy zobaczyć, czy Estrellita Castro zaśpiewa coś dla nas – wtrącił się Francisco García.

– No troszkę pośpiewała – dorzuciła Nati, kierując najbardziej uwodzicielski ze swych uśmiechów do młodego sapersa, który wyglądał bardzo elegancko.

– A proszę powiedzieć: czy panu także się podobało?

Noc – w tym miejscu niemal bez przerwy panowała noc – nie skłaniała do rozmów na dworze, przy temperaturze niemal trzydziestu stopni poniżej zera słowa zamarały w powietrzu. Ponieważ jednak nie było pośpiechu, a oni nie mieli ochoty na powrót do koszar, cała czwórka schroniła się w kantine tuż obok, gdzie przysiedli z ciepłym napojem w rękach.

Gdy się żegnali, po odprowadzeniu kobiet pod drzwi szpitala, Francisco García wykorzystał sytuację, żeby zagadnąć przyjaciela:

– Co, Toñín? – Uderzył go łokciem w bok. – Podoba ci się ta pielęgniarka, co? Bardzo ładna... Ma coś w sobie... Trzeba by tu częściej zachodzić...

– Zaśmiał się z własnego pomysłu; wódka w kantine rozgrzała go trochę.

– Zamknij się już. To hiszpańskie pielęgniarki, trochę szacunku. Nie są jak te panienki, którym przysięgasz po rosyjsku, że je kochasz, żeby tylko je obmacywać.

– No co, kurwa! – Francisco zaśmiewał się na głos. – Nie pierdol, ty się zakochałeś!

To oczywiste, że się zakochał. Od tamtego pierwszego razu, gdy ją zobaczył w piwiarni w Hof, Antonio Ponte Anido nie mógł przestać myśleć o Lenie. O tym, jaka jest śliczna i jak się nim zajmowała, kiedy był chory, jak się do niego uśmiechała i mówiła: „Ależ z ciebie Galisyjczyk, Toñín!”, jakby to był największy komplement na świecie.

On był mężczyzną nieśmiałym, niezbyt doświadczonym, jeśli chodzi o podrywanie; robił się nerwowy w towarzystwie ładnych dziewczyn, przy tych mniej ładnych też; jego dziecięca twarz nie za bardzo mu pomagała w tych sprawach, bo one zwykle nie brały go na poważnie: „synuś”, nazywano go w dzielnicy; sam nie wiedział, na ile było to czułe, a na ile złośliwe. Mieszkał

z matką, której prawie nie widywał, tak dużo pracowała; a dla niej Toñin był kimś szczególnym, najmłodszym z czwórki rodzeństwa, jej malutkim chłopczykiem. To oczywiście, że miał wojskowe powołanie, miał to w genach, taka rodzinna tradycja, ale skłamałby, zarzekając się, że mundur był bez znaczenia, wszak dodawał mu niejkiej powagi. A jednak nawet gdy był w mundurze, kobiety go onieśmiały i zwykł je traktować z takim szacunkiem, że czasem kpiły z niego prosto w oczy albo go ignorowały.

Ale w przypadku Leny... W przypadku Leny było zupełnie inaczej. Ona słuchała go z zainteresowaniem, podziwiała jego małe czyny, jakby były wielkimi osiągnięciami, sprawiała, że czuł się dobrze, rozluźniony, szczęśliwy. I wiedział, że przy żadnej innej kobiecie w świecie nie mógłby się poczuć podobnie. Mając zaledwie dwadzieścia trzy lata, Antonio Ponte Anido już wiedział, że chce spędzić resztę życia z Leną.

Mimo że spacer z kantyny był krótki, dziewczyny dotarły do pokoju kompletnie zziębnięte. Obie przykleiły się do pieca, szcękając zębami, nawet nie zrzucając płaszczy. W miarę rozgrzewania się ścigały czapki, rękawiczki, szaliki... Kiedy zostały już tylko żakiety, Lena nalała odrobinę mleka Manoletemu, który od jakiegoś czasu ocierał się jej o kostki i mrucał. Nati zaczęła rozpuszczać kok.

– Powiem ci, na wypadek gdybyś jeszcze tego nie zauważyła, że ten mały saperek szaleje za tobą – rzuciła od niechcienia, przyglądając się sobie w lustrze.

Lena pokręciła głową z lekkim uśmiechem, starając się nie rozlać mleka.

– To po prostu miły chłopak. Jest dobrze wychowany i szarmancki, to wszystko.

– Tak, jasne... I gapi się na ciebie jak wół na malowane wrota. Posłuchaj mnie: jest zakochany po uszy – powiedziała, wskazując na nią szczotką do włosów. – A wygląda na takiego, co się zakochuje na zabój: któregoś dnia znienacka poprosi cię o rękę – dodała, po czym zniknęła za drzwiami łazienki.

Lena głaskała Manoletego, podczas gdy kotek chleptał mleko różowym języczkiem. Już się nie uśmiechała. Nati tylko potwierdziła to, co ona sama podejrzewała jeszcze w Hof. Wtedy jednak w ogóle jej to nie martwiło; jego mieli przenieść na front, przestaliby się widywać, odległość wszystko by załatwiła. Spotkanie z nim tutaj nie wróżyło nic dobrego. Nie chodzi o to, że jej radość ze spotkania była nieszczerą, Toñin wydawał jej się sympatycznym chłopakiem, dawał się lubić i najlepiej byłoby go mieć za dobrego przyjaciela... Przypuszczała jednak, że nie tego chce chłopak. Ona nie miała sobie nic do zarzucenia, traktowała go tak samo, jak by potraktowała każdego innego, może z trochę większą czułością, bo zasługiwał na nią, nigdy jednak nie dała mu do zrozumienia, że chce czegoś więcej, nigdy nie dawała mu złudnych obietnic (to była nazbyt

niebezpieczna gra, wiedziała to z doświadczenia). A jednak miała poczucie winy; zadreślała się myślą, że wcześniej czy później złamie Toñinowi serce.

Siedząc na podłodze obok miseczki z mlekiem, wzięła kota na rękę i przycisnęła go do piersi. Nagle poczuła się bardzo smutna.

*

– Rozmawiałem z madame Pourvoyeur – zwierzył się Guillén Josemu Luisowi w pralni, nacierając bieliznę żrącym mydłem, które paliło mu rękę.

Ten drugi nie zareagował i dalej robił swoje.

– Uważa, że będzie w stanie załatwić mi jakieś narzędzie. Spróbuje je przemycić w zaopatrzeniu dla szpitala. Później będę mógł je ukryć, przymocować do ciała bandażami.... Na piersi, przy nodze... Może się udać, w mojej karcie opisano mnóstwo obrażeń, nikt się nie będzie dziwił, że jestem zabandażowany.

– A ta kobieta, która wydaje się rozsądna, nie powiedziała ci, że to jest szaleństwo?

Guillén wydał usta i zaczął trzeć bieliznę o kamień.

– Tak, powiedziała mi to – przyznał. – Widziała wagony, do których wsadzają więźniów. Nie chodzi tylko o to, że to bydłece wagony, ale i o to, że w jedynym okienku jest drut kolczasty, a drzwi mają grube łańcuchy. Mówi, że nie da się ich wyważyć. Poza tym na końcu pociągu jest platforma, na której przez całą podróż stoją uzbrojeni strażnicy. – Uderzył ubranie mydłem.

Zanim José Luis zdołał przypomnieć, że już mu o tym mówił, Guillén znowu się odezwał.

– A mimo to zgodziła się pomóc! – zawołał cicho.

José Luis wykręcił ubrania i zebrał je.

– No ładnie... – Podsunął okulary jednym palcem. – Dalej uważam, że to szaleństwo. – Jego wysoka sylwetka oddaliła się, nie tracąc ani odrobiny elegancji.

*

Kapitan Fernando Escobedo zasłużył sobie na przezwisko Kwaśny u podwładnych nie tyle z powodu powagi, utrzymywanego dystansu oraz przesadnej surowości dowodzenia, ile przede wszystkim z powodu, który dla żołnierzy był nie do wybaczenia: był tchórzem i dekownikiem.

Mawiano, że doszedł do tak wysokiego stanowiska mimo młodego wieku i niedowiedzionych zasług, gdyż pewien pułkownik lekarz sterował jego karierą. Poprzedni komendant szpitala w Miestielewie został ranny na pierwszej linii,

wypełniając zadanie kapitana, z którego ten w zaskakujący sposób został zwolniony w ostatniej chwili. I tak, zupełnie przypadkiem, to on został komendantem szpitala.

Zgodnie z tymi wszystkimi historiami, krążącymi po szpitalu jako plotki, kapitan Escobedo rzeczywiście nie był czarującym człowiekiem, w Lenie zaś wzbudzał więcej współczucia niż lekceważenia. Zawsze chodził sam, ludzie prawie wcale z nim nie rozmawiali, chyba że było to konieczne, a czasem okropnie się z niego nabijali albo szeptali za jego plecami. Lena była przekonana, że ten pozornie łodowaty człowiek musi być świadomy panującej wokół niego wrogości i że jego osamotnienie to stan wymuszony, podczas gdy jednym z warunków przeżycia na takiej okrutnej wojnie jest koleżeństwo.

Dlatego niewiele się zastanawiając, postanowiła zrobić krok, którego prawdopodobnie jej koledzy by nie zaaprobowali. Chociaż niewiele ją to obchodziło.

Był to okropny tydzień. Szpital, zwykle pełny, pracował bez wytchnienia. Na wiecznie aktywnym froncie codziennie wybuchały niewielkie potyczki, skutkujące poważnymi stratami. A oprócz rannych przyjmowali też chorych i pacjentów z odmrożeniami, nie mówiąc już o leczeniu mieszkańców okolicy.

A jednak sytuacja jeszcze się pogorszyła w połowie miesiąca. 2. batalion 269. pułku ruszył na wschód, nad jezioro Ładoga, na pomoc 18. Armii niemieckiej generała Lindemanna. Po ciężkich bitwach wojska Lindemanna zostały pozbawione rezerw, więc cała stabilność frontu była zagrożona. 2. batalion walczył przez dwa tygodnie i zdołał zahamować postępy Rosjan, ale zapłacono za to stu dwudziestoma czterema poległymi, dwustu dziewięćdziesięcioma trzema rannymi i dziewięćdziesięcioma dwoma zaginionymi. Duża część rannych została przewieziona do Miestielewa i zatłoczyła szpital i sale operacyjne.

Lena, tak jak cała reszta, pracowała bez chwili przerwy. Chociaż gorsze niż fizyczne wyczerpanie było zmęczenie emocjonalne: mycie tych zalanych błotem i krwią ciał; odkrywanie po ściągnięciu butów, że odpadły odmrożone palce; słuchanie krzyków bólu i agonii rannych albo patrzenie na niemoc tych, którzy nawet nie byli w stanie krzyczeć; zamykanie oczu młodzieńców, którzy nie przeżyli pierwszej nocy; przyjmowanie innych, którzy już przyjechali martwi. W ostatnich dniach pochowali trzydziestu trzech. Przy różnych okazjach Lenie przypadło w udziale uczestniczyć w pogrzebach. Szpitalny kapelan modlił się przez chwilę, po czym na trumnę spadały łopaty cudzej ziemi, ziemi obcej żołnierzowi, który zostawał tak daleko od domu i od rodziny. Lena, z gęsią skórką, i to nie z powodu chłodu, starała się powstrzymywać łzy. Robiła to ze względu na innych, tych młodych ludzi, którzy teraz, z czapką w rękach, wbijali ponury wzrok w tę obcą ziemię, starając się odrzucić myśl o tym, że jutro to oni mogą w niej skończyć.

Po wydarzeniach nad jeziorem Ładoga szpital popadł w swego rodzaju letarg; kompletnie brakowało animuszu. Okazało się wtedy, że pewien porucznik z apteki ma urodziny, więc komuś przyszło do głowy, żeby zrobić imprezę. Bo tak, bo brakowało odrobiny radości, żeby dalej żyć.

Zebrali koniak, wino, kielbasę, migdały, ciastka, wszystko, co zostało ze świątecznych paczek, i do tego w piekarni upiekli ciasto. Ktoś nawet zorganizował gramofon i kolekcję płyt z muzyką regionalną, którą Front Młodzieży z Grenady przysłał w prezencie. Zgromadzili się w kantynie, od pierwszego do ostatniego, i przez cały czas zmieniali się przy pracy, żeby wszyscy mogli być obecni. Wszyscy oprócz kapitana Kwaśnego, jak należało się spodziewać. W sumie starali się utrzymać wydarzenie w tajemnicy, żeby nie zepsuł im zabawy.

Dlatego gdy Lena, powodowana impulsem, którego nawet ona sama nie byłaby w stanie wytłumaczyć, wkroczyła do jego gabinetu, zawahała się, zaczęła się jąkać, wycierała ręce w fartuch, pożałowała swojego pomysłu i obawiając się nagle, że wszystko zepsuje, podała mu podkolorowaną wersję wydarzeń.

– Przepraszam, że przeszkadzam... Ale...

Kapitan patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, z rękami skrzyżowanymi na stole, zniecierpliwiony.

– Nie wiem... nie wiem, czy pan wie... Ale dzisiaj są urodziny porucznika Alonsa, tego z apteki...

– Wiem, kim jest porucznik Alonso – odparł gwałtownie.

– Tak, oczywiście. – Ona zaśmiała się nerwowo. – To głupie... Chodzi o to, jak już mówiłam, że dziś są jego urodziny...

– Proszę zwięźlej. Jestem bardzo zajęty.

– Tak, przepraszam. Ech... kilkoro przyjaciół... bardzo niewielu, napijemy się z nim... soku... Szybciotko, nie za wiele... Proszę, może by pan... Żeby dzień tak nie mijał... Po tym wszystkim, co się ostatnio działo, rozumie pan... Wszyscy jesteśmy trochę... Uff...

Poczerwieniała twarz kapitana Kwaśnego wyraźnie wskazywała na to, że jego cierpliwość zaraz się skończy. Lena w końcu przeszła do sedna:

– Może zechciałby pan do nas dołączyć... na chwilę.

I po wszystkim, już to zrobiła. Przygryzła usta i czekała, aż huraganowy krzyk wyrzuci ją z gabinetu. A jednak żadnego krzyku nie było. Lena zobaczyła zdumiona, jak twarz komendanta się rozluźnia; pod jego oczami pojawiły się cienie, znużenie na białych policzkach, człowieczeństwo... Wtedy dotarło do niej, jaki on jest młody, jaki samotny w tym zimnym gabinecie pod wiszącą z sufitu żarówką, nad stołem zarzuconym papierami i ze zdjęciem jasnowłosej dziewczyny oprawionym w prostą ramkę.

Kapitan przesunął ręką po włosach.

– Widzi pani, że mam mnóstwo pracy – odpowiedział.

Właśnie w chwili, kiedy Lena zaczynała się zastanawiać, w jaki sposób powiedzieć pozostałym, że kapitan Kwaśny dowiedział się o przyjęciu i rozkazuje jego natychmiastowe zakończenie, ten stwierdził:

– Proszę odejść.

Poczuła taką ulgę, że natychmiast zrobiła w tył zwrot i szybko wyszła z gabinetu, nie zwracając nawet uwagi na to, jak bardzo nieuprzejmy był ten mężczyzna. Ale w sumie, czego można się było spodziewać po kapitanie Kwaśnym?

*

Siedząc na podłodze z plecami opartymi o ścianę, José Luis czytał w słońcu. Guillén podszedł do niego i bez słowa usiadł obok. Przez chwilę milczeli, spoglądając na smutno znajome otoczenie, życie zamknięte za kolczastym drutem. José Luis nie przerwał lektury.

– Chodź ze mną – odezwał się nagle Guillén. – Razem uciekniemy z tego piekła.

José Luis dalej wpatrywał się w książkę, chociaż przestał czytać.

– Wiesz przecież, że cały twój plan uważam za szaleństwo, zrobienie tego równa się samobójstwu.

Guillén zdenerwował się na jego upór.

– Oczywiście, że to szaleństwo! I samobójstwo! Ale każdy inny plan ucieczki też taki jest... A zostanie tu to także śmierć!

José Luis zamknął książkę i westchnął. Guillén przez chwilę miał nadzieję, że mu odpowie, ale on tylko wpatrywał się w horyzont z nieprzeniknioną miną.

– Poczekam... Na śmierć albo na to, co się wydarzy. Nie mogę zrobić nic innego... Nie mogę... Boję się – wyznał José Luis. – Nie jestem taki jak wy. Nie jestem bohaterem... Spędziłem wojnę jak królik przyczajony w okopach, drzałem. Cieszyłem się, kiedy to wszystko się skończyło i w końcu mogłem oddać broń. Było mi obojętne to, że przegraliśmy, ja tylko chciałem spokojnie żyć... – Zaśmiał się gorzko z okrutnego losu i jego ciężkich żartów. – Jestem idealistą, intelektualistą... Nie nadaję się do walki. Nie boję się umrzeć, boję się śmierci, tej chwili przed; przeraża mnie... Wolę strzał w plecy i bez zapowiedzi niż z przodu. Tak, jestem tchórzem...

– A tobie się wydaje, że ja się nie boję? – Guillén zmienił ton. – Przeszedłem przez straszne rzeczy, widziałem jeszcze gorsze... Od samego myślenia o nich... – Głos mu się załamał, kiedy przypomniał sobie Julie i ostatni jej obraz z dziurą w skroni. Wziął się w garść. Odchrząknął. – Nie ma słodkiej śmierci, towarzyszu... Ja przynajmniej chcę umrzeć godnie. Godność to jedyne, czego ci skurwiele mi nie

odbiorą.

José Luis pokręcił głową.

– Ja nie jestem taki jak ty... – powtórzył. Nagle się uśmiechnął. – Ci idioci... Łamali sobie głowę, o co mnie oskarżyć, jak mnie złapali. *Rotspanier*... Czerwony Hiszpan... Palanty... A tak łatwo mogli odkryć, kim naprawdę jestem...

Guillén spojrział na niego zaintrygowany.

– Homoseksualistą – podsumował José Luis. – Pedalem, cwelem, parową... Istnieje wiele pięknych synonimów.

Z jakiegoś powodu Guillena nie zaskoczyło to wyznanie.

– Czy rozumiesz teraz, dlaczego nie mogę z tobą iść? Nie mam tego, co trzeba mieć...

– Przestań pierdolić, co to ma do rzeczy? Tobie podobają się faceci, mnie kobiety, i co z tego? W czym ci to przeszkadza, żeby nawiać stąd ze mną, skoro obaj mamy tak samo przejebane? Co jedna rzecz ma wspólnego z drugą?

– Może nic... Może wszystko. Jestem, jaki jestem, nie zdołam tego zmienić. Może tylko chciałem ci o tym opowiedzieć... Nie myliłem się, sądząc, że nie będziesz zaszokowany...

Guillén wzruszył ramionami.

– Jest mi dokładnie obojętne, co ludzie robią w łóżku... Jesteś porządnym człowiekiem, a tylko to się liczy, więc nie chcę cię tu zostawić.

José Luis poczuł, że ma łzy w oczach. Ściągnął okulary, żeby je wytrzeć.

– Dzięki...

Guillén objął go ramieniem.

– Cokolwiek by mówić, najgorzej to być samotnym.

Luty 1943

Miesiąc rozpoczął się przygnębiającą wiadomością krążącą po szeregach Błękitnej Dywizji: 6. Armia niemiecka generała von Paulusa poddała się Armii Czerwonej po miesiącach krwawych walk w Stalingradzie. Potężny Wehrmacht został pokonany; front wschodni słabł.

W ostatnich dniach obserwowano koncentrację radzieckich oddziałów naprzeciwko sektora obsadzonego przez Błękitną Dywizję. Tajemnicą poliszynela było to, że zbliża się wielka ofensywa, i Najwyższe Dowództwo hiszpańskie rozkazało skoncentrować wszystkie siły na szpicy.

Niewielkie Miestielewo wrzało. Ciągły napływ jednostek z tyłów na front był wyraźnie widoczny na ulicach: samochody, ciężarówki, wozy, piechurzy. Przez całą dobę było słychać warkot silników, stukot butów i metaliczny szcęk broni. Złote armaty po drugiej stronie frontu niepokojąco milczały.

Antonio Ponte Anido także otrzymał rozkaz przeniesienia się ze swoją kompanią, trzecią z 250. batalionu saperów, do sektora Krasny Bor, żeby zająć przyczółek zwany Grzebień, jedyne wyniesienie terenu w okolicy. Z tego wyniesienia mieli bronić drogi Moskwa–Leningrad. Przenieśli się ze swoich pozycji o kilka kilometrów z Antropszyna do Fiedierskoje, gdzie zatrzymali się na noc. Gdy się tam znaleźli, kapral Ponte Anido zwrócił się do przełożonego, kapitana Josego Luisa Aramburu, którego był pomocnikiem i z którym trochę się zaprzyjaźnił:

– Chciałem poprosić o możliwość służbowego udania się do Miestielewa, panie kapitanie.

Oficer spojrział na niego zaskoczony.

– Służbowego?

Toñín zaczerwienił się, mimo że bardzo tego nie chciał. Spuścił wzrok, nerwowo mnąc czapkę.

– Chodzi o pewną pielęgniarkę, panie kapitanie. To dziewczyna bardzo... szczególna. – Odchrząknął.

José Luis Aramburu wykorzystał moment, gdy jego pomocnik na niego nie patrzył, żeby się uśmiechnąć. Następnie odezwał się poważnym głosem:

– Wyjeżdżamy o świcie, lepiej, żebyś wtedy już tu był.

Toñín nie potrafił ukryć radości.

– Oczywiście! Nie przyszedłem do Dywizji, żeby siedzieć na tyłach. Dziękuję, panie kapitanie!

Dzięki temu młody żołnierz pojechał na rowerze do Miestielewa, gdzie złożył szybką wizytę w szpitalu, aby zabrać do okopu uśmiech ukochanej kobiety. Bardzo chciał skraść jej pocałunek, ale zdołał powstrzymać swoje pragnienia. Gdy

to wszystko się już skończy, zbierze więcej odwagi, niż teraz potrzebował do walki, i poprosi Lenę, żeby została jego żoną i żeby razem stworzyli dom, w którym on będzie starał się ją uszczęśliwić do końca życia. Ta myśl miała mu dodawać sił, kiedy będzie zakopywał miny na polach.

Lena pożegnała go przy drzwiach szpitala ze ściśniętym sercem, machała ręką, dopóki nie zniknął za zakrętem drogi. Była czuła i miła wobec niego, może aż za bardzo, jeśli weźmiemy pod uwagę okoliczności, ale chłopak zasługiwał na to: tak miły, tak uważny, tak dobry, jakże ona mogłaby go traktować chłodno? Zwłaszcza że wyruszał do walki.

Płakała ze wzrokiem utkwionym w postać coraz bardziej zamazaną, coraz bardziej daleką. I nigdy nie żałowała, że obdarzyła szeregowego Pontego Anida odrobiną ciepła i uśmiechem.

Kapitan Fernando Escobedo podciągnął rękaw munduru, żeby spojrzeć na zegarek: do dziesiątej w nocy brakowało pięciu minut. Szybko rzucił okiem na okno, było czarne. Tak naprawdę nie chciał nic zobaczyć. Był tylko zdenerwowany. Nie zastanawiając się za bardzo, chwycił zdjęcie Amayi, swojej narzeczonej, i włożył je do szuflady. Następnie wstał z krzesła, jakby podskoczył na sprężynie, i wyszedł z gabinetu.

Lena miała pierwszy nocny dyżur. Początkowo wszystko toczyło się spokojnie, nie było żadnych wypadków, w sali operacyjnej pusto. Cały szpital był pogrążony we względnej ciszy. Na korytarzach żywego ducha. Jedna z koleżanek była w sali z rannym żołnierzem, opiekowała się nim bardziej, niż tego wymagały jej obowiązki; tak naprawdę poszła tam z zaczerwienionymi policzkami. Druga towarzyszyła księdzu w nocnym obchodzie pociechy duchowej. A zatem w pokoju pielęgniarek była sama, przeglądała karty pacjentów, żeby przygotować dawki leków, które miała zaaplikować w ciągu następnych kilku godzin. Bardzo skoncentrowana, siedziała plecami do drzwi, dlatego przestraszyła się, gdy ktoś chrząknął.

– Przepraszam... Nie chciałem pani wystraszyć...

– Kapitan... – Słowo Kwaśny zawisło jej na ustach, na szczęście. W jednej chwili zadała sobie pytanie, co zrobiła, żeby nachodził ją komendant szpitala, i to o takiej porze. Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Czym mogę panu służyć?

Kapitan Escobedo przekroczył próg i wszedł do pokoju. Spojrzał Lenie przez ramię. Tymczasem ją niepokoiło, że tak długo nie odpowiada. Przyjrzała się jego twarzy: była poważna, jak zwykle, ale nie surowa. To ją nieco rozluźniło.

– Widzę, że jest pani zajęta...

Lena nie mogła nie zrobić zaskoczonyj miny; czy spodziewał się ją zastać przy robótkach na drutach podczas godzin pracy?

– Tak... Przygotowuję lekarstwa... – odpowiedziała ostrożnie.

– Oczywiście...

Wydawało się jej, że ten człowiek jest podenerwowany, ale odrzuciła tę głupią myśl. Dlaczego miałyby być?

– A reszta personelu?

Przedstawiła mu oficjalną wersję tego, gdzie się znajdują, szczególnie w przypadku zakochanej pielęgniarki. Kiedy skończyła, kapitan przytaknął ruchem głowy. Po tym krótkim goście zapadło niebywale krępujące milczenie.

Oficer się pocił, Lena dostrzegła wilgotne krople na jego skroniach. Znowu odchrząknął.

– Chodzi o to... chciałem poprosić panią o przysługę... – Znowu chrząknięcie. – Przysługę osobistą.

To ją zbiło z tropu. Założyła ręce i nerwowo je sobie szczypała, nie będąc tego świadoma.

– Dobrze... Jeśli mi pan powie, w czym rzecz, a ja będę w stanie panu pomóc...

– Wiem, że ma pani kota – wyrzucił z siebie gwałtownie.

Te słowa zamiast ją przestraszyć, wyprowadziły ją z równowagi.

– Nie sądzę, że to najlepszy sposób, żeby skłonić mnie do zrobienia panu przysługi... osobistej.

On zamachał rękami.

– Nie, nie! Proszę mnie źle nie zrozumieć. Chciałem pani powiedzieć, że mi to nie przeszkadza... Może go pani sobie mieć, jeśli tak pani chce... Lubię koty... Lubię zwierzęta... Szpital to nie jest miejsce dla nich, ale dopóki jest w pokoju albo kręci się po ulicach... W sumie to przecież kot...

Cała ta sytuacja robiła się surrealistyczna. Lena zmarszczyła czoło. Kapitan pewnie zdał sobie sprawę z absurdalności swego zachowania, bo przygładził włosy i odchrząknął po raz enty.

– Lepiej usiądźmy. – Westchnął. – Będzie pani przeszkadzało, jeśli zamknę drzwi?

Lena pokręciła głową, chociaż tak naprawdę wolałaby, żeby były otwarte. Kapitan zamknął je, a następnie zwałił się na krzesło, jakby czuł się wyczerpany. Lena także zajęła miejsce, naprzeciw niego, zachowując przyzwoitą odległość.

– Wiem, co się o mnie mówi... – Zrobił przerwę i spojrzał na nią, ale Lena siedziała w milczeniu, czekała, zadając sobie pytanie, dokąd to wszystko prowadzi. – I jak mnie nazywają, też. To... przemyślnie. – Spróbował się uśmiechnąć, ale nie udało mu się.

Lena poczuła, że płoną jej policzki, z jakiegoś powodu była zawstydzona, jakby to ona wymyśliła to przewisko. Cieszyła się, że on na nią nie patrzy; wydawało się, że bardziej przemawia do fiołki lekarstw, którą przewracał w rękach.

– Lubię dyscyplinę, nie zaprzeczę... Mógłbym też być bardziej elastyczny, bardziej wielkoduszny... Nie podoba mi się ta rola ogra, przecież nie jesteśmy tutaj po to, żeby jeszcze mnożyć nieszczęścia... Ale nie ma znaczenia, co zrobię, bo i tak już zostałem osądzony. Nie ma znaczenia, co zrobię... Zawsze będę... tchórzem – wymamrotał to słowo z pogardą. – Wszyscy uważają, że to ja powinienem był dostać ten postrzał w brzuch, a nie komendant. Wszyscy myślą, że nie pojechałem na tę inspekcję, bo jestem tchórzem i się przestraszyłem. Wszyscy uważają, że ktoś z góry mnie chroni... kiedy prawda jest taka, że ten ktoś rzuca mi kłody pod nogi. – Z wściekłością uderzył flakonikiem o stół i spojrzał na Lenę. – Ja nie wstąpiłem na ochotnika, żeby na froncie wieść sobie spokojne życie, ani dla lepszego życiorysu czy po to, żeby zbijać fortunę na tyłach. Przeciwnie! Chcę iść na pierwszą linię, żeby służyć ojczyźnie, żeby walczyć z komunizmem, żeby odplacić Niemcom za przysługę, którą nam wyświadczyli! To mój obowiązek moralny jako Hiszpana i porządnego człowieka! Nie jestem tchórzem!

Kapitan dalej patrzył na nią, jakby oczekiwał od niej jakichś słów, ale Lena nie wiedziała, co powiedzieć. Wrócił więc do swojego monologu, nieco bardziej uspokojony:

– W Madrycie stanąłem do konkursu na lekarza pułku. Ale ten człowiek zdołał zablokować moją kandydaturę. Nigdy nie chciał, żebym się zaciągnął. Po wielu zmaganiach udało mi się wstąpić do Dywizji, ale on sprawił, że umieszczano mnie w szpitalach na tyłach. Podczas półtora roku służby nigdy nie znalazłem się bliżej frontu niż tutaj, a on dba o to, żebym za bardzo nie ryzykował – zauważył gorzko.

– Przepraszam... – wtrąciła się Lena roztropnie. – O kim pan mówi?

Kapitan rozparł się na krześle i westchnął.

– Ojciec mojej narzeczonej.

– Rozumiem...

Teraz, gdy przyglądała mu się na spokojnie, teraz, kiedy otworzył przed nią swoje serce, wyzbyty sztywnej godności swoich epoletów, wydało jej się, że kapitan Kwaśny ma twarz dobrego człowieka.

– Ale... dlaczego mi pan to wszystko opowiada? – zapytała go ciepłym głosem.

– Bo pani jest jedyną osobą, która była dla mnie miła. I ponieważ... chcę, żeby pani mi pomogła... muszę panią wprowadzić w temat...

– Jeśli pan pozwoli, wydaje mi się, że pański przyszły teść chce tylko chronić własną córkę.

– Wbrew moim pragnieniom, karierze i honorowi. Poza tym nie bierze pod uwagę naprawdę istotnego szczegółu: nie ożeni się z jego córką. Przede wszystkim dlatego, że ona mnie nie kocha. – Oficer utkwiał wzrok wysoko ponad ramieniem Leny. – Ani ja jej... Teraz. Bo byłem bardzo zakochany, to prawda. Tak

dawno temu... Na początku... Jednak na dzień przed wyruszeniem w podróż na front dowiedziałem się, że ona mnie zdradza z moim przyjacielem... Z przyjacielem... Poprosiła, żebym niczego nie rozgłaszał przed naszym powrotem: jej ojca i moim. Nie było łatwo tak wyjeżdżać, ze złamanym sercem... To były ciężkie miesiące, wysłałem jej kilka listów, ale nie odpowiedziała... Teraz, cóż... – Wzruszył ramionami. – Już jest mi wszystko jedno... To koniec... Dla mnie też... Już nic nie czuję, nawet żrącej nienawiści, która mnie trawiła. Już czuję się uspokojony.

Nagle znowu spojrział na nią, jakby doszedł do siebie. Lena zrozumiała, że jego twarz rzeczywiście wyraża spokój. Gdyby tylko zgolił te wąsy, które go postarzały i nadawały mu surowy wygląd, kapitan Kwaśny straciłby swoją kwaśność.

– Przykro mi – przeprosił nagle. – Przepraszam, że zamęczam panią tą historią... Nie miałem komu jej opowiedzieć. Był taki *Oberarzt*, lekarz porucznik niemiecki, którego spotkałem w szpitalu w Berlinie. Trochę się zaprzyjaźniliśmy. Jemu to opowiedziałem, po jednej nocy spędzonej w kabaretach, po francusku... ale to nie to samo. Potem wysłali go do Afryki Północnej. Zginął w zeszłym miesiącu w Medjez. Nikt więcej o tym nie wie. Sama pani widzi, że nie mam tu za wielu przyjaciół... Dlatego przyszedłem do pani, ryzykując, że przesadzę.

Lena podparła się nieco, jakby zachęcając go, by dalej mówił. On wsparł ręce na nogach i przybity uniósł głowę.

– Potrzebuję świadka... Chcę się ożenić.

Kapitan Fernando Escobedo nie liczył na zgodę dowództwa na zawarcie ślubu; i z całą pewnością nigdy by jej nie dostał, ojciec Amayi już by o to zadbał. Ale to nie miało dla niego żadnego znaczenia, był zakochany w Wali i pragnął zaraz się z nią ożenić, bo sam Bóg wiedział, co się może wydarzyć nazajutrz, a nie chciał zostawić dziewczyny na lodzie.

Wala przywróciła mu radość życia i uśmiech. Był niemal piętnaście lat od niej starszy i kochał ją z mieszanką czułości i pragnienia, którego nigdy nie doświadczył; czuł potrzebę chronienia jej, dbania o nią i jednocześnie znajdował w jej ramionach pocieszenie, podczas gdy ona szeptała: *Ja lublu tiebia*, Kocham cię.

W Miestielewie padał śnieg, świat zaścielała biała pierzyna. W domu rodziców Wali szpitalny kapelan – który pod tajemnicą spowiedzi dowiedział się o miłości kapitana i zgodził się udzielić ślubu w sekrecie – zebrał ich wokół ikony Świętego Mikołaja, starej relikwii, należącej do rodziny od pokoleń i ocalonej przed bolszewickim ogniem. Byli tam narzeczeni, świadkowie (Lena i wujek Wali) i kilkoro krewnych. Matka panny młodej nie przestawała płakać. Wraz z dwoma pozostałymi córkami udekorowały skromny dom girlandami z gałązek świerku

i sercami z białego filcu, które zwieszały się z drewnianych ścian i przecinały sufit z jednego końca na drugi; wszędzie porozstawiały świece i lampy naftowe. Atmosfera była złota i ciepła, pachniało gorącym woskiem i żywicą.

Kapitan Escobedo ujął szczupłe dłonie przyszłej żony i spojrzał jej w oczy, szare jak wody Izory zimą. Falbany welonu okalały jej twarz; była taka dziewczęca! Uśmiechnęła się do niego. On odwzajemnił uśmiech i pogładził kciukiem jej palce. I razem wygłosili swoją przysięgę miłości przed Bogiem i wszystkimi ludźmi.

Lena miała dreszcze z emocji; wszystko było tak romantyczne, że świat i jego dzika wojna wydawały się jedynie sennym koszmarem. Nie mogła przestać sobie wyobrazać samej siebie na takim pięknym ślubie, podczas którego oddychało się atmosferą miłości i szczęścia. Ślubie, który mogła wziąć z Jaimem Aranzadim. Czy patrzyłaby na niego takimi samymi, pełnymi oddania oczami, jakimi Wala spoglądała na kapitana Escobeda? Może tak, może zrobiłaby to, bo była w nim zakochana. Ale to było dawno temu. Tam, tak daleko od wszystkiego, wydawało jej się, że minęła już cała wieczność, że to sprawa z innego życia. Z życia, którego ona sama zdecydowała się dalej nie ciągnąć.

*

Wyrwano ich z łóżka wcześniej niż zwykle, jeszcze przed świtem, pośród krzyków i uderzeń pałkami o kraty. Strażnicy wykrzykiwali numery, kazali im zabierać swoje rzeczy i ustawiać się na dziedzińcu. Numer Guillena nie znajdował się na tej liście. Poczul nagły strach, lekki zawrót głowy. Serce mocno mu waliło. Rozum podpowiadał, że powinien wrócić do łóżka i dalej spać.

Podszedł do jednego z kolegów z baraku, człowieka już starszego, siedemdziesięcioletniego, z którym kilka razy wcześniej rozmawiał. Był ojcem licznej rodziny, dzieci i wnuków, bardzo miłym towarzyszem. Teraz zrezygnowany zbierał swój ubogi dobytek.

– Jeśli chcesz, pojedę za ciebie. Zamienimy się tabliczkami – wyszeptał.

Tamten odwrócił się zdumiony.

– Oszalałeś? Dlaczego chcesz się ze mną zamienić? Nie wiemy, co z nami będzie.

– Nie mam już nic do stracenia... Chcę się tylko stąd wydostać, nieważne dokąd.

Mężczyzna się zawahał.

– Jeśli ty nie chcesz jechać, interes jest dobry dla obu stron – nalegał Guillén.

Stary nie mógł się zdecydować. Spojrzał na leżącą na łóżku torbę z kilkoma rzeczami. Znowu popatrzył na Guillena. Było widać, że się boi, prowadzi ze sobą

wewnętrzzną rozmowę. W końcu ściągnął tabliczkę z szyi i podał ją Guillenowi.

– Zgoda...

Guillén uśmiechnął się i wykorzystał sytuację, żeby uścisnąć mu rękę, jednocześnie sięgając po plakietkę.

– Dziękuję i powodzenia – wyszeptał staruszek.

– Wzajemnie.

Guillén natychmiast podszedł do pryczy Josego Luisa.

– Jadę!

Kolega pokręcił głową.

– Nie wyczytali cię.

– Wiem. Zamieniłem się na blachy. Albo teraz, albo nigdy. Może nie będzie innej okazji.

José Luis zrozpaczony chwycił go za koszulę.

– Nie wiesz, dokąd jada! Nie wiesz, czy nie rozstrzelają tych wszystkich nieszczęśników!

– Z bagażem? Nie... To przeniesienie. – Chwycił go za ramiona i spojrzał mu głęboko w oczy. – Jedź ze mną.

– Nie rób tego – poprosił nauczyciel z tą samą stanowczością.

Guillén mocno go przytulił.

– Dziękuję za wszystko.

Odwrócił się i więcej na niego nie spojrzał, szybko zabrał książkę i kurtkę, po czym wyszedł z baraku, nie oglądając się za siebie.

*

Było wiadomo, że wróg niebawem przypuści atak na wielką skalę. Raporty wywiadu przewidywały go na świt. Kapral Antonio Ponte wraz z towarzyszami z 3. kompanii batalionu saperów przez całą noc przygotowywał się na odparcie ofensywy. W zmrożonej, twardej jak stal ziemi ścian okopów wygrzebali jamy, aby się w nich chronić, i umocnili je deskami i skrzynkami. Rozmieścili też sto pięćdziesiąt min przeciwzołgowych na polu bezpośrednio przed swoimi pozycjami. Wiedzieli, że Rosjanie mają znacznie więcej żołnierzy i znacznie lepsze uzbrojenie, które rzucą na nich bez litości; zbliżało się coś wielkiego, bez względu na to, jak się przygotowują, i tak będzie tego za mało.

Toñin był fizycznie wyczerpany, ale nerwy nie pozwalały mu zasnąć. Tak jak on, reszta z pięciu tysięcy żołnierzy, które Błękitna Dywizja rozłożyła w sektorze dookoła wioski Krasny Bor, czekała ze ściśniętym sercem; mało snu, trochę koniaku i mnóstwo modlitwy.

Toñin miał czas, żeby się wypowiedzieć i przyjąć komunię. Potem napisał

kilka słów do matki: „Z nadzieją, że gdy czytasz te słowa, wszyscy jesteście zdrowi, ja tymczasem mam się dobrze, Bogu niech będą dzięki”. Tymczasem... Wśliznął mu się do listu ten cień niepokoju... Całą resztę czasu przeznaczył na rozmyślania o Lenie, żeby przegnać strach.

O piątej trzydzieści z rana 10 lutego, gdy w gęstej mgle wstawał powoli świt, jego dowódca, José Luis Aramburu, wydał rozkaz zajęcia pozycji umożliwiających przetrwanie wrogiego ognia. Toñín włożył biały kombinezon maskujący, sprawdził broń i zaległ w pobliżu stanowiska dowodzenia kapitana Aramburu. Cisza była przejmująca, jak gdyby lód skuł wszystkie formy życia. Panował bezlitosny mróz i nawet zwykle oblizanie ust sprawiało, że pierzchły. Nie można było trzymać karabinu bez rękawiczek, bo metal przyklejał się do rąk. Toñín drżał i nie był pewien, czy tylko z zimna.

O szóstej mgła się podniosła niczym kurtyna odsłaniająca scenę w teatrze, najstraszniejszą ze scen. W odległości mniejszej niż dziesięć kilometrów, poza płaskim, zasypnym śniegiem terenem, poza okopami i zasiekami z drutu kolczastego, poza towarzyszami leżącymi w śniegu, szosą i linią kolejową można było dostrzec przerażającą rosyjską tyralierę: ponad pięćset dział, armat i siejących grozę katusz, znanych pośród żołnierzy jako „organy Stalina”, zarówno ze względu na ich wygląd, jak i na świst, który z siebie wydawały przy strzelaniu; ta broń mogła w jednej chwili wystrzelić szesnaście rakiet. Toñín szeptał Ojczyźnie nasz.

Z którejś pozycji strzelono w stronę Rosjan. Nie było odpowiedzi, co tylko jeszcze bardziej ich przygnębiło.

Dokładnie o szóstej trzydzieści rozwarły się bramy piekieł.

*

Zebrano na dziedzińcu obozu około tysiąca mężczyzn: twarze blade, wychudłe, pełne niepokoju i wyczekiwania. Oficer SS wykrzyknął w ich stronę serię poleceń, na które Guillén nie zwrócił szczególnej uwagi. Myślał o narzędziach, które od kilku dni miał przybandażowane do ciała: brzeszczot piły do metalu pod lewym przedramieniem i nożyce, jeszcze mniejsze, po wewnętrznej stronie uda. W pewnej chwili przestraszył się, że do niczego mu się już nie przydadzą, że jego plany ucieczki spełzną na niczym i skończy w znacznie gorszym miejscu niż to, z którego wyszedł. Może José Luis miał rację... Oblał się zimnym potem, poczuł przyływ paniki. Wtedy masa ludzka na rozkaz strażników anemicznie ruszyła z miejsca. Pociągnęli go za sobą.

– Co się dzieje?

– Przed wyjazdem będą nas rewidować.

Guillén spojrzał za siebie w stronę nieosiągalnych już baraków.

Czekał na swoją kolej przed szpalerem strażników poddających więźniów drobiazgowej rewizji. Nie był w stanie przestać się ruszać, nerwy zżerały mu żołądek, podczas gdy kolejka cały czas przesuwała się do przodu. Przestraszony, widział, jak obszukują tych przed nim, od góry do dołu. Otarł pot z czoła lodowatymi rękami. Chciał stamtąd uciec, ale wyobraził sobie ścigający go grad kul. Nie usłyszał, że go wołają. Pchnięty szybko podbiegł kilka kroków do strażnika. Ten nawet na niego nie spojrzał, tylko zabrał się do rutynowego działania. Ponieważ nie miał żadnej torby, strażnik od razu zaczął go obmacywać. Guillén starał się powstrzymać drżenie. SS-man zaczął od rąk: od ramion do nadgarstków. Przesunął rękami po brzeszczocie, ale go nie wyczuł. Podsunął mu rękawy, żeby zobaczyć bandaże. Znowu przebiegł po nich rękami. Guillén nie był w stanie oddychać, ten człowiek na pewno coś wymacał. On jednak dalej wykonywał swoje zadanie, teraz dotykając mu klatki piersiowej i nóg. Dwa razy przesunął rękami po udach, ale sprawdził, czy tam też są bandaże, bo było oczywiste, że coś wyczuł. Guillén obawiał się najgorszego. Krople potu płynęły mu po twarzy i piersiach, czekał.

Strażnik spojrzał na niego twarzą wyciosaną z kamienia. Blondyn, niebieskie oczy, bardzo, bardzo młody, zbyt młody jak na tak grobową minę.

– Żegnam i powodzenia – szepnął, niemal nie poruszając ustami, w bardzo złej francuszczyźnie. I wezwał następnego.

Wtedy Guillén o mało nie zemdlał.

*

Cały personel szpitala polowego w Miestielewie był w stanie gotowości. Sale operacyjne zostały przygotowane, a protokoły działania wdrożone. Po pełnej napięcia nocy, podczas której nikt nie zmrużył oka, o świcie cisza przyprawiała o dreszcze – zapadła ciężka jak mgła, podczas gdy wszystkie spojrzenia kierowały się w stronę dalekiego frontu, spokojnego. W tej ciszy słychać było nawet tykanie sekundnika. Wraz z ostatnim tyknięciem rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie, którego ryk wstrząsał szybami w oknach szpitala. Świst rakiet, wystrzały dział i detonacje nie ustawały godzinami, nie było ani chwili przerwy pomiędzy kolejnymi eksplozjami. Na horyzoncie ściana czarnego dymu wznosiła się na kilka metrów w niebo. Przygnębiające były myśli o tym, co się dzieje na poziomie ziemi. Chciało się zatkać uszy i zapłakać.

Lena wolała pomodlić się, jednocześnie koncentrując się na rutynowych działaniach, żeby odegnąć od siebie horror wybuchów. Od czasu do czasu krzyżowała spojrzenie z którąś z koleżanek; słowa były niepotrzebne, żeby wyrazić przerażenie. Nati pobladła jak ściana; Lena wyobraziła sobie, że na pewno ona też

tak wygląda, czuła mdłości.

Park ambulansów natychmiast ruszył na front. Ciężarówki z amunicją i innym zaopatrzeniem też. Sam dowódca Błękitnej Dywizji, generał Emilio Esteban-Infantes, przeniósł swoje stanowisko dowodzenia do wioski Raikołowo, kilka kilometrów od linii frontu. Ponieważ atak przerwał wiele linii telefonicznych, wiadomości docierały do nich w formie szczątkowej. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę się dzieje. Niepokój rósł.

Pierwsi ranni pojawili się około dziewiątej rano: fala okaleczonych ciał z prerażeniem jeszcze zastygłym na twarzach. Przyjeżdżali opatrzeni już przez sanitariuszy frontowych. Większość wymagała natychmiastowego operowania. Ponieważ sale operacyjne były przepełnione, należało utrzymać ich przy życiu. Wymagało to szaleńczych działań: przenoszenia z jednej strony na drugą; biegania i krzyków w salach i na korytarzach; białe fartuchy były zalane krwią, ręce unurzane we krwi. A w tle ciągle bezlitosne wybuchy.

W miarę postępów poranka sytuacja się pogarszała. Pierwsi świadkowie z frontu mówili o masakrze.

*

Była siódma trzydzieści rano, gdy ruszyli do Compiègne, pieszo, ściśnięci w ludzkim tłumie, brudnym i śmierdzącym, wlokącym się jak procesja pokutników, z nogami grzęznącymi w błocie rozchlapwanym powolnym krokiem. Smagał ich śnieg jak cienkie lodowe igły.

Eskortowali ich strażnicy niemieccy i francuscy uzbrojeni w pistolety maszynowe. Jeden facet – w berecie, z kocem zrolowanym na piersi i walizką przewiązaną liną – którego Guillén znał i wiedział, że jest Hiszpanem, zapytał żandarma, który kroczył u jego boku: „Dokąd idziemy?”. Ten tylko na niego spojrzął i odpowiedział z niejaką radością: „Do miejsca odpowiedniego dla typów takich jak wy”. Nie było to uspokajające.

Przeszli przez miasteczko Compiègne. Kilkoro ciekawskich przyglądało się żałobnemu pochodowi i zostało przegonionych przez strażników. Guillén szedł ze spuszczoną głową i wzrokiem utkwionym w ziemi. Myślał o SS-manie, który pozwolił mu przejść. Ciągle mając w pamięci jego błękitny szklany wzrok, zadawał sobie pytanie, dlaczego to zrobił.

Niektórzy chcieli wykorzystać sytuację, żeby uciec, widok nieprzemierzonych pól wydawał się kuszący. Ale przegrupowali ich uderzeniami kolb. Chłopak idący obok Guillena miał zakrwawione usta. Ktoś podał mu chusteczkę. Jeden uciekł w krzaki; strzelono do niego i padł jak upolowane zwierzę.

Guillén dalej szedł ze spuszczoną głową. Nożyce sprawiały mu ból przy każdym kroku.

Wtedy ktoś go chwycił za ramię.

– Wreszcie cię dopadłem...

Nie mógł uwierzyć, kiedy uniósł wzrok: José Luis! Szedł obok niego, z tobołkiem na plecach i paczką książek w rękach. Bez tchu po przebijaniu się przez tłum. Miał ochotę go przytulić.

– Ale jak?

– Zamieniłem się na blachy w ostatniej chwili. W sumie doszedłem do wniosku, że już za długo tu siedzę...

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak się cieszę. – Guillén pohamował okazywanie radości, która nagle go ogarnęła.

A jednak José Luis nie uśmiechał się, w zasadzie wydawał się zmartwiony.

– Myślałem, że odebrali ci narzędzia przy rewizji.

– Coś się wydarzyło... Łut szczęścia. – Guillén uśmiechnął się. – Wiem, że się nam poszczęści.

Czekali ponad sześć godzin w deszczu na tak zwanym „peronie wywózki” na stacji w Compiègne. Głodni, milczący i umierający z zimna. Nie było najmniejszej próby ucieczki czy oporu. Brakowało sił. Niepewność została zastąpiona wyczerpaniem. Nie miało znaczenia dokąd, ważne, żeby wreszcie ruszyć się stamtąd.

W końcu usłyszeli zbliżający się pociąg. Zatrzymał się przed nimi z metalicznym piskiem i uderzeniem pary. Guillén naliczył dziesięć wagonów towarowych Société Nationale de Chemins de Fer Français, francuskich linii kolejowych. Wielkimi białymi literami wypisano na wagonach: COMPIÈGNE–AUSCHWITZ.

– Co to jest Auschwitz? – zapytał José Luis.

Guillén wzruszył ramionami.

*

Przez ponad dwie godziny Rosjanie ciężkim ostrzałem nekali hiszpańskie pozycje, bez litości, bez ustanku. Dziko się odwzajemniano, lufy dział były rozpalone do czerwoności od ciągłego ognia. A jednak wydawało się, że w ogóle nie wyhamowują ofensywy.

Kapral Antonio Ponte przyglądał się ze smutkiem panoramie bitwy: śnieg zniknął, a w jego miejsce pojawił się teren błotnisty, popalony i poryty kraterami: wiele okopów zawałiło się, a schronienia zostały zniszczone; z zasieków zostały tylko poskręcane druty kolczaste. Dym drapał w oczy i gardło, dzwoniło mu

w uszach od ogłuszającego ryku wybuchów; nawet krzykiem nie można się było porozumiewać. Niektórzy towarzysze leżeli ranni na ziemi; naprawdę trudno byłoby ich wyciągnąć z tego piekła. Jeszcze gorzej było u sąsiadów z 8. kompanii 262. pułku, którzy stracili najwięcej żołnierzy; zginął nawet ich lekarz.

Nagle Rosjanie przenieśli ogień na drugą linię, aby rozpocząć kolejny etap ataku: z drugiej strony drogi ruszyła na nich biała fala żołnierzy, która zdawała się nie mieć końca, jakby wypluwał ich z siebie horyzont. Za nimi pojawiły się gąsienice i lufy wozów bojowych, zwłaszcza oddziały przerażających T-34, odpornych na strzały z niemal każdej broni przeciwpancernej. Widok tego mastodonta o niemal trzech metrach wysokości, miażdżącego wszystko na swojej drodze, sprawił, że Toñin w swoim mundurze i w hełmie poczuł się jak robak pod ogromnym butem. Z sercem walącym w piersiach instynktownie chwycił pistolet. Rozejrzawszy się wokoło, zobaczył, że jego koledzy też ściskają broń z oczami utkwionymi przed siebie.

Rosjanie najpierw dotarli do bocznych pozycji i rozpoczęli szaleńczy atak: była to horda mongolska strzelająca gdzie popadnie. Ze swojego parapetu Toñin słyszał jęki i wycie ludzi; niektórzy śpiewali; wyglądali jak wariaci, pijani. Młody kapral starał się opanować drżenie rąk trzymających pistolet, patrzył nerwowo na wszystkie strony, gotowy do strzału, jednocześnie starał się chować przed wybuchami; jeden z nich nastąpił tak blisko, że grad ziemi uderzył go w twarz.

Niebawem dołączyły do nich pozostałości po drugiej sekcji kompanii: mniej niż połowa; nawet porucznik poległ na przedpolu, idąc do ataku z pistoletem w rękę. Szybko nastąpił pierwszy szturm na pozycje 3. kompanii. Toñin strzelał do wszystkiego, co się ruszało. Strzały z karabinów maszynowych świszczą wokół jego głowy. Kapitan Aramburu krzyczał na nich. Kilka radzieckich czołgów zostało uszkodzonych na polu minowym. Po ciągnących się jak wieczność minutach szturm Toñin z ulgą zobaczył, że Rosjanie wycofują się. W okopach rozbrzmiało kilka „hurra”; powściągliwych, wszak bitwa jeszcze się nie zakończyła. Na całym froncie trwały eksplozje granatów i moździerzy, ludzka masa otaczała hiszpańskie pozycje jak mrówki, czołgi zgniatały obrońców, wzbudzając panikę swoim przejazdem.

Inne sekcje zbierały się przy pozycjach Toñina. Przychodzili zdziśiatkowani, wielu oficerów zginęło albo było poważnie rannych. Sytuacja stała się rozpacзлиwa. Kapitan Aramburu zdecydował się wysłać rannego porucznika na tyły wraz z pozostałymi rannymi, którzy mogli iść o własnych siłach. Miał zanieść generałowi Estebanowi-Infantesowi raport i poprosić o rozkazy oraz wsparcie, przede wszystkim o radio i lekarza. Potem zawołał Toñina.

– Na rozkaz, panie kapitanie.

Oficer stał nad mapą. Mimo mrozu pocił się.

– Musisz pójść do Krasnego Boru, do stanowiska dowodzenia komendanta Belloda, i sprowadzić lekarza. Nie jestem pewien, czy nam go wyślą z tyłów...
– Popatrzył na mapę i palcem wskazał szosę Moskwa–Leningrad. – Wykorzystaj rów melioracyjny, żeby cię nie zobaczyli, w ten sposób dostaniesz się na południowo-zachodni koniec wioski. Wejdiesz tędy. Łatwiej ci będzie poruszać się ulicami niż po otwartym polu.

Pożegnał się z nim słowami: „Powodzenia, kapralu, i niech żyje Hiszpania!”, na co Toñín odpowiedział, stając na baczność i salutując.

Nie zastanawiając się wiele, poprawił hełm i wyjrzał z okopu. Trzeba było dużej odwagi, żeby stawić czoło temu, co się działo na zewnątrz.

*

Wepchnęli ich do wagonów, niektórzy w zamieszaniu stracili swoje rzeczy. Guillén starał się za wszelką cenę nie rozdzielić z Josem Luisem, mimo szturchnięć i popychania. Kiedy znaleźli się już w środku, drzwi zamknięto i zabezpieczono łańcuchem. Oceniał, że upchnięto do tego wagonu około stu mężczyzn, byli tak bardzo stłoczeni, że nie mogli nawet usiąść. Przez małe okno nie docierało ani światło, ani powietrze. Do picia mieli tylko jedno wiadro wody na wszystkich i drugie wiadro do zaspokajania potrzeby. Wkrótce gorąc i smród stały się nie do wytrzymania, a pociąg jeszcze nawet nie ruszył z miejsca.

W grobowej ciszy można było usłyszeć brzęczenie muchy, także strach, który zatkał im usta i przyspieszył oddech. Po drugiej stronie wagonu jakiś człowiek dostał ataku paniki. „Wypuście mnie! Wypuście mnie!” – wrzeszczał. Udało im się go uciszyć i po chwili było słychać już tylko łkanie.

Świst, uderzenie pary i pociąg ruszył. Szarpnięcie rzuciło ich jednych na drugich. Guillenowi podeptano stopy, ktoś dotkliwie uderzył go łokciem w bok. Gdy w końcu udało mu się wyprostować, spróbował ściągnąć kurtkę, co było trudne przy braku miejsca nawet na wyciągnięcie rąk. José Luis także ściągnął płaszcz, beret, szalik, niemiłosiernie się przy tym wyginając; złożył je na podłodze pomiędzy nogami obok książek. Jego blada twarz była złana potem.

– Dokąd oni nas zabierają? – wyszeptał na ucho Guillenowi, chociaż inni i tak ich usłyszeli.

– To nie może być daleko – zauważył któryś. – W takich warunkach nie można jechać daleko. Bez wody ani jedzenia!

– Na pewno nas wiozą do Niemiec do obozu pracy – wtrącił się inny.

– Do Niemiec? To przynajmniej jeden dzień jazdy. To niemożliwe!

Rozmowa rozchodziła się jak fala po całym wagonie, wzrastał jej ton.

– Bez względu na to, dokąd jedziemy, ja nie zamierzam tu zostawać, żeby

się przekonać – wymamrotał Guillén.

Usłyszał go już tylko José Luis.

Stopniowo, z idącym za nim przyjacielem, torował sobie przejście przez ściśnięty tłum do okienka. Przyjrzał mu się dokładnie.

Umieszczono tam w poprzek dwa stalowe pręty o około pięciu centymetrach średnicy. Poza tym okręcono je drutem kolczastym, przez co nie można było ich dosięgnąć. Drut nie był żadnym problemem, nożycami mógł go przeciąć w jednej chwili. Pręty to co innego, nie był pewien, czy jego brzeszczot wytrzymałby tyle piłowania. Ale nawet jeśli udałoby mu się je przepiłować, okienko było tak małe, że ani José Luis, ani on nie zdołaliby się przez nie przecisnąć.

– Jak to widzisz? – zapytał go nauczyciel, jakby czytał mu w myślach.

– Znakomicie – skłamał. – Trzeba tylko wziąć się do roboty.

Mimo że na zewnątrz padał deszcz i było zimno, powietrze w wagonie stawało się nie do zniesienia: wilgotne i lepkie, coraz bardziej śmierdzące ludźmi. Pociąg jak szczury, co nie pomagało w racjonowaniu wody, na wypadek gdyby nie mieli jej dostać więcej. Niektórzy, samozwańczo mianujący się liderami tej nieszczęsnej grupy, ustanowili normy korzystania z wody: łyk na osobę co trzy godziny, poza najstarszymi i ewidentnie chorymi; ten czas mógł zostać później rozciągnięty, jeśliby się okazało, że podróż się przedłuży. Drugą sprawą było wiadro z odchodami. Na początku postanowiono ustawić je w jednym z narożników, a nawet użyć ubrań w charakterze zasłony, aby zapewnić odrobinę prywatności. Po kilku godzinach podróży prywatność stała się najmniejszym kłopotem. Problemem było to, że wiadro zaczynało się przelewać. Było wśród nich sporo chorych na dyzenterię, a inni chorowali ze strachu, nerwów, gorąca i smrodu. Widok wiadra był obrzydliwy, a smród jeszcze bardziej. Guillén starał się o tym nie myśleć.

Co do jedzenia, panowały różne opinie: od takich, że dostaną je na stacji, do takich, że pozwolą im tu umrzeć z głodu. Niektórzy mieli trochę pożywienia w bagażu i chociaż nie wszyscy byli gotowi się podzielić, niemal nie sposób było jeść tak, żeby reszta wagonu się o tym nie dowiedziała. Postanowiono zatem stworzyć wspólny bank żywności, która tak jak woda podlegała racjonowaniu. Jakiś stary suchar, okruchy czerstwego chleba, pół puszki marmolady... Głód szybko zaatakował brzuchy. Brakowało sił, aż do omdlenia. Powoli i mimo braku przestrzeni najślabi zaczęli siadać, dopasowując się do innych jak klocki; miejsce przy ścianie okazało się niebywałym luksusem. Trzeba również było ustalić zmiany na miejscach przy ścianie; tylko na początku, później woleli kłaść się jedni na drugich.

Pociąg przejechał przez różne stacje bez zatrzymania. W pewnej chwili stanął w szczerym polu. Nikt nie potrafił powiedzieć dlaczego. Stali przez kilka godzin. Deszcz bębnił o dach, hałasując w środku wagonu. Ten dźwięk mógł

doprowadzić do szaleństwa. Ktoś zaczął śpiewać, kilku następnych poszło w jego ślady. Ktoś zaprotestował, ale na niewiele mu się to zdało. Niektórzy się modlili, lamentowali, szeptali słowa bez sensu... Niczym rozstrojone instrumenty, spotykające się w wielkiej dysharmonii, szum okazywał się nie do zniesienia. Guillén znowu zaczął kaszleć, tak jak kiedyś. Zamknął oczy i wsparł się o drewnianą ścianę. Chłód wciskający się przez szpary przynosił mu ulgę.

Kiedy pociąg znowu ruszył, panowała już noc.

*

Front wypluwał rannych bez ustanku, intensywność bitwy nie słabła. Przeciwnie, artyleria w tej chwili ostrzeliwała tyły, podczas gdy czołgi i piechota nękały pierwszą linię. Punkty opatrunkowe przepelniły się w południe. Do szpitala polowego zgłaszali się już ranni, którzy nawet nie zostali wstępnie opatrzeni: wiszące kończyny, otwarte rany, rozprute brzuchy... Brakowało już morfiny i szczepionek przeciwężcowych, często nie mieli nawet czasu, żeby wypełnić kartę choroby choć odrobinę czytelnym pismem. Ze wszystkich sił starali się uniknąć chaosu, ale chwilami sytuacja się pogarszała i dziesiątki ciał leżały na korytarzach.

Lena pomagała w klasyfikowaniu ostatniej grupy rannych, kiedy podeszła do niej przełożona pielęgniarek z bardzo poważną miną.

– Mamy przypadek potężnego krwotoku i hipowolemii. Chłopak stanął na minie. Zanim go zabierzemy na salę operacyjną, trzeba mu zrobić transfuzję.

Lena kiwnęła głową. Przełożona wyszeptwała:

– Powoli brakuje krwi, więc zaczniemy robić transfuzje bezpośrednio. Chłopak nie ma nieśmiertelnika, a nie jesteśmy w stanie zbadać jego grupy krwi. Pani będzie dawcą.

Lena bez wahania poszła za przełożoną. Doskonale wiedziała, na czym polega transfuzja bezpośrednia, bo podczas wojny domowej kilka razy już ją robiła. Poza tym była dawcą uniwersalnym: grupa jej krwi, 0, w nagłych sytuacjach była bezcennym skarbem.

Podeszły do noszy, na których leżał młody sierżant z grupy zwiadowczej, z ciałem zmasakrowanym od pasa w dół. Miał na sobie jeszcze część niemieckiego munduru; kolor jego twarzy był niepokojąco podobny do zieleni munduru. Wydawało się, że jest nieprzytomny. Nie tracąc czasu na rozmowy, obie pielęgniarki natychmiast zabrały się do roboty. Musiały użyć specjalnej strzykawki, zwanej strzykawką Jubé, która miała dwa wyjścia. Przełożona zawiązała gumę na przedramieniu rannego. Z wielką biegłością odnalazła żyłę (niemal niewidoczną, tak mało miał już w sobie krwi) i wbiła mu igłę. Potem Lena wbiła w swoje przedramię drugą igłę. Po zaciągnięciu tłoczka i po kilku głębokich wdechach

rozpoczęła się transfuzja. Tę operację trzeba było przeprowadzać bardzo szybko, aby krew nie zaczęła krzepnąć. W niecałe pół godziny przetoczyły ponad dwieście centymetrów sześciennych. Właśnie skończyły, kiedy zbliżył się kapitan Fernando Escobedo, żeby zapytać o pacjenta, którego za chwilę miał operować. Wydał kilka poleceń przełożonej pielęgniarek i zwrócił się do Leny, która jeszcze trzymała gazę w miejscu, gdzie była wbita igła.

– Proszę odpocząć przez chwilę – zasugerował.

Lena nie musiała się rozglądać, pośpiech czuć było w powietrzu: lamenty, przynaglania, zamieszanie... Tuż obok ksiądz udzielał komuś ostatniego namaszczenia. Nikt już nie zwracał uwagi na odgłosy wybuchów, ale było je słychać niczym bicie serca. Słowo „odpoczynek” wydawało się całkowicie nie na miejscu.

– Nie trzeba. Mam się dobrze. Muszę wrócić na izbę przyjęć.

Oficer miał zamiar stać się bardziej energiczny w swoich zaleceniach, kiedy podszedł do niego żołnierz z wiadomością.

– Z dowództwa, panie kapitanie. Właśnie przyszło.

Fernando Escobedo szybko przeczytał. Lena właśnie się przekonała, że jego mina może stać się jeszcze bardziej grobowa.

– Złe wiadomości? – odważyła się zapytać.

Oczy kapitana wbijały się w wiadomość.

– Poległo trzech lekarzy, dwóch poruczników i kapitan, w sektorze Krasny Bor – odpowiedział. – Lazaret w wiosce nie ma żadnego lekarza, a to główny punkt opatrunkowy na pierwszej linii. Z dowództwa proszą, żebym wysłał tam chirurga... – Nagle zamilkł; utkwiał wzrok w końcu sali, ponad chaosem. Po kilku sekundach odwrócił się na pięcie i odszedł.

Lena miała przebłysk intuicji. Odkoczyła od noszy i pobiegła za nim.

– Co ma pan zamiar zrobić? – zapytała.

– Pojadę.

– Ale... nie może pan! Nie widzi pan, co tu się dzieje?

– Oczywiście, że mogę. Do tego jestem świadomy sytuacji w tym miejscu, siostró. Porucznik Martos przejmuje dowodzenie. Doskonale się do tego nadaje.

– Ależ pan jest komendantem szpitala!

– Nie, od tej chwili jest nim porucznik Martos. – Kapitan zatrzymał się i spojrzał na Lenę. – Wreszcie zajmę odpowiednią pozycję i tym razem nikt mnie nie zignoruje.

Len spojrzała na niego ostro.

– Jadę z panem – wypaliła.

Oficer szeroko otworzył oczy.

– Proszę nie opowiadać bzdur – rzucił, ruszając przed siebie wielkimi susami.

– Będzie pan potrzebował pomocy! – nalegała Lena, starając się nadążyć za nim pośród biegających we wszystkie strony ludzi.

– Każdy sanitariusz może się tym zająć. Pani jest potrzebna tutaj. Pierwsza linia to nie miejsce dla kobiet.

– Boże! Wiele razy byłam na pierwszej linii! Niemieckie i rosyjskie sanitariuszki są na pierwszej linii! Nasi ranni żołnierze potrzebują kogoś, kto będzie ich pocieszał w ich własnym języku! Poza tym mam grupę krwi 0, mogłabym uratować przynajmniej jedno życie!

– Właśnie oddała pani krew.

– Mogę to zrobić jeszcze raz.

Kapitan Escobedo zatrzymał się gwałtownie i odwrócił się do niej z kamienną twarzą; stracił cierpliwość.

– Koniec dyskusji! – Jego krzyki zwróciły uwagę kilku osób. – Pani tu zostaje! To rozkaz!

Twarz Leny była purpurowa.

– Nie! Nie może mi pan tego zrobić! – wykrzyknęła; potem, starając się uspokoić, dodała po cichu: – Jest mi pan winien przysługę... Przysługę osobistą...

– Do diabła! To nie ma nic do rzeczy!

– Wiem, że chce mnie pan chronić, ale ja też pragnę wypełnić swój obowiązek, nikt lepiej niż pan nie może tego zrozumieć – argumentowała już spokojniej. – Mogę być tam bardzo przydatna, proszę to przyznać. Proszę...

Oficer dyszał z wściekłości.

– Nie zgadzam się na to szaleństwo. Pójdzie tam pani na własną odpowiedzialność. – Uniósł wzrok i rozejrzał się. – Wszyscy jesteście świadkami! Wbrew mojej opinii ta pielęgniarka udaje się na ochotnika do lazaretu Krasny Bor.

*

Niedożywieni, odwodnieni, większość więźniów drzemała w wagonie, podczas gdy pociąg dalej pędził przez noc.

Wykorzystując ciemność, Guillén zaczął rozwijać bandaż, żeby wydobyć narzędzia. Obudził przy tym Josego Luisa.

– Co robisz?

– Trzeba się zabrać do pracy – wyszeptał. – Siedzimy w tej dziurze już prawie dobę, więc nie możemy tracić więcej czasu.

Przyjaciół pomógł mu przy bandażach.

– Myślisz, że te narzędzia wystarczą?

– Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy. Na razie jedno jest dobre: od początku podróży nie widzieliśmy żadnego strażnika.

– Pilnują, siedząc na platformie, na końcu pociągu – stwierdził José Luis, patrząc na silne światło reflektora, które nieustannie omiatało boczne ściany wagonów. – I widziałeś, że na postojach chodzą wokół pociągu.

– Tak, ale nie ma ich tu, w środku. Możemy spokojnie popracować.

Guillén wreszcie ściągnął bandażę. Oderwał plastry mocujące narzędzia i zobaczył, że go poraniły.

– Obserwowałem – ciągnął. – Wchodząc w zakręt, pociąg zwalnia, poza tym od strony wewnętrznej robi się cień i nie sięga tu reflektor. To idealny moment, żeby skoczyć. Zwłaszcza jeśli jedziemy przez las, gdzie natychmiast można się schować.

José Luis przełknął ślinę. Samo wyobrażenie sobie, co jego zuchwały przyjaciel planuje zrobić, sprawiało, że włosy stawały mu dęba. Guillén położył mu rękę na ramieniu.

– Wszystko dobrze. Niebawem będziemy wolni. – Patrzył na małe narzędzia w swoich rękach. – Teraz trzeba już tylko wziąć się do roboty.

*

Całą podróż do Krasnego Boru odbyli w milczeniu; mina kapitana siedzącego za kierownicą była wręcz wroga. Chociaż na Lenie te humory nie robiły żadnego wrażenia. Bardziej interesowało ją to, co widziała dokoła.

Szosa była niemal zablokowana pojazdami jadącymi w jedną i drugą stronę, maszerującym wojskiem i ciągniętymi przez konie furami z rannymi i zaopatrzeniem. Na szczęście próbowano przepuszczać ich renaulta, znanego jako „płaski” ze względu na spłaszczoną chłodnicę, który miał wymalowany czerwony krzyż na dachu i po bokach. W miarę jak się zbliżali do pierwszej linii, niebo robiło się czarne, wybuchy wstrząsały szybami i wszędzie unosił się intensywny zapach prochu i spalonej gumy. Zauważyli pierwszych rannych krążących po poboczach; twarze wykrzywione strachem i bólem, z brudnymi i poszarpanymi opatrunkami, a to w najlepszych przypadkach. Nie mogli się zatrzymać, żeby ich opatrzyć, mieli inną misję.

O kilka kilometrów od Krasnego Boru śnieg stopniał od ognia artylerii, ziemia była spalona i pokryta kraterami, niektóre domy zostały zburzone pociskami, a płomienie zrobiły resztę. Widać było trupy leżące na ziemi. Kiedy Lena oglądała ten dantejski krajobraz, cała spięta, granat wybuchł na drodze o kilka metrów przed nimi. Kapitan skręcił gwałtownie, żeby uniknąć wybuchu, Lena poleciała do przodu i uderzyła o szybę, deszcz odłamków i ziemi spadł na dach samochodu. Fernando Escobedo wcisnął pedał gazu.

– Proszę się pochylić!

Lena była oszołomiona przez wybuch i uderzenie w głowę; reakcja zajęła jej kilka chwil.

– Powiedziałem, żeby się pani schyliła, do cholery! – Chwycił jej głowę i pociągnął w dół.

Jadąc na pełnej prędkości, wpadł do wioski, gdzie walczone już na ulicach. Kilka pocisków uderzyło w karoserię samochodu, ale kapitan Escobedo nie zatrzymał się ani nie przestał patrzeć przed siebie, dopóki nie dotarł do lazaretu. Wysiedli z samochodu i czym prędzej schronili się w domu oznaczonym wielkim czerwonym krzyżem.

W szpitaliku zastali chaos. Bez żadnego dowództwa, ranni tłoczyli się wszędzie, a mogło ich obsłużyć tylko kilku sanitariuszy. Kapitan przedstawił się jednemu z nich i poprosił o nakreślenie sytuacji.

– Problem jest taki, że nie można ewakuować tych wszystkich ludzi przed zmrokiem. Rosjanie strzelają nawet do noszowych i wielu już poległo razem z rannymi, których transportowali – podsumował sanitariusz, na skraju załamania nerwowego.

Oficer natychmiast przejął dowodzenie.

– Działa radio?

– Tak jest, panie kapitanie.

– Po pierwsze trzeba wysłać wiadomość na tyły, żeby przysłali konwój karetek, jak tylko zapadnie zmrok, proszę to zrobić. Następnie wraz z kolegą proszę się zająć klasyfikacją rannych. Proszę zebrać ich w jednym miejscu i kazać komuś ich obejrzeć. Z jednej strony ci, których można transportować i którzy mogą czekać na transport. Z drugiej ci, którzy wymagają natychmiastowej interwencji; ci należą do mnie.

– Na rozkaz, panie kapitanie. Coś jeszcze?

– Nie, proszę brać się do roboty.

Potem zwrócił się do Leny:

– Pani zostanie ze mną. Przygotujemy tutaj tymczasową salę operacyjną, żeby ustabilizować stan rannych do ewakuacji.

*

Obudziło ich skrzypienie i szarpnięcie hamowania. Poleciały przekleństwa i skargi. Guillén zakaszlał i się przeciągnął. Czuł zdrętwiałe mięśnie, żołądek skręcony z głodu i język spuchnięty z pragnienia. Woda skończyła się w środku nocy; niektórzy nawet pobili się o to, kto wyliże dno wiadra. Uniósł wzrok do okienka i stwierdził, że świta. Stając na postawionej walizce, wyjrzał na zewnątrz.

– Co widzisz? – zapytali.

– To stacja... niemiecka. W nocy przejechaliśmy przez granicę.

Pośród więźniów poszedł szept. Zastanawiano się nad dwiema opcjami: czy dojechali do miejsca przeznaczenia, czy to tylko postój, gdzie dadzą im wodę, a nawet jedzenie.

Nie wydarzyło się nic takiego. Stali przez kilka godzin. SS-mani chodzili wokół pociągu z psami. Już nie padało, wyszło słońce, które bezlitośnie ogrzewało dach wagonu, czyniąc z niego żarownik. Skwar był nie do wytrzymania; pragnienie jeszcze gorsze. Wielu rozebrało się do bielizny.

– Przynajmniej ściągnij koszulę – Guillén poradził Josemu Luisowi.

Tamten pokręcił głową, z włosami przylepionymi do czaszki od potu.

– Szyk i elegancja... – zażartował sobie z niego.

Wtedy ktoś uderzył w ścianę wagonu.

– Wody! Dajcie nam wody! Proszę, wody! Umieramy z pragnienia!

Jak fala uderzenia i prośby rozeszły się po całym wagonie. Niektórzy wychylali się w stronę okienka, krzycząc: „Wody! Wody! Wody!”.

Strażnicy kazali im się zamknąć. Psy szczekały, obnażając kły. Ponieważ krzyki nie milkły, SS-mani kilka razy strzelili w powietrze. Zaległa cisza. Na krótko. Usłyszeli krzyk z sąsiedniego wagonu. „Wody!” Krzyk rozszerzał się na cały pociąg, coraz głośniejszy, coraz intensywniejszy.

Dowódca eskorty pociągu wysiadł ze swojego wagonu na przedzie, stanął za żołnierzami i wydał rozkaz:

– *Feuer!*

Kilka serii z karabinu przecięło wagony. Instynktownie Guillén rzucił się na ziemię i się skulił. Wokół niego rozległy się krzyki paniki.

*

Rosjanie przedarli się przez ich linie. Byli wszędzie, w alkoholowej furii strzelali, nie schylając się, otoczeni przez T-34 i metaliczny szczęk ich brnięcia naprzód; wozy bojowe bez ustanku strzelały, niszcząc każdą kryjówkę, ludzie uciekali przed nimi w popłochu. W wielu miejscach doszło do walki wręcz: strzelano z bliska, rzucono nożami, walczono na bagnety, saperki, pięści... na wszystko. Żołnierze padali setkami; niektórzy byli wynoszeni na noszach albo wlekli się o własnych siłach, stając się łatwym celem dla Rosjan.

Antonio Ponte zdołał przekraść się wzdłuż drogi, pochylony, kryjąc się między nasypem a krzakami, które były tylko plataniną czarnych gałęzi. Pociski świstały mu nad głową. Kiedy uderzały zbyt blisko, przytulał się do ziemi i modlił o to, żeby nic mu się nie stało. W pobliżu Krasnego Boru teren był zasłany trupami. Przy samym wejściu do wioski natknął się na uciszoną niemiecką baterię; cała jej

obsługa, towarzysze z Dywizji, leżała okaleczona. Śnieg wokół był czerwony. Tońin zacisnął zęby z wściekłości i poszedł dalej. Wtedy usłyszał jęki: „Pomóżcie mi... Towarzysze... Tutaj...”. Saper odwrócił się. Wzrokiem szukał jakichś oznak życia. Znowu podszedł do baterii. „Tutaj... tutaj...” Pośród ludzkich szczątków zobaczył rannego sierżanta z ręką w strzępach. Ukląkł obok niego.

– Spokojnie, sierzancie... Pomogę panu się stąd wydostać. Może pan chodzić?

– Tak... Tak... Tak sędzę...

Tońin sięgnął po manierkę z koniakiem, odkręcił ją i podsunął pod nos sierżantowi, który pociągnął solidny łyk. Potem pomógł mu wstać i zarzucił sobie na ramiona. Grupka Rosjan zbliżała się do nich, wrzeszcząc jak dzikusy; wystrzelili kilka razy.

– Musimy się pośpieszyć. Niech pan biegnie najszybciej, jak się da.

Chłopak dyszał ze strachu i wysiłku, jednocześnie taszcząc niemal bezwładne ciało podoficera. Lazaret znajdował się w pobliżu punktu dowodzenia batalionu saperów. Był już bardzo blisko. Zostawi rannego sierżanta, a następnie pobiegnie oddać wiadomość komendantowi Bellodowi.

Rosjanie utworzyli linię frontową na północ od wioski i stamtąd próbowali ją przełamać, ale Hiszpanie dziko jej bronili. Czołgi zbliżały się do środka wioski, po drodze niszcząc domy, z których strzelali do nich żołnierze Dywizji. Tońin starał się unikać krzyżowego ognia. Sierżant od czasu do czasu tracił przytomność. Ledwie mógł się ruszać. Zatrzymał się, żeby nabrać sił i lepiej chwycić rannego, którego ciało wyslizgiwało mu się z rąk. Nagle poczuł silne szarpnięcie nogi. Krzyknął i spojrzał na udo. Z pogruchotanej manierki wypływał koniak i czerwona plama zaczęła wykwitać na jego białym ubraniu maskującym. Ból był okropny, ale zamiast go osłabić, doprowadził do wściekłości. Rana nie uniemożliwiała mu chodzenia i z nowymi siłami dowlókl sierżanta do szpitala.

W drzwiach przyjął go sanitariusz, który zajął się podoficerem. W środku panował nieprawdopodobny chaos: wszędzie byli ranni, krzyki i lamenty. Jego rana od kuli ciągle krwawiła, ból był coraz silniejszy, ale nie mógł czekać na opatrzenie. Później wróci, kiedy wreszcie doręczy wiadomość...

– Tońin?

Młody kapral odwrócił się szybko, myśląc, że umysł płata mu brzydkiego figla: niemożliwe, żeby to był głos Leny. A jednak ona tam stała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami, spocona i zalana krwią, z policzkami czerwonymi od wysiłku i hamowanego napięcia.

– Lena...

– Jesteś ranny – powiedziała, patrząc na jego nogę.

– To nic takiego... Ale dlaczego tu jesteś? Ty... nie powinnaś...

– Pomagam lekarzowi... Trzeba opatrzyć ci tę ranę.

– Nie, nie mam czasu. Muszę pilnie doręczyć wiadomość.

– Ale...

Toñin wziął ją za rękę. Te cholerne rękawice nie pozwalały mu poczuć dotyku jej skóry. Ściągnął je ze zdecydowaniem nietypowym dla niego, odsunął jej kilka kosmyków z twarzy i pogładził ją po policzkach.

– Nie martw się, muszę pójść tu niedaleko. Wrócę, jak tylko będę mógł, żebyś mnie wyleczyła. Wiesz przecież, że nie chcę żadnej innej pielęgniarki...

Lena skinęła głową i się uśmiechnęła. Młody saper pocałował ją w koniuszki palców, przez chwilę popatrzył jej w oczy i odwrócił się na pięcie, żeby kulejąc, wyjść z lazaretu.

Stanowisko dowodzenia komendanta Belloda znajdowało się w sąsiednim domu. Antonio Ponte rzucił się biegiem poprzez śnieg, unikając kul krzyżowego ognia. W końcu stanął przed dowódcą, wręczył wiadomość od kapitana Aramburu i oddał się do dyspozycji.

Na zewnątrz towarzysze z batalionu saperów i inni z grupy artylerii walczyli dziko, żeby zatrzymać postępy wojsk radzieckich próbujących wdrzeć się do wioski z flanki. Przyczajeni w rowach, strzelali bez ustanku; niektórzy z nich, nawet ranni, dalej się opierali i odmawiali ewakuacji.

Toñin odczuwał nieprzyjemne pieczenie w żołądku, spoglądając na to, co dzieje się na zewnątrz. Zostać na stanowisku dowodzenia, wrócić do kompanii, iść się opatrzyć w lazarecie... Co za różnica? Nigdzie nie było bezpiecznie. Znalazł się w samym środku piekła. Wtedy zobaczył, jak jeden z T-34 oddziela się od innych i rusza w ich kierunku. Jego długa lufa, niczym żelazne ramię, strzelała na lewo i prawo. Chłopak rzucił okiem w jedną i drugą stronę, na miejsce, gdzie stały skrzynki z minami i amunicją. Jeśli choćby jeden pocisk w nie uderzy, wylecą w powietrze; nie tylko oni, także wszystko w promieniu wielu metrów. Natychmiast skupił swoją uwagę na wielkim czerwonym krzyżu szpitala, widocznym z tego miejsca. Zobaczył z przerażeniem, jak lufa czołgu zwraca się dokładnie w stronę domu pełnego rannych. Jego oddech przyspieszył. Lena...

Nie zastanawiając się ani chwili, saper chwycił jedną z min przeciwczołgowych, pięć kilogramów trotylu. Pot zalewający mu oczy stężał na mrozie. Zaniepokojony spojrzał na pojazd, czując w skroniach bicie własnego serca; brakowało mu tchu. Natychmiast zlokalizował słabe punkty tego kreta i miejsce pomiędzy łańcuchem a gąsienicą, gdzie powinien umieścić minę. Kiedy ją aktywuje, będzie miał pięć sekund, żeby uniknąć wybuchu. Potarł sobie zranioną nogę.

– Osłaniajcie mnie, towarzysze! – krzyknął do saperów broniących pozycji z rowu, po czym rzucił się w pole.

*

Czterech martwych i jeden ranny, taka była kara za prośbę o wodę. Podłoga wagonu pokryła się krwią, czuć było jej metaliczny zapach unoszący się ponad smrodem nędzy. Po strzelaninie niektórzy łkali skuleni, niezdolni do żadnej reakcji. Inni złożyli trupy w jednym kącie, twarzą w dół; nie mieli czym ich zasłonić. Ranny dostał w brzuch; nie mieli jak zatrzymać krwotoku, prawdopodobnie umrze.

Nagle pociąg znowu ruszył. José Luis ciągle siedział na ziemi z głową zwieszoną między kolanami.

– Wszystko w porządku? – zapytał Guillén.

Kolega uniósł głowę, pokazując bladą twarz, wyobcowaną minę.

– Nie.

Jak gdyby czas nagle się skończył, Guillén chwycił narzędzia i zabrał się do wycinania drutu z okienka. Reszta obecnych w wagonie zobaczyła to.

– Co robisz? – usłyszał pytanie za plecami.

Nie trudził się odpowiadaniem. Dalej zajmował się swoim zadaniem, z poważną miną i zmarszczonym czołem. Jego determinacja była tak wielka, że nie zwracał nawet uwagi, kiedy drut kolczasty ranił mu palce.

Wokół niego powstał tumult. Natarczywie go pytali, żądali odpowiedzi. Niektórzy kopali walizkę, na której stał, żeby go zrzucić. Jednak Guillén robił swoje.

Jakiś wysoki typ z ogoloną głową, który mimo niedożywienia zachował dość mięśni, utorował sobie przejście pomiędzy innymi.

– Ej, ty! Chyba nie chcesz uciekać?

José Luis go znał, to był partyzant z Dijon, typ dość wredny. Mówiono, że gołymi rękami skrzył kark niemieckiemu żołnierzowi.

– Głuchy jesteś? Zadałem ci, kurwa, pytanie!

Kopnął w walizkę i Guillén spadł na ziemię. Uderzenie wywołało atak kaszlu, ale gdy doszedł do siebie, spojrzał z dołu na agresora w wyzywającej ciszy.

– Ja ci kurwa...!

Ten z Dijon właśnie miał się na niego rzucić, kiedy wtrącił się José Luis.

– Czekaj! Chce tylko wyciąć drut i nałapać trochę wody, jak będzie padać!

Ten drugi zawahał się, ale zaraz wrócił do ataku.

– Chuj tam! Ten skurwiel chce uciec, mówię wam! Nie słyszałeś, że wszystkich nas zabiją, jak ktoś ucieknie? Nie mam zamiaru umierać przez twój pierdolony egoizm.

Więźniowie zaczęli szeptać; podzielili się na dwie grupy.

Guillén wstał i postawił się wielkoludowi.

– Tak, tak jest: ucieknę. I ty mi w tym nie przeszkodzisz. Jesteś durniem, jeśli uważasz, że Niemcy potrzebują jakiegoś pretekstu, żeby nas wszystkich zabić.

Nie widziałeś, co się właśnie stało? Nie wołałeś o wodę? Jesteś więc winien śmierci tych ludzi? Wypierdalać mi z dylematami moralnymi, które te skurwysyny nam wymyślają! Ja zrobię wszystko, żeby stąd zwać. Jak ktoś chce, to niech idzie za mną.

Nie będąc świadomy, że otworzył debatę, Guillén podniósł walizkę, znowu się na nią wdrapał i zabrał do roboty.

Ale ten z Dijon też nie był świadomy, że w wagonie zaczęła się dyskusja, i z krzykiem: „Pierdolony egoistyczny skurwysynu!” chwycił go za ramiona, zmusił do obrócenia się i uderzył go pięścią prosto w zęby.

Guillén uniósł rękę do bolącej wargi. Widok krwi na palcach go rozluźnił. Wściekły rzucił się na olbrzyma, z całych sił oddając mu cios.

Pobili się trochę, aż w końcu innym udało się ich rozdzielić. Choć walka może i się skończyła, główny problem pozostał nierozwiązany.

*

Zaalarmowana metalicznym rykiem czołgu zmierzającego w stronę szpitala, Lena wyjrzała przez okno. Serce jej stanęło, gdy zobaczyła, że lufa jest wycelowana prosto w nich. Chciała krzyknąć, ale wtedy dostrzegła żołnierza czołgającego się pod ogniem kul w stronę czołgu, hiszpańskiego żołnierza. Był ranny w nogę i zostawiał ślad krwi na śniegu. Nie mogła zobaczyć jego twarzy, ale była pewna, że to Toñín.

„No gdzie ty leziesz, chłopaku? Uciekaj stamtąd!” – krzyczeli do niego towarzysze. Lena też krzyknęła. Kapitan Escobedo i kilku sanitariuszy podeszli na te krzyki. Jak skamieniali obserwowali tę dramatyczną scenę: saper zmierzał prosto pod radziecki czołg.

– Ale, co, u diabła...? – wybełkotał lekarz z niedowierzaniem, zanim zobaczył, że tamten wyciąga minę z plecaka.

– To niemożliwe! Niemożliwe! Niech ktoś go stamtąd zabierze! – krzyczała Lena we łzach.

Kapitan Escobedo objął ją dokładnie w chwili, w której Toñín dotarł do jednej z gąsienic czołgu. Do niej przyłożył minę magnetyczną. Włożył detonator. Jeden... Dwa... Trzy... Toñín nie oddalał się wystarczająco szybko. Lena krzyknęła w rozpacz. Pięć. Mina wybuchła.

Fala uderzeniowa wstrząsnęła domem. Nikt nie był w stanie się cieszyć, widząc unieruchomiony czołg za kolumną dymu. Wzruszeni, wszyscy trwali w milczeniu.

Lena płakała przytulona do kapitana Escobeda. O kilka metrów od rosyjskiego czołgu leżało porozrywane ciało kaprała Antonia Pontego Anida.

*

W wagonie gorąco dyskutowano na temat problemu ucieczki. W końcu ustalono najważniejsze kryterium: skoro Niemcy pozbawili ich praktycznie wszystkich praw, nawet tych najbardziej podstawowych, nie mogą oni, więźniowie, być współnikami w odbieraniu jedyne prawa, które jeszcze było nienaruszone, prawa do ucieczki.

Partyzant z Dijon i jeszcze kilku innych dalej się nie zgadzali, ale zostali uciszeni przez większość. Po przeciwnej stronie znajdowali się ci, którzy postanowili przyłączyć się do ucieczki.

Tymczasem Guillén, obsesyjnie skoncentrowany na swoim zadaniu, obojętny na dyskusje, starał się przepiłować pręty. Brzeszczot był za mały i niezbyt wytrzymały, jego zęby zaczynały się tępić o stal. On jednak niezłomnie pracował; tak intensywnie, że krwawiły mu dłonie i czuł się wyczerpany, również dlatego, że był osłabiony. Na koniec, chociaż niechętnie, dopuścił do pracy innych.

José Luis obudził go w środku nocy. Wydawało się niemożliwe zasnąć w tym miejscu, ale Guillén był tak zmęczony, że spał bardzo głęboko. Nawet miał sny.

– Pada – poinformował go przyjaciel, jednocześnie podsuwając mu pod nos metalowy kubek. Uśmiechał się.

Jeszcze zaspany, Guillén nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Wtedy zobaczył, jak więźniowie tłoczą się przy okienku, nie mogąc się doczekać swojego przydziału wody. Jak zwierzę rzucił się na kubek i wypił łapczywie, starając się wylizać wszystko do ostatniej kropli. Natychmiast poczuł ulgę w spuchniętych i spierzchniętych ustach, pokrytych strupami i brudem.

– Złamała się piła – powiadomił go José Luis, jakby czekał na to, aż będzie miał lepszy humor po wypiciu wody.

Pokazał mu szczątki bezużytecznego już narzędzia.

– Powiedz mi, że udało się wam przepiłować pręty...

Tamten pokręcił głową.

Może w innej sytuacji walnąłby pięścią w ścianę, rzuciłby wiązkę przekleństw, krzyczałby z wściekłości, ale w tamtej chwili miał tylko ochotę się rozplakać. Zwiesił głowę pomiędzy kolanami.

– Już prawie, ale nie damy rady złamać ich rękami. Poza tym, jak zaczęło padać, już nikt nie myślał o niczym innym, tylko o łapaniu wody.

Te słowa dodały Guillenowi animuszu. Wstał wściekle, z niespodziewanym wigorem, i skierował się do zgromadzonych wokół okienka. Odpychał ich, wrzeszcząc:

– Dosyć! Won! Won! Jak wszyscy będziecie wystawiać ręce, Niemcy was zobaczą! Zobaczą, że przecięliśmy druty!

*

Nie było czasu na żałobę. Kule dalej świszczwały, pociski artyleryjskie rozrywały chłopaków padających na polu bitwy. Lena otarła łzy i wróciła do pracy. Niebawem zaczął zapadać zmierzch.

W ciemności zgrzyt gąsienic czołgów był jeszcze bardziej przerażający, także krzyki patroli po rosyjsku, docierające nie wiadomo skąd. W nocy wydawało się, że wróg jest wszędzie.

Z tyłów zaczęły nadjeżdżać karetki, zarówno samochody, jak i ciągnięte przez konie wozy, więc można było rozpocząć ewakuację.

– Chcę, żeby pani wsiadła w pierwszą karetkę i pilnowała rannych. – Ton kapitana Escobedo był znacznie delikatniejszy niż ten, który znała na co dzień.

– Wie pan, że tego nie zrobię – odpowiedziała, jednocześnie dając zastrzyk z morfiny chłopakowi, który rozbił sobie twarz na lodzie.

– To rozkaz.

– Będę już miała wyrok sądu wojennego za pierwsze nieposłuchanie rozkazu, nic nie tracę, nie słuchając też drugiego.

Kapitan odszedł, parszkając.

Dochodziły do nich wiadomości o zdziesiątkowanych oddziałach, zniszczonych w najgorszy możliwy sposób; o kompaniach, które utraciły wszystkich oficerów, lekarza, kapelana, a dalej walczyły rozproszone i zdezorientowane. O wielu nic nie było wiadomo, pochłonęło ich rosyjskie morze, jak zamek z piasku na plaży.

– Kapitanie, mam rozkazy z dowództwa: to będzie ostatni transport ewakuacyjny.

Kierowca ciężarówki podał mu papier, w którym rzeczywiście obwieszczano, że w związku z postępowaniem wojsk radzieckich są zmuszeni zawiesić ewakuację. Tym samym zalecali, żeby cały personel sanitarny, jak również ci ranni, którzy mogą się poruszać, przeszli do lasu koło Sablina i próbowali dostać się na tyły.

Kapitan Escobedo rozkazał swoim ludziom wsiąść do karetki, tylu, ilu się zmieści, choćby mieli się trzymać błotników. Później zorganizował cztery grupy do transportu piecho do Sablina, dowodzone przez sanitariuszy, oraz piątą, która miała pojechać „płaskim”. Zostawił w lazarecie tylko najcięższej rannych, takich, którzy równie dobrze mogli umrzeć tam jak podczas przejazdu. Na koniec zwrócił się do

Leny:

- Ponieważ moje rozkazy nie robią na pani żadnego wrażenia, proszę, żeby pani wsiadła do tej karetki, to ostatni transport na tyły.
- Wiem, że pan zostaje, więc ja też.
- Mam obowiązek nie porzucić rannych!
- Ja też – odparła Lena, odwracając się na pięcie, żeby dalej pomagać przy przyspieszonej ewakuacji.
- Do jasnej cholery! Jak pani może być tak uparta!

*

José Luis zwinął się na ziemi w kłębek. „Wolę umrzeć teraz, z głodu i pragnienia, we śnie. Boję się myśleć o tym, co nas czeka. Więcej nie wytrzymam”.

Guillén usiadł u jego boku z błędnym wzrokiem. Był tak blisko, że nie potrafił pogodzić się z porażką. Złapał te cholerne pręty, wisiał na nich całym swoim ciężarem. Szarpał je z wściekłością, z całych sił, choć wydawało mu się, że wcale ich już nie ma. Ale nie poruszyły się.

W końcu jeden staruszek, gość zgarbiony i zniszczony, z kilkoma siwymi włosami na czaszce pokrytej plamami i ze skórą wiszącą na kościach, znalazł rozwiązanie. Powiedział, że pracował w tkalni. Pokazał mu koszulę skręconą jak sznur.

– Musicie wykorzystać tkaninę, zmoczoną tkaninę, żeby złamać te pręty. Przede wszystkim bawełnę, jej wytrzymałość jest ogromna, zwłaszcza kiedy jest zmoczona.

– A gdzie mamy zamoczyć materiał?

Staruszek elokwentnie spojrział na wiadro z odchodami.

Guillén prawdopodobnie nigdy w życiu nie zrobił nic bardziej obrzydliwego, a zdarzyło mu się wiele świństw. Starał się wstrzymać oddech, wstrząsany torsjami, moczył bawełniane koszule w tym wiadrze, a kiedy je wykrecał, brunatna ciecz spływała mu po rękach i ramionach. Czuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Z pomocą Josego Luisa i innych powtórzył operację kilka razy, aż materiał był porządnie mokry i wyżęty. Potem zawiązali koszulę wokół jednego z prętów i zaczęli ciągnąć.

Trzeba było zapierać się kilka razy. Wydawało się nieprawdopodobne, że materiał wytrzymuje takie napięcie; stary miał całkowitą rację – stał się twardy jak stal pręta, który nie ustąpił tak od razu. Kiedy już prawie się poddali, szcęknął i nieco się przesunął. To dodało im sił, więc pociągnęli jeszcze mocniej,

zagrzewani krzykami kilku obserwatorów.

*

W szpitalu zostało dwudziestu czterech rannych; jeden zmarł kilka godzin po odjeździe ostatniej karetki. Lena i kapitan Escobedo przygotowali pozostałym materace, koce i nosze, żeby w każdej chwili byli gotowi, na wypadek niespodziewanej możliwości ewakuacji pieszo albo saniami.

Wysterylizowali narzędzia, rozdali karty choroby, przeprowadzili inwentaryzację materiału i lekarstw... Cokolwiek, żeby tylko zająć myśli, doskonale świadomi tego, czemu tak naprawdę stawiają czoło.

Na zewnątrz walka była czarna, zestaw dźwięków bez obrazu: strzały, wybuchy, krzyki i skrzypienie czołgowych gąsienic. Ile czasu zabierze im okrążenie ich? Kiedy zajmą szpital?

– Jeśli wezmą nas do niewoli, będziemy mogli leczyć rannych...
– wymknęło się Lenie na głos.

Kapitan Escobedo otarł pot z czoła. To ciekawe, ona dla odmiany czuła zimno; miała lodowate ręce. Oficer nie odezwał się ani słowem, po prostu podszedł do stołu, wziął pistolet, sprawdził, czy ma pełny magazynek, i podał jej.

– Potrafi go pani użyć?

Lena spojrzała na parabellum i kiwnęła głową.

– Nie wiem, czy będą chcieli jeńców – podsumował kapitan.

O świcie przybrały na sile ataki artyleryjskie na stanowisko dowodzenia Dywizji. Kapitan Escobedo, który z okna lazaretu śledził wszystkie ruchy w sąsiednim domu, stwierdził, że długo się nie utrzymają. Nie potrafił powiedzieć, ilu żołnierzy broni pozycji, ale był pewien, że niebawem zaczną się przebijać na tyły; musieli się do nich przyłączyć.

Przez noc trafiło do nich następnych pięciu rannych. Z tych, którzy utrzymali się przy życiu, połowa była w stanie krytycznym i na pewno nie przeżyje zbyt wiele czasu. Stwierdził, że przy drobnej pomocy mógłby ewakuować resztę do pobliskiego lasu koło Sablina, gdzie poczekaliby na przyjazd karetek. Od poprzedniego dnia radio nie działało, więc nie mieli żadnych wiadomości.

Do kieszeni munduru włożył kilka magazynków, narzucił białą pelerynę maskującą i nałożył hełm. Poszedł do Leny, czuwającej przy rannych, którym nie można już było pomóc.

– Pójdę do dowództwa. Przyprowadzę kilku ludzi, którzy pomogą nam przenieść rannych na noszach do lasu; tam będziemy mieli większe szanse niż tutaj, czekając na Ruskich – wyjaśnił, zakładając opaskę Czerwonego Krzyża.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Widział pan, co tam się dzieje... – Rzuciła okiem na okno.
- Pójdę tyłem, przy płocie i krzakach; później będę skakał z leja do leja.

Jeszcze jest całkiem ciemno.

On był oficerem; nie można mu było zabronić. Mimo to Lena miała ochotę zawisnąć u jego rąk, żeby kapitan nie mógł się stamtąd ruszyć.

W jakiś sposób ta niemoc pewnie odzwierciedlała się w jej minie, bo lekarz dodał:

- Proszę uwierzyć, nie mamy innego wyjścia.

Przytaknęła.

– Proszę bardzo uważać... – Gdy zaczęła wypowiadać te słowa, już uznała je za głupie.

– Będę uważał – zapewnił ją młody oficer z uśmiechem, na co Lena również się uśmiechnęła. Bezużyteczne uśmiechy: oboje umierali ze strachu.

Kapitan Escobedo wziął manierkę, pociągnął długi łyk koniaku i ruszył w stronę drzwi.

Lena pobiegła do okna. To, co zobaczyła, nappełniło ją trwogą: Rosjanie formowali linię niedaleko od stanowiska dowodzenia, skąd bezlitośnie ostrzeliwali pozycję z moździerzy i czołgów. Część budynku już była zburzona i dymiała. Kapitanowi Escobedowi nigdy się nie uda. Zaciskając ręce, zaczęła szeptać pod nosem chaotyczny zestaw modlitw i błagalnych wezwań, patrząc jednocześnie, jak on czołga się po otwartym polu.

Poczuła lekką ulgę, gdy stwierdziła, że kapitan porusza się po okolicy nieco schowanej przed ogniem nieprzyjaciela. Serce podeszło jej do gardła i paliły ją łyzy wiszące na krawędzi powiek. Napięcie przy obserwowaniu tego powolnego i niebezpiecznego przekradania się było nie do zniesienia.

Może go zauważyli. A może to tylko zwykły pech. Niemniej zanim oficer dotarł do połowy drogi, pocisk uderzył dokładnie przed nim, wyrzucając w powietrze stojący na palach spichlerz ze zbożem.

Lena zdusiła w sobie krzyk przerażenia. Resztki płonącego spichlerza waliły się w dół o metr od kapitana; kilka płonących kawałków spadło na jego mundur i hełm. Oficer przewrócił się na plecy, żeby ugasić ubranie. Wpadł na dno leja. Lena nie wiedziała, czy nie stracił świadomości, ale z okna mogła zobaczyć, że przejście do stanowiska dowodzenia zostało zablokowane płonącym spichlerzem, a do tego serie z karabinu maszynowego siekały okolicę. „Niech pan wróci, na Boga. Musi pan zawrócić”, powtarzała.

Jak gdyby kapitan Escobedo ją usłyszał, wyczołgał się z leja w kierunku lazaretu pod coraz silniejszym ostrzałem. Lena obgryzała paznokcie z nerwów, widząc, jak powoli się przemieszcza, i jednocześnie błagając Boga o jego życie. Na ostatnim odcinku, już w pobliżu budynku, oficer wstał, żeby przebiec kawałek pochylony. Lena zachęcała go w myślach, gdy nagle eksplozja spowiła go gęstym

dymem i ziemią. Skamieniała z przerażenia stała przy oknie, wstrzymywała oddech.

Nie czekała, aż go zobaczy, jak wyłania się z dymu, zalany krwią i przysypany ziemią. Lena pognąła na zewnątrz, w jego stronę, pośród dymu i pyłu. Kapitan Escobedo wpadł w jej ramiona, a ona zaciągnęła go do środka.

Położyła go na podłodze. Odłamki dosięgły go od pasa w górę: brzuch, pierś, szyja, twarz... Chciał mówić, ale krew zalewała mu gardło, dusiła.

– Spokojnie... Spokojnie...

Położyła go na materacu, ale był tak pobudzony, że nie mogła go uspokoić ani zbadać. Postanowiła zrobić mu zastrzyk z morfiny. Pobiegła po strzykawkę, szybko przygotowała odpowiednią dawkę i podała mu, walcząc z jego spazmami. Po chwili kapitan zapadł w letarg, na wpół przytomny. Oddychał z trudem, a jego skóra nabrała woskowego koloru. Pełna najczarniejszych myśli, ściągała z niego kolejne warstwy zakrwawionych ubrań. W końcu stwierdziła, że ma poszarpany cały lewy bok. Krew biła tam strumieniami. Na pewno odłamek przerwał żyłę główną dolną. Znowu go przykryła. Łzy przesłoniły jej wzrok. Nie mogła nic dla niego zrobić.

Wstała ciężko, szukając koca, żeby go przykryć. Ocierała łzy, nie chciała, żeby zobaczył, że płacze. Gdy go przykrywała, kapitan zdołał wyszeptać:

– Wala...

Lena wzięła go za rękę.

– Spokojnie... Z Walą wszystko w porządku...

Znowu zaczynał się denerwować, chociaż z powodu osłabienia i morfiny już prawie nie mógł się poruszać. Uniósł rękę pielęgniarki do piersi.

– Wala... – powtórzył. – W moim mundurze... Wala...

Lena zrozumiała, że pilnie chce coś wyciągnąć niezdarnymi rękami. Zajrzała do kieszeni bluzy i znalazła tam kopertę. Była zamknięta. Pokazała ją kapitanowi, a on kiwnął głową. Wtedy się uspokoił, zaczął wolniej oddychać.

– Dla Wali... Wiem, że pani jej pomoże...

Lena nie zdążyła obiecać, że pomoże jego żonie – wydał ostatnie tchnienie.

Zamknęła mu powieki i wybuchała niekontrolowanym płaczem.

Usiadła na krześle z parabellum w dłoniach, otoczona umarłymi i śmiertelnie rannymi. Już nie płakała. Strach, ból i samotność obywateli się bez łez. Taki pewnie był przedsiónek piekła. Modliła się.

Nie słyszała już wybuchów ani strzałów. Cisza stała się niepokojąca. Utkwiła spojrzenie w rękach pokrytych zakrzepłą krwią. Tylko ona została przeciw wrogom.

Stopniowo zaczęła rozróżniać dźwięki na zewnątrz, jakby otaczała ją wataha wilków. Szmery i szepty na czerwono-czarnym śniegu. Nauczyła się rozpoznawać broń: wydawała specyficzny odgłos, klaskanie, jakby kastanietami. Nie widząc ich,

mogła sobie wyobrazić, jak celują w budynek.

Niemal z ulgą przyjęła kopnięcie w drzwi i zobaczyła ich twarze. Mężczyźni wykrzywieni euforią i napięciem mierzyli do niej z karabinów, jakby stanowiła dla nich największe zagrożenie.

*

Guillén spojrział na okienko, zwykły otwór, przez który zagłędały gwiazdy. Nie mógł przestać się uśmiechać, ciesząc się widokiem wyłamanych prętów, odgiętych na boki. Znowu stanął na walizce, żeby sprawdzić wymiary. Jeśli wstrzyma oddech, wciągnie i tak zapadnięty brzuch, zdoła się precyzyjnie.

– Będziemy skakać parami, zorganizujcie się – zwrócił się do mężczyzn, którzy patrzyli na niego w oczekiwaniu.

W chwili prawdy niewielu było gotowych przyłączyć się do tej desperackiej próby. Przeżyli już przecież jeden obóz jeniecki i wydawało się, że łatwiej przeżyć następny, niż uciec, zwłaszcza że można było skrócić sobie kark, wyskakując, albo zostać zastrzelonym przez straż. W końcu zdecydowała się tylko garstka młodych. Guillén miał być pierwszy. Od jego klęski albo sukcesu zależała postawa następnych. Nie mógł ich winić za niepokój, nawet on sam nie był pewien, czy wyjdzie z tego cało, jemu jednak łatwo było podjąć decyzję, wszak wolał umrzeć, niż dalej żyć gorzej niż zwierzę, służąc nazistom. Nieszczęśliwie José Luis nie był już tak bardzo przekonany.

– Nie wiem, czy będę w stanie to zrobić – wyznał mu cieniem głosem.

Guillén spojrział na jego wykrzywioną twarz, a potem na drżące ręce; rozumiał jego cierpienie, ale nie mógł dopuścić do tego, żeby się poddał.

– Oczywiście, że będziesz w stanie. Wyszedłeś z obozu tylko po to, dla tej chwili. Decyzja pozostania tu, w drodze do jeszcze gorszego miejsca, nic ci teraz nie da. Widziałeś, jak nas traktują? Mogli nas zabić, ale oni chcą nas upokorzyć, zniszczyć, paść się naszym nieszczęściem.

– A jeśli nam się nie uda?

– Dla mnie nie ma już nic gorszego niż to. Nie boję się, że zginę podczas ucieczki, przeraża mnie to, co będzie na końcu tej podróży. Nie mogę się doczekać, aż wyjdę przez to okienko, i chciałbym, żebyś mi towarzyszył, ale... Nie mogę cię zapewnić, że nam się uda, mogę ci tylko obiecać, że to piekło – rzucił okiem wokoło, na nędzne i śmierdzące wnętrza wagonu – się skończy.

José Luis nerwowo poprawił okulary i wbił wzrok w podłogę.

– Jestem przerażony... – wyznał z niepewnym uśmiechem.

– Ja też – przyznał Guillén i przytulił go, jakby przypieczętowywali układ.

Guillén jeszcze raz wyjrzał przez okienko. W świetle księżycy widać było

ciemny niczym plama atramentu las po drugiej stronie torów. Znowu skalkulował czas pomiędzy kolejnymi snopami światła reflektora. Za krótko, żeby wyjść przez okienko, chwycić się dachu i skoczyć niezauważonym. Musieli czekać do zakrętu, bo tylko wtedy reflektor nie sięgał tego miejsca. Ciągle się wychylał, oceniając sytuację.

– Teraz! – obwieścił, zobaczywszy, że lokomotywa wjeżdża w ostry zakręt w prawo.

Kilku pomogło mu wystawić nogi, a potem powoli całą resztę ciała. Ledwo się precisnął; kikuty prętów i resztki drutu poszarpały mu ubranie i skórę. Jeszcze bardziej wciągnął brzuch i wypuścił powietrze, żeby się precisnąć. Gdy znalazł się na zewnątrz, pęd powietrza niemal go zdmuchnął. Trzymał się mocno okna, wisząc nogami w powietrzu i próbując je o coś oprzeć. W końcu mu się to udało. Stał na palcach.

– Teraz José Luis! – krzyknął do środka.

Odwrócił się ostrożnie plecami do wagonu. Własny oddech dudnił mu w uszach; drżały mu ręce i kolana, kiedy poszukiwał palcami jakiegoś oparcia w ścianie wagonu. Wydawało mu się, że w każdej chwili wiatr może go zdmuchnąć. Stukot kół na szynach, bolesne świstanie lodowatego wiatru, pejzaż rozmyty prędkością... Poczł mdłości.

Kątem oka dostrzegł wierzgające nogi przyjaciela, ale kiedy José Luis miał już brzuch na zewnątrz, zatrzymał się. Wahał się. Był chudszy od niego, precisnąłby się z łatwością.

– Chodź! Już prawie jesteś! – Guillén nie był pewien, czy go słyszy.

Wyciągnął rękę, żeby chwycić Josego Luisa za kostkę i znaleźć dla jego nogi oparcie. Miał napięte całe ciało ze strachu, że straci równowagę, i czuł ból wszystkich mięśni, a miotający się przyjaciel nie ułatwiał sprawy.

– Nie mogę... – lamentował José Luis, kiedy w końcu wyslizgnął się na zewnątrz i stał przylepiony do ściany jak jaszczurka.

Guillén spojrzł do przodu, gałęzie drzew i pnie przy tej prędkości były śmiertelnym niebezpieczeństwem, tłuczeń na nasypie mógł ich zmielić jak młyn. Wydawało się niemożliwe przeżyć taki skok. Wyciągnął szyję jeszcze mocniej i dostrzegł polanę dokładnie przy torach – jasna plama na tle ciemnej ściany lasu. Musieli skoczyć właśnie tam, żeby spaść na miękkie dywan traw i paproci, po czym pognać przed siebie i schronić się w gęstwinie.

– Tak, tak, możesz! Musisz się odwrócić, żeby skoczyć; mamy mało czasu! Złap mnie, pomogę ci!

José Luis był jak sparaliżowany. Inni więźniowie zachęcali go przez okienko.

– Nie mogę, nie mogę...

Polana zbliżała się bardzo szybko. Guillén stracił panowanie nad sobą.

– Kogo to obchodzi, że nie możesz, kurwa! Masz wreszcie skoczyć, bo cię tu zastrzelą! Rusz się albo pociągnę cię za sobą tak, jak stoisz!

Wiatr rozwiewał łzy Josego Luisa, zanim spłynęły mu po policzkach. Drżąc cały, powoli zaczął się odwracać. Osunęła mu się noga i okulary spadły z nosa. Teraz już łkał bez zahamowań. Guillén słyszał go mimo huk.

– Prawie się udało... – odezwał się do Josego Luisa spokojniejszym tonem.
– Uda ci się.

W końcu przyjaciel stanął plecami do wagonu.

– Musimy skoczyć już, na tej łące. Jeśli nie, rozwalimy się o drzewa... Ty pierwszy.

José Luis zrobił przerażoną minę.

– Nie... – wybąkał.

– Tak! Ja nie skoczę, dopóki ty nie skoczysz!

– Nie...

Lokomotywa znalazła się na wysokości łąki, ale Guillén z przerażeniem zobaczył, że jednocześnie zaczęła wychodzić z zakrętu; zaraz znowu znajdą się w zasięgu reflektorów.

– Kurwa! Skacz! – Popchnął Josego Luisa, ale nie udało się.

W tej chwili światło omiotło wagon. Strażnicy, zobaczywszy ich, uderzyli w krzyk. Kiedy wystrzelili po raz pierwszy, Guillén objął Josego Luisa ramieniem i odbił się z całych sił.

Siła zderzenia z ziemią wstrząsnęła ich wnętrzościami, stracili dech, puścili się. Później toczyli się długo, uderzając o kamienie i gałęzie. Guillén bał się, że skręci sobie kark; oszołomiony próbował się zatrzymać, ale nie było nic, za co mógłby się złapać; stracił panowanie nad rękami i nogami. A kule świstały po polanie.

W końcu zdołał się zatrzymać. Wokół niego wszystko się kręciło. Instynkt kazał mu się podeprzeć, ale nie mógł złapać równowagi. Czołgał się, słysząc wystrzały i widząc snop światła na sobie; spojrzął na las, który wydawał się nieosiągalny, próbował znaleźć wzrokiem Josego Luisa, ale nie udało mu się. Usłyszał zgrzyt hamulca bezpieczeństwa pociągu. Jeśli ci strażnicy wysiądą, szybko go złapią. Musiał wstać i pobiec, ale nogi nie były mu posłuszne. Upadł na kolana; szedł na czworaka. Patrzył w stronę lasu, szukał Josego Luisa. Pisk kół pociągu był pełnym rozpaczem krzykiem. I te strzały... Musiał unikać strzałów.

Był jak wąż w trawie; był duchem, który potrafił przekraczać linie frontu, przerywać oblężenie Oviedo; mógł stać się niewidzialny. Wymykający się cień. Do lasu zostało już tylko kilka metrów. Wstał, ruszył biegiem, zataczając się, ze wzrokiem utkwionym w gęstwiny.

Wtedy kula trafiła go w plecy. Padł twarzą na ziemię.

*

Lena naliczyła dziesięciu radzieckich żołnierzy. W magazynku było tylko osiem nabojów, poza tym mogła co najwyżej trafić jednego, zanim pozostali ją podziurawią jak sito.

Rzuciła pistolet na ziemię. Wstała i uniosła ręce w górę. Niemal z godnością spojrzała im prosto w twarze: okrągłe, białe i o skośnych oczach, spalone zinnem, pocerniałe od dymu. Opuścili broń; to była tylko kobieta. Niektórzy się zaśmiali, pokazując poźółkłe zęby i jednocześnie sięgając po manierkę z wódką.

Ten, który wydawał się dowódcą, i jeszcze dwóch, podeszli do niej. Pozostali rozpięchli się po szpitalu. Mówili do niej po rosyjsku, jednocześnie od niechcienia w nią celując. W ich spojrzeniach Lena dostrzegła coś znacznie bardziej przerażającego niż żar bitewny; doskonale potrafiła rozpoznać żądzę. Zadrżała.

Ten Rosjanin jej dotknął: twarz, piersi, zsunął rękę na biodro. Lena się uchyliła. Żołnierz uderzył ją.

– *Na koleni, faszystskaja suka!* – wrzasnął, zmuszając ją, aby uklękła, i przyłożył jej lufę pistoletu do czoła. Potem przyłożył jej genitalia do twarzy. – *Faszystskaja suka...* – zaśmiał się.

Inni mu zawtórowali. Jednak śmiech ustąpił, kiedy seria z karabinu poszła po ścianach. Lena pisnęła ze strachu i zasłoniła sobie głowę rękami. Dowódca odwrócił się wściekły i zaczął besztać jednego z podwładnych, który strzelił na oślep w grupę rannych. Podbiegł do niego i rozłożył go na ziemi ciosem w szczękę. Przeklinał po rosyjsku, wściekły. Już się nie śmiał. Podszedł do Leny, zaznaczając każdy krok uderzeniem obcasa, chwycił ją za ramię i podniósł z ziemi.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i wszedł następny żołnierz. Wszyscy odwrócili się z karabinami gotowymi do strzału. Był jednym z nich, miał na sobie taki sam biały, maskujący kombinezon i futrzaną czapkę z czerwoną gwiazdą. Stanęli na baczność; był to oficer.

Zaczął do nich mówić, nie podnosząc głosu, ale poważnie, z bardzo surową miną. Z pewnością beształ ich, bo skulili się w sobie. Tylko sierżant wydawał się nieco bardziej hardy i wyniosły. Mocno trzymał Lenę, jak myśliwy trofeum, a jego palce boleśnie wbijały jej się w ramię. W końcu się rozplakała. Była przerażona, czekała na swoje przeznaczenie, bez wątplenia fatalne.

Oficer podszedł do niej i przyjrzał jej się na poły z pogardą, na poły obojętnie. Lena spojrzała na niego odważnie; nie miała zamiaru giąć karku przed tymi dzikusami. Zobaczyła, że nie ma orientalnych rysów jak pozostali, jego oczy były niebieskie, a broda niemal ruda. Obaj żołnierze wymienili kilka cierpkich zdań i nie mniej cierpkich gestów. Oficer podniósł głos, ten drugi powinien jeszcze tylko pokazać zęby. Zachowywali się jak dwa samce walczące o przywództwo w stadzie,

choć w tym przypadku bardziej chodziło o fanfaronadę niż o autorytet, dlatego sytuacja szybko została rozwiązana: na rozkaz wykrzyczany przez oficera żołnierz wypuścił Lenę. Wtedy oficer rozejrzał się i w końcu zabrał kilka koców, manierkę z koniakiem, z której pociągnął łyk, zanim ją schował do kieszeni, paczkę ampułek morfiny i płaszcz, który rzucił pielęgniarce. Na drugi jego rozkaz żołnierz wprowadził ją na zewnątrz, cały czas trzymając na muszce.

Przywitał ją lodowaty wiatr i ciemność wypełniona płatkami śniegu, prochem i iskrami; także huk pożarów i odgłos niedalekich detonacji. Zapięła płaszcz aż pod szyję. Rosjanie już zajęli centrum Krasnego Boru. Widok spalonej, usianej trupami hiszpańskich żołnierzy ziemi sprawił, że łzy napłynęły jej do oczu; wołała patrzeć na czubki własnych obryzanych krwią butów. Poszli za oficerem aż do ciężarówki ZiS z wymalowaną czerwoną gwiazdą i serią dziur po karabinowych kulach na burtach. Żołnierz kazał jej wejść na pakę i usiadł obok niej, nie przestając w nią celować. Oficer prowadził.

Ciężarówka podskakiwała na dziurach po wybuchach. Lena ledwie mogła utrzymać się na ławce. Ponieważ plandeka była opuszczona, nie widziała, dokąd jada. Przez głowę przebiegały jej różne myśli, strach nadawał im kształtu, również ból: przypominała sobie Toñina pod gaśnicami czołgu, umierających rannych, którzy zostali porzuceni w lazarecie, ciało kapitana Escobeda kopane przez Rosjan, brudne i dzikie spojrzenie skośnookiego żołnierza. Zadawała sobie pytanie, czy ją zgwałcą; czy zrobi to ten, który teraz jej pilnuje? Patrzył na nią twardo, ale jakby jej nie widział; był bardzo młody i wyczerpany po bitwie... Przyszło jej do głowy, że nie jest głodna, od jak dawna nie jadła? Już nie pamiętała... A jeśli oficer ją zgwałci w ustronnym miejscu, gdzie nie będzie słyhać jej krzyków, a później ją zabije?... Może wiozą ją do innych hiszpańskich jeńców...? Gdyby znalazła się pośród swoich, poczułaby się znacznie lepiej.

Ciężarówka zatrzymała się. Żołnierz stracił równowagę, a Lena uderzyła się w tył głowy. Chłopak znowu skierował na nią karabin. Rozległo się uderzenie drzwi od strony kierowcy. Kilka kroków na śniegu. Uniosła się plandeka. Pojawił się oficer, skierował lufę pistoletu w jej stronę.

*

Gdy zwierzyna została ustrzelona, strzały ucichły. Guillén czuł straszny ból, jakby miało go rozerwać na pół. Nie mógł poruszać nogami, więc próbował się czołgać, podpierając się ramionami, ale brakowało mu sił. Wszystko wydawało mu się ciemne i zamazane, wiedział jednak, że las jest blisko. Światło reflektora ślizgało się po łące. Zaraz go znajdą. Prawie się udało. Pokonany zatopił twarz w ramionach.

Nagle usłyszał trzask gałęzi. Uniósł głowę i zobaczył postać biegnącą w jego stronę, José Luis...

„Nie!”, chciał krzyknąć, ale tamten już wyskoczył na odsłoniętą łąkę. „Wracaj do lasu, do jasnej cholery”, pomyślał.

Znowu się podciągnął. Krew zalewała mu spodnie.

– Wracaj do lasu!

Reflektor oświetlił ziemię przed nim. Guillén opuścił głowę i leżał z twarzą w trawie, klnąc przez zęby, żeby sobie ulżyć. Poczul wtedy, że ktoś chwyta go pod pachy. Spojrzał i zobaczył, że José Luis walczy, by podnieść jego ciało.

– Nic ci nie jest? Gdzie... dostałeś?

– Nie! Zostaw mnie! Uciekaj do lasu!

– Przestań wreszcie mi rozkazywać... – powiedział przyjaciel, dysząc z nerwów i wysiłku. – Nigdzie się nie wybieram bez ciebie.

Za każdym szarpnięciem Guillén związał się z bólu i popadał w rozpacz. Zrozumiał, że ma bezwładne nogi. Był też wściekły; miał ochotę pieprznąć tego uparciucha pięścią i posłać go z powrotem do lasu. Ale chciał również wydostać się stamtąd. Nie chciał umierać. Bał się. Był coraz słabszy. Zamglił mu się wzrok. Przestał słyszeć. Tylko echo... Nie. Nie. Musiał się stamtąd wydostać.

Nagle snop światła uderzył w Josego Luisa jak pałka. Przyjaciel uniósł głowę z szeroko otwartymi oczami; wyraźna sylwetka, dobrze zarysowana; chuda i bezbronna.

– Schyl się!

Seria z karabinu przecięła jego ciało. Zatrząsł się jak szmaciana lalka i upadł na Guillena. Ten otworzył usta, żeby krzyknąć... Tylko zacharczał. Światło się rozplynęło.

*

Lena zamknęła oczy. Uznała, że jest martwa... Słyszała, jak oficer wydaje rozkazy po rosyjsku. Nagle poczuła, że ktoś ją ciągnie. Żołnierz wypchnął ją z ciężarówki.

Stała na śniegu w gęstym pustym lesie. Trzęsły się jej nogi. Wyobrażała sobie najgorsze rzeczy, zdana na łaskę tych ludzi; zgwałcą ją, a potem zabiją. Nie miała nawet śmiałości, żeby na nich patrzeć, przyciskała brodę do piersi, kuląc się w sobie. Rosjanie szeptali. Ich kroki skrzypiały na śniegu.

Nagle zapadła cisza. Lena ośmieliła się unieść wzrok, zaintrygowana. Wszystko działo się bardzo szybko. Oficer wyciągnął pistolet i kolbą uderzył żołnierza w głowę, ten padł nieprzytomny.

– Dobra. Do ciężarówki – rozkazał jej mężczyzna po hiszpańsku.

Lena, kompletnie zaskoczona, nie wiedziała, jak zareagować.

– Szybko! Proszę wsiadać do szoferki.

– Mówi pan...?

– Nie ma czasu! Ale proszę się nie bać. Spróbuję panią stąd wyciągnąć – powiedział trochę spokojniejszym tonem, po czym wepchnął ją do kabiny. Usiadł za kierownicą.

Zanim oficer wyrzucił je przez okno, Lena zdążyła zobaczyć otwartą ampułkę morfiny i strzykawkę na siedzeniu. Może to wyjaśniało jego bladość i spocone mimo mrozu czoło.

Znowu ruszyli. Rosjanin wpatrywał się w drogę, choć chwilami oczy same mu się zamykały jak w zwolnionym tempie. Jechali przez las wąską ścieżką, tak wąską, że gałęzie drzew uderzały w przednią szybę i w karoserię. Koła grzęzły w śniegu i często się ślizgały. To niesamowite, że ten człowiek potrafił prowadzić z tak dużą prędkością w takich warunkach. Kabina ciężarówki trzęsła się, silnik ryczał, jakby miał w każdej chwili wybuchnąć.

– Musimy dojechać do szosy za hiszpańskimi liniami. Jeśli trafimy na drogę z palami...

Mówił z akcentem, ale Lena nie potrafiła rozpoznać skąd. Nie wiedziała, czy ma mu odpowiedzieć, bo wydawało się, że raczej głośno myśli.

– Jeśli chodzi panu o drogę wyłożoną pniami, to jest na zachód, za lasem – zdecydowała się odezwać. Widziała ją na mapie kapitana Escobeda.

Tamten nie zareagował. Może jej nie zrozumiał.

– Jeśli pojedzie pan w tę stronę, najpierw dotrzemy do szosy...

Ciężarówka podskoczyła na kamieniu i spadła na ziemię.

– Jeśli ten rupieć wcześniej się nie rozpadnie – dodała Lena, dochodząc do siebie.

Oficer spojrzął na nią kątem oka. Zmienił bieg i wykrzywił się, co Lena uznała za uśmiech. Czy był to uśmiech czy nie, natychmiast jego twarz stężała z bólu, sięgnął ręką do brzucha i opadł na kierownicę. Ciężarówka gwałtownie skręciła, wpadła w poślizg i nieomal się przewróciła. Lena usiłowała wyprostować kierownicę, ale ciężar tego mężczyzny blokował ją. Pojazd w końcu uderzył w drzewo, rozbijając chłodnicę, ale przynajmniej stanął.

Lena miała stłuczoną głowę, ale w tej chwili nie zwracała na to uwagi. Zebrała wszystkie siły, żeby odrzucić kierowcę. Dysząc z wysiłku i napięcia, oparła go o siedzenie i zobaczyła, że krew zalewa jego biały kombinezon na wysokości brzucha. Natychmiast zrozumiała, dlaczego wziął morfinę. Pod wieloma warstwami ubrania nie potrafiła znaleźć rany, ale zobaczyła niewielki otwór w kombinezonie, więc zrozumiała, że to rana postrzałowa. Pomacała mu plecy w poszukiwaniu otworu wylotowego kuli, ale go nie znalazła. Pocisk pewnie został w środku. Próbowwała palcami wymacać puls na szyi. Był szybki i słaby. W tamtym

miejscu nie była w stanie nic zrobić dla tego człowieka, więc jeśli szybko nie zawiezie go do szpitala, on umrze z upływu krwi.

– Kurwa... – Samą siebie zaskoczyła tym, że przeklina, i powtórzyła przekleństwo jak psalm, uwalniając napięcie.

Ostrożnie, na tyle, na ile pozwalały okoliczności, przeciągnęła kierowcę na miejsce pasażera, otuliła go porządnie kocami, które on sam zabrał z lazaretu, i usiadła za kierownicą. Westchnęła i znowu zaklęła. Prowadziła tylko raz w życiu, podczas wojny w Hiszpanii. Pewien chorąży uczył ją kierować starą, skonfiskowaną hispano-suizą i dla zabawy przejechała, robiąc kangury, piętnaście kilometrów dzielących Torremocha od Campo de Alcolea del Pinar w Guadalajarze. Teraz jednak patrzyła na deskę rozdzielczą jak analfabeta gapiący się na książkę. Hamulec, gaz, sprzęgło, skrzynia biegów... Wysilała głowę, żeby wszystko sobie przypomnieć. Drżała z zimna i strachu. Nie chciała myśleć o tym umierającym mężczyźnie; sama myśl o nim szargała jej nerwy. Modliła się, żeby silnik zapalił, kiedy przekręcała kluczyk; modliła się o tyle rzeczy naraz, że prośby wpadały jedna na drugą. Na szczęście po kilku kasznięciach silnik zawarczał. Wrzuciła wsteczny i udało jej się wyrwać przód samochodu z pnia drzewa. Wróciła na ścieżkę. Z nowym animuszem po tym małym sukcesie Lena ruszyła przed siebie.

Przejazd był diabelny – chociaż jechała bardzo wolno, ledwie mogła utrzymać w rękach kierownicę, tyle było dziur na drodze, krzaki chłostały przednią szybę, zasłaniając widok, ziemia była śliska i hamulce prawie nie działały. Poza tym zdawało jej się, że silnik co chwilę się krztusi, skrzynia biegów zaś wydawała z siebie przerażające zgrzyty; czuła się, jakby za chwilę miała zostać z wajchą w ręku. Nie wiedziała, że skrzynia ma dwa biegi. Jechała mniej więcej w linii prostej z przytłaczającym uczuciem, że nie ma zielonego pojęcia, dokąd zmierza. Instynktownie szukała łąk w lesie, jakiegoś miejsca, gdzie ścieżka stanie się szersza.

Nagle, zupełnie przypadkiem, zobaczyła coś, co wydało jej się szerszą drogą, z koleinami innych pojazdów w śniegu. Była tuż obok, jak to możliwe, że wcześniej jej nie zauważyła? Śmiała się, wjeżdżając na nią. W końcu mogła trochę przyspieszyć. Czuła się bardzo dumna ze swojego osiągnięcia. Szybko rzuciła okiem na ciągle nieprzytomnego radzieckiego oficera. Musiała jak najszybciej dostać się do Raikołowa, tam był najbliższy punkt opatrunkowy...

W tej chwili eksplozja po lewej wstrząsnęła ciężarówką. Ranny niemal zsunął się na podłogę. Lena na moment straciła panowanie nad samochodem. Z sercem w gardle chwyciła kierownicę i z całych sił nadepnęła pedał gazu. Rozbrzmiały kolejne wybuchy, po jednej i drugiej stronie, z tyłu. Jechała niemal po omacku, starając się ich unikać. Teraz już rozumiała, dlaczego wcześniej unikali tej drogi. Przekłęci Rosjanie!

A jednak to nie Rosjanie bombardowali, tylko niemieckie moździerze z 390. pułku grenadierów pułkownika Heckla, który przechodził przez las Sablino, zmierzając na pomoc Błękitnej Dywizji, żeby zamknąć wyłom w hiszpańskich liniach. Lena zapomniała, że ciężarówka ma na burcie wymalowaną czerwoną gwiazdę.

Jeden z granatów wybuchł o kilka metrów przed przednimi kołami. Zahamowała z całych sił, eksplozja ją ogłuszyła. Fala uderzeniowa stłukła szyby, uniosła przednią część ciężarówki i rzuciła ją do tyłu. Instynktownie Lena skuliła się w sobie i zasłoniła rękami; deszcz ziemi spadł na karoserię.

Cisza. Jak gdyby potężny wybuch wchłonął nawet najcichszy szmer, poza piskiem w uszach. Lena poruszyła się; miała rwany oddech. Zakaszła. Chciało jej się płakać. Wszystko było czarne, pełne gęstego dymu. Pochyliła się nad rannym; chciała go posadzić, ale nie miała dość sił. Znowu poszukała jego pulsu; żył. Załkała i pozwoliła, żeby łzy płynęły jej przez jakiś czas.

Nagle usłyszała coś z zewnątrz. Metaliczny szczęk, buty na śniegu, szepty. Ostrożnie uniosła głowę do okna. Dostrzegła kilka postaci pośród dymu. Żołnierze. W miarę jak chmura pyłu się rozwiewała, naliczyła ich dwunastu: szli powoli w stronę ciężarówki z bronią wycelowaną w nią. Zaraz dostrzegła mundury *feldgrau*. Natychmiast utkwiała spojrzenie w rękawie żołnierza, który był najbliżej. Miała nadzieję, że się jej to nie przywidziało – była tam żółto-czerwona flaga z napisem, którego się domyślała: ESPAÑA. Szybko przeniosła wzrok na prawą stronę jego hełmu i potwierdziła, że to ukochana flaga. Łzy zamarzły jej na skórze. Natychmiast wyciągnęła opaskę Czerwonego Krzyża i pokazała ją przez okno.

– Nie strzelać! Jestem Hiszpanką! Hiszpańską pielęgniarką!

*

Jego świadomość koncentrowała się na bólu. Ostry ból nie pozwalał mu zasnąć. Czasem... Przychodził i odchodził przy każdym wstrząsie. Jak zestaw światła i cieni. Światła przytłumione, przygaszone. Obrazy rozmyte, które zapadały się w czerń. Ból je rozświecał, przynosił z powrotem. Twarze, plamy. I ból.

José Luis... „Gdzie jesteś, José Luis?” Krzyczał jego imię i ból zmienił krzyk w wycie. Zatkali mu usta. Wszystko zapadło się w czerń. Ból ustąpił.

*

Koc, koniak, nosze... Ci mężczyźni, którzy zasypywali ją uprzejmościami, nie rozumieli, że to nie ona potrzebuje pomocy, tylko ranny oficer.

Był Rosjaninem. Umierający radziecki żołnierz nie zasługiwał na żadną uwagę. Jeniec oznaczał kłopot; śmiertelnie ranny jeniec – bezsens.

Bardzo się namęczyła, żeby zrozumieli, że Rosjanin uratował jej życie. Nie było czasu na opowiadanie całej historii, podczas gdy ten człowiek się wykrwawiał; musieli jej uwierzyć na słowo. Błagała ich, aż w końcu udało się zdobyć sanie i konia.

– Główny punkt opatrunkowy musiał się przenieść do Ładogi po bombardowaniu, ale z Raikołowa łatwiej będzie go ewakuować – poinformował ją dowódca grupy, posyłając rannemu Ruskiemu niezbyt współczujące spojrzenie.

– Powodzenia.

W eskorcie kilku żołnierzy ruszyli w drogę do Raikołowa.

Wioska wrzała od wojska i pojazdów pod nieprzyjacielskim ogniem. Przez środek tego chaosu przedarli się w okolice punktu opatrunkowego, jeszcze dymiącego, a tam pod napisem HAUPTVERBANDPLATZ zobaczyli dziedziniec, gdzie znajdowało się stanowisko ewakuacji rannych. Jej eskorta położyła nosze pośród innych noszy na nieużytkach. Panował klimat apokalipsy. Najbliższe lazarety w Ładodze i Słucu były przepelnione, dlatego zaczęto przewozić rannych bezpośrednio na tyły do Miestielewa albo Gacyzyna. Karetki jeździły przepelnione, nie było łatwo znaleźć miejsce, tym bardziej dla jeńca.

Lena była sama – po wypełnieniu misji eskorta wróciła do swojej drużyny – stała obok noszy, przybita niemocą. Po kilku sekundach niezdecydowania, dokładnie na chwilę przed kompletnym załamaniem, wpadła na pomysł, wszak sytuacja nie pozwalała na to, by pogrążyć się w lamentach. Zebrała to, co miała do swojej dyspozycji (nożyczki, proszek dezynfekujący, bandaże, sól fizjologiczna...), i postanowiła sama opatrzeć radzieckiego oficera. Rozcięła mundur, żeby odsłonić ranę. Dostał w podbrzusze po lewej stronie, rana po kuli, która utknęła w środku. Przemyła ranę solą fizjologiczną, posypała ją proszkiem dezynfekującym i zaczęła go ciasno bandażować, żeby zatamować krwotok. Dźwigała go, żeby przełożyć bandaż pod plecami, kiedy pojawił się obok niej sanitariusz. Szczęście się do niej uśmiechnęło. Okazało się, że sanitariusz zna ją z Miestielewa; dzięki niemu udało się wcisnąć Rosjanina do transportu do szpitala.

Kiedy wkładali nosze do karetki, oficer otworzył oczy. Próbował coś powiedzieć, ale wykrztusił z siebie tylko kilka niezrozumiałych słów. Lena otarła pot z jego czoła i czule zamknęła mu oczy.

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze – wyszeptała oficerowi na ucho.

*

Było mu bardzo zimno, nie przestawał się trząść. Tak zimno, jak wtedy, gdy

pasął kozy w górach i zaskakiwała go burza śnieżna. Śnieg na wiosnę, kto by to pomyślał?

Jednak wokoło nie było śniegu... Wszystko było czarne, zamazane i porozbijane. Jego rozszerzone źrenice rozpaczliwie chwytaly się każdego promyka światła, światła ogniska. Drewno... Drewniane pnie, które tworzyły ścianę... Złotą ścianę... Dym i pęczki ziół... Dziesiątki rondli... Jak w leśnej chatce tej czarownicy, starej akuszerki... Nigdy nie powinien był zabierać tam Leny... Starucha, która nie była czarownicą, a usuwała ciężę za parę groszy... Kilka kobiet umarło, a ją aresztowano. Guardia Civil... Jeśli go znajdą, aresztują. Aresztuje go Gestapo za ucieczkę z transportu. Właśnie tu, w leśnej chatce, z Leną. Chcieli tylko zobaczyć starą czarownicę, nie zrobili nic złego. Ale oni celują do nich z karabinów. Nie, Lenę nie! Ja nie!

– Lena...

Guillén przewracał się wzburzony. Obudził go atak kaszlu. Gdzie jest Lena?

Jakaś kobieta skłoniła go, żeby się położył. Musiał stamtąd uciec, ale czuł wielki ból. Gdzie jest Lena?

Kobieta przemówiła. Nie był to hiszpański, ale rozumiał ją. Jej głos był słodki. Chciała go przykryć, a on na to pozwolił, bo było mu bardzo zimno. Musiał uciec, ale był śmiertelnie zmęczony, bez sił. Musiał uciec... Znowu zakaszłał i ból się wzmógł.

Kobieta przyłożyła mu kubek do ust, a on wypił łąpczywie. Poczł straszliwy smak na dnie gardła i naszły go mdłości. Chciało mu się wymiotować, ale jak miał zwymiotować, skoro nic nie jadł od wielu dni?

– Śpij... śpij...

Guillén zamknął oczy. Popadł w odrętwienie. Śpij... Śpij...

*

W szpitalu polowym w Miestielewie przebadano ją, żeby się upewnić, że wszystko jest w porządku: nie miała kontuzji ani ran, odmrożeń ani nawet najmniejszego przeziębienia. Tylko kilka zadrapań na twarzy i na rękach z powodu deszczu tłuczonego szkła. W trakcie badania pojawiła się Nati, która mocno ją przytuliła, gorąco, we łzach. Ona także zapłakała. Potem poczuła się znacznie lepiej. I wtedy naszedł ją głód, wielki głód, głód bolesny, fizjologiczny; nie chciało jej się jeść, ale tego potrzebowała. Zjadła zupę jarzynową i chleb i jednym haustem wypiła szklankę mleka.

Przełożona pielęgniarek zwolniła ją z pracy na dwadzieścia cztery godziny i rozkazała odpocząć.

– Będziemy cię potrzebować w dobrej formie, dopóki nie skończy się ta

lawina.

– Ja jestem w doskonałej formie – zapewniła ją Lena, ciągle kipiąca adrenaliną.

– Mówię, że nie. Proszę się udać do pokoju i położyć się spać.

Spojrzała na swój uniform zalany krwią i ubłocony, wysmarowany sadzą. Nagle cała poczuła się brudna. Może nie będzie w stanie spać, ale nie wytrzyma już ani chwili bez kąpieli i przebrania się.

Przełożona pielęgniarek właśnie miała wyjść z sali.

– Wie pani coś o tym rosyjskim jeńcu? – zapytała ją Lena zniecierpliwiona.

– Podają mu tlen i krew. Jeśli przeżyje wstrząs, pójdzie na stół. Gdyby nie minęło tyle czasu od postrzału... – Po krótkiej przerwie dodała: – Ale z tym uciskiem to dobra robota. Czasem takie drobiazgi ratują życie.

Lena uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Przeżyje?

Kobieta zawahała się, zanim udzieliła odpowiedzi.

– Proszę mnie zapytać po operacji.

Nie wykorzystała dwudziestu czterech godzin przepustki. Wróciła do pracy z samego rana, po długim, ożywym śnie, w który zapadła, niemal tego nie zauważywszy.

W szpitalu dalej panował nieopisany ruch, ciągle napływali nowi ranni z frontu, choć docierały też informacje o zelzeniu ofensywy. Po ciężkich walkach, mimo wielkiej dysproporcji sił w ludziach i sprzęcie, Błękitna Dywizja oparła się radzieckiemu atakowi, którego celem było przełamanie linii frontu. Choć Armia Czerwona zaangażowała wielkie środki, jej sukces był mizerny. W tej chwili obie armie okopywały się na pozycjach, ataki zaś koncentrowały się przede wszystkim na linii Izory. Tymczasem zaczynały nadciągać pierwsze posiłki; jednostka estońskich ochotników Wehrmachtu oraz kolejne siły niemieckie miały zluzować oddziały hiszpańskie.

Lena wchodziła właśnie do sali pielęgniarek, gdy podeszła do niej przełożona.

– Wypoczęła pani?

Soledad Núñez uśmiechała się z matczyną czułością. Była Damą Oddziałów Medycznych, pielęgniarką weteranką z Maroka, która miała wielkie doświadczenie i potrafiła dowodzić. Zwykle zachowywała się bardzo surowo, jeśli chodzi o gesty i miny, ale w głębi duszy była liberalna i miła.

– Tak, bardzo dziękuję. Jestem gotowa na przyjęcie lawiny. – Lena nawiązała do jej komentarza z poprzedniego dnia.

Uśmiech kobiety zniknął. Podeszła do niej.

– Proszę słuchać... zanim się pani dowie od innych... Chodzi o tego jeńca...

Dreszcz niepokoju przebiegł Lenie po plecach.

– Wszystko z nim w porządku? – Nie mogła jej nie przerwać.

Wtedy Soledad Núñez zdała sobie sprawę, że nie najlepiej wprowadziła temat.

– Och, przepraszam... Nie chodziło mi o to... Tak, wszystko w porządku.

Lena odetchnęła z ulgą, bardzo głośno.

– Właśnie wyjechał z sali operacyjnej. Na szczęście kula nie spowodowała poważniejszych obrażeń. Miał lekko naruszone jelito cienkie, ale nawet nie trzeba było przeprowadzać resekcji, tylko pozszywać.

– Bogu dzięki...

– Chodzi o coś innego... Ten człowiek... Nie wydaje się radzieckim oficerem...

Lena zmarszczyła brwi, nie do końca rozumiejąc, co przełożona chce powiedzieć.

– To jego ubranie. Wczoraj, kiedy mu je ściągnęliśmy... Dobrze, początkowo w pośpiechu nikt nie zwrócił na to uwagi... Ale gdy spojrzeliśmy na jego nieśmiertelnik, żeby sprawdzić grupę krwi, stwierdziliśmy, że to niemiecka blacha. Potem przejrzelśmy ubranie i okazało się, że rzeczywiście pod kamuflażem miał kompletny niemiecki mundur.

– To... szpieg? – zauważyła Lena, nieco zbита z tropu.

Pielęgniarka przełożona tylko wzruszyła ramionami.

– Nie wierzę. Szpieg nie miałby na sobie munduru – zauważył porucznik Martos, komendant szpitala w zastępstwie kapitana Escobeda, kiedy Lena zadała mu to samo pytanie.

– Żołnierzem też nie jest – upierała się ona.

– Oczywiście, nie jest też zwyczajnym żołnierzem. Ale wszystko wskazuje na to, że jednak żołnierzem jest. Na nieśmiertelniku ma tylko numer, nie ma odniesienia do konkretnej jednostki. To typowe działanie w przypadku spadochroniarzy, pilotów... żołnierzy, którzy mogą trafić do niewoli i dlatego ukrywa się ich pochodzenie. Może to komandos.

– Mówił po rosyjsku – przypomniała sobie Lena. – I pozostali żołnierze brali go za swojego. A jeśli to rosyjski komandos?

– Dlaczego nie? Przy tak skąpych informacjach niczego nie można wykluczyć. W każdym razie zgłosiłem sprawę Niemcom, może oni nas oświecą.

Lena podeszła do łóżka tajemniczego mężczyzny. Leżał na wznak podparty, co w języku medycznym nazywa się pozycją Fowlera, jeszcze niewybudzony z narkozy. Spojrzała na tabliczkę u wezłowania łóżka; nie było tam żadnego imienia, żadnego stopnia, tylko suchy numer bez żadnego znaczenia. Patrząc na

jego twarz bez wyrazu, Lena nie mogła przestać zadawać sobie pytania o to, kim jest i dlaczego pomógł jej uciec.

Zmierzyła mu temperaturę, puls i ciśnienie, po czym zapisała wyniki na karcie pacjenta. Zmieniła niemal pustą butelkę surowicy na pełną i poprawiła poduszki pod jego kolanami. Usłyszała wtedy jęknięcie, pacjent się budził. Z trudem otworzył oczy, jakby powieki mu ciążyły.

– *Ich habe Durst...* – wymamrotał.

Lena nie rozumiała niemieckiego, ale nie musiała. Spojrzała na jego blade, spierzchnięte usta, które wyglądały jak sucha glina. Zamoczyła szmatkę i przesunęła po nich. Pacjent łapczywie je polizał.

– Chwilowo nie mogę dać panu więcej.

Usłyszawszy jej słowa, spojrzał na nią zbity z tropu, jakby z wysiłkiem ją sobie przypominał.

– *Wo bin ich?*... Gdzie ja jestem?

– W hiszpańskim szpitalu. Jest pan ranny i musieliśmy pana operować.

Instynktownie uniósł rękę do sondy nosowej. Ona go powstrzymała.

– Nie... Nie może pan tego wyciągnąć.

Mężczyzna ponownie zamknął oczy i głęboko westchnął.

– Bardzo mnie mdli.

– To przez narkozę. Niedługo panu przejdzie.

Lena znowu zamoczyła szmatkę i położyła mu na czole.

– Jak się pan nazywa? – nie mogła powstrzymać się przed zadaniem tego pytania.

– Kurt... Kurt Ardstein.

*

Agata skrupulatnie utarła liście szalwii i sprawdziła, czy mają odpowiednią postać, oleistej pasty. Wzięła moździerz i podeszła do łóżka rannego.

Leżał na boku, żeby nie naciskać na ranę. Miał lekki sen, podczas którego czasem mamrotał niezrozumiale. Zdarzało się, że otwierał puste oczy, żeby wpatrywać się w przestrzeń. Czasem wstrząsały nim gwałtowne ataki kaszlu. Agata odkryła go, a zrobiwszy to, zakłóciła jego sen. Jęczał cicho. Uspokoiła go kilkoma słowami; łatwo się poddał i stał się bezwolną kukłą. Ostrożnie usunęła okład i obejrzała ranę; nie wyglądała źle, nie wydawała się zainfekowana. Nałożyła sporą dawkę szalwiowej pasty i znowu go zabandażowała. Jeśli wszystko pójdzie jak dotychczas, niedługo ściągną mu szwy.

Kiedy weszła Zofia w towarzystwie chmury płatków śniegu, zastała ją, jak badawczo przygląda się mężczyźnie, tak zaabsorbowana, że nawet nie odwróciła

wzroku, żeby się z nią przywitać. Staruszka położyła drewno obok kominka. Podparła się w krzyżu, czując ukłucie w nerkach, i jednocześnie podgarnęła żar. Cholerna starość. Ciągle schylona nad ogniem odezwała się od Agaty przez ramię:

– Nie powinnaś się tak bardzo przejmować, dziecko. Już nic mu nie grozi.
– Bardzo się poci. Twarz ma ciągle zlaną potem, ale ręce lodowate.
– To od maku – wyjaśniła Zofia, mając na myśli napar, który mu podawały jako środek przeciwbólowy. – Jak przestanie brać, przejdzie mu.

– Tak mi go żal... Widziałaś, jaki jest chudy. I cały jest posiniaczony, i ma mnóstwo blizn... Nawet brakuje mu jednego palca prawej ręki. Barbarzyńcy... To straszna zbrodnia być Żydem – pomyślała na głos dziewczyna, z nutą wściekłości w głosie.

– On nie jest Żydem – poprawiła ją staruszka.

W końcu Agata na nią spojrzała.

– Skąd wiesz?

– Przecież rozebrałam go, kiedy go przynieśliście. – W oczach Zofii zalśniła szelmowska iskierka. Rzeczywiście ściągnęła z niego te śmierdzące i aż ruszające się od wszy szmaty – sam ich zapach przyprawiał o mdłości – i wszystkie je spaliła, co do jednej. Potwierdziła też przy okazji, że nie jest obrzezany.

– Czyli że to partyzant?

Staruszka zaprzeczyła machnięciem ręki.

– Partyzantów wieszają, dziewczyno, nie wożą ich do Oświęcimia.

Dziewczyna aż się zatrzęsała. Co zrobią z nią, jak ją złapią.

Agata Lederman była Żydówką, była też w partyzantce. Chociaż najbardziej chciała być lekarką. Miała rozpocząć studia na Uniwersytecie Warszawskim, kiedy wybuchła wojna i jej marzenia się skończyły. Na wielu płaszczyznach. Powołania nie odziedziczyła, bo ojciec był zegarmistrzem, należącym do długiej linii rzemieślników, która sięgała jej praprapradziadka, zegarmistrza Stanisława Augusta, ostatniego króla Polski; był z niego zawzięty monarchista. Dla odmiany ojciec był socjalistą, członkiem Bundu, Powszechnego Żydowskiego Związku Robotniczego. Jej starszy brat Marek jeszcze bardziej się zradyzalizował i kokietował frakcje komunistyczne w Bundzie. Dlatego gdy Niemcy rozpoczęli wojnę z Polską 1 września 1939 roku, Marek starał się przekonać ojca, żeby przenieśli się do Wilna albo nawet dalej, do Mińska albo do Moskwy. Ojciec jednak wierzył, że armia polska zatrzyma Niemców pod Warszawą. Nie stało się tak. Miasto było oblegane przez ponad dwadzieścia dni; zbiorniki wody, szpitale, targowiska i szkoły były bombardowane bez litości od rana do nocy. Aż w końcu 28 września, bez wody, bez żywności i bez lekarstw, miasto poddało się Niemcom.

Przed wojną Agata prowadziła radosne i beztrudne życie, właściwe dziewiętnastoletniej dziewczynie z dobrze sytuowanej rodziny. Mieszkała z rodzicami i bratem w ładnym domu z małym ogródkiem na Saskiej Kępie, na

prawym brzegu Wisły. W niedzielę spacerowała z koleżankami po parku Skaryszewskim albo przesiadywała w jednej z kawiarni w paryskim stylu, których mnóstwo było w dzielnicy; chodziła do kina i teatru; bywała na koncertach w Filharmonii Narodowej i na wystawach w galerii Zachęta; towarzyszyła też Markowi, miłośnikowi poezji rewolucyjnej, na recitalach w Ateneum, podczas których koszmarnie się nudziła.

Wraz z przybyciem Niemców cały świat się zawalił. Szybko pojawiły się prawa antysemitki. Chociaż pierwszy gest nie potrzebował prawa: kiedy Niemcy weszli do Warszawy, zorganizowali stołówki socjalne dla wszystkich, tylko nie dla Żydów. Potem skonfiskowali ich własność, rozwiązali organizacje, zabroniono im jeździć tramwajem, chodzić do parków, korzystać z poczty, nawet przemieszczać się niektórymi ulicami; sklepy żydowskie mogły sprzedawać tylko Żydom i tylko Żydzi mogli w nich kupować. W Warszawie zarejestrowano ponad trzysta pięćdziesiąt tysięcy Żydów. Od tamtej chwili musieli publicznie nosić na lewym ramieniu białą opaskę z niebieską gwiazdą Dawida. Jej ojciec nigdy nie ufał Judenratowi, Radzie Żydowskiej stworzonej przez Niemców, która wprowadziła te zarządzenia w życie, więc odmówił stosowania się do nich. Nie chciał zarejestrować ani siebie, ani swojej rodziny, a już na pewno nosić gwiazdy. Jednak wszyscy wiedzieli, że Witold Lederman jest Żydem, praktykującym Żydem, który przestrzega tradycji, modli się w synagodze i obchodzi żydowskie święta; jego dzieci chodziły do żydowskich szkół, żeby studiować Torę, chociaż uczęszczały też do normalnej polskiej szkoły. Dlatego szybko skonfiskowano jego warsztat, a niebawem zagrożono mu odebraniem domu na Saskiej Kępie.

Kroplą, która przelała czarę goryczy, było utworzenie batalionów robotniczych; młodzi Żydzi wstępowali do nich, bo dawano wynagrodzenie, które chociaż żałosne, było jedynym, na jakie mogli liczyć. Bataliony organizował Judenrat, który zobowiązał się do zebrania jak największej liczby ochotników. Jednak z miesiąca na miesiąc było coraz mniej chętnych, szczególnie gdy wysłano pierwsze grupy do obozów pracy z dala od Warszawy, w okolice Lublina. Ucieczki były masowe, więc żydowska policja i Gestapo zaczęły chodzić od domu do domu i rekrutować młodych ludzi.

Marek był jednym z pierwszych ochotników. Za plecami ojca zapisał się do pierwszego batalionu wraz ze swym przyjacielem, Adamem Libickim. Adam tak naprawdę był przyjacielem całej rodziny. Mieszkał w domu obok, sam od śmierci rodziców, którzy zmarli w tym samym roku. Libiccy byli dobrymi sąsiadami i przyjaciółmi Ledermanów, a Adam od dzieciństwa bawił się z Markiem i Agatą jak brat. Dlatego, gdy został sierotą, zaczął spędzać więcej czasu u Ledermanów niż u siebie, w zbyt dużym dla siedemnastolatka domu, pustym i samotnym. Marek i Adam byli nierozłączni, dlatego razem stawili się do pracy w batalionach. A kiedy obaj wrócili do domu, wygłodniali i chorzy, pan Lederman przyrzekł im, że nigdy

więcej nie będą niemieckimi niewolnikami. Zdecydował, że cała trójka młodzieży – Marek, Adam i Agata – wyjedzie z Warszawy i ukryje się w wiosce Zawoja w Beskidach, gdzie rodzina zwykle spędzała wakacje.

W pierwszej chwili Marek chciał się zbuntować. Nie rozumiał, dlaczego muszą się rozdzielać, dlaczego nie mogą wszyscy ukryć się w Zawoi (albo w Związku Radzieckim, co naturalnie by wolał).

– Bo Warszawa jest moim miastem. Tutaj są moje korzenie, mój dom i moja praca. Moja rodzina żyje tu od pokoleń. A ci Niemcy nie mają prawa odmawiać mi tego, kim jestem i co mam. Zostanę i będę walczył z tą niesprawiedliwością – argumentował ojciec.

– W takim razie ja zostaję z tobą i też będę walczył – upierał się Marek.

– Nie, ty musisz udać się z siostrą i opiekować się nią.

– Adam zrobi to za mnie.

Pan Lederman westchnął i przytrzymał chłopaka za ramiona, z czułością, której wcześniej być może nigdy mu nie okazał.

– Słuchaj, synu. Twoja matka i ja jesteśmy starzy, nie przydamy się Niemcom, więc nie przyjdą po nas. Ale wy... Na własnej skórze doświadczyłeś, do czego są zdolni, a to dopiero początek. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś się wam stało.

Na początku września 1940 roku Marek, Adam i Agata wyruszyli do Zawoi. W wiosce w sercu Beskidów mieszkała Zofia Gött, stara wdowa, która wraz ze swym synem Bohdanem prowadziła gospodarstwo rolne. Zofia wynajmowała Ledermanom chatkę nad rzeką, gdzie spędzali wakacje od chwili narodzin dzieci. Wraz z upływem lat pomiędzy obiema rodzinami zawiązała się nić przyjaźni. Dzieci nie znały żadnej ze swych prawdziwych babć, więc za swoją babcię uznały Zofię, staruszkę z gór, która piekła im ulubione ciasta, opowiadała historie pod jabłonią i pozwalała bawić się z gęsiami. Jednak od chwili, kiedy Bohdan, człowiek niespokojny, wpadł do rzeki, a pan Lederman rzucił się do wody, żeby go ratować, Zofia czuła się jeszcze dłużniczką rodziny. Zrobiłaby dla nich wszystko. Dlatego nie zawahała się ani chwili, żeby ukryć ich pod swoim dachem.

Zofia była katoliczką i nigdy nie lubiła Niemców. Zawsze stawiała okoniem wobec nich. Do tego Bohdan, pozornie spokojny chłop, grubo ciosany, o czerstwych, rumianych policzkach, należał do oddziału partyzanckiego – Batalionu Beskidy. Atakowali grupki żołnierzy niemieckich, odbierali im broń i mundury, żywność, paliwo i wszystko, co mogło być w jakiś sposób użyteczne. Tak samo sabotowali punkty kontrolne i obserwacyjne, warsztaty, elektrownie, transport i w ogóle każdą instalację służącą wrogowi. Marek i Adam szybko dołączyli do partyzantki. I chociaż z całą pewnością nie było to coś, co stary Lederman miał na myśli, mówiąc o opiekowaniu się siostrą, Marek zgodził się, żeby Agata nauczyła się strzelać, prowadzić samochód, kraść broń, uciekać...

Również zabijać; zabijać Niemców.

Na początku 1941 roku, kilka miesięcy po przyjeździe do Zawoi, dotarła do nich wiadomość, że w Warszawie utworzono żydowskie getto. Całe rodziny zostały przegnane z domów i przeniesione na Muranów, do tradycyjnej dzielnicy żydowskiej, i oddzielone od reszty miasta. Prawdopodobnie pan i pani Lederman znaleźli się pośród trzystu osiemdziesięciu tysięcy warszawskich Żydów zamkniętych w getcie. Marek przygnębiony losem, jaki mógł się stać udziałem rodziców, pojechał do stolicy, żeby spróbować ich stamtąd wyciągnąć.

Tygodniami Agata nie miała od niego żadnych wiadomości, ani oczywiście od rodziców. Zagroziła, że również wróci do Warszawy, ale ani Adam, ani babcia Zofia jej na to nie pozwolili. W połowie lutego Marek pojawił się w leśnej chatce. Nie musiał nic mówić, żeby Agata wyczytała z jego twarzy, że rodzice nie żyją. Dziewczyna wybuchła histerycznym płaczem. Później popadła w swego rodzaju letarg: nie odzywała się, siedziała sama, prawie nic nie jadła. Zareagowała dopiero wtedy, kiedy Marek oświadczył, że wraca do Warszawy.

– Ty też mnie zostawisz? – zawołała oburzona, żeby zaraz go zapytać: – Dlaczego? Dlaczego musimy się rozdzielić?

– Nie można się godzić z tym, co robią z naszymi w Warszawie. Ludzie chcą stworzyć ruch oporu, ale brakuje liderów i zdecydowania. Muszę tam pojechać, wejść w kontakt z organizacjami żydowskimi, z dowództwem polskiego podziemia i rozpocząć walkę, zanim będzie za późno. Wiem, że ojciec by mnie poparł. Muszę to zrobić dla niego i dla mamy.

– W takim razie jadę z tobą. Ja też mam prawo uczcić ich pamięć i pomścić ich śmierć. Mogę pomóc.

– Nie, bardziej będziesz pomocna tutaj. Łączność z partyzantami może być użyteczna, żeby zdobywać broń i zaopatrzenie.

Agacie trudno było się nie zgodzić. W milczeniu patrzyła na Marka wzrokiem pełnym wściekłości, strachu i przygnębienia; oczami pełnymi łez. On ją przytulił.

– Jak to się stało? – zapytała Agata po raz pierwszy, z twarzą wtuloną w szyję brata. – Jak zginęli?

– Kiedy przyszło po nich SS, żeby zabrać ich do getta, ojciec odmówił. Zastrzelili go na miejscu... A potem... mamę też... – Marek starał się hamować łzy, ale w końcu wymknął mu się szloch, który pohamował ze złością. – Jakiś skurwiel ich zdradził! Jakiś pierdolony klient doniósł na nich do Gestapo! Zabiję go!

Agata pocałowała zalane łzami policzki Marka i mocno go przytuliła.

– Nie, nie rób tego. Tata nigdy by tego nie pochwalił – zapewniła go, płacząc.

Agata myślała o Marku, kiedy Bohdan z Adamem weszli do chatki. Syn Zofii zawsze przychodził do chaty przed zmrokiem, żeby towarzyszyć matce przy powrocie do domu. Adam, który stał na straży na zewnątrz, wszedł, żeby się ogrzać.

– Dziś przynajmniej możesz być spokojna – oznajmił jej Bohdan swym charakterystycznym ponurym głosem, otrzepując się ze śniegu. – Wszędzie w okolicy panuje spokój. – Spojrzał na matkę, robiącą na drutach w świetle naftowej lampy. – Zgadnij, kto nas dziś odwiedził?

– Skurwysyny... – wymamrotała staruszka, nie odrywając oczu od robótki.

– To prawda. Nasi przyjaciele, niemieccy żołnierze, żeby zabrać kontyngent żywności z tego tygodnia: trzy bańki mleka, pięć tuzinów jajek, kilogram twarogu i sześć worków jabłek. Cena oczywiście nie do przebicia: zero złotych. A ja oddałem im wszystko z szerokim uśmiechem – powiedział, odsłaniając zaskakująco białe i zadbane zęby. – Odbiję to sobie przy innej okazji... – zapowiedział ze złością.

Tymczasem Adam podszedł do Agaty.

– Odpocznij. Nie musisz tu siedzieć dzień i noc. – Powiedział to z czułością, myśląc o niej, o jej zdrowiu. Chociaż wypowiadając ostatnie słowa, zauważył odrobinę zazdrości na czubku języka, więc zganił siebie za to absurdalne uczucie.

Adam nie pojechał do Warszawy, bo Marek poprosił go, żeby zajął się siostrą. Nie musiał o to prosić, ponieważ Adam nie marzył o niczym innym. Pragnął opiekować się Agatą, bo od zawsze był w niej szaleńczo zakochany. Nie pamiętał dokładnie od kiedy, może od czasów, gdy dziewczyna chodziła jeszcze w rajstopkach i wiecznie zmuszała go do picia herbatki ze swoimi lalkami. Już wtedy okazywał jej bezwarunkowe oddanie, które później przerodziło się w miłość. Agata wyrosła na najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek poznał. Zostali narzeczonymi, kiedy skończyła piętnaście lat i skradł jej pocałunek, gdy pływali łódką po Jezioru Kamionkowskim i z tego powodu niemal wpadli do wody. Czego innego można się było spodziewać, skoro jeszcze w dzieciństwie rodzice rozważali pomysł ich małżeństwa?

Adam podobał się Agacie. Przede wszystkim z powodu swego bezgranicznego oddania. Zawsze o nią dbał i spełniał jej najdrobniejsze pragnienia. Żałowała, że został sierotą w tak młodym wieku, bez rodzeństwa i bez bliskiej rodziny, kompletnie sam na świecie. Podziwiała go, bo był inteligentny i ofiarny, i udało mu się skończyć studia medyczne z najlepszymi ocenami (choć wojna nie pozwoliła mu pracować, odbył tylko praktyki w Szpitalu pw. Przemienienia Pańskiego). Poza tym, chociaż nie był przystojny, wydawał jej się atrakcyjny przez ten swój styl bohatera romantycznego, w rodzaju Chopina czy Shelleya. Nie była pewna, czy jest w nim zakochana, ale z drugiej strony nie wiedziała tak do końca, co to znaczy być zakochaną; może rzeczywiście czuła do Adama miłość, mimo że

czasem to uczucie wydawało jej się dość letnie.

Adam podszedł, żeby obejrzyć rannego. On sam operował go i wyciągnął mu kulę, która utkwiała w prawym barku – na szczęście o kilka milimetrów od kręgosłupa – nie powodując poważniejszych uszkodzeń. A zrobił to przy użyciu niewielu środków, którymi dysponował, wykorzystując mak jako narkozę i środek przeciwbólowy, szalwiąc do dezynfekcji, nóż i igłę babci Zofii oraz żyłkę rybacką.

– Chyba nie ma infekcji. Od jutra będziemy mu zmniejszać dawkę maku, żeby go wybudzać. Trzeba teraz zacząć go karmić, żeby nabrał sił i wydobrzeł – stwierdził.

Agata patrzyła na niego z dumą. Kiedy Adam okazywał wiedzę i zdecydowanie, nachodziło ją dziwne podniecenie. Może dlatego, gdy nadeszła noc, kochali się na niedźwiedziej skórze, na której spali, w ciepłe i dyskretne światło kominka.

*

Porucznik Kurt Ardstein-Daszkow należał do oddziału znanego jako Sonderverband Brandenburg, gdyż jego siedzibą było to niemieckie miasto, położone na zachód od Berlina.

Kiedy rozpoczęła się wojna, wstąpił do piechoty Luftwaffe i zaczął się szkolić na spadochroniarza. Gdy przydzielono go do batalionu strzelców spadochronowych, Fallschirmjäger, wziął udział w inwazji na Danię i Norwegię, a potem w wojnie we Francji. Na początku 1941 roku, gdy dochodził do siebie po lekkim złamaniu, które przytrafiło mu się po złym lądowaniu, przełożony namówił go do wstąpienia do oddziału przedstawionego w sposób nader enigmatyczny: „Nie należy w zasadzie do żadnej konkretnej dywizji, jest przeznaczony do misji specjalnych. Podlega pod Abwehrę, rozumie mnie pan... O służbach specjalnych nie mówi się za wiele. Mam tam jednak przyjaciela i on mi powiedział, że szukają dobrych spadochroniarzy, którzy dodatkowo posługują się różnymi językami i najlepiej, żeby nie mieli aryjskiego wyglądu”.

Żeby nie mieli aryjskiego wyglądu? Nigdy nie przyszło mu do głowy, że on nie wygląda na Aryjczyka. Z drugiej strony nie za bardzo też rozumiał, co to, u diabła, może znaczyć, że się wygląda na Aryjczyka. Większość ludzi głoszących ideę rasy aryjskiej w ogóle nie miała aryjskiego wyglądu. Pokątnie krążył taki kawał: „Trzeba być wysokim jak Hitler, wysportowanym jak Göring i dobrze zbudowanym jak Goebbels”. On miał jasnobrązowe włosy, oczy i skórę także jasne, był wysoki, sprawny fizycznie... ale i tak nie wyglądał na Aryjczyka.

„Z moich ludzi pan jest najbardziej śmiały. Mówi pan po niemiecku, rosyjsku, holendersku, hiszpańsku i francusku. I wygląda pan na Słowianina, co się

im bardzo podoba”, wyjaśnił przełożony z taką dumą, jakby sam sobie przypisywał zasługi za te cnoty.

Czyli że Słowianin... Można się było tego spodziewać. Jego matka była Rosjanką: księżniczka Aleksandra Gieorgijewna Daszkowa z Sankt Petersburga, która wyszła za niemieckiego barona z dawnej pruskiej szlachty, Hermana Ardsteina Freiherr von Weismar. Kurt był trzecim z braci, a zatem tytuły zostały gdzieś po drodze i jemu przypadły tylko dźwięczne nazwiska, chociaż czasem zdarzało się, że zwracano się do niego per Freiherr, baron. Przyszedł na świat w Berlinie, kiedy to miasto było jeszcze stolicą Królestwa Prus, za czasów Cesarstwa Niemieckiego, choć w wieku zaledwie trzech lat przeniósł się z rodziną do Kostaryki, gdzie ojciec został konsulem. Później były Urugwaj, Peru, Kanada i Szwajcaria. Holenderski wziął mu się od naprawdę wspaniałej dziewczyny, którą poznał pewnego lata, ale mówił nim bardzo słabo; zaskoczyło go to, że jego dowódca wie również o tym. Ponieważ jego starszy brat był żołnierzem, a następny deputowanym z NSDAP, rodzinna tradycja polityczno-wojskowa została zachowana, dlatego Kurt mógł sobie pozwolić na wybór zajęcia według własnego uznania. W przyływie ekstrawagancji postanowił poświęcić się studiom chemicznym na uniwersytecie w Heidelbergu. Nie mógł sobie wtedy wyobrazić, że to też będzie świadczyło na jego korzyść przy przechodzeniu do brandenburczyków, jak ich nazywano. Wykazał się nadzwyczajną biegłością w sporządzaniu materiałów wybuchowych z tego, co znalazł pod ręką (wojna przerwała jego studia, kiedy do ich zakończenia pozostały mu tylko dwa kursy).

„Misją pułku Brandenburg jest dostarczenie żołnierzy gotowych do działania na terytorium wroga... posługujących się przebiegłością szpiegów”. Tak zaczynała się krótka prezentacja, którą Leutnant wygłosił do niego i dziesięciu innych kandydatów. „Ale żeby było jasne, nie jesteśmy tutaj po to, by prowadzić brudną wojnę – podkreślił podporucznik. – Przede wszystkim jesteśmy żołnierzami. Dlatego w chwili, kiedy w szczegółach poznacie wasze zadanie w tym oddziale, będziecie mieli absolutne prawo powrotu do swych macierzystych jednostek, jeśli okaże się, że nie tego się spodziewaliście. Musicie mieć świadomość, że wasza tu obecność jest absolutnie dobrowolna. Będziecie prowadzić bardzo ryzykowne misje na tyłach wroga, pod przykryciem, w maskowaniu, w mundurach naszych albo wrogich, albo w ubraniu cywilnym. W przypadku dostania się do niewoli nie liczcie na litość: zostanieie uznani za szpiegów i straciecie możliwość odwoływania się do konwencji haskiej regulującej sprawę jeńców wojennych. Nie możemy wam rozkazać, żebyście gwałcili prawa wojenne, których Niemcy zobowiązały się przestrzegać. Prosimy was jednak, żebyście się dobrowolnie zgodzili na poświęcenie dla swojego kraju, z czego w każdej chwili będziecie się mogli wycofać. Co więcej, od tych, którzy się zgodzą, będziemy wymagać całkowitego podporządkowania i całkowitej pewności siebie, w przeciwnym razie

będziecie ryzykować niepowodzenie misji i życie reszty towarzyszy”.

Mimo tego przemówienia postanowił zostać. Po ciężkim i wszechstronnym ćwiczeniu umiejętności stricte wojskowych i szpiegowskich wykonali serię misji, których celem było przejmowanie mostów, odblokowanie szlaków komunikacyjnych, rozbicie uzbrojenia i umocnień wroga i, ogólnie rzecz ujmując, przygotowanie terenu na przyście niemieckiego wojska. Na kilka dni przed inwazją na Związek Radziecki grupa spadochroniarzy została zrzucona nad Białorusią, żeby opanować mosty kolejowe na linii Lida–Mołodeczno; tam pozostali przez resztę roku jako szpica 4. Armii Guderiana na misjach rozpoznania i dywersji. Na początku zimy 1942 roku przeniesiono ich do Finlandii, żeby przygotowali atak na linie zaopatrzenia do Murmańska. W lecie tego samego roku grupa pod dowództwem Adriana von Fölkersama dokonała największego wypadu na teren Rosji, jaki kiedykolwiek zrobiło wojsko niemieckie, żeby w przebraniu żołnierzy NKWD przejąć składy paliwa Majkopu; akcja zakończyła się sukcesem, za co Kurt dostał Krzyż Żelazny drugiej klasy. Potem wysłano go na południe, na granicę jugosłowiańską, gdzie walczył z partyzantami.

Kiedy wezwano go na misję do Sankt Petersburga (jego matka nigdy nie dopuściłaby do tego, żeby komuś z jej rodziny przeszła przez gardło nazwa Leningrad), był bardzo zaskoczony. Brandenburczycy już od dłuższego czasu, od kiedy ustalono front wokół oblężonego miasta, nie działali na północy. Jednak w połowie stycznia Rosjanie wprowadzili w życie operację Iskra, której celem było przełamanie pierścienia wokół miasta. W wyniku kontruderzenia udało im się ustanowić mały przesmyk na południe od jeziora Ładoga, łączący dawną stolicę carów z Frontem Wołchowskim na wschodzie. Tam Rosjanie w zaledwie tydzień zbudowali linię kolejową pomiędzy Schlüsselburgiem a Polianą; trzydzieści trzy kilometry torów, żeby dowozić zaopatrzenie i wojsko do miasta, które od półtora roku było okrążone i znajdowało się już na skraju wytrzymałości. Z wielkim optymizmem ze swojej strony Rosjanie zaczęli nazywać tę linię Koleją Zwycięstwa; niebawem przesmyk zmienił się w Korytarz Śmierci, bo nieustannie był bombardowany z pozycji niemieckich na wzgórzach Siniawino, a także z powietrza. Tylko niektóre pociągi docierały do celu. A jednak niemieckie najwyższe dowództwo żądało pełnego przerwania linii zaopatrzeniowych. Misja typowa dla brandenburczyków.

Postawili go na czele pięcioosobowego oddziału – właśnie dostał awans na Oberleutnanta – który miał przeprowadzić rozpoznanie linii kolejowej, żeby zaplanować wysadzenie jej w kilku miejscach. Misja niebezpieczna, bo każda misja za liniami wroga taka jest, ale znacznie mniej niż wszystkie poprzednie, w których brał udział. Przejrzeli tory, ich zabezpieczenie i słabe punkty, zdecydowali, jakich użyć ładunków wybuchowych, i wykonali swoje zadanie bez przeszkód.

Jednak kiedy wracali z misji, zaskoczył ich początek ofensywy w Krasnym Borze. Nagle znaleźli się pomiędzy różnymi oddziałami Armii Czerwonej, w ogniu walki, dodatkowo jeszcze w częściowym kamuflażu: *Halbtarnung* składającym się z białego kombinezonu i astrachańskiej czapki z czerwoną gwiazdą, typowej dla radzieckich żołnierzy. I chociaż pod spodem mieli niemieckie mundury, na pierwszy rzut oka nie sposób było ich rozpoznać. W przypadku gdyby zostali zmuszeni otworzyć ogień do wroga, musieliby jednocześnie strzelać i ściągnąć kamuflaż, żeby nie zostać wzięci za szpiegów. Nie był to nieistotny szczegół, część ich szkolenia koncentrowała się na tych męczących ćwiczeniach: rzucali się na ziemię z kilkudziesięcioma kilogramami ekwipunku na plecach i przebierali się w mniej niż dziesięć sekund. Zawsze kończyli to ćwiczenie wyczerpani i złani potem, jeśli nie w połowie rozebrani i nie zdoławszy nawet wyciągnąć pistoletu zaplątanego w ubrania. Wraz z upływem czasu Kurt nauczył się, że woli uratować życie, nosząc wrogi mundur, niż zginąć w podkoszulku z waltherem tańczącym mu w rękach.

O tym mniej więcej myślał w Krasnym Borze. Ściągnięcie kamuflażu i zostanie w samym niemieckim mundurze nie było dobrym pomysłem w sytuacji, gdy oddziały radzieckie atakowały dookoła na kilkunastokilometrowej linii frontu. Postanowili się rozdzielić, wmieszać się w radziecką nawałę jako zwykli żołnierze, postrzelać, ale nie zwracać na siebie uwagi, i postarać się wrócić na drugą stronę.

Było to ciekawe doświadczenie... Nigdy wcześniej nie został poważnie ranny. Wielu towarzyszy padło u jego boku, kule świstały mu koło uszu, wybuchy wyrzucały go w powietrze, ale w konsekwencji był tylko trochę poobijany i pozszywany. Po raz pierwszy musiał go trafić właśnie niemiecki pocisk (albo co pewniejsze – hiszpański w niemieckiej służbie); ironia losu.

Zdarzyło się to na obrzeżach Krasnego Boru. Szedł naprzód wmieszany w oddział mongolskich żołnierzy, równie dzikich, co pijanych, który planował zająć wioskę od północy. Był świadkiem tego, z jak wielkim oddaniem, niemal samobójczym, hiszpańscy żołnierze bronili swoich pozycji przed przeważającą wrogą nawałą: walczyli wręcz, padali jak muchy, ściskając bagnety, od prostych żołnierzy po wyższych szarżę oficerów, nie cofali się ani o centymetr. Tymczasem on poszukiwał wyrwy, przez którą mógłby się przedrzeć na tyły i napotkać jakiś niemiecki oddział, ale Niemców nigdzie nie było. Pomyślał, że przejdzie przez wioskę, żeby dostać się do lasu, i w ten sposób pozbędzie się radzieckich oddziałów i wróci do swoich; wiedział, że 4. Dywizja SS Polizei znajduje się niedaleko stamtąd. Dyskretnie oddzielił się od Mongołów i przeskakując od domu do domu, przemierzał Krasny Bor. Przebiegając przez jedną z ulic, usłyszał serię z karabinu, rzucił się na ziemię, ale już było za późno. Dotknął rękami brzucha, nawet nie widział krwi, ale paliło go. Był to nie tyle ból, co przygnębienie faktem, że nie wie, gdzie go trafili. Okazało się, że może się poruszać – to było ważne

– więc poczołgał się najszybciej, jak mógł, do jakiegoś ukrycia. Leżąc za murkiem, szukał rany, ale mając na sobie kilka warstw ubrań, nie był w stanie jej znaleźć. Musiał się stamtąd wydostać, a ból narastał z minuty na minutę. Wtedy zobaczył znak Czerwonego Krzyża wiszący nad wejściem do pobliskiego domu.

Nie spodziewał się, że jego mongolscy towarzysze już zajęli lazaret. Kiedy otworzył drzwi i zastał ich w środku, musiał improwizować: chciał zabrać morfinę, bandażę i wyjść stamtąd jak gdyby nigdy nic. Wtedy jednak zobaczył pielęgniarkę. Jakiś sierżant już się brutalnie do niej dobierał. Zaklął we wszystkich językach, jakie znał, nawet po holendersku. Oznaczało to dla niego tylko dodatkowe komplikacje, ale nie mógł zostawić tej kobiety w rękach potomków Attyli, bo zrobiliby z nią wszystko, co tylko można sobie wyobrazić, i rzeczy niewyobrażalne też. Otarł pot z czoła, wyprostował się mimo bólu i odegrał swoją rolę oficera, tak jak wskazywały na to jego epolety starszego lejtnanta.

Nie pożałował, że to zrobił.

Oberleutnant Ardstein-Daszkow otworzył oczy i spojrzał na pielęgniarkę, która w milczeniu mierzyła mu ciśnienie krwi.

– Uratowała mi pani życie – powiedział do niej.

Ona uśmiechnęła się. Jej wielkie jasne oczy też się śmiały.

– Powiedziałaabym, że to pan mnie uratował.

– Czyli... jesteśmy kwita?

Dziewczyna skinęła głową.

– Jeszcze nie znam pani imienia.

– Lena Álvarez.

– Lena... Podoba mi się.

Poczuł się wyczerpany mimo krótkiej rozmowy i znowu zamknął oczy z obrazem tej pięknej pielęgniarki wyrytym na siatkówce.

*

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył Guillén, był spokojnie prószący śnieg za oknem. Wielkie płatki spadające leniwie w drewnianej ramie. I grube zasłony po bokach. Czuł się, jakby wrócił do domu.

Przebiegł wzrokiem dookoła, nie poruszając jeszcze żadnym mięśniem, i stwierdził, że znajduje się w obcym miejscu. Nie rozpoznał ściany pomalowanej na niebiesko ani dywanu w geometryczne wzory; nie rozpoznał też miedzianych naczyń, plecionych koszyków ani pęków kolb kukurydzy wiszących na ścianach; dziwny był drewniany sufit i belki pomalowane w wyblakłe kolory. Gdzie się znajdował?

Czuł, że ma zdrętwiałe ciało, suche usta i mdłości, jakby męczył go gigantyczny kac. Chciał się poruszyć, ale silny ból ukłuł go w plecach. Krzyknął. Krzyk wywołał atak kaszlu, który boleśnie wstrząsnął całym jego ciałem.

Wtedy podbiegła do niego jakaś młoda kobieta i delikatnie pchnęła go z powrotem na łóżko, szepcząc do niego dziwne słowa. Ich ton był delikatny i słodki, chciała go uspokoić. Jednak ból dalej pulsował, zdawał się przeszywać go aż po czubki palców, i był tym zdenerwowany i zdezorientowany.

– Gdzie ja jestem? – Głos zabrzmiał jak zepsuty silnik, szorstki i rżący.

Ona spojrzała na niego pytająco. Guillén znowu odkaslnął i skręcił się z bólu. Później znowu ona odpowiedziała tonem uspokajającym... Stopniowo słowa stały się dla Guillena czytelne i wyraźne... Dziewczyna mówiła jak hrabina. To był polski.

– Gdzie ja jestem? – znowu ją zapytał, tym razem starając się odświeżyć język, którym od dawna się nie posługiwał.

Ona nie ukrywała zdziwienia, słysząc go. Potem się uśmiechnęła.

– W Polsce. – Zrobiła przerwę i dodała: – Jest pan bezpieczny. – Podkładając mu poduszki pod plecy, pouczyła go: – Lepiej, żeby się pan za wiele nie ruszał. Jest pan ranny w...

Guillén sięgnął ręką tam, gdzie czuł ognisko bólu, i dotknął wystającego opatrunku na pośladku.

– No tak...

Wspomnienia zaczęły nachodzić go jak rozbłyśki światła w ciemnym pokoju. Stalag, pociąg... Udało mu się wyjść z wagonu i wyskoczyć. Biegł na oślep przez pole, w stronę lasu, w stronę wolności. Strzelano do niego. Do niego i do Josego Luisa.

– Wyskoczyliśmy z pociągu... Kolega i ja. On...?

Uśmiech dziewczyny zgasł, więc Guillén nie potrzebował więcej wyjaśnień. José Luis, pedał i tchórz, zginął, próbując go uratować...

– Miał pan dużo szczęścia – zauważyła, wyrrywając go z zamyślenia.

Guillén nie odpowiedział ani słowem; głos by mu się załamał, a do tego nie chciał dopuścić. A jednak nie mógł pohamować łez jak grochy, które spłynęły mu po policzkach.

– Przykro mi... – dodała dziewczyna z naprawdę smutną miną.

Guillén kiwnął głową i znowu zaczął kaszleć. Wtedy ona podsunęła mu kubek i pomogła się napić. Pił łąpczywie, bardzo spragniony. Napój był lekko ciepły i smakował cytryną, chociaż czuł też słodycz.

– Powoli, żeby panu nie zaszkodziło. – Odsunęła kubek i otarła mu krople z brody. Łzy z policzków również.

– Jak pani na imię?

– Agata. Agata Lederman.

Guillén przyjrzał się dokładnie tej twarzy owiniętej białą chustką w kwiaty. Dziewczyna była bardzo ładna.

– Ja jestem Guillén Álvarez. Przyjechałem z Francji... – Co więcej mógł powiedzieć? – Bardzo dziękuję za pomoc... Zawdzięczam pani życie.

– Nie, nie mnie. Dwóm mężczyznom, którzy tu pana przynieśli. Jeden z nich jest lekarzem, to on uratował panu życie. Uciekł pan z okolic Oświęcimia.

– Oświęcimia?

– Niemcy nazywają go Auschwitz. Pana pociąg jechał do obozu koncentracyjnego.

Od czasu do czasu Bohdan i Adam wraz z innymi dwoma żołnierzami Batalionu Beskidy podjeżdżali ciężarówką w okolice Oświęcimia, gdzie Niemcy od maja 1940 roku budowali kilka obozów koncentracyjnych. Ukrywali się w okolicznych lasach; czasem nawet podchodzili pod mury. Początkowo tylko obserwowali, chcieli się dowiedzieć, co Niemcy robią z więźniami. Codziennie przyjeżdżało kilka pociągów pełnych ludzi: mężczyzn, kobiet, dzieci, starców; wielu z nich było zatrudnionych jako siła robocza w pobliskich fabrykach, kopalni węgla, przy wydobywaniu żwiru albo przy powiększaniu samego obozu. Strasznie było patrzeć na rzędy wychudzonych ludzi przechodzących codziennie przez bramę z napisem ARBEIT MACHT FREI, poganianych krzykami i uderzeniami przez strażników, którzy nie wahali się ani chwili, żeby strzelić, gdy ktoś padał z wyczerpania. Później partyzanci zaczęli się zastanawiać, w jaki sposób im pomóc. W noc, w którą Guillén i José Luis wyskoczyli z pociągu, przyglądali się linii kolejowej i planowali akcję sabotażu.

– Porozmawiamy kiedy indziej – urwała Agata. – Teraz proszę się przespać. Musi pan odpoczywać.

*

Lena wyszła na ulice Miestielewa zaraz po zmroku. Dreptała ostrożnie, żeby nie pośliznąć się na lodzie. Po wielu mroźnych dniach bez śniegu ziemia była oblodzona. Na szczęście nie wybierała się daleko.

Wala, wdowa po kapitanie Escobedzie, dalej mieszkała w domu swoich rodziców. Przed pójściem w odwiedziny Lena porozmawiała ze szpitalnym kapłanem, tym samym, który tamtego dnia – dziś, wydawało jej się, bardzo odległego – udzielił tej parze ślubu. Pokazała mu list od kapitana, pognieciony i poplamiony krwią. Koperta nie była zaklejona ani nie była do nikogo zaadresowana. Postanowili go przeczytać.

– Wspaniały chłopak – podsumował kapłan wzruszony, gdy skończył czytać. – Bóg przyjmie go do swego Królestwa.

Lena przełknęła ślinę, a wraz z nią uczucie goryczy.

– Co robimy? – spytała w końcu.

– Proszę na mnie liczyć, jeśli chodzi o przedstawienie tej sprawy wysokiemu dowództwu. To przecież ja udzieliłem im ślubu, przysięgnę przed Bogiem, że ich małżeństwo jest ważne. Ale uważam, że pani powinna pójść do tej dziewczyny, na pewno dobrze jej zrobi rozmowa z inną kobietą.

Wali nie było w domu. Jej matka, zapłakana, pokazała na migi, żeby Lena poszła do cerkwi. Tam ją znalazła, siedzącą w pustej bocznej nawie, w ciemnościach świątyni oświetlonej wyłącznie świecami wiszącymi przed ikonostasem, z pochyloną głową i rękami złożonymi na podolku. Nie poruszyła się, nawet kiedy usłyszała, że otwierają się drzwi, i lodowaty podmuch wstrząsnął płomieniami. Lena usiadła obok niej, w milczeniu. A Wala bez słowa oparła głowę na jej ramieniu.

Siedziały tak przez dłuższy czas. Jak wyrazić to, co czuły, skoro nawet nie mówiły tym samym językiem?

Lena w końcu się odsunęła i wzięła ją za rękę. Teraz zobaczyła, jak jest blada i jak bardzo ma zapadnięte oczy. A jednak nie płakała.

– Jego ostatnie myśli były skierowane do ciebie – wyszeptła jej słowo po słowie, żeby mogła zrozumieć. Potem podała jej list. – Przykro mi... Ksiądz i ja przeczytaliśmy go, żeby ci pomóc.

Młoda wdowa podsunęła kartkę do światła i przeczytała. Kiedy skończyła, ręce się jej trzęsły. Pogładziła się po brzuchu i wyszeptła jakieś zdanie po rosyjsku.

– Teraz jego dziecko – dodała. Dwie łzy jak krople oliwy ciężko spłynęły po jej policzkach.

Lena już wiedziała, że w tym liście będącym testamentem kapitan Escobedo oświadczał, że Wala jest jego prawowitą małżonką wobec Boga, i uznawał za własne dziecko, którego się spodziewała, zostawiając jej w ten sposób cały swój majątek. Poza tym wzywał odpowiednie władze do zagwarantowania obojgu odpowiedniej renty wdowiej i sieroczej.

– Kiedy przyszli Niemcy – zaczęła opowiadać dziewczyna – ja poszłam z nimi. Chcieli młodych i ładnych dziewczyn dla swoich żołnierzy. Dobrze płacili. Uciekłam z domu... Wtedy... ja... – Znowu dotknęła brzucha w sposób, który wszystko mówił. – Ojciec i matka bardzo źli, ale oni zawsze wybaczą. Poznałam Fernanda... Zawsze mówił ładne rzeczy. – Uśmiechnęła się na wspomnienie. – Dużo o nim myślałam. Miałam łaskotki tu... – Pokazała na brzuch. – Ale ja go nie kochałam, bo byłam brudna od innych mężczyzn. Wstydziałam się. Powiedziałam mu to. On powiedział, że nie jestem brudna, bo mam życie w środku. „Zajmę się wami obojgiem” – powtórzyła słowa swojego męża, po czym się rozplakała.

Lena zaczynała rozumieć. Wala została niemiecką prostytutką, a jej dziecko tak naprawdę było bękartem jednego z żołnierzy.

Przeszył ją dreszcz. Ona kiedyś też uznała się za brudną. Często dalej uważała się za brudną, brudną na zawsze przez zdradę okrutnego człowieka. Sama myśl o Ferminie Pajaresie jeszcze skręcała jej żołądek... Ona jednak, w odróżnieniu od Wali, nie miała odwagi zwierzyć się mężczyźnie, którego rzekomo kochała, zwierzyć się Jaimemu. Może ze strachu... a może też dlatego, że nie kochała go aż tak bardzo... Przynajmniej nie tak bardzo, jak Wala kochała hiszpańskiego kapitana. Teraz nie miało to już znaczenia, straciła Jaimego na zawsze, nie dając mu nawet szansy, by dowiódł, że jest ulepiony z tej samej szlachetnej gliny co Fernando Escobedo, który nie tylko nie odepchnął ukochanej, ale obiecał jej, że ani ona, ani jej dziecko nie zostaną porzuceni, i wypełnił obietnice do cna.

– Powiem mu, że jego ojciec był człowiekiem dobrym i odważnym – powiedziała Wala, przywracając Lenę do rzeczywistości.

– Będzie z niego bardzo dumny, jestem pewna – zgodziła się Lena ze ściśniętym gardłem. Z powodu Wali i z powodu samej siebie.

*

Babcia Zofia traktowała go, jakby był dzieckiem. Myła go ostrożnie, nacierała mu ciało oliwą z ziołami, podnosiła go, kiedy kaszłał, cierpliwie karmiła: najpierw letnie mleko, potem rosółki podawane łyżeczką, na koniec kaszki z miodem.

– Jak będziesz grzeczny, to niedługo dostaniesz jajka i kielbasę. I jeszcze ciastka z kremem.

Czasem Guillén był w złym humorze, skarżył się i zrzędził jak kapryśne dziecko, bo bolała go rana, źle się czuł albo nie był głodny, kiedy zmuszano go do jedzenia. Babcia Zofia karciała go z czułością, więc szybko żałował swojego zachowania. Rzeczywiście nie potrafił zapanować nad złym humorem.

– To przez ten mak – mówiła mu staruszka. W jej mniemaniu wszystkiemu zawsze winny był mak. I rzeczywiście jeszcze codziennie dostawał go odrobinę na uśmierzanie bólu.

Tamtego dnia odmówił wypicia naparu. Babcia Zofia wróciła do kuchni, zrzędcząc, jej spódnica kołysała się jak dzwon.

– Niech się pani nie gniewa... – odezwał się Guillén pojednawczo. – Czuję się już znacznie lepiej. Poza tym obiecuję, że nie będę marudzić, jak będzie boleć.

Staruszka odwróciła się, żeby się do niego uśmiechnąć; jej policzki wyglądały jak dwie czerwone kule. Tak samo jak Agata nosiła chustkę na głowie,

ale jej była biała i ozdobiona koronką na brzegach.

Guillén podparł się nieco w łóżku. Ciągle czuł ulgę po tym, jak sprawdził, że może poruszać nogami. Pamiętał, że były bezwładne zaraz po postrzale, potrafił się tylko czołgać.

– Siła uderzeniowa pocisku mogła wywołać taki efekt. Ponieważ postrzał był w pobliżu kręgosłupa, rdzeń kręgowy został wstrząśnięty i nastąpił tymczasowy paraliż – wyjaśnił mu Adam.

Zaczynał już się nudzić tym leżeniem w łóżku. Kiedy Agata była w domu, siadała przy nim i gawędzili sobie godzinami. Mieli dość czasu, żeby opowiedzieć sobie swoje życie – obojga pechowe. Jednak kiedy wracali chłopcy, Agata zdawała się zapominać o jego istnieniu. Wychodzili palić na ganek, pili przy kominku, grali w karty... podczas gdy on zostawał porzucony w swoim kącie i udawał, że śpi. Czasem nawet zasuwali zaimprovizowane zasłony, przyczepione do obu ścian, żeby odizolować go od reszty izby.

– Nie ma takiej potrzeby – udawał, że protestuje. – Nie przeszkadzacie mi.

– Ciii... Musisz odpoczywać... – Agata słodko urywała dyskusję.

„Nie chcę odpoczywać. Chcę, żebyś ze mną została”, myślał z ukłuciem zazdrości o tamtych mężczyznach.

Podobała mu się Agata. Podobał mu się ten jej spokojny sposób mówienia, ton jej głosu. Podobał mu się jej uśmiech, bo śmiała się całą twarzą, która się rozjaśniała, jakby padały na nią promienie słońca. Podobały mu się jej czarne i krótkie jak u chłopaka włosy. Niewiele kobiet odważyłoby się nosić taką fryzurę, ale ona miała doskonale rysy i krótkie włosy eksponowały całe jej piękno. Przypominała mu Louise, ale znacznie bardziej kobiecą i zmysłową z tymi pięknymi kocimi zielonymi oczami i dużymi soczystymi ustami.

Guillén westchnął i odwrócił wzrok do okna. Jeśli się odrobinę podparł, mógł zobaczyć pozostałych młodych, stojących pod domem. Rzucali się śnieżkami i aż do jego łóżka docierały ich śmiechy. Agata śmiała się trafiona kulą w plecy. Rzuciła w Adama i przewróciła go na ziemię. Znikli z jego pola widzenia...

Gruby kot z pręgami na grzbiecie, który wiecznie kręcił się po chacie, jednym skokiem znalazł się na jego nogach. Zwykle tak robił, gdy chciał się ogrzać. Chętnie by go pogłaskał, ale nie mógł dosięgnąć. Jeszcze bardziej się podciągnął, aż usiadł na jednym pośladku. Ból był nie do zniesienia.

– Zofia... – zawołał staruszkę. – Chciałbym wstać i zacząć chodzić... Możesz mi pomóc?

Kobieta odwróciła się gwałtownie.

– Chodzić? Nie, nie, nie, nie! Jeszcze za wcześnie!

Guillén udał obojętność.

– No dobra, jeśli mi nie pomożesz, sam sobie poradzę.

Zaczął wstawać z łóżka. Zofia zamachała rękami nad głową i wydyszała

kilka słów, których Guillén nie zrozumiał. Na pewno były to przekleństwa, których hrabina go nie nauczyła. W końcu jednak kobieta ustąpiła. Podeszła do upartego Hiszpana i wzięła go pod ramiona, żeby mógł wstać.

*

– Powiedziano mi, że pan nie chce jeść.

Z tacą i groźną miną Lena stanęła przed łóżkiem porucznika Ardsteina.

– Nie jestem głodny.

Zabrakło mu tylko zmarszczonego czoła i ust w podkówkę; wszystkie rozpieszczone dzieci tak robią. Jednak Lena już wiedziała, jak traktować mężczyzn z objawami nawrotu zachowań z dzieciństwa – to powszechna przypadłość rannych, kiedy zaczynają się lepiej czuć.

– No to jeśli pan nie zje, będę musiała znowu założyć panu sondę.

– Nie było pani u mnie przez cały dzień – poskarżył się. – A teraz, kiedy w końcu pani przychodzi, to po to, żeby mnie zganić.

– Byłam bardzo zajęta, nie jest pan jedynym rannym w szpitalu. I nie ganię pana, nie jestem pańską matką ani opiekunką. Oświadczam panu tylko, że jeśli nie będzie pan jadł, to umrze nie od kuli, lecz z niedożywienia. A mój czas przy ratowaniu panu życia okaże się stracony. – Zakończyła swoje przemówienie, potężnie walnąwszy tacą o stół.

Porucznik uśmiechnął się, jakby wszystko było żartem.

– Dobrze już, dobrze... Proszę się nie obrażać.

– Nie obrażę się, jeśli pan to w końcu zje – nalegała Lena, grożąc mu łyżką pełną zupy przed ustami.

– Nie musi mnie pani karmić, sam to zrobię. Mam jeszcze odrobinę godności.

– Proszę, po troszeczkę – poradziła mu słodko, jednocześnie się uśmiechając. – Za chwilę przyjdę zapytać, jak panu smakowało.

– Jeśli nie chcę jeść, to dlatego, że boli mnie brzuch – pośpieszył pacjent z wyjaśnieniami.

– Brzuch? W którym miejscu?

– Tutaj. – Wskazał niedbale.

Lena podeszła i zaczęła badać mu brzuch w poszukiwaniu jakichś anomalii. Wtedy chwycił ją za rękę.

– Proszę nie odchodzić. Proszę ze mną zostać.

Ten niespodziewany kontakt natychmiast zapał Lenie dech. Spłoszona uciekła od przeszywającego błękitnego spojrzenia porucznika. Rozejrzała się wokół, jakby robiła coś zdroźnego. Poczowała ciepło napływające do szyi

i policzków; mimo wszystko nie uczyniła żadnego ruchu, żeby wyrwać dłoń z rąk porucznika. Zaczynała rozumieć, że to wszystko to była sztuczka, ale potrafiła przerobić zmieszanie w złość.

– Mam dyżur na sali operacyjnej... – Jej głos stracił całą uprzednią stanowczość. – Obiecuję panu, że później przyjdę.

Kurt nie puszczał jej, nie przestawał też na nią patrzeć. Wiedział, że ona nie może zostać i tego nie robi, po prostu kradł dla siebie kilka sekund jej towarzystwa. W końcu pielęgniarka pogładziła go po dłoni i delikatnie się uwolniła.

– I jeśli pan chce, ogolę pana, bo zaczyna pan wyglądać jak pustelnik.

– Tak... proszę. – Uśmiechnął się tylko oczami.

Lena wyszła z sali, powściągając krok i zagryzając zęby, żeby serce nie wyskoczyło jej przez usta, a jednocześnie wyzywając siebie od idiotek. Idiotek, bo się czerwieniła jak piętnastolatka, bo straciła panowanie nad sobą, bo okazała, że jest mało profesjonalna, bo nie chciała uwolnić ręki, bo czuła jeszcze na skórze ciepły dotyk, bo unosi się nad ziemią za każdym razem, kiedy w wyobraźni znów odgrywa scenę, w której on narażał życie, żeby ją uratować z rąk Rosjan, bo przez cały dzień myśli o Kurcie Ardsteinie...

Wróci. Oczywiście, że wróci. Przecież niczego bardziej nie chciała, niż przez cały czas siedzieć u jego boku. Lubiła go słuchać, mogłaby to robić bez przerwy; lubiła słuchać, jak opowiada jej o sobie. Lubiła na niego patrzeć, zachwycać się, jaki jest atrakcyjny; podobały jej się jego szafirowe oczy. Lubiła go dotykać; kiedy to robiła, czuła jakby lekki prąd elektryczny, który łechtał całe jej ciało. Kurt Ardstein podobał jej się. I gdyby była bardziej lekkomyślna, wykrzyczałaby na cztery wiatry, że jest zakochana.

Zakochana po raz pierwszy, bo nigdy wcześniej nie spotkało jej nic podobnego – ani z Guillenem, ani nawet z Jaimem. Wtedy nie była świadoma, a jednak teraz, sądząc po intensywności tego, co czuła i co równało się wybuchowi tysiąca dział niemal rozdzierających jej serce, miała pewność, że w przypadku dwóch poprzednich mężczyzn dała się ponieść, zaledwie pozwoliła się kochać... Z porucznikiem Ardsteinem było inaczej: ledwie go знаła, nawet nie potrafiła powiedzieć, czy odwzajemnia jej uczucie, czy tylko się z nią bawi... ale nie dbała o to. Nie mogła się wyrzec tego, co czuła do Kurta Ardsteina. Bez wątplenia była to miłość.

Spojrzała na ręce. Lepiej, żeby przestały się jej trząść, zanim dojdzie do sali operacyjnej.

Kurt zamknął oczy i rozkoszował się kremem do golenia przy każdym ruchu brzytwy, jakby pieszczotą na skórze, dotykiem palców pielęgniarki na brodzie... Miał ochotę je pocałować, kiedy dotykały jego ust, ale się nie odważył.

Leżąc w łóżku, miał wiele czasu na rozmyślania i większość poświęcał Lenie. Nie uważał siebie za człowieka romantycznego. Miał wiele kobiet, ale nigdy dla żadnej nie stracił głowy. Był praktyczny, przede wszystkim racjonalny, z tych, którzy stwierdzają miłość poprzez podstawienie zmiennych do wzoru. Poza tym wszystko, co miało związek z miłością, uważał za niezrozumiałe komplikacje, niepodpadające pod wzór. Aż do wtedy.

Do diabła z wzorami. To, co czuł wobec Leny, to nie była nauka; to była magia, eksplozja emocji, które przepelniały go jak zbyt wielka dawka mocnego narkotyku. Tylko ona przynosiła mu ulgę w bólu, strachu i rozpacz, gdy znalazł się u progu śmierci. Tylko ona przynosiła mu pociechę podczas niekończących się dni. Tylko ona zdawała się pasować do niego jak klocek, którego poszukiwał przez całe życie. Czuł z nią takie podobieństwo, że mógł je wyjaśnić jedynie tym, że sobie wzajemnie uratowali życie. Dokładnie od tej chwili, gdy ich spojrzenia skrzyżowały się w tamtym domu, jego los splótł się z jej losem.

– Po wszystkim – powiedziała Lena, wycierając mu brodę ręcznikiem.

Jeszcze pogrążony w myślach, Kurt spojrział rozkojarzony w lustro, które pielęgniarka podsunęła mu pod oczy. Powoli zaczął w nim odnajdować siebie. Poglądził gładkie i wolne od zarostu policzki i się uśmiechnął.

– Żał skrywać taką ładną buzię pod zarostem – zauważyła Lena.

– Cieszę się, że uważa ją pani za ładną... Ja całymi dniami zachwycam się pani urodą.

Za każdym razem kiedy Lena się czerwieniła, Kurt Ardstein odczuwał mrowienie. Może ona czuje do niego to samo, co on do niej, może ich przeznaczenie jest ze sobą splecione jak gwiazdy konstelacji. Na zawsze.

*

Obudził się przestraszony i natychmiast rozpoznał wyraźny odgłos wystrzałów. Rozejrzał się wokoło. Dom był pusty, ciemny; jedynie przez okna wpadało szare światło wieczoru i resztki żaru tliły się w kominku.

– Zofia... – zawołał. – Agata?

Słysząc było tylko jego kaszel.

Znowu w lesie rozbrzmiał strzał. Guillén wzdrygnął się z zimna i strachu. Czuł się bezbronny bez pistoletu pod ręką, bez sił, żeby uciekać albo walczyć.

Ostrożnie podciągnął się do okna, przy którym stało łóżko, i wyjrzał na zewnątrz. Natychmiast schował głowę, kiedy znowu rozbrzmiały strzały, i zaklął. Nic nie zobaczył, tylko łąkę pokrytą śniegiem i linię lasu; nigdzie żywego ducha. Usiadł na skraju łóżka i spuścił nogi na podłogę. Obok stały drewniane laski, które Bohdan wytoczył dla niego z leszczyny. Wziął je i opierając się na nich, podszedł

niezgrabnie do drugiego okna, które wychodziło na tyły chaty.

Odetchnął z ulgą, gdy zobaczył, że to Agata ćwiczy się w strzelaniu. Dziewczyna chwyciła pistolet, nacisnęła spust i kawałek drewna poleciał w powietrze. Guillén uśmiechnął się. Postanowił wyjść na zewnątrz.

Agata ustawiła kawałki drewna na płocie, trzy, w odległości piętnastu centymetrów od siebie. Odeszła o dziesięć kroków dalej niż poprzednio, włożyła nowy magazynek, ścisnęła pistolet w garści, lekko wysunęła do przodu lewą nogę, wycelowała i wystrzeliła: trzy strzały, które uśmierciły trzy klocki.

– Brawo! – zawołał Guillén z progu. Gdyby miał wolne ręce, zaklaskałby.

Dziewczyna odwróciła się, ciągle z pistoletem w ręku.

– Cholera! Ale mnie przestraszyłeś! Mogłam do ciebie strzelić bez zastanowienia!

– I pewnie byś trafiła. Bardzo celnie strzelasz – zauważył kpiarsko.

Ona nie zareagowała na jego komentarz, wydawała się wzburzona.

– Co ty tutaj robisz? Nie powinieneś wstawać z łóżka, nie powinieneś sam chodzić...

Guillén lekko zakaszłał.

– Nie powinieneś wychodzić goły!

Chciał jej powiedzieć, że nie ma powodu do niepokoju, bo on czuje się świetnie, a w tej chwili jedyną rzeczą, która naprawdę mogłaby go zabić, jest nuda... Ale zrobił krok naprzód, potem drugi i gdy jedna z lasek pośliznęła się na lodzie, stracił równowagę. Agata wypuściła broń i pobiegła mu na pomoc; zdążyła chwycić go pod ramiona i zapobiec upadkowi. A jednak z powodu ciężaru Guillena ugięły się pod nią kolana i oboje wylądowali w śniegu.

– Widzisz? – zganiła go, jeszcze zaczerwieniona z wysiłku i ze strachu. Jej słowa w postaci pary z ust pieściły twarz Guillena.

On wypuścił laski i chwycił się jej ramion, wcale nie mając ochoty wstawać.

– To tylko potknięcie... – wyszeptał bardzo blisko jej twarzy, jakby chodziło o wyznanie miłości; tak na nią patrzył.

Ona także uważnie mu się przyjrzała. Robiła to już poprzednio, czasem kiedy spał. Teraz przeglądała się w jego dziwnych oczach: raz zielonych, raz złotych, raz szarych. Zauważyła, że wróciły mu kolory na skórze i zaokrągliły się policzki (nie bez powodu babcia Zofia tuczyła go codziennie papkami z jajek i słoniny oraz mlekiem z miodem). Poza tym urosły mu włosy, a także broda. Dotknęła jej czubkami palców.

– Wiem... Muszę się ogolić.

– Nie, nie gol się. Podoba mi się twoja broda.

On uśmiechnął się do niej, starając się objąć wzrokiem każdy szczegół jej twarzy.

– Mnie podobają się twoje włosy. Pozwolisz, że ich dotknę?

Agata zgodziła się.

Guillén położył rękę na jej czole, następnie przesunął ją na czubek głowy i zsunął aż do karku. Potem pogładził ją pod włos, czując pod palcami końcówki jej krótkich i jedwabistych włosów, jakby gładził grzbiet zwierzęcia.

– Tak... Bardzo mi się podobają twoje włosy...

– Ścięłam je po przyjeździe tutaj. Długie włosy nie sprawdzają się dobrze w lesie, kiedy walczy się z Niemcami. Marek był na mnie bardzo zły. Wolał moje wcześniejsze włosy, długie aż do pasa.

– Wydaje mi się, że jesteś tak ładna, że to bez znaczenia, jaką masz fryzurę...

Dziewczyna spuściła wzrok.

– Lepiej wejdźmy do środka – zaczęła się podnosić – bo złapiesz zapalenie płuc.

Agata pomogła mu wstać, podała mu laski i otrzepała ze śniegu.

– Zadaję sobie pytanie, czy będę mógł znowu strzelać...

Guillén patrzył na prawą rękę. Ona też: palec wskazujący miał ucięty przy samej dłoni.

– Na pewno tak – zapewniła go Agata, schylając się po pistolet, który upadł na ziemię.

Włożyła mu go do ręki.

– Musisz tylko trochę poćwiczyć.

– Teraz?

– Jeśli chcesz...

Guillén ścisnął kolbę walthera P38. Poczł jego chłód i ciężar. Powoli położył środkowy palec na spuście.

– Tak...

– Dobrze – powiedziała dziewczyna zadowolona. – Przyniosę ci kurtkę.

*

Lena obciągnęła bluzę i poprawiła spódnice przed wejściem do gabinetu komendanta szpitala. Wokół okrągłego stołu siedzieli porucznik Martos i inni oficerowie, których nie znała. Kurtuazyjnie wstali z miejsc i natychmiast się przedstawili: major Bellod, kapitan Aramburu i lekarz porucznik Martínez Burgos, wszyscy z batalionu saperów.

Poprosili ją, żeby usiadła, i głos zabrał major Bellod. Chcieli porozmawiać o żołnierzu Antoniu Pontem Anidzie, poległym w boju. Lena posmutniała na samo wspomnienie jego imienia. Pograżyła się we wspomnieniach i emocjach. I jak to często się zdarzało, przyszły jej na myśl jego ostatnie słowa: „Wrócę, jak tylko

będę mógł, żebyś mnie wyleczyła”; ale Toñín nie wrócił...

Z trudem znowu skupiła się na słowach majora. Mówił do niej, że wiedzą, że była w lazarecie w Krasnym Borze w chwili, kiedy zdarzył się ten tragiczny wypadek. Gdy doszli do tego miejsca, oficer wyraził podziw dla jego odwagi i natychmiast przeszedł do sprawy, która ich interesowała:

– Według żołnierzy, którzy też byli świadkami tego zdarzenia, kapral Ponte na chwilę przed swoim czynem był w lazarecie. Potwierdza to pani?

– Tak, tak jest, panie majorze. Przyproceedził jakiegoś sierżanta z odłamkiem w rękę, którego trzeba było pilnie operować. Sam porucznik Ponte był ranny w nogę, ale nie zgodził się na założenie opatrunku...

– Widziała pani, co się wydarzyło potem?

Lena spuściła wzrok. Miała ściśnięte gardło. Przytaknęła. Oczywiście, że widziała. I wryło jej się to w pamięć jako straszliwe wspomnienie, które musiała od siebie odpędzać za każdym razem, kiedy przymykała oczy, a kilka razy miała koszmary senne.

Oficerowie wymienili znaczące spojrzenia.

– Proszę zrozumieć, panienko Álvarez... Potrzebujemy pani współpracy w tej... sprawie.

Lena spojrzała na nich zaskoczona. Sprawie?

– Porucznik Martínez Burgos – ciągnął major Bellod – musi wystawić akt zgonu...

– Jak to możliwe? – przerwała mu Lena. – Jak się wam udało odzyskać ciało? Ja... Ja to widziałam... Wybuch... rozerwał go na strzępy...

Okrutnie męczyło ją to, że Toñín nie spoczywa w grobie, jak pozostali towarzysze, pod brzozowym krzyżem, na którym wisiałby jego saperski hełm i złamany na pół nieśmiertelnik; w miejscu, gdzie można by złożyć kwiaty na wiosnę i się pomodlić. Ona jednak widziała jego rozerwane na kawałki ciało na rosyjskiej ziemi, tej spalonej ziemi, którą teraz miażdżyły czołgi i deptali czerwoni żołnierze.

– W tym rzecz... Nie udało nam się odnaleźć jego ciała. I dlatego kapral Ponte oficjalnie nie jest żołnierzem poległym, tylko zaginionym. Co oznacza, że jego rodzina, w tym przypadku jego matka, nie będzie mogła dostać renty albo w najlepszym razie dostanie ją po latach długiego procesu... Nie w ten sposób powinniśmy odplacać bohaterowi, nie uważa pani?

Zbita z tropu, Lena nie odpowiedziała. Uniosła rękę do piersi, do wiszącego pod ubraniem medalika Matki Boskiej Różańcowej.

– My, jego towarzysze z trzeciej kompanii – wtrącił się kapitan Aramburu – i inni towarzysze saperzy, którzy tak jak pani widzieli, co się stało, poprosiliśmy porucznika Martineza, żeby wydał akt... szczególny. Przecież jego śmierć jest oczywista dla licznych świadków, dla pani także.

– Załóżmy, że kapral Ponte zdołał uniknąć eksplozji miny, ale podczas ucieczki dosięgnął go wrogi ogień i został przyniesiony przez kolegów do szpitala – zastanowił się głośno major.

– Po obejrzeniu ciała można by stwierdzić, że jego śmierć nastąpiła w wyniku ran zadanych w okolicy klatki piersiowej – podsumował lekarz.

– Bez podania konkretnego numeru nieśmiertelnika ani miejsca pochówku... – dodała Lena, która zaczynała rozumieć.

Tamten przytaknął.

– Bo przecież w rzeczywistości nigdy nie było takiego ciała...

– Możemy zatem liczyć na to, że w razie potrzeby potwierdzi pani taką wersję? – zapytał Bellod.

Lena przełknęła ślinę.

– Tak... oczywiście.

Porucznik Martos podał jej chusteczkę. Ona wzięła ją i w milczeniu otarła łzy.

– W imieniu batalionu saperów i swoim własnym bardzo pani dziękuję za ten gest.

Major Bellod czule poklepał ją po dłoni.

*

Guillén ćwiczył strzelanie z rana, po południu i wieczorem, dopóki ciemność pozwalała mu to robić. Dzięki treningowi wyćwiczył środkowy palec i celność do tego stopnia, że trafiał w coraz to mniejsze cele, nawet podczas gęstego śniegu, który utrudniał widoczność. Strzelał z pistoletu i z karabinu, a także ze starej myśliwskiej strzelby.

Kiedy nie strzelał, chodził; długie spacery, jeśli pozwalała na to pogoda, przez las i w towarzystwie Agaty. Ale także wokół chaty i w środku, z jednej strony na drugą; przez cały czas starał się wzmocnić nogi. Zaczął od chodzenia z dwiema laskami, później z jedną albo wsparty na ramieniu Agaty. W końcu znowu mógł chodzić sam, niebawem zaczął biegać i ćwiczyć sprawność na śniegu.

Jadł wszystko, co tylko babcia Zofia gotowała dla niego. Wysypiał się, ile trzeba (choć praktycznie co noc miał koszmary z przeszłości). Kaszlał mniej niż wcześniej (Zofia przygotowała mu syrop ziołowy, który w cudowny sposób łagodził kaszel). W końcu Guillén czuł się lepiej niż kiedykolwiek, był pełen animuszu i energii. A jednak wszyscy traktowali go jak bezużytecznego pacjenta.

Często spędzał wiele czasu sam, bo wszyscy w domu mieli coś do roboty. Sam w chacie pośrodku lasu... Duch nudy był jego największym wrogiem. Czytał książki po polsku, które pożyczała mu Agata; nauczył się rzeźbić figurki

w drewnie; układał pasjansa, starając się nie wykończyć butelki wódki... Wolał zostawiać alkohol na noc, kiedy wracała reszta; popijali dobrą rozmowę przy kominku i palili kradzione Niemcom papierosy Juno, które dusiły w piersiach.

Słuchał wtedy z zazdrością opowieści o ich czynach: jak napadli na skład broni, jak zaminowali drogę przed przejazdem niemieckiego konwoju albo jak pomogli uciekinierom przedostać się przez słowacką granicę. Chociaż Batalion Beskidy działał w okolicach Nowego Targu, o kilka kilometrów stamtąd, i skupiał około trzystu partyzantów, oni stanowili niedużą grupę autonomiczną, działającą na dość szerokim terenie: od Oświęcimia na północy do słowackiej granicy na południu, i wystarczająco daleko od gospodarstwa Göttów i chaty, żeby trzymać Niemców z dala od ich schronienia.

Tamtej nocy zaśmiewali się głośno, kiedy już sobie podpili, i Bohdan po raz kolejny opowiadał im, jak to zatruli wilczyną, rośliną o silnym działaniu przeczyszczającym, jedną z baniek mleka, które z najszczerzym uśmiechem nalewał Niemcom.

Adam, ogólnie znacznie spokojniejszy i ostrożniejszy, nie psuł im zabawy swoim zrządzeniem, bo go tam nie było. Ponieważ był lekarzem, często wzywano go do chorych i rannych w licznych oddziałach partyzanckich kryjących się po lasach, a w tamtym przypadku udał się do obozowiska aż pod Babią Górę, żeby zająć się dwoma braćmi z ranami postrzałowymi.

Może i przez wódkę, i dobry humor, Guillén postanowił wyłuszczyć im sprawę, która od kilku dni chodziła mu po głowie.

Wychylił kieliszek jednym haustem i głośno odstawił go na stół, po czym otarł brodę.

– Chcę walczyć z wami – oznajmił. – Chciałbym już zobaczyć gęby tych skurwysynów, mam dla nich całe mnóstwo niespodzianek. Jestem gotowy, Agata to wie.

Dziewczyna przyjęła tę wiadomość z entuzjazmem, uniosła kieliszek w swego rodzaju toaście. Błyszczały jej oczy, miała czerwone policzki i usta mokre od alkoholu. Guillén płonął z pożądania, miał dziką ochotę ją pocałować.

Bohdan, najtrzeźwiejszy z całej trójki, zastanawiał się przez kilka sekund nad tą propozycją: Hiszpan nie tylko doszedł już do siebie, ale potrafił też zabijać Niemców i dowiedział aż nadto, że ma jaja. Nigdy nie należy odrzucać chętnych do chwycenia za broń przeciwko wrogowi, zwłaszcza jeśli są oni tacy jak on. W końcu rolnik też uniosł swój kieliszek i wypili za nowego żołnierza Batalionu Beskidy.

Kilka dni później Adam wrócił do chaty. Był wyraźnie zmęczony i w złym humorze, ale nie poczekali, aż zje obiad i wypije pierwszy kieliszek wódki albo wypali pierwszego papierosa po ściągnięciu butów. Może to był błąd.

– Zwariowaliście? Oczywiście, że to nie jest dobry pomysł! – wybuchł,

kiedy powiedzieli mu, że Guillén dołącza do oddziału.

Po chwilowym zaskoczeniu Agata odezwała się jako pierwsza.

– No to masz problem, bo decyzja już została podjęta. Już jest jednym z nas – oświadczyła wyraźnie wzburzona.

– Ale... Co? Co? Co my o nim wiemy? – Jąkał się, próbując bronić swojego stanowiska. – W ogóle go nie znamy! Może to szpieg, jeden z nich!

– No to jeśli jest szpiegiem, już podpisaliśmy na siebie wyrok śmierci, nie sądzisz? – Agata uniosła rękę. – Och, Adam, do diabła! Nie gadaj bzdur!

– Nie jest ani Żydem, ani Polakiem! To nie jego wojna!

– To wojna wszystkich! Możesz mi powiedzieć, o co ci chodzi?

Niedorzeczne argumenty Adama się skończyły, ale on nie chciał przegrać w tej kłótni. Wyszedł z chaty, z hukiem zamykając za sobą drzwi; to był jego ostateczny argument.

Guillén, przyglądający się całej scenie z zażenowaniem, zachował milczenie. Bohdan, również milczący, nalał sobie kieliszek. Tylko Agata się odezwała.

– Przejdzie mu – rzuciła, siadając do stołu.

Odpowiedziało jej tylko trzaskanie drew na kominku.

– Kurwa mać!

Dziewczyna uderzyła pięścią w stół i też wyszła z chaty.

Adam był niedaleko. Oparł się łokciami na płocie i patrzył przed siebie, w las, w palcach dopalał mu się papieros. Kroki Agaty skrzypiały na śniegu, jakiś drapieżny ptak skrzeczał na niebie, cała reszta była spowita spokojem. Dziewczyna podeszła do niego.

– Możesz mi powiedzieć, co to za bezsensowna scena?

Adam westchnął.

– Nie chcę teraz o tym gadać... Jestem... zmęczony.

– Zmęczenie nie usprawiedliwia takiego zachowania, Adamie.

On wyrzucił niedopałek i znowu na nią spojrzał.

– Może usprawiedliwi mnie to, że wcześniej witałaś mnie pocałunkiem, a teraz... Tylko mi o nim opowiadasz. Guillén... Guillén... Guillén... Odkąd pojawił się ten mężczyzna, nie ma dla ciebie nic ani nikogo.

– Och, przestań... Nie mów mi, że jesteś zazdrosny.

– A jeśli jestem? A jeśli kocham cię tak bardzo, że mnie to boli? Czasem sprawiasz, że czuję się winny z tego powodu...

– Nie jesteś wobec mnie sprawiedliwy. Zajmowałam się nim tylko dlatego, że był ranny, tak samo jak ty, jak robisz z każdym człowiekiem, który cię potrzebuje. A w czym problem, że przyłączy się do oddziału? Powinniśmy być mu wdzięczni za to, że chce walczyć wraz z nami, za to, że chce się przyłączyć do naszej sprawy. Bohdan też tak uważa. Nie możesz mi niczego wyrzucać; nie zasługuję na to, on też nie.

Adam spuścił głowę, zdawał się żałować tego, co powiedział.

– Przykro mi...

Agata lekko go przytuliła, co on wykorzystał, żeby mocno ją do siebie przygarnąć.

– Przepraszam, Agato... Kocham cię... Bardzo cię kocham...

– Ja też... – wyszeptała ona.

Jednak te słowa zostawiły w jej ustach gorzki posmak. Zadała sobie pytanie, dlaczego czuje się tak nikczemnie, ale wołała uchylić się od odpowiedzi.

Adam znowu wyszedł o świcie i Agata pożegnała go pocałunkiem, bo wiedziała, że tego oczekuje. Potem została w drzwiach, dopóki jej narzeczony nie zniknął pomiędzy drzewami. Wtedy wróciła do środka, nastawiła więcej kawy, żeby tylko coś zrobić i nie dać się ponieść smutkowi.

Guillén, który nie spał, odsunął zasłony oddzielające jego łóżko i zagadnął do niej, kiedy zobaczył, że są sami.

– Nie wiedziałem, że jest coś między wami... – Wyciągnął jej dzbanek z rąk i sam odstawił go na ogień. – Tylko podejrzewałem.

Agata opadła na krzesło z przygnębioną miną. Uśmiechnęła się kwaśno.

– Tak... Tak, jest... Zawsze coś między nami było. Odkąd ja miałam pięć lat, a on kilka więcej i wszyscy mówili: „Patrzcie, jaka z nich śliczniutka para”... Od zbyt dawna... Czasem największą siłą jest inercja. Praktycznie wychowaliśmy się razem, musiało się tak stać – wyjaśniła na koniec.

– Wiem, o czym mówisz...

Przerwał mu atak kaszlu. Poszedł po butelkę z syropem i wziął łyżeczkę. Potem wrócił do Agaty i usiadł obok.

– Ja też wychowałem się razem z dziewczyną, w której się zakochałem... Ale to nie kwestia inercji... Nie dla mnie; tylko dla niej tak było.

Agata spojrzała na niego zaintrygowana.

– Jeszcze ją kochasz?

On wzruszył ramionami.

– To nie ma znaczenia, skoro ona nie kocha mnie. – Po chwilowym zastanowieniu dokończył: – Staram się o niej zapomnieć.

Agata nic nie powiedziała, tylko nerwowo bawiła się obrączką na palcu serdecznym. Zapach kawy rozniósł się po chacie.

– To... zmienia sprawę – Guillén wrócił do rozmowy.

– Dlaczego?

Nie przestając na nią patrzeć, zwierzył się:

– Bo tak mi się podobaś, że w końcu się w tobie zakocham. W tej sytuacji będzie lepiej, jeśli odejdę.

– Nie! Nie chcę, żebyś odchodził – przerwała mu Agata, chwytając jego rękę.

Patrzyła na niego tak, że Guillén widział, jak rozszerzają jej się źrenice. Bez zastanowienia ją pocałował. Powoli. Ona lekko rozchyliła usta i przesunęła czubkiem języka po krawędzi jego zębów; chwyciła rękami jego brodę i ugryzła go w usta. Była szybka. Spazm rozkoszy przebiegł jej po kręgosłupie.

Guillén objął ją w pasie i pieścił. Pod dopasowanym sweterkiem było widać jej nabrzmiałe sutki; potarł je kciukiem i ona jęknęła. Wybuchając z podniecenia, rozebrał ją i posadził sobie na kolanach, z rozchyłonymi nogami. Znowu przebiegał ją rękami, od policzków aż do bioder, z pragnieniem, podczas gdy ona wyginała plecy i naprężała wszystkie mięśnie. Jej skóra była biała i miękka, zaczynała się pokrywać kropelkami potu, lśniącymi w przygaszonym świetle bijącym od ognia. Guillén patrzył na nią; sam fakt brania jej w posiadanie niebywale go podniecał.

– Nie przestawaj... – dyszała ona.

Nie, teraz już nie mógł się zatrzymać. Zbyt długo się powstrzymywał. Zanurzył twarz w jej piersiach, chrząkając głucho jak zwierzę; wbił palce w jej pośladki i przyciągnął ją do siebie. Aż odebrało jej dech. Ona zaczęła się poruszać; on zacisnął zęby. Poruszał się wraz z nią. Agata krzyknęła; on też.

Przytulili się wyczerpani, złani potem. Krótkie oddechy. Bardzo spokojni.

– Tak, Agato Lederman... Chyba się w tobie zakocham.

*

Lena przemywała mu ranę strzykawką, robiła to bardzo delikatnie, jednocześnie osuszając jej krawędzie. Kurt przyglądał jej się. Nigdy nie było mu za wiele. Z tej perspektywy wydawało się, że ma przymknięte oczy i rzęsy spoczywają na krawędzi wydatnych policzków.

– Dlaczego jest pani smutna? – zapytał przenikliwie.

Nie przestając wykonywać swojego zadania, dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Czasem zdarzają się smutne dni... Dzisiaj pochowaliśmy kilku towarzyszy... Śmierć mnie zasmuca. Nie ma znaczenia, na ile jest zwyczajna, nie potrafię się do niej przyzwyczaić... Nigdy nie ma sensu.

– *Gott mit uns.*

Lena uniosła głowę.

– „Bóg jest z nami” – wyjaśnił Kurt. – To hasło Wehrmachtu, mamy je na kłamrach pasów... Taki jest jego sens. Wierzmy, że jesteśmy po słusznej stronie, więc Bóg będzie nam wszędzie towarzyszył. Tu i tam – dodał, wznosząc wzrok do nieba.

– Czasem Bóg chowa się w dziwnych miejscach. Ukrywa się tak, że zadaję sobie pytanie, czy nie zniknął...

Oficer kiwnął głową, nie będąc w stanie odrzucić jej argumentów. Jemu czasem też się wydawało, że Bóg się ulotnił.

Lena uśmiechnęła się.

– Przejdzie mi.

– Chciałbym móc zrobić coś, co by panią rozbawiło... Gdybyśmy byli w Berlinie i nie byłoby wojny, zabrałbym panią na żaglówki na Wansee albo na spacer aleją Unter den Linden; kupiłbym pani kwiaty w jakimś kiosku, które stoją w pobliżu Bramy Brandenburskiej, i niebieską sukienkę, która pasowałaby do pani oczu, w domach towarowych Wartheim. Poszlibyśmy na przedstawienie w Linderoper. Pokazałbym pani popiersie Nefretete w Neues Museum i widok miasta z góry Kreuzberg... Chociaż nie ma nic lepszego niż oglądanie wschodu słońca z Wieży Radiowej po przetańczeniu całej nocy w hotelu Esplanade. I zjedzeniu w międzyczasie kielbaski w ulicznym barze w Tiergarten. Och... Jak ja tęsknię za tymi kielbaskami! – rozmarzył się.

Lena nie знаła Berlina, ale w miarę jak porucznik Ardstein przedstawiał te wszystkie atrakcje, była coraz bardziej podniecona samym wyobrażaniem sobie spaceru u jego boku po mieście pełnym kwiatów, w błękitnej sukience. I tańczyć... Tańczyć w jego ramionach aż do samego rana...

– Wszystko to brzmi bardzo ładnie... Chciałabym poznać Berlin – przyznała z rozmarzonym wzrokiem i zapomnianą strzykawką w prawej ręce.

Kurt przesunął rękę po materacu, aż dotknął jej palców.

– Byłaby pani najpiękniejszą kobietą w mieście. Wszyscy by mi zazdrościli...

Lena spuściła wzrok, zawstydzona. I wtedy przypomniała sobie o umytej do połowy ranie, więc pośpieszyła się ze swym zadaniem i zakryła ją gazą.

– Chociaż... – zaczęła, przyklejając plaster – gdybyśmy byli w Berlinie i nie byłoby wojny... może byśmy się nie poznali...

On uniósł jej brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– Tak, nie poznalibyśmy się. Było naszym przeznaczeniem spotkać się i jest naszym przeznaczeniem nie rozstawać się, wiem to.

Marzec 1943

Kurt mylił się. Może przeznaczenie ich połączyło, ale nie planowało, by zostali razem.

Czas pobytu rannych w szpitalu polowym od chwili otrzymania pomocy do chwili dojścia do siebie nie przekraczał tygodnia. W przypadku porucznika Ardsteina-Daszkowa z powodu biurokratycznych problemów przedłużył się do ponad trzech tygodni. Trzech tygodni, których nigdy nie zapomni. Trzech tygodni, które składały się z pięknych chwil, jak kolejne perły niszane na sznur: kiedy ona go doglądała, kiedy ona go goliła, kiedy ona mu czytała, kiedy pisała jego listy albo siadała przy nim, żeby po prostu porozmawiać. Nawet ostatnie dni, które okazały się ciepłe, z ostrym słońcem skrzącym się w śniegu, kiedy trzymając go pod rękę, spacerowała z nim wokół szpitalnych budynków. Trzy tygodnie, które wypełniały się jej głosem i uśmiechami; jej błękitnymi oczami, jej ciepłym i czułym uśmiechem; delikatnym dotykiem jej rąk; kołysaniem biodrami za każdym razem, gdy ze smutkiem patrzył, jak odchodzi. Co on miał zrobić z tym wszystkim? Co zrobi bez niej?

Kiedy przyszedł rozkaz przeniesienia, świat mu się zawalił. Wiedział, że wcześniej czy później to się wydarzy, ale i tak świat mu się zawalił. Zaciśnął zęby, zmarszczył czoło i zamknął oczy; mina od wtedy zawsze ponura była jedyną oznaką jego niezgody. Był niemieckim żołnierzem, należał do swojego wojska.

Tak jej to wyjaśniał i ona tak to rozumiała. W pewien sposób Lena także była żołnierzem z czerwonym krzyżem na ramieniu. Postanowili, że rozstaną się bez pożegnania.

Pewnego dnia łóżko Oberleutnanta Kurta Ardsteina-Daszkowa okazało się puste; białe prześcieradła porządnie zaścielone, koc złożony w nogach i jego nazwisko wymazane z tabliczki u wezłowania.

Może w tej samej chwili gdzieś w niebie dwie gwiazdy oderwały się od swoich konstelacji i rozdzieliły na zawsze... Lena nigdy nie wierzyła w przeznaczenie.

Minęło niewiele ponad cztery miesiące od jej wyjazdu z Hiszpanii, a jednak czuła się wyczerpana. Stawiała czoło każdemu dniowi, jakby wspinała się pod górę. Praca była coraz bardziej męcząca. Zalewała się zimnym potem, jeśli spędzała zbyt wiele czasu na stojąco. Często bolała ją głowa. Czasem dusiła się bez powodu albo mdliło ją. Straciła apetyt, a nocami rzadko udawało jej się zasnąć.

– Powinnaś dać się zbadać jakiemuś lekarzowi, a nie tylko słuchać ich poleceń. Wyglądasz coraz gorzej i marniej w oczach – zauważyła Nati z bezgraniczną szczerością. – Mówię poważnie, bardzo się o ciebie martwię.

Lena zbagatelizowała jej słowa.

– Dobrze się czuję. Jestem tylko trochę zmęczona. Jeszcze nie doszłam do siebie po Krasnym Borze. Za dużo się tam wydarzyło...

– Na pewno tak. – Nati znacząco do niej mrugnęła. – Szczególnie jedno... Jak dla mnie to ty po prostu tęsknisz za panem Oberleutnantem.

Przyjaciółka nie zaprzeczyła.

– I całkiem nieźle sobie radzisz. Ja bym się zalewała łzami po kątach! Taki przystojniak, taki miły, taki odważny, z tak niebieskimi oczami... a jeszcze do tego uratował ci życie! Teraz głaskanie kotka już ci nie wystarczy.

Lena uśmiechnęła się melancholijnie i znowu pogłaskała Manoletego, który miło mruczał w jej ramionach.

– Dlaczego do niego nie napiszesz?

– Nie... Nie da się. Mamy wojnę. Tak jest lepiej.

– Ale wojna kiedyś się skończy! A wtedy będziesz żałować tych okazji, które przepuściłaś.

Wolała nie myśleć o tym, co będzie, kiedy skończy się wojna, wróci do Hiszpanii i nie będzie miała nic i będzie nikim... Pociąg już odjechał, a ona została śmiertelnie ranna na peronie. To tylko potęgowało jej przygnębienie.

– To bez znaczenia, Nati... Przejdzie mi, jak zawsze.

Ale nie, nie tym razem. Teraz było inaczej. Kurt nie był Guillenem ani Jaimem. Tym razem jej nie przejdzie.

Po kilku dniach zemdląca na sali operacyjnej. Kiedy się ocknęła, praktykant wachlował ją instrukcją autoklawu, podczas gdy inna pielęgniarka trzymała jej nogi w górze. Prawie umarła ze wstydu.

Została zmuszona do przebadania się, ale nie znaleziono nic niepokojącego, poza nieznaczną anemią. Polecono jej odpoczywać przez kilka dni i zapisano ampułkę żelaza do śniadania, którą przestała brać drugiego dnia, bo miała okropny smak i w żaden sposób nie zmniejszyła jej smutku.

Wtedy dotarła do niej wiadomość, że została odznaczona Czerwonym Krzyżem Zasługi za swoje bohaterskie czyny w szpitalu w Krasnym Borze. Ledwie okazała radość; w porównaniu z tym, co tam widziała, ze śmiercią Toñina i kapitana Escobeda, i wielu innych towarzyszy, wszystko wydawało jej się nieznaczące.

– Wygląda na to, że cierpi pani na wyczerpanie nerwowe.

Soledad Núñez, przełożona pielęgniarek, nie owijała w bawełnę, kiedy ją do siebie wezwała.

– Po tym, co pani przeszła, to normalne. To musi jakoś z człowieka wyleźć... Musi pani odpocząć i zapomnieć. W tej sytuacji lepiej będzie, jeśli zaczniemy procedurę odesłania pani do Hiszpanii.

Lena zareagowała, jakby ją dźgnięto piką.

– Do Hiszpanii? Nie, to nie jest konieczne. Zapewniam panią, że to przejściowe, napięcie ostatnich tygodni. Ale już się czuję znacznie lepiej, proszę mi wierzyć.

Pani Soledad powątpiewała.

– Nawet jeśli ja pani uwierzę, panienko Álvarez... Nie wiem, czy jest słuszne, żeby pracowała pani pod taką presją. To nie jest dobre dla pani zdrowia i dla służby...

– Może wystarczy przeniesienie. – Ton jej głosu brzmiał prosząco. – W szpitalu na tyłach mogłabym odzyskać spokój i dalej pracować z właściwym oddaniem. Przyznaję, że... Dobrze... tu jest za dużo wspomnień...

Pielęgniarka weteranka westchnęła. Sama biła się z myślami, jaką podjąć decyzję. A ponieważ była osobą pełną zrozumienia, skłoną do współczucia, nie mogła zignorować próśb tej dziewczyny, która aż nadto dowiodła swojego profesjonalizmu i wartości. Soledad Núñez musiała dać jej szansę. Jeśli chodziło o nerwy, nie było powodu, żeby jeszcze bardziej je nadwerężyć wysyłaniem do domu. W końcu podjęła decyzję.

*

Tadeusz położył na stole cztery niemieckie granaty, które nazywali jajkami, jeszcze cztery trzonkowe, skrzynkę amunicji do karabinu i jedną do pistoletu. Rzucili się na nie niczym gołębie na ziarno i po chwili amunicja była rozdzielona.

– Ja się zajmę MP38 – obwieścił Tadeusz, klepiąc stary karabin, jedyny, który mieli i który wisiał na jego szyi. – A tutaj są moje dzieci – dodał, kładąc ostrożnie na stół trzy drewniane skrzynki, które okazały się domowymi minami, wyprodukowanymi przez niego samego. – Nie mogłem im wsadzić zbyt wiele materiału wybuchowego, ale wydaje mi się, że to wystarczy, żeby ich zatrzymać. Resztę roboty będziemy musieli wykonać sami.

Zaprawiony w bojach partyzant uśmiechnął się z zadowoleniem; jego czarne wąsy, gęste jak wilczy ogon, ledwie się poruszyły. Tadeusz Glock, bardziej znany jako Czołg, był człowiekiem bardzo szanowanym, niemal legendą. Był sierżantem Wojska Polskiego i opowiadano o nim niesamowite historie. Pośród wielu podobnych była i taka, jak to w bitwie pod Kockiem rzucił się w pojedynkę, uzbrojony tylko w pistolet maszynowy Mors, do niemieckiego okopu i wykończył tam wszystkich, sam otrzymując tylko cios bagnetem w twarz, po czym została mu pamiątka w postaci dużej blizny biegnącej od lewej skroni do kącika ust. Kiedy Polska skapitulowała, przeszedł na Węgry i stamtąd organizował siatkę kupującą broń na czarnym rynku, żeby zaopatrywać polski ruch oporu. Od 1942 roku był członkiem sekcji operacji specjalnych Armii Krajowej.

Czołg przyjechał z Warszawy na południe jako oficer łącznikowy z oddziałami górskimi. Bohdan, Adam, Agata i Guillén spotkali się z nim po raz pierwszy w kryjówce na przedmieściach Wadowic, w mieszkaniu Jerzego Filipiaka, pseudonim Łasica, dowódcy Batalionu Beskidy. Przywiózł dla nich zadanie i wiadomości od Marka.

– To jest moja grupa Żydów. To krewni Marka Ledermana – przedstawił ich Łasica z niejakim lekceważeniem; nigdy szczególnie nie przepadał za Żydami. – Poza Wieżę – wskazał na Bohdana – który trzyma trochę porządku. – Guillena też wziął chyba za Żyda.

– Dobrze. To jest robota dla Żydów. – Czołg początkowo wyrażał się enigmatycznie.

Rozparł się na swoim miejscu i stare krzesło niepokojąco zaskrzypiało. Wypluł tytoń, który żuł, i włożył sobie do ust następny kawałek, po czym rozpoczął przemówienie bez związku z tematem, czym chciał wzbudzić emocje.

– Lubię Żydów z jajami. To rzadki gatunek... Większość woli zginać kark przed Niemcami, nawet kolaborować z nimi, to nieprawdopodobne!

Agata patrzyła na niego z otwarcie wrogą miną. Gdy ich sobie przedstawiono, tamten zapytał: „Króliczek potrafi strzelać czy tylko parzy kawę?”. „Strzela lepiej niż wielu mężczyzn”, szybko wyjaśnił Adam. Całe szczęście, że ją uprzedził, bo ona miała już słowa na końcu języka, bardzo nieprzyjemne; własna matka przewróciłaby się w grobie, gdyby usłyszała z jej ust takie rzeczy. Agata była przekonana, że ten typ jest zatwardziałym antysemitą i że usłyszą od niego jeszcze wiele przykrości. I specjalnie się nie myliła.

– Ale te dzieciaki... – ciągnął. – To wariaci! – Zaśmiał się głośno. – Z kilkoma starymi karabinami i butelkami z benzyną zaatakowali kolumnę wojska wjeżdżającą do getta po następną grupę nieszczęśników do wywózki... Zabili kilku Niemców i teraz im się wydaje, że mogą się buntować, że mogą okopać się w getcie i zgrywać ważniaków, bronić się, nie wiadomo do kiedy... Jest ich kilkuset, między nimi kobiety i dzieci, źle uzbrojeni i źle wyćwiczeni; i do tego brak im rozumu, co jest najgorsze. – Potrząsnął głową, jakby się martwił. – Komuniści, syjoniści, rewizjoniści, prawicowcy, lewicowcy... Nie są w stanie się dogadać, żeby walczyć razem... – Machnął ręką z pogardą. – I co się dzieje? Grupki Żydów we wszystkich możliwych kolorach przychodzą prosić nas o broń, jakbyśmy sami mieli jej dość! Wydaje im się, że jesteśmy jakimś jebanym arsenałem. – Czołg przerwał, by zebrać myśli i podsumować monolog, który nawet jemu samemu już wydawał się przydługi. – Mają jaja, to prawda, ale może to jest jedyna rzecz, którą mają... Nie wiem, co planuje uzyskać garstka dzieciaków bez przygotowania wojskowego w walce z niemieckim wojskiem. Oczywiście, jeśli kapitan Iwański mówi, że trzeba zdobyć broń, no to trzeba ją zdobyć! – Oparł się na stole, po kolei spojrzał im w oczy i dodał: – Po to tu jesteśmy.

Tak było. Kapitan Henryk Iwański, który w Armii Krajowej zajmował się kwestią Żydów, nalegał na poparcie ewentualnego powstania w getcie. Jednak dowódcy sądzili, że lepiej będzie dać im wędkę zamiast ryby. Dlatego wybrali kilku ze swoich żołnierzy, żeby dowodzili grupami żydowskich bojowników, którzy dokonają serii ataków na niemieckie arsenały. Tadeusz Glock, Czołg, był jednym z nich.

Po wielu dniach przygotowań pod jego dowództwem Żydzi z Batalionu Beskidy byli gotowi do uderzenia.

– Powtórzmy plan – zaproponował wąsaty żołnierz, pochylając się nad mapą, którą właśnie rozłożył na stole. – Konwój niemiecki z bronią wyjedzie ze stacji w Zakopanem o dwudziestej trzydziści pięć. Uda się drogą do Krakowa i przed samym Poroninem zjedzie na wschód, żeby zaopatrzyć punkty graniczne. Tam go zaatakujemy. Konwój będzie złożony z trzech ciężarówek i dwóch samochodów eskorty, jeden na początku i drugi na końcu kolumny. W każdym samochodzie jest dwóch żołnierzy, w tym kierowca. Plan jest taki, że wysadzamy pierwszy samochód na minach, które umieścimy na drodze. To zatrzyma konwój i może uszkodzi też pierwszą ciężarówkę. W każdym razie ja dokończę robotę granatami. Adam wykluczy z walki ostatni samochód i jego załogę, też granatami. Jerzy i Guillén zaatakują trzecią ciężarówkę, Bohdan i Agata drugą. Walicie do typów w kabinie. Jerzy i Bohdan siadają za kierownicą, Adam wchodzi do trzeciej ciężarówki, ja do drugiej i wypierdalamy stamtąd dwiema sprawnymi ciężarówkami. Na północ. Tędy. – Zaznaczył na mapie. – Żadnych głównych dróg. To ople blitz, mają napęd na cztery koła, nie ugrzęzną w śniegu. W niecałe pół godziny dojedziemy do Czorsztyna. Tam zakopimy część ładunku, resztę przeładujemy do naszych wozów. To małe ciężarówki z przyczepą z belami siana, w których ukryjemy broń. Potem jedziemy do Krakowa. Jeśli nam się uda, to wam opowiem, jak przewieziemy broń do Warszawy. – Tadeusz uniósł głowę. – Jakież wątpliwości?

Grupa zaprzeczyła jednym głosem.

– No to wyśpijcie się. Rano się zabawimy.

– Muszę z tobą porozmawiać...

Guillén wykorzystał moment, kiedy wszyscy szykowali się do spania, i ukradkiem odezwał się do Agaty, jakby rozmowa z nią była przestępstwem.

– Gdy wszyscy zasną. Wyjdź za mną.

Od kilku dni sytuacja była napięta. Adam prawie się nie odzywał do Guillena, Agata także, kiedy jej narzeczony był w pobliżu. Młody lekarz w końcu ustąpił: zgodził się na to, że Hiszpan do nich dołączy, ale nie tracił okazji, żeby okazywać niechęć. Guillenowi nie spędzało to snu z powiek, ale sprawiał mu przykrość ostentacyjny chłód Agaty pod czujnym wzrokiem Adama. I to, że prawie

nie mógł jej dotykać. Ukradkowe dotknięcie, przelotny pocałunek i setki skrywanych spojrzeń były jego jedynym pocieszeniem.

Spali w stodole na słomie rozrzuconej na ziemi, przykryci kocami dla ochrony przed zimnem, wokół pieca zrobionego z beczki po ropie, który dawał więcej dymu niż ciepła.

Wąty płomyk lampy naftowej rzucał dziwaczne cienie na sufit, na ściany i na wychudłą twarz Adama. Agata usłyszała jego spokojny, głęboki oddech. Pocałowała go w zimny policzek, a on nawet się nie poruszył. W końcu zasnęła. Ostrożnie odsunęła jego ramię, wstała, starając się nie robić hałasu, i przeszła na palcach pomiędzy nogami pozostałych.

Na zewnątrz panował taki ziąb, że zamarznięta ziemia zdawała się trzeszczeć. Agata spojrzała na niebo upstrzone gwiazdami, tak czyste, że można było dojrzeć nawet pył Drogi Mlecznej. Zaraz pojawił się Guillén. Wzięła go za rękę i pociągnęła do wiaty służącej za drewnię. Kiedy znaleźli się pomiędzy sągami drewna, on przykrył ją kocem, przyciągnął do siebie i pocałował. Ich oddechy, chrapliwe i rwane, brzmiały niczym huragan w tej ciszy. Guillén gwałtownie sięgnął do guzików jej bluzki.

– Nie... nie... Tu nie... Mogą nas nakryć... – dyszała Agata, łapiąc go za rękę.

Guillén dalej nalegał. Jak szalony doszukiwał się na jej szyi choć kawałka nagiej skóry, którą mógłby pocałować.

– Proszę... – błagał ją. – Nie wytrzymam dłużej... Nie wiesz, jak bardzo cię pragnę...

Agata w końcu się uwolniła i zrobiła kilka kroków w tył.

– Nie... – Z trudem oddychała, ale starała się być nieugięta. – Powiedziałeś, że chcesz porozmawiać, nie to. Tego nie możemy zrobić.

Guillén z westchnieniem opadł na drewno, jakby był wyczerpany. Pochylił głowę, a długie włosy zakryły mu twarz. Wyglądał jak włóczęga zebrzący w samotności.

– Nie mogę tak dalej. Oszaleję. – Uniósł wzrok pełen rozpacz. – Dlaczego mu o nas nie powiesz? Dlaczego mu wreszcie o tym nie powiesz?

Agata okryła piersi kocem i nie odpowiedziawszy, odwróciła wzrok, utrzymując dystans, do jakiego skłaniał ją rozsądek.

– Założę się, że nawet mu nie powiedziałaś, że pojedę z wami do Warszawy...

Po wysłuchaniu informacji, które Tadeusz przywiózł ze stolicy, Adam postanowił się tam przenieść, żeby dołączyć do Marka i pomóc bojownikom w getcie. Kiedy Agata oznajmiła, że jedzie z nim, bardzo mocno się pokłócili. „Nie możesz mi zabronić dołączyć do brata! Nie masz prawa decydować za mnie!” Adam nie miał nic do powiedzenia i nie tylko niechętnie się zgodził, ale z tej

potyczki wyszedł zraniony.

Guillén nie wyobrażał sobie innej sytuacji niż ta, że pojedzie za Agatą do Warszawy czy dokądkolwiek. Dziewczyna jednak wiedziała, że to będzie dla niej oznaczać nowy konflikt z Adamem.

Odpowiedziała na jego pytanie kiwnięciem głową.

– Kochasz go jeszcze? – Okazywał spokój, ale jego słowa miały akcent wyrzutu. – Bo jeśli tak, natychmiast zejść wam z drogi.

Agata wyrzuciła z siebie w końcu:

– Nie! Nie wymyślaj mi warunków! Oddałam ci się, wywróciłam swoje życie do góry nogami przez ciebie i nigdy nie chciałam od ciebie nic w zamian! Nie możesz ode mnie wymagać, że mu to powiem, nie możesz żądać, żebym tak bardzo skrzywdziła człowieka, którego jedyną winą jest to, że się we mnie zakochał, poświęcił życie, żeby uczynić mnie szczęśliwą! – Agata westchnęła i starała się uspokoić, po czym dalej mówiła: – Pragnę cię, Bóg mi świadkiem. Pragnę cię tak bardzo, że czasem wydaje mi się, że to jest chore... Nie stawiaj mnie pod ścianą...

– A więc tego chcesz? Przygody? Trochę seksu na boku i poczucia, że robisz coś zakazanego, co wiecznie ci leży na sumieniu?

– Czy ty nie tego chciałeś? Czy może teraz okaże się, że mnie kochasz? – podsumowała sarkastycznie.

Guillén odczekał chwilę, zanim odpowiedział spokojnie:

– A gdybym odpowiedział, że tak... że cię Kocham?

Na Agacie te słowa jakby nie zrobiły wrażenia.

– Skłamałbyś, wiesz to tak samo dobrze jak ja. Już masz to, czego chcesz, dlaczego trzeba jeszcze bardziej krzywdzić Adama?

– Nie, Agato, nie oszukuj się. Nie mam tego, czego chcę. Ja chcę móc na ciebie patrzeć, rozmawiać i kochać się z tobą w każdej chwili, nie czując się z tego powodu winny ani zagrożony.

Agata poddała się. Podeszła do niego na dwa kroki. Klęknęła, żeby znaleźć się na wysokości jego oczu, wzięła go za rękę.

– Pojutrze... Jeśli wszystko pójdzie dobrze, porozmawiam z Adamem. Przynajmniej.

Guillén oparł się czołem o jej czoło. A gdyby jednak jej powiedział, że ją kocha?

*

Szpital w Królewcu znajdował się daleko na tyłach frontu. To prawda, że od czasu do czasu radzieckie samoloty bombardowały miasto, zwłaszcza instalacje

wojskowe niemieckich koszar artylerii, w których znajdował się szpital Błękitnej Dywizji. Czasem wyły syreny, obwieszczając bombardowanie, i trzeba było w te pędy przenosić rannych do podziemnych schronów; tym, którzy nie mogli się ruszać, dawano zastrzyki morfiny i modlono się za nich... Wiele pielęgniarek bało się ryku motorów, jakby rój pszczoł leciał nad głową, grzmotu wybuchów wstrząsających ścianami, świetlnych łuków przeczesujących niebo. Opowiadały historię o bombie, która spadła na szpitalny dziedziniec i zabiła dwóch żołnierzy, pacjentów szpitala, i o bombardowaniu trwającym dwadzieścia cztery godziny.

A jednak Królewiec był daleko za linią frontu. Ranni przyjeżdżali już opatrzeni, oczyszczeni z błota, krwi i odłamków; nie było słychać ciągłego huków pocisków spadających niemal u drzwi; nie patrzyło się na twarze chłopaków defilujących pod oknami i idących na śmierć; nie grzebało się codziennie jakiegoś towarzysza. W Królewcu dyżury nie trwały dłużej, niż przewidywano, można było wypełniać wszystkie protokoły, można było przestrzegać porządku organizacji, nikt nie wykrwawiał się na korytarzu. Po Królewcu nie błąkały się duchy. Lena szybko poczuła się znacznie lepiej.

Poza tym miasto było bardzo ładne i mimo wojny tętniło życiem i oferowało mnóstwo atrakcji. Lena, która wysiadła z pociągu wojskowego na dworcu głównym niczym szary cień powłóczący nogami, bo w takim stanie wyjechała z Miastielewa, pogrążona w tęsknocie za Nati (przyjaciółka została w Rosji i płakała jak bóbr, kiedy się żegnały; chociaż ona także poprosiła o przeniesienie, to jednak poczucie obowiązku kazało jej zmienić zdanie), odnalazła w Królewcu najlepszy balsam na zbolełą duszę. Jakby w nagrodę za swoją tęsknotę – czasem tęskniła za Manoletem, kotem, i za chwilami, kiedy go głaskała – szybko znalazła sobie nowe przyjaciółki, trzy pielęgniarki z Valladolid: Paz, Puritę i Cristinę, dziewczyny bardzo sympatyczne i wesołe. W ich towarzystwie zwiedzała miasto za każdym razem, gdy tylko miały przepustkę.

Królewiec był dumną stolicą Prus Wschodnich. Znajdował się u ujścia Pregoi do Morza Bałtyckiego. Delta rzeki tworzyła wyspę w centrum, Kneiphof, gdzie wznosił się średniowieczny zamek krzyżacki. Nad rzeką rozrosły się i rozwinęły w neoklasycystycznym stylu aleje i piękne bulwary, ładnie utrzymane parki i bogate kamienice; wszystko to wieńczyła zamkowa wieża, śliczna jak w bajkach.

Kiedy Lena przyjechała do Królewca, na dachach, na ulicach i w parkach ciągle leżał śnieg; białe plamy to tu, to tam, jakby miasto było w trakcie kolorowania. Ale zima umierała, nie panował już taki ziąb, często świeciło słońce, dzień był coraz dłuższy, więc zawsze gdy nadarzyła się okazja, pielęgniarki wsiadały w tramwaj i jechały na wyspę Kneiphof, gdzie spacerowały po wąskich uliczkach pełnych sklepików i małych warsztatów rękodzieła albo odwiedzały gotycką katedrę, jeśli tylko nie zgubiły się pomiędzy straganami z rybami

w okolicach portu, tak malowniczego ze starymi parowcami i żaglowcami stojącymi na cumach w pobliżu bardzo wysokich kamienic o szpiczastych dachach. Odwiedziły też słynną Bursztynową Komnatę, którą Niemcy wywieźli z Ermitażu w Leningradzie i zmontowali w jednej z dostępnych dla publiczności komnat w królewieckim zamku. Kiedy indziej spacerowały, trzymając się za ręce, po eleganckich brzegach jeziora Schlossteich, otoczonego ogrodami i pięknymi domami, a wieczorem piły kawę i zjadały marcepanowe ciasteczka w kawiarni Schwermer, przyjrzawszy się witrynom pełnym pięknych słodyczy w kształcie kwiatów, owoców, serc, a nawet zamku.

Dzięki tej terapii i syropowi z orzecha kuli Lena stopniowo zaczynała dochodzić do siebie. Niemniej za każdym razem, kiedy przeglądała pocztę, którą codziennie jej dostarczano, wstrzymywała oddech w nadziei, że znajdzie list od porucznika Ardsteina. List nie przychodził. Wtedy rozumiała, jak bardzo skrzywdziła tych, do których sama postanowiła nigdy nie napisać.

*

Guillén ponownie sprawdził, że ma pod ręką magazynki, dwa, każdy po osiem pocisków. Pomacał się na wysokości piersi i poczuł pod skórą kurtki wybrzuszenia granatów, jeden w lewej kieszeni, drugi w prawej. Sprawdził, czy jest w stanie szybko je wyciągnąć.

– Uspokój się wreszcie, chłopaku, bo w końcu nas ktoś zauważy – rzucił do niego Jerzy zza zasłony krzaków.

Polak był góralem o surowym wyglądzie, przysadzistym i zupełnie łysym, przez co w tym zimnym klimacie nigdy nie ściągał grubej wełnianej czapki. Guillenowi podobało się, że będą pracować razem: był to człowiek, który wiedział, co robi, godzien zaufania i zdecydowany. Szanował go.

Znowu ścisnął lugera i próbował się uspokoić. Siedział tak skulony, że zaczęły drętwieć mu nogi i czuł chłód wspinający się po ciele. Kilka metrów po prawej Adam położył się na ziemi w miejscu niezbyt dobrze osłoniętym. Patrząc dalej w prawo, mógł dostrzec sylwetki Agaty i Bohdana, także ukrytych za kępą zarośli. Jeszcze dalej za grubym dębowym pniem ukrywał się Tadeusz. Guillén wyciągnął nieco szyję i znowu zobaczył ciemną, pustą szosę zaledwie o kilka kroków od siebie. Niebawem miała się tam pojawić kolumna niemieckiego wojska.

Musiał przyznać, że jest bardzo zdenerwowany. Znowu był w akcji, ale to przywoływało wiele wspomnień i dawnych uczuć. Podwyższony poziom adrenaliny ożywił go jednak, a ściskanie broni sprawiało, że czuł się gotowy na wszystko. Było tyle rzeczy, za które chciał się zemścić, tak wiele wściekłości i nienawiści dusił w sobie, że bał się, że mu przyćmią rozum... Musiał zachować

zimną krew. I pewien był tylko jednego: nie wpadnie znowu w ręce Niemców, raczej się zastrzeli.

Jerzy uderzył go łokciem w bok i uniósł brwi. To wystarczyło za wszystkie słowa: warkot silników wyprzedzał konwój, nadjeżdżali. Guillenowi przyspieszył oddech, wydawał się ryczeć w tym małym kosmosie, którym był on sam, klęczący z pistoletem w ręku i misją do wypełnienia. Pochylił głowę, zamknął oczy i czekał w nieskończoność.

Warkot silników stawał się coraz bardziej wyraźny, słyszał skrzypienie żwiru pod kołami i niemal mógł je policzyć. Wtedy wielka eksplozja rozświetliła noc. Bez zastanowienia wyskoczył z ukrycia. Usłyszał pisk hamulców i krzyki. Jerzy coś do niego powiedział, ale go nie usłyszał. Wiedział, co ma robić, i robi to. Spojrzał na czoło kolumny: pierwszy pojazd płonął, a drugi wpadł na niego. Pozostałe zatrzymały się na drodze. Ruszył biegiem prosto do czwartego, żeby dotrzeć do niego, zanim rozlegną się pierwsze strzały. Wydawało mu się, że słyszy kolejne wybuchy, ale to ogłuszał go własny oddech.

Usłyszał strzały, więc pochylił się, nie zatrzymując. Skierował lufę pistoletu w stronę kabiny i wypalił. Jerzy też strzelał. Jego towarzysz miał się zająć kierowcą. On obszedł ciężarówkę, żeby zabić pasażera. Starał się o niczym nie myśleć, idąc z pistoletem gotowym do strzału, chociaż wokół niego panowało zamieszanie. Przyłgął do karoserii i poczuł się nieco bardziej bezpieczny. Wydawało mu się, że słyszy, jak kule latają wszędzie dookoła. Ogień ryczał, Niemcy wrzeszczeli, jego oddech dalej rozbrzmiewał ponad wszystkim. Wychylił się z tyłu ciężarówki: pasażer wyskoczył z szoferki i strzelał z pistoletu maszynowego na lewo i prawo; najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, z której strony jest atakowany. Guillén też do niego strzelił, ale z tej pozycji było to trudne. Następnym strzałem w odpowiedzi na serię, kule zagrzechotały po karoserii i po brezencie przykrywającym ładunek. Poczucił się niepotrzebny i uwięziony w tamtym miejscu. Postanowił zaryzykować: wszedł pod ciężarówkę i podczołgał się do przodu. Zobaczył buty żołnierza, tamten szedł ostrożnie, myśląc, że on wciąż jest z tyłu. Wyjął zza pazuchy jeden z granatów, wyciągnął zawleczkę, odliczył kilka sekund i potoczył go pod nogi Niemca. Zakrył głowę rękami i usłyszał wybuch. Pojazd lekko się zakołysał. Otworzył oczy i zobaczył ciało żołnierza leżące na ziemi w chmurze dymu, który wpełzał pod ciężarówkę. Wyczołgał się spod wozu i znowu przytulając się do karoserii, wpełzł do kabiny. Jerzy zastrzelił kierowcę i wyciągał go na zewnątrz. Pomógł mu, wypychając ciało. Potem obaj czym prędzej usiedli i spojrzeli po sobie, Guillén nie był w stanie odczytać nic z wyrazu twarzy Jerzego; sam musiał mieć podobną minę. Rzucił okiem przed siebie: na ziemi leżało dwóch martwych żołnierzy i chociaż nie było widać ani Agaty, ani Bohdana, domyślił się, że tak jak i oni, już znajdują się w kabinie ciężarówki. W tamtej chwili zobaczył Tadeusza, biegnącego do nich od czoła kolumny

i wskakującego do ciężarówki. A jednak to jeszcze nie był koniec, musieli poczekać na Adama, nie wiedzieli, jak mu poszło z samochodem z tyłu.

– Udało mu się? – zapytał się Guillén.

– Widziałem, jak ta cholerna ciężarówka wybuchła, ale potem było słychać wystrzały. – Jerzy włączył silnik.

Guillén ostrożnie wychylił się przez okienko. Rzeczywiście część samochodu eskorty stała w płomieniach, ale po Adamie nie było ani śladu. Zaczął się obawiać, że coś mu się stało. Zgodnie z rozkazem mieli poczekać dwie minuty i ruszać. Zobaczył, że Jerzy spogląda na zegarek. Z niepokojem znowu się wychylił.

Wtedy zobaczył, jak Adam wychodzi zza samochodu.

– No jest!

– Kurwa, jest ranny! Próbuje podejść do ciężarówki!

W tym momencie seria z karabinu ścięła Adama, który upadł na ziemię.

Guillén nie zastanawiał się, czy to ma sens. Po prostu wyskoczył z kabiny, krzycząc do Jerzego:

– Osłaniaj mnie! Idę po niego!

Partyzant weteran nie zdążył go zatrzymać, jedyne, co mógł zrobić, to skląć Guillena za nieodpowiedzialność, wystawić pistolet przez okno i strzelać w stronę samochodu.

Guillén biegł pochylony w stronę Adama, starając się unikać wrogiego ognia. Zbliżył się do samochodu i potwierdził, że żyje jeden z żołnierzy niemieckich; chociaż był ranny, ciągle do nich strzelał. Guillén wyciągnął pistolet i opróżnił magazynek w jego stronę. Strzały ustały. Podszedł do Adama i zarzucił go sobie na plecy, nie zajmując się sprawdzaniem, czy żyje.

– Kurwa, jesteś kompletnym świrem! – krzyknął do niego Jerzy, pomagając mu wciągnąć Adama do szoferki.

– Spadajmy stąd! – odkrzyknął Guillén, wskakując do środka.

Wstrząsany na zakrętach szaleńczej ucieczki, poczuł ból we wszystkich swoich starych ranach i zatęsknił za syropem babci Zofii, po czym znowu naszedł go atak kaszlu.

Spojrzał w bok. Adam jęknął. Ciągle żył.

Przykryli go wszystkim, co mieli, dwoma kocami i płaszczami, ale w tej piwnicy na przedmieściach Krakowa panowało okropne zimno i Adam nie przestawał szcząć zębami, mimo że był cały zlany potem. Miał gorączkę i Agata rozpaczała, bo nie wiedziała, jak mu pomóc. Ocieranie mu czoła chłodną chusteczką na niewiele się zdawało. Potrzebowała lekarstw, jodyny, sulfonamidów, ale nie było skąd ich wziąć.

Adam podróżował niemal dwa dni z kulą w nodze i jeszcze jedną

w ramieniu, bez porządnego opatrunku i bez odpoczynku, leżąc na pace brudnej ciężarówki. Uciekali. On sam zrobił sobie opaskę uciskową na wysokości uda i opatrunki, używając do tego paska od spodni i bielizny. Gdy jednak znaleźli się w Krakowie, rany jątrzyły się i zaczęła mu rosnać gorączka. Ludzie z organizacji, którzy wsadzili ich do tej piwnicy z miską wody, żarówką na suficie, kilkoma kocami i odrobiną chleba z serem, zapewnili ich, że zrobią wszystko, żeby sprowadzić lekarza. Było to ponad dwadzieścia cztery godziny temu.

Jerzy wrócił do Nowego Targu. Tadeusz zajmował się transportem broni. Bohdan i Guillén zastanawiali się nad możliwością zabrania Adama do chaty w Zawoi. Pociąg do Warszawy odjeżdżał nazajutrz.

Agata ponownie przyłożyła narzeczonemu mokrą chusteczkę do czoła. Była wyczerpana i zmartwiona, napięcie towarzyszące ostatnim godzinom ścisłało jej żołądek; z trudem powstrzymywała łzy. Gdyby chociaż miała cholerny kawałek mydła, żeby przemyć mu rany...

Adam wyciągnął rękę i pogładził ją.

– Idź odpocząć... – powiedział do niej głosem osłabionym od gorączki i bólu.

Ona uśmiechnęła się i też go pogłaskała.

– Nie jestem zmęczona. Wolę zostać z tobą.

– Jak pojedziesz do Warszawy, będę musiał sobie radzić bez ciebie.

Spojrzała na niego, jakby powiedział coś szalonego.

– Nie pojedę do Warszawy. Nie chcę cię tu zostawiać.

Adam wziął ją za rękę.

– Pojedziesz, jasne, że pojedziesz. Chcesz tego. Tak będzie lepiej.

– Teraz wszystko się zmieniło – odpowiedziała.

– Nie, nie wszystko się zmieniło. Słuchaj... Ja... W końcu zrozumiałem różne rzeczy i staram się je przyjąć do wiadomości. Jeśli zostaniesz, nie będzie łatwo żadnemu z nas.

Adam wykrzywił się z bólu, próbując się podnieść. W końcu zrezygnował.

– Teraz... kto inny się tobą zajmie. Marek to zrozumie.

Agata spuściła głowę, żeby ukryć łzy. Bezskutecznie, zdradził ją szloch.

Adam znowu pogładził ją z czułością.

– Agatko... nie płacz... To wojna. To życie... Takie rzeczy po prostu się zdarzają i czasem nikt nie jest temu winien.

Za kontuarem recepcji w szpitalu siedział żołnierz zajmujący się także obsługą centrali telefonicznej. Począł, aż skończy się rozmowa i ściągnie słuchawki, żeby go obsłużyć. Przyjrzał mu się: był bardzo młody, nie więcej niż dwudziestoletni, trochę grubawy, o brązowych włosach i gładko ogolonej twarzy, jeden z niewielu bez tego wąsika, który, zdaje się, tak bardzo podoba się

Hiszpanom. W sumie nie wyglądał na Hiszpana.

– W czym mogę pomóc, panie kapitanie?

Żołnierz zastanawiał się przez chwilę, czy zwrócić się do oficera po hiszpańsku. To oczywiste, że ten był Niemcem, ale co mógł zrobić, skoro nie mówił ani słowa w tym diabelskim języku poza *Fraülein, Brot mit Käse* i *Bier*. Ograniczył się więc do przeliczenia gwiazdek na patkach, żeby przynajmniej nie umniejszyć jego stopnia i powitać go zgodnie z regulaminem.

– Szukam pielęgniarki Leny Álvarez. Jak rozumiem, jest w tym szpitalu.

Młody żołnierz nie potrafił ukryć zaskoczenia, usłyszawszy doskonałą hiszpańszczyznę. Znowu spojrzał na prawy rękaw munduru oficera: rzeczywiście, nie miał tam naszytej hiszpańskiej flagi.

– Pielęgniarka Lena Álvarez – nalegał oficer. – Czy znajduje się w tym szpitalu?

– Przepraszam... Tak... Chwilczkę, proszę – odparł pospiesznie i ponownie nałożył słuchawki, żeby zadzwonić.

Lena weszła do pokoju pielęgniarek, gdy tylko skończył się obchód specjalisty w jej sali. Niosła kartki z nowymi zaleceniami do uaktualnienia tabeli przepisanych lekarstw. Zaczepiła ją koleżanka.

– Przed chwilą dzwonił z recepcji. Jakiś Niemiec o ciebie wypytuje. Zdaje się, że kapitan... chyba tak mi powiedzieli.

– O mnie? Ale... mam zejść?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i dalej automatycznie układała gazę w pudełku.

– Ja tylko ci przekazałam, że masz wizytę.

– A nie powiedział, jak się nazywa? Nie znam żadnego niemieckiego kapitana...

– Nic więcej mi nie powiedzieli, ale idź, jak chcesz.

– Muszę zapisać nowe dawki – zawahała się.

– Ja mogę to zrobić, gdy skończę.

– Dobrze... Dzięki. Bardzo jestem ciekawa...

– Ja też – przyznała tamta z łobuzerskim uśmiechem.

Kiedy znalazła się na schodach prowadzących do recepcji, zobaczyła zwyczajowy widok: personel medyczny kręcący się z jednej strony na drugą, kilku dochodzących do siebie rannych w kurtkach mundurów zarzuconych na piżamy palących koło drzwi, okrągłą twarz szeregowego Garcii za kontuarem... Szybko skupiła wzrok na zwracającej uwagę postaci w szarym mundurze przy oknie: wysoki i dobrze zbudowany, ręce w rękawiczkach zaplecione za plecami, czapka oficerska na głowie i długi płaszcz, spod którego wystawały lśniące oficerki. Jakby

poczuł, że jest obserwowany, mężczyzna odwrócił się. Lenie serce podeszło do gardła.

Twarz Kurta Ardsteina-Daszkowa rozpromieniła się w uśmiechu, gdy tylko zobaczył ją na schodach, skamieniała ze zdumienia. Pomiędzy nimi chodzili ludzie w bieli jak duchy w scenie, która należała do nich, bo świat stał się pusty i pograżył się w ciszy. Kurt ściągnął czapkę i ruszył w jej stronę, zatrzymał się zaledwie o kilka kroków, powstrzymując pragnienie przytulenia jej.

– Powiedzieli mi, że kapitan... – wybąkała Lena najgłupszą z myśli, jakie tłoczyły się w jej głowie.

On wskazał na epolety z dwiema gwiazdkami.

– Świeżo po awansie. I Krzyż Rycerski. – Dumnie wisiał mu na szyi. – Dwie z pierwszych nagród za moją misję w Leningradzie. Brakowało mi pani, najważniejszej nagrody...

– Boże drogi... – podsumowała przelewające się w niej emocje.

– Chciałem przynieść kwiaty, ale... – spojrzał wokoło – wyobraża pani sobie ten skandal?

Lena wreszcie się uśmiechnęła, od ucha do ucha. Szczęście powoli zaczęło zastępować wzruszenie.

– To nasze przeznaczenie, panienko Álvarez... Zostało zapisane w gwiazdach, że zawsze będziemy szli razem.

Pomnik filozofa Immanuela Kanta wznosił się pośrodku parku przed Uniwersytetem Albrechta w Królewcu. Nieopodal stała ławka pod latarnią, którą wybrali sobie, żeby przysiąść w tę śnieżną noc. Drobny śnieg jak puder, którego gwiazdeczki lśniły na rękawie płaszcza Leny; śnieg cichy i skrzący się; magiczny jak cała ta noc.

Kurt Ardstein objął ramieniem ukochaną kobietę, a ona wtuliła się w ciepło jego ciała, położyła policzek na jego piersi i zrównała swój oddech z jego oddechem. Wyciągnęła rękę i przyjrzała się pierścionkowi: wydawało się, że kilka gwiazdek śniegu wirujących w powietrzu osiadło na jej palcu serdecznym.

„Należy do mojej rodziny od wielu pokoleń”, powiedział Kurt, gdy zakładał go na jej palec w świetle świec w przytulnej restauracji nad rzeką. „Teraz chcę, żebyś to ty stała się moją rodziną. I moim domem, moim schronieniem, moją radością... Moim całym życiem, tylko ty. Chcesz tego?” Na samo wspomnienie tej chwili żołądek ścisnął jej się ze szczęścia. Uniosła wzrok, żeby na niego spojrzeć.

– Tak, chcę – powtórzyła to, co powiedziała wtedy. – I z każdą chwilą kocham cię coraz bardziej i bardziej.

– No to może kiedyś mnie dogonisz i pokochasz mnie tak, jak ja ciebie kocham już teraz – rzucił jej wyzwanie z uśmiechem.

I żeby nie mogła odpowiedzieć, pochylił głowę i pocałował ją, przytulając

mocno, jakby się obawiał, że ona rozplynie mu się w powietrzu jak sen.

*

Stojąc przy oknie, Guillén patrzył w milczeniu, jak Agata i Marek przytulają się we łzach i ze śmiechem szepczą sobie słowa w jidysz. Po długim krążeniu od jednego kontaktu do drugiego w końcu trafili na adres Marka Ledermana w Warszawie: niewielkie mieszkanie na poddaszu na Nowym Mieście, przy uliczce pomiędzy Wisłą a murem getta. Miejsce było nieco przygnębiające: czarne zasłony nie wpuszczały światła do środka, duszne powietrze zdawało się przyklejać do ciała, sufit był niski i skośny, meble, chociaż nieliczne, zagracały niewielką przestrzeń, a ciemnozielone tapety jeszcze pogłębiały przytłaczające wrażenie. Jednak Marek miał szczęście, że udało mu się znaleźć schronienie po aryjskiej stronie, poza gettem.

Agata odsunęła się od brata i odwróciła się do niego.

– Marek, to jest Guillén... Trochę Hiszpan i trochę Francuz. – Uśmiechnęła się znacząco. – To długa historia, ale w skrócie powiem ci, że pomógł nam zdobyć broń.

Chłopak podszedł do niego i energicznie wyciągnął rękę. Był wysoki i krzepki – kopia Agaty w męskiej wersji, też czarnowłosa, z tymi samymi zielonymi, kocimi oczami i dużymi ustami. Powiedział do niego coś miłego, po czym odwrócił się, żeby znowu przytulić siostrę.

– Mamy sobie wiele do opowiedzenia. Nie widzieliśmy się od dwóch lat – wyjaśnił Guillenowi. I patrząc ponownie na siostrę, dodał: – Ale na początek proszę o jakieś dobre usprawiedliwienie, dlaczego się tu znalazłaś, żebyś nie musiał po chwilowej radości zezłościć się na ciebie – skarcił dziewczynę, z czułością szczypiąc ją pod brodą.

Na krótko przed godziną policyjną do mieszkania przyszła drobna, uśmiechnięta dziewczyna. Błada twarz i zaróżowione policzki, niebieskie oczy i blond fryzura z warkoczykami owiniętymi dookoła głowy nadawały jej wygląd porcelanowej laleczki. Marek przedstawił ją jako Halinę Lewinson.

– To nasza łączniczka – wyjaśnił, chociaż sposób, w jaki klepnął ją w tyłek, gdy przyjmował od niej przesyłkę, w zamian dostając czułe spojrzenie, świadczył, że nie jest dla niego tylko łączniczką.

I rzeczywiście sypialnia Marka okazała się także sypialnią Haliny, bo weszła do niej, nie ściągając ani kapelusza, ani butów.

Zjedli kolację razem, siedząc wokoło malutkiego stolika. Halina ugotowała żurek; jako dodatek były kiełbasa, ogórki konserwowe i pół bochenka chleba. Od

początku do końca pili wódkę; popijali nią nawet czerwoną pastę podobną do marmolady, która rozsmarowana na chlebie była deserem.

– Kiedy wróciłem do Warszawy, już prawie nie było Żydów poza gettem, a tych niewielu pozostałych żyło w ukryciu, w ciągłym niebezpieczeństwie, że ktoś na nich doniesie i że zostaną aresztowani... Nie wiedziałem, do kogo mogę się zwrócić ani komu zaufać. Wszyscy moi przyjaciele, znajomi uciekli, zostali zamknięci albo... nie żyli. Pamiętasz Henryka Wolińskiego? – zapytał Marek siostrę.

Dym z papierosów tworzył chmurę nad ich głowami. Halina nieco uchyliła okno.

Agata przytaknęła i wyjaśniła Guillenowi:

– Adwokat naszego ojca. Nie jest Żydem, ale jego żona tak. Ona i nasza matka bardzo się przyjaźniły.

– Jest w podziemiu, w Armii Krajowej, i prowadzi wydział do spraw obrony Żydów. Wtedy tego nie wiedziałem, więc poszedłem do niej, bo myślałem, że skoro jest Żydówką i przyjaciółką mamy, to przynajmniej na mnie nie doniesie. Boże... teraz wiem, że zawdzięczam jej życie. Nie wahała się ani chwili, żeby mi pomóc. Ukryła mnie w tym mieszkaniu i co tydzień przynosiła mi jedzenie, kiedy nie mogłem stąd wychodzić, nie mając dokumentów. Po jakimś czasie wyrobiła mi kenkartę, według której nazywam się Paweł Kaczyński i jestem Polakiem; nie Żydem, ma się rozumieć. Teraz dobrzy są tylko Polacy... Dowiedziałem się, że jak masz właściwe kontakty i tysiąc złotych, możesz dostać fałszywe dokumenty. Wtedy jednak nie miałem ani jednego, ani drugiego. Gdyby nie pan Woliński...

Agata pocałowała go w rękę.

– Całe szczęście... Niech będą błogosławieni wszyscy dobrzy ludzie, którzy nam pomogli.

Marek kieliszkiem wódki wzniosł za to toast. Pozostali zrobili tak samo.

– Nie można jednak pozwolić, żeby inni nam pomagali, a my sami sobie nie, prawda? – Marek nie czekał na odpowiedź, mówił dalej: – Nigdy nie przestała mnie dziwić rezygnacja, z jaką większość Żydów zaakceptowała fatalny bieg rzeczy. Zgodzili się na to, żeby ich stłoczyć pomiędzy murami, żeby ich upokorzyć, ośmieszyć, ograbić, żeby traktować ich jak bydło, żeby ich zabijać głodem... I nie zrobili nic, żeby się zbuntować! Czasem się bałem. Oczywiście, że się bałem! Ale pan Woliński mi powiedział: „Twój ojciec zginął z podniesioną głową. Ty nie możesz teraz giąć karku. Trzeba walczyć! A jeśli będzie trzeba, zginąć. Ale z godnością”. „Chcę walczyć”, odpowiedziałem mu. I w ten sposób przystąpiłem do nich. Grupa żydowskich oficerów Wojska Polskiego powołała Żydowski Związek Wojskowy. Oni pierwsi mówili o oporze, starali się zdobyć broń na wypadek ewentualnego powstania, żeby pomagać Żydom z getta w ucieczkach. Zacząłem z nimi, od małych akcji propagandowych i robiąc za

łącznika. Ale większość ich członków pochodzi z Betar i innych prawicowych partii politycznych... To nie jest mój ulubiony klimat – rzucił ironicznie.

– Co to Betar? – zagadnął Guillén.

– To organizacja syjonistyczna, ale osadzona na tradycjonalizmie żydowskim w opozycji do syjonizmu socjalistycznego i laickiego – wyjaśniła Agata.

– Byłem z nimi na jednym obozie letnim – napomknął Marek. – To był w zasadzie obóz paramilitarny: maszerowaliśmy jak żołnierze, uczyliśmy się technik bojowych i przetrwania... Wielu podziwiała Mussoliniego i cały włoski faszyzm... Też coś! Ale tak, muszę przyznać, że zdobyłem wiedzę, która do dziś jest mi bardzo przydatna. Chociaż szybko zdałem sobie sprawę, że ta ideologia mi nie pasuje...

– Mogę to zrozumieć – zgodził się Guillén z postawą chłopaka.

Marek wypił kieliszek wódki i znowu sobie nalał.

– Nie zgadzam się z nimi, ale sprawiedliwie muszę przyznać, że oni jako pierwsi wypięli pierś i zorganizowali się przeciwko Niemcom, podczas gdy inni, także komuniści, z którymi z dumą sympatyzuję, nie mogli się nawet zgodzić co do nazwy... Wiem, o czym mówię, skontaktowałem się z dawnymi towarzyszami z partii: wielu uciekło do Rosji, ale inni wrócili z zamiarem stawienia oporu. Między innymi Mordechaj Anielewicz, którego rzecz jasna poznałem na obozie Betar; to następny renegat, tak jak ja... Miesiącami zastanawiali się, czy uciekać, czy walczyć, albo starali się przekonać tych drugich, że trzeba stawić Niemcom czoło, bez względu na konsekwencje... Wielu tak twierdziło, między innymi ci z Judenratu: że konsekwencje walki będą gorsze, że Niemcy chcą nas tylko przenieść do obozów pracy, że lepiej dla wszystkich będzie współpracować, aż alianci nas wyzwolą, zamiast się buntować... Durnie... Musiały się wydarzyć te okropieństwa, gorsze niż kiedykolwiek, żeby w końcu wzięli się do roboty. Teraz Anielewicz dowodzi oporem ruchów lewicowych w getcie: jest ich trochę ponad dwustu i nazywają się Żydowska Organizacja Bojowa.

– Co się stało w getcie? – Pytanie Agaty było powściągliwe, obawiała się odpowiedzi.

Marek wpatrzył się w wódkę.

– Stało się... – Nie znalazł odpowiednich słów, więc zakończył głębokim westchnieniem.

– Poprzedni rok był okropny – odezwała się Halina. – W getcie zamknięto ponad czterysta pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Nie tylko z Warszawy, bo zwożono ich tu z innych miast. Nie było miejsca do życia, w jednym mieszkaniu musiało się tłoczyć nawet siedem rodzin. Niedożywienie i choroby dziesiątkowały ludzi. Kartki na jedzenie zapewniały jedynie sto osiemdziesiąt cztery kilokalorie dziennie na osobę, czasem nawet nie tyle. Ludzie umierali z głodu, dosłownie. Ogłoszono kilka

epidemii tyfusu, a nie było środków, żeby je zwalczać. Często żołnierze i policja zabijali bez powodu, oskarżając ludzi o jakieś drobiazgi albo dla zabawy... Na ulicach leżały ciała... dzieci... – Załamał jej się głos.

Marek wyciągnął do niej rękę i podjął opowieść:

– Wtedy zaczęły się wywózki. *Grossaktion*, jak to nazwali Niemcy. W lipcu przeprowadzili pierwszą selekcję, z której zostali wykluczeni ludzie przeznaczeni do ciężkich robót, personel sanitarny, członkowie Judenratu i żydowskiej policji, także ich rodziny. I przez całe lato, aż do końca września, wyjeżdżały z getta transporty... Ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy ludzi.

– Wypędzili nas na ulicę krzykami i uderzeniami kolb karabinów – dodała Halina. – Wszystkich, którzy się ukryli albo stawiali opór, zabijali na miejscu. Nie dali nam czasu na zabranie czegokolwiek, nawet najbardziej podstawowych rzeczy. Niektórzy byli już wcześniej przygotowani, ale i tak Niemcy zabierali to i rzucali na ziemię. W każdej łapance wykorzystywali sytuację, żeby zabijać, rabować i niszczyć wszystko, co stanie im na drodze...

– Halinie udało się uciec. Wskoczyła w biegu z ciężarówki i ukryła się w piwnicy jakiegoś opuszczonego domu. Siedziała tam bez jedzenia i piła deszczówkę, aż skończyły się wywózki.

– Moi rodzice i młodsza siostra nie mieli tyle szczęścia. Ona... bała się wyskoczyć z ciężarówki... – Dziewczyna wychyliła kieliszek wódki podany przez Marka i bardzo się skrzywiła.

– Jak udało ci się uciec z getta? – zapytał Guillén.

Agata siedziała blada i milcząca, ze spuszczoną głową.

– Dzięki pomocy Żegoty.

– Żegoty?

– To zaszyfrowane nazwisko – wyjaśnił Marek. – Żegota, a raczej Konrad Żegota, to człowiek, który w rzeczywistości nie istnieje, i odnosi się do Rady Pomocy Żydom. Za każdym więc razem, gdy w dokumentach pojawia się to nazwisko, wiemy, że chodzi o przypadek związany z pomocą Żydom. To niesamowita organizacja, jej opór ma charakter cywilny, nie wojskowy, ale ich pogląd na walkę powinien być przykładem dla organizacji wojskowych. Do Żegoty należą ludzie różnego typu, Żydzi i nie-Żydzi, socjaliści, katolicy, działacze przeróżnych organizacji, i wszyscy oni zdołali odsunąć na bok dzielące ich różnice, by działać dla dobra wspólnej sprawy: zmniejszyć cierpienie, na które Niemcy skazują naród żydowski. Żegota utrzymuje kontakt z Armią Krajową i innymi organizacjami ruchu oporu, także z rządem polskim na uchodźstwie, od którego otrzymuje środki na finansowanie swojej działalności: organizowanie ucieczek z getta, dostarczanie fałszywych dokumentów Żydom, znajdowanie mieszkań i pomoc finansową dla tych, którzy żyją po aryjskiej stronie...

Guillén skinął głową i zadał następne pytanie:

– Jak wygląda sytuacja getta w tej chwili?

– Zostało jedynie pięćdziesiąt tysięcy ludzi, prawie sami młodzi, pracują dla Niemców. Chociaż wielu się tam jeszcze ukrywa. Poza tym warunki są równie straszne jak wcześniej. Z pewnym dodatkiem: teraz już wiemy, że ostatecznym celem Niemców jest eksterminacja. Kiedy mówili eufemizmami o deportacjach na wschód, o obozach pracy, o przesiedleniach... to były tylko podłe kłamstwa. Teraz już wiemy, dokąd jadą te pociągi. Przyszły meldunki po letnich wywózkach, od kolejarzy, którzy łatwo mogli prześledzić ich trasy. Zbudowali obozy w Treblince, Oświęcimiu, Majdanku, Sobiborze, to do nich kierują pociągi wypełnione ludźmi. Nikt nie wraca z tamtych bram i prawie nie dostarczają tam żywności. Po prostu ich zabijają. Chcą nas wszystkich zabić.

W milczeniu cała czwórka przeżuwała piołun tych ostatnich słów; nieruchomi jak na fotografii; nawet wódka stała zapomniana na stole. Agata nagle gwałtownie się podniosła, krzesło upadło na podłogę. Zaczęła zbierać ze stołu, kieliszki uderzały o siebie głośno, i stanęła przed zlewem w kuchni, udając, że zmywa; woda płynęła strumieniem.

Marek też wstał, podszedł do niej i objął ją ramieniem.

– Będziemy walczyć, maleńka. Teraz już jesteśmy gotowi, teraz jesteśmy świadomi, że nie ma innego wyjścia. Może nie uda nam się uratować wielu ludzi, ale przynajmniej uratujemy honor. Nadszedł moment, żeby chwycić za broń, w getcie i poza nim.

W mieszkaniu (na melinie, jak mówił Marek) była tylko jedna sypialnia. W dużym pokoju zwykle sypiali dwaj inni mężczyźni, również członkowie ruchu oporu, ale akurat nie było ich w Warszawie. Marek ofiarował się, że będzie tam spał z Guillenem, i odstąpił siostrze swoje miejsce w łóżku z Haliną. Zwykle spojrzenie Agaty wystarczyło, żeby młodzieniec zrozumiał, że to nie jest konieczne: ten obcokrajowiec i siostra byli dla siebie kimś więcej niż przypadkowymi towarzyszami podróży.

Agata nie mogła zasnąć. W środku nocy wstała z leżącego na ziemi materaca, ostrożnie, żeby nie obudzić Guillena, który pochrapywał obok, i poszła do kuchni. Otworzyła metalowe szafki i znalazła paczuszkę erzacu – kawy zbożowej. Postawiła czajnik na kuchni i pogrzebaczem ożywiła resztki węglowego żaru.

– Nie możesz spać?

Agata się odwróciła. Marek uśmiechał się z progą.

– Ten materac jest okropny – przyznał chłopak. – Trzeba mieć twarde sen jak Symcha i Wilk, żeby na nim spać – wyjaśnił, wspominając swoich kolegów.

– Przepraszam... Zbudziłam cię.

– Nie spałem.

– Chcesz? – Siostra podsunęła mu filiżankę.

– Tak, dziękuję.

Oparli się o ścianę, z filiżankami kawy zbożowej w rękach, gorącej – co było najprzyjemniejsze w tym napoju.

– Co z Adamem?

Agata westchnęła.

– Wolalabym nie rozmawiać w jidysz.

– Rozsądna dziewczyna...

Agacie nie chodziło w tym przypadku o rozsądek. Po prostu wołała mówić po polsku. Ale tak naprawdę wołała nie rozpoczynać tej rozmowy po raz kolejny.

Marek powtórzył pytanie w swoim drugim języku.

– Już ci powiedziałam. Wrócił do chaty w Zawoi. Jest ranny.

– Tak... Z całą pewnością jest zraniony.

Agata nie odpowiedziała na prowokację. Marek nalegał:

– Ale jak mogłaś go zostawić, skoro jest ranny? Jak to jest, że w ogóle go zostawiłaś? Jak to jest, że przyjechałaś tu z nieznajomym?

– On nie jest nieznajomym.

– Agato! To obcokrajowiec, nawet nie jest Żydem! Co by ojciec powiedział?

– Ojciec by powiedział, że są rzeczy, które już nie mają znaczenia – zauważyła Agata spokojnie. – Bo walczymy właśnie o to, żeby fakt bycia albo niebycia Żydem nie miał znaczenia.

Marek westchnął wzburzony i odstawił filiżankę do zlewu. Zdenerwowany przeczesał ręką rozczochrane włosy.

– Nie zdajesz sobie sprawy, jakie to wszystko jest niebezpieczne? Ja... Bardzo się cieszę, że cię znowu widzę... Ale nie możesz tu zostać, to jest zbyt ryzykowne. Tutaj każdy dzień przeżywa się na krawędzi, w wiecznym strachu, że cię znajdą, doniosą na ciebie albo zaczną szantażować. Trzeba unikać sąsiadów, starać się nie chodzić do tych samych sklepów, co chwilę zmieniać trasy; choroba i wizyta u lekarza to duży problem... Musiałem się nauczyć Ojczy nasz na pamięć, ściągać czapkę i żegnać się, gdy wchodzę do kościoła, a robię to częściej, niżbym chciał. Teraz wołam: „Matko Boska i Jezusie święty!” i „Jezus Maria!”. Wiem, że mam imieniny dwudziestego dziewiątego czerwca... Nawet wódka mi już smakuje, chociaż wcześniej tylko od czasu do czasu pijałem wiśniówkę z ojcem w szabas. Jeśli tu zostaniesz, wystawisz swoje życie na wielkie niebezpieczeństwo; nawet najbardziej absurdalne rzeczy będą mogły cię zdradzić, gest, spotkanie starego znajomego, twoje czarne włosy albo zielone oczy...

– Ty też masz czarne włosy i zielone oczy... Taki z ciebie Aryjczyk, jak ze mnie – odpowiedziała sarkastycznie.

– Ale przyjąłem na siebie to ryzyko już dawno temu, nie tylko dlatego, że jestem Żydem po aryjskiej stronie, ale przez inne, znacznie gorsze rzeczy.

– No to pozwól, że ja też będę sama podejmowała swoje ryzyko. Do cholery, Marek! Wydaje ci się, że las to wywczasy? Kilka dni temu strzelałam się z Niemcami! W kieszeni płaszcza mam pistolet! – przeszła do szeptu.

– Ale tam jest wielu ludzi, którzy się tobą zajmują i cię ochraniają.

– A tutaj jesteś ty, moja jedyna rodzina. – Spojrzała mu w oczy. – Nie przyszło ci do głowy, że może nie potrzebuję już, żebyś się mną zajmował, i że chcę tylko walczyć u twojego boku?

Marek znowu westchnął. Zrobił kilka kroków w poprzek malutkiej kuchni. Ponownie przesunął ręką po jej włosach.

– Słuchaj, Agatko... Ja... To prawda! To ja cię w to wciągnąłem! Ale chciałbym być pewien, że nie przyjechałaś do Warszawy tylko dlatego, że od czegoś uciekasz... od kogoś.

– Sprawy nie są tak czarno-białe, Marek. Przyjechałam i to jest ważne. Reszta... – Wzruszyła ramionami.

– A druga sprawa to on. – Marek wskazał na przymknięte drzwi, za którymi widać było pokój, gdzie spał Guillén. – Nie może zostać.

Agata miała zaprotestować, kiedy nagle zdanie wypowiedziane za jej plecami замуrowało ją.

– Nie martw się, nie zostanę.

Oboje odwrócili się i zobaczyli Guillena w drzwiach kuchni. Agata, czując się niezręcznie, chciała zareagować, ale Guillén nie dał jej wyboru.

– Przyjechałem tu, żeby współpracować, a nie po to, żeby być ciężarem. – Patrzył zimno na Marka, spokojnie wypowiadając słowa. – Rozpocząłem tę wojnę, walcząc, i przychodzą mi do głowy tylko dwie możliwości jej zakończenia: wygrać albo zginąć. W Lyonie, w Warszawie czy gdziekolwiek indziej. Dlatego proszę, skontaktuj mnie z AK.

Agata podeszła do Guillena.

– Idę z tobą.

On uśmiechnął się do niej z czułością. Poglądził ją po policzkach. Pocałował, odczuwając mściwą przyjemność, że robi to na oczach Marka.

– Nie, dopóki będziesz miała te śliczne żydowskie oczka – zażartował. – Najbezpieczniej będzie, jeśli zostaniesz tutaj. – Spojrzył na Marka, który skinął głową, jeszcze trochę zbity z tropu. – Możesz uczyć się Ojczy nasz, kiedy będą ci przygotowywać papiery z jakimś ślicznym polskim nazwiskiem.

– A ty?

– Ja jestem Aryjczykiem, nie zapominaj o tym. – Puścił do niej oko. – Poza tym ktoś mnie nauczył strzelać środkowym palcem, szkoda by było nie wykorzystać takiej umiejętności. A nocami będę się wślizgiwał przez twoje okienko, żeby w tajemnicy skraść ci kilka pocałunków. – Znowu ją pogłaskał.

– Jak duch.

– To ładny pseudonim dla partyzanta, nie sądzisz?

*

Wzięli ślub w Berlinie. W słoneczny poranek ożywiający szare ruiny, w kaplicy kościoła katolickiego pod wezwaniem Świętego Michała, który Kurt kazał ozdobić białymi kameliami. Był to prosty ślub: tylko dwie ławki zaproszonych gości, diakon grający na organach i panna młoda w zwyczajnym ubraniu. A jednak przystojny kapitan uważał, że Lena wygląda piękniej niż kiedykolwiek. Serce wyrywało mu się z piersi, kiedy patrzył, jak ona podchodzi do ołtarza prowadzona przez jego brata Klause, spowita aureolą kolorowego światła prószącego przez witraże. Nie mógłby być bardziej zakochany.

Jego mali bratankowie nieśli pieniądze, ksiądz odczytał Pieśń nad Pieśniami, a matka płakała i nie przestawała się żegnać lewą ręką, ponieważ była prawosławna. Lena wypowiedziała przysięgę zdecydowanym głosem: „Ja, Lena, chcę ciebie, Kurta, za męża i oddaję ci się... żeby cię kochać i szanować do końca moich dni”. Chciał ją przytulić w tej właśnie chwili. Wyciągnął do niej rękę, pogładził swoją obrączkę i powtórzył w myślach, jak bardzo będzie ją kochał i szanował przez wszystkie dni swojego życia.

Zjedli uroczysty obiad w hotelu Adlon, przy akompaniamencie orkiestry, a kiedy doszli do deseru, nowożeńcy wymknęli się do pokoju z widokiem na Bramę Brandenburską, z butelką szampana i pudełkiem czekoladek.

– *Liebling*... – Tak ją nazywał. Lenie podobało się to bardziej niż „kochanie” czy „skarbie”; to słowo sprawiało, że czuła się ważniejsza.

Jego głos wydawał się szorstki, a w oczach miał dziwną mieszankę pragnienia i czułości. Pieścił ją.

– Jestem przestraszona... – wyznała mu przy łóżku, pełna nieprzyjemnych, strasznych wspomnień.

– Kocham cię, Leno.

– Wiem... – zapewniła go i pocałowała.

Lena zaraz zaczęła mu rozpinać mundur, rozwiązywać szarfę Krzyża Żelaznego, poszukiwać desperacko jego nagiego torsu, żeby przytulić się do niego policzkiem. Ona też go kochała... Pragnęła go. To przeganiało upiory.

Wtedy położyła się na łóżku i poprosiła Kurta, żeby ją rozebrał.

Ryk syren alarmu przeciwlotniczego zaskoczył ich przytulonych w pościeli. Lena drzemała, podczas gdy Kurt gładził jej plecy; nie mógł zasnąć, gdy się nią zachwycał.

Pocałował ją za uchem.

– Musimy zejść do schronu...

Ona odwróciła się i jeszcze mocniej się do niego przytuliła.

– Nie... – odpowiedziała.

Pocałowała jego sutki, pogładziła pośladki; przycisnęła się podbrzuszem do jego bioder i zauważyła, jak zaczyna go ogarniać podniecenie.

– Nie... – dyszał on, kiedy już było słychać działa przeciwlotnicze i ryk silników i setki samolotów zasnuwały niebo nad Berlinem.

Po świcie nastąpiły wybuchy, jak na festiwalu sztucznych ogni, odgłosy kruszenia betonu. Coraz bliżej... Podłoga się zatrzęsła, zadrżał pokój, brzęknęły szyby, butelka szampana rozbiła się o podłogę i chmura wapna spadła z sufitu. Kurt położył się na Lenie, żeby ją osłonić, i razem przeżyli jednoczesny orgazm.

Jeśli mieliby umrzeć, trudno byłoby o lepszą chwilę.

Mieli w planach podróż do Hiszpanii w kilka tygodni po ślubie, żeby Kurt poznał braci Leny. Dyskutowali, co będą robić później, chociaż wszystko zależało od tego, jakie rozkazy dostanie Kurt. Początkowo zasłużony nowo mianowany kapitan w oczekiwaniu, aż komisja lekarska zdecyduje, czy zostanie zwolniony ze służby na froncie z powodu odniesionych ran, miał okazję aspirować do kilku stanowisk, zarówno wojskowych, jak dyplomatycznych i wywiadowczych w Hiszpanii. Młodej parze podobała się myśl rozpoczęcia nowego życia razem w tym kraju. Jeśli jednak Kurt będzie musiał wrócić na front, Lena pozostanie w Berlinie; już zaczęła oglądać domki z ogródkiem w Poczdamie, Oranienburgu, Wandlitz i innych spokojnych miastach wokół stolicy.

Jednakże wydarzenia przybrały na dynamice pod koniec marca, po tym, jak Kurt został wezwany na spotkanie z przełożonymi.

– Jest bardzo prawdopodobne, że skierują mnie do Hiszpanii...

Widząc, jak twarz Leny się rozjaśnia, szybko dodał:

– Ale...

– Och... nie lubię tych „ale” – przyznała rozczarowana, nie dlatego, że nie zamieszkają w Hiszpanii w najbliższym czasie, ale dlatego, że on będzie musiał wrócić na front. Nigdy by mu się do tego nie przyznała, ale sama myśl o tym ją przerażała.

Kurt przytulił ją mocno.

– Najpierw wyznaczili mi *Sondermission*. To jest... misję specjalną.

Lena zmarszczyła brwi.

– W wojsku to, co jest specjalne, zawsze jest niebezpieczne – zauważyła.

Kurt się zaśmiał.

– Masz rację. Ale nie, tym razem to co innego. Chodzi bardziej o pracę w terenie. A jest specjalna, bo ma określoną długość. Kiedy skończę, skierują mnie tam, gdzie poprosiłem.

– A jaki to okres?

Mąż wzruszył ramionami.

– To zależy... Kilka miesięcy, rok może.

Mina Leny dalej była pełna podejrzliwości.

– Nie wiem, czy mam się cieszyć...

– Ciesz się. Lubię, gdy się śmiejesz.

Pocałowała go czule.

– A teraz mi powiedz: jak daleko będziesz od Berlina?

– Niedaleko. Warszawa jest o kilka godzin pociągiem.

Lena westchnęła. Byli małżeństwem od paru tygodni, a już musieli się rozstać.

Kwiecień 1943

Guillén zdobył pracę w warsztacie mechanicznym ruchu oporu na Ochocie. Płacili mu pięć złotych dziówki i mógł spać na pryczy w magazynie, pomiędzy beczkami i nasmarowanymi częściami zapasowymi. Załatwili mu też dokumenty: kartki na żywność i kenkartę, która stwierdzała, że nazywa się Piotr Waraszko i jest Polakiem, chociaż poradzono mu, żeby udawał jakieś problemy z mową, bo jego akcent nie był najlepszy i na pewno zwracał uwagę. Z tego samego powodu polecono mu się ogolić i ściąć włosy.

W warsztacie jego szefem był Jan Nowotko, pseudonim Zygmunt, dawny sierżant wojsk pancernych, który dodatkowo był jego łącznikiem z dowództwem Podokręgu Zachodniego Armii Krajowej. Zygmunt zwykle przekazywał mu rozkazy, gdyż sam był okaleczony – w 1939 roku mina urwała mu nogę i używał drewnianej protezy – i przez to wyłączony z działań partyzanckich.

Zaczął od drobnych zadań w propagandzie i jako kurier, później dokonywał kradzieży w magazynach zaopatrzenia, broni i transportu Wehrmachtu (większość części zamiennych pochodziła z wypraw do niemieckich warsztatów). Niebawem zlecono mu zadania polegające na śledzeniu i obserwowaniu konkretnych ludzi, których uznano za kolaborantów. Żołnierze AK byli zafascynowani jego umiejętnością poruszania się niezauważonym; doskonale zasługiwał na pseudonim Duch, pod którym wszyscy go znali. Poza tym był zdyscyplinowany, przyjmował rozkazy, wykonywał je zdecydowanie i skutecznie. Nic dziwnego, że wkrótce wieści o nim doszły do uszu przełożonych.

– Jak rozumiem, potrafi się pan obchodzić z bronią – zauważył kapitan Korczak, dowódca rejonu II, podczas spotkania, na które został wezwany po przekazaniu wyczerpującego raportu o dziennikarzu współpracującym z Niemcami.

– Mam doświadczenie – odpowiedział niejasno.

– Słyszał pan o Kedywie?

Guillén nie znał tego słowa. Korczak wyjaśnił mu, że to grupa specjalizująca się w zbrojnej dywersji. W skład Kedywu wchodziło kilka batalionów zaangażowanych w różne akcje sabotażowe, oswobodzenie więźniów, wykonywanie wyroków śmierci. Guillén zaś wiedział, że te wyroki śmierci oznaczały usuwanie ludzi skazanych w tajnych rozprawach przez sądy Polskiego Państwa Podziemnego, którego ramieniem zbrojnym była AK.

– Mówimy o operacjach ważnych pod kątem strategicznym – wyjaśnił kapitan. – I sądzę, że ma pan odpowiednie przygotowanie, żeby się do nich przyłączyć... Może po krótkim przeszkoleniu, żeby odświeżyć sobie umiejętności partyzanckie.

„Może...”, pomyślał Guillén. Powrót do walki zbrojnej wydawał mu się

atrakcyjny – osłabianie żalu poprzez naciskanie spustu. Poza tym miał dług wobec AK; cokolwiek by mówić, umożliwili mu życie na własny rachunek. A jednak nie był pewien, czy chce dalej walczyć u boku wojska, które miało w swoim składzie komórkę propagandy antykomunistycznej. Istniały inne organizacje, bliższe jego poglądom, jak Gwardia Ludowa, które dostawały wsparcie od Armii Czerwonej i z którymi planował się skontaktować.

Z drugiej strony znajdowała się grupa Marka, Batalion Marzec, od pseudonimu jego dowódcy. To oczywiste, że pośród nich nie cieszył się wielką sympatią i stosunki między nimi były raczej chłodne, co w pewnym sensie wynikało z tego, że Marek nie akceptował związku Guillena ze swoją siostrą. Musiał jednak przyznać, że ideologicznie bliżej mu było do żydowskich marksistów, którzy działali jako samotne wilki w tej skomplikowanej panoramie polskiego ruchu oporu.

Nie udzielił kapitanowi Korczakowi jednoznacznej odpowiedzi, przyrzekł jedynie rozważyć tę propozycję.

Tymczasem Agata głównie siedziała ukryta w domu. Żegota załatwiła jej polską kenkartę, więc czasami wychodziła na rynek albo przenosiła jakąś wiadomość dla grupy, której punkt łącznikowy mieścił się w sklepie przy niedalekiej ulicy Piwnej. Podczas jednego z tych wyjść kilku szmalcowników zastąpiło jej drogę i zagroziło, że doniosą na nią do Gestapo. Miała szczęście, że właśnie w tej samej chwili nieznamiona kobieta o dobrym sercu, która była świadkiem zdarzenia, podeszła do niej, jakby były dobrymi znajomymi umówionymi na mszę w kościele Świętego Marka. Od tamtego czasu brat nie uważał za bezpieczne, żeby zanadto się wystawiała; w jego mniemaniu wszystko w niej wskazywało, że jest Żydówką.

– Dlaczego Halina wchodzi i wychodzi jak gdyby nigdy nic, a mnie każe tu siedzieć? – skarżyła się Guillenowi.

On wymykał się zawsze, kiedy tylko mógł, żeby ją zobaczyć, zwłaszcza gdy brata nie było w domu. Wtedy kochali się na kanapie, ale także na łóżku Marka; dla Guillena było w tym coś wyzywającego.

– Zwariuję zamknięta w tej dziurze od rana do nocy! Przez cały czas gotuję dla nich, pierę im i czyszczę im broń! Chcę walczyć u boku Marka, a nie być jego służącą! Czasem myślę, że nigdy nie powinnam była przyjeżdżać do Warszawy... Czasem myślę, że może powinnam wrócić w góry... Tam przynajmniej robiłam coś użytecznego.

Guillén pocałował ją w obnażone ramię, jej włosy połaskotały go w nos.

– Ratować umierających więźniów, żeby potem ich uwodzić? – zażartował.

Agata odwróciła się do niego.

– Ej, to ty mnie uwiodłeś! – zawołała obruszona.

– Trudno ci się było oprzeć...

Znowu ją przytulił i chciał zasypać pocałunkami, zaczynając od obojczyków. Wolał się kochać, niż pograżać w bezowocnej rozmowie. Ona jednak wywinęła mu się.

– Mówię zupełnie poważnie: tam w górach czułam się doceniona.

– Ja tutaj doceniam ciebie tak samo. – Spróbował pocałować ją w szyję, bardziej koncentrując się na apetycznych kształtach jej ciała niż na czymkolwiek innym.

– Ty chcesz mnie tylko zaciągać do łóżka.

Guillén przytaknął z uśmiechem.

– Cóż w tym złego?

Agata wstała i włożyła starą męską marynarkę, za dużą i znoszoną.

– A to w tym złego, że tylko to cię interesuje – zganiała go i odwróciła się plecami.

Guillén westchnął. Nie za bardzo wiedział, jak do tego doszło, ale właśnie diabli brali obiecujące namiętne popołudnie.

– A co mam ci powiedzieć? Żebyś wracała w góry, tego chcesz?

– Widzę, że tobie jest to dokładnie obojętne. – Odwróciła się obrażona.

– Kiedy powiedziałem coś takiego? – Ton Guillena był cierpki.

Ona tylko fuknęła, wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki.

– Dobrze, Agata! Wyżyj się na mnie! Po to tu jestem! – krzyknął z łóżka.

Potem wstał i zaczął się ubierać. Traktując każdą rzecz, jakby to ona była winna jego nieszczęściu, jednocześnie klął przez zęby:

– Kto, kurwa, zrozumie kobiety?

*

– Chcę pojechać z tobą do Warszawy.

Odważyła się powiedzieć to pewnego wieczoru po kolacji, kiedy pili kieliszek brandy przy kominku. Z gramofonu sączyła się muzyka Mozarta. Poprzedniego dnia miasto ucierpiało w wyniku następnego bombardowania i jedna z bomb uderzyła w pobliżu ich domu; wszystkie szyby w oknach zostały wybite falą uderzeniową. Mimo że zakryła je grubym niebieskim sukniem, którego używali podczas godziny policyjnej, chłód przeciskał się przez szpary. Lena się wzdrygnęła.

Kurt uniósł wzrok znad książki.

– A ja chcę, żebyś ze mną pojechała. Trudno byłoby mi spędzić tyle czasu samotnie.

– I teraz mi powiesz, że jednak nie będę mogła pojechać – zagadnęła przebiegle.

– To niebezpieczne, Leno... To nie jest spokojne miasto. Napady i ataki zdarzają się codziennie.

– A Berlin jest bezpieczny? – Spojrzała wymownie na wybite szyby.

– Wiesz przecież, co o tym sędzę.

Tak, wiedziała to doskonale. Klócili się o to wiele razy. Kurt uważał, że najbezpieczniej dla niej będzie wrócić do Hiszpanii. Lena nawet nie chciała o tym słyszeć. Hiszpania leżała bardzo daleko od frontu wschodniego. Jeśli Kurt zostanie ranny albo zdarzy mu się jakieś inne nieszczęście, ona dowie się o tym po wielu tygodniach. Nie byłaby w stanie żyć w takim niepokoju.

– Już od dawna bezpieczeństwo nie należy do moich priorytetów. A teraz jeszcze mniej o nie dbam, gdy chodzi o bycie razem.

Kurt zamknął książkę, objął ją i przyciągnął do siebie. Ona wtuliła się w jego ciało. Poczowała delikatne pocałunki na włosach.

– Gdyby coś ci się stało, ja... – Przerwał oszołomiony. – Nie mogę bez ciebie żyć.

– A jak sądzisz, co ja bym czuła, gdyby tobie coś się stało? Zawsze mówisz, że to przeznaczenie nas połączyło, czy może więc nas rozłączy? Co my możemy zrobić? Tymczasem chcę zawsze być u twojego boku.

Razem pojechali do Warszawy i zamieszkali w dwupiętrowym domku z białą fasadą i czerwonym dachem, z ogrodem na tyłach, który został przekształcony w sad, i klonem przed domem, który witał wiosną pierwszymi liśćmi. Domek znajdował się od północnej strony miasta, w dzielnicy Żoliborz, i stanowił część osiedla zbudowanego przed wojną dla polskich oficerów; w tamtym czasie zamieszkiwali je dowódcy Wehrmachtu i SS. Do pomocy w domu, poza ordynansem Kurta, który pełnił także funkcję kierowcy, Lena miała polską służącą i kucharkę.

Dzień pracy Kurta był długi, czasem zaczynał się wcześnie rano i trwał aż do nocy, nawet po godzinie policyjnej. Pocieszające jednak było to, że w końcu wracał do domu i chciał ją całować i przytulać, opowiadać jej, jak mu minął dzień, i słuchać opowieści o tym, co ona porabiała; jedli razem kolację w przyjemnym salonie, potem słuchali muzyki klasycznej z gramofonu, kończyli wieczór przy dobrej książce i spali obok siebie, przytuleni, ciesząc się bliskością. W niedziele chodzili do kościoła Świętego Stanisława Kostki (Kurtowi nie przeszkadzało, że jest to kościół tylko dla Polaków i Niemcom nie wolno było tam uczestniczyć we mszy, skoro Lena prosiła, żeby jej towarzyszył; w sumie ten zakaz wydawał mu się dość głupi). Gdy wychodzili, kupowali ciasteczka owsiane w ciastkarni na placu i jechali tramwajem do Łazienek, gdzie spacerowali wokół pałacu Na Wodzie i stawu, a na koniec siadywali na ławce i wygrzewali się w słońcu. Czasem urządzali sobie przejażdżki rykszą (w mieście było ich całe mnóstwo, zastępowały

taksówki); kiedy indziej szli na koncert orkiestry wojskowej na placu Adolfa Hitlera albo spacerowali boso po plażach nad brzegiem Wisły.

Początkowo Lena miała mnóstwo czasu i mimo protestów Kurta wychodziła na długie spacerunki po mieście.

– Przynajmniej powinnaś pojechać samochodem. Oskar może cię zawieźć, dokąd będziesz chciała.

Czasem słuchała go, ale świat zza szyb samochodu nie wyglądał tak samo. Tylko chodząc, odnosiła dziwne wrażenie, że Warszawa wzbudza w niej żal, niepokój i podziw jednocześnie. Niestety widziała już wiele miast w ruinie, ale ruiny warszawskie były inne: były okrutnym dowodem, nieprzyjemnym wspomnieniem czegoś, nad czym powiewała flaga Trzeciej Rzeszy. Czegoś, co ciążyło nad głowami Polaków, co zmuszało ich do chodzenia chyłkiem, szybkim krokiem i do uciekania wzrokiem. Czegoś, co unosiło się w powietrzu pośród głodu i nędzy, na ścianach pełnych napisów i tysięcy ulotek, obwieszczeń i proklamacji pokrywających miasto dywanem strzępów. Tym czymś było upokorzenie. Czasem nawet światło słońca nie było w stanie oświetlić ulic Warszawy.

Lena nie mówiła po niemiecku, ale w tamtych dniach zdołała znakomicie poznać znaczenie zdania: *Nur für Deutsche*. Tylko dla Niemców. Było wszędzie: na pierwszych wagonach tramwajów, na wielu ławkach na ulicy, na najlepszych sklepach, kawiarniach, restauracjach i hotelach, na drzwiach niektórych kościołów, szkół i szpitali. Całe kwartały Śródmieścia, Aleje Jerozolimskie, Ujazdowskie czy plac Zbawiciela zostały otoczone zasiekami z drutu kolczastego i były strzeżone przez silnie uzbrojonych żołnierzy; były *Nur für Deutsche*. Tak samo jak Theater der Stadt, biblioteka Klubu Niemieckiego i kino Heligoland. Także Park Łazienkowski był tylko dla Niemców.

Lenę zaskakiwało, że Polacy, obcy we własnym mieście, nie stracili ani trochę ze swej godności. Ich postawa emanowała dumą – w kolejkach po racjonowaną żywność, kiedy żegnali się przed klepsydrami wspominającymi ich zmarłych, kiedy przeszukiwali ruiny, kiedy znosili ciągłe kontrole policyjne... Bez wątpienia był to bardzo silny naród. I odkryła, że też gorący w zimnym kraju. Kiedy dowiadawali się, że ona nie jest Niemką, ich miny stawały się przyjazne, odpowiadali na jej uśmiechy i traktowali ją ze szczerą sympatią. Beata i Gabrysia, dwie kobiety pracujące w jej domu, były tego znakomitym przykładem. Gdy się poznały, nawet nie patrzyły jej w oczy, ale już wkrótce rozmawiały ze śmiechem po polsku i starały się używać tych kilku słów po hiszpańsku, których Lena je nauczyła; Beata nawet jak czuła matka układała jej kołnierz płaszcza za każdym razem, gdy miała wyjść.

Była przekonana, że Polacy wykuli sobie takiego ducha podczas długiej historii walk o swoją tożsamość. I chciałyby się dowiedzieć więcej o tej

przeszłości. Jednak cała literatura na ten temat była zakazana, tak samo jak polska sztuka i muzyka. Szopen był zabroniony!

Bycie Polakiem było zabronione.

Lena szybko podzieliła się z Kurtem swoimi spostrzeżeniami.

– Z czego wynika ta dyskryminacja? Dlaczego się ich niewoli i traktuje jak zadżumionych?

– Nie wiem... – odpowiadał wymijająco.

– Jak możesz tego nie wiedzieć? To polityka rządu twojego kraju. A ty ją popierasz, bo przecież codziennie narażasz za nią życie!

Kurt siedział w milczeniu, ze zmarszczonym czołem i nieobecny wzrokiem. Wydawał się bardziej zażenowany niż obrażony.

– To nie takie proste, Leno... Ja jestem tylko żołnierzem: widzę, przemilczam i wykonuję rozkazy.

Lena postanowiła zostawić tę sprawę. Nie chciała, żeby ten temat rozwinął się w kłótnię małżeńską, która musiałaby się skończyć atakami osobistymi. A jednak myśląc o tym, podsumowała, że ona nie jest żołnierzem i że nie może pozostać niewzruszona wobec tego, co widzi. Musiała zrobić coś więcej, poza oddaniem swoich kartek na jedzenie Gabrysi i Beacie oraz kilkoma złotymi ekstra na koniec dnia. Nie wiedziała jednak co.

Okazja nadarzyła się, gdy chodząc do kościoła, poznała księdza Szymlika, młodego redemptorystę, który spędził kilka lat na misjach w Peru i mówił po hiszpańsku. Dzięki niemu zaczęła współpracować z sierocińcem sióstr miłosierdzia. Codziennie rano przychodziła punktualnie, żeby pomóc w warsztatach, w jadalni albo gabinecie lekarskim. Przy setkach dzieci każda para rąk do pracy była mile widziana. Jednak najbardziej przygnębiający był brak jedzenia. Nie chodzi o to, że dzieci płakały z głodu, ale ich dieta ograniczała się do zupy z kartofli i buraków, która nie zaspokajała głodu, a już na pewno nie odżywiała ich jak należy. Dlatego zakonnice robiły sweterki na drutach, szaliki i wełniane rękawiczki, które potem sprzedawały, żeby zdobyć pieniądze na kupno jedzenia. W wolnych chwilach Lena także robiła na drutach.

– Co robisz? – zapytał ją Kurt za pierwszym razem, gdy wrócił z pracy i zastał ją skupioną nad drutami.

– Robię sweterek...

Twarz kapitana nagle się rozjaśniła.

– Leno...

– Och, nie, nie... To nie to, co myślisz – szybko wyjaśniła nieporozumienie. Nie mogła się przy tym nie zaczerwienić. Kurt nie potrafił ukryć swego rozczarowania: przez chwilę myślał, że jego żona jest w ciąży. – To dla sierocińca...

– Ach... Dla sierocińca... – Kurt wpatrzył się w kawałek błękitnej wełny

zwisający z drutów. – Czasem myślę, że nie powinnaś się tak bardzo angażować... Jestem niemieckim oficerem. To może nam przynieść kłopoty.

– To tylko dzieci, Kurt. Powinieneś je zobaczyć, skruszą ci serce... Ale... zostawię to. Jeśli o to prosisz.

Mąż pokręcił głową. Pochylił się, podniósł z ziemi kłębek wełny i położył go na jej kolanach. W końcu się uśmiechnął.

– Wiesz, że tego nie zrobię, *Liebling*. Nigdy nie zrobię tego, co mogłoby ci się nie spodobać.

Lena również się do niego uśmiechnęła, szeroko i czule. Jak mogła nie być w nim coraz bardziej zakochana?

*

Dawid Ziemian rzucił okiem na zegarek, do spotkania zostało pięć minut. Znowu spojrzął na drugą stronę ulicy Karolkowej, na drzwi kawiarni, która ocalała pomiędzy dwoma zburzonymi budynkami. Po raz ostatni zaciągnął się papierosem, a gdy wyrzucił niedopałek, rozbrzmiała syrena w fabryce Philipsa, mieszczącej się po drugiej stronie muru za jego plecami. Obwieszczała popołudniową zmianę; niebawem strumień robotników wyjdzie przez główną bramę. Postawił kołnierz płaszcza, naciągnął czapkę i poczekał, żeby się do nich przyłączyć i przejść przez ulicę w ulewnym deszczu.

Przekroczył wąskie drzwi kawiarni w licznej grupie robotników żądnych ciepłego, ciemnego piwa. Właściciel ustawił kilka kufli na barze. Miał na imię Taras i mówił, że przyjechał z Bułgarii, chociaż kto to mógł wiedzieć, skąd naprawdę się tam wziął. Facet był tak surowy jak jego lokal; miał okrągłą, lśniącą głowę bez śladu włosów i długie czarne wąsy, zachodzące aż na brodę; czy to w zimie, czy w lecie, nosił zawsze tę samą koszulkę na ramiączkach, wybrudzoną i z zaciekami od potu pod pachami, która odsłaniała obwisłą tłustą skórę w miejscach, gdzie kiedyś być może były mięśnie; wyglądał jak artysta ze spalonego teatru.

Dawid pozdrowił go skinieniem głowy i podszedł prosto do stolika w najdalszym kącie lokalu. Otrzeptał czapką rozklekotane krzesło i usiadł, nie zdejmując płaszcza. Zaraz jakiś mężczyzna postawił na stole dwa kufle piwa i zajął drugie puste krzesło. Człowiek ten nie różnił się szczególnie od pozostałych robotników, którzy tłoczyli się w tym miejscu: miał takie samo jak oni ubranie w prążki, tak samo zniszczone buty i wypłowiałą czapkę; bardzo gestykulował i mówił gwarą warszawską, z akcentem właściwym przedmieściom. Ale nie był Polakiem. Helmut Balzer był Niemcem, i to gestapowcem.

Balzer zawsze był kontaktem, odkąd został informatorem, zaraz po zajęciu

Polski przez Niemcy. W tamtym czasie Dawid gnął w celi łódzkiego więzienia, czekając na wykonanie wyroku śmierci. Od trzynastego roku życia (a był już dobrze po trzydziestce) bezkarnie kradł i oszukiwał swoich, innych Żydów jak on. Aż ktoś zachęcił go, żeby wszedł w prostytutkę; łatwo było oszukiwać niewinne córki żydowskich wieśniaków obietnicami lepszego życia w mieście, żeby później wrzucać je w otchłań burdeli. Szkoda, że potknął się na tej jednej, która zagroziła, że doniesie na niego policji; tak sprzął dziewczynę, że w końcu ją zabił, ale wcześniej jej krzyki zaalarmowały całą okolicę. Wtedy otrzymał lekcję: nie można dać się ponieść wściekłości.

Jakkolwiek by było, z powodu ironii losu okupacja niemiecka okazała się dla niego zbawienna. Brak skrupułów Dawida Ziemiana w końcu uratował mu skórę. Gestapo wyciągnęło go z więzienia i zaproponowało zniesienie kary śmierci za niewielką odpłatę w zamian – musiał robić dla nich tylko to, co zawsze robił, czyli zdradzać swoich. Przeniósł się do Warszawy – gdzie niebezpieczeństwo rozpoznania było mniejsze – dobrowolnie pozwolił się zamknąć w getcie i przeniknął do ruchu oporu, żeby przekazywać swoim nowym panom istotne informacje.

A jednak to spotkanie z Helmutem Balzerem nie było dla niego przyjemne. Po raz pierwszy został przez agenta zawezwany. Zwykle to odbywało się na odwrót: za każdym razem, kiedy Dawid miał jakieś informacje, sam się kontaktował.

Balzer wypił połowę kufła jednym haustem. Zanim się odezwał, dyskretnie mu się odbiło.

– Mam dla ciebie robotę.

Dawid nic nie powiedział. Podrapał się po bliźnie przecinającej prawy policzek, pamiętając po pobycie w więzieniu. Zwykł tak robić, kiedy był podenerwowany. Mimo że współpracował z Helmutem Balzerem od dawna, ten człowiek zawsze wzbudzał w nim nerwowość. Instynkt mu mówił, że Niemcom nie można ufać i że gestapowców szczególnie trzeba się obawiać.

Ponieważ Ziemian milczał, agent ciągnął:

– Chcę, żebyś przekazał tę informację bandytom z ruchu oporu.

Dawid spojrzął na niebieską teczkę, którą tamten położył na stole. Ostrożnie ją otworzył i rzucił okiem na zawartość.

– A co oni mają z tym zrobić?

– Wykorzystać, żeby załatwić gościa. To mordercy, będą wiedzieli, jak to zrobić.

Dawid uniósł brwi ze zdziwienia.

– Dlaczego Gestapo chce załatwić swojego człowieka? – wyszeptał.

Balzer uśmiechnął się przebiegle i w kąciu jego ust pojawiła się szpara po brakującym zębie.

- Nie interesuj się, Ziemian. Ty masz wykonywać rozkazy.
- Ale będę im musiał przecież dać jakiś powód. Nie zabijają wszystkich Niemców, którzy staną im na drodze – odpowiedział Dawid sarkastycznie.
- Na pewno mieliby na to ochotę... Pokażesz im jakiegoś cukierka, takiego, żeby nie mogli się oprzeć.
- Agent dopił piwo i wstał, uznając spotkanie za zakończone.
- Wymyśl coś, przecież nie będę wykonywał za ciebie całej roboty... – rzucił, po czym odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę drzwi.

*

Guillén wysunął głowę spod maski adlera trumpfa, którego naprawiał, i znalazł się twarzą w twarz z Markiem. Sucho się pozdrowili.

- Masz chwilkę? Możemy pogadać?

Guillén kiwnął głową, wycierając ręce w szmatę. Wizyta Marka z całą pewnością była czymś zaskakującym, więc ciekawił go powód jego niespodziewanego najścia.

- Chodź do biura.

Biuro było ciemnym i zagraconym pokoikiem na tyłach warsztatu, w którym piętrzyły się papiery, puszkki smaru, opony, stare kalendarze z panienkami w negliżu, podarte plakaty Castrolu i ogólnie śmieci. Guillén chciał, żeby Marek gdzieś usiadł, ale sprzątanie rupieci z krzesła zajęłoby zbyt wiele czasu, więc dał sobie spokój. Zamknął drzwi i poczekał, aż się odezwie. Marek zapalił papierosa, za którego on podziękował; nie chciał kaszleć przy tym facecie.

- Mam coś... – obwieścił enigmatycznie, wydychając dym.

Guillén zmarszczył brwi. Zwykle Marek nie informował go o swoich sprawach; zastanowił się, o co może chodzić, chociaż nie otworzył ust.

– Przekazali mi informację z getta. Mają tu swoich donosicieli, po aryjskiej stronie, ludzi, którzy wpuszczają krety pomiędzy Niemców... rozumiesz. Wygląda na to, że jest jakiś facet, oficer niemiecki, ze wspaniałą historią masakr w Jugosławii na karku, bo stamtąd przyjechał. Przenieśli go do Warszawy, żeby zdusił opór w getcie i zaczął nową kampanię czystek żydowskich po aryjskiej stronie.

- SS-man? Gestapowiec?

– Nie, Abwehra. Chodzi o zakamuflowanego agenta, pracującego dla Departamentu Zdrowia, przy czymś, co nazywają kontrolą epidemii... Śmieszne...

– Taa, rzeczywiście... – podsumował Guillén lakonicznie. Zaczynał się domyślać, o co chodzi, ale wołał, żeby to Marek przeszedł do sedna.

Polak patrzył na niego przez chwilę, jakby nawiązywał z nim nic

porozumienia.

– Chcemy go zlikwidować – w końcu wyjawiał. – Nakreśliłem plan z Wilkiem i Symchą, ale potrzebuję dobrego strzelca, który będzie mnie osłaniał. Agata mówi, że ty jesteś dobry... – przyznał z obojętną miną.

– Tak mówi? Od dawna nie używam broni, ostatnio zajmuję się czym innym i trochę zardzewiałem. – Nie była to prawda, od kilku dni ćwiczył w ukrytym obozie AK na przedmieściach Warszawy.

A jednak Marek przyłapał go na kłamstwie.

– Akowcy mają na ten temat inne zdanie – zauważył zniecierpliwiony. – Są głosy, że ćwiczysz, żeby wstąpić do Kedywu. Czy Agata o tym wie?

– Szantażowanie mnie to nie jest dobry pomysł, jeśli chcesz, żebym ci pomógł – odpowiedział Guillén spokojnie.

– A może już nie pracujesz dla Żydów... – Marek wyrzucił niedopałek i przygniótł go butem.

– Jeśli dalej będziesz mnie prowokował, wyślę cię w cholerę. Nie wkurzaj się. Zrobię to... Fajnie będzie odstrzelić łeb jakiemuś Niemcowi.

Marek się uśmiechnął. Gdyby ten typ nie wykorzystywał jego siostry, może zostaliby przyjaciółmi, pomyślał.

*

Kurt rzucił okiem na zegarek na stole.

– Muszę już wstać, bo się spóźnię. – Nie poruszył się ani trochę.

Lena położyła mu rękę na piersi. Jasne słońce wpadało przez okno i rozrzedzało mroki pokoju.

– Nie chcę, żebyś dziś szedł do pracy. Zostań ze mną... – Starła się go przekonać, pocałunkami i pieszczotami pod kołdrą.

Kurt westchnął, jakby się skarżył.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bym chciał.

Pocałowała go, wplatając palce w jego rozczochrane włosy.

– Moglibyśmy spokojnie zjeść śniadanie w ogrodzie, w słońcu. Wzięlibyśmy samochód i pojechali na wycieczkę za miasto, moglibyśmy urządzić sobie piknik na polance nad rzeką. A potem spalibyśmy przez całe popołudnie...

– Spali? – Poczul się niemal urażony i za karę zaczął ją łaskotać.

Lena przewracała się w łóżku, zaśmiewając się głośno.

– Tylko tak się mówi! Przestań!

Kurt pocałował ją w usta, długo i szorstko od nieogolonej brody. Ona odwzajemniła pocałunek, czuły i soczysty.

– O nie, nie przestanę... – wyjęczał po cichu. – Mam jeszcze piętnaście

minut i kawę wypiję w biurze...

Lena pośpiesznie ściągnęła ramiączka koszuli nocnej.

*

Dzięki pomocy jednego z klientów warsztatu udało im się zorganizować ciężarówkę. Wilk ją prowadził, a na miejscu pasażera siedział Symcha z torbą pełną granatów u stóp. Z tyłu siedzieli Marek i Guillén uzbrojeni w pistolet maszynowy Sten i każdy w pistolet Vis.

Tymczasem Iskra, następny towarzysz Marka, udawał robotnika miejskiego zmieniającego żarówkę w latarni ulicznej. Stamtąd miał bardzo dobry widok na dom celu, biały z czerwonym dachem. Ponieważ od kilku dni go obserwowali, wiedzieli, że punktualnie o ósmej trzydzieści pięć niemiecki oficer wychodzi z domu i wsiada na tylną kanapę buicka, który czeka na ulicy z zapalonym silnikiem.

Gdy tylko drzwi się otworzą, Iskra miał dać reszcie umówiony sygnał, żeby na pełnej szybkości podjechali ciężarówką zaparkowaną o kilka domów dalej, a przejeżdżając, zasypali cel ogniem z pistoletu maszynowego. Symcha miał dokończyć sprawę, obrzucając samochód granatami.

– Jak to jest, że facet, który niby jest taki ważny, nie ma żadnej eskorty, tylko kierowcę? – zdziwił się Guillén.

– Pewnie nie chce zwracać na siebie uwagi. Przecież to jest tajny agent...
– odpowiedział Marek całkowicie przekonany.

Guillén sprawdził magazynek, żeby zabić czas oczekiwania na pace ciężarówki. Rzucił okiem na zegarek: była już ósma trzydzieści osiem, co się, u diabła, dzieje?

Miał nadzieję, że nerwy nie wpłyną na jego celność.

*

Lena skrzyżowała ręce na piersiach. Poranek był chłodny, bo z powodu braków w zaopatrzeniu nie mogli włączać ogrzewania na noc. Z kuchni dobiegał zapach grzanek i kawy, którą kupowała na czarnym rynku za cenę złota.

– Nie masz nawet czasu na kawę?

Kurt przeglądał się w lustrze w przedpokoju. Lena pomogła mu zapiąć czerwono-białą wstążkę Krzyża Żelaznego przy mundurze.

– Nie... Już jestem spóźniony. Zostaw trochę dla mnie na wieczór.

Włożył pistolet do kabury, wziął czapkę i teczkę i gotowy do wyjścia

odwrócił się, żeby ją przytulić.

– Do wieczora, *Liebling*. – Pocałował ją.

– Kocham cię.

– A ja ciebie.

Puścili się niechętnie. Kurt otworzył drzwi i wyszedł.

*

– Znak, Wilk! – krzyknął Symcha do kolegi.

Tamten wrzucił bieg i nacisnął na gaz. Guillén i Marek ocknęli się z otępienia. Nadszedł czas.

– Ty w serce, ja w głowę! – przypomniał mu Marek, unosząc plandekę.

Guillén trzymał karabin za magazynek, przyłożył kolbę do ramienia i położył palec na spuście. Natychmiast zobaczył w szczerbince postać Niemca przed domem; jego niemożliwy do pomylenia mundur. Czekał, aż znajdzie się w jego zasięgu.

*

Lena ruszyła do kuchni, ale odwróciła się i otworzyła drzwi.

– Kurt!

On zatrzymał się na drugim stopniu i rzucił okiem przez ramię.

– Co się stało?

Uśmiechnęła się. Spojrzała na niego z góry na dół, wyprostowanego i wyniosłego w mundurze, absolutnie zauroczona.

– Nic...

*

Guillén czuł pot na skroniach i na rękach. Chwycił karabin z całej siły. Wtedy zobaczył, że drzwi znowu się otwierają. Pojawiła się w nich kobieta.

Niemal natychmiast ją rozpoznał, najpierw z niedowierzaniem, potem przerażony. Miał Lenę na muszce. Prosto w serce. Krew zamarzła mu w żyłach. Nie pomyślał o tym. Po prostu nie był w stanie pomyśleć o niczym, tak był osłupiały. Rzucił się na Marka i powalił go na podłogę.

Wilk zatrzymał ciężarówkę. Nie było słychać żadnego wybuchu.

– Co się dzieje? Dlaczego nie strzelacie? – krzyknął zdenerwowany.

– Nie wiem! – odpowiedział Symcha nie mniej roztrzęsiony.

Dźwięk klaksonu przerwał ciszę. Na ulicy Oskar, szofer kapitana Ardsteina, machaniem przeganiał ich z ulicy, bo tarasowali mu przejazd.

*

– Chciałam cię tylko pocałować jeszcze raz. – Lena przytuliła się do niego. Kurt, który miał jedną rękę zajętą, bo trzymał w niej teczkę, przygarnął ją drugą.

– Bardzo jesteś czuła dziś rano...

– Pewnie coś mi zrobiłeś... – zauważyła zmysłowo.

On przybliżył usta do jej ucha.

– Wrócimy do tego wieczorem... Lubię, kiedy jesteś czuła... Teraz idź do domu, żebyś się nie przeziębila.

Lena w końcu go puściła. Kurt zszedł po schodach, przeszedł przez mały frontowy ogródek, otworzył furtkę i wyszedł na ulicę. Zanim wsiadł do samochodu, odwrócił się, a ona posłała mu kolejny pocałunek od progu.

Wsiadł do buicka z uśmiechem i przez cały dzień myślał o powrocie do domu, myślał o Lenie.

*

Guillén był w szoku. Nawet nie odpowiadał na szalone krzyki Marka.

– Dlaczego, do cholery, to zrobiłeś? Co się z tobą dzieje? Do diabła! Niech cię szlag! Zjebałeś całą operację!

Partyzant wyładował część złości kopniakiem w taboret, który z wielkim hukiem przewrócił się na ziemię.

Siedzący w rogu garażu Wilk, Symcha i Iskra pozwolili, żeby ich dowódca przemawiał za wszystkich i wyrzucił z siebie ich frustrację. Chociaż Wilk, najbardziej niecierpliwy z grupy, miał ochotę chwycić słynnego Ducha za kłapy i przynajmniej go wytrząsnąć, jeśli nie trzasnąć w pysk. Tyle przygotowań, takie napięcie i całe ryzyko na nic.

Jak gdyby Marek czytał w jego myślach, chwycił Ducha za koszulę i potrząsnął nim, ostro wkurzony.

– Nie masz zamiaru nic powiedzieć, kurwa?! – wykrzyczał mu w twarz, dosłownie opluwając go z bliska.

Guillén w końcu na niego spojrział, pustymi oczami, jak szaleniec.

– Ona... – wybełkotał. – Ta kobieta... to... to... moja siostra.

*

Marek dał mu trochę czasu. Ale on potrzebował go bardzo dużo... Czasu, żeby przywrócić ją do swojego życia, jak się wywołuje ducha, mimo strachu, że jednak się pojawi. Czasu, żeby pogrzebać w trzewiach w poszukiwaniu tego, co z takim bólem odrzucił. Czasu, żeby uporządkować emocje, rozkołysane jak morze po przejściu huraganu. Czasu, żeby przyjąć do wiadomości, że ona tam jest, zaledwie o kilka ulic, zaledwie o dzwonek do czarnych drzwi białego domku z czerwonym dachem.

Trzęsły mu się ręce, miał ściśnięte gardło, kiedy stał nieruchomo przed tymi drzwiami, przed dzwonkiem.

„Odejdź, odejdź i nie wracaj. To nie jest twoja strona frontu”, echo tamtych słów, wypowiedzianych tak dawno temu, ciągle wyraźnie rozbrzmiewało w jego uszach. Wraz ze szczękiem zamka jego oddech przyspieszył. Drzwi się otworzyły.

– Czego pan sobie życzy?

Starsza otyła kobieta w uniformie pokojówki przemówiła do niego po polsku. Guillén stał jak wryty. Dopiero po chwili zdołał odpowiedzieć.

– Czy pani jest w domu? – Nie wiedział nawet, czy powinien pytać o panią, czy pannę; i o jakie nazwisko.

Kobieta zawahała się. Nie ufała temu mężczyźnie, który mówił z obcym akcentem i miętosił czapkę w rękach tak, że o mało jej nie porwał.

– A kto o nią pyta?

Guillén wyciągnął liścik z kieszeni.

– Proszę jej to dać. Jeśli jest w domu, poczekam na odpowiedź.

Guillén zauważył, że służąca spojrzała na liścik z niepokojem. Przez chwilę obawiał się, że wyśle go w diabły.

– Chwileczkę – powiedziała w końcu ze zmarszczonym czołem.

Weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Guillén westchnął. Te nerwy go wykańczały.

Jeśli nie uda mu się wejść przez drzwi, wskoczy przez okno. Ale nie odejdzie, nie zobaczywszy Leny.

*

Ponieważ zanosilo się na złą pogodę, Lena postanowiła zostać w domu z rana i poczekać, czy później się przejaśni, żeby iść do sierocińca. Siedziała przy biurku pod oknem, pisała zaległe listy, chociaż w chwili, w której weszła Beata,

wpatrywała się bezmyślnie w krople deszczu za oknem.

– Kto to? – zapytała swoim nieudolnym polskim, bo usłyszała dzwonek.

Kobieta wzruszyła ramionami i podała jej liścik. Gestykułując w przesadny sposób, rzuciła jakieś słowa po polsku, których Lena wcale nie rozumiała. Potem odczekała, aż Lena przeczyta tekst – musiała tylko rozwinąć kartkę wyrwaną z zeszytu.

*Ty, coś na twarzy czuł zimowy wiatr,
Widziałeś chmury śniegowe we mgle...*

Beata zobaczyła, jak jej twarz nagle się zmienia. Lena zrobiła ruch, jakby chciała wstać, ale nie mogła utrzymać się na nogach. Znowu spojrzała na kartkę. Potem na Beatę.

– Czy... on tu jeszcze jest? – Nie potrafiła powiedzieć tego po polsku i ledwie była w stanie wymówić to po hiszpańsku, ale jedno spojrzenie na drzwi wystarczyło, żeby służąca zrozumiała.

– Tak, tak – przytaknęła kobieta przesadnie.

– Niech wejdzie... – poprosiła bardziej gestami niż słowami.

*

Kiedy Guillén wszedł do salonu, Lena była w głębi, stała, opierając się o krzesło, spowita szarym światłem deszczowego poranka. Na zewnątrz deszcz trzeszczał jak stare radio. Pokój zdawał się wypełniony duchami przeszłości unoszącymi się pomiędzy obojgiem.

– Boże... – wyszeptała, zasłaniając sobie usta ręką. – To naprawdę ty...

On, nie wiedząc, jak zareagować, wypowiedział jej imię niczym pragnienie. Lena... A ona spełniła je i biegiem przemierzyła otchłań pokoju.

Przytulenie jak zaklęcie zniweczyło przekleństwo tej lodowej sceny. Lena zatopiła twarz w jego szyi, przytuliła się do jego ciała, podczas gdy Guillén czuł, że brak mu rąk, żeby ją objąć.

– Nic o tobie nie wiedziałam... Nie wiedziałam nawet, czy żyjesz... Napisałam do ciebie dziesiątki pocztówek... Pisałam do hrabiny... Bałam się najgorszego... – Wybuchnęła płaczem.

Guillén miał ściśnięte gardło, które nie pozwalało mu przemówić. Tylko ją niespokojnie głaskał. Ujął jej twarz w dłonie, żeby osuszyć łzy. Kiedy patrzyła na niego z tak bliska, z emocji wymknął jej się uśmiech zmieszany z łkaniem i znowu ukryła się w jego ramionach.

– Jesteś mokry – zauważyła Lena po chwili. – Chodź... podejdź do ognia.

Pociągnęła go do kominka i posadziła w miękkim fotelu. Ściągnęła mu przemoczoną marynarkę i natarła lodowate ręce. Zatrzymała spojrzenie na jego twarzy, surowej i pełnej blizn; jego dziwne jesienne oczy lśniły tylko od łez, coś odebrało im światło. Pogładziła go po polikach.

– Boże... Zmieniłeś się...

Znowu wzięła ręce Guillena w swoje dłonie i pocałowała kikut uciętego palca, nie mogąc pohamować łez.

– Co ci się stało?

– Nie... – Jego głos zabrzmiał szorstko, jakby nie używał go od lat. – Nie chcę o tym mówić. Nie teraz, kiedy jestem tak szczęśliwy. Lena... Myślałem, że już nigdy więcej cię nie zobaczę... – Dotykał jej rozkojarzony, jakby się bał, że ona zniknie. – Byłem przekonany, że nie chcesz mnie już nigdy więcej widzieć...

– Jak możesz mówić coś takiego?

– „Ty, coś na twarzy czuł zimowy wiatr” – wyrecytował, odrzucając duchy jej pytania. – Ile razy czułaś na twarzy zimowy wiatr, Leno?

– Zbyt wiele...

– Jesteś śliczna... Jak góry wiosną. – Mówił szczerze, nawet w snach nie pamiętał jej tak pięknej.

– Nasze góry. – Ona uśmiechnęła się z tęsknotą. – Są tak daleko... Co robisz w Warszawie?

– To samo, co robię już od zbyt dawna: walczę. – Guillén wziął prawą dłoń Leny i pokręcił obręczką na jej palcu. – Jak zawsze po przeciwnej stronie frontu.

Ona, która zrozumiała znaczenie tego zdania, odwróciła wzrok.

– Od dawna jesteś mężatką?

– Niewiele ponad miesiąc. Poznaliśmy się w Rosji; byłam pielęgniarką ochotniczką. – Ta uwaga nie na temat miała mu naświetlić, co się z nią działo przez ten czas, który wydawał się całym życiem.

– Ty też masz mi wiele do opowiedzenia – zauważył ze smutkiem.

– Mamy czas, Guillenie. Wreszcie będziemy mieli cały czas świata. Każę zrobić kawę i coś do jedzenia. Masz ochotę na kieliszek?

Guillén powstrzymał jej entuzjazm.

– Nie, Leno... Muszę iść. Tak naprawdę nie powinno mnie tu być. Musiałem cię zobaczyć – podkreślił z lekką przesadą.

– Ale jak to... Teraz sobie pójdziesz? – spytała, nic nie rozumiejąc.

– Bo... – Nie wiedział, jak się wytłumaczyć, nie mówiąc prawdy. W końcu się poddał. – Zostałem uwięziony, oskarżony o sabotaż, uciekłem z pociągu w drodze do obozu koncentracyjnego, w kieszeni mam fałszywe dokumenty, dalej walczę z nimi... Jak mnie złapią, to powieszają.

Lena była tak zaskoczona, że nic nie powiedziała.

– Ja walczę z Niemcami, Leno. Niemcami takimi... jak twój mąż. Wczoraj

niemal go zabiłem.

Serce podeszło jej do gardła. Spojrzała na niego przerażona.

– Co?

– Dlatego tu jestem. Żeby cię ostrzec. Żeby... spróbować zrozumieć.

Lena opadła na oparcie kanapy. Kręciło jej się w głowie. Pot wystąpił jej na czoło. Zamknęła oczy, próbując dojść do siebie. Guillén zobaczył, że zbladła, i się przestraszył.

– Dobrze się czujesz?

Lena otworzyła oczy i spojrzała na niego błagalnie.

– Dlaczego? Dlaczego chciałeś go zabić?

– Wiem, że ty nie jesteś taka jak oni...

– Dlaczego, Guillén? – powtórzyła; ton jej głosu był bliski wściekłości.

– Mamy o nim informacje... Przyjechał do Warszawy, żeby skończyć z oporem w getcie i zlikwidować je. Zabić wszystkich pozostałych Żydów.

Mina pełna pogardy wykrzywiła twarz dziewczyny.

– To nieprawda. Kurt jest żołnierzem, nie mordercą.

– Problemem Niemców jest to, że ich żołnierze to też mordercy.

– Jak śmiesz...? – Była oburzona.

– Słuchaj, Leno, to nie jest wojna jak inne, nie biorą w niej udziału tylko żołnierze. Nie widziałas, co robią z Żydami?

Od czasów swojego wyjazdu z Hiszpanii Lena rzeczywiście sporo się napatrzyła. Czasem pozwalała umykać zwykłym szczegółom. Widziała, że Żydzi noszą żółtą gwiazdę, że nie mogą chodzić po chodniku, widziała kartki: TYLKO DLA ŻYDÓW albo ŻYDOM WSTĘP WZBRONIONY. Wiedziała, że nie mogą praktykować określonych zawodów; opowiedziano jej, że w Wilnie dowództwo hiszpańskiego szpitala wojskowego miało sporo problemów z niemieckim dowództwem przez to, że zatrudniało personel żydowski. Nawet w samej Warszawie, zaledwie o dwie ulice od ich domu, przebiegał mur getta. Tak, Lena widziała i słyszała wiele rzeczy. Mówili im, że to dla ich dobra, żeby chronić ich przed agresją, żeby skupić razem ich społeczność i zachować tradycje, żeby powstrzymać epidemie, żeby uregulować wykonywanie odpowiednich czynności i uniknąć oszustw... Podawano wiele argumentów mniej lub bardziej przekonujących, żeby to wszystko usprawiedliwić. I Lena chciała w nie wierzyć. Łatwiej było wierzyć.

Podczas gdy ona przeszukiwała swoją pamięć, Guillén dalej wyjaśniał sytuację:

– I nie tylko z Żydami. Także z Polakami, Francuzami, Holendrami, Czechami, Rosjanami, samymi Niemcami... Z każdym, kto nie myśli jak oni. W imię jakichś szalonych idei bezkarnie zabijają dzieci, kobiety, ludzi bezbronných... A wcześniej ich upokarzają, terroryzują, maltretują. Getta, takie jak

to o dwa kroki stąd, to przedsiónek pewnej eksterminacji w obozach śmierci.

Lena milczała, wpatrzona w niego pustym wzrokiem. Guillén przypominał jej o rzeczywistości, której dotychczas udawało jej się nie dostrzegać.

– Skąd możesz o tym wiedzieć? Skąd wiesz, że to nie zwykłe kalumnie?

– Bo tam byłem, bo urwali mi ten palec drzwiami, bo bili mnie do utraty przytomności, bo zostawili mnie na śmierć głodową... Ale byłem więźniem, to prawda. Terrorystą – dodał sarkastycznie. – Tyle że inni widzieli, jak robią to samo z ludźmi niewinnymi. Zabierają ich, a oni już nigdy nie wracają... Setki tysięcy niewinnych ludzi.

Lena pokręciła głową. Była na skraju rozpacz.

– Wiem, że to... twój mąż. – Nawet wymówienie tych słów było dla Guillena trudne.

– Nie, nic nie wiesz – protestowała. – Nie znasz go. I nie potrafisz sobie wyobrazić, jak bardzo go kocham.

Te słowa ugodziły go mocno, jak strzał w brzuch.

– Tak, Leno, mogę to sobie wyobrazić. Ja też wiem, co to znaczy kochać kogoś z całej duszy – stwierdził celowo.

Lena wołała nie komentować tego zdania, już i tak czuła się osaczona.

– To się nie może dziać... Kurt jest dobrym człowiekiem. Musisz mi uwierzyć – błagała go.

– Nawet jeśli ja ci uwierzę... jest więcej ludzi i ten człowiek jest na muszce.

– No to mi pomóż.

– Wiesz, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Ale jak? Chciałbym, żeby nic z tych rzeczy się nie wydarzało, chciałbym, żebyś nigdy nie wzięła ślubu z takim człowiekiem jak on...

– Takim, to znaczy jakim? Jak go widzisz?

– To nazista! Z definicji jest mordercą!

– Ja też? To twój sposób oceniania ludzi? Z definicji?

– Do cholery, Lena! – Guillén wstał oburzony.

Lena westchnęła i spróbowała naprawić sytuację.

– Dobrze... Ty tylko przyszedłeś mnie ostrzec i spełniłeś swoje zadanie. Przyszedłeś nawet z nadzieją, że ulegnę kłamstwom i stanę przeciwko własnemu mężowi. Dla nas obojga byłoby to łatwiejsze... Ale nie wzięłeś pod uwagę, że go kocham i zawsze będę po jego stronie. Dobrze, zostałam ostrzeżona. Teraz muszę tylko opowiedzieć mu to wszystko, żeby miał się na baczności.

Guillén się zaniepokoił.

– Jeśli to zrobisz, to będzie tak, jakbyś mnie zdradziła. Twoja służąca mnie widziała, szybko mnie odnajdą i za dwa dni będę miał Gestapo pod drzwiami. Tego chcesz?

Lena ostatecznie nie wytrzymała.

– No to co mam zrobić! Pozwolić, żebyście ty i twoi kumple zastrzelili go jak psa?! – krzyknęła, żeby za chwilę wybuchnąć spazmatycznym płaczem.

Guillén przytulił ją wzruszony. Wyszeptał kilka słów pocieszenia, które nawet jego samego nie przekonywały, jednocześnie myśląc gorączkowo.

– Pomóż mi udowodnić, że on jest niewinny... – zaproponował w końcu.

– Jak? – załkała Lena.

– Nie wiem... Coś musi być, jakiś dokument, który potwierdzi, kim jest i po co przyjechał do Warszawy. Jakiś świadek... Lena, nie mam pojęcia, ale to jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy.

Lena przytaknęła.

– Zrobię tak... Zrobię, co będzie trzeba. On z tym nie ma nic wspólnego, wiem o tym... – wyznała absolutnie przekonana, jednocześnie ocierając łzy.

Oby rzeczywiście była tak pewna. Oby wszystko było tak łatwe, jak zwykła wiara.

*

Guillén ze stoickim spokojem czekał, aż Marek przestanie krzyczeć. Rozmowa z Leną kosztowała go ciężką konfrontację z nim.

– Co chcesz, żeby ci powiedziała, drogi towarzyszu Duch? To jej mąż, do diabła! A to robi z niej współwinną, nie oszukuj się!

– Daj mi tylko trochę czasu...

– Nie ma czasu! Z każdą minutą umiera więcej ludzi z rąk tych skurwieli!

– A jeśli on jest niewinny? Nie będziemy lepsi od nich, od tych skurwieli, którzy zabijają po to, żeby zabijać! Co nas od nich odróżnia? Co, Marek? Pomyśl o tym! Zabijesz kogoś, bo ktoś ci powiedział, żebyś to zrobił! Nie masz na niego żadnych dowodów! Zachowujesz się jak nikczemny najemnik!

Czerwony z wściekłości Marek chwycił go za kołnierz koszuli.

– Nie waż się mówić do mnie w taki sposób – wycedził o kilka milimetrów od jego twarzy, przeżuwając wściekłość. – Ci niewinni żołnierze w swoich nienaganych mundurach nie zastrzelili twoich rodziców i nie dobili ich strzałem w tył głowy.

Agata, która przyglądała się tej scenie, siedząc w kącie, poruszyła się na krześle. Marek nigdy nie mówił z podobną surowością o śmierci rodziców. Chociaż zareagowała, kiedy brat rzucił Guillena o ścianę. W wyniku uderzenia Hiszpan przygryzł wargę, która zaczęła krwawić. Agata podeszła do niego, ale Guillén odsunął ją, nie przestając patrzeć na swojego przeciwnika.

– Prymitywna zemsta nie przywróci ci ich – rzucił. – A będziesz ją miał na sumieniu przez całe życie...

– To, że zabiłem mordercę? – Zaśmiał się ironicznie.

Guillén zlizął krew z ust.

– Nawet nie wiesz, czy jest mordercą... A niewiedza może z ciebie uczynić mordercę. Pozwól mi się trochę rozejrzeć. Tymczasem możemy zdobyć cenne informacje. A jeśli na koniec się okaże, że on jest tym, za kogo inni go mają, sam go zastrzelę z tobą u boku. Przysięgam.

Marek spojrzał na niego wyzywająco.

– Pierdolony skurwiel... Gównu mnie obchodzi, że ta kobieta jest twoją siostrą. Nie będzie litości dla przestępców. Masz tydzień. Ani dnia więcej.

Po wypowiedzeniu tego ultimatum wziął stojącą na stole butelkę wódki i zamknął się w pokoju, zatraskując za sobą drzwi.

Guillén westchnął. Uniósł rękę do ust i spojrzał na zaplamione krwią palce.

– Masz.

Agata podała mu chusteczkę. Wziął ją i wytarł się. Kaszłał, jakby w ten sposób wyrzucał z siebie całe napięcie.

– Ty to potrafisz wyprowadzić go z równowagi – zauważyła dziewczyna.

– Ma charakter... I jeszcze zabrał wódkę.

Agata uśmiechnęła się.

– Jest jeszcze jedna w kuchni. Należę ci.

– Nie, w porządku. Muszę iść.

Guillén doprowadził się do porządku: poprawił kołnierzyk, wsadził poły koszuli w spodnie i przyczesał włosy. Agata patrzyła na niego w milczeniu. Tak naprawdę zbierała się na odwagę, żeby zadać mu pytanie, które krążyło jej po głowie.

– To ona, prawda? Dziewczyna, która się z tobą wychowała i w której później się zakochałeś...

Guillén nie uniósł wzroku znad guzika, który zapinał, tylko wykrzywił się półgębkiem, co można było uznać za grymas smutku.

– To było bardzo dawno temu... Poza tym ona jest teraz z kimś innym.

– Ty też jesteś z kimś innym.

Spojrzał na nią, zanim odpowiedział, i zauważył niepokój w jej twarzy.

– Tak... Ja też. – Objął ją i przytulił.

– Zostań tutaj na noc. Zaraz będzie godzina policyjna. Halina, Symcha i Wilk wrócą dopiero jutro, a Marek za pół godziny będzie pijany i zaśnie jak dziecko. Będziemy mogli się kochać przez całą noc... – wyszeptała.

Guillén odczekał kilka sekund, zanim zostawił na jej czole pocałunek Judasza.

– Dziś nie mogę. Przyjdę do ciebie jutro.

*

Kiedy Kurt wrócił do domu, Beata powiedziała mu, że pani jest w sypialni. Zaraz tam poszedł i zastał ją leżącą z zamkniętymi oczami. Światło nocnej lampki kolorowało jej wyraźnie blade oblicze. Usiadł przy niej, a ona otworzyła oczy.

– Halo...

– Halo, *Liebling*... Co się dzieje?

– Nic specjalnego. Tylko boli mnie głowa.

– Przestraszyłem się. Beata dużo gestykulowała i nie potrafiła nic wyjaśnić. Jej rosyjski jest okropny, a mój polski jeszcze gorszy – zażartował. – Wezwać lekarza?

– Och, nie, nie. Wzięłam tabletkę i już czuję się lepiej – zapewniła, opierając się na poduszkach.

Kurt pogładził ją po głowie; zostawił dłoń na jej czole przez kilka sekund.

– Nie masz gorączki.

– Wiem. Już ci mówiłam, że to nic poważnego.

– Na pewno chodziłaś po ulicach mimo złej pogody i się przeziębiałaś.

– Nie... Dzisiaj spędziłam cały dzień w domu.

– To mi się podoba.

– Poza tym miałam gościa – dodała, świadoma, że w tej chwili on już o tym wie.

– Tak, Beata mi powiedziała. Kto to był?

– Młody chłopak z sąsiedztwa – odpowiedziała spokojnie. Miała dość czasu, żeby porządnie przygotować jakąś historyjkę.

– Mam nadzieję, że to świątobliwy duchowny. Nie chciałbym myśleć, że młodzieńcy z Warszawy już zaczynają krążyć wokół mojej atrakcyjnej małżonki – zażartował.

– Nie ma o czym gadać... To pomocnik ojca Szymlika. Poprosił mnie o pomoc w przygotowaniach do Wielkanocy. Trzeba udekorować kościół, przygotować Drogę Krzyżową i Czuwanie, zorganizować przedstawienie na Niedzielę Palmową...

– I ten człowiek jest Hiszpanem? Beata mi powiedziała, że rozmawialiście po hiszpańsku.

Lena się zaśmiała.

– Co za kobieta! Nie rozmawialiśmy po hiszpańsku, to był francuski... Beata pewnie pomyliła języki. Niestety prawie nikt nie mówi tu w moim języku. Mój francuski jest bardzo słaby, nie wiem, czy udało mi się dobrze porozumieć z biednym bratem Pasternakiem.

– Dobrze – Kurt wziął ją za rękę – francuski, hiszpański czy polski, wydaje mi się, że za bardzo przywiązujesz się do wszystkich dookoła, a potem za dużo

pracujesz. Nie bez powodu boli cię głowa.

Lena zatopiła wzrok w pościeli, w koronkowych wstawkach.

– Nie... To nie jest praca. Czasem to zmartwienia – wyjaśniła poważniej, niżby się Kurt spodziewał.

Zdenerwował się.

– Jakie zmartwienia?

– Dlaczego nie wrócimy do Berlina?

– Do Berlina? – Zmarszczył brwi. – Wydawało mi się, że ci się tu podoba...

– Nie chodzi o to, że mi się nie podoba, tylko że... ja się boję. Boję się o ciebie. Za każdym razem, gdy wychodzisz przez te drzwi... Boże, czasem myślę, że możesz nie wrócić...

Kurt był zaskoczony tym, że ona jest aż tak przygnębiona. Pogłaskał ją czule, jak małą dziewczynkę. Uniósł jej głowę i spojrzał w szklane oczy.

– Dlaczego to mówisz? Nie ma powodu, żebyś się martwiła, kochana... Byłem w znacznie bardziej niebezpiecznych sytuacjach. W jednej z nich mi towarzyszyłaś. – Mrugnął do niej rozbawiony. – Ale jeśli nie podoba ci się tu i chcesz wyjechać, wiesz, że możesz to zrobić w każdej chwili.

– Wyjechać bez ciebie byłoby znacznie gorzej. Chcę, żebyśmy wyjechali razem.

– Ale ja nie mogę. Muszę skończyć tutaj swoje zadanie.

– A co to za zadanie?

– Ale... skąd takie nagłe zainteresowanie? – Zaśmiał się nerwowo.

– Jestem twoją żoną. To takie dziwne, że chciałabym wiedzieć?

– Nie... Dziwne, nie, ale... Nie wiem... Zapewniam cię, że nie robię nic zajmującego...

– A więc jeśli nie jest to jakaś poważna tajemnica, możesz mi ją wyjawić – nalegała, myśląc, że wypuszcza ostatnią strzałę.

On zareagował z naturalnością:

– Oczywiście, że to nie jest sekret! Kontrola populacji zwierząt, które mogą być potencjalnymi roznośicielami tyfusu, malarii czy jakiegokolwiek innej choroby, która może wywołać epidemię, nie jest żadną tajemnicą. I zapewniam cię, że nie przysparza mi wrogów. Tylko szczury albo pchły mogą chcieć mnie zabić.

Kurt chciał być zabawny, ale ona ani trochę się nie uśmiechnęła. Lena wydawała się naprawdę zmartwiona.

– Nie martw się, Leno – odezwał się słodko. – Uwierz mi, nie ma żadnego powodu, żebyś się tak martwiła.

Skinęła głową, ale bez przekonania. Kurt doszedł do wniosku, że nadeszła chwila, żeby zakończyć sprawę.

– Jesteś głodna? Przynieść ci coś do jedzenia?

– Nie za bardzo, prawdę mówiąc. Ale ty na pewno jesteś głodny. Gabrysia

zostawiła kolację.

– Nie chce mi się teraz jeść. – Zaczął ściągać buty. – Najbardziej chciałbym się położyć tu obok ciebie.

Lena w końcu się uśmiechnęła.

– No to kładź się ze mną, kapitanie Ardstein.

Kurt położył się obok niej. Przyciągnął ją do siebie, otoczył ramionami i odetchnął jej perfumami o zapachu bzu. Zamknął oczy.

Lena czuła się przy nim tak szczęśliwa i tak bezpieczna, że miała ochotę rozplakać się z rozpaczy.

*

Następnego poranka Lena pojawiła się w warsztacie, czym bardzo zaskoczyła Guillena. Chłopak zostawił pracę i zaprowadził ją na tyły.

– Nie powinnaś tu przychodzić. A już na pewno nie tak. – Zganił wzrokiem jej białą jedwabną sukienkę w drobne czarne groszki, rękawiczki i kapelusz; wystrojona, jakby szła na spacer po paryskich bulwarach.

Ona wołała go zignorować. Postawiła na beczce papierową torbę.

– Przyniosłam ci coś do jedzenia. W tych czasach nigdy nie jest za dużo.

Papier głośno szeleścił, kiedy Guillén z ciekawością zaglądał do środka: kawa, masło, brzoskwinie w puszcze, czekolada, kiełbasa i butelka włoskiego wina. W tamtym czasie praktycznie żadnej z tych rzeczy nie można było kupić w Warszawie. To jakby otrzymać koszyk delikatesów na święta.

– Dziękuję... – powiedział i się rozkaszał.

Lena rozejrzała się dookoła, przesunęła ręką w rękawiczkę po półce zawalonej zardzewiałymi puszkami, narzędziami i starymi gazetami. Rękawiczka wybrudziła się na czarno; ściągnęła ją, drugą też, i schowała do torebki.

– Tutaj mieszkasz?

– Tak... przepraszam za bałagan...

– Nie przypuszczam, żeby bałagan to była twoja wina... To miejsce jest...

On jej przerwał. Nie musiała wypowiadać swoich opinii, wystarczyło, że zobaczył jej minę.

– Byłem w znacznie gorszych miejscach, nie skarzę się. Poprosiłbym, żebyś usiadła, ale...

Lena usiadła na pryczy, żeby okazać, że nie ma zahamowań. Deska uwierała ją przez cieniutki materac. Guillén usiadł obok.

– To dobre łóżko, żeby nie spać w nocy. Przez okno w suficie widać gwiazdy – zauważył.

Lena spojrzała w górę. Jej profil odciął się na brudnej ścianie; rondo

kapelusza zakrywało jej oczy, a na skraju wylaniały się jej aksamitne policzki i doskonale usta zarysowane karminem. Guillén miał wielką ochotę ją pocałować.

– Teraz jeszcze do tego pachnie bzem... – dodał cicho.

Uśmiechnęła się i z czułością chwyciła jego rękę tłustą od czarnego smaru. Przestraszyła się, kiedy Guillén znów zaczął kaszleć.

– Jesteś chory? Nie podoba mi się ten kaszel.

– To nic... Mam chroniczny bronchit, pamiątkę po wojnie w Hiszpanii. Ale to nieważne. Teraz mam się dobrze. Dali mi sulfonamidy – przypomniał sobie madame Pourvoyeur – i bardzo mi pomogły. Został mi tylko ten spektakularny kaszel.

Lena wstrząsnęła się na myśl, że to, co widzi, to tylko wierzchołek góry lodowej katastrof, przez które przeszedł Guillén. Poczwała przytłaczający żal.

– Dlaczego nie wrócisz do Francji?

– Bo jestem uciekinierem, bo nie mam papierów podróжных ani pieniędzy i tam nic już nie mam... Hrabina jest w Portugalii.

– Mogłabym ci pomóc.

Guillén wzruszył ramionami.

– Czasem mam ochotę skończyć z tym wszystkim, wieść normalne życie... Czasem czuję się bardzo zmęczony... Kiedy indziej... Cóż, znasz mnie, mam duszę rewolucjonisty, a nie mieszczanina. Nie wiem, ile czasu wytrzymałbym pod skrzydłami hrabiny...

– A... tutaj masz kobietę?

– Tak. Mam – przyznał, jakby to był grzech. – Chociaż... jeśli sądzisz, że to ona mnie zatrzymuje... – Pokręcił głową.

– To prawda, zapomniałam, że nie ma kobiety zdolnej cię zatrzymać.

Te słowa zaskoczyły Guillena jak uderzenie w twarz. Lena zdała sobie z tego sprawę i próbowała się wycofać.

– Przepraszam... Nie chciałam tego powiedzieć. To było nie na miejscu.

– Nie na miejscu i niezgodne z prawdą – bronił się, bardziej zraniony niż obrażony.

Lena postanowiła nie wchodzić w ten problem. Lekko się wyprostowała i podjęła jeden z tematów, które ją tam sprowadziły.

– Kurt ma teczkę. Przynosi ją i zabiera z sobą codziennie. Bez względu na to, co zawiera, pewnie ma jakąś wartość, bo zawsze jest zamknięta na klucz. Mogę ją zdobyć... Jeśli mi przyrzekniesz, że zostawicie go w spokoju.

– Nie boisz się tego, co tam może być?

– Nie. Znam człowieka, którego kocham; to dobry człowiek.

– Jasne... A jeśli się mylisz? A jeśli twój idol spadnie z hukiem z cokołu, na którym go ustawiałaś?

Lena spojrzała na niego podejrzliwie.

– Mówisz to tak, jakby sama myśl o tym cię cieszyła.

Guillén nagle wstał. Mniej palił, ale w tamtej chwili mógł myśleć tylko o papierosach. Poszukał w śmieciach, aż natrafił na ich paczkę, wyciągnął jednego i zapalił.

– Nie powinieneś palić. – Lena nie mogła się powstrzymać.

– Wiem... – Odwrócił się w jej stronę po pierwszym zaciągnięciu się. – Zachowuję to na chwile, kiedy muszę uspokoić nerwy... Trudno mi słuchać, kiedy mówisz w taki sposób. Wiedzieć, że jesteś zakochana w innym tak bardzo, jak bym chciał, żebyś była zakochana we mnie...

Lena zawstydziała się i odwróciła od jego wyczekującego spojrzenia.

– Minęło wiele czasu – przerwała mu cicho. – Mnóstwo się wydarzyło.

Guillén miał ochotę się jej zwierzyć, ale w porę odrzucił ten pomysł. Ciągle ją kochał, to prawda. Ale jego miłość byłaby nieprawdziwa, gdyby postanowił zachłapać ją krwią swoich ciągle otwartych ran. Musi je sobie sam wylizać.

– Tak... Wiele... – potwierdził lakonicznie, zaciągając się. Wtedy dostał kolejnego ataku kaszlu, więc wyrzucił niedopalonego papierosa.

Lena spojrzała na niego z niepokojem, ale on wołał to zignorować i wykorzystać sytuację, żeby zmienić temat rozmowy.

– Dobrze, przynieś mi tę teczkę. Twój mąż będzie bezpieczny, przynajmniej do tego czasu.

– Coś jeszcze... – Przerwała.

On spojrzeniem zachęcał ją, żeby kontynuowała.

– Chcę wejść do getta. Wiem, że możesz mi to załatwić.

Lena spodziewała się krzyków i machania rękami, ale zaległa cisza. Zdaje się, że Guillén przyjął prośbę z większą tolerancją, niż mogła oczekiwać.

– Uważam, że to nie jest dobry pomysł – podsumował spokojnie.

– Nie możesz oskarżać mnie o ignorancję, a później odwracać się do mnie plecami, kiedy proszę, żebyś mi otworzył oczy.

– Nie musisz tam wchodzić, żeby otworzyć oczy.

– Ale chcę to zrobić.

– A wiesz, na co się wystawiasz, jeśli cię złapią?

– Nie jestem idiotką, Guillén. Nie daj się zwieść oczom, ja też byłam już w gorszych miejscach.

– Gorszym niż to, wątpię...

Lena cierpliwie westchnęła.

– Jestem zdecydowana to zrobić. Jeśli ty nie będziesz chciał mi pomóc, wymyślę coś innego.

Guillén ostatecznie złożył broń.

– No, pewne rzeczy się nie zmieniają, dalej jesteś uparta jak osioł. I manipulujesz mną, jak ci się podoba.

Lena uśmiechnęła się.

– Tak, dzięki Bogu są rzeczy, które się nie zmieniają.

*

Guillén znał chłopaka, praktycznie jeszcze dziecko, który z łatwością wchodził do getta i wychodził. Został sierotą krótko po jego zamknięciu, więc utrzymywał się z żebractwa i kradzieży; był to obrotny chłopak, znalazł w murze dziurę, do której docierał przez piwnicę przyległego doń domu. Zaczął szmuglować jedzenie; chleb, ser, jabłka... wszystko, co potrafił zdobyć po aryjskiej stronie, a później sprzedawał to w getcie po cenie złota. Któregoś dnia natrafił na niego Mordechaj Anielewicz, kiedy ten taszczył worek ukradzionych rzeczy. Głupio byłoby nie wykorzystać nadzwyczajnych umiejętności chłopaka, więc zrobił z niego swojego łącznika. Chłopak przyjął pseudonim Igła (bo był wysoki i chudy, tak trudny do znalezienia jak igła w stogu siana) i stał się jednym z najbardziej zaufanych ludzi Anielewicza; przez jego ręce przechodziły informacje, broń, a nawet pieniądze z jednej strony na drugą. Igła poruszał się zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz getta jak szczer, miał oczy i uszy dookoła głowy, niewiele było rzeczy, o których by nie wiedział.

Guillén znalazł go bez trudu. Kiedy przechodził na aryjską stronę, kręcił się po rynkach i stołówkach na ulicach przyległych do muru, zachowując godny podziwu spokój. Przyłapał go jednego dnia na ulicy Żytnej, w pobliżu klasztoru Franciszkanów. Za pomocą czekolady, którą dała mu Lena, oraz nazwisk kilku znajomych z ruchu oporu zdobył sobie jego zaufanie.

– Ty jesteś Duch? Słyszałem o tobie... Marzec i jego ludzie o tobie mówili.
– Igła przyjrzał mu się, po czym schował tabliczkę czekolady za pazuchę. – Tak o tobie gadają, że myślałem, że będziesz niewidzialny jak duch – zażartował.

– To ty przekazałeś Marcowi informacje o tym Niemcu, o Ardsteinie?

– Nie, to była *kashariyot*.

Guillén nigdy nie słyszał tego słowa i pewnie można to było wyczytać z jego twarzy, bo Igła wyjaśnił:

– Łączniczka. Ona spotkała się z Antkiem poza gettem i razem powiadomili Marca.

– Antek?

– To przedstawiciel ŻOB-u po aryjskiej stronie. Dobry znajomy Anioła – powiedział, mając na myśli Mordechaja Anielewicza.

– A więc wiadomość wyszła z getta?

Igła przytaknął.

– A skąd można wziąć w getcie tak dokładny raport?

– Nie można. Jakiś facet dał go Aniołowi. Byłem przy tym, jak to zrobił.

– Facet?

– Tak, to taki kapuś. Normalnie daje nam informacje od Niemców. Ma kontakty na zewnątrz, ludzie opowiadają mu różne rzeczy. Wchodzi do getta i wychodzi przez ukryte przejście w piwnicy przy Nowolipkach. Ja też czasem tamtędy przechodzę, kiedy w mojej okolicy kręci się policja. Którejś nocy go tam widziałem.

– Wiesz, jak on się nazywa?

Chłopak zastanowił się, zanim odpowiedział:

– Dawid... Ziemian. Tak, Dawid Ziemian.

*

Lena włożyła stare ubrania, niemal łachmany, i zawiązała chustkę na głowie, jak robiły Żydówki. Dostała ubrania z kościoła.

– Po co ci one? – dziwił się ojciec Szymlik, usłyszawszy tak dziwną prośbę.

– Lepiej, żeby ojciec nie wiedział.

Ksiądz więcej nie pytał. Rzeczywiście w tych czasach lepiej było za dużo nie wiedzieć.

Umówili się na spotkanie na godzinę przed świtem na skrzyżowaniu ulic Łuckiej i Wroniej, o kwartał od getta, z pracownikiem kanałów, którego wcześniej przekupili, żeby poprowadził ich labiryntem podziemnych tuneli. Guillén jej towarzyszył. Wśliznęli się przez właz na chodniku do wąskiej i ciemnej otchłani o gęstym śmierdzącym powietrzu, brodzili w ściekach, czasem sięgających im po kostki, pośród szczurów, których nie widzieli, ale czuli, jak przebiegają im koło nóg.

Lena trzymała mocno Guillena za rękę, starając się nie czuć, nawet nie oddychać. W jednym z tych tuneli, gdy ona dawno już straciła poczucie czasu i przestrzeni, spotkali się z jakimś chłopakiem, który zamienił z Guillenem kilka słów i zajął miejsce polskiego robotnika jako przewodnik w kanałach. Był z ŻOB-u i doskonale znał podziemną sieć tuneli, które od początku roku kopali pod ulicami getta, żeby się ukryć, handlować albo uciec. Poprowadził ich aż do wyjścia w bunkrze przy ulicy Franciszkańskiej. Tam dołączyła do nich dziewczyna nie starsza od Leny, ubrana jak mężczyzna: spodnie, koszula, czapka, ciężkie buty i stary wełniany płaszcz.

– To są Moryc i Frania. Będą nam towarzyszyć. Widziałas ich twarze, spróbuj ich naśladować.

Puste oczy, wykrzywione usta, mroczna mina. W tych twarzach można było wyczytać całą ludzką nędzę. Lena kiwnęła głową. Tak bardzo ją mdliło po

podziemnej podróży, że wcale nie musiała się wysilać, żeby przybrać zboliałą minę.

Guillén wręczył jej opaskę z gwiazdą i wyszli na zewnątrz.

Nie miało znaczenia, jak przygnębiające i duszące było przejście kanałami; ten wstęp nie przygotował jej wystarczająco na to, co właśnie miało ją spotkać.

Miasto znienacka przekształciło się w ruiny, bez życia i barw, nawet światło było mroczne. Szli przez ruiny, po rupieciach, po śmieciach, po resztkach życia dziesiątek tysięcy ludzi: roztrzaskane meble, wyprute materace, powyrywane kartki, podarte fotografie, pojedyncze buty, niemy gramofon... Z tego wszystkiego wykwiatało brzmienie przejmującej ciszy i przepęniało ich przerażeniem, przygnębieniem, niepokojem i niezrozumieniem, echem chwil, kiedy ulice w getcie pełne były głodu i chorób, śmierci na każdym rogu. Teraz w zasadzie mieszkaly tu wyłącznie duchy i trochę ludzi uwięzionych w swoim fatalnym przeznaczeniu. Ich mętne spojrzenia wyłaniały się z każdej dziury, byli jak zaszczute zwierzęta. Lena mogła ich usłyszeć wokoło, tak jak słyszy się brzęczenie roju pszczół. Mogła poczuć strach i ból, wyczuć go w powietrzu wypełnionym cierpkim zaduchem zniszczenia i porzucenia. To wszystko skręcało jej brzuch; mdliło ją.

Zanim skręcili za róg ulicy, Guillén chwycił ją mocno i odsunął na bok. Za późno, ona już zobaczyła nagiego trupa kobiety, leżącego przed drzwiami kamienicy, szkielet obciążony skórą. Moryc przykrył go gazetą.

– Niektóre rodziny, gdy ktoś z nich umiera, rozbierają człowieka i zostawiają na ulicy. Nie mają innego wyjścia, nie są w stanie zapłacić kwoty, której żądają od nich Niemcy za grzebanie zmarłych. Co do ubrania... nawet najgorsze szmaty mają swoją cenę. Za kilka dni ktoś zabierze trupa i wrzuci do wspólnego dołu. Wielu tak leży...

Lena słuchała wyjaśnień Guillena bez słowa.

Przeszli za róg, na którym zwykle zebrało rodzeństwo, chłopak i dziewczyna, mniej niż dziesięcioletni; oboje zmarli w zimie 1942 roku, jedno opierając się głową o drugie. Przeszli koło muru, pod którym żołnierze rozstrzelali całą rodzinę z pięciorgiem małych dzieci; obok poczerńiałego budynku, który Niemcy podpalili w czasie wywózek; przez miejsce, gdzie jakaś kobieta zamieniła biżuterię na jedzenie dla dzieci. Przeszli obok drzwi do sierocińca prowadzonego przez Janusza Korczaka, skąd w któryś sierpniowy dzień wyruszyło ponad dwieście przestraszonych dzieci, pośród krzyków Niemców i uderzeń pałek, pośród lamentów i wystrzałów w powietrze, do obozu koncentracyjnego. Lena odłączyła się od grupy i wśliznęła do środka przez na wpół przymknięte drzwi. Wnętrze było splądrowane, wywrócone do góry nogami; zostało tylko trochę poniszczonych metalowych łóżek i poprzewracanych stołów. Jej kroki rozbrzmiewały w ciszy pustych sal i korytarzy. W jakimś kącie, pod rozbitym szkłem, zobaczyła szmacianą lalkę. Pochyliła się i ją podniosła; brakowało jej jednej ręki i miała zmasakrowaną twarz, sukienka też była podarta. Pogłaskała lalkę.

Guillén, który dołączył do niej w milczeniu, chciał ją pocieszyć i położył jej rękę na ramieniu. Ona się odwróciła, z twarzą białą jak trup.

– Proszę... – wyszeptała. – Chodźmy już. Zabierz mnie stąd. Więcej nie dam rady...

*

Kurt wszedł po schodach, pogwizdując, przeskakując po dwa stopnie. Przez cały dzień nie mógł się doczekać, aż wreszcie znajdzie schronienie w domu, tej bańce, która utrzymywała go z daleka od panującego wokoło zgiełku i szaleństwa, i w ramionach kochanej kobiety, jedynej osoby, która go interesowała na tym plugawym i szalonym świecie.

Włożył klucz w drzwi i wszedł do przedpokoju. Zaraz powitało go ciepło i zapach jedzenia dobiegający z kuchni. Odłożył teczkę na stolik i rozpiął górny guzik munduru oraz kilka guzików koszuli. Był głodny, ale najpierw chciał się napić piwa, siedząc u boku Leny, i podczas gdy ona będzie robić na drutach sweterki, porozmawiają sobie aż do kolacji.

Z takimi zamiarami wszedł do salonu.

– Halo, *Liebling*? Co u ciebie?

Lena siedziała na kanapie. Milcząca i nieruchoma. Zaniepokojony Kurt przeszedł przez salon szybkim krokiem. Przyklęknął przy niej i wtedy zauważył starą szmacianą lalkę, którą trzymała w drżących rękach.

– Co się dzieje, *Liebling*? – zapytał, szukając jej oczu.

Nie otrzymał odpowiedzi.

– Leno... – nalegał. – Dobrze się czujesz?

Ona ciągle bez słowa pokręciła głową i w końcu zwróciła na niego oczy pełne łez. Kurt czekał ze wstrzymanym oddechem.

– Byłam dzisiaj w getcie – załkała.

Młody kapitan poczuł, jakby podmuch lodowatego wiatru wpadł przez okno. Przeszył go dreszcz. Z nagle zimnymi rękami, chwycił lalkę, którą trzymała Lena. Spojrzał na nią, w sumie nawet jej nie widząc, bo zaślepiły go dziesiątki myśli galopujących po głowie.

Tymczasem Lena dalej łkała.

– Powiedz mi dlaczego... Ty musisz to wiedzieć...

Kurt ścisnął brudną lalkę. Chłód nagle zamienił się w duszący upał.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

Wobec niezwyczajnie surowego tonu jego głosu Lena z wściekłości wybuchła płaczem.

– Nie myl grzechów, Kurt. Po tym, co dzisiaj zobaczyłam... – próbowała

powstrzymać drżenie ust – to wykracza poza możliwości tolerancji każdego człowieka... To jest nienormalne, podle... Nie mam słów.

– Nie powinnaś była tam iść – ciągnął, nie zmieniając tonu. Nie chciał na nią patrzeć, miał zmarszczone czoło i wzrok wbity w dywan.

Ona starała się usprawiedliwić.

– Nie – powstrzymał ją. Wstał i spojrzał na nią. – Posłuchaj mnie. Nie chcę wiedzieć, jak to zrobiłaś, wolę tego nie wiedzieć. Ale żądam od ciebie, żebyś mi przyrzekła, że więcej tego nie zrobisz. Pójście tam jest zabronione, rozumiesz? Pod karą śmierci. Do tej pory zgadzałem się na twoje... kaprysy, ale jeśli dalej będziesz się tak zachowywać, odeślę cię do Berlina albo zamknę w domu.

– Jak możesz mówić do mnie w taki sposób? – powiedziała Lena oburzona.

– Jak możesz żądać ode mnie, żebym była współodpowiedzialna za to barbarzyństwo? Jak możesz uważać, że przejdę nad tą sytuacją do porządku?

– Bo jestem twoim mężem! – Po raz pierwszy Kurt podniósł głos, był bliski utraty panowania nad sobą.

– Tak... I wydaje mi się, że tak naprawdę wcale ciebie nie znam. Gdybyś był człowiekiem, w którym się zakochałam, nie mówiłbyś do mnie w taki sposób. Przeciwnie, wstydziłbyś się nosić ten mundur. Miałbyś sumienie!

Twarz Kurta jeszcze bardziej sposepniała. Zaczął głośno oddychać, jakby dyszał tym, co przemilczał jego język. Sposób, w jaki na nią spojrzał, złamał jej determinację.

– Powinnaś przestać mówić o rzeczach, o których nie masz pojęcia, i ugryźć się w język, zanim zaczniesz mnie oceniać. Nie wiesz tego, ale robisz mi wielką krzywdę. A są rany, które mogą się okazać śmiertelne – powiedział z chłodem, który sprawił, że zaniemówiła.

Kurt pohamował się, przestał wyrzucać z siebie żółć, od której czuł gorycz w ustach. Resztki gniewu pozbył się, odrzucając Lenie szmacianą lalkę, która upadła na kanapę. Potem natychmiast opuścił pokój.

*

Przez kilka nocy Guillén bezskutecznie obserwował drugą stronę ulicy Nowolipki, gdzie znajdowało się wyjście z getta, o którym mówił Igła. Zaczynał myśleć, że może ten Zieman nie wybiera się na aryjską stronę tak często, jak się spodziewał, a może nawet używa innych przejęć.

A jednak tamtej nocy dostrzegł ze swej kryjówki postać, która zdawała się wylaniać znikąd. Guillén szedł za nią aż do najbliższego przystanku, gdzie facet wsiadł do tramwaju jadącego na ulicę Wolną, zajmując bezczelnie miejsce w wagonie zarezerwowanym dla Niemców.

Może to nie był Ziemian, ale warto było ryzykować i go śledzić. W końcu odpowiadał opisowi dostarczonemu przez Iglę: „Jest gruby. Nie ma zbyt wielu ludzi, którzy w dzisiejszych czasach mogą sobie pozwolić na luksus przytycia, a zwłaszcza Żyd”. Jeśli do tego dołożyć czarne kręcone włosy, pękate policzki i bliznę na jednym z nich, możliwości pomyłki były naprawdę niewielkie.

Rzekomy Ziemian wysiadł na początku ulicy Karolkowej, poszedł do fabryki Philipsa i wypalił papierosa, przystając pod murem. Wyglądało na to, że na kogoś czeka. A jednak kiedy rozległa się syrena fabryczna i z bramy wysypali się robotnicy, dołączył do nich i wszedł do pobliskiej knajpy. Guillén po chwili ruszył w jego ślady. Przeszedł pomiędzy tłumem robotników, szukając wzrokiem Ziemiana, i znalazł go siedzącego samotnie przy stoliku. Przeciskając się, lekko ochlapany piwem, znalazł sobie miejsce przy barze, skąd mógł mu się przyglądać; wygrzebał z kieszeni kilka monet i zamówił piwo u dziwnego człowieka stojącego za barem.

Jeszcze go nie dostał, kiedy jakiś mężczyzna przysiadł się do Ziemiana. Przeciętny człowiek, niczym się nie odróżniał od lokalnej fauny. Przyjrzał mu się. Zbyt ryzykowne byłoby podchodzenie, żeby podsłuchać rozmowę. Zwrócił uwagę na brak uśmiechów u obu i na wiele ukradkowych spojrzeń w kierunku sali. Ci dwaj nie wyglądali na przyjaciół. Ziemian wyraźnie się pocił, ale mogło to też wynikać z panującej w lokalu temperatury. Tamten drugi jednak się nie pocił, wydawał się tylko wzburzony i ewidentnie to on nadawał ton rozmowie – krótkiej, zakończonej dwoma szybkimi łykami piwa, po których nieznajomy sobie poszedł. Tylko raz Ziemian otarł pot z twarzy brudną chusteczką; wyglądał na niespokojnego.

Guillén przez chwilę zastanawiał się, czy zaczepić nieznajomego Żyda, czy udać się za jego jeszcze dziwniejszym rozmówcą. Dopił piwo i pośpieszył do wyjścia dokładnie w chwili, kiedy tamten wychodził z lokalu.

Chyba ostatnią rzeczą, której by się tamtego dnia spodziewał, było to, że skończy w niemieckiej strefie miasta, naprzeciwko numeru 25 w alei Szucha. Tam wszedł ten człowiek, którego każdy wziąłby za Polaka: do centralnego biura SiPo, niemieckiej policji bezpieczeństwa. Miejsce to jednak było bardziej znane jako więzienie Gestapo w Warszawie.

*

Kurt nie pojawił się w salonie, nawet nie zszedł na kolację. Zamknął się w sypialni i położył przy zgaszonym świetle. Lena również nie była w stanie nic przełknąć, poszła do łóżka niebawem, wyczerpana płaczem na kanapie; wolała położyć się w pokoju gościnnym, który zawsze stał pusty.

Była trzecia nad ranem, kiedy ciągle nie mogąc zasnąć, postanowiła zejść na parter. Boso przemknęła bezszelestnie po schodach, korzystając jedynie ze światła wpadającego z ulicy; szła ze wstrzymanym oddechem i przy każdym skrzypnięciu starej podłogi czuła strach.

Tak jak się spodziewała, aktówka Kurta leżała tam, gdzie ją zostawił, przy wejściu w przedpokoju. Wzięła ją i zamknęła się w gabinecie. Zapaliła światło na biurku, czystym i uporządkowanym, bo Kurt praktycznie go nie używał. Otworzyła jedną z szuflad i włożyła rękę aż na jej dno. Pamiętała, że gdy kiedyś szukała koperty, natrafiła tam na klucz zagubiony pośród innych rzeczy. W końcu go odnalazła: mały prosty kluczyk w kształcie krzyża, który zdawał się pasować do zamka aktówki. Modliła się, żeby tak było, gdy wsuwała go w zamek, i poczuła ulgę, gdy ustąpił.

Otworzyła teczkę ze ściśniętym sercem i poczuła wydobywający się ze środka zapach skóry i papieru. Zaczęła ją opróżniać: paszport Kurta z biletem Berlin–Warszawa wsuniętym między strony; notes ze skórzanymi okładkami i bieżącym rokiem wytłoczonym złotymi literami; plan centrum Warszawy z kilkoma punktami zaznaczonymi na czerwono; kilka listów, kartonowa teczka z dokumentami. Poszukując między przegródkami teczki, znalazła metalowe pudełko miętowych cukierków, spinacz i kilka drobnych monet, razem niecałą markę.

Przejrzała środek teczki i przerzucała karki zapisane po niemiecku, pełne pieczętek i notatek na marginesach; niemiecki orzeł ze swastyką w wieńcu laurowym widniał na szczycie każdej kartki. Znalazła dwie kartki z imionami i nazwiskami, które mogły być polskie, dołączone do czegoś, co wyglądało jak raport. Położyła to wszystko na biurku, również plan, listy i otwarty notes na stronie odpowiadającej poprzedniemu tygodniowi. Z kieszeni szlafroka wyciągnęła małą leicę, którą dostała od męża po ślubie, i zaczęła wszystko fotografować.

Szczęk aparatu robiącego zdjęcia wydawał jej się potwornie głośny w tej ciszy. Z napiętymi nerwami starała się robić wszystko jak najszybciej. Czuła jednak, że ma ręce jak z galarety, trzęsły się i były spocone. Ledwie potrafiła złapać ostrość.

Wtedy, pomiędzy jednym zdjęciem a drugim, wydało jej się, że słyszy trzaśnięcie drzwi u góry i kroki na korytarzu. Nadstawiła uszu i stłumiła przyspieszony oddech; rzeczywiście to były kroki; Kurt się obudził.

Czym prędzej zebrała porozrzucane dokumenty, stając się zachować ich porządek, i odłożyła je na miejsce. Zamknęła teczkę, wrzuciła klucz do szuflady razem z aparatem, odłożyła teczkę na krzesło, zgasiła światło i pobiegła do drzwi.

Kiedy weszła do przedpokoju, Kurt schodził po schodach. Zobaczyła jego sylwetkę pod słabe światło wypływające zza przymkniętych drzwi sypialni.

– Nie wiedziałem, gdzie jesteś... – powiedział, widząc ją u dołu schodów.

Jego głos był znacznie mniej szorstki, niż się spodziewała.

Lena długo nie odpowiadała; starała się uspokoić oddech. Czowała, że serce pulsuje jej w gardle.

– Poszedłem do pokoju gościnnego i zobaczyłem, że tam byłaś... – kontynuował.

Przyglądał jej się z góry, mniej więcej z połowy schodów, stojąc nieruchomo. Ona też się nie poruszyła. Owinęła cienki jedwabny szlafrok wokół ciała; czuła się wręcz naga. Odchrząknęła.

– Poszłam do kuchni po coś na ból głowy. Nie chciałam cię budzić. Już wracałam do łóżka.

Lena zaczęła wchodzić po schodach, trzymając się poręczy. Zachowując dystans, przeszła obok niego, nie dotykając go ani na niego nie patrząc. Kurt chwycił ją za rękę.

– Przepraszam...

Zatrzymała się, mając go za plecami. Czowała, jak gładzi jej dłoń kciukiem.

– Przepraszam, że tak do ciebie mówiłem... Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem... Nie miałem prawa tak się zachować.

Lena westchnęła.

– Nie chodzi o to, jak się do mnie odzywasz, Kurt... To jest najmniej istotne. Mówiliśmy o znacznie poważniejszej sprawie...

– Rozumiem, jak się czujesz, *Liebling*... Chciałem cię tylko trzymać od tego z daleka. Ja tylko chciałem cię bronić. – Ton jego głosu zbliżał się do desperacji.

W końcu na niego spojrziała.

– Tak mało mnie znasz? Uważasz, że jestem taka słaba? Tak... głupia? No właśnie, Kurt! Trzymanie mnie z daleka od tego nie zmienia faktów, faktów, których ty zawsze byłeś świadomy.

– Ale nie odpowiedzialny, nawet nie współodpowiedzialny. A ty oskarżyłaś mnie o obie te rzeczy. Mundur mnie nie określa, Leno. Ta wojna toczy się na wielu frontach. Nie chcę, żeby któryś z nich przebiegał przez mój dom i przeciwko mojej żonie. – Kurt objął ją w talii. – Kocham cię... Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo to wszystko mnie boli.

Lena znowu poczuła, że zbiera się jej na płacz.

– A myślisz, że mnie nie boli? – zdołała odpowiedzieć jeszcze mocnym głosem.

– W takim razie wybacz mi. Zapomnijmy o tym, co się stało. Wróć do łóżka. Wróć do mnie...

– Do ciebie, to znaczy dokąd? Po której stronie frontu jesteś?

– Na pewno po tej samej co ty. Kiedy cię poznałem, ty też miałaś niemiecki mundur; zastanów się nad powodami, które skłoniły cię, żeby go włożyć. Moje nie są inne.

Lena zaczynała się poddawać. Nie chciała się więcej kłócić. Oparła głowę na jego piersi. Chciała go tylko objąć i poczuć jego uścisk.

– Mam nieprzyjemne wrażenie, że nie opowiadasz mi całej prawdy... – wyznała cienkim głosem, czując jego pocałunki na karku.

– Nie, *Liebling*, nie opowiadam ci całej prawdy.

Wyprostowała głowę; nie była przygotowana na taką szczerość.

– Gdybym ci ją opowiedział, tylko wystawiłbym cię na niebezpieczeństwo – wyjaśnił Kurt. – Ale błagam cię, zaufaj mi. Już wiesz: nigdy, przenigdy nie zrobię nic, co by cię zasmuciło. Przyszekam ci to.

Dwie ciężkie łzy żalu spłynęły po policzkach Leny. Kurt ją pocałował. Ona przytuliła go niespokojnie.

– Tak bardzo cię kocham... – wyszeptała.

*

W zamian za puszkę brzoskwiń w syropie Igła zaprowadził go do jednej z ostatnich kawiarni, które jeszcze działały w getcie. Kawiarnia Karioka znajdowała się przy ulicy Grzybowskiej, w tak zwanym małym getcie, które łączyło się z dużym gettem przez kładkę przerzuconą nad ulicą Żelazną. Lokal należał do pewnego żydowskiego policjanta. Według Igły Ziemian zwykle tam przesiadywał wieczorami, pijąc i grając w karty.

Guillén zasłonił się aż po oczy szalikiem i porządnie naciągnął czapkę na czoło. Poczekał w pobliżu kawiarni, na rogu ulicy Ciepłej, ukryty w bramie zrujnowanej kamienicy. Kończący się dzień, spowity mgłą i cieniami, wydawał się właściwy dla duchów.

I jak duch wyłonił się znikąd i stanął przed Ziemianem. Zanim tamten zdołał zareagować, kopnął go w brzuch i zgiął go wpół. Następnie chwycił ramieniem za szyję, a drugim za głowę. Pociągnął go za sobą do wnętrza budynku, Ziemian tylko dyszał. Guillén miał wrażenie, że wlecze worek łoju, ciężki i drżący, śmierdzący potem i wódką. Lepiej, że jest pijany.

– Jeśli się poruszysz, Ziemian, skręcę ci kark. – Tym sposobem ustalił warunki spotkania.

– Kto...? Kim jesteś...? – wyjęczał tamten.

– Opowiedz mi o swoich wycieczkach poza getto. – Jego głos zza szalika brzmiał natarczywie, wrogo, ponuro.

– Nie wiem... Nie wiem o...

Guillén mocniej zacisnął ramię wokół gardła. Ziemian dyszał jak knur.

– Jakie interesy robisz z Gestapo, co?

– Co...?

– Facet, z którym się spotkałeś w knajpie na Wolnej!

Ziemian starał się wywinąć, zobaczyć jego twarz, ale nie mógł skrócić szyi.

– Co za Gestapo? To mój informator! To Polak! – Z nerwów i pijaństwa mówił z trudem.

– Kłamiesz! Wszystko widziałem, Dawidzie Ziemian, wiem o tobie wszystko – postanowił mu wyjaśnić. – On jest agentem Gestapo, a ty pierdolonym zdrajcą, szcurem gotowym sprzedać swoich! Ile informacji już przekazałeś Niemcom?

Wściekłość spowodowała, że Guillén ścisnął go jeszcze silniej. Kiedy zdał sobie sprawę, że tamten się dusi, zwolnił nieco uścisk.

– Co wiesz, o Hauptmannie Ardsteinie?

– Nic... – Zakaszłał. – Nic, przysięgam. Oni... kazali mi go wyeliminować.

– Kto?

Ziemian nie odpowiedział, pocił się i dyszał, jakby miał dostać zawału.

– Potrzebuję tylko tej ręki – Guillén uszczypnął go w kark – żeby cię tu załatwić.

– Niemcy... Gestapo, kurwa! – wyznał Ziemian z trudem

– Dlaczego?

– A skąd mam wiedzieć? Czy to ważne? To tylko Szkop!

Guillén uznał sprawę za zakończoną.

– A ty, kretynie – wysyczał mu do ucha – puścisz farbę do swoich przyjaciół i już nie żyjesz. A jeśli chcesz mojej porady, lepiej zniknij z Warszawy. W getcie i poza nim niedługo wszyscy będą wiedzieć, dla kogo pracuje Dawid Ziemian.

Swoje słowa zakończył uderzeniem w głowę ofiary. Zostawił go leżącego w bramie, kompletnie nieprzytomnego, i wybiegł stamtąd.

*

Spotkali się w parku Traugutta, tuż obok rzeźby przedstawiającej Macierzyństwo. Lena czekała na niego, siedząc na ławce i od niechcienia przyglądając się grupie dzieci biegających pomiędzy drzewami; ich śmiech wydawał się pochodzić z innych czasów. Guillén zajął miejsce obok niej i szybko się przywitali, w ogóle się nie dotykając; spojrzawszy na nią, zobaczył, że ma sińce pod oczami i jest bardzo blada; i inne, mniej rzucające się w oczy oznaki, że nie śpi od kilku nocy. Miałby ochotę ją przytulić.

– Nie udało mi się ich wywołać. Nie wiem, gdzie to zrobić, nie zwracając na siebie uwagi.

Lena podała mu kopertę. Gdy ją otworzył, zobaczył rolkę kliszy fotograficznej i trochę pieniędzy.

– Może ty kogoś znasz...

– Tak, dam sobie radę.

– Chciałam sfotografować wszystkie dokumenty, ale Kurt prawie mnie przyłapał. Musiałam zostawić aktówkę w innym miejscu, więc pewnie teraz coś podejrzewa...

– Co było w środku?

– Niewiele. Notes, kilka listów i teczka, na pierwszy rzut oka z raportem. Wszystko było po niemiecku, a nie miałam czasu, żeby spokojnie je przeczytać. Sfotografowałam część notesu, koperty listów i pierwsze strony raportu. I listę nazwisk. Więcej nie zdążyłam.

– Nie martw się... Może to wystarczy.

– Tak...

Lena spuściła głowę. Jej twarz była zasłonięta kapeluszem. Dzieci sobie poszły i zapanowała cisza; nawet ptaki nie ćwierkały. Powiał wiatr i Guillén zobaczył, że ona drży. Pomyślał, że jej błękitna sukienka jest zbyt cienka jak na warszawską wiosnę i to mdłe słońce. Wbił wzrok w jej ręce na podolku, w obrączkę na palcu, długim i chudym; wydało mu się, że są lodowate. Chciałby je pogłodzić.

– Leno... Czy wszystko w porządku?

– Nie... Jestem bardzo przestraszona. – Skrzywiła się. – Przyrzeknij mi, że nic mu się nie stanie. Że zostawicie go w spokoju. Przynajmniej tyle jesteś mi winien. Znacznie łatwiej by mi było ostrzec go i skończyć z tym całym przygnębieniem, ale nie robię tego ze względu na ciebie, bo nie chcę cię zdradzić. Bo jesteś moim bratem.

Gdy patrzył na jej twarz, chciałby ją zapewnić, że ją ochroni. Kiedy cieszył się nią, tak wytęsknioną, chciałby pogłodzić jej twarz i wykrzyknąć, że ją kocha. Kiedy miał ją obok siebie, zrobiłby wszystko i obiecał jej rzeczy niemożliwe.

– Przyrzekam.

*

Stary Zygmunt, właściciel warsztatu, w którym pracował Guillén, miał siostrzeńca Jana, pasjonata fotografii. Chłopak w domu, który należał do jego rodziców, zorganizował ciemnię fotograficzną. Czasem wykonywał prace dla AK. Był człowiekiem godnym zaufania.

Po zaledwie dwóch dniach wręczył Guillenowi paczkę zdjęć.

– Przepraszam za papier... Nie jest zbyt dobrej jakości, ale trudno o materiały w dzisiejszych czasach – usprawiedliwił się, podczas gdy Guillén przeglądał zdjęcia.

W sumie nie zwracał na nie zbyt pilnej uwagi, bo były tam jeszcze całkiem inne zdjęcia: portrety Leny z jeziorem w tle, uśmiechniętej, z włosami na wietrze, oczami zmrużonymi w słońcu; robiła miny do obiektywu, puszczała pocałunek w powietrze, stała przytulona do męża...

– Ładna dziewczyna, co? – zauważył Jan, próbując podtrzymać rozmowę.
– I fotogeniczna. Chętnie zrobiłbym jej kilka zdjęć. Ten gość to szczęściarz...

Nie zdając sobie z tego sprawy, Guillén zaciskał szczęki. Ten gość był szczęśliwy. Widać to było po jego uśmiechu, oczach, po wyrazie twarzy, po sposobie, w jaki ją obejmował... Ten typ ukradł mu jego szczęście. Od tego zaciskania szczęki mógł skruszyć sobie zęby.

Jan wyrwał go z zamyślenia.

– A właśnie, jest coś, co mnie zastanowiło. Na pewno zbieg okoliczności.

Guillén w końcu zaczął go słuchać. Spojrzał na jego pryszczatą twarz. Chłopak, nieco zbity z tropu tym nagłym zainteresowaniem, poprawił okulary na czubku nosa.

– Na... na jednym ze zdjęć. Na stronach notesu. Bo to notes, prawda? Zaskoczyła mnie notatka na temat doktora Kaczorowskiego...

Guillén szybko przerzucił zdjęcia, żeby ją odnaleźć.

Rzeczywiście, pod wtorkiem z poprzedniego tygodnia widniał doktor Stanisław Kaczorowski, obok adres i godzina.

Janowi pewnie wydało się, że Guillén zbyt długo nie reaguje na jego uwagę, więc dalej mówił:

– Doktor Kaczorowski był moim wykładowcą fizyki teoretycznej na uniwersytecie. Był kierownikiem katedry. Twardy orzech do zgryzienia.

– Jesteś fizykiem?

– W sumie to nie. Byłem na drugim roku, gdy się zaczęła wojna. Zaraz Niemcy zamknęli uniwersytety i...

Guillén kiwnął głową.

– To Żyd?

– Kaczorowski? Z tego, co mi wiadomo, to nie...

– Myślisz, że jeśli do niego pójde, będę mógł się na ciebie powołać?

Jan podrapał się po karku i wykrzywił usta.

– Nie jestem pewien... Cóż... Miałem najgorszą ocenę z egzaminu po pierwszym semestrze... Był wtedy taki kabaret... i dziewczyna z długimi nogami... i był też Julian, którego nazywaliśmy Kozak... Co za postać...

Guillén uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Skoro tak, to na pewno będzie cię pamiętał.

*

– Nie mówię po niemiecku – uprzedził go Marek. – Ale jest trochę takich samych słów w jidysz, może się domyśle.

Marek przeglądał zdjęcia w milczeniu. Guillén patrzył mu przez ramię. W sumie nie potrafił niczego zdecydować po ich obejrzeniu; wszystkie dokumenty były po niemiecku, a nazwiska z listy też nic mu nie mówiły.

– I co? – zapytał Guillén.

Tamten westchnął głęboko.

– Wielu z tych rzeczy nie rozumiem. Ale jest coś, co jest oczywiste: wszystkie te nazwiska są żydowskie. A co do zapisków na marginesach przy tych nazwiskach, one też są jasne: uciekł, wywieziony, nie żyje... Co do raportu... Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Zdaje się, że to jest studium społeczności żydowskiej w Polsce, według miast: są Poznań, Lwów, Kraków, Warszawa... Społeczności żydowskie przed okupacją, liczba ludzi w gettach... Wspomina się obozy: Treblinka, Auschwitz, Sobibór... I jest coś, co zwróciło moją uwagę: na kopiach nie ma ani jednej oficjalnej pieczętki; nie wiadomo, jaka organizacja je wyprodukowała. To nie jest normalne u Niemców, którzy przybijają oficjalną pieczętkę nawet na kartkach świątecznych. W każdym razie wydaje mi się, że klucz jest w nazwiskach, chociaż nie wiem, co je łączy, poza tym, że są żydowskie, co je wyróżnia aż tak bardzo, żeby robić z nich listę. Jakkolwiek by było, nie jest dobrze, żeby twoje nazwisko trafiło na niemiecką listę. Wydaje mi się, że twój przyjaciel nie jest czysty.

Guillén chciał mu odpowiedzieć, że ten człowiek nie jest jego przyjacielem, ale wolał się skupić na rzeczach istotnych. Przeszedł na drugą stronę stołu, żeby usiąść naprzeciw Marka.

W tej chwili do pokoju weszła Agata, niosąc parujące filiżanki kawy, którą dał im Guillén. Powietrze wypełniło się tym pięknym i niemal zapomnianym aromatem. Dziewczyna postawiła filiżanki na stole i usiadła, po czym wzięła jedną z nich w obie ręce i nasyciła się zapachem kawy, zanim pociągnęła pierwszy łyk. Guillén i Marek nie wydawali się jakoś szczególnie poruszeni egzotycznym napojem, zbyt byli skupieni na rozmowie.

– Mnie się wydaje, że wnioski nie są tak oczywiste – odpowiedział Guillén.

– Wiesz, skąd konkretnie wyszedł rozkaz zabicia Ardsteina?

Marek pokręcił głową.

– Z Gestapo.

Marek nie był szczególnie zaskoczony tą wiadomością.

– Dlaczego tak myślisz?

– Nie myślę, wiem to – zapewnił go Guillén, po czym opowiedział mu historię Dawida Ziemiana.

Marek wysłuchał wszystkiego w skupieniu i dopiero na koniec zauważył:

– To kurwa... Pierdolony zdrajca... Czy Anioł o tym wie?

– Zostawiam tobie zaszczyt powiadomienia go. – Guillén zrobił mu ten mały prezent; wiedział, że Marek, choć jest samotnym wilkiem, lubi się chwalić, zdobywać uznanie u dowódców innych grup.

W końcu wypili kawę, mocną i posłodzoną sacharyną. Była wyborna.

– Jest w tej sprawie coś dziwnego – ciągnął Guillén. – Nie wiem co, ale jest coś dziwnego...

– Niemiec z listą Żydów? To w ogóle nie jest dziwne... Na pewno nie chce ich przedstawić do odznaczenia. Tym bardziej człowiek z takim kryminalnym życiorysem jak Ardstein.

– A po tym wszystkim masz pewność, że ten życiorys jest prawdziwy? Może to historia wymyślona tylko dla nas? Ten człowiek nawet nie jest z SS, to oficer Wehrmachtu.

– I to robi z niego świętego? Oddziały Wehrmachtu paliły i mordowały całe wioski we wrześniu 1939 roku. Gwałcili kobiety, zabijali cywilów... Ci sami żołnierze ganiłi po ulicach Warszawy, żeby wylapywać Żydów. Nie ma znaczenia, jakie noszą mundury, oni wszyscy to barbarzyńcy.

– No to jak wyjaśnisz to, że jego ludzie chcą go zabić?

– Nie muszę tego wyjaśniać. Nie obchodzą mnie ich wewnętrzne walki. Ich powody mnie nie interesują. Ja mam swoje. I mogę cię zapewnić, że ta lista to bardzo dobry powód. – Pokazał palcem na zdjęcie. Guillén popatrzył na nie, a Marek jeszcze silniej argumentował: – Są tutaj też nazwiska kobiet. Może i dzieci. Wszyscy ci ludzie już są skazani na śmierć. I prawdopodobnie nie byle jaką, coś mi mówi, że na jakąś szczególną śmierć, inną niż ta, która jest pisana nam wszystkim. Bo tak, bo pan Hauptmann Ardstein wciągnął ich na swoją listę. A co ja mam zrobić? Siedzieć z założonymi rękami, bo ty mówisz, że to dziwne? – zapytał z lekceważeniem. – Pozwolić, żeby... – przeczytał – Icchaka, Samuela, Henryka, Sarę, Leonarda, Władkę, Ewę... i wielu innych spotkało straszne przeznaczenie, bo ja, który mogłem temu zapobiec, nic nie zrobiłem? – Marek mówił coraz głośniej. – Wiesz, co ludzie zaczynają mówić? Że się boimy. Że go nie zabiliśmy, bo ogarnął nas strach. Że ja stchórzyłem! Ja! Stawką jest moje imię. Pozostali chcą, żeby on zginął, ja mam misję, moim obowiązkiem jest ją wypełnić. Przepraszam, towarzyszu, nic z tych rzeczy tego nie zmienia. – Odsunął zdjęcia.

Guillén siedział w milczeniu, starał się wymyślić więcej argumentów. Coś mu jednak mówiło, że ryzykuje wdanie się w nieskończony łańcuch argumentów i kontrargumentów, które nie doprowadzą do niczego innego, tylko do coraz większego napięcia. Marek niezbyt dobrze znosił rozmowy. Doszedłszy do tego, wstał.

– Dowiodę ci, że jesteś w błędzie. Mam jeszcze trochę czasu.

– Czasu?

– Obiecałeś mi tydzień. Mam nadzieję, że przynajmniej tego dotrzymasz.

Marek wzruszył ramionami.

– Nie wychodzi się na ulicę i nie zabija faceta z dnia na dzień. – To było największe ustępstwo z jego strony.

Guillén skinął głową i wstał, ale Agata chwyciła go za rękę. Uśmiechnął się do niej chłodno, delikatnie wysunął swoją rękę z jej uścisku i odwrócił się na pięcie. Drzwi były blisko; ciche zamknięcie było ich pożegnaniem.

Gdy znalazł się na zewnątrz, poczuł napięcie w całym ciele. Wziął głęboki wdech, żeby się rozluźnić, bezskutecznie. Zapalił papierosa, ale ponieważ znowu zaczął kaszleć, trzymał go tylko w drżących palcach, patrząc na ulicę Freta. Doszedł do dawnych murów miejskich, granicy Starego Miasta, oparł się łokciami na ceglany murku przy moście Barbakanu. Wyrzucił niedopałek i wpatrzył się w suchą fosę.

Co ma powiedzieć Lenie? Jeśli mu się nie uda, jak zdoła jej to wyjaśnić? Nie byłoby słodkich słówek w tej wiadomości: „Nie udało mi się nic zrobić. Zabijają twojego męża. Lepiej, żebyś mu to powiedziała. Żebyś mnie zdradziła. Nie ma dla mnie znaczenia, skoro to cię uszczęśliwi”. Czy ona poświęci się tak samo, gdy nadejdzie ta chwila? Czy postawiłby ją przed podobnym wyborem?

Wyciągnął z kieszeni kopie zdjęć, które sobie zostawił. Pierwsza z nich uderzyła go jak na odlew: Lena z szerokim uśmiechem w ramionach męża. Chwilami czuł się bardzo głupio, ryzykując życie dla tego typu, dla tego Niemca, którego nienawidził do szpiku kości. Jakże łatwo byłoby pozwolić sprawom, żeby toczyły się swoim kursem, zastrzelić go, skoro tak trzeba, i już. Lena znowu byłaby wolna, wolna dla niego, a on mógłby wreszcie jej przypomnieć, jak bardzo ją kocha, coraz bardziej. Jakże łatwo... gdyby nie robił tego wszystkiego dla niej.

Schował zdjęcia do kieszeni i lekkim krokiem skierował się do najbliższego przystanku tramwajowego.

*

Przez trzy dni chodził pod adres z notesu Ardsteina – do doktora Kaczorowskiego. Nie udało mu się go zobaczyć. Zawsze dzwonił kilka razy do drzwi na drugim piętrze kamienicy przy ulicy Częstochowskiej. Nikt nie odpowiadał. Poprzedniego dnia wychyliła głowę sąsiadka z przeciwka. Zapytał ją, czy tam mieszka doktor Kaczorowski, ale kobieta natychmiast bez słowa zatrzasnęła drzwi. Na skrzyńce, nigdzie, nie pojawiała się jego nazwisko.

Guillén zaczął myśleć, że to nieprawdziwy adres. I zaczął się denerwować. Nie zostało mu wiele możliwości, a czas naglił. Dał sobie jeszcze jeden dzień.

Potem ofiaruje swoją głowę w zamian za głowę Niemca: on sam pójdzie porozmawiać z Ardsteinem, żeby go ostrzec.

Uporczywie naciskał przycisk, kilka długich dzwonek. Miał już zamiar dać w tył zwrot, kiedy nagle drzwi się uchyliły i pół pomarszczonej twarzy pojawiło się za łańcuchem.

– Czy pan doktor Kaczorowski?

– Kto to?

– Nazywam się Piotr Waraszko. – Podał nazwisko ze swoich fałszywych dokumentów. – Przychodzę z polecenia Jana Grabskiego...

Po drugiej stronie nie było żadnej reakcji.

– Był pańskim studentem. Na uniwersytecie. Fizyka teoretyczna, drugi rok.

Drzwi się zamknęły, a po kilku metalicznych szczęknięciach otworzyły się ponownie. Guillén stanął twarzą w twarz z nadzwyczaj wysokim staruszkiem, nieco przygarbionym, który miał na sobie dosyć wyświechtany garnitur, ale którego postawa emanowała dumą. Jego siwe włosy były zaskakująco bujne, chociaż dokładnie zaczesane i przylizane. Równie siwe były jego pruskie wąsy. I nosił binokle o cienkich złotych oprawkach zamiast okularów.

– Jan Grabski, co? To utracjusz... Jestem ciekawy, co zrobił ze swoim życiem.

– Robi ładne zdjęcia – odpowiedział Guillén, licząc na to, że uda mu się zaprzyjaźnić ze staruszkiem. – Mogę wejść?

– Tak... Tak, proszę.

Poszedł za powolnym doktorem Kaczorowskim przez długi wąski korytarz do małego salonu.

– Przepraszam za bałagan. – Stary wykładowca zaczął zbierać papiery i szklanki ze stolika. – Rzadko przyjmuję gości, a przez kilka dni nie było mnie w mieście; byłem u siostry. Od śmierci żony zeszłego lata...

Słońce wpadało przez małe okno i rysowało na podłodze świetlisty wielokąt, w kątach zalegały koty kurzu. Reszta pomieszczenia była pogrążona w niepokojącym mroku, zawalonym książkami, meblami i ozdobami. W powietrzu unosiła się woń lupiezu i fajki. To miejsce było dość przytłaczające.

– Wcześniej mieszkaliśmy na ulicy Próżnej – mówił dalej Kaczorowski. – W dużym, słonecznym mieszkaniu, blisko uniwersytetu. Kupiliśmy je z żoną zaraz po ślubie i tam urodziła się trójka naszych dzieci. Jednak kiedy zbudowali getto, zmusili nas do przeprowadzki. Anna nigdy się z tym nie pogodziła. A potem nasz syn Witold zginął na wojnie... Był porucznikiem, wie pan? Zbyt dużo ciosów jak na jej słabowite zdrowie... Biedna moja Anna... Proszę usiąść, proszę bardzo.

Guillén przysiadł na skraju zniszczonej ciemnozielonej kanapy. Zapadł się bardziej, niż się tego spodziewał. Doktor Kaczorowski zajął fotel u jego boku, nabił fajkę i ją zapalił.

– Dobrze, panie Waraszko, w czym mogę panu pomóc?

Guillén przemówił po chwili wahania, nie wiedząc, w jaki sposób przedstawić zagadnienie, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Pewnie nie było takiej możliwości.

– Przejdę bezpośrednio do sedna zagadnienia, doktorze, nie chcę zajmować panu czasu. – Powiedziawszy to, wyciągnął zdjęcie z kieszeni marynarki i podał mu je. – Na tej fotografii jest kartka z notesu kapitana Kurta Ardsteina-Daszkowa z Wehrmachtu. Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co pana z nim łączy, dlaczego spotkał się z panem tamtego dnia.

Staruszek poprawił binokle i zdawał się badawczo mu przyglądać.

– Już widzę, jakie fotografie robi Grabski... Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. – Uniósł głowę i Guillén mógł zobaczyć, że na jego spokojnej twarzy pojawił się surowy wyraz. – Kim pan naprawdę jest, panie Waraszko?

– Nie jestem z Gestapo ani nic z tych rzeczy, o których pan myśli...

Guillén szybko zastanowił się nad tym, jakie ma opcje. Od pierwszej chwili zakładał, że doktor Kaczorowski może być kolaborantem. A jednak po tych kilku minutach spędzonych w jego domu był niemal przekonany co do opcji całkowicie przeciwnej: syn, porucznik Wojska Polskiego; książki o historii Polski stojące na półkach; portret marszałka Piłsudskiego z czarną tasiemką... Wszystko zdawało się wskazywać, że jest to ultranacjonalista. Postanowił zaryzykować i wyłożyć karty na stół.

– I nie nazywam się Piotr Waraszko, tylko Guillén Álvarez, i jestem Hiszpanem. To, co mnie do pana sprowadziło, to bardzo długa historia, którą jestem skłonny opowiedzieć, jeśli będzie pan chciał jej wysłuchać. Wszystko jednak zamyka się w bardzo krótkiej kwestii: kapitanowi Ardsteinowi grozi śmierć; chcę wiedzieć, czy należy do tych Niemców, których należy zabić, czy przeciwnie, należy go ochronić.

Doktor Kaczorowski rozparł się w fotelu i zaciągnął się fajką. Długo wypuszczał dym, zanim odpowiedział:

– W takim razie chyba mogę panu pomóc.

*

Kurt zapiął jej naszyjnik, po czym wykorzystał sytuację, żeby pogłodzić ją po nagich plecach. Lustro odbiło ich obraz: Lena siedziała przy toalecie w swojej najlepszej sukience, dopiero co uczesana i umalowana; brylanty odbijały różnokolorowe światło na jej dekolcie; Kurt stał za jej plecami, z rzędem odznaczeń przyczepionych do galowego munduru. Pocałował małżonkę w policzek.

Rzadko wychodzili wieczorami. Nie prowadzili życia towarzyskiego w tej niewielkiej niemieckiej kolonii Warszawy. Unikali kontaktów; zbyt byli zazdrośni o swoją intymność i niezależność. Byli wszak świeżo po ślubie.

Niemniej tej nocy Filharmonia Drezdeńska z solistą Wilhelmem Kempffem grała w Theater der Stadt Warschau *Koncert nr 5 na fortepian i orkiestrę* Beethovena, jeden z ulubionych utworów Kurta. Kiedy dostali zaproszenie, nie mógł się powstrzymać, żeby nie iść.

– To doskonała okazja, by świętować to, że z każdym dniem jesteśmy bliżej naszego wyjazdu do Hiszpanii – uwodził ją Kurt argumentami.

– Wolalabym świętować to tylko z tobą – zaprotestowała Lena jak potulna dziewczynka.

– Sami też będziemy to świętować. Włożyłem szampana do lodówki na nasz powrót.

*

Guillén zbiegał po schodach w domu doktora Kaczorowskiego. Kiedy znalazł się na ulicy, zapadał zmrok, a on musiał jeszcze przemierzyć całą Warszawę. Podróż tramwajem wydała mu się przytłaczająco długa, przystanek za przystankiem w dużym ruchu sobotniego popołudnia. Postanowił wysiąść trochę wcześniej i przebiec ostatnie ulice do domu Marka.

Niecierpliwie zadzwonił do drzwi.

– Gdzie jest twój brat?

Wszedł.

– Ja też się cieszę, że cię widzę...

Guillén szybko pocałował Agatę, nie przestając mówić:

– Muszę z nim porozmawiać. Mam wiadomości o Ardsteinie. To trochę długa historia, ale on jest niewinny.

Agata usiadła. Jej spokój kontrastował z pobudzeniem Guillena.

– Obawiam się, że już jest za późno...

Mina zrzęda Guillenowi.

– Co?

– Wszedł pół godziny temu. Poszedł z Symchą i Wilkiem. Powiedział, że tym razem cię nie potrzebuje.

– Nie poszedł...

Agata kiwnęła głową.

– Kurwa mać! Pierdolony... wariat!

– Nie! – Agata znowu wstała, żeby stawić mu czoło. – To nie wariat! Miał rację! Zabrał dokumenty do znajomego, który czyta po niemiecku. On powiedział,

że kody Feldpost kopert to Auschwitz i że w dokumentach mówi się o selekcji Żydów ze względu na ich wkład naukowy.

Guillén spojrział na nią, nic nie rozumiejąc.

– To ludzie wybrani, żeby przeprowadzać na nich doświadczenia medyczne. Ludzkie szczury laboratoryjne! Nic o tym nie wiedzieliśmy, ale ten człowiek miał dostęp do raportów agentów AK wysyłanych z Auschwitz, w których szczegółowo opisuje się horror doświadczeń. Trzeba to zrobić, Guillén! Trzeba zlikwidować tego mordercę!

– Nie... Nie mają pojęcia... A najgorsze jest to, że nie chcą go mieć. Muszę powstrzymać ten idiotyzm. Gdzie jest Marek?

– Nie powiem ci! To ty się mylisz, zaślepiiony przez tę... kobietę. Robisz to dla niej. To ona wysłała ci mózg! Myślisz, że tego nie zauważyłam? Już do mnie nie przychodzisz, nie dotykasz mnie ani na mnie nie patrzysz... Już cię nie obchodzę, bo jesteś w niej zakochany!

Guillén nie mógł uwierzyć w ten zwrot akcji. Z nerwami jak postronki nie był w stanie z nią dyskutować.

– Teraz nie czas na to, Agato. Jeszcze o tym porozmawiamy...

Starł się ją uspokoić, ale ona, czerwona z wściekłości, przerwała mu krzykiem:

– Bawiłeś się mną! Przez ten cały czas byłam tylko twoją zabawką! Zmusiłeś mnie do porzucenia Adama! A teraz chcesz mnie rzucić!

Guillén nie miał na to czasu. Chwytał ją za ramię, hamując ochotę, żeby ją spoliczkować i w ten sposób położyć kres atakowi hysterii.

– Dostyc już, Agata! Życie niewinnego człowieka wisi na włosku, a ty rozpętujesz taką scenę? Ogarnij się! Powtórzę to tylko raz – wymamrotał z wściekłością. – Powiedz mi, gdzie jest Marek.

W jaki sposób musiał na nią patrzeć, skoro ona skuliła się z przerażoną miną, którą Guillén uznał za przejaw szaleństwa?

– Naprzeciw Teatru Polskiego – wybąkała. – Jest tam budynek w ruinach. Będą do niego strzelać stamtąd, z trzeciego piętra.

Guillén wypuścił ją, otworzył drzwi i zbiegł po schodach. Agata, leżąc na ziemi, wybuchła spazmatycznym szlochem.

*

Kamienica naprzeciwko Teatru Polskiego, który Niemcy przemianowali na Theater der Stadt Warschau, została zburzona w 1939 roku bombą lotniczą, która poważnie naruszyła jej strukturę. Marek znajdował się na balkonie dawnego salonu jednego z mieszkań na trzecim piętrze. Miał stamtąd doskonały widok na główne

wejście do teatru. Leżący obok Wilk patrzył na nie przez lornetkę. Iskra obserwował schody. Symcha pilnował wejścia do kanału na tyłach, przez który mieli uciec.

Miejsce było przytłaczające. W świetle wpadającym z ulicy było widać meble zasypane gruzem, wiatr świszczwał w dziurach i kołysał resztkami poszarpanych firan. Marek wysunął lufę karabinu przez stłuczone okno. Nie wiedział, jak Wilk zdołał załatwić takie чудо: mauzer K98 z lunetą przybliżającą czterokrotnie, używany przez strzelców wyborowych. Dzięki niemu mógł trafić dokładnie we wszystko z odległości czterystu metrów. A on zawsze był dobrym myśliwym. Skierował lufę na ciągle zamknięte drzwi teatru. Następnie rzucił okiem na zegarek: brakowało kilku minut do końca koncertu. Starł się panować nad podnieceniem, wynikającym zarówno ze strachu, jak i z euforii. On, Marek Lederman, zastrzelił niemieckiego oficera pod samym nosem jego ludzi, tak ważnego w hierarchii terroru, i przejdzie do legendy.

Znowu spojrzął na zegarek. Poczekał; po głowie pałętała mu się stara piosenka w jidysz.

*

Adagio przyprawiło ją o gęsią skórkę, napełniło jej pierś hamowanymi emocjami, miała łzy w oczach. Spojrzała na Kurta: pogrążony w ekstazie wsłuchiwał się w muzykę, pulsowanie fortepianu przenikało każdą komórkę jego ciała; zamknął oczy. Lena wzięła go za rękę.

*

Drzwi teatru otworzyły się punktualnie. Kilka sekund później na schodach pojawiły się pierwsze osoby. Wilk przeczesywał teren przez lornetkę. Miał powiadomić przełożonego, gdy tylko zobaczy kapitana Ardsteina. Marek skupiał się na swojej lunecie; karabin porządnie oparty o ramię, palec na spuście i pulsowanie w skroniach.

Z ulicy zaczęły dobiegać głosy. Coraz więcej ludzi znajdowało się przed drzwiami i rozchodziło na boki.

– Tam. Drugie drzwi po prawej. Teraz wychodzi – wyszeptał Wilk, hamując krzyk.

Marek przesunął nieco lufę i odnalazł cel. Nie mógł wystrzelić w tej chwili. Poczekał, aż odejdzie. Robił to w rytmie tłumu, powoli. Miał czas, żeby zobaczyć jego twarz: uśmiechał się rozluźniony. Wtedy zobaczył kobietę, która mu

towarzyszyła, siostrę Ducha. Była młoda i piękna jak Agata. Trochę się rozkojarzył, lufa się zakołysała. Znowu się skupił. Na Ardsteinie, na jego piersi, pełnej nikczemnych odznaczeń. Przełknął ślinę.

*

Wychodząc, Lena poczuła chłód i ukryła brodę w futrzanej etoli. Jeszcze niosła ją muzyka, odczuwała przyjemną ekstazę. Chciała, żeby Kurt przestał się zatrzymywać i rozmawiać z każdym i żeby już wrócili do domu. Nieświadomie ciągnęła go do wyjścia.

Zatrzymali się pośrodku chodnika, przed głównym wejściem do teatru, zastanawiając się, czy poczekać wraz z innymi na taksówkę, czy przejść w jakieś mniej ludne miejsce.

*

Para podeszła do jezdni. Tłum się przeredzał. Pole było czyste; cel wyraźny.

Marek nacisnął spust.

Po strzale usłyszał krzyk. Krzyk za plecami. Odwrócił się oszołomiony: Duch wpadł do salonu i rzucił się na niego.

*

Lena usłyszała strzał. Przestraszyła się. Krzyknęła; inni też krzyknęli. Odwróciła się do Kurta. On padł u jej boku. Przerazenie wykrzywiło jej twarz; plama krwi wykwitowała na jego mundurze na wysokości piersi. Upadła obok niego. Kurt na nią patrzył. A w tym spojrzeniu były tysiące słów. Wszystkie sprowadzały się do jednego:

– Lena...

– Nie... Nie mów... – zdołała powiedzieć, bezskutecznie starając się zatamować krew rękawiczkami; powoli barwiły się na czerwono.

Dotarło do niej, że nie jest w stanie nic zrobić. Przytuliła go. Wtuliła twarz w jego szyję i zaczęła szeptać:

– Kurt... Nie... Nie, proszę... Nie, nie... Kocham cię... Mój kochany... Kocham cię...

Całowała go rozpaczliwie, aż poczuła, że on już nie oddycha. Krzyknęła jego

imię. Trzymała go mocno w ramionach, jak gdyby w ten sposób mogła go zatrzymać. Po czym pogrzyła się w niepohamowanym płaczu.

Ludzie dookoła krzyczeli. Niektórzy próbowali jej pomóc. Z daleka usłyszeli syreny. A jednak w jej głowie rozbrzmiewał fortepian; utwór Beethovena. Ulubiony Kurta.

*

Guillén czekał przed czarnymi drzwiami białego domu z czerwonym dachem. Ciężkie chmury zapowiadały burzę. Od wczoraj miał skręcony żołądek i targała nim wściekłość. Zebrał całą swoją złość w pięść, całą swoją niemoc, i cisnął ją Markowi prosto w szczękę. Musieli go od niego odrywać; może by go zabił, tak bardzo był zaślepiony furją. Ciągle miał w sobie tę truciznę. I ból z powodu Leny. Samo wyobrażanie sobie, jak ona się czuje...

Nacisnął dzwonek. Służąca pojawiła się po dłuższym czasie. Spojrzała na niego oczami jeszcze czerwonymi od płaczu.

– Chciałbym się zobaczyć z panią.

– Nie chce nikogo widzieć. – Wytarła nos pogniecioną chustką.

– Proszę... Jestem jej bratem – błagał. – Proszę jej to powiedzieć.

Kobieta nie ukrywała zdziwienia.

– Proszę jej to powiedzieć – nalegał.

Tym razem służąca nie zamknęła drzwi. Guillén patrzył, jak ciężko wchodzi po schodach i znika na piętrze. Po chwili wróciła na dół. Wycierała łzy z policzków chusteczką.

– Przepraszam... – załkała. – Przykro mi. Nie chce nikogo widzieć... Proszę to zrozumieć...

Guillén spojrzał ponad ramionami kobiety, na schody prowadzące do nieba. Musiał tylko po nich wejść, pobiec do Leny i ją przytulić.

Drzwi się zamknęły; czarna pustka przed jego oczami.

Wypił butelkę wódki i zapadł w głęboki sen bez bólu i pamięci. A ze snu wyrwały go dalekie eksplozje. On o tym nie wiedział, ale była Pascha, żydowskie święto, i tego dnia Niemcy weszli do getta, żeby dokończyć wywózkę. Setki żydowskich powstańców odpowiedziały ogniem, butelkami z benzyną i granatami. W getcie zaczęło się powstanie.

Został w garażu, przez cały dzień słuchając wybuchów, strzałów i przejeżdżających do getta oddziałów wojska. Z głową pod maską samochodu i ze ściśniętym żołądkiem.

Nocą nastawił radiostację Świt i wysłuchał wiadomości na temat getta.

Wypił jeszcze jedną butelkę wódki.

Następnego dnia dowiedział się, że powstańcy wywiesili dwie flagi na budynku przy Muranowskiej 17, na granicy getta: biało-czerwoną flagę Polski i biało-niebieską flagę Żydowskiego Związku Wojskowego. Dalej było słychać wybuchy, jak grzmoty podczas długiej burzy. Nocą znowu nastawił radio Świt i upił się do nieprzytomności. Przez następne dwie noce tak samo.

23 kwietnia wielka czarna chmura dymu wznosiła się z getta; widać ją było z każdego punktu Warszawy, niczym znak apokalipsy. Guillén wystawił głowę spod maski auta, opanował mdłości i dumę, wypił kilka kieliszków wódki i poszedł przez miasto do domu Marka.

Zadzwoił do drzwi w umówiony sposób: pięć razy, przerwa, pięć razy, przerwa i dwa razy. Drzwi otworzyła mu Halina.

– Co tu robisz? – wyszeptwała przestraszona.

Z kuchni docierały ponure głosy i zapach dymu papierosowego.

– Gdzie jest Agata?

Dziewczyna się zawahała.

– Nie ma jej tu – odpowiedziała, nie patrząc na niego.

– Halina... – Zaczął się pocić na całym ciele z powodu mdłości. Przez to był jeszcze bardziej zniecierpliwiony. – Muszę się z nią zobaczyć. Gdzie ona jest?

Dziewczyna zwlekała z odpowiedzią, chociaż od razu zobaczyła po jego twarzy, że nie ma innego wyjścia.

– Jest w getcie – wyznała. – Poszła z Tosią Altman, łączniczką ŻOB-u, na dzień przed powstaniem. Od tego czasu nie mamy od niej żadnych wiadomości...

Zanim Guillén był w stanie przyswoić sobie znaczenie tej odpowiedzi, wyskoczył Marek z krzykiem:

– Jak możesz tu przychodzić?! Pierdolony skurwysynu! To twoja wina, że ona poszła! Spierdalaj stąd, bo cię zabiję!

Gotowy spełnić swoją groźbę, rzucił się na Guillena, który chwycił go za nadgarstki, gdy pięści już prawie łądowały na jego twarzy. W tej chwili jacyś ludzie, którzy byli z Markiem, złapali go i ich rozdzielili. Guillén rozpoznał pomiędzy nimi Wilka i Iglę. Marek rzucał się jak oszalały, krzyczał i złorzeczył. Halina chwyciła Guillena za ramię i wyprowadziła z mieszkania. Pociągnęła go po schodach w dół, aż zatrzymał się wyczerpany na półpiętrze. Dysząc, usiadł na ziemi i spuścił głowę pomiędzy kolana. Chciało mu się wymiotować.

– Mówiłam ci, że nie powinieneś przychodzić – powiedziała Halina. – Marek jest na ciebie wściekły. Uważa, że to twoja wina, że Agata poszła.

– Muszę po nią iść – rzucił, nie unosząc głowy.

– No co ty! A jak masz zamiar to zrobić? Niemcy okrążyli getto. Nikt nie jest w stanie tam wejść ani stamtąd wyjść. Myślisz, że Marek nie próbował?

Guillén podniósł głowę i oparł ją o ścianę. Odetchnął głęboko zimnym

powietrzem.

Halina usiadła u jego boku.

– Dlaczego się pokłóciliście?

– Skąd wiesz, że się pokłóciliśmy?

– Nie wiem, ale tak sobie wyobrażam. Tamtej nocy, kiedy Marek zabił Ardsteina, Agata powiedziała mu, że byłeś u niej i że zmusiłeś ją, żeby powiedziała, gdzie będzie zamach, a potem się rozplakała. Płakała prawie przez całą noc, nie spała, nie jadła, nie odzywała się... Chciałam z nią porozmawiać, ale powiedziała mi tylko, że dłużej tak nie wytrzyma, że wszystko straciła i że zostaje jej tylko odebrać sobie życie. Następnego dnia musiałam wyjść, a gdy wróciłam, zastałam ją z Tosią. Zaprzyjaźniły się ostatnio, więc zawsze jak Tosia była po aryjskiej stronie, wpadała tu na filiżankę erzacu. Powiedziała, że musi przeszmuglować do getta trochę broni, i wtedy Agata ofiarowała się, że z nią pójdzie. Chciałam ją zatrzymać, ale...

Guillén westchnął.

– Jeśli zostawiłeś ją w takim stanie, to Marek ma rację, jesteś pierdolonym skurwysynem. A teraz mówisz, że chcesz po nią iść?

– Jakie ma znaczenie, co się między nami wydarzyło? Mam pozwolić, żeby ją zabili jak szczura w getcie? Bo tak się stanie, jeśli nie zrobimy nic, żeby temu zapobiec. Ci nieszczęśnicy długo się nie obronią. Jeśli Niemcy rozwiną wszystkie siły, jakimi dysponują, zmiażdżą ich.

Halina miała odpowiedzieć, kiedy usłyszeli, że u góry otworzyły się drzwi do mieszkania. Trzech mężczyzn zeszło po schodach i zatrzymało się na półpiętrze. Guillén znał tylko młodego Iglę.

– Ty jesteś Duch, prawda?

Przemówił do niego facet wysoki i chudy, z długimi nogami i szerokim karkiem. Miał wąsy i kręcone, brązowe włosy na czubku głowy.

– Tak – odpowiedział Guillén.

– Antek. – Przedstawiając się, wyciągnął do niego rękę.

Guillén podał mu rękę, nie wstając, bo bał się, że jeśli to zrobi, zwymiotuje.

– Słyszałem o tobie.

– Ja o tobie też... – zapewnił Antek. – Myślisz, że moglibyśmy porozmawiać w innym miejscu?

– Tak... Daj mi tylko chwilę, niech mi się świat przestanie kręcić...

Zwymiotował pod jakimś drzewem i poczuł się znacznie lepiej. Wiatr na ulicy też go nieco orzeźwił, wiatr przynoszący smród spalenizny. Antek, Iglę i jeszcze jeden mężczyzna, który nie został mu przedstawiony, poszli do pobliskiej restauracji, gdzie zajęli stolik w głębi; jeszcze było wcześniej, więc lokal był prawie pusty. Zamówili butelkę wódki. Guillenowi nie wydało się to dobrym pomysłem,

ale nie sprzeciwił się.

– Mówią, że nie da się wejść do getta – zauważył, przechodząc bezpośrednio do sedna.

– Nie byłbym tak kategoryczny. Chociaż prawdą jest, że w ogóle tego nie próbowałem... – wyjaśnił Antek. – Ale będę szczery: chociaż chodzą plotki, że może jest jeszcze jakieś przejście, Niemcy są coraz skuteczniejsi. Ja sam wymieniałem pocztę przez cmentarz, ale to było kilka dni temu. Coraz trudniej się kontaktować.

Antek polał wódkę. Guillén spojrzał na kieliszek i nie wypił, milczał. Próbował uporządkować myśli. W końcu delegat ŻOB-u na stronę aryjską znowu zabrał głos:

– Między innymi dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Igła powiedział mi, dlaczego nazywasz się Duch i że kilka razy wszedłeś do getta. Opowiedział mi też o twoim... spotkaniu z Ziemanem.

Guillén uśmiechnął się pod nosem.

– Wszystko widzisz, co, mały? – zwrócił się do Igły.

Chłopak uśmiechnął się dumnie i popił łyk wódki.

– Prawie codziennie dostaję wiadomości z getta przez telefon z warsztatu Brauera na Nalewkach – kontynuował Antek. – Sytuacja jest tam ciężka, brakuje jedzenia, wody i amunicji. Niemcy codziennie lokalizują jakiś bunkier z powstańcami i podpalają go. Płoną całe ulice. Liczba zabitych i rannych wśród powstańców i cywilów rośnie z dnia na dzień...

Guillén słuchał go uważnie, czekając, aż mu wyjaśni, czego od niego chcą.

– Towarzysz Aron – Antek wskazał na trzeciego mężczyznę – jest przedstawicielem Gwardii Ludowej. Jego grupa przekazała nam dwadzieścia osiem karabinów z amunicją, ale do tej pory nie udało nam się ich przerzucić do towarzyszy w getcie. To bardzo frustrujące – stwierdził. – Dlatego poszedłem do Marca, bo potrzebuję ludzi, którzy mi pomogą przerzucić broń.

– A on nie może ci pomóc?

– Mówi, że od kilku dni stara się bezskutecznie wejść do getta.

– A co ty na to, Igła? Ty potrafisz się precyzyjnie przemieszczać nawet przez najgęstsza siatkę...

Chłopak przyglądał sobie grzywkę i pokręcił głową.

– Wszystkie moje przejścia są obsadzone. Nawet wysadzili kamienicę przy Lesznie, gdzie najczęściej przechodziłem. Może udałoby mi się znaleźć jakąś dziurę, ale na przerzut jednego, góra dwóch karabinów.

Antek westchnął.

– Nie mogę spacerować po Warszawie z dwudziestoma ośmioma karabinami, ale może gdyby je podzielić... Zaczynam desperować. Wiem, jak im ciężko, i nie jestem w stanie nic zrobić... – Zapil swoje przygnębienie kieliszkiem

wódki. Następnie wskazał na Guillena palcem i powiedział: – Ty wszedłeś do getta i wyszedłeś kilka razy.

– Nie aż tak dużo...

– Słyszałem twoją rozmowę z Haliną – wyznał. – Wiem, że postanowiłeś wejść do getta, żeby wyciągnąć stamtąd tę dziewczynę, siostrę Marka. I mówią, że jak coś postanowisz, to ci się udaje.

– Naprawdę? – rzucił Guillén sarkastycznie. Nie ma to jak dobra sława.

– Mógłbyś przenieść część ładunku. Podobno ci z AK mają plany kanałów; kilku z nich pracuje w Urzędzie Miasta i udało im się je zdobyć. Ale obłożyli je tajemnicą wojskową... Bardzo ich potrzebujemy: żeby wejść do getta i wyjść, i móc ewakuować rannych.

– A dlaczego uważasz, że ja mam dostęp do tych planów? Nigdy ich nie wykorzystywałem w swoich wyprawach do getta. Igła może potwierdzić, że jego prosiłem o pomoc.

– Tak, ale masz dobre układy z AK. Mnie nawet nie chcą oglądać. Kilka razy poprosiłem o spotkanie z Grotem, dowódcą Armii Krajowej, ale ciągle się wymigują. Przecież jesteście komunistami...

– Ja też jestem komunistą – zauważył Guillén. – Nie uważam, że to ma coś do rzeczy... W każdym razie... Wydaje mi się, że dwadzieścia ileś karabinów nie będzie miało znaczenia. Przykro mi to mówić, ale nie sądzę, żeby wasi towarzysze mieli jakieś szanse.

Aron, który do tamtej chwili milczał, wtrącił się po raz pierwszy:

– Słuchajcie, towarzyszu Duch: nie chodzi o zwycięstwo czy przegraną, chodzi o podtrzymanie płomienia rebelii, a to, co się dzieje w getcie, jest tylko pierwszą iskrą. Wiem, że nie jesteś Polakiem ani Żydem, ale bitwa o ideały komunistyczne łączy nas ponad religiami i granicami. Moje pytanie brzmi, czy chcesz się do niej przyłączyć.

Przyłączyć się? Guillén uważał, że nigdy jej nie porzucił. Może ostatnio pływał po obcych wodach, to prawda. Tak samo, jak było prawdą, że rozpaczliwie pragnął chwycić za broń i rzucić się do akcji – to by było bardzo dobre lekarstwo na ból, którego nie uśmierzał alkohol. Nieważne, że miało to w sobie coś samobójczego. Całe jego życie także było.

*

Podczas pogrzebu w kościele Świętego Michała w Berlinie chór dzieci odśpiewał mszę Beethovena; Kurtowi by się podobało.

Wcześniej jego trumna została wystawiona w salonie Bendlerblock, w siedzibie Oberkommando der Wehrmacht, pośród zapalonych świec, wieńców

z purpurowymi wstęgami i wojskowych sztandarów. Spowijała ją flaga III Rzeszy i przez cały czas stała przy niej warta czterech żołnierzy dywizji Kurta, a inny trzymał poduszkę z odznaczeniami; wielu z nich Lena nawet nie знаła. Dowódca dodał jeszcze jedno, przyznane pośmiertnie: Krzyż Rycerski z Dębowymi Liśćmi i Mieczami. Potem był kondukt żałobny na cmentarz Inwalidów, powolny marsz w eskorcie brandenburczyków.

Przez cały pogrzeb padał deszcz, drobny, ledwie wyczuwalny; wiosenna mżawka, która uczyniła ziemię jego grobu jeszcze czarniejszą. Ktoś odczytał wiersz *Do księżycy* Goethego. „Och, wynieś mnie aż do ciebie; niech cię widzę”. I podczas gdy trumna była spuszczana do ziemi, jego towarzysze mocnymi głosami zaintonowali w rytm werbla: *Ich hatt' einen Kameraden*, „Miałem towarzysza”. Lena rzuciła białą kamelię, zanim straciła z oczu trumnę zasypywaną czarną ziemią. Na koniec dostała flagę i czapkę Kurta, które wzięła w zimne, drżące dłonie.

Chwilami popłakiwała, kiedy ból stawał się nie do wytrzymania; ciągle miała podniesioną głowę pod welonem z czarnej gazy i opierała się na ramieniu Pepego, który przyjechał z Hiszpanii. Była nieświadoma tego, co się działo dokoła; tak jak to jest z koszmarami, chciała tylko, żeby już się skończył.

*

Aleksiej Rostow tak naprawdę nazywał się Aleksy Rosenthal. Był Żydem z Białegostoku, gdzie jego ojciec pracował jako robotnik w jednej z wielu fabryk włókienniczych. Także Aleksy podjął pracę w wieku zaledwie szesnastu lat. Szybko się zainteresował przemówieniami, w których obiecywano polepszenie warunków życia klasy robotniczej i zapowiadano rewolucję przeciwko tyranii kapitału. Wstąpił do KPP, Komunistycznej Partii Polski, i zaczął aktywnie działać. Jednakże w 1938 roku Komintern zdecydował się rozwiązać partię, którą oskarżano o szpiegostwo i trockizm. NKWD rozpoczęło czystkę pośród jej członków, przed którą Aleksy uciekł do Moskwy, gdzie wstąpił do Armii Czerwonej jako Aleksiej Rostow. Wrócił do Białegostoku rok później, kiedy po podpisaniu paktu Ribbentrop–Mołotow i napaści na Polskę Związek Radziecki zajął miasto i włączył je do Zachodniej Białorusi. Wtedy przechadzał się po jego ulicach w mundurze zwycięskiej armii. To w tamtym okresie zwerbowało go NKWD jako agenta w kampanii szpiegowania i aresztowania wrogów stalinizmu. Kiedy w czerwcu 1941 roku, po ataku na Związek Radziecki, Niemcy zajęli Białystok, został ewakuowany do Moskwy, gdzie zajął się projektem odbudowy polskiej partii komunistycznej, nadzorowanym przez samego Stalina. W ten sposób, pod koniec grudnia, wtedy już major Aleksiej Rostow, wraz z innymi

towarzyszami, polskimi komunistami, został zrzucony ze spadochronem z radzieckiego samolotu w rejonie Kielc. Wśliznął się do transportu Żydów wiezionych do getta w stolicy, a potem tam zaczął rekrutować członków PPR i jej zbrojnego ramienia Gwardii Ludowej. Od wtedy znano go tylko pod pseudonimem Aron.

W dzień wybuchu powstania Aron znajdował się poza gettem. Partia nakazała mu objęcie pieczy nad sprawami żydowskimi, więc zajmował się rozmowami z ŻOB-em po aryjskiej stronie. Oprócz tego, że spotkał się z Antkiem, żeby ofiarować mu karabiny, zorganizował serię ataków w pobliżu muru, aby wspomagać powstańców z zewnątrz.

Od dłuższego czasu słyszał o Duchu, pół Hiszpanie, pół Francuzie, który walczył przeciw faszystom w Hiszpanii i przeciw Niemcom we Francji, był torturowany przez Gestapo i zdołał zbiec z transportu do Auschwitz. Powstała wokół niego legenda, podsycana sukcesem jego wyczynów partyzanckich w Warszawie. Dlatego kiedy zobaczył go w mieszkaniu tego Żyda, fanfaron, przycisnął Antka, żeby się z nim skontaktował w sprawie karabinów. Tak naprawdę był to tylko pretekst, nie mieli żadnych szans, żeby przeszmyglować te karabiny na drugą stronę. Aron chciał zwerbować Ducha do swojej organizacji.

*

Od samego początku Guillén zaprzyjaźnił się z Aronem. Facet był od niego prawie dwa razy starszy i miał doświadczenie życiowe, które imponowało Guillenowi. Powiedział mu, że kiedy Niemcy zajęli Białystok, schronił się w Moskwie, gdzie system przyjął go z szeroko otwartymi ramionami. Aron opowiadał cuda o Moskwie i rządach Stalina i zarażał Guillena swoim entuzjazmem rozszerzania tego modelu na cały świat.

Fakt, że Guillén dobrze się przy nim czuł, wynikał nie tylko z tego, że mieli te same poglądy polityczne, ale po prostu z tego, że go polubił. Mimo surowego spojrzenia spod krzaczastych czarnych brwi (tak gęstych jak jego włosy), przysadzistości robotnika portowego i niskiego głosu Aron był żartownisiem o wielkim wycuciu ironii i często potrafił go rozśmieszyć. A Guillén nie śmiał się od bardzo dawna.

Przez kilka dni pracowali z ludźmi z ŻOB-u nad znalezieniem trasy przerzutu broni do getta. Jednak szybko zderzyli się z rzeczywistością, więc postanowili odwołać operację. Getto było pułapką; większość tych, którzy próbowali przedostać się przez mur, w jedną albo drugą stronę, straciła przy tym życie. Sytuacja bojowników po tamtej stronie znacznie się pogorszyła, do tego stopnia, że nawet Antek i jego ludzie doszli do wniosku, że skrzynia karabinów

i garść naboju niczego nie zmienia i że najrozsądniej będzie zorganizować plan ewakuacji ocalałych oraz późniejszego ich rozlokowania po aryjskiej stronie. Teraz na tym koncentrowali swoje wysiłki.

Guillenowi wydało się jednak, że marnują czas, podczas gdy Niemcy zabijają powstańców. Nie potrafił ukryć swojej frustracji, wiedząc, że Agata jest po tamtej stronie muru, a on tu, i zupełnie nie mogąc jej pomóc. Wybuchnął wściekłością, bezskutecznie grożąc, że wśliznie się do getta. Sam. Jakkolwiek. A zaraz potem popadał w rozpacz. Aron usiadł z nim nad butelką wódki.

– Uśmiechnij się, bo nie będziemy siedzieć z założonymi rękami. Dojebimy Szkopom. Stąd, z tej strony getta. A jak ich wykrwawimy jak świnie, będziesz mógł wejść z bukietem kwiatów i uratować swoją dziewczynę. Napij się wódki, towarzyszu, bierz nóż w zęby i wychodź walczyć. Użalenie się nad sobą na nic ci się nie zda.

I to właśnie zrobił Guillén, to, co najlepiej potrafił robić: walczył. I temu się poświęcał przez następne dni w grupie pod dowództwem Arona. Zaatakowali patrol Waffen SS, stojący w pobliżu bramy przy ulicy Dzikiej, naprzeciw Umschlagplatzu, niesławnego miejsca, w którym Niemcy zbierali Żydów do wywózki; zabili dwóch żołnierzy, czterech ranili i unieruchomili granatem jeden transporter opancerzony. W euforii po ataku zaatakowali następne trzy niemieckie posterunki na różnej długości muru; w jednym z ataków stracili dwóch towarzyszy. Zmienili strategię i wybrali sabotaż: wysadzili w powietrze odcinek torów w okolicy dworca Warszawa Gdańska i spalili dwa wagony wraz z lokomotywą stojące w pobliżu hangarów. Uciekając, musieli stawić czoło patrolowi polskiej granatowej policji; Guillén został lekko postrzelony w ramię.

Wtedy już jednak był maj. Po trzech tygodniach walki Niemcy zaatakowali sztab generalny ŻOB-u na ulicy Miłej 18 i zabili wszystkich, którzy się tam znajdowali, między innymi dowódcę, Mordechaja Anielewicza. Ruch oporu stracił przywódcę i został zdziesiątkowany; ostatnie ogniska oporu były systematycznie likwidowane. Generał SS Jürgen Stroop rozkazał spalić wszystkie budynki w getcie, co do jednego, obrócić je w perzynę. Powstanie się skończyło.

Nie było żadnych wiadomości od Agaty.

Maj 1943

Kiedy Pepe musiał wrócić do Hiszpanii, Lena popadła w całkowitą samotność. Brat błagał ją, żeby z nim pojechała, ale co ona miała robić w Hiszpanii? Co miała robić z dala od Kurta?

Wyjechać do Hiszpanii, zostać w Berlinie... Tak naprawdę nic nie miało sensu. Tak bardzo za nim tęskniła, że nawet życie straciło dla niej sens.

Codziennie bez wyjątku chodziła na Cmentarz Inwalidów, siadała na ławce naprzeciwko grobu męża i wlepiła wzrok w zimny kamień z napisem pomiędzy jeszcze niezwiędłymi kwiatami:

Hier Ruht

Hauptm. Kurt Ardstein-Daszkow

Brandenburg Div. Z.b.v. 800

3.5.1915–17.4.1943

Patrząc na jego imię, rozmyślała o nim. O każdej chwili, którą z nim przeżyła; o jego twarzy, barwie głosu, o jego pieszczotach, o zapachu jego skóry... Przerażało ją to, że o tym wszystkim zapomni.

Gott mit uns, zwykł powtarzać Kurt. „Bóg zawsze jest z nami, tu i tam”, powiedział jej przy jakiejś okazji, spoglądając w niebo. Wznosiła głowę w tamtą stronę i wtedy pragnienie spotkania się z nim stawało się tak intensywne i bolesne, że chciała tylko stać się cienką strużką białego dymu i unieść się lekko w powietrze... Do niego.

Ścieżkami cmentarza, pomiędzy dobrze wystrzyżonymi trawnikami i potężnymi drzewami, które zaczynały pokrywać się wiosennymi liśćmi, jakiś mężczyzna podszedł do grobu Hauptmanna Ardsteina-Daszkowa. Zatrzymał się o kilka metrów, jak zawsze robił, i z oddali przyglądał się kobiecie, która codziennie tu siadywała i spędzała czas praktycznie w bezruchu, piękna jak figura nagrobna. Scena była smutna, przepełniała go żalem i współczuciem. Po jakimś czasie odwrócił się i odszedł. Może kiedy indziej do niej podejdzie.

*

Guillén dochodził do siebie na tyłach garażu. Zygmunt obwiązał mu ranę kawałkiem podartej koszuli i codziennie przemywał mu ją odrobiną wódki. Całe szczęście rana była powierzchowna. Partyzant spędzał ten czas na czyszczeniu i oliwieniu części zamiennych. Nocami, leżąc w łóżku, wpatrywał się w gwiazdy przez okno w dachu i nie mógł spać.

Właśnie się dowiedział, że Niemcy wysadzili w powietrze warszawską Wielką Synagogę, oficjalnie kończąc powstanie w getcie. Był to symboliczny gest: getto płonęło od wielu dni, ucichły strzały pośród dymiących ruin. Guillén dalej nie miał żadnych wiadomości od Agaty.

Wieczorem w garażu pojawiła się Halina. Była z nią jakaś Polka, drobna, pod pięćdziesiątkę, wyglądała na nauczycielkę. Przedstawiła się pseudonimem, po czym zaraz dodała „Konrad Żegota”.

– Mamy straszny problem, żeby rozlokować wszystkich, którzy przeżyli i znaleźli się po aryjskiej stronie – mówiła Halina. – Brakuje mieszkań, a najgorsze, że nie mamy pieniędzy na szmalcowników donoszących na każdego, kto choć trochę wygląda na Żyda; ani na tych niewielu ludzi, którzy zdecydowali się ukryć Żydów u siebie. Codziennie wybieramy się do getta, bo ludzie wciąż kryją się w ruinach, obawiamy się też, że mogą być w kanałach. Inni uciekli do lasu na obrzeżach miasta, ale nie będą mogli tam zostać na dłużej; na pewno nie w zimie. Pomyślałyśmy, że może wy... Może tu się ktoś zmieści... Możemy negocjować cenę, nie będzie wysoka, ale...

Zygmunt zgodził się od ręki. Mógł zmieścić tu dwie, trzy osoby, wystarczyło przemeblować biuro, do tego jeszcze jedna osoba mogła spać z Guillenem. On także zgodził się bez wahania. Nie było ceny, lokatorzy zapłacą, pomagając w warsztacie. Usłyszawszy to, kobiety jęły rozplýwać się w wyrazach wdzięczności i opowiedziały o trzech braciach, którzy zostali sierotami: dwóch miało niewiele ponad dwadzieścia lat, a jeden około dziesięciu. Umowa została przypieczętowana: przyprowadziły ich jeszcze tego samego wieczoru.

Zanim poszły, Guillén na chwilę zatrzymał Halinę. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby zobaczyć, jak on bardzo się niepokoi.

– Wiecie coś o Agacie?

Halina uśmiechnęła się, a on poczuł natychmiastową ulgę. Potem powiedziała mu, że Agacie udało się wyjść z getta, że jest ranna, ale nic jej nie grozi. Dziewczyna dołączyła do grupy próbującej wydostać się kanałami. Po długim błędzeniu w tym labiryncie, z wodą po szyję i bez jedzenia, kiedy już uznali, że się zgubili i że tam zginą, Kazik Rotem, jeden z kolegów Antka, który od wielu dni szukał sposobu na wyciągnięcie ocalałych z getta i w rozpaczę wszedł do kanałów, w cudowny sposób na nich natrafił, bo usłyszał z daleka w tunelach głosy w jidysz.

– Gdzie jest? Muszę ją zobaczyć.

Halina skrzywiła się.

– Przykro mi... Nie mogę ci powiedzieć. Marek by mnie zabił.

– To jest żalosne. Marek nie może nam zabronić się widywać, nie ma żadnego prawa... A jeśli ty mi nie powiesz, gdzie ją znaleźć, dowiem się od innych ludzi.

– Może ona nie chce cię widzieć.

– W takim razie niech sama mi to powie.

Dziewczyna spuściła wzrok, więc Guillén postanowił wykorzystać tę chwilę wahania. Złapał ją za rękę.

– Halino, proszę cię... Pomyśl, jak ty byś się czuła na jej miejscu.

Ona westchnęła.

– Jest w Łomiankach... Wszyscy, którym udało się uciec, ukrywają się w okolicznych lasach. Ale będziesz potrzebował kogoś, kto cię do nich doprowadzi. Nie jest łatwo na nich trafić.

*

Wilhelm Canaris lubił Hiszpanię. Nauczył się hiszpańskiego w młodości, pływając wzdłuż wybrzeży Ameryki Południowej jako chorąży marynarki na okręcie *Bremen*. Był w Meksyku, Argentynie, Chile... To właśnie z chilijskim paszportem wystawionym na nazwisko Reed-Rosas przyjechał do Madrytu w 1915 roku, kiedy połowa Europy walczyła w wielkiej wojnie, i pracował jako tajny agent pod rozkazami attaché marynarki przy niemieckiej ambasadzie. Spędził w Madrycie urocze chwile: słońce, kobiety, wino... Wspominał te dni z tęsknotą. Później nadeszły czasy więzienia i przesłuchań z powodu jego przygód, koniec wojny, upokorzenie w Niemczech... Wielokrotnie wracał do Hiszpanii, miał tam dobrych przyjaciół, między innymi generała Franco, i był jednym z głównych zwolenników opcji frankistowskiej w Niemczech, człowiekiem, który zawsze opowiadał się za interwencją wojskową jego kraju w wojnie domowej po stronie nacjonalistów. Hiszpania prawdopodobnie była jedynym miejscem na świecie, w którym czuł się naprawdę dobrze.

Jednak podczas niespokojnych lat dwudziestych i trzydziestych jego miejsce było w Niemczech, kraju na krawędzi załamania, trapionym przez głęboką niestabilność społeczną i polityczną, nieustannie zagrożonym przez rewolucję robotniczą i komunizm. Canaris był przede wszystkim niemieckim patriotą i zaciekle antykomunistą. Dlatego wierzył w narodowy socjalizm i w to, że Hitler jest jedynym człowiekiem zdolnym przywrócić Niemcom ich godność i uwolnić ich od choroby bolszewizmu. Dlatego wstąpił do partii nazistowskiej i głosował na nią w kolejnych wyborach 1930 i 1932 roku. Fakt, że był nazistą, z pewnością

pomógł mu w karierze. Prawda jednak jest taka, że w miarę jak obserwował styl rządzenia Hitlera, zbrodnie popełniane w imię narodowego socjalizmu, zniesienie swobód, skupienie władzy w rękach małej grupki mafiozów z SA i SS, czuł się coraz bardziej rozczarowany wodzem, na którego w swoim czasie postawił. Przesilenie nastąpiło podczas afery Blomberga i Fritscha, na początku roku 1938. Obaj (pierwszy był ministrem wojny, a drugi naczelnym dowódcą) zostali zmuszeni do dymisji, jeden dlatego, że był żonaty z eks prostytutką, a drugi pod zarzutem homoseksualizmu. Potem zaczęła się wojna, a wraz z nią prześladowania rasowe, obozy koncentracyjne, masakry cywilów z rąk SS, samobójcze kampanie, za które niepotrzebnie płaciło życiem tysiące żołnierzy, i brak jakiegokolwiek etyki wojennej. Wtedy doszedł do wniosku, że Hitler prowadzi Niemcy do katastrofy.

Problem w tym, że admirał Wilhelm Canaris był szefem Abwehry. To stawiało go w trudnym położeniu: z jednej strony winien był posłuszeństwo swojemu Führerowi; z drugiej uważał, że jego Führer prowadzi kraj do ruiny, a dla niego najważniejszy był kraj. Pewnie najuczciwiej byłoby podać się do dymisji jako szef wywiadu; w każdym razie byłoby to najprostsze. W sumie przyjmował swoje stanowisko jako mandat przeznaczenia, jako osobiste poświęcenie. Miał pewność, że jeśli on odejdzie, inni, znacznie bardziej niebezpieczni, zajmą jego miejsce i wtedy wszystko będzie stracone. W konsekwencji rozpoczął podwójną grę, bardzo ryzykowną: zrobi wszystko, co w jego mocy, aby Niemcy zwyciężyły w tej wojnie, ale także aby przegrały ją z godnością, gdyż doszedł do przekonania, że Niemcy wygrać nie są w stanie.

W tym celu otoczył się kręgiem osób absolutnie zaufanych, ludzi takich jak on sam: patriotów i antykomunistów, rozczarowanych polityką partii i zbrodniczych rządów SS. Młody Kurt Ardstein-Daszko był jednym z nich.

Zawsze czuł szczególną słabość do tego chłopaka. Po raz pierwszy usłyszał o nim przy okazji jego wyczynów w jednostce brandenburczyków. Chciał go poznać osobiście, więc wezwał go do siebie do domu, na nieformalne spotkanie. Rozmawiali długo, spacerując z psami po ogrodzie. Później zjedli obiad z rodziną, z żoną i córkami. Był to przyjemny wieczór, gdyż chłopak okazał się bardzo miły. I od pierwszej chwili zrobił na nim bardzo dobre wrażenie: jego zew przygody, miłość do Niemiec, poczucie obowiązku, entuzjastyczny i wesoły temperament, inteligencja, urok osobisty... Nielegancko to powiedzieć, ale przypominał mu siebie samego z młodości; mógłby zostać synem, którego nie miał. Nawet mieli taką samą słabość do hiszpańszczyzny. Nie zaskoczyło go, gdy oznajmił, że chce poślubić Hiszpankę; pochwalił jego gust, nawet trochę mu pozazdrościł, gdy zobaczył go tak zakochanego. „Zrobiłbym to samo na twoim miejscu, gdybym miał okazję”, wyznał mu ze smutkiem, bo chociaż Erika, jego małżonka, była dobrą kobietą, on nie czuł się szczęśliwy w małżeństwie.

Teraz miał poczucie winy. Do tego czuł się podle, bo sam posłał go na tę

cholerną misję do Warszawy. Bo odwlekl wysłanie Kurta do Madrytu na stanowisko, które mu już przyznał. Bo nie był w stanie przewidzieć, że będzie go to kosztowało życie.

Teraz, za każdym razem, kiedy szedł na cmentarz i patrzył tam na młodą wdowę pogrążoną w żalu po nim, serce mu się krajało i chciał tylko w jakiś sposób naprawić wyrządzoną krzywdę. Jednak to nie było możliwe, nie był w stanie zwrócić Kurtowi życia. Z tego powodu zawsze się odwracał i odchodził, gdyż nie potrafił znaleźć słów ani odwagi, ani honoru, żeby się do niej odezwać.

Poza tym jednym dniem, kiedy przyniósł kwiaty, do których kazał przywiązać niemiecką flagę, prawdziwą, Związku Niemieckiego, czarno-czerwono-żółtą. A to dlatego, że zauważył, że kwiaty na grobie Kurta zaczynają więdnąć.

*

Lena nie widziała, że ten człowiek podchodzi, aż do chwili, gdy stanął przed nią i się odezwał:

– Pozwoli pani, że się przysiędę?

Od razu zwróciła uwagę, że idealnie mówi po hiszpańsku. Potem zobaczyła jego kompletnie siwe włosy i krzaczaste brwi. I miły wyraz twarzy. Zwróciła też uwagę na to, że jest niski; gdyby wstała, byłaby od niego wyższa o kilka centymetrów. A jednak prezentował się bardzo elegancko; może wynikało to z faktu, że miał na sobie mundur oficera Kriegsmarine. Ciekawa była też wiazanka kwiatów z trójkolorową flagą, którą trzymał w rękach.

Lena skinęła głową. On usiadł u jej boku i położył kwiaty na ławeczce.

– Byłem na pogrzebie pani męża. Choć jak widzę, nie pamięta mnie pani...

– Nie... Przepraszam... – przyznała ciekim głosem.

– Nie ma pani za co przepraszać. To oczywiste. – Wyciągnął do niej rękę.

– Nazywam się Wilhelm Canaris. Byłem dowódcą pani męża.

Kiedy Lena podała mu rękę, on musnął ustami jej dłoń.

– Lena... – Ogarnęła ją wątpliwość: co powinna dodać? Álvarez? Ardstein?

– Wiem. Kurt wiele mi o pani opowiadał.

Ton jego głosu, ciepły uśmiech, dobroduszna mina... imię Kurta wymówione na głos. To wszystko niemal doprowadziło ją do płaczu. Zdołała tylko skinąć w milczeniu.

– Nie tylko był jednym z moich najlepszych żołnierzy. Był... praktycznie jak syn; był człowiekiem, z którym udało mi się utrzymać relację wykraczającą daleko poza zależność służbową.

– Nigdy mi o tym nie wspominał – zauważyła Lena trochę zmieszana,

zadając sobie pytanie o cel tego spotkania.

– Oczywiście, że nie. Wielu rzeczy pani nie powiedział, bo nie powinien był tego robić. I wiem, jak bardzo się z tym męczył. Bo on chciał z panią dzielić wszystko, być wobec pani całkowicie szczery. I każda przemilczana prawda bardzo wiele go kosztowała, uskarżał się na to. Nie prosił, żebym pozwolił mu wyjawić te rzeczy przed panią, bo zawsze miał wielkie poczucie obowiązku, ale czułem, że nie chce niczego innego. A jednak nie pozwoliłem mu na to.

Canaris przerwał. Nawet już na nią nie patrzył. W milczącym dialogu z samym sobą zdawał się przeżuwać coś gorzkiego.

Lena próbowała przyswoić sobie wszystkie te rewelacje, zwłaszcza tę, że jakiś nieznajomy mężczyzna tak dobrze znał jej męża.

– Przepraszam, ale... Ja... Ja nie... Nie wiem, do czego pan zmierza...

– Wiem, wiem. To ja muszę panią przeprosić. Tak trudno mi z panią rozmawiać, że trochę się gubię. Po prostu jestem tutaj, gdyż uważam za swój moralny obowiązek wyjawić pani kilka sekretów, których Kurt nigdy w życiu nie chciałby zabrać ze sobą do grobu. – Westchnąwszy głęboko, dodał: – On mówił mi o pani wątpliwościach... Chcę tylko panią zapewnić, że pani mąż był dobrym człowiekiem, nawet lepszym, niż pani sobie wyobraża.

Lena zaczynała przeczuwać dalszy przebieg rozmowy.

– Nigdy nie wątpiłam, że mój mąż to najlepszy człowiek – stwierdziła zdecydowanie. – Obawiałam się tylko, że pomylił się, komu być wierny.

– Zapewniam panią, że wybrał znakomicie i absolutnie bezbłędnie. Kurt był wierny mnie. Był jednym z moich oficerów, wykonywał najbardziej delikatne misje.

– O czym pan mówi? Oczywiście nie chodzi o misje wojskowe?

Admirał lekko się uśmiechnął.

– Nie, nie były to misje wojskowe. Tak było tylko na początku jego służby w pułku brandenburczyków. Ale Kurt nie tylko był znakomitym żołnierzem, był też oficerem... agentem organizacji, to znaczy Abwehry, tajnych służb.

– To oznacza, że...

– Dokładnie to, co pani myśli. Choć mnie się nie podoba słowo „szpieg”. Poza tym on nie był zwyczajnym szpiegiem, z tych, których oznaczamy literą i numerem i których nazwisk często nawet nie znamy. Przede wszystkim był moim agentem, moim zaufanym, i pracował ze mną dla dobra Niemiec. Im też był wierny, swojemu krajowi, Niemcom. Ale tym honorowym, wolnym i pełnym godności.

Lena oparła się na ławce, jakby nagle poczuła się wyczerpana. Wlepiała wzrok w płytę nagrobną: „Hier Ruht Kurt Ardstein-Daszkow...”. Wszystko zaczynało do siebie pasować. Praktycznie wszystko.

– Pani też był wierny – ciągnął Canaris, wyrywając ją z zamyślenia. – Pani

była najważniejsza.

Łzy spłynęły jej po policzkach.

– Wiedziałam, że go zabiją. I mu nie powiedziałam... Jak ja z tym będę żyć?

Wilhelm Canaris zaniemówił. To, co powiedziała właśnie ta dziewczyna, zupełnie zbiło go z tropu. Skąd ona mogła wiedzieć coś takiego? Czego nie wiedział nawet on ani Kurt.

Wykorzystał chwilę, że Lena wyciera sobie oczy, i spróbował się uspokoić, by przejąć inicjatywę w rozmowie.

– Może opowiedziałaby mi pani wszystko, co pani wie... – zaproponował z całą słodyczą w głosie, na jaką było go stać, a w swoim czasie bywała ona wielka.

Nie musiał za bardzo nalegać. Jakby była statkiem, który musi wylewać z siebie wodę, aby utrzymać się na powierzchni, dziewczyna opowiedziała ze szczegółami wszystko, co się wydarzyło w dni poprzedzające śmierć Kurta. Opowiedziała mu o pierwszej próbie zamachu, nieudanej, gdyż okazało się, że jeden z członków ruchu oporu był jej starym znajomym; o wysiłkach, które razem poczynili, żeby Kurt nie został zamordowany; o fotografiach jego dokumentów, zrobionych, żeby dowieść jego niewinności; opowiedziała mu nawet o swojej wizycie w getcie. I znowu się rozplakała, tym razem z wściekłości, stwierdziwszy, że wszystko to było na darmo.

– Powinna mu była pani powiedzieć. Powinna mu była pani wszystko opowiedzieć.

– Tylko go prosiłam, żebyśmy wyjechali, ale jak on miał mnie posłuchać, skoro w sumie niczego nie wiedział?... Ta... osoba powiedziała mi, że będzie go bronić, że jeśli dam jej te dokumenty, Kurtowi nic się nie stanie. – Canaris przypuszczał, że mówi o swoim znajomym. – A ja mu uwierzyłam jak idiotka. I uznałam, że bardziej trzeba chronić jego niż własnego męża.

– Zapewniam panią, że nie była pani w stanie ochronić żadnego z nich. Przez te wszystkie lata nauczyłem się, że zdarzenia nigdy nie zależą od jednego sznurka, że jest ich wiele, jak w przypadku marionetek. Kiedy coś się wydarza, to nie dlatego, że zerwał się jeden sznurek; upadek to coś znacznie bardziej skomplikowanego. Ja mógłbym siebie winić za to, że wysłałem go do Warszawy, mógłbym też oskarżać siebie o to, że go nie zluzowałem, bo nie przewidziałem, że to się może wydarzyć... Moglibyśmy znaleźć bardzo wielu winnych... Tyle można było zrobić, a się nie zrobiło... Jak gdyby to w jakiś sposób miało naprawić to, czego nie da się naprawić. To jednak działanie bezskuteczne, które nawet nie zmniejsza bólu; przeciwnie, potęguje go. Nie po to tutaj jestem. Nie jestem tu, żeby roztrząsać to, czemu już nie da się zaradzić. Jestem tutaj po to, żeby czuła się pani jeszcze bardziej dumna ze swego męża. Tak jak ja jestem z niego dumny. Żeby

tajemnica jego działań nie przesłoniła szlachetności jego czynów – wyrecytował, jakby był oburzony. Po krótkiej przerwie jego głos stał się mniej stanowczy: – Proszę posłuchać, Leno... Mogę mówić pani po imieniu?

Ona przytaknęła.

– Pani mąż pojechał do Warszawy ratować ludzi. Życie wszystkich tych osób z listy, której zdjęcie pani zrobiła. Wszyscy byli skazanymi na śmierć Żydami, tylko za to, że nimi są. Zadaniem Kurta było zlokalizować ich i wywieźć z kraju, ich i ich rodziny. Udało mu się w przypadku małżeństwa z dwójką dzieci, które teraz kieruje się w bezpieczne miejsce. Udało mu się w przypadku mężczyzny i jego syna, których wydobył z obozu koncentracyjnego. Również w przypadku jednego młodzieńca z getta, którego codziennie zmuszano do noszenia cegieł przy odbudowie miasta... Już tylko ta wiedza powinna panią ucieszyć.

Canaris czekał w milczeniu na reakcję kobiety, która nastąpiła bardzo szybko. Lena uśmiechnęła się, a łzy powoli spływały po jej policzkach. Admirał współczująco pogładził ją po ręce.

– Leno... Trzeba iść dalej. Iść z głową podniesioną wysoko, drogą wytyczoną przez Kurta... Jego tam nie ma – powiedział, patrząc na grób. – Nigdy go nie było. On jest tutaj. – Dotknął opuszkami palców serca.

Następnie zostawił jej na kolanach kwiaty przewiązane wstążką z niemiecką flagą.

*

Facet o nazwisku Folman towarzyszył mu do Łomianek. Wsiedli do pociągu, który podwiózł ich na odległość kilku kilometrów od wioski, dalej pojechali z jakimś chłopem furmanką. Gdy się tam znaleźli, pieszo weszli do lasu. Folman prowadził jak policyjny pies, reagując na wszystkie znaki: od wygniecionej trawy do pozycji słońca na niebie. Chwilami Guillén odnosił wrażenie, że się zgubili, ale nic nie mówił, gdyż jego przewodnik zdawał się świetnie zorientowany, którądy iść.

Po mniej więcej godzinie natrafili na pierwszych ludzi. Pojawili się pośród drzew podzieleni na grupy: niektórzy spali pod osłoną gałęzi, inni zbierali się wokół ogniska, kilka osób kręciło się bez wyraźnego celu; jedynie dzieci biegały, tylko one wydawały się naprawdę żywe... Wszyscy byli brudni i bladzi. Nikt się nie uśmiechał, mało kto coś mówił. W powietrzu unosiły się skrzypnięcia, szmery, kaszel, pojedyncze sylaby wypowiedane po cichu i biały dym pachnący drewnem, żadnych rozmów. Ich widok emanował opuszczeniem i zrobił na Guillenie wielkie wrażenie.

Młody Folman zatrzymał w biegu jedno z dzieci. Powiedział coś do niego w jidysz i dzieciak zaprowadził ich na małą polanę, gdzie na ziemi albo na wpół oparci o drzewa leżeli ranni. Zajmowało się nimi kilka kobiet. Guillén przebiegł to miejsce wzrokiem, spoglądając na twarze i mając nadzieję, że w którejś z nich rozpozna Agatę. Jednak Folman minął polanę z daleka i znowu wszedł do lasu, po czym skierował się do strumienia. Kiedy zobaczyli wodę ze srebrnymi refleksami słońca, wskazał na zgarbioną postać, klęczącą nad brzegiem, po czym zniknął w krzakach.

Guillén podszedł kilka kroków. Chrząst suchych liści i łamanych gałęzi zwrócił uwagę tej postaci, która wstała i wyprostowała się. Słońce go oślepiało, ale wiedział, że to Agata, i wydawało mu się, że ona się uśmiecha.

– Nie za bardzo wiem, po co przyszedłeś... – nerwowo wycierała ręce w spódnicę – ale nie dziwię się, że cię widzę... Duch... Twoje imię zawsze miało sens.

Tak, uśmiechała się. A stwierdziwszy to, Guillén rzucił się, żeby ją przytulić.

– Mówili mi, że jesteś ranna – powiedział, nie wypuszczając jej z objęć.

– Bomba zapalająca zapaliła mi bluzę. Na szczęście ktoś mnie rzucił na ziemię i ugasił, zanim płomienie ogarnęły całe ubranie.

– Boże... Ja... Nie mogłem przestać myśleć, że wszystko to moja wina. Nerwy i wyrzuty sumienia nie dawały mi spokoju.

– Gadasz głupoty... – powściągnęła go czule. – Oczywiście, że to nie twoja wina. Byłam na ciebie bardzo zła, nie przeczę. Ale naprawdę byłam zła na wszystko. Doszłam do granic wytrzymałości. Musiałam wyjść, zrobić coś więcej, niż tylko się ukrywać, coś użytecznego, walczyć! I zdobyć taką ranę jak ta, która postawi mnie na odpowiednim poziomie wobec sytuacji – podsumowała kpiarsko.

Guillén chwycił jej twarz w ręce.

– Wybaczysz mi?

Zanim Agata odpowiedziała, usłyszał, że za plecami poruszyły się krzaki.

– Guillén?

Odwrócił się.

– Adam! Ale... Jak to?

Tamten podszedł, kulejąc, i szybko wyciągnął do niego rękę. Guillén przyjrzał mu się od góry do dołu.

– Do diabła, nieźle wyglądasz w porównaniu z tą padliną, którą zostawiliśmy w Krakowie. Świetnie wyglądasz – podkreślił.

– I tak się czuję. Bardzo dobrze. Wydobrzałem dzięki naparom babci Zofii i... żyję dzięki tobie.

Guillén machnął ręką na jego ostatnie słowa.

– Skąd się tutaj wziąłeś?

– Jak tylko się dowiedziałem o powstaniu w getcie, pomyślałem, że będzie

brakować lekarzy. No i przekonałem Bohdana, żeby mnie tu przywiózł. Udało mu się zdobyć zezwolenie na przejazd, a ja ukrywałem się przed wszystkimi kontrolami pomiędzy belami słomy i workami nawozu. Żadnemu Niemcowi nie przyszło do głowy przeglądanie takiego ładunku. Chociaż jest to najbardziej obrzydliwa rzecz, jaką w życiu zrobiłem.

Zaśmiali się, a zaraz potem skończyły im się tematy do rozmowy. Wymienili się spojrzeniami. Kiedy Agata i Adam spojrzeli na siebie, ten drugi zrozumiał.

– Muszę... obejrzeć kilkoro rannych. Potem...

Wiedzieli, że na pewno nie będzie żadnego potem, ale jedynie kiwnęli do siebie głowami. Kiedy Adam zniknął między drzewami, Guillén odwrócił się do Agaty.

– No tak...

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Miłość to też przyzwyczajenie. A ja przyzwyczaiłam się do tego, że kocham Adama.

Guillén przyjął to do wiadomości. Tak jest lepiej. Znacznie trudniej jest kogoś zostawić, niż być zostawionym, a Agata oszczędziła mu tej odpowiedzialności.

– Nie miej do mnie żalu... – poprosiła ona.

– Żalu? – Wziął ją za rękę. – Mam słodkie wspomnienia. Niczego nie żałuję.

Agata uśmiechnęła się.

– Ja też nie – zapewniła, po czym go przytuliła.

– Co teraz zrobisz?

– Wrócę do Zawoi. Będziemy dalej walczyć w lesie. A ty?

– Nie wiem...

– Powinieneś wrócić do domu.

– Do domu? – Zaśmiał się gorzko. – Kiedyś usłyszałem, że dom jest tam, gdzie są kochane przez ciebie osoby i gdzie ciebie kochają.

– No to tutaj zawsze będziesz miał swój dom.

Pocałował ją przez chustkę, która zakrywała jej włosy, aż zawsze niewczesny kaszel zmusił go do odejścia na bok.

– I będziesz musiał wrócić do babci Zofii po ten magiczny syrop. Wiesz przecież, że nic nie uśmierzy ci kaszlu jak on...

– Tak, to prawda... – Uśmiechnął się, ale zaraz znowu spoważniał. – Zobaczmy się jeszcze. Jak się skończy wojna.

– Przyrzeknij mi, że będziesz na siebie uważać.

– Na pewno będę. Ty też.

Agata potaknęła głową.

Pożegnali się pocałunkiem w policzek, jakby mieli się zobaczyć nazajutrz. Wiedzieli, że to nieprawda, ale nie byli w stanie pożegnać się inaczej.

*

Lena pochyliła się, żeby pogłaskać jamnika szorstkowłosego, który biegał pomiędzy jej nogami. Wabił się Kasper i był bardzo skorym do zabawy szczeniakiem.

Spędziła popołudnie w domu Canarisa na herbatce z jego żoną i córkami, Ewą i Brigitte. Potem wyszła z admirałem na spacer po ogrodzie. Panowała wiosenna pogoda, słońce lśniło na trawniku i klomby zaczynały wypełniać się kwiatami. W powietrzu unosił się zapach róż, dźwięki pianina płynęły przez okno salonu. Erika, żona Canarisa, wspaniale grała.

Rozmowa koncentrowała się na sprawach nieistotnych. Głównie na Hiszpanii. Admirał opowiedział wiele anegdot na temat swoich podróży po tym kraju. Inne także, na przykład o tym, jak okręt *Dresden*, na którym służył podczas wielkiej wojny, został zaatakowany przez brytyjski krążownik. Dowódca postanowił raczej go zatopić, niż oddać Brytyjczykom, więc cała załoga dostała się do niewoli i została porzucona na chilijskiej wysepce, z której Canaris zdołał uciec dzięki pomocy lokalnego rybaka. Po przejściu przez Andy konno i dotarciu do Argentyny z fałszywym paszportem wsiadł na holenderski parowiec, który zabrał go prosto do Hamburga, chociaż wcześniej został przeszukany i przesłuchany przez Brytyjczyków patrolujących Atlantyk.

Admirał mógł mówić przez całe spotkanie. Jednak nadszedł moment, gdy wypadało zamilknąć i odczekać. Wiedział, że jego gość ma coś do powiedzenia. To ona chciała go zobaczyć, a jemu wydało się, że dobrze będzie zrobić to w jego domu. Na swój sposób czuł potrzebę zaopiekowania się nią. Postarzał się: kiedyś nie wzruszał się tak łatwo.

Patrzył na Lenę, podczas gdy ona głaskała jego ukochanego Kaspra; przyglądał się jej przez cały wieczór. Mimo że często się uśmiechała, smutek utrzymywał się w jej twarzy, podkreślony żalobną sukienką. Czasem zamyślała się, ze wzrokiem utkwionym we wspomnienia. Jeszcze było za wcześnie, by zdołała oswoić ból, ale zauważył w jej zachowaniu małą odmianę – już nie była jak szmaciana lalka, rozczochrany klaun z namalowaną łzą na porcelanowej twarzy.

– Myślałam o powrocie do Warszawy...

To oświadczenie go zaskoczyło. Spojrzał na Kaspra, który leżąc brzuchem do góry, mruczał jak kot w odpowiedzi na pieszczoty. Potem spojrział na nią. Lena wstała; była trochę wyższa i patrzyła na niego z góry. Canaris zwlekał z odpowiedzią.

– Dlaczego? – Postanowił być ostrożny, zanim wyrazi swój pogląd.

– Chcę dokończyć to, co rozpoczął Kurt.

– Nie wiem, czy to słuszna decyzja...

– Ja też nie wiem, czy to słuszne, żeby robić to pod parasolem Abwehry. W każdym razie pan będzie musiał podjąć tę decyzję. Ale dla mnie ona nie będzie konieczna. Chcę wyciągnąć z Polski tylu Żydów, ilu tylko się da. Żeby robić to na własną rękę, nie potrzebuję żadnego przykrycia... Chociaż chciałabym mieć pana wsparcie albo przynajmniej przychylność dla tej sprawy.

– Mogę być przychylny dla tej sprawy, oczywiście. Ale wydaje mi się, że ten projekt jest nazbyt ambitny... Dla każdego. Nawet ambicją Kurta nie było uratować tylu Żydów, ilu się da. On miał bardzo konkretną listę.

Lena spojrzała na niego bez zrozumienia. Nie musiała nic mówić, żeby Canaris zauważył, że ta połowiczna informacja dla niej nie miała żadnego sensu. Admirał chwycił wdowę pod rękę i poprowadził ją do ławki w cieniu, przy różaneczniku. Miejsce wyglądało na odpowiednie do zwierzeń.

– Proszę słuchać, Abwehra nie jest instytucją dobroczynną. Wszystkie nasze działania są obliczone na jakieś zyski. Wie pani, co oznacza Abwehr? Obrona. Naszym zadaniem jest obrona interesów Niemiec. Zada pani sobie pytanie, jaki interes możemy mieć w uratowaniu kilku Żydów...

Lena przytaknęła.

– Chodzi o to, że ci Żydzi to tak naprawdę waluta wymienialna. Lista, nad którą Kurt zaczął pracować, zawierała tylko dziesięć nazwisk. Dziesięć osób, które rząd Stanów Zjednoczonych chciał dostać, jako akt dobrej woli z naszej strony, co miało być krokiem wstępnym do dalszych negocjacji.

– Rząd Stanów Zjednoczonych? – Nie mogła pohamować zdumienia.
– A dlaczego Niemcy mieliby chcieć negocjować z wrogiem?

– Bo niektórzy z nas doszli do wniosku, że już czas, żeby zakończyć tę wojnę, która nigdy nie powinna się była rozpocząć, i wynegocjować godny pokój dla Niemiec. Tak samo jak myślimy, że naszymi naturalnymi sprzymierzeńcami powinny być zachodnie demokracje, z którymi, gdy nadejdzie pora, powinniśmy stworzyć wspólny front przeciwko komunistycznemu zagrożeniu. Od jakiegoś czasu moje wysiłki kierują się w tę stronę, ale ostatnio są coraz intensywniejsze. Podczas jednego ze spotkań z naszymi brytyjskimi i amerykańskimi partnerami przekazano mi rzeczoną listę.

– Ale lista, którą ja widziałam, była znacznie dłuższa...

– Kurt chciał ją wydłużyć, dopisując rodziny tych dziesięciu osób, kto wie, może jeszcze kogoś... Ja mu na to pozwoliłem.

– Wygląda na to, że jesteście instytucją charytatywną bardziej, niż wam się wydaje... – powiedziała Lena z uśmiechem.

– Niech się pani nie da zwieść pozorom. To wzajemne korzyści... Przeszkody... zdarzają się, kiedy agenci mają zbyt miękkie serca, a to nie najczęstsza przypadłość.

Młoda wdowa odwróciła wzrok i siedziała w milczeniu, zaklejając własne serce plasterkiem.

– Ja... Daleka jestem od zrozumienia podobnych intryg politycznych. Powodują mną jedynie współczucie i potrzeba zrobienia czegoś w obliczu tylu nieszczęść... Może po prostu potrzeba zrobienia czegokolwiek... Proszę jednak nie myśleć, że mam więcej chęci niż możliwości. Że to fantazje biednej wdowy, która pragnie zapomnieć o żalach i jakoś wypełnić sobie czas. Mam kontakty. Znam ludzi w Warszawie, którzy mogą pomóc. Także w Czerwonym Krzyżu...
– Przerwała wyjaśnienia, jak się zabierze do tych spraw, bo nawet sama tego nie wiedziała. Upierała się tylko przy jednej rzeczy, której była pewna: – Nie mam zamiaru być szpiegiem, chcę tylko spełnić to, co jest moim moralnym obowiązkiem.

– Kilkoro z moich ludzi to kobiety – zauważył Canaris.

– Czy to znaczy, że mogę liczyć na pana wsparcie?

– Skoro i tak się pani do tego zabierze, z moim wsparciem czy bez, wolę mieć spokojne sumienie. Misja Kurta jest oficjalnie zawieszona... Ale jeśli natrafi pani na jedną z osób, których on szukał... Nie przestanie jej pani pomagać tylko dlatego, że znajduje się na tej liście, prawda? – zauważył przebiegle.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Mam nadzieję, że jest pani świadoma ryzyka...

– Jestem i biorę je na siebie. I tak już idę po dość bolesnej drodze, nie boję się tego, co może się zdarzyć.

*

Pisarka i dziennikarka Maria Dąbrowska była nieprzeciętną osobą. Przed wojną walczyła o prawa człowieka i swobody obywatelskie, o ideały lewicowe, dała się poznać w obronie praw kobiet i z pism o zabarwieniu erotycznym. Mówiło się o jej wątpliwych skłonnościach seksualnych (na przykład o tym, że była co najmniej biseksualna i utrzymywała związki miłosne na trzy strony z małżeństwem Jerzego i Anny Kowalskich, z którymi dzieliła mieszkanie przy ulicy Polnej).

W zajętej przez Niemców Warszawie, tak dalekiej od tego, o co zawsze walczyła, Dąbrowska zajmowała się bogatą podziemną działalnością kulturalną, propagowała zakazane książki czy dyskusje polityczne i bardzo często udostępniała mieszkanie na tajne spotkania PPR, świeżo powstałej Polskiej Partii Robotniczej, z którą sympatyzowała.

Oczywiście Guillén nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia i kiedy przyszedł na ulicę Polną, pierwszą rzeczą, która zwróciła jego uwagę w tej kobiecie w średnim wieku, był jej lekki zez i wygląd nieco męski, kontrastujący z jej

ciepłym babcinym głosem.

Zjawił się zaproszony przez Arona i przygotowany na spotkanie z tym wymykającym się wszystkim partyzantem, a nie z zainteresowania działalnością polskich komunistów. Arona trudno było spotkać, nie znając jego konkretnego adresu, a Guillén od wielu dni – konkretnie od swojego powrotu z lasów w Łomiankach – chciał z nim porozmawiać.

Udało mu się to pod koniec zebrania, kiedy deklaracje polityczne zastąpiło palenie papierosów i spokojna cicha rozmowa, podczas gdy gospodyni podawała pierogi z kapustą i ciepłe ciemne piwo.

– Chciałbym wyjechać z Warszawy – wyznał. – Mieszkam w tym warsztacie, który należy do AK. Pracuję dla nich... Dobrze mnie potraktowali, ale wiesz, że z pewnymi sprawami się nie zgadzam. I nie czuję się dobrze w tej sytuacji grania na dwa fronty... Zastanawiam się nad pójściem do lasu i ukryciem się tam. Może skontaktowałbym się z jakimś oddziałem partyzanckim, partyzantów radzieckich, dawnych żołnierzy Armii Czerwonej, którzy uciekli Niemcom... Pomyślałem, że ty pewnie wiesz, kto działa w lesie... Mógłbyś mnie polecić...

Aron oparł się o ogromny regał, zajmujący praktycznie całą ścianę, i zaciągnął się papierosem, zanim odpowiedział:

– O ile mi wiadomo, partyzanci radzieccy są tylko na terytoriach, które zajęli po ataku na Polskę: na Białorusi i Ukrainie... Musiałbyś się tam przedostać.

Guillén nie widział w tym żadnego problemu.

– To bez znaczenia. Chcę tylko stąd wyjechać.

Aron zastanawiał się przez chwilę. W jego przymkniętych oczach widać było przebiegłość tysięcy nieodgadzionych tajemnic. To niepokoiło Guillena, chociaż ukrył to uczucie i zrobił unik, pociągając długi łyk piwa w oczekiwaniu, aż tamten przemówi.

– A zamiast się chować w lesie jak szczur, nie pomyślałeś, żeby pojechać... na przykład... do Moskwy? Do serca tego wszystkiego – powiedział Aron, ogarniając pokój szerokim gestem, jak gdyby odnosił się w zawołany sposób do komunizmu, który ich tam zebrał.

Guillenowi ta propozycja wydała się tyleż nęcąca, co bezsensowna.

– Oczywiście, że o tym nie pomyślałem: nie mam paszportu ani wizy, ani żadnego ważnego dokumentu. I prawie zapomniałem, jak się naprawdę nazywam...

– Nie sądzę, żeby to był jakiś problem... Słuchaj, my wygramy wojnę. Związek Radziecki wygra tę wojnę. Niewiele już zostało do zwycięstwa. A jak do tego dojdzie, co wolisz: być kimś nieznaczącym w Polsce, w kraju sto razy pokonanym, czy w Rosji, Wielkiej Mateczce Rosji?

Guillén zaczynał się niecierpliwić. Czy Aron go nie słuchał? Czy to piwo tak szybko uderzyło mu do głowy, że wygadywał takie głupoty?

– Nie chodzi o to, co ja wolę, tylko co mogę zrobić.

– Możesz zrobić to, co zechcesz, towarzyszu. Potrzebujesz tylko dwóch rzeczy: trochę ambicji... i mojej pomocy.

Zanim Guillén zdążył zareagować, tamten podparł się, żeby przemówić do niego z bliska, niemal do ucha.

– Słyszałeś o NKWD?

Rzeczywiście słyszał już ten skrót nie raz, podczas wojny w Hiszpanii. W Madrycie w 1938 roku; Sabino spotkał na ulicy starego towarzysza, gościa wysoko postawionego w hierarchii Partii Komunistycznej, który piastował ważną funkcję w rządzie Negrina. We trzech wypili kilka win w tawernie Cava Baja. Podczas rozmowy wyszedł temat zniknięcia Andresa Nina, lidera POUM-u, Partii Robotniczej Zjednoczenia Marksistowskiego. Nin wraz z innymi członkami partii został zatrzymany pod zarzutem kolaboracji z rządem w Burgos, odkrytej, jak mówiono, na podstawie jakichś dokumentów rzekomo przejętych od „piątej kolumny”. Nina zamknięto w więzieniu w Alcalá de Henares i nigdy więcej nie było o nim wieści. Rząd wspominał tonem niepozobawionym sarkazmu, że uratowali go przyjaciele z Gestapo. Jednak szybko pojawiły się plotki, że kataloński przywódca był przesłuchiwany, torturowany i został zamordowany na rozkaz Stalina. Przyjacielowi Sabina po kilku winach rozwiązał się język, więc był bardzo wymowny w tej sprawie: „To sprawa ruskich agentów: Orłowa i tych z NKWD. Załatwili go, bo był trockistą”. W ten sposób Guillén wydedukował, że NKWD to radzieccy agenci, tak jak Gestapo to byli agenci niemieccy. A Hiszpania w tamtym czasie była pełna jednych i drugich.

– Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych – Aron rozszyfrował skrót.

– Piękna nazwa, która nic nie mówi. Zwykle tak jest w przypadku organizacji zajmującej się najbardziej mętnymi sprawami.

Aron uśmiechnął się złośliwie.

– Zawsze twierdziłem, że jesteś inteligentny... Chociaż ja wolę mówić, że zajmujemy się zapewnianiem bezpieczeństwa Związku Radzieckiego.

– Czyli że jesteś radzieckim agentem...

– Jestem osobą, która może ci pomóc dostać się do Moskwy ze wszystkimi dokumentami w porządku i pod twoim prawdziwym nazwiskiem, jeśli oczywiście ci na nim zależy. Mogę wydobyć cię z podziemia, zwrócić ci godność komunisty, wstawić cię do Kominternu... NKWD poszukuje ludzi takich jak ty: o wypróbowanej wierności i z umiejętnościami bardziej niż wystarczającymi do pracy w terenie.

– Taa... – powiedział Guillén roztropnie. Nie wiedział, co ma o tym myśleć. Ale co do jednego miał pewność: zbrzydło mu ciągle ukrywanie się. Już samo to wystarczyło, żeby wysłuchać Arona.

Radziecki agent głośno się roześmiał.

– Jesteś nieprzepuszczalny jak pancerny sejf! Urodziłeś się do tego! –
Chwył go za ramię i znowu odezwał się do niego poufale: – Doskonale wiem,
jaką rolę odegrałeś w tej historii z niemieckim kapitanem.

Guillén nie zmienił wyrazu twarzy, mimo że bardzo zaskoczyły go te słowa;
to oczywiste, że Aron nie skontaktował się z nim przez przypadek.

– Wiem, że dostałeś jego dokumenty – ciągnął Aron – i że odkryłeś, jaka jest
jego misja w Warszawie. Przypuszczam, że wiesz, że był niemieckim agentem,
facetem z Abwehry...

– Wiem, że nie zasługiwał na strzał w serce, to wszystko. Kim był, to nie ma
już większego znaczenia.

– W takim razie spodoba ci się to, co ci zaproponuję – zauważył Aron
enigmatycznie. – Co sądzisz o tym, żeby zająć się tą samą szczytną misją, którą
prowadził kapitan Ardstein?

Lipiec 1943

Casimiro Granzow de la Cerda urodził się w Warszawie przed czterdziestoma ośmioma laty. Był Polakiem, ale także Hiszpanem. W zasadzie należał do jednej z najbardziej dystyngowanych rodzin hiszpańskiej arystokracji XIX wieku i zdarzyło się tak, że szczycił się hrabstwem Parcent. Wykształcenie zdobył we Francji i w Hiszpanii, mówił wieloma językami, posiadał ziemie i różne interesy, lubił pisać felietony, opowiadania, od czasu do czasu jakiś artykuł prasowy. Był przedstawicielem misji hiszpańskiej w Polsce aż do nadejścia republiki i walczył po stronie nacjonalistów (nie za wiele, gdyż w Avili, gdzie zastał go konflikt, walka była krótka). Z racji pochodzenia i swojej pozycji w pełni zgadzał się z poglądami frankistów. Może dlatego w 1938 roku zgodził się przyjąć funkcję konsula honorowego Hiszpanii w Warszawie ze strony rządu Franco. A może też dlatego, że bardzo kochał to miasto nad Wisłą i za nim tęsknił.

Nieszczęśliwie w ciągu ostatnich lat Cassio, jak kazał siebie nazywać, był świadkiem dramatycznego upadku, prawdopodobnie nieodwracalnego, swego rodzinnego miasta. Widział, jak je bombardowano, widział głód i choroby, i wreszcie jak je zdeptano wielkim niemieckim buciorem. Był świadkiem dyskryminacji, dręczenia i eksterminacji nie tylko Żydów, ale także samych Polaków, którzy zostali pozbawieni kultury, tożsamości, wolności i godności, wyzuci ze swej istoty jako społeczeństwo i naród. Przyglądał się brutalności, sadyzmowi i bezwzględności niegodnym człowieka, a co gorsza: dostrzegł u Niemców przyprawiającą o ciarki zgodę na takie działania. A gdy słuchał wielu wysokich dygnitarzy, jak z alkoholowym oddechem i pewną rewanżystowską radością chełpią się, że plan zakłada całkowite wyniszczenie narodu polskiego poprzez systematyczną eliminację ludności słowiańskiej i stopniowe zastępowanie jej Niemcami, dla Cassia stało się jasne, że ten dramat dopiero się rozpoczyna.

O wszystkim raportował w swoich pismach do Ministerstwa Spraw Zagranicznych i do hiszpańskiej ambasady w Berlinie, gdzie ambasadorem był jego dobry przyjaciel Ginés Vidal. Poza możliwością składania tych doniesień, które wpadały jak nic nieznaczące ziarnko piasku w tryby skomplikowanej maszynierii politycznej i dyplomatycznej, czuł, że ma związane ręce, że jest kamiennym świadkiem.

Nie bez powodu stał się bardziej cierpki, a jego humor zrobił się mroczny jak klimat panujący w mieście. Dlatego choć w gruncie rzeczy był bardzo radosnym i towarzyskim człowiekiem o wyszukanych manierach, ostatnio reagował nerwowo i łatwo się irytował w zaskakujących momentach.

– A zatem nie mówi pani ani po polsku, ani po niemiecku... – zakończył sucho, niemal z pogardą, po przejrzeniu listów uwierzytelniających kobiety świeżo

przysłanej przez ministerstwo z Hiszpanii.

Znowu zmierzył ją wzrokiem z góry na dół, lekko się przy tym krzywiąc: była młoda i ładna, z kształtnym biustem, wąską talią i zgrabnymi nogami; typ dziewczyny, która łatwo mogłaby się przyczepić do jakiegoś wysokiego rangą dygnitarza, bo nie była wulgarna i poruszała się z elegancją; z daleka rzucało się w oczy, że jej ubrania są dobrze skrojone, a dodatki luksusowe; nie nosiła ostentacyjnej biżuterii, ale nie musiała taka być, żeby dało się zauważyć, że jest dobrej jakości (wielkość brylantu na jej obrączce mówiła sama za siebie). Zbyt wiele jak na zwykłą sekretarkę.

– Od miesiący uczę się obu tych języków. Praktycznie mogę czytać i niewiele czasu zajmie mi nauczenie się płynnej mowy – przesadziła nieco Lena.

Wydawało się, że konsul zignorował jej komentarz.

– W Madrycie wydaje im się, że skoro dziewczyna potrafi pisać na maszynie, można ją wysłać dokądkolwiek – rzucił. – Mam nadzieję, że chociaż pisze pani na maszynie znakomicie, panienko... pani Ardstein. Zaskakujące nazwisko jak na osobę, która nie mówi po niemiecku.

– Byłam żoną niemieckiego oficera – powiedziała z lekką dumą.

– Naprawdę? No, po tym, co tu widziałem, nie sądzę, żeby to były dobre referencje.

– On nie był... taki jak inni.

Casimiro Granzow odłożył dokumenty na izabelińskie biurko urządzonego z przepychem biura konsularnego przy ulicy Myśliwieckiej, które jeszcze zachowywało część splendoru, mimo uszkodzeń przy bombardowaniach. Podszedł do okna i odsłoniwszy nieco firanki, spojrzął na zielony park Łazienkowski.

– Nie... już nie. Ta historia mnie nie przekonuje. Nie ma dobrych albo złych Niemców. Wszyscy są winni, ślepo popierają reżim. Wszyscy są winni tego horroru. Horroru, który oglądam już zbyt wiele lat, pod własnym nosem...

Lena, daleka od tego, żeby się bronić, wszak nie została zaatakowana, zgodziła się z nim.

– Ja też widziałam wiele przerażających rzeczy... Na ulicach Warszawy... w getcie...

– W getcie?

– Tak, ekscelencjo. Byłam w Warszawie na kilka tygodni przed żydowskim powstaniem. I w tajemnicy przedostałam się do getta...

Konsul wrócił za biurko i zajął miejsce. Wskazał krzesło po drugiej stronie.

– Proszę mi o tym opowiedzieć, pani Ardstein... I, rzecz jasna, proszę do mnie mówić Cassio. – Odrobina jego dawnego czaru wyłoniła się zza uśmiechu, kiedy zapalał papierosa srebrną zapalniczką.

*

Guillén przeniósł się na drugą stronę Wisły, na Pragę. Dostał mieszkanie na drugim piętrze ceglanego budynku, w którym mieszkali robotnicy wytwórni wódek Koneser. „Czy może być lepsze miejsce do życia niż w pobliżu fabryki wódki?”, zapytał go Aron swoim zwyczajowym kpiarskim tonem. Było to małe i bardzo skromne lokum, a jednak oferowało trochę luksusów, z których Guillén od dawna nie korzystał: kuchnia, łazienka z ciepłą wodą i łóżko ze sprężynami i wełnianym materacem. Chociaż najprzyjemniejsza była świadomość posiadania własnego miejsca po tym, jak stracił nawet własną tożsamość.

Aron załatwił mu rosyjski pistolet Tokariew i trochę pieniędzy w markach i złotych. „Na pokrycie wydatków”. Przekazał mu też plik dokumentów i serię krótkich instrukcji: sposób kontaktowania, punkty spotkań, co robić w przypadku zatrzymania... Na koniec podał mu listę zaledwie siedmiu nazwisk, sześciu mężczyzn i kobiety, Żydów, wraz z informacją o ich adresach sprzed okupacji. Nie za wiele na początek... „Przecież nie jesteś w tym nowy”.

Jeśli Aron odnosił się do dokumentów kapitana Ardsteina, Guillén spalił je w przyпіływie wściekłości. Ale nie wspomniał o tym. On już sobie jakoś poradzi. Przecież za to mu płacili.

*

Pomysłem Canarisa było wysłanie Leny z powrotem do Warszawy jako pracownicy hiszpańskiej dyplomacji, to dawało jej pewien immunitet i utrzymywało z dala od intryg pomiędzy Abwehrą a SS, które często przyprawiały o ból głowy szefa niemieckiego wywiadu, gdyż nieustannie musiał walczyć o swoją niezależność i swoją część władzy przeciwko potężnej organizacji bezpieczeństwa Heinricha Himmlera. W tym celu Canaris użył swoich kontaktów w najwyższych sferach rządowych Madrytu.

Nie było zatem zaskakujące, że konsul grymasił na mianowanie jego nowej sekretarki i osoby odpowiedzialnej za archiwum konsulatu z nadania Madrytu. Jednak Lena była zdecydowana stawić temu czoło, a gdy nadeszła odpowiednia chwila, mając na względzie otwartą niechęć dyplomaty do niemieckiej polityki rasowej, była przekonana, że nie tylko zdobędzie sobie jego zaufanie, ale także pozyska go do współpracy w przeprowadzeniu swojej misji.

Casimiro Granzow niebawem dał jej do tego okazję, jak gdyby łatwo przeczuł, że jego sekretarka bardzo wiele ukrywa. Zaledwie po tygodniu pracy w małym gabinecie przyległym do jego gabinetu konsul usiadł naprzeciw niej i powiedział prosto z mostu:

– Wiem, w jaki sposób zginął pani mąż...

Lena przestała pisać na maszynie.

– Wiem, że pani była przy nim, kiedy to się wydarzyło... Bez wątpienia jest to jeszcze jeden przykład na okropieństwo tej wojny. – Jego słowa zabrzmiały głośno i wyraźnie, gdy ucichło stukanie maszyny do pisania.

Lena skinęła głową. Przełknęła ślinę. Jeszcze z trudem o tym rozmawiała, tym bardziej w tym mieście, w którym rany otwierały się od samego dotyku powietrza. Wciąż było za wcześnie.

– Przykro mi... Nikt nie powinien przechodzić przez coś takiego.

Lena podziękowała mu uśmiechem i wykorzystała sytuację chwilowego zbliżenia, żeby rozpocząć swoją ofensywę. Była pora obiadu, więc zostali w konsulacie praktycznie sami; mogli spokojnie porozmawiać.

– Wie pan? – Spojrzała na niego, opierając się łokciami o zavalone papierami biurko. – Jednak istnieją dobrzy Niemcy. Mój mąż był jednym z nich. Niemcem, który ryzykował życie, starając się naprawić okrucieństwa popełniane przez złych Niemców.

Cassio poczuł, że płoną mu policzki.

– Przyznaję, że ten mój komentarz nie był najszcześniejszy. Proszę mi wybaczyć, jeśli panią uraziłem.

– Nie, nie uraził mnie pan, bo nie miał pan o tym pojęcia. Skąd miał pan wiedzieć, że mój mąż prowadził w Warszawie misję wydobywania Żydów z tego kraju? Że w ten sposób ratował im życie?

Dyplomata odchylił się na krześle. Skrzyżował nogi. Pogładził wąsy. Lena zwróciła uwagę na to, że wygląda na młodszego, niż mógł być w rzeczywistości; jedynie oprószone srebrem skronie i zmarszczki wokół oczu zdradzały jego dojrzałość.

– Przeczuję, że to ma coś wspólnego z pani niezwykłym pojawieniem się w tym konsulacie.

Lena tylko kiwnęła głową.

– Za zgodą Madrytu?

– Nie potrafię panu powiedzieć, do jakiego stopnia. Ale mogę wyjawic, że sznurkami pociąga się głównie w Berlinie – wypowiedziała to w nieco teatralny sposób. Zanim go wspomniała, upewniła się, że ma pełne błogosławieństwo Canarisa.

– Będzie mi pani musiała opowiedzieć całą tę historię...

„A czy nie jesteśmy też winni my, którzy tylko patrzymy na wydarzenia, jakbyśmy siedzieli w kinie? My, którzy tłumimy swoje wyrzuty sumienia, skrywając się w fałszywym przekonaniu, że rozwiązanie nie jest w naszej mocy?”
Biedna kobieta... Jakże jej pomieszano w głowie.

Podczas gdy Lena mówiła, Cassio przypomniał sobie straszne zdarzenie, które przeżył osobiście poprzedniego lata, spędzając kilka dni na lotnisku w pobliskim Konstancinie, miasteczku wypoczynkowym, bardzo popularnym wśród warszawiaków. Wyszedł, żeby pospacerować i przewietrzyć się w sosnowym lesie przyległym do jego rezydencji. Wtedy nagle z krzaków wychynęło jak ścigane zwierzęta dwoje dzieci, dziewczyna i chłopak, bardzo wychudzeni, wyczerpani i w łachmanach, sam ich wygląd ścisnął za serce. Mała, ciągle trzymając braciszka za rękę – później się dowiedział, że są rodzeństwem – odezwała się do niego nieśmiało, niemal z przestachem, i opowiedziała mu, że są Żydami z sąsiedniej wioski, że ich rodziców zabili Niemcy i że im udało się uciec i ukryć w lesie. Prosił tylko o parę groszy albo o coś do jedzenia. Cassio przeszukał kieszenie, gdzie zaplątało mu się kilka kostek cukru ze śniadania, więc im je dał. Dołożył kilka złotych, myśląc naiwnie, że będą mogli za nie kupić trochę chleba i mleka. Był tak głupi, że zapomniał, że nikt nie sprzedaje żydowskim oberwańcom... Nie miało to znaczenia. Chwilę po tym, jak tych dwoje podziękowało mu i odeszło w stronę lasu, usłyszał dwa wystrzały. Odwrócił się, żeby z przerażeniem zobaczyć dwa ciała leżące w chaszczach. Jakiś Niemiec, w dumnym mundurze, odchodził pyszny jak paw po wypełnieniu rozkazu zabicia każdego Żyda, jakiego napotka; tymczasem beztrąsko drapał i głaskał psa, który szedł u jego boku...

Biedna kobieta... Może miała rację, gdy mówiła o świadkach i donoszeniu, pełnej zadowolenia z siebie bierności. Rację miała, mówiąc, że w gruncie rzeczy można by zrobić znacznie więcej; powinno się zrobić znacznie więcej, a im wyższe stanowisko, tym większa odpowiedzialność.

– Wie pani, jaka jest kara za ukrywanie Żydów, tutaj w Generalnym Gubernatorstwie? – zapytał, chociaż wydawało się, że przypomina to sam sobie.

Lena odpowiedziała bez wahania:

– Śmierć.

– Tak jest... Musimy o tym pamiętać – zauważył, jednocześnie wstając i zamykając za sobą drzwi gabinetu.

Wróciwszy do biurka, Cassio wziął kartkę z godłem konsulatu w rogu i postanowił napisać list do swego dobrego przyjaciela, ambasadora Hiszpanii w Niemczech, Ginesa Vidal y Saura. Po chwili zastanowienia postanowił jednak udać się do Berlina osobiście.

*

Gdy tylko się zainstalowała, Lena zaraz poszła w odwiedziny do ojca Szymlika. Wiedziała, że może go spotkać w sierocińcu sióstr miłosierdzia, gdzie

odprawiał popołudniową mszę. Spotkała się tam również z zakonnicami, z którymi pracowała i które przyjęły ją z wielką radością; i z dziesiątkami dzieci, które tuląc się, zwracały się do niej po imieniu. Lena wiedziała, że część z tych dzieci jest Żydami. Uratowano je z getta albo po prostu z ulicy, gdzie wałęsały się, ryzykując, że zostaną zatrzymane przez policję albo przez szmalcowników, łowców Żydów albo zwykłych ludzi bez skrupułów. Większość sierocińców w Warszawie ukrywała żydowskie dzieci. Robiono z nich małych chrześcijan, uczono pacierza i jak się przeżegnać, zmieniano im imię, ale nie zawsze było to tak proste – wiele z nich mówiło wyłącznie w jidysz albo ich rysy były tak ewidentne, jakby mieli słowo Żyd wypisane na czole; dlatego istniało ryzyko, że nie przejdą inspekcji okresowo przeprowadzanych przez władze okupacyjne.

Lena często musiała chować się z nimi w pokoju ukrytym za półkami spiżarni i dopilnować, by milczały, podczas gdy niemieccy inspektorzy przemierzali wszystkie pomieszczenia. Jednakże nie wiedziała, jakim cudem trafiły do sierocińca, kto stał za ich ocaleniem ani jakie były plany odnośnie do tych dzieci.

– Powinnaś porozmawiać z którymś z przedstawicieli Żegoty – poradził jej ojciec Szymlik, kiedy Lena wyznała mu, jaki jest cel jej powrotu do Warszawy. – W większości przypadków to oni organizują pomoc dla Żydów. Mają sieć wolontariuszy na wszystkich poziomach, z kontaktami w organizacjach ruchu oporu i z funduszami pochodzącymi bezpośrednio od polskiego rządu na uchodźstwie. W każdym razie jest to coraz trudniejsze. Od zniszczenia getta Warszawa jest pełna Żydów, ukrywających się, gdzie się tylko da. Ich sytuacja jest rozpaczliwa, szczególnie tych, którzy się nie zaryzowali, to znaczy nie ukrywali się z fałszywymi dokumentami jako Polacy. Cała ich rzesza ukrywa się w najpodlejszych dziurach. Nie mają pomocy lekarskiej, żadnych warunków higienicznych i głodują. Zostało ich tu jeszcze pewnie pomiędzy dziesięć a piętnaście tysięcy i żyją w nieludzkich warunkach. A nie wszyscy są gotowi ryzykować życie swoje i rodziny, żeby ukrywać Żyda w domu. Poza tym łapanki i kontrole są coraz częstsze. Te dzieci na przykład. – Odruchowo wskazał kilkoro maluchów bawiących się na dziedzińcu. – Jest coraz mniej rodzin gotowych je przyjąć; coraz trudniej umieścić je poza hospicjami, klasztorami czy gdziekolwiek indziej, żeby je ukryć.

– Co się stało z tymi, którzy przeżyli getto i nie zdołali uciec?

– Większość została wywieziona po zdławieniu powstania. Może z pięćdziesiąt tysięcy. Chociaż chodzą plotki, że niektórzy jeszcze ukrywają się w ruinach. Tych, którzy byli w stanie pracować, zwieziono na Pawiak i zorganizowano z nich bataliony pracy, żeby oczyścić z ruin teren getta. Nie za bardzo wiem, co planują, ale zebrali ciężki sprzęt i rozbierają cegła po cegle wszystko, co jeszcze tam stoi. Właśnie otworzyli obóz koncentracyjny przy ulicy

Gęsiej, w sercu getta, gdzie przenoszą więźniów z Pawiaka i innych spoza Warszawy, żeby uzupełnić bataliony pracy.

Lena milczała przez chwilę, zastanawiając się nad tym wszystkim. Wrzawa dzieciaków pochłoniętych zabawą i letnie słońce oświetlające podwórko kontrastowały z jej myślami.

– Twoja determinacja w tej sprawie jest godna pochwały – zauważył duchowny. Chociaż nie tylko chciał ją pochwalić, chciał też odsłonić przed nią twardą prawdę. – Ale... poza ukryciem kogoś w swoim domu nie wiem, co więcej mogłabyś zrobić. Warszawa to miasto przepełnione dramataми...

– Ja też nie wiem, to prawda... – zauważyła z westchnieniem. – Ale zaczynam od czegoś rzeczywistego, listy osób, a jeśli uda mi się tych ludzi zlokalizować, będą mieli zagwarantowaną nietykalność prosto z Berlina.

Ojciec Szymlik uniósł brwi ponad cienkimi oprawkami okularów w geście kompletnego zdumienia. Lena nie chciała podawać mu więcej szczegółów.

– Chodziłoby tylko o to, żeby rozszerzyć tę nietykalność na więcej ludzi, na jak największą liczbę ludzi – ciągnęła. – I oczywiście nie tylko ich ukryć albo przynajmniej nie robić tego przez cały czas, ale wyciągnąć ich z kraju. Jeszcze za bardzo nie wiem jak, ale coś mi na pewno przyjdzie do głowy. Chwilowo muszę zlokalizować te osoby, którym mam pomóc, szczególnie tych, którzy są w największym niebezpieczeństwie albo w najtrudniejszej sytuacji. Dlatego przyszedłem do ojca po pomoc. Porozmawiam też z Żegotą.

Karol Szymlik uśmiechnął się.

– Nie przejmuj się, kandydatów ci nie zabraknie – zauważył, znowu patrząc na dzieci. – Możesz na mnie liczyć. Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Wiem... Bardzo dziękuję, ojcze. Na początek chciałabym pokazać ojcu listę, o której mówię, na wypadek gdyby znał ojciec któreś z tych nazwisk albo mógł zacząć pociągać za odpowiednie sznurki.

– Oczywiście. Jak słusznie zauważyłaś, to bardzo dobry punkt wyjścia.

*

Guillén rozpoczął od spotkania z kilkoma ze swoich kontaktów. Większość z nich miała związki z AK, dlatego wymyślił historię równoległą, żeby nie musieć im wyjawiać, że w rzeczywistości pracuje dla Rosjan; komuniści, czyli ludzie radzieccy, nie cieszyli się sympatią starej polskiej gwardii.

Według jego wersji po sprawie kapitana Ardsteina czuł się zaintrygowany tą listą Żydów, których Niemcy byli skłonni ułaskawić, więc prowadził małe śledztwo na prywatny użytek. W większości przypadków ta historyjka nie wzbudzała podejrzeń. Sprawy miały się jednak nieco inaczej, kiedy spotkał

Henryka Wolińskiego.

Szef Referatu Żydowskiego w Biurze Informacji i Propagandy AK, człowiek, który wyciągnął do niego rękę, kiedy znalazł się po raz pierwszy w Warszawie, przyjął go we własnym mieszkaniu, gdzie ukrywał kilkoro Żydów. Wolińskiego, człowieka przebiegłego, trudno było oszukać. Poza tym był doskonale poinformowany o stosunkach Guillena z Gwardią Ludową, jak również z tym białostockim Żydem, którego nazywano „majorem”, bo chodziły plotki, że przysłali go Rosjanie, i to, zadaje się, z NKWD. Stary lis nie wyjawiał swoich podejrzeń, ale na koniec rozmowy rzucił:

– To bardzo śliski temat... Słyszałeś o sprawie Hotelu Polskiego?

– Nie.

– To sprawa z zeszłego roku. Niemieckie władze poprzez kolaborujące z nimi organizacje żydowskie pozwoliły, żeby ci, którzy mają paszporty krajów neutralnych, wyjechali z Polski. Od tamtej chwili wiele organizacji żydowskich z siedzibami w Szwajcarii wysyła tu te paszporty; jednak w wielu przypadkach one nie dotarły do adresatów; czasem dlatego, że ci już nie żyli. Po zburzeniu getta grupy Żydów, nikczemnych zdrajców, prawdopodobnie agentów Gestapo, zaczęły sprzedawać takie paszporty za astronomiczne kwoty, a pośród zdesperowanych tłumów ukrywających się po aryjskiej stronie znalazły łatwe ofiary. Prawie trzy tysiące się ujawniło. Zebrali ich w Hotelu Polskim, gdzie ich zapewniono, że zostaną wywiezieni do Ameryki Południowej. I rzeczywiście wielu z nich wywieźli, w hotelu została garstka... Wczoraj się dowiedziałem, że rozstrzelano ich w więzieniu na Pawiaku.

– Ja nie pracuję dla Niemców, panie Woliński – zapewnił Guillén, rozumiejąc ukryty przekaz.

– Wiem... Ale uważaj, w co się pakujesz. Żaden rząd nie kiwnie palcem, żeby uratować kilku Żydów, jeśli nie spodziewa się w zamian jakichś profitów. Żaden rząd – podkreślił. – Ani niemiecki... ani rosyjski.

Guillén westchnął. Czuł się przyparty do muru i doszedł do wniosku, że na niewiele mu się przyda to spotkanie, jeśli nie opowie całej prawdy. W końcu postanowił się otworzyć.

Woliński nie zareagował od razu na jego historię. Ściągnął okulary, przetarł oczy, jakby był zmęczony.

– Odnoszę wrażenie, że wielu nie będzie chciało mi ułatwić sprawy przez zwykły fakt, że pracuję dla Rosjan. Ale to absurd! Chodzi o uratowanie życia tych ludzi!

Znowu z założonymi okularami i przenikliwym spojrzeniem Woliński wziął go w krzyżowy ogień pytań.

– Po co ich chcą? Dlaczego Stalin się nimi interesuje? Dlaczego tych siedmioro, a nie inni? Dlaczego nie wszyscy, skoro rzekomo chodzi o powody

humanitarne?

– Nie wiem! – rzucił Guillén.

– No to powinieneś się dowiedzieć!

Po tych krzykach zapadło milczenie. Woliński wykorzystał sytuację, żeby uspokoić nerwy.

– Słuchaj, nie mam powodu wątpić w twoje intencje; rozumiem, że są dobre. Odkąd się tu znalazłeś, dowiodłeś aż nadto, że chcesz pomóc; nawet ryzykowałeś życie. Ale obawiam się, że wykorzystują cię ludzie bez skrupułów...

– Proszę się nie martwić. Zapewniam pana, że nie zrobię żadnego ruchu, zanim się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi. Nie zrobię nic, co mogłoby zaszkodzić tym ludziom. Jeżeli jednak istnieje choćby minimalna szansa wyciągnięcia ich z tego piekła, dlaczego z niej nie skorzystać?

– Zgoda, graj swoimi kartami. Dowiedz się, dlaczego tych siedem osób jest tak ważnych. Jestem skłonny ci pomóc, ale nie zamierzam stawiać żadnych niepewnych kroków ani ryzykować życia choćby jednej osoby.

Guillén wyszedł z tego spotkania w jakiś sposób uwolniony od kamienia kłamstw i z jaśniejszym umysłem. Był dość głupi, że dał się tak łatwo omamić obietnicom Arona i nie zastanowił się nad tym. Nie ma co się oszukiwać: musi być w tym jakiś wic, skoro Niemcy i Rosjanie szukają tego samego. I on był gotowy odkryć, co to jest.

Sierpień 1943

Cassio Granzow nalał odrobinę wina do kieliszków z czeskiego kryształu (szkło w cudowny sposób przetrwało bombardowanie, kosztem zaledwie kilku kieliszków). Tego wieczoru zwolnił służbę. Nie chciał więcej uszu niż to konieczne. Postanowił wydać prostą kolację, w typie zimnego bufetu: trochę wędzonej szynki z sosem koperkowym, vichysoisse, sałatka ogórkowa i bałtycki śledź... Doskonale sobie radził na czarnym rynku i kupował u tych samych dostawców co Niemcy. Wino i alkohole przysyłano mu bezpośrednio z Hiszpanii i Francji. Może jego piwniczka nie była tak imponująca jak Anthony'ego Drexela, amerykańskiego ambasadora, który przed wojną zgromadził tysiące butelek szampana, odkrytych, gdy po uderzeniu niemieckiej bomby lotniczej zawalił się budynek ambasady, ale nie mógł się uskarżać. Kazał przygotować stół w jednym z salonów wychodzących na taras i zostawić otwarte okna, żeby wpadał przez nie chłodny wiaterek od parku, bo noc była bardzo ciepła (jego rezydencja znajdowała się w budynku przyległym do hiszpańskiego konsulatu). Świece i trochę kwiatów dopełniały scenerię. Cassio przywiązywał wagę do detali i w miarę możliwości starał się nie dopuścić, żeby wojna pozbawiła go tego przywileju.

– Przywożę wiadomości z Berlina – oświadczył, posmakowawszy czerwonego wina. Lena i ojciec Szymlik, jego goście tego wieczoru, słuchali z uwagą. – Zdaje się, że nie jesteśmy jedynymi, którzy postanowili przerwać bierność w obliczu wydarzeń. Przedstawiciele innych poselstw także zaczęli się ruszać: Bułgaria, Węgry, Grecja... Wszyscy chcą bronić Żydów. I zarówno w Madrycie minister Jordana, jak w Berlinie ambasador Vidal są tego świadomi.

– A zatem możemy liczyć na pańskie wsparcie... – odezwała się Lena przedwcześnie, nie mogąc powstrzymać entuzjazmu.

– Nie, niezupełnie. Położenie hiszpańskiego rządu jest bardzo delikatne. Z jednej strony nie chcą dyplomatycznej konfrontacji z Hitlerem, ale z drugiej strony w pewnych kręgach zaczyna się pojawiać myśl, że zwycięstwo Niemiec nie jest takie pewne; nie jest to opinia Caudillo, rzecz jasna, ale... zatrzymanie Mussoliniego to był bardzo ciężki cios. Nie jest to jeszcze oficjalne, ale Hiszpania powróci do neutralności i poczyni się pewne kroki, żeby zbliżyć się do aliantów. Do tego cyrku, rozgrywającego się na trzech arenach, należy jeszcze dodać, że nasz kraj negocjuje z Niemcami kupno broni, a jednocześnie eksportuje do Niemiec wolfram, co znowu powoduje oburzenie aliantów...

– A zatem? – Ojciec Szymlik już się zgubił pośród tylu dyplomatycznych intryg.

– A zatem nie chcą, żeby temat Żydów stał się jeszcze jednym problemem w tej grze. Nie będzie wsparcia, ani finansowego, ani politycznego, ale będą

odwracać głowę i przyjmować niemieckie protesty w zgodzie z naszą najlepszą tradycją dyplomatyczną.

– Czy oznacza to, że możemy wydawać nieograniczoną liczbę wiz? – Lena przeszła od entuzjazmu do sceptycyzmu.

Cassio udał oburzenie.

– Oczywiście, że nie! Na to w Madrycie nigdy by się nie zgodzili! – Potem się uśmiechnął. – Oznacza to, że będziemy musieli kierować się rozsądkiem i zręcznością, żeby działać, nie wzbudzając zbyt wielu podejrzeń.

– Działać, jak?

– Są różne opcje. Między nimi dawny dekret rządu Prima de Rivera, zgodnie z którym przyznaje się obywatelstwo hiszpańskie wszystkim Żydom sefardyjskim, którzy o to wystąpią. Ministerstwo Spraw Zagranicznych pozwala na wydanie wiz sefardyjczykom i przeniesienie ich do Hiszpanii. Do takiego porozumienia doszli z władzami niemieckimi: nie będzie się stosować praw antysemitycznych wobec obywateli hiszpańskich.

– Żydów sefardyjskich? W Warszawie może jest ich kilku – zauważył ironicznie ksiądz.

– Tego jednak Niemcy nie wiedzą. Nie wiedzą też, że rzeczony dekret już nie ma mocy prawnej. Poza tym bardzo łatwo jest zmienić imiona: Chasim na Carlos. Icchak na Isidoro, Zivia na Silvia... Prawda? Możemy też wydawać listy żelazne, rozszerzyć nietykalność na rodziny... Mówię pierwsze rzeczy, które przychodzą mi do głowy. Trzeba rozpatrzyć wszystkie możliwości. Tymczasem ambasador Vidal zawiadził przedstawicieli władz hiszpańskich z krajów Europy Wschodniej na spotkanie do Budapesztu w celu wspólnego przestudiowania możliwości przeprowadzenia i koordynowania działań. Dobrze wiedzieć, że nie jesteśmy całkiem sami...

Lena, zamyślona, zastanawiała się, przeliczała, zaczynała się rozmarzać.

– Gdybyśmy tylko mieli dostęp do jakiejś kartoteki – wypowiedziała na głos część swoich przemyśleń – do jakiejś listy, która pozwoliłaby nam się dowiedzieć, ilu ludzi jest w więzieniach, w obozach koncentracyjnych albo batalionach pracy. Dowiedzieć się nawet, z powodu których nieszczęśników nie ma już sensu ryzykować...

– To... proszę zostawić mnie. To przecież sprawa kontaktów towarzyskich, moja specjalność. Nie bez powodu mam dobrze zaopatrzoną piwniczkę, znakomitą kucharkę i dużo pieniędzy... w każdym razie dość. Dotychczas nie spotkałem jeszcze żadnego oficera SS, który nie dałby się przekupić.

*

– To obywatele radzieccy, nie ma żadnej tajemnicy. Matka Rosja chroni wszystkie swoje dzieci, bez względu na rasę, płeć i religię. Nie jesteśmy jak Niemcy. Chociaż, z drugiej strony... Może któryś z nich to kuzyn Stalina!

Aron zlekceważył pytania Guillena, udzielając na nie niejasnych, sarkastycznych odpowiedzi. Wykorzystał też wódkę, znakomitą rosyjską wódkę, którą szczerze polewał.

– Dobrze... Cieszę się, że nie będziemy ich uwalniać z niemieckiego obozu koncentracyjnego, żeby wsadzać ich do syberyjskiego łagru. Z deszczu pod rynnę...

Aron przyjął ten komentarz śmiechem i klepnął Guillena po ramieniu, od czego ten się zachwiał.

– Podoba mi się twoje poczucie humoru, towarzyszu! Za nie! – Uniósł kieliszek. – Możesz już przestać sobie łamać głowę nad tą tak nieistotną sprawą. Przykro mi, ale ta misja nie zmieni losów wojny. Jesteś tylko nowy. Ta robota jest prosta, a będzie jeszcze prostsza, jeśli odkryjesz, że spóźniliśmy się i wszyscy nie żyją. Nie będą to jedyne dzieci stracone przez Matkę Rosję w tej wojnie... Oczywiście... to aż nadto dobra misja, żeby sprawdzić twoją wierność.

Guillén nie wypił dość wódki, żeby tak łatwo dać się zbić z tropu. I żeby nie dostrzec ostrzeżeń, też nie. Jednego był pewien, nie pozwoli się sprzedać za nic. Moskwa nie była miastem wystarczająco złotym.

Kiedy dobiegło końca krótkie spotkanie z Aronem, poszedł spotkać się z Janem, fotografem, siostrzeńcem Zygmunta. Był przekonany, że ciągle przechowuje negatywy fotografii dokumentów Ardsteina, które dała mu Lena.

Młodzieniec, którego szczęśliwie zastał w domu, zabrał go do ciemni. Tam poszperał przez chwilę w teczkach i podał mu kopertę. Wydawał się dziwnie poirytowany, kiedy to robił, jakby został przyłapany na czymś złym. Kilka zawstydzonych słów chłopaka wystarczyło Guillenowi do wydedukowania, że jeśli jeszcze przechowuje negatywy, to nie z powodu wagi dokumentów, ale dlatego, że w jakiś sposób zakochał się w obrazie dziewczyny ze zdjęć. Guillén uśmiechnął się z radości, że ma tyle szczęścia, i znowu naszły go nostalgiczne wspomnienia Leny.

Jan zgodził się zrobić kopię zdjęć, nie bez wcześniejszego pomarudzenia, jakie to strasznie trudne i kosztowne, żeby zdobyć papier fotograficzny i odczynniki. Guillén otarł te łzy kilkoma złotymi więcej.

Wróciwszy do siebie, Guillén położył zdjęcia i radzieckie dokumenty na stole w kuchni i przysunął lampę, żeby mieć lepsze światło. Lista Żydów Ardsteina była dłuższa od tej, którą przekazało mu NKWD; a jednak natychmiast dostrzegł pewną zbieżność. Z siedmiu nazwisk z radzieckiej listy pięć było też na niemieckiej; czterech mężczyzn i kobieta. Według notatek Ardsteina, które Guillén zdołał odczytać z pomocą słownika niemiecko-polskiego kupionego w antykwariacie, jeden zmarł, drugi znajdował się na Majdanku, następny

w Auschwitz (potwierdzały to notatki, które rzekomo otrzymał listownie z obozów koncentracyjnych), miejsce pobytu czwartego mężczyzny było nieznane (ostatnie miejsce pobytu miało adres w getcie), po kobiecie też urwał się ślad (wynioskował to z licznych znaków zapytania, które Ardstein postawił przy jej nazwisku). Poza znakami zapytania Ardstein przy Marii Ratner, bo tak się nazywała ta kobieta, dopisał także inne nazwiska; nie było to dziwne, niemal wszyscy na liście mieli obok odręcznie napisane inne imiona; tylko imiona, bez nazwisk, co nasunęło Guillenowi myśl, że może chodzić o członków rodziny. Zwrócił uwagę, że jednym z nazwisk napisanych obok Ratner był doktor Stanisław Kaczorowski.

*

Były to szalone tygodnie pracy na trzy strony. Z jednej strony ojciec Szymlik przy pomocy kilku pomocników z Żegoty lokalizował ukrywających się Żydów i kontaktował się z rodzinami, które były skłonne wyjechać z kraju. Z drugiej strony Cassio organizował wystawne kolacje i obiady z wysokimi funkcjonariuszami SS, na których płynęła rzeka wina i wódki, a także świeżutkich banknotów. Zwykle nie było kłopotu z otrzymaniem listy uwięzionych i wywiezionych Żydów, jak również transportów do obozów koncentracyjnych przygotowywanych w najbliższych tygodniach, w zamian za spore sumy, które Lena i on sam pokrywali z własnej kieszeni. Przy kilku okazjach Lena na prośbę Cassia uczestniczyła w takich przyjęciach: „Czasem kobiecey talent znacznie łatwiej zmiękcza surowość etyczną”, zapewniał ją. Młoda wdowa po bohaterskim kapitanie Ardsteinie doprowadzała do szału tych pijanych pułkowników. A ona stoicko znosiła słowa szeptane na uszko, śmierzący oddech i żądze na twarzy, zręczne ręce sprawdzające obronę ciała... Uśmiechała się i przełykała obrzydzenie popijane łykami szampana.

Dzięki uzyskiwanym od nich informacjom oraz tym dostarczanym przez ojca Szymlika i Żegotę domyślała się związków między ludźmi, kalkulowała liczbę wiz, zarysowywała grupy rodzinne, przewidywała potrzeby mieszkaniowe i planowała logistykę oraz koszty wyjazdu. Sprawdzala też nazwiska z listy Kurta, którą oczyściła i uporządkowała. Kilka z nich znalazła w archiwach SS i Gestapo. Co do innych, nie wpadła na żaden ślad.

Dzień i noc starała się mieć zajęte myśli. A jednak i tak chodziła, nie widząc ulic, oddychała, nie czując zapachów, żyła na marginesie otoczenia. Bo wszystko, absolutnie wszystko przypominało jej Kurta. I Guillena. Bo czasem wydawało się jej niemożliwe trwać z tymi wszystkimi wspomnieniami, z sumieniem ubrudzonym sadzą.

Tamtego dnia znajdowała się w okolicach getta. Patrzyła na morze gruzu, puste i przygnębiające, w które zostało przekształcone. Widziała koparki jeżdżące po powierzchni i mnóstwo wychudzonych ludzi gnących kark przed groźbą chłoności batem... Nie potrafiła powiedzieć, jakie dziwne skojarzenie kazało jej pójść stamtąd w poszukiwaniu ojca Szymlika. Może po prostu jej wytrzymałość skończyła się w tamtym miejscu, w tamtej chwili. Potrzebowała tylko porozmawiać z duchownym, wyspowiadać się.

Usiedli w zakrystii kościoła Świętego Klemensa Hofbauera na ulicy Karolkowej, na krótko przed ostatnią popołudniową mszą. Twarzą w twarz i bez kratki między nimi. Lenie łatwiej było się otworzyć w taki sposób – wyglądało to jak rozmowa ze starym przyjacielem. Nie przerwał jej ani razu, jakby usunięto zapórę i opowieść popłynęła niczym strumień. Lena przedstawiła wszystko po kolei od czasu, kiedy drogi jej i Guillena przecięły się w Warszawie; nawet wcześniej, od czasu kiedy byli jeszcze dziećmi w górach.

Dopiero gdy skończyła, po raz pierwszy poczuła zapach kadzidła. Białe światło neonówki. I tykanie zegara na ścianie. Było tak, jakby wróciły jej zmysły i spokój ducha.

– Dlaczego nie chciałaś zobaczyć się z Guillenem?

– Bo nikogo nie chciałam widzieć. Bo chciałam tylko umrzeć. I dlatego że... może wtedy go nienawidziłam; winiłam go za śmierć Kurta. Na kogoś musiało paść... poza mną samą...

– Czego więc żałujesz?

– Że go nienawidziłam. Że go od siebie odsunęłam. Że nie dałam mu nawet możliwości się usprawiedliwić... – Lena zrobiła przerwę i dalej wspominała: – Drugi raz dzieje się coś takiego. Już w Oviedo zachowałam się wobec niego w sposób okrutny i niesprawiedliwy. Wydaje się, że przeznaczenie upiera się, żeby poddawać nas najcięższym próbom... Bo jeśli nie, to nie wiem, po co spotkaliśmy się w Warszawie, żebym znowu go straciła. Jeśli nie, po co on ma tę cnotę, której mnie brakuje, to znaczy zawsze potrafi mi wybaczyć. Nie chcę, żeby zdarzyło się znowu coś takiego. Nie chcę go stracić... Ja go kocham – podkreśliła mocno. – To mój brat... Chociaż duma, złość i ból mnie zaślepiają, ja też potrafiłabym mu wszystko wybaczyć. Bo przecież wiem, że on nie chce mnie skrzywdzić, wręcz przeciwnie...

Ojciec Szymlik milczał, a Lena spróbowała się rozluźnić.

– Nie ma dość Ojciec nasz ani Zdrowaś Mario, które mogłyby to naprawić... – zauważyła.

– Nie, nie ma. Nie przyniosą ci ulgi, bez względu na to, jak wiele ich wyrecytujesz. Moje odpuszczenie grzechów też ci nie pomoże. Jak tylko zrobię znak krzyża i wypowiem zdanie po łacinie, będziesz się czuła dokładnie tak samo. Jedynie ty wiesz, jakie jest lekarstwo, co przywróci ci uśmiech i sprawi, że

uśmiechniesz się do Boga. – Zwrócił oczy do nieba.

– A jeśli on nie chce mnie widzieć? – wypowiedziała niepokój, który czuła w głębi ducha.

– Jest tylko jeden sposób, by się tego dowiedzieć...

Po nieprzespanej nocy, podczas której ćwiczyła zdania i wyobrażała sobie scenariusze pogodzenia się, wcześniej rano przeszła przez miasto w kierunku Ochoty, gdzie znajdował się warsztat Guillena.

Pośród porozkładanych części samochodów zauważyła starego mechanika, którego zapamiętała z poprzedniej wizyty, w tym samym niebieskim kombinezonie poplamionym smarem i z siwymi włosami kręcącymi się na czubku głowy. Kulejąc, podszedł do niej, papieros kołysał mu się w kąciku ust, kiedy mówił. Lena wysilała się, żeby wyjaśnić mu w swojej łamanej polszczyźnie, co ją tam sprowadza.

– Już nie tu. Nie mieszka tu. – Staruszek natychmiast przejął jej sposób mówienia i zaczął gestykulować jak mim, i tak wątpiąc, że ona go zrozumie. Był bardzo komiczny.

– Ale... jest w porządku, prawda? – zapytała przestraszona.

– Dobrze. Dobrze. Poszedł sobie.

– Gdzie mogę go znaleźć?

Tamten wzruszył ramionami.

– Poszedł. Czasem tu przychodzi... Rzadko. Może pani zostawić wiadomość.

Lena wyciągnęła z kieszeni notes i ołówek. Chciała zapisać adres swojego mieszkania, ale szybko przemyślała to, bo przecież przychodziła tam zaledwie na noc. Napisała więc adresy konsulatu hiszpańskiego i sierocińca sióstr miłosierdzia. Dodała kilka czułych zdań i serdeczne pożegnanie, po czym wręczyła kartkę mechanikowi.

Miała nadzieję, że ta kartka nie zostanie na zawsze w kieszeni niebieskiego kombinezonu.

*

Tym razem również Guillén przychodził kilkakrotnie do mieszkania doktora Kaczorowskiego na ulicę Częstochowską, ale nigdy nikt nie odpowiadał na jego dzwonek. Znowu pojawiła się szpiegująca sąsiadka i mimo prób Guillena nie udało mu się z nią porozmawiać; ukryła się za drzwiami z nadzwyczajną zręcznością, nie zważając na jego prośby. W końcu postanowił zadzwonić do trzecich drzwi. Po chwili pojawiła się młoda dziewczyna w ciąży, z małym dzieckiem na ręku, za

spódnicę trzymało ją jeszcze jedno dziecko. Kobieta wyjaśniła uprzejmie, że doktor Kaczorowski przeprowadził się do siostry na obrzeżach Warszawy. Ona odbiera jego pocztę i od czasu do czasu mu ją odsyła. Bez problemu podała mu adres, kiedy Guillén o to poprosił.

Siostra doktora Kaczorowskiego mieszkała w spokojnej okolicy Pruszkowa, w piętrowym domku z ogródkiem. I tam doktor przyjął go w pewne upalne popołudnie, w cieniu rozłożystego kasztanowca. Agnieszka, siostra doktora, podała im zimny poncz na żelaznym stoliku pomalowanym na zielono. Stary doktor wyglądał na zadowolonego z odwiedzin, bo lubił sobie porozmawiać i zabijać tym czas, którego teraz miał aż nadto.

– Dowiedziałem się z prasy o kapitanie Ardsteinie. Smutna sprawa...

Twarz Guillena się zachmurzyła.

– Nie zdążyłem – wyszeptał, jakby musiał się usprawiedliwić.

Kaczorowski nic nie powiedział, chociaż zaskoczył go tak emocjonalny stosunek chłopaka do tej sprawy. Strzepnął mrówkę wspinającą mu się po nogawce spodni. Guillén wypił łyk ponczu, żeby przeczyścić gardło, zanim skierował rozmowę na temat, z którym przyjechał.

– To bardzo dziwna sprawa... Dlatego zależało mi na ponownym spotkaniu z panem. Tych ludzi, których chciał uratować Ardstein... chcą też Rosjanie.

Kaczorowski nie potrafiłby powiedzieć, kto mniej mu się podobał, Niemcy czy Rosjanie.

– Rosjanie? Skąd pan wie?

– Bo zlecili mi ich odszukanie.

– Rozumiem...

– Mam ich listę, mam listę kapitana Ardsteina: zbyt wiele tu zbiegów okoliczności. Wiem, że coś się za tym kryje, i chcę się dowiedzieć co, zanim coś zrobię w tej sprawie.

Doktor Kaczorowski sięgnął po leżący na stoliku woreczek z tytoniem, wziął odrobinę i nabił fajkę.

– Już panu opowiedziałem, jak przebiegła moja rozmowa z kapitanem Ardsteinem – przypomniał, zapalając fajkę jedną zapalką i wypuszczając krótkie pyknięcia. – Przyszedł do mnie po jedną z tych osób...

– Marię Ratner... Kapitan zrobił notatkę: pana nazwisko obok jej... – pospieszył Guillén na te słowa doktora, wyprzedzając pytanie o to, skąd zna jej nazwisko.

– Tak jest. Doktor Ratner była moją studentką. Bardzo mądra kobieta... Po zdobyciu tytułu postanowiła zająć się fizyką molekularną i poprosiła, żebym poprowadził jej doktorat. Pracowaliśmy razem i byliśmy przyjaciółmi... Podczas poszukiwania jej miejsca pobytu kapitan Ardstein trafił na mnie. Dlatego do mnie przyszedł. Powiedział mi, że działa na polecenie tajnych służb, poza jurysdykcją

Gestapo. Że próbuje odnaleźć konkretnych obywateli pochodzenia żydowskiego, o których upomniał się rząd Stanów Zjednoczonych, gdyż mają amerykańskie obywatelstwo... Zaskoczyło mnie to, że Maria była obywatelką Stanów Zjednoczonych, ale skąd ja mogę wiedzieć, czy nie ma jakiejś babci w... Chicago? Uwierzyłem Ardsteinowi, wydał mi się człowiekiem godnym zaufania, choć to Niemiec.

– A jednak Ardstein pana okłamał. Albo to Rosjanie kłamią. Gdyż oni utrzymują, że Maria Ratner, która znajduje się także na ich liście, jest Rosjanką, dlatego jej szukają. Oczywiście jest, że nie może być Rosjanką i Amerykanką jednocześnie... To byłby zbyt dziwny zbieg okoliczności.

– Może obie strony kłamią...

– A wie pan, gdzie jest doktor Ratner?

– Wiem, co powiedziałem kapitanowi Ardsteinowi: kiedy weszli Niemcy, wyrzucono ją z uniwersytetu, bo była Żydówką. A potem wyrzucili nas wszystkich... – Zaśmiał się gorzko. – Marię wysiedlili do getta; ją i jej troje dzieci. Mąż był oficerem Wojska Polskiego na początku wojny i został uwięziony przez Rosjan, nic o nim nie wiadomo od września trzydziestego dziewiątego. Maria napisała do mnie list zaraz po pierwszych wywózkach, list z getta, a więc przypuszczam, że uratowała się podczas *Grossaktion*. Chociaż od tamtego czasu nie mam od niej wiadomości.

– Zgodnie z notatkami Ardsteina jest zaginiona... Widział pan kiedyś listę kapitana?

– Nie... Nawet nie wiedziałem, że taka lista istnieje.

Guillén sięgnął do kieszeni marynarki, którą powiesił na oparciu. Wewnątrz, zwinięte jak pergamin, schował obie listy. Podał je doktorowi.

– No to proszę. I tę rosyjską też.

Kaczorowski poprawił binokle i uważnie przejrzał oba dokumenty. Guillén zobaczył, jak na obliczu doktora stopniowo wykwiła zdumienie.

– Boże drogi...

– Co?

– Gdybym... gdybym wcześniej to zobaczył... Proszę spojrzeć. – Wskazał na niemiecką listę. – Tola Gryn...

– Kim jest Tola Gryn?

– Żoną Józefa Rotblata. Doktor Rotblat to też mój kolega, wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego. To prawdziwa gwiazda: badał radiację w Towarzystwie Naukowym Warszawskim, pomagał dyrektorowi Instytutu Fizyki Nuklearnej... Pracował przy różnych eksperymentach doktor Ratner. Na krótko przed wojną był w Paryżu i w Liverpoolu na zaproszenie profesora Jamesa Chadwicka, światowego autorytetu w sprawach fizyki atomowej. Studiował tam projekt akceleratora cząstek, bo chciał podobny zbudować w Warszawie. Przeniósł

się do Anglii na kilka miesięcy, bez Toli, bo nie zarabiał dość dużo, żeby utrzymać oboje poza Warszawą. Później podnieśli mu zarobki, więc po nią przyjechał, ale ona już była chora, dlatego postanowili odłożyć jej wyjazd do czasu wyzdrowienia. Rotblat musiał wrócić do Liverpoolu sam, z zamiarem powrotu po małżonkę, gdy tylko będzie to możliwe. A jednak wkrótce Niemcy napadły na Polskę... Ostatnią rzeczą, którą wiem o Toli, to że ją też zabrali do getta... Co mówią notatki?

Guillén przełknął ślinę.

– Zmarła... Na Majdanku.

Kaczorowski z żalem pokręcił głową.

– Boże...

– Tej kobiety nie ma na rosyjskiej liście...

– Na rosyjskiej liście są tylko naukowcy, a ona nie jest naukowcem. Ale jej mąż tak, i pracuje w Anglii, a zatem przypuszczam, że uruchomił wszystkie swoje możliwości, żeby wywieźć ją z Polski... – Doktor zamilkł na chwilę, zamyślony.

– Czyli że aż tak ważny jest Rotblat dla angielskiego czy amerykańskiego rządu...

– Jeszcze raz rzucił okiem na listę Ardsteina. – Tak samo jest z Józefem Ulamem...

To ojciec Stanisława Ulama, jednego z najlepszych polskich matematyków, z Politechniki Lwowskiej. On wraz z innymi znakomitymi matematykami stworzyli lwowską szkołę matematyczną. Spotykali się zawsze w kawiarni Szkockiej na mieście i dyskutowali problemy matematyczne, dlatego kajet, w którym spisywali te wszystkie problemy, nazwali „Księgą Szkocką”. Wielu z nich, Żydów i Polaków, zabili Niemcy w czterdziestym pierwszym, podczas masakry Uniwersytetu Lwowskiego... Ulam się uratował, też wyjechał przed wojną, do Princeton, potem do Harvardu. Przypuszczam, że tak jak Rotblat stara się wyciągnąć stąd swoją rodzinę.

– Według Ardsteina Józef Ulam znajduje się w miejscu nieznanym.

Kaczorowski wpatrywał się w listę nazwisk, która dla niego miała tak wiele sensu.

– Jest tutaj Hugo Steinhaus, na obu listach... Ale jest ich więcej: fizycy, matematycy, chemicy... Z Krakowa, Lwowa i Warszawy, przede wszystkim. Kilku nazwisk nie kojarzę, ale mogę się założyć, że to wszystko naukowcy... I to nie byle jacy.

– Co chce pan powiedzieć?

– Wszystkich ich coś łączy. Coś, co mogłoby wyjaśnić fakt, że zarówno Rosjanie, jak Niemcy i Amerykanie są tak bardzo zainteresowani, żeby zabrać ich do swoich krajów. – Kaczorowski uniósł głowę i poważnie spojrzał na Guillena ponad szklami binokli. Kartki z nazwiskami trzęsły się w jego rękach. – Jeśli szukał pan jakiegoś wyjaśnienia tej sprawy, przyjacielu, to chyba je pan odnalazł.

*

– Otrzymałem wiadomość od Żegoty – obwieścił ojciec Szymlik Lenie i konsulowi Granzowowi.

Cała trójka spotykała się praktycznie codziennie, żeby podzielić się wiadomościami i koordynować prace.

– Maria Ratner żyje; ona i dwie jej córki.

– Dobrze, to znakomita wiadomość – ucieszyła się Lena.

W ostatnich tygodniach zrobili znaczące postępy co do listy Kurta. Większość zamieszczonych na niej osób już nie żyła i wtedy w takich wypadkach Lena koncentrowała się na poszukiwaniu członków ich rodzin, zaczynała jednak tracić nadzieję, że uratowała się choć jedna z osób, o które prosili Amerykanie.

– Tak... częściowo – podkreślił duchowny. – Jej syn zmarł na tyfus, a mąż jest uwięziony w Rosji. Ratner z córkami ukrywają się w Warszawie pod fałszywymi nazwiskami, ale Żegota potrzebuje solidniejszych gwarancji, zanim ujawni miejsce ich pobytu. Jest jedna kobieta z organizacji, Mary Palester, zdaje się, przyjaciółka pani Ratner; chciała się z tobą spotkać. – Spojrzał na Lenę.

– Zgoda. Umówmy się jak najszybciej – odpowiedziała, robiąc notatkę.

Niebawem miała zamiar wysłać Canarisowi hiszpańską pocztą dyplomatyczną raport z wynikami poszukiwań. Spośród tych, którzy przeżyli, wielu ludzi z listy znajdowało się w różnych obozach koncentracyjnych, więc w ich wypadku to admirał musiał zacząć działać. Co do reszty, trzy osoby ciągle przebywały w nieznanym miejscu, ale ponieważ żadna z nich nie figurowała w archiwach Gestapo, do których mieli dostęp, istniała szansa, że się ukrywają. I w końcu zlokalizowali dwóch mężczyzn wraz z rodzinami w klasztorze na obrzeżach Warszawy, gdzie znaleźli bezpieczne schronienie, w oczekiwaniu na to, aż uda się przygotować ich wyjazd. Przy odrobinie szczęścia pani Ratner z córkami do nich dołączy.

Wtedy Cassio zabrał głos. On także miał różne wiadomości, którymi chciał się podzielić.

– Dostałem dziś z Madrytu pozwolenie, żeby wystawić pilne wizy. Możemy ich wydać sto dwadzieścia pięć.

Liczba ich zaskoczyła. Lena uniosła wzrok znad papierów.

– Sto dwadzieścia pięć? To za mało nawet na początek!

Konsul zrobił zakłopotaną minę i podrapał się po głowie.

– Wiem... ale tyle mamy, przynajmniej chwilowo...

– Ale... na listach tymczasowych mamy ponad tysiąc ludzi! A ta liczba bez wątpienia wzrośnie! Co zrobimy z nimi wszystkimi? – zapytała Lena zdesperowana.

– Nie wiem. Jeszcze coś wymyślimy. W każdym razie ostrzegałem, że nigdy

nie zgodzą się na tyle wiz. W Polsce nawet nie ma stu dwudziestu pięciu Żydów sefardyjskich. To szaleństwo...

– Ale tylko sto dwadzieścia pięć wiz...

– Zrobimy to, co założyliśmy: zajmiemy się przegrupowaniem rodzin i zobaczymy, ilu nam się uda znaleźć. Potem... Bóg nam pomoże.

Podczas gdy pozostała dwójka próbowała się oswoić z tą złą wiadomością, Cassio ciągnął:

– Może na spotkaniu z przedstawicielami innych poselstw uda nam się dojść do jakichś wspólnych rozwiązań. Dostałem też wiadomość, że za tydzień odbędzie się spotkanie w Budapeszcie. Trzeba zacząć przygotowywać całą dokumentację. I, rzecz jasna, dobrze by było, żeby mi pani towarzyszyła. Przecież to pani rozpętała całe to zamieszanie – zażartował z Leny.

Ambasada Hiszpanii w Budapeszcie znajdowała się o kilka kroków od słynnej alei Andrásyego, gdzie jeszcze pyszniły się luksusowe neorenesansowe rezydencje, kawiarnie z końca XIX wieku i eleganckie sklepy. W porównaniu z opuszczoną Warszawą Budapeszt wydawał się miastem dalekim od dramatu wojny, wszak udział Węgier w wojnie ograniczał się do wysłania wojska na front wschodni, żeby walczyły u boku Niemców i pozostałych państw Osi, zgodnie z układem podpisanym przez Hitlera z Miklósem Horthym.

Lenie podobał się spokojny i prosty rytm codzienności w mieście. Spędziła tam zaledwie kilka dni, ale miała za przewodnika Cassia, który był człowiekiem światowym, więc mogła się cieszyć spacerami nad Dunajem, widokami z zamku w Budzie, przedstawieniem *Nabucco* w Operze i wieczorami przy gorącej czekoladzie i ciastku z malinami w Café Central.

Spotkanie w ambasadzie przeciągnęło się do obiadu. Hiszpański konsul w Budapeszcie, Miguel Ángel Muguiro, jak również jego młody asystent, Ángel Sanz Briz, byli gospodarzami spotkania, w którym oprócz Cassia i Leny wzięli udział przedstawiciele poselstw z Rumunii, Bułgarii i Grecji.

W odróżnieniu od Polski i Grecji, ani Węgry, ani Rumunia, ani Bułgaria nie były okupowane, tylko pozostawały sojusznikami Niemiec, dlatego sytuacja Żydów w każdym z tych krajów była inna. W większości przyjęto prawa antysemickie, mniej lub bardziej ostre, ale tylko Bułgaria uległa niemieckim naciskom i rozpoczęła wywózkę. W przypadku Węgier pogromy i nagonka, podsycana przez faszystowską partię strzałokrzyżowców, były na porządku dziennym. Konsul Muguiro już protestował u władz i rozpoczął działania zmierzające do ochrony własności Żydów sefardyjskich. A jednak zarówno on, jak i Sanz Briz obawiali się, że sytuacja z czasem tylko się pogorszy, bo krążyły plotki, że Hitler, który czuł się zdradzony przez węgierski rząd z powodu zmiany jego polityki i zbliżenia z Anglią i Stanami Zjednoczonymi, również niebawem

zaatakuj ten kraj.

Spotkanie koncentrowało się na tym, jak rozszerzyć ochronę, którą rząd hiszpański może zagwarantować sefardyjczykom, na jak największą liczbę Żydów, jak przeprowadzić wyjazd do Hiszpanii i osiedlenie tak wielkiej liczby ludzi i jak zrobić to wszystko, nie wzbudzając protestów strony niemieckiej, które mogłyby doprowadzić do zerwania stosunków z Berlinem i ogólnie wpłynąć na pozycję Hiszpanii w sytuacji wojennej.

Wcale nie było to łatwe. Zwłaszcza w przypadku Polski i Grecji, gdzie należało działać pilnie wobec dramatycznej sytuacji społeczności żydowskiej. Konsul w Grecji, Sebastián Romero, stwierdził, że w ostatnich miesiącach wywieziono z Salonik do Auschwitz ponad czterdzieści osiem tysięcy Żydów.

W pewnej chwili Miguel Ángel Muguiro zaczął mówić o Tangerze, mieście, które doskonale znał, bo w nim spędził sześć lat jako dyplomata.

Tanger był szczególną enklawą na północy Afryki. W latach dwudziestych nadano mu status strefy neutralnej pod zarządem kilku krajów, między innymi Hiszpanii. A jednak Hiszpanie ciągle skarżyli się na francuską hegemonię w administracji miasta, które uważali za własne, jako część hiszpańskiego protektoratu Maroka. Kiedy Niemcy w 1940 roku napadały na Francję, rząd hiszpański dostrzegł w tym swoją szansę: zmobilizował mauretańskie wojsko w Tetuanie, które bez walki zajęło Tanger oraz jego okolice. Ani Francja, ani Wielka Brytania, w tamtej chwili bardziej zajęte swoim bezpieczeństwem wewnętrznym, nie zaprotestowały. Hitler pogratulował Franco tej akcji. I w ten sposób Tanger stał się hiszpańskim terytorium.

Tygiel Arabów, Żydów i chrześcijan; gniazdo szpiegów; miejsce odpoczynku milionerów; przeznaczenie uchodźców wszelkiej maści i kondycji; miasto chaosu... Według Muguiro było to doskonałe miejsce, żeby wysłać tam wszystkich Żydów, których ta grupa zaangażowanych dyplomatów zdoła wyrwać ze szponów III Rzeszy.

*

Nie porozmawiał z Aronem. Co mógł mu powiedzieć ten stary oszust? Prawdopodobnie starałby się go zagadać bezsensownymi argumentami. Może strzeliłby mu między oczy za to, że za dużo wie. Może nie. Może jeszcze bardziej by go szanował za to, że nie zgodził się być marionetką. Nie chciał ryzykować, żeby się tego dowiedzieć. W sumie nie zdecydował jeszcze, czy interesuje go dalsze kolaborowanie z Rosjanami. Chociaż odnosił wrażenie, że sam zaplątał się w pajęczynę, z której trudno będzie się wyplątać.

Potrzebował porady. Dlatego wrócił do mieszkania Henryka Wolińskiego

i opowiedział mu wszystko, czego się dowiedział.

– Co powinienem zrobić? – zapytał na koniec, kiedy Woliński nalewał mu odrobinę erzacu o smaku sacharyny.

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Usiadł ciężko w fotelu, wypił filiżankę kawy zbożowej i głęboko westchnął.

– Jako Polak powiem ci, co by mi się podobało, żebyś zrobił. Nie oddawaj tych ludzi Stalinowi. Ale ty nie jesteś Polakiem...

– Boję się, że jeśli tego nie zrobię, pozbawię tych ludzi, o konkretnym imieniu i nazwisku, możliwości ocalenia życia. Nie uważam, że mam do tego prawo. Powinienem to przynajmniej z nimi przedyskutować; niech oni sami zdecydują o swoim losie.

– Jedna osoba z twojej listy nie żyje, dwie są w obozie koncentracyjnym, a więc masz małe szanse, żeby na nie trafić.

– Wciąż jeszcze pozostają cztery osoby, cztery osoby, którym można uratować życie!

– Za cenę czego? Za cenę ilu innych?

Guillén nerwowo potarł czoło i oczy. Woliński uświadomił mu, z jak poważnymi dylematami musi się zmierzyć. Nie było to bardzo pomocne.

– Nie wiem...

Weteran ruchu oporu podparł się i położył mu rękę na ramieniu, w geście pocieszenia.

– W każdym razie nie musisz sobie tym więcej łamać głowy, chłopcze. Spóźniłeś się...

Guillén spojrzał na niego szklanymi oczami.

– Co to znaczy?

– Znaleźliśmy trzy z tych osób, między innymi doktor Ratner. Poszły z wdową po kapitanie Ardsteinie.

Blady i bez tchu, jakby uderzono go pięścią w brzuch, Guillén patrzył na niego w milczeniu. Nie mógł uwierzyć w to, co właśnie usłyszał.

– Lena...? – wybąkał, czując się dziwnie, gdy to usłyszał.

– Tak, Frau Lena Ardstein. Najwyraźniej wróciła do Warszawy i zdobywa hiszpańskie wizy dla Żydów, żeby mogli uciec z kraju. Nawet pracuje w konsulacie hiszpańskim... Wdowa po niemieckim oficerze... Kto by pomyślał?

Guillén nie słuchał wyjaśnień Wolińskiego. Dźwięczało mu w uszach, rozsadało głowę.

– Ona... jest tutaj? W Warszawie?

– Nie umiem ci powiedzieć, gdzie dokładnie jest w tej chwili, ale mogę cię zapewnić, że rozmawiała tu z ludźmi z Żegoty.

– Muszę się z nią zobaczyć.

Ojciec Karol Szymlik. Kościół Świętego Klemensa Hofbauera. Ulica Karolkowa. Wola. Guillén powtarzał obsesyjnie jedyny adres, który mógł mu podać Henryk Woliński. Gwałtownie przerwał wizytę i pobiegł przez całą Warszawę, z jedną myślą w głowie: odnaleźć Lenę.

Tak był oszołomiony w tamtej chwili, że prawie nic nie pamiętał. Jak się dostał do kościoła ani jak znalazł Szymlika, ani jak do niego mówił... Może stanął jak automat przed tym mężczyzną w sutannie i powtarzał mechanicznie tylko trzy słowa: „Muszę ją zobaczyć”. Pragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego. Oczywiście, że gdyby był natarczywy, Szymlik nie okazałby się tak miły. A Guillén pamiętał jego miłą twarz, ciepły głos, przyjazny ton...

„Ty jesteś jej bratem, prawda? Chciała cię zobaczyć, ale cię nie znalazła”. „Przykro mi, ale w tej chwili nie ma jej w Warszawie”. „Wyjechała przed tygodniem”. „Do Tangeru”. „Mogę dać ci jej adres, gdybyś chciał do niej napisać”...

Ona była w Tangerze. Lena.

Wrzesień 1943

Tanger był najbardziej kosmopolitycznym miastem świata. Mała i ciasna sceneria utworzona ze ścinków stu kultur i stu kolorów pozlepianych chaotycznie na białym podłożu, zsuwająca się wzgórzami szarej ziemi do turkusowego morza. Było niepokojące i jednocześnie spokojne, wielkie i jednocześnie małe, tak afrykańskie, jak europejskie.

Czasem ta mieszanka okazywała się niepokojąca. Lenie podkreślała ciśnienie i sprawiała, że oblewał ją pot. A może to przez ten upał. Niemal trzydzieści stopni i wilgoć. Cienka tkanina sukienki przyklejała jej się do skóry, mimo że chodziła w cieniu po ulicy Siaguin, od markizy do markizy ściśniętych sklepów, z których towary wylewały się na zewnątrz. Dotarła aż do bramy Małego Rynku i zagłębiła się w labirynt wąskich uliczek utkanych jak firanka, prowadzących aż do kazby. Szła według planu, który dostała w hotelu, pośród szturchnięć i głosów tej wieży Babel; dzieci śpiewały chórem u jej stóp: „Mademoiselle, zeñorita, miss...”. Ofiarowywały jej dziesiątki rzeczy wyciąganych z brudnych dzellab. Powietrze pachniało kuminem, morzem i potem.

Doszła do jakichś drzwi pomalowanych na niebiesko, na których widniał szyld BAZAR DAR SOUIHLA. Przeszedłszy przez nie, poczuła świeży podmuch, w lekkim świetle spomiędzy tysięcy tkanin i przedmiotów dobywał się przytłumiony szmer... Czas nagle spowolnił; płynął tam spokojnie w rytm tumanów kurzu unoszących się w powietrzu. Może nawet cofnął się o kilka wieków... Lena ściągnęła kapelusz, wytarła czoło i odetchnęła z ulgą. Przebiegła oczami po półkach pełnych poczerniałych metalowych przedmiotów, poobijanej ceramiki i zakurzonych książek. W narożnikach gromadziły się meble inkrustowane kością słoniową, zwinięte dywany, pudełka z mozaikowymi motywami, chrapliwe instrumenty. Na ścianach wisiały stare fotografie i obrazy o wątpliwej jakości, a pomiędzy nimi ubrania i czapki tak różne jak samo miasto: fez, montera torreadora, borsalino... Były tam lampy i szkło, emalie w żywych kolorach, wiklinowe koszyki i skórzane torby.

– Podoba?... Podoba?... Wszystko bardzo ładny, co?

Lena odwróciła się. Staruszek o twarzy jak wysuszony daktyl i w dzellabie w paski uśmiechał się do niej usłużnie.

– Ładny kaftan... Dobry bawelna... Dam dobra cena. – Wyciągnął ze stosu fioletową tunikę i rozłożył ją przed nią. – Dużo kolor. – Dalej rozwijał: zielona, niebieska, biała...

Rzeczywiście były ładne. Nie mogła oderwać od nich oczu. Musiały znakomicie leżeć dzięki zaszewkom i miały misterne hafty na nadgarstkach i przy kołnierzu. Ona jednak nie przyszła tam na zakupy.

– Szukam Kalifa – powiedziała z uśmiechem, żeby nie przestraszyć sprzedawcy.

Staruszek zarysował rękami kółko w powietrzu, żeby na koniec złożyć je na piersi w geście żalu.

– Och... Kalif tu nie.

– No tak... A kiedy wróci?

– Och nie, Kalif nie w Tanager. Podróż. Długa podróż. – Poruszył ręką, naśladowując morskie fale.

– W podróży? Do kiedy?

Staruszek wzruszył ramionami.

– Dzień? Tydzień? Miesiąc?... – Wzniósł oczy do nieba. Tylko Allah to wie.

Lena poczuła się zniechęcona. To była istotna przeszkoda. Przejechała przez pół Europy do tego szalonego miasta tylko po to, żeby zobaczyć Kalifa. Skierował ją tu Miguel Ángel Muguero z listem polecającym. Kalif był jego kontaktem w Tangerze, człowiekiem, który miał jej pomóc przy przemieszczaniu Żydów z Europy. Teraz musiała tam zostać – Bóg jeden raczy wiedzieć jak długo – aż ta postać o dziwnym imieniu zdecyduje się objawić. Nie mogła wracać do Warszawy, nie spotkawszy się z nim.

Wyrwała kartkę z notesu, który miała w torebce, i napisała na niej swoje nazwisko i adres w Tangerze: Frau Ardstein-Daszkow. Hotel El Minzah. Podała ją sprzedawcy.

– Może mu pan powiedzieć, że tu byłam? Bardzo jestem zainteresowana rozmową z nim.

Tamten nieustannie kiwał głową w służalczym geście, jednocześnie chowając kartkę pomiędzy połamami dzellaby.

– Kupi kaftan? Tak? – Przypieczętował pytanie uśmiechem odsłaniającym żółte zęby.

Na koniec „kupiła kaftan, tak”. Biały z lamówką w kolorze oceanu. Sprzedawca zapewniał, że pasuje do jej koloru oczu. Prawda jest taka, że pasowałby do każdego koloru oczu... Przynajmniej nie zmarnowała tej wizyty.

Co wieczór o zmierzchu siadywała przy stoliku na tarasie hotelu El Minzah, zwykle tym samym: trochę ciasnym, ale za to z pięknym widokiem na ogrody i basen otoczony palmami. Po francusku zamawiała u kelnera wermut. Od przyjazdu do Tangeru niemal zawsze mówiła publicznie w tym języku. Jej francuski był dość zły, ale w jakiś sposób pomagał jej zachować dystans – mogła pozostać zagubiona w obcym świecie, z dala od ojczyzny, do której od dawna nie wróciła, ale której niepokojąco blisko była teraz; w bezchmurne dni mogła zobaczyć jej wybrzeża po drugiej stronie morza.

Cieszyła się spokojnym popołudniem i wermutem. Docierającymi z baru

dźwiękami pianina. Wrażeniem, że nie robi nic więcej poza patrzeniem na ogród i pogrążaniem się w nieistotnych myślach, które przychodziły do niej i odchodziły, żadna nie zostawała na dłużej.

Ciągle nie miała wiadomości od Kalifa.

– Przepraszam, że przeszkadzam... Nie, nie, nie! Proszę nic nie mówić!

Lena nie miała zamiaru nic powiedzieć. Za bardzo była zaabsorbowana własnymi myślami. Jedyne uniosła głowę, żeby zobaczyć, kto przed nią stoi. Stwierdziła, że to kobieta, kobieta dojrzała, ale atrakcyjna: wysoka, elegancka, z blond włosami spiętymi w lokowany kok. Wyglądała trochę jak Bette Davis.

– To taka gra... – ciągnęła w języku francuskim, znacznie lepszym niż jej, chociaż niepozbawionym akcentu. – Lubię się bawić w zgadywanie, kim są ludzie. Obserwuję panią od kilku dni: zawsze siada pani przy tym samym stoliku, zawsze pije pani to samo... Zawsze sama. Jestem przekonana, że ma pani znakomitą historię... Proszę pamiętać: niech pani nic nie mówi – podsumowała. – To tylko chwila...

Kobieta usiadła na krześle obok niej, nie prosząc o pozwolenie. Jej ruchom towarzyszyła fala słodkich perfum. Oparła się łokciami na stole. Lena zobaczyła, że ma ogromne niebieskie oczy; nie za ładne, bo były zbyt duże i zbyt okrągłe, nawet trochę wyłupiaste, ale bardzo ekspresyjne.

– Oczywiście nie jest pani Francuzką. Pani akcent jest... Uff! Okropny!... Mogłaby pani być Hiszpanką, ale... pani żakiet. – Spojrzała na marynarkę wiszącą na oparciu. – Etykietka jest *couturier* francuskiej – pogładziła ją – i jest uszyty ze znakomitego *cashmere*... Niewiele kobiet w Hiszpanii mogłoby sobie pozwolić na takie ubranie. Powiedziałabym, że jest pani Włoszką – stwierdziła, przyjrzawszy się jej. – Włoska księżniczka podróżująca incognito... Dlatego nie ma pani wiele biżuterii, ale obrączka panią zdradza: jest godna królewskiego jubilera. Schroniła się pani w Tangerze, uciekając przed Niemcami, skoro teraz najechali pani kraj. Pani małżonek... po obrączce widzę, że jest pani zamężna... jest być może ważnym włoskim arystokratą, kimś z dworu króla Wiktora Emanuela, i został uwięziony razem z wieloma innymi szlachetnie urodzonymi za jego zdradę, za nakazanie Mussoliniemu rozpoczęcia negocjacji z aliantami. Nie ma pani dzieci: pani figura jest doskonała... Spodziewa się pani spotkać kogoś w Tangerze, kogoś, może Brytyjczyka albo Amerykanina, kto pomoże pani uwolnić małżonka. I co, zgadłam?

Kobieta opierała brodę na dłoni i uśmiechała się, odsłaniając zęby równe, ale z plamami nikotyny.

– Zgadła pani jedno: rzeczywiście nie mam dzieci – odpowiedziała Lena po hiszpańsku.

Kobieta zaśmiała się głośno.

– Do diabła! Jest pani Hiszpanką! – wykrzyknęła w tym samym języku,

z akcentem, który Lena zidentyfikowałaby jako angielski. – Powinnam była dać się ponieść pierwszemu impulsowi. – Wyciągnęła do niej rękę przez stół. – Nazywam się Virginia Mills i lubię wymyślać historie.

Lena uścisnęła jej dłoń.

– Lena Ardstein.

Virginia Mills uśmiechnęła się szelmowsko.

– Dobrze, dobrze, pani hiszpańskie nazwisko jest całkiem niemieckie. Wiedziałam, że ukrywa pani jakąś znakomitą historię. Kelner! Wermut dla tej pani, a dla mnie jeszcze jeden gin.

Tanger był rynkiem pełnym ekstrawaganckich historii, a obie kobiety wymieniły swoje opowieści bez zbędnego targowania się. Virginia często kupowała te historie do swoich książek. Była pisarką. Pisywała powieści romantyczne, które ledwie przechodziły przez cenzurę, i publikowała pod pseudonimem Pétula Lovecraft. „Tak, tak jak ten amerykański pisarz. To oczywiste, że tym nazwiskiem nieco zmieniam płeć. Tylko odrobinę poprawiam błąd”. Virginia... „Możesz nazywać mnie Gini; to zdrobnienie jest dla mnie doskonałe, bo strasznie lubię gin”. Gini podróżowała z brytyjskim paszportem od czasów swego pierwszego małżeństwa z biznesmenem o walijskim pochodzeniu. Ale tak naprawdę pochodziła z Silver Creek w Missouri. „Przy płynęłam do Europy po krachu w dwudziestym dziewiątym. Statkiem pełnym oszustów i ludzi zrujnowanych, którzy wiecznie straszili, że rzucą się za burtę. Ja występowałam w swego rodzaju kabarecie, który co wieczór dawał przedstawienie na pokładzie: miałam na sobie tylko jedno pióro, na głowie, i sukienkę z malutkiego kawałka materiału”. Krótco po tym, jak wylądowała w Plymouth, w jednej z wielu spelun działających na wybrzeżu zobaczył ją Dan, który wkrótce został jej pierwszym mężem. „Powiedział mi, że nigdy w życiu nie widział tak długich nóg. No więc za niego wyszłam”. Po dwóch latach nieszczęśliwego małżeństwa Dan umarł na zawał serca; według policji w dziwacznych okolicznościach. „Nie ma niczego zaskakującego w śmierci na zawał w burdelu. Za dużo alkoholu, za dużo emocji, za dużo... Za dużo”. Dan był na tyle miły, że zostawił jej cały swój interes, który ona szybko sprzedała za dużo więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek widziała. Postanowiła wykorzystać swoją małą fortunę na podróż: Francja, Hiszpania, Włochy, Szwajcaria, Belgia... W Belgii została z powodu Loïca de Montfleur, młodego arystokraty o wyglądzie adonisa i ptasim mózdzku. Wzięli ślub w Brukseli w tym samym tygodniu, w którym się poznali, po czym zamieszkali w wynajmowanej willi nad brzegiem jeziora Como. Ponieważ Loïcowi wpadło do głowy, że będzie malował okropne pejzaże, ona zaczęła pisać: opowiadania w stylu, który podniecał nie tylko wyobraźnię pożądlivej pary. Natychmiast otoczyła ich kamaryla znudzonych dyletantów, takich jak oni sami, i wspólnie

oddali się dniom *dolce far niente* i długim, godnym potępienia nocom. „Był to bardzo intensywny etap, trochę szalony i okrutnie zabawny. Chociaż krótki. Szybko się znudziłam. Znudziłam się Loikiem i jego wyglądem, jego ptasim mózdzkiem i okropnymi pejzażami”. W tamtym czasie poznała Céleste, błędną duszę, jak wszystkie, które tam krążyły, duszę wolną i nieokiełznaną, i ona podała jej rękę. Gini wzięła ją i razem odeszły. „Och, Céleste... Co za kobieta... Nie ma to jak przyjaźń kobieca... Z mężczyzną coś takiego jest niemożliwe, niemożliwa jest relacja tak intensywna na wszystkich poziomach, uwierz mi”. Schroniły się w Tangerze. Ktoś szepnął im w hallu jakiegoś hotelu: „Trzeba przepalić życie w Tangerze, w nargili z haszyszem”. I właśnie tak zrobili. Gini zakochała się w Tangerze. „Ale Céleste, jak wszystkie uskrzydłone dusze, narodziła się po to, żeby latać. Nie mogła zostać na zawsze w jednym miejscu. Pozwoliłam jej odejść”. Dla Gini czas włóczęgi dobiegł kresu. Jeszcze nie do końca wypaliła swoją nargilę i było bardzo prawdopodobne, że dokona żywota w Tangerze. „Najlepszym miejscu na świecie, żeby żyć i umrzeć”.

Historia Virginii skończyła się kolacją, którą zjadły razem w neutralnym kącie hotelowej restauracji, pomiędzy stołami Brytyjczyków z jednej strony a Niemców z drugiej. Historia Leny skończyła się zaś około północy, przy pustym kieliszku po koktajlu i umierających dźwiękach pianina.

Lena czuła się dziwnie dobrze w towarzystwie Gini. Ekscentryczna kobieta była wulkanem emocji, przebiegała po świecie jakby na szpilkach; szaleństwo. Jak gdyby siedziała po przeciwnej stronie wagi, utrzymywała Lenę w stanie nieważkości, w stanie przyjemnego zawieszenia w powietrzu, którego nigdy nie doświadczyła; tak daleko od przeszłości, tak nieświadomą przyszłości... Tak nieświadomą.

Przez cały tydzień oddawała się całkowicie chaosowi i hedonizmowi Gini. Przy śniadaniu, w południe przy szampanie, przy obiedzie i herbacie z miętą i ciasteczkach z kwiatem pomarańczy, przy kolacji z ginem i gwiazdami. Zrobiła sobie fale na włosach, kupiła sukienkę na ramiączkach i sandały na obcasie. Spacerowały bosko wzdłuż brzegu morza, zażywały słońca na wpół nagie pomiędzy palmami, pozwalały, żeby wiatr rozwiewał im włosy w alfie romeo cabrio. Odziane w tuareskie tuniki widziały, jak budzi się pustynia. „Rok temu zauroczyły mnie oczy jednego Tuarega. Nie ma nic podobnego do kochania się na pustyni”.

– Zostaw ten hotel pełen szpiegów i śliniących się facetów i zamieszkaż u mnie – powiedziała jej Gini.

Lena zawahała się. Od długiego czasu ocierała się o niebezpieczną granicę: sposób, w jaki Gini czasem na nią spoglądała, jak brała ją za rękę albo pod ramię podczas spaceru, jak gładziła ją po twarzy, jak całowała w policzek, jak dotykała jej skóry w sposób niby przypadkowy, jak nazywała ją *gazelle*, bo tak tangerczycy mówią o pięknych kobietach... Granicę, której nie miała zamiaru przekraczać.

– Ja, Gini... Bardzo ci dziękuję, ale... Nie wiem... Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała... Ciągle chodzę do kościoła w niedzielę i mam mentalność... bardzo konserwatywną, przynajmniej w odniesieniu do siebie samej – wyjaśniła jej niezgrabnie.

Gini zaśmiała się swym zwykłym wysokim, radosnym śmiechem syreny.

– I lubisz tylko mężczyzn. Wiem o tym, *gazelle*... Ludzie tacy jak ja potrafią ocenić grunt, po którym stąpają...

Lena poczuła się nieco zawstydzona.

– Zapewniam cię, że to bezinteresowna propozycja albo co najwyżej jestem zainteresowana twoim towarzystwem. Dom jest duży: będziesz miała pokój tylko dla siebie i absolutną prywatność zawsze, gdy tylko tego zapragniesz. Poza tym będziemy się cieszyć naszą przyjaźnią. Bez względu na to, czy w to wierzysz czy nie, podoba mi się to, że jesteś moją przyjaciółką. Żaden z moich przyjaciół nie jest tak ortodoksyjny jak ty: z twoją niedzielną mszą, z twoim martwieniem się cudzym nieszczęściem, twoją wzruszającą żałobą po mężu i twoimi konserwatywnymi poglądami. Ściągasz mnie na ziemię właśnie po to, żebym zaraz mogła odlecieć.

*

Dom Gini znajdował się w kazbie, w górnej części medyny. Był to pałacyk z XVII wieku, który należał do sułtańskiego kuzyna. Gini przerobiła go, żeby zmienić rozkład pomieszczeń i wyposażyć w nowoczesne instalacje, takie jak bieżąca woda i ciepła woda w łazienkach oraz elektryczność. Zachowała cechy lokalnej architektury, pobielone ściany, elementy stolarki pomalowane na niebiesko, okna z firankami, podłogi z terakoty i wewnętrzne patio z ośmiokątną fontanną, a ozdobiła go mieszanką elementów orientalnych i zachodnich: fotele Chesterfield, kapy z Damaszku, berberyjskie dywaniki, żyrandole, żelazne lampy, stoliki do herbaty z brązu, izabelińskie krzesła, obrazy młodych artystów, etiopskie maski i eklektyczny księgozbiór od starannych wydań dzienników Ibn Battuty po arabsku i francusku, dzieł Somerseta Maughama czy antologii poetyckich Paula Valéry'ego, aż do najnowszych powieści w miękkich okładkach: *Tuareska narzeczona*, *Miłość pod gwiazdami*, *Przeklęte serce*... Jednak najbardziej niesamowity był taras na dachu, z którego roztaczały się olśniewające widoki na Tanger i na morze. Nie było nic lepszego, niż położyć się tam i cieszyć się nimi z wielkiego łoża z oparciem i jedwabnymi poduszkami.

W tym domu wiecznie byli ludzie. Ludzie tak szczególni, jak sama Gini: zblazowani artyści, uchodźcy, bon vivanci różnego kalibru... Lena spotykała ich wszędzie i o każdej porze. Palili w bibliotece i pili gin z Gini, siedzieli przy stole obiadowym (o ile był czas na coś tak konwencjonalnego), drzemali na kanapie przy

oknie, zażywając chłodu, kłócili się o politykę na patio wyłożonym kolorowymi kafelkami...

Był tam Jurij, rosyjski malarz, który twierdził, że inspirują go widoki z tarasu, więc spędzał na nim długie godziny, zasmarowując płótna i pykając fajkę. Także Konstantin, niemiecki Żyd, który przed wojną był pierwszym skrzypkiem w Filharmonii Stuttgarckiej, a teraz zarabiał na życie jako cinkciarz na Wielkim Rynku. Od południa, ponieważ nigdy nie wstawała wcześniej, kręciła się Lula, portugalska śpiewaczka fado, którą kochanek, bogaty grecki armator, właśnie zostawił dla innej kobiety; chodziła, podśpiewując pod nosem, czasem okryta prześwitującą koszulą nocną i wiecznie ze szklanką w dłoni; Lena nigdy nie widziała, żeby ona coś jadła, tylko żuła gumę miętową. Może na pierwszy rzut oka najnormalniejszy ze wszystkich był Gustav, mężczyzna dojrzały i dobrze zbudowany, który spędzał noce w sypialni Gini; wiadano o nim tylko, że jest Szwedem i że przyjechał do Tangeru w interesach, chociaż Jurij twierdził, że to holenderski marszand, który sprzedaje ukradzione Żydom dzieła sztuki.

Pośród nich wszystkich prześlizgiwała się dyskretnie i po cichu Habiba, poprzedzana lekkim szmerem materiału džellaby i hidżabu, kroków bosych stóp na terakocie i zapachem olejku arganowego. Habiba wietrzyła pokoje i wytrzepywała grzechy z pościeli, zmywała podłogi, wymiatała kurz z kątów, pomagała przetrwać kaca kawą i konfiturami z konopi i przygotowywała kuskus jak nikt.

W swoim tangerskim mikrokosmosie Gini zbierała różne formy życia. I jak kustosz niespotykanego muzeum od czasu do czasu wzbogacała kolekcję o nowe nabytki. Lena była jednym z nich.

- Jestem zbyt zwyczajna jak na twój gust, Gini.
- Nie, *gazelle*, w ekstrawaganckim świecie zwyczajność przestaje mieć sens; automatycznie staje się ekstrawagancka.

Od czasu do czasu zabierała pocztę, która przychodziła do hotelu El Minzah. Tamtego poranka pośród innych był też list od Nati. Jej przyjaciółka wiele miesięcy wcześniej wróciła do Hiszpanii po opuszczeniu Błękitnej Dywizji. W Madrycie dalej była pielęgniarką w szpitalu klinicznym. Pisała do niej bardzo podniecona, żeby jej opowiedzieć, że spotkała mężczyznę swojego życia: amerykańskiego dziennikarza, dla którego całkowicie straciła głowę; do tego stopnia, że choć znali się dopiero od tygodnia, była gotowa wyjść za niego i wyjechać do Nowego Jorku, gdzie młodzieniec musiał wrócić po zakończeniu pracy w Hiszpanii. Lena nie mogła przestać się śmiać z podobnej lekkomyślności: ta szalona historia miłosna była typowa dla Nati. Poza tym wydawało się, że w jakiś sposób jej przyjaciółka pasuje do Amerykanina albo przynajmniej do wyobrażenia o Amerykanach, jakie miała.

Po przeciwnej stronie tej radosnej historii była wiadomość od Cassia. Sytuacja w Warszawie z każdą chwilą coraz bardziej się komplikowała. Niemcy z coraz większą zaciekłością prześladowali Polaków, łapanki na ulicach zdarzały się coraz częściej, egzekucje na Pawiaku zaczęły się odbywać codziennie. Nie wiedział, jak długo jeszcze się utrzymają w takiej sytuacji...

Przygnębiona Lena opuściła ręce na kolana, wciąż trzymając list. Jeśli Guillén dalej jest w Warszawie... Jak długo da radę tak żyć? A jeśli go zatrzymali? A jeśli go wywieźli? A jeśli... go zabili?

Poczucie winy i przygnębienie wywróciły jej żołądek. Przełknęła ślinę, otarła pot z czoła i zmusiła się do dalszej lektury.

Cassio i ojciec Szymlik dalej ratowali Żydów: dosłownie wyciągali ich z transportów albo nawoływali ich nazwiska na peronie, poszukiwali ich w więzieniach i w batalionach pracy. Dla wszystkich mieli wizę; wymyślili sposób na zwielokrotnienie tych stu pięćdziesięciu wiz, którymi dysponowali, według prostego systemu liter i cyfr; będzie działać, dopóki ktoś nie odkryje oszustwa. Mieli jednak kłopoty z mieszkaniami dla nich. Żegota nie dawała już rady; oni też nie. Koniecznie musieli zacząć wypuszczać ich z kraju. Trzeba było czym prędzej ruszyć z następnym etapem działania.

Lena znowu zapuściła się w uliczki Małego Rynku z oczami utkwionymi przed siebie i z zaciśniętymi ustami, z niejaką furią w swoich zwinnych krokach. Sprytnie ominęła naganiaczy i dzieciaki, żebraków i znudzonych przechodniów. Dyszała gdy dotarła do Bazar Dar Souihla. Stał tam ten sam sprzedawca o twarzy zasuszonego daktyla; był zajęty klientem. Lena rzuciła prosto z mostu:

– Muszę natychmiast zobaczyć się z Kalifem. Już! Od trzech tygodni jest w podróży! Jak można podróżować trzy tygodnie? Lepiej niech mi pan powie,

gdzie go mogę spotkać albo jak się z nim skontaktować!

Straciła panowanie nad sobą, podczas gdy handlarz pokazywał żółte zęby w uśmiechu i starał się jej sprzedać blaszany czajnik z gór rifeńskich, jednocześnie przez cały czas ją zapewniając: „Kalif tu nie”. Lena była na skraju wybuchu.

– No to jeśli Kalif tu nie, to gdzie, do diabła, jest?!

Zadzwończyły dzwoneczki przy wejściu, zwinięty dywan wpadł jak pocisk i zaległ ciężko pośrodku sklepu, wstrząsając półkami i wznosząc chmurę pyłu. Po nim następny z takimi samymi konsekwencjami. I pośród tej chmury pyłu pojawiła się postać.

– Do cholery, Jusuf, stary leniu! Wyjdź i pomóż mi z towarem!

Sprzedawca odwrócił się do Leny.

– Kalif tu.

Spodnie z kieszeniami, brudna koszula z podwiniętymi rękawami, chustka na szyi, ubłocone buty, rozczochrane włosy, kilkudniowy zarost i warstwa potu i pyłu na skórze...

– O Boże...

Kalif spojrzał na nią. Zamrugał i znowu spojrzał. Pot piekł go w oczy, pył też. Fatamorgana zdarza się tylko na pustyni, ale...

– Lena?

Gniew, napięcie i adrenalina w jednej chwili ustąpiły i stała się miękka jak przekłuty balonik.

– Jaime... – wybąkała.

Nawoływanie muezzina wydało się groteskowe w tej nierealnej scenerii. Lena opadła na jedną ze skrzynek. Mogłaby też wybuchnąć płaczem albo roześmiać się w głos.

U sufitu na zapleczu sklepu był wentylator, który utrzymywał trochę niższą temperaturę. Hałas Tangeru docierał tu przytłumiony. Światło wpadało przygaszone, przefiltrowane przez uchylone okiennice, i padało miękko na proste europejskie meble: biurko, kilka krzeseł i skórzaną kanapę, na której siedziała Lena. Była to jakby mała oaza.

– Masz, zielona herbata z rumem, miodem i cytryną.

Jaime Aranzadi podał jej szklankę z czerwonego szkła, ozdobioną złotymi motywami arabskimi. Następnie wypił swoją, praktycznie całą.

– Jest znakomita, żeby się uspokoić po ciężkim zaskoczeniu – zapewnił.

Przyglądał się jej, ciągle niedowierzając, jeszcze z lekkim drżeniem rąk. Lena popijała herbatę małymi łykami, ze wzrokiem utkwionym w dno szklanki. Jaime zwrócił uwagę na jej usta, czerwone od szminki.

– A więc Frau Ardstein-Daszkow...

Może to był najgłupszy sposób na rozpoczęcie rozmowy, ale jak

kontynuować coś, co przerwali tak dawno temu?

– Kalif... – odpowiedziała Lena przebiegle.

On uznał cios za dobry i odwzajemnił się jej uśmiechem.

– Przypuszczam, że oboje mamy mnóstwo do opowiedzenia. – Podrapał się po włosach i zauważył, że ma kilka ziaren piasku z pustyni na palcach. – Kalif jest handlarzem. Lubię przywozić stare rzeczy ze swoich podróży. Jeśli ktoś pyta o Kalifa, to już wiem, czego chce: dywanu albo... – zawahał się – czegoś innego... Czego ty chcesz?

Lena westchnęła. Poszukała w torebce.

– Nie chcę dywanu... – powiedziała, podając mu list polecający od Miguela Angela Muguira.

Oficjalnie Jaime Aranzadi był delegatem generała Luisa Orgaza, Wysokiego Komisarza Hiszpanii w Maroku. Dotarł do północnej Afryki w połowie 1942 roku po krótkim pobycie w Brukseli. Generał Orgaz znał go jeszcze z okresu wojny domowej i to on kazał go zawezwać, bo miał dla niego propozycję. Potrzebował kogoś zaufanego, kto obejmie pozornie nieistotne stanowisko jak to, czym zadaniem będzie utrzymywanie kontaktu z różnymi społecznościami protektoratu: plemionami Amazigh – Berberów z pustyni i w górach – muzułmanami z plemion Dżebala, Cahouen, Kert... i semitami z Tangeru i Tetuanu.

Od początku wojny w Europie do północnej Afryki przybyło wielu Żydów uciekających przed prześladowaniami. Niektórzy pojechali dalej, do różnych krajów Ameryki Południowej, inni zostali w strefie międzynarodowej Tangeru. Pierwsi byli sefardyjczycy; potem wszyscy inni. Z czasem napływ uchodźców wzrastał i praktycznie się nie kończył. Przedstawiciele społeczności żydowskich prosili o pomoc rząd Hiszpanii, który najlepiej mógłby rozwiązać problem. Jednak Madryt, gdzie proniemieccy falangiści wyrastali jak grzyby po deszczu, nie chciał słyszeć tego wołania.

Generał Orgaz nie mógł znieść falangistów nawet na obrazku, czy byli proniemieccy czy nie. W rzeczywistości spiskował, żeby wynieść na tron Jana Burbona, żeby ukrócić władzę Franco i wykopać Falangę z rządu. Trudna misja... Dla człowieka z jego pozycją pomoc Żydom podlegającym tym bezsensownym prześladowaniom była nie zwykłym problemem etycznym, ale aktem politycznej rebelii. Nie mógł się wystawiać tak bardzo, żeby sam się w to angażować, ale mógł oddelegować do tego kogoś, kto by działał w jego imieniu. A młody Jaime Aranzadi wydawał się idealnym kandydatem: wiedział, że jako sekretarz ambasady w Brukseli przyjął pod swój dach kilka żydowskich rodzin i wystawił im wizy konieczne do odbycia podróży do Hiszpanii (co wywołało niemieckie protesty i automatyczną naganę, którą dyplomata otrzymał od Ministerstwa Spraw Zagranicznych); wiedział też, że Jaime potrafi się poruszać jak cień (dowiodł tego, służąc w tajnych służbach podczas wojny).

– Jesteś zamężna? – zapytał Jaime, patrząc na jej obrączkę.

Lena również spojrzała na nią, jednocześnie ostrożnie ją przekręcając.

– Ardstein-Daszkow to jest nazwisko mojego męża. Było... Nie żyje od sześciu miesięcy.

Jaime milczał, więc Lena wykorzystała to, żeby ochłonąć.

– A ty?

– Nie... Nie jestem żonaty.

„Czekałem na ciebie”. Nie powiedział jej tego. W sumie była to niespodziewana myśl. Pewność, którą zyskał dokładnie w tamtej chwili. Tam, zachwycając się nią, słuchając jej głosu, wdychając jej zapach, wspominał każdy jej gest, każdą z jej cech, każdy z tysięcy powodów, dla których się w niej zakochał. Może do tamtej chwili nie był tego świadomy, ale przez cały czas na nią czekał.

Zjedli kolację w Le Claridge, nowoczesnej restauracji przy boulevard Pasteur, w nowej części Tangeru, tam gdzie mieściły się ambasady i lokale modne wśród Europejczyków. Le Claridge była ich pełna: ubrania zgodne z etykietą, długie sukienki, paryskie perfumy i amerykańska orkiestra grająca bossa novę.

Jaime zamówił dla obojga suflet ze szpinakiem i kurczaka w szafranie, poza tym wybrał czerwone francuskie wino.

– A ilu Żydów chcesz stamtąd wyciągnąć?

Wykąpany, ogolony (nawet zgolił wąsy, którymi się szczycił w Hiszpanii), pachnący wodą kolońską i ubrany w smoking wydawał się kimś innym, kimś bardziej podobnym do Jaimego Aranzadiego, jakiego Lena pamiętała, zupełnie innego od tego śmierdzącego awanturnika, którego spotkała z rana.

– Ministerstwo Spraw Zagranicznych przyznało nam sto dwadzieścia pięć wiz. Sto dwadzieścia pięć wiz dla Żydów sefardyjskich. Nawet jedna dziesiąta to nie sefardyjczycy, większość polskich Żydów to aszkenazyjczycy. Ale kto wie? Poza tym naciągnęliśmy tę liczbę aż do niemal pięciuset. Może nawet dojdziemy do siedmiuset.

Jaime zmarszczył brwi, z niedowierzaniem i podziwem.

– Jak można przerobić sto dwadzieścia pięć wiz na siedemset?

– Zmieniając kombinacje numerów i liter. Sanz Briz nam to podpowiedział.

W ten sposób z wizy nr 1 robimy 1A, 1B, 1C... dopóki nie przekroczymy liczby 125...

– Ale wcześniej czy później ktoś na to wpadnie.

– Lepiej, żeby to było później... Najpóźniej jak się da: kiedy ich posiadacze już będą bezpieczni. Może to szaleństwo, ale trzeba próbować, Jaime. W Warszawie pozostało jeszcze ponad dziesięć tysięcy Żydów! A wcześniej było ich trzysta tysięcy. To... przerażające. Ja... widziałam takie rzeczy, że... – Lena

przerwała. Nagle poczuła, że kolacja podchodzi jej do gardła.

Jaime uściśnął jej rękę. Było mu obojętne, czy okaże się to zbyt śmiało. Ucieszył się, widząc, że ona się nie opiera.

– Nie powinnaś brać tego do siebie. Tylko starać się koncentrować na tym, co naprawdę możesz zrobić. Uratowanie jednego życia, tylko jednego życia, to już jest sukces.

– Czasem to jest takie frustrujące... Jedni tak, drudzy nie; już samo wybieranie jest tak gorzkie.

– Myśl o tych, na których padło: siedmiuset ludzi to naprawdę dużo.

– Dopóki są w Warszawie, nic nie osiągnęliśmy. Trzeba ich stamtąd jak najszybciej wyciągnąć. W najmniej spodziewanym momencie władze niemieckie mogą zdecydować, że nie będą honorować tych wiz. – Wtedy to Lena ścisnęła jego dłoń w geście niepokoju. – Dlatego musiałam się z tobą spotkać jak najszybciej. Ludzie tam, wszyscy, którzy ze mną współpracują, też ryzykują życie: w Polsce za pomaganie Żydom karze się śmiercią. A z każdym dniem ryzyko wzrasta.

– Nie będzie trudno przyjąć tu w Tangerze siedemset osób... Rząd nie chce lawiny żydowskich uciekinierów w Hiszpanii; źle by to wpłynęło na stosunki z Niemcami, a w grze jest zbyt dużo interesów. Ale co do przejazdu, nie robią kłopotów; to znaczy chcą, żeby ci Żydzi, albo przynajmniej większa ich część, zatrzymali się w Hiszpanii tylko na chwilę, po czym udali się do Ameryki Południowej, Stanów Zjednoczonych, Kanady... Ja przygotowuję to przyjęcie: zastanawiam się nad możliwościami zakwaterowania, utrzymania, integracji... Koordynuję wysiłki z członkami społeczności żydowskich. Rozmawiam z przedstawicielami dyplomacji Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych, żeby naciskali. I staram się, żeby faceci z Falangi, którzy dosyć mocno marudzą w tej sprawie, za bardzo się nie wtrącali. Jak myślicie ich tu przewieźć?

– Poprzez Międzynarodowy Czerwony Krzyż. Już z nimi rozmawiałam i są gotowi sfinansować transport. Chcą też wystąpić o pozwolenia na wyjazd z kraju z hiszpańską wizą i na tranzyt przez terytorium niemieckie do Tangeru.

– Dobrze. W takim razie my porozmawiamy z Radą Żydowską z Tetuanu, żeby oni zanieśli prośbę o azyl do Wysokiego Komisarza...

– A nie możemy zrobić tego bezpośrednio? Ty pracujesz dla Wysokiego Komisarza...

– Tak, ale oficjalnie moja praca polega na czym innym... Tak naprawdę nie powinienem się tym zajmować, a Wysoki Komisarz nie powinien się na to zgadzać.

– Rozumiem...

– Inicjatywa nie może pochodzić od nas, musi pochodzić od kogoś niezwiązanego z hiszpańskim rządem i dlatego użyjemy Rady Żydowskiej. Potem Wysoki Komisarz, kierując się uczuciami humanitarnymi, przedstawi sprawę

Ministerstwu Spraw Zagranicznych. Sprawimy, że Wielka Brytania i Stany Zjednoczone będą naciskać na Madryt... I wierzę, że nie będziemy musieli długo czekać na pozwolenie wjazdu do Tangeru.

Lena utkwiała wzrok w niemal nietkniętym talerzu.

– Niech Bóg sprawi, żeby Niemcy uznali ważność wiz i zgodzili się na tranzyt...

Jaime uniósł jej twarz, gładząc ją pod brodą.

– Leno... Uda nam się. Obiecuję.

Patrzenie na niego było jak powrót do domu. Bo jego spojrzenie, zielone i miękkie jak łoże z mchu, okazało się ciepłe i uśmierzające. Zawsze takie było, ilekroć Lena chroniła się w nim... Kiedyś. Dawno temu. Przynajmniej tak się jej wydawało na początku. Ale stopniowo, wraz z każdym wspomnieniem i każdym odkrywaniem na nowo, z każdym na nowo przeżytym uczuciem, ten czas, kiedy się kochali, przestawał się wydawać tak odległy.

Przez następne dni pracowali bardzo ciężko. Pojechali do Tetuanu, żeby spotkać się z przewodniczącym Rady Żydowskiej. Z przedstawicielami w Tangerze zbadali możliwości mieszkaniowe: najbardziej zamożni Żydzi byli gotowi współpracować i ofiarowali się przyjąć ocalonych w swoich domach albo wziąć na siebie koszty hotelu. Odbyli długie spotkania z attaché handlowymi ambasad amerykańskiej i brytyjskiej, podczas których poruszono nawet temat stworzenia obozu dla uchodźców na północy Afryki. Napisali petycję, którą generał Orgaz miał zawieźć do Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Większość czasu spędzali razem, a kiedy nie zajmowali się pracą, nieśmiało grzebali w przeszłości.

– Dlaczego przestałaś do mnie pisać?

– To nie była twoja wina...

– No to dlaczego?

– Popełniłam błąd i jeśli ci opowiem... co o mnie pomyślisz?

– Znacznie gorzej było nie wiedzieć, co myśleć, i dojść do tego, że coś ci się przytrafiło... Nie możesz sobie wyobrazić mojej rozpacz. Opowiedz mi. Proszę.

I Lena opowiedziała mu to, nie patrząc w oczy. Wtedy Jaime pomyślał, jak bardzo się mylił, sądząc, że nigdy jej nie wybaczy. Wybaczył jej wszystko, gdy tylko ją zobaczył. Bo nigdy nie przestał jej kochać.

Lena zamknęła oczy. Słońce pieściło jej powieki, a powietrze pachniało cytryną i eukaliptusem. Czowała chłód na dłoniach i łaskotanie srebrnej trzcinki na skórze, kiedy Habiba rysowała jej kwiaty henną. Habiba była mistrzynią w sztuce mehndi. Przygotowywała pastę henny według rodzinnej recepty dziedziczonej od wielu pokoleń i zręcznie oraz zdecydowanie rysowała najbardziej skomplikowane

wzory, autentyczne filigrany na skórze.

– Wydam przyjęcie. Co o tym sądzisz, Habibo? Od dawna nie było w tym domu przyjęcia. Będziemy mogły pokazać nasze piękne tatuaże. A ty, *gazelle*, możesz zaprosić tego swojego mężczyznę i w jakimś ciemnym kącie pokazać mu ozdobione ramiona i kostki.

Lena wyszła z relaksacyjnego transu i rozkojarzona spojrzała na Gini. Najpierw zobaczyła morze, a potem białe domy schodzące w dół kaskadami; na koniec dopiero oblicze koleżanki, szelmowski wyraz jej oczu pośród błysków słońca.

– Jaime to tylko stary przyjaciel – zauważyła.

– *Dzeimi* – Gini wymówiła to imię z angielska – nie jest stary, jest przystojnym młodzieńcem. A od czasu, kiedy zaczęłaś się z nim spotykać, błyszczą ci oczy i uśmiechasz się bez powodu.

Lena uznała to za żart.

– To brzmi jak jedna z tych twoich powieści.

– Bo tak naprawdę jest. Spójrz na siebie! Niecałe dwa tygodnie temu byłaś wiecznie melancholijna, a teraz dla odmiany promieniujesz nadzieją i szczęściem. Słońce wyłociło ci skórę, a serce zrobiło resztę. To magia Tangeru! Magia miłości!

– Masz wielką wyobraźnię. – Lena się zaśmiała.

– Oczywiście. Jestem romantyczką i sprawnym psychologiem; ekspertem w obserwowaniu ludzi. A ty jesteś zakochana.

Lena spuściła wzrok, czując swędzenie w oczach, jakby opary olejku eukaliptusowego podrażniły jej oczy.

– Tak... Zakochana w swoim mężu... Jeszcze mnie to bardzo boli i ciągle za nim tęsknię.

Gini pogładziła ją po policzkach wierzchem dłoni, czułym gestem, niemal matczynym.

– Ile ty masz lat? To bez znaczenia. Do trzydziestki jeszcze kilku ci brakuje. Przed tobą całe życie, nie spędzisz go samotnie, nie powinnaś go spędzić samotnie.

– Gini ujęła jej dłoń, tę już pomalowaną. – Spójrz na ten wzór: maluje się je henną, żeby przynieść szczęście. Są jak modlitwa do Boga, Allaha, żeby nas obsypał swoimi błogosławieństwami i dał nam pokój ducha... A jednak, co się dzieje z wdowami, Habiba?

Służąca dalej skupiała się na rysunku, na gładkich ruchach trzcinki.

– Żadnej henny – odpowiedziała obojętnie.

– Wdowy nie mogą nigdy dotykać henny – wyjaśniła Gini. – Bo te atawistyczne kultury rozumieją, że wdowy już nigdy nie powinny być szczęśliwe, że nigdy nie powinny odzyskać spokoju ducha i że są skazane na życie w nostalgii i samotności. Kurt cię kochał, nigdy by tego dla ciebie nie pragnął.

Samo wspomnienie jego imienia sprawiło, że Lenie popłynęły łzy.

– Nie chcę o nim zapomnieć, Gini. Przeraza mnie myśl o tym, że mogłabym go zapomnieć. To by znaczyło, że go zdradziłam – zapewniła z autentycznym przerażeniem na twarzy i z rozpaczą w głosie. – Czasem wydaje mi się, że nie wytrzymam już dłużej bez niego... Tak bardzo go kocham...

Przyjaciółka otarła łzę wiszącą na jej rzęsach.

– Oczywiście, że tak, *gazelle*, moja malutka... I zawsze będziesz go kochać. Miłość jest jak rana, nieodwołalnie się zabliznia, a ból znika pod działaniem balsamu czasu... Na koniec życia mamy ciało całkowicie poznaczone bliznami, bo nie możemy żyć bez kochania i bez bycia kochanym. Pozwól się ponieść, *gazelle*. Daj się ponieść sercu i białej duszy.

Dom wypełnił się świecami i lampami o zapachu kadzidła, i dymem fajki wodnej. W bibliotece panowała wrzawa – europejskie zaśmiewanie się i marokańska muzyka: tamburyn, tar, ney i kanun; dźwięki strun i instrumentów perkusyjnych skłoniły do tańca co bardziej odważne brzuchy. Głosy wznosiły się w ciepłą noc i powściągliwość odpływała wraz z alkoholem; ocieranie się skóry pokrytej perfumami, konopiami i potem.

Dla odmiany taras na dachu był oazą spokoju pomiędzy dwoma niebami: tym gwiaździstym na firmamencie i skrzącym się światłami Tangeru poniżej kazby. Wiała ciepła bryza morska, kołysała jaśminem i włosami Leny; czarna gaza jej sukienki ślizgała się na pomalowanej henną skórze.

Jaime pociągnął łyk szampana. Wypił już kilka kieliszków tej nocy i zaczynał odczuwać przyjemne upojenie. Pogładził złote filigrany na ręce Leny, absolutnie zachwycony jej urodą w świetle świec, rozproszonym przez dym nargili dymiącym u jego boku.

– Rano jadę do Madrytu. Muszę się spotkać z generałem Orgazem, żeby porozmawiać o naszej sprawie.

– Długo cię nie będzie?

– Mam nadzieję, że nie... Może z tydzień.

Lena zaciągnęła się fajką wodną. Dym wywoływał u niej lekkie mdłości. Rozparła się na poduszkach. Leżeli na miękkim i kolorowym jak stragan z przyprawami łożku. Skupiła wzrok na swoich nagich stopach, zamazywały się jej wzory.

– Będę za tobą tęsknić.

– Mówisz poważnie czy to tylko okruchy kurtuazji?

Jej ręka prześliznęła się jak wąż po jedwabiu poduszki, palce jak rozdwojony język polizwały jego skórę. Jaime aż się wzdrygnął.

– Będę za tobą tęsknić – powtórzyła. – Dlaczego uważasz, że cię okłamuję?

Jaime usiadł; oparł łokcie na kolanach.

– Leno... – Westchnął i poprawił potargane przez wiatr włosy. – Ja... Przez dwa lata za tobą tęskniłem, uczyłem się żyć bez ciebie... Nie udało mi się – przyznał. – Nie udało mi się ciebie zapomnieć. A teraz... teraz, kiedy tutaj jesteś, kiedy mogę patrzeć ci w oczy i wziąć cię za rękę... Jest to bardzo trudne... Wiem, jak się czujesz. Widziałem, jak płaczesz za każdym razem, gdy wspominasz męża. Nikt, kto tak cierpi, nie powinien czuć się samotny... Tylko ty... Nie mogę patrzeć, jak cierpisz, Leno. Chcę, żebyś wiedziała, że zawsze jestem po twojej stronie. Ale... ciągle cię kocham. Coraz bardziej... Jak ja sobie z tym poradzę?

Lena siedziała w milczeniu. Ukryła stopy pod spódnicą rozłożoną w kwiat, skuliła się przestraszona.

Jaime spojrzął na pusty kieliszek, chciał się jeszcze napić. Czuł, że ma ściśnięty żołądek. Wstał i oparł się łokciami o barierkę; stał do niej plecami, żeby nie musieć patrzeć jej w twarz.

– O Boże... chyba już jestem pijany, skoro tak się zwierzam – zakpił z siebie, przemawiając do otchłani.

Lena także opuściła gniazdko poduszek. Podeszła do barierki i chwyciła go za rękę. Oparła głowę na jego ramieniu, a widząc, że łza spływa mu po policzku, wytarła ją.

– Potrzebuję cię... U mojego boku. Ale rany ciągle są otwarte i nie chcę cię skrzywdzić.

On złożył na jej włosach długi pocałunek.

– Jestem cierpliwym człowiekiem. Umiem czekać. Przez całe życie czekam na ciebie.

Tamtego poranka Lena nie miała zbyt wiele do zrobienia: Jaime wcześniej wyjechał do Madrytu, a Gini dochodziła do siebie dręczona okropnym kacem, leżąc w łóżku w zupełnych ciemnościach. Także Lena czuła efekt działania fajki wodnej i szampana i wstała z bólem głowy. Jednak po śniadaniu i herbatce ziołowej przygotowanej przez Habibę poczuła się nieco lepiej, więc pomyślała, że kąpiel w morzu i powiew bryzy dobrze jej zrobią. A zatem wzięła ręcznik, książkę, kawałek pasztetu z kurczaka i jedną pomarańczę, zawiązała chustkę na głowie, założyła okulary przeciwsłoneczne i pożyczyła stary motocykl Triumph, marniejący na dziedzińcu, z zamiarem udania się na plażę Dalia, o której Jaime opowiadał jej cuda.

Gini kupiła ten motocykl od pasterza wielbłądów. Zdaje się, że należał do brytyjskiego wojska i pasterz znalazł go zakopanego w piasku na pustyni. Kiedy Gini go dostała w swoje ręce za kilka dirhamów i karton amerykańskich papierosów, był zepsuty, ale dobry mechanik z Dużego Rynku, Hiszpan Manolo, wyczyścił silnik, doprowadził do tego, że motocykl zapalił, i pomalował go na piękny granatowy kolor.

Nie pierwszy raz nim jechała. Już wcześniej prowadziła go z Gini i doskonale jej szło. Z wiatrem pieszczącym twarz przejechała pięćdziesiąt kilometrów szosą na Ceutę i zapytawszy o drogę w jakiejś wiosce, wjechała w wąską dróżkę, wijącą się pomiędzy sosnami, gdzie pasły się kozy. Wjechała na szczyt wzgórza i zaparkowała motocykl. U jej stóp, za zielonym dywanem trawy, otwierała się dzika plaża o miłym złotym piasku. Ocean mienił się w słońcu i miał lśniący turkusowy kolor; kilka łodzi rybackich kołysało się na pofalowanej powierzchni. Wszystko spowijała cisza, słychać było tylko skrzeczenie mew, szmer oceanu i wiatr pomiędzy drzewami. Westchnęła głęboko i poczuła świeżą woń żywicy i soli. Przy rosochatej sośnie, rzucającej solidny cień, znalazła doskonałe miejsce na rozłożenie ręcznika.

Gdy zapadał zmierzch, już dawno miała za sobą posiłek z pasztetu i pomarańczy, przeczytała ponad połowę książki i zdrzemnęła się chwilę z nogami w słońcu. Kiedy robiło jej się gorąco, rzucała się w białe fale, o które ocean rywalizował z Morzem Śródziemnym. Pozbierała muszelki na plaży z grupką dzieciaków, które śpiewały piosenki po arabsku i francusku, wykąpała się z nimi, chlapiąc się i zaśmiewając.

Słońce chyliło się ku zachodowi i napełniało świat miedzianym poblaskiem cieni. Łódki wróciły na brzeg, zostawione do następnego dnia. Rybacy już zabrali swoją zdobycz i sieci. Dzieci wróciły do domów z koszykami pełnymi muszli. Nie było żywego ducha.

Jednak gdy wyszła z wody, z zaskoczeniem zobaczyła postać na plaży. Nie była w stanie dojrzeć twarzy, tylko ubranie w europejskim stylu: spodnie, koszula i marynarka przewieszona przez ramię; rzucił ją na ziemię i podszedł do brzegu; słońce oświetliło jego twarz. Serce podskoczyło Lenie do gardła.

*

Przez ostatnie dni myślał tylko o tym, żeby ją przytulić. Było to obsesyjne pragnienie przepelniające go niepokojem, czyniące jego podróż nieskończoną. A jednak w tamtej chwili, z nogami grzęznącymi w piasku i bezmiarem oceanu przed sobą, z postacią nereidy rodzącej się z morza w zasięgu zaledwie kilku kroków, stanął jak sparaliżowany. Chciał tylko zamrozić ten obraz wyższego piękna, dalekiego od całej nędzy świata, własnej nędzy, zatrutej frustracjami i zalem. Pragnął tylko, żeby ta chwila trwała niezmienną przez całą wieczność; chwila tylko dla niego na tej pustej plaży.

Słońce barwiło ją złotem, woda opływała jej ciało i wiatr bawił się jej włosami. Kiedy się odwróciła i pokazała mu twarz, jeden urok ustąpił miejsca drugiemu i Guillén pobiegł, żeby ją przytulić. Od tak dawna tego pragnął.

Szeptali sobie na ucho słowa bez sensu pomiędzy solą łez i morskiej wody. Skoro byli razem, nic nie miało znaczenia; tylko oni, wykupieni na jakiś czas.

Niebo bez księżycy było czarne, obsypane gwiazdami. Zdawało się, że spowija ich na ciemnej plaży, gdzie szmer fal był jedynym ziemskim odgłosem. Leżeli jedno obok drugiego, nie dotykając się, jak wtedy, gdy byli dziećmi i liczyli chmury w górach.

– Nie chcę, żeby wzeszło słońce. Nie chcę odejść z tego miejsca. Bo wtedy stracę cię już na zawsze.

Lena milczała ze wzrokiem utkwionym w gwiazdy.

Wraz ze świtem nadeszła rzeczywistość i zaległe pytania, przy kawie i tostach w La Española.

– Skąd się tu wziąłeś? Jak mnie znalazłeś?

Guillén prawie nie jadł, tylko pochłaniał kawę dużymi łykami; pił już trzecią filiżankę i do połowy wypalił papierosa, bo tytoń znowu wywołał ten przeklęty kaszel i przewracał mu żołądek. Czuł się wyczerpany, miał zdrętwiałe ciało i mózg po emocjach i nieprzespanej nocy.

Potał oczy i słabo się uśmiechnął.

– Lepiej nie pytaj... To długa... bardzo długa historia... Jakiś typ sprzedał mi starą awionetkę na Białorusi. Wylądowałem bardzo źle na pustyni w Oranie, silnik stanął, gdy tylko przeleciałem nad wybrzeżem Algierii. Potem zatrzymali mnie Anglicy, jakaś kompania, nie wiem, którego pułku piechoty... Gdy stwierdzili, że mam paszport ZSRR – wypowiedział zakazane słowa – zaszyli mi to pęknięcie na czole, dali łyk whisky i coś do jedzenia, po czym mnie wypuścili. Lepiej, żeby tutejsza policja nie prosiła mnie o dokumenty... Nie byłoby tak mili.

– Boże...

– Ten twój kolega ksiądz dał mi adres hotelu. Tam mi powiedzieli, że się przeprowadziłaś. No to poszedłem pod twój nowy adres i przyjęła mnie pani, która mówi jak Oliver Hardy i zalatuje ginem. Ona powiedziała mi, jak cię znaleźć, a taksówka z Orihueli przywiozła mnie na tę plażę. To wszystko. – Wzruszył ramionami z taką samą obojętnością, jakby opowiadał o przechadzce po lesie. Wypił kawę i jego twarz stężała. – Ale najgorsza z tej okropnej podróży była niepewność, czy będziesz chciała w ogóle mnie oglądać...

Lena wzięła go za rękę.

– Czy będę chciała cię oglądać? To ja jestem zawstydzona tym, jak cię potraktowałam w Warszawie... Bardzo żałuję...

Guillén spojrział na nią z rozpaczą.

– Leno, zawiodłem cię. Tyle razy cię zawiodłem...

Ona pokręciła głową bez słów, położyła dłoń na jego szorstkim policzku.

Guillén chwycił ją i zamknął oczy.

– Jesteś tu – odezwała się ona. – Ciągłe błądasz się po świecie, żeby mnie odnaleźć. Zawsze gotowy mi wybaczyć, zrobić dla mnie wszystko. Mam wielkie szczęście, że jesteś moim bratem.

Obelga nie zaboląaby go bardziej niż to słowo. Bratem. Nie było wyższego muru ani bardziej kolczastego drutu niż to przekłete słowo, które ona postanowiła wznieść między nimi.

Guillén się podparł.

– Tak... Bratem – podsumował chłodno, próbując zapalić następnego papierosa i zadymić rozczarowanie.

– Nie pal więcej – poprosiła.

– Co za różnica?... Co to dla ciebie za różnica?

Lena przyjęła tę przyganę z rezygnacją. Wyraźnie zauważyła rozczarowanie Guillena. Jakże złą to było oznaką, potwierdzało jej najgorsze niepokoje. Przestraszona, chciałaby zakończyć to spotkanie w tej samej chwili i uciec do swojej wieży z kości słoniowej. Ale takie odejście byłoby zdecydowanie obraźliwe, poza tym ponieważ, bo krzywda już została wyrządzona.

Guillén tymczasem położył na stole pomięty papier.

– Co to jest?

– Przeznaczenie... Łączące przeciwko wszystkim dwoje... rodzeństwa. I naprawdę po to właśnie przyjechałem – skłamał z urażoną dumą.

Lena spojrzała na niego bez zrozumienia.

– Przeczytaj – zachęcił ją.

Zaintrygowana rozwinęła listę. Wystarczył jej rzut oka, żeby zobaczyć, o co chodzi.

– To lista Kurta...

– Nie. To jest moja lista.

– Jak to twoja? – zapytała, jakby Guillén oszalał.

– Są dwie listy, siostrzyczko. Przypatrz się uważnie. Nie są dokładnie takie same.

Rzeczywiście tak było. Lena przeczytała ją szybko i nie zwróciła uwagi na kilka nowych dla niej nazwisk. W sumie tylko dwóch.

Guillén wypuścił kolejny obłok dymu. Ten papieros bardziej mu smakował.

– W końcu Warszawa to nie jest takie wielkie miasto. Dowiedziałem się, że małżonka kapitana Ardsteina wróciła, żeby uratować Żydów. Tak mówili... Ale ja już wiedziałem, kim był kapitan Ardstein i po co przyjechał do Warszawy. Dowiedziałem się tego na chwilę przed... przed... – Nie wypowiedział oczywistej końcówki tego zdania i dalej ciągnął szczerze: – Przyszedłem za późno, żeby temu zapobiec.

– Guillén, co ty chcesz mi powiedzieć? – przynagliła go zmieszana.

– Dowiedziałem się, że twój... mąż jest niemieckim agentem i że poszukuje grupy Żydów, którym chce ofiarować nietykalność. Dowiedziałem się też, że to Gestapo zleciło jego zabójstwo, bo był niewygodny dla samych Niemców.

Twarz Leny nagle straciła kolory.

– Miałem ci to wszystko opowiedzieć wcześniej, ale potem sprawy się posypały, a ty nie chciałaś mnie widzieć i... i to teraz bez znaczenia, skoro i tak cię zawiodłem, skoro złamałem swoją obietnicę...

Lena już go nie słuchała.

– Ale jak to Gestapo?

Guillén opowiedział jej o wszystkim: o tym, co się wydarzyło w dniach poprzedzających zastrzelenie Ardsteina przez Marka, które wypełniał niepotrzebny pośpiech; o swoim spotkaniu z Dawidem Ziemianem, żydowskim zdrajcą, i o pierwszym spotkaniu, które odbył z doktorem Kaczorowskim; o tym, jak udało mu się połączyć nitki intrygi. Miał jej właśnie powiedzieć, że zabrakło mu zaledwie kilku sekund, żeby zapobiec śmierci Ardsteina, ale czemu by teraz miało służyć rozgrzebywanie tego? Spekulowanie o tym, co powinno się było wydarzyć, mogłoby tylko wzniecić wściekłość.

Lena słuchała go ze wzrokiem utkwionym w filiżankę kawy, nie zmieniając poważnego wyrazu twarzy.

– W tamtej chwili myślałem tylko o powstrzymaniu tego bezsensu i nie przestałem go analizować – przyznał Guillén. – Ale powinienem był zdać sobie sprawę ze szczególności tej sytuacji: kapitan niemieckiego wojska, typ pracujący dla Abwehry, ratuje Żydów?

W końcu Lena się odezwała:

– Już ci mówiłam, że mój mąż był dobrym człowiekiem. Czy to zaskakujące czy nie, tak było: ratował Żydów.

– I ty o tym wiedziałaś... Ważne jest od kiedy.

– Wtedy jeszcze nie. Uważasz, że zataiłabym to, będąc świadoma, że taka informacja może uratować mu życie? Kurt mi tego nie powiedział; chciał mnie trzymać na uboczu. Dowiedziałam się później.

Ona sama była zaskoczona, słysząc swój głos – odzwierciedlenie spokoju, którego nigdy wcześniej nie czuła, gdy zagłębiała się w tę sprawę; pomyślała, że może się godzi z przeszłością, i ta myśl ją przestraszyła.

– Skoro tak jest, to pewnie wiesz, kim są Żydzi z jego listy...

Guillén uznał, że ten jej wzrok ze zmarszczonym czołem to czysty teatr.

– Dobrze, Leno... Powiem ci coś ważnego, ale musimy wyłożyć wszystkie nasze karty na stół. Odnoszę wrażenie, że nie wróciłaś do Warszawy, żeby ratować Żydów, albo przynajmniej nie tylko po to. Wróciłaś, żeby kontynuować to, co zaczął Ardstein. – Guillén tak bardzo przybliżył twarz do jej twarzy, że Lena mogła poczuć na szyi jego oddech. – Pracujesz dla Niemców, prawda? – wyszeptał.

Lena nieco się odsunęła.

– To zabawne... Jakie karty mam wyłożyć, skoro, jak mi się zdaje, ty już wszystko wiesz, o Kurcie i o mnie? A jednak ciekawi mnie, co to za druga lista, którą mi pokazałeś. Ta lista, która, jak mówisz, sprowadziła cię tutaj. Może zacznijmy od początku: o co chodzi?

– O to, że ja pracuję dla Rosjan. Zwerbowali mnie w maju – pospieszył z wyjaśnieniem. – Zanim pomyślisz, że cię wykorzystałem, musisz mi uwierzyć, że kiedy spotkaliśmy się w Warszawie, współpracowałem tylko z polskim ruchem oporu.

Lena jednak już się wahała pomiędzy wściekłością a wiarą.

– Muszę ci uwierzyć? Dlaczego, do diabła, mam ci wierzyć?

– Leno... – Jego ton był pojednawczy. Sięgnął po jej dłoń na stole, ale ona szybko ją cofnęła. – Po co bym tu przyjeżdżał, gdyby było inaczej? Przynajmniej wysłuchaj całej historii, a dopiero potem mnie oceniaj.

Ona westchnęła.

– Dobrze... Mów.

W kilku zdaniach Guillén streścił jej historię tego, jak spotkał Arona i został zwerbowany przez NKWD.

– Dlaczego mnie to nie zaskakuje? Zawsze byłeś zatwardziałym komunistą – rzuciła złośliwie, uważając, żeby nie mówić za głośno w tym lokalu pełnym ludzi.

Guillena zdenerwowały zarówno ton, jak i komentarz.

– Ciekawe... Ty dla odmiany nigdy nie byłaś nazistką, faszystką oczywiście tak, ale nazistką? W życiu! Oczywiście wyszłaś za nazistę, a doskonale wiemy, że jak się z kimś śpi w jednym łóżku...

Jakby ściśnięto ją ostrogami, Lena chwyciła torebkę wiszącą na oparciu krzesła i zerwała się z miejsca.

– Już widzę, po co przyjechałeś, Guillén. Żeby powiedzieć wszystko to, co miałeś ochotę powiedzieć mi w Warszawie, tak? Wyrzucać mi wszystko, co w sobie zebrałeś od nie wiadomo kiedy. Bardzo dobrze, ale ja nie mam ochoty ani obowiązku tego słuchać.

Odwróciła się i miała odejść, ale Guillén zatrzymał ją, chwytając za rękę.

– Wiesz, co to jest bomba atomowa?

Było południe, a ten lokal należał do zbyt popularnych, żeby można było w nim spokojnie rozmawiać o intrygach i tajemnicach. Guillén zapłacił rachunek i wyszli. Przespacerowali się ulicą Siaguin; korzystając z panującego zamieszania, milczeniem ukrywali nerwy, żale i chłód. Przeszli przed niemieckim konsulem, gdzie wisiała swastyka jak wyzwanie w strefie neutralnej, mieście wszystkich, i weszli do ogrodów Mendoubia.

Usiedli na ławce w cieniu jednej z palm. W milczeniu słuchali szczebiotu

ptaków i ruchu ulicznego. Zapanowała między nimi sztywność.

Guillén podał Lenie wielokrotnie złożoną kartkę ze swoją listą.

– Masz, zatrzymaj ją sobie na pamiątkę. Może ci będzie potrzebna.

Ona wzięła ją, choć z pewnym lekceważeniem.

– Potrzebna, po co? Co to za historyjka z bombą atomową? – Jej głos był szorstki.

Zmęczenie brało go w swoje posiadanie; czuł skórę spaloną słońcem, piaskiem i solą; obrzydzeniem napawało go ubranie, którego nie zmieniał od poprzedniego dnia, i szorstkie włosy. Szara rzeczywistość zaczynała się przejawiać w tych małych szczegółach. I to wszystko sprawiało, że robił się nerwowy.

– Nigdy cię nie zastanowiło, dlaczego Niemcy znajdują sobie kilku Żydów, żeby zaproponować im lepsze życie niż tym eksterminowanym?

– Nie musiałam siebie o to pytać. Od razu dali mi odpowiedź – odparła sucho.

– Nie wiem, co ci powiedzieli, a ty mi tego też nie powtórzysz... Mnie nic nie powiedziano, a kiedy zapytałem, chcieli, żebym uwierzył, że to sprawy humanitarne: uratować siedmiu Żydów spośród setek tysięcy zabijanych. „Może to kuzyni Stalina”, rzucili ironicznie, i był to bardzo jasny komunikat: koniec pytań. Ale ja nie potrafię nie zadawać sobie pytań. I mając niemal identyczne listy, nie mogłem przestać się zastanawiać, dlaczego Niemcy i Rosja, wrogowie w tej wojnie, skupili się na tych samych ludziach. Rzecz jasna, nie były to powody humanitarne. Już dawno temu odkryłem, że szczodrość nie jest cnotą państw; one nigdy nie działają z pobudek humanitarnych, robią wszystko powodowane korzyściami. Dlatego wzięłem te listy i poszedłem z powrotem do doktora Kaczorowskiego. A ponieważ były napisane językiem, który tylko on rozumiał, wystarczył mu jeden rzut oka, żeby pojął, co tam się czai. Wszyscy ci ludzie to naukowcy, w większości fizycy i chemicy, którzy przed wojną pracowali nad takimi zjawiskami, jak radiacja i rozszczepienie jądra atomu. To specyficzne zagadnienia naukowe, zajmowało się nimi tylko kilka osób na świecie i wszystkie się znają, jakby należeli do jednego klubu; większość z nich przeszła przez uniwersytet w Getyndze w Niemczech. Kaczorowski wyjaśnił mi, że ta swego rodzaju łoża masońska odkryła jeszcze przed wojną, że poprzez skomplikowany proces, polegający na podziale atomu uranu, można wyzwolić olbrzymią ilość energii, tysiące razy większą niż w jakimkolwiek innym procesie. Jeśli uda się przeprowadzić reakcję łańcuchową tego rozszczepienia, wyzwoli się taka ilość energii, że można by wyprodukować bombę o możliwościach równych tysiącom ton dynamitu; to znaczy jedna bomba zniszczyłaby doszczętnie całe miasto.

– Ale... to naprawdę możliwe?

– Kaczorowski nie wie, na jakim etapie prac są badania. Naukowcy specjalizujący się w tej dziedzinie fizyki są różnych narodowości: Niemcy,

Duńczycy, Anglicy, Węgrzy, także Polacy... Przed wojną pracowali razem, ale potem badania się rozproszyły: jedni zostali nazistami, inni nie; jedni byli z krajów alianckich, inni z krajów Osi; jedni byli Żydami, inni nie. Tak więc, kiedy Hitler doszedł do władzy i zaczął czystki, niektórzy z nich wyemigrowali do Anglii i Stanów Zjednoczonych. Jednak nie wszyscy mieli to szczęście. W tej chwili jedna sprawa jest oczywista – przynajmniej dwa rządy, niemiecki i radziecki, chcą uratować przed śmiercią niektórych z tych naukowców. Nietrudno się domyślić po co... Może zaczęto wyścig o to, kto pierwszy zbuduje broń, która da zwycięstwo w tej wojnie.

– Skoro jesteś agentem NKWD, dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

– Nie wiem, czy jeszcze jestem agentem NKWD. I oczywiście przestanę nim być, kiedy zauważą, że ich zdradziłem, a przynajmniej, że ich zawiodłem... Bo jedno jest dla mnie pewne: nie zrobię nic, co mogłoby się przyczynić do tego okropieństwa. Zobacz, moja lista jest już skończona: ci, którzy jeszcze żyją, tak jak doktor Ratner, wcześniej zostali znalezieni przez ciebie i są pod twoją ochroną, wiem o tym...

– A, czyli chodzi ci o to, żeby dowiedzieć się ode mnie, gdzie ich ukryłam, żeby ich zabrać i wywieźć do Rosji? – przerwała mu.

– Do cholery, Lena! – nie wytrzymał. – Czy uważasz, że mam cię za idiotkę? Nie mów mi, gdzie oni są. Nie chcę tego wiedzieć. Chce cię tylko przekonać, żebyś ich nie oddawała.

– To nie jest takie proste...

– Oczywiście, że to nie jest proste! Dla mnie też nie było. Ale zdajesz sobie sprawę z tego, co się stanie, jeśli uda się wyprodukować taką bombę? Jakie będą tego konsekwencje?

– Wojna się skończy... – powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy, z pustym wzrokiem, z głową pełną sprzecznych myśli.

– Za jaką cenę? Cały świat mógłby zostać unicestwiony! Nie zdajesz sobie z tego sprawy?

Lena próbowała sobie uświadomić kilka rzeczy naraz, jakby żonglowała wieloma piłeczkami, a do tego co chwilę dorzucano jej nowe.

– Mówisz, że wielu z tych naukowców wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych i do Anglii... – podsumowała po chwili. – Wiesz, co mi powiedzieli? Że ta lista, lista, nad którą pracował Kurt, została przygotowana przez Amerykanów.

– Amerykanów? Dlaczego Niemcy mieliby pomagać Amerykanom? To nie ma sensu.

Uznała, że właśnie nadeszła chwila, żeby wyłożyć karty na stół, i opowiedziała Guillenowi punkt po punkcie o swojej roli w tej historii: o tym, jak kilkakrotnie rozmawiała z samym szefem Abwehry, i o wszystkim, co ten jej

powiedział, nawet o swoim rozczarowaniu Niemcami Hitlera i pragnieniu negocjowania pokoju z aliantami.

– Najwyraźniej ci Żydzi są kartą przetargową; gestem dobrej woli... – podsumowała.

Guillén nie mógł się powstrzymać przed sceptycznym śmiechem.

– Naprawdę uważasz, że Abwehra, co więcej, jej szef, nie wie, kim są ci Żydzi, i zależy mu tylko na dobrych stosunkach z Amerykanami? To niemal tak naiwne jak to, że pewnie są kuzynami Stalina...

– Na Boga, Guillén! Może jestem większą idiotką niż ty, ale nie ma powodu, żebym mu nie wierzyła. Nie wszyscy Niemcy są nazistami ani nie wszyscy naziści są tacy sami, wiesz?

– My, komuniści, też nie jesteśmy czerwonymi barbarzyńcami i mordercami.

– Znowu to samo!

– To ty zaczynasz! Nigdy nie przepuścisz okazji, żeby rzucić mi w twarz moje ideały, jakbyśmy mieli jakieś rachunki do wyrównania, musieli dobrze ustalić różnice, postawić bariery i zostać każde po swojej stronie. Chociaż ten jeden jedyny raz przyznaj, że jesteśmy po tej samej stronie! Bo nie ma znaczenia, jakiej ideologii jesteśmy wierni, skoro stawiamy czoło czemuś uniwersalnemu: pierdolonej etyce. A moja etyka, która mi mówi, że nikt nie powinien posiadać broni zdolnej wyeliminować całą ludzkość, z pewnością nie jest różna od twojej. Przecież tutaj faszyzm, komunizm czy cholera wie co jeszcze, nie ma żadnego znaczenia! Chodzi tylko o to, żeby być porządnym człowiekiem, kurwa!

Na koniec tej przemowy Guillén dyszał z oburzenia. I Lena wycofała się z podkulonym ogonem w bezpieczne miejsce za swoją kwaśną miną.

– Dobrze... Zobaczą, co się da zrobić.

– Dokąd idziesz? – zapytał przestraszony, widząc, że Lena wstaje. Już zaczynał sobie wyrzucać, że puściły mu nerwy.

– Do domu.

– Obraziłaś się? Przepraszam, że byłem tak gwałtowny, ja... chcę cię tylko prosić, żebyś dała mi szansę stanięcia po twojej stronie...

– Guillén – przerwała mu. – Idę, bo ta rozmowa nie przyniesie już nic więcej, a ryzykujemy to, że pogorszymy wszystko. Już ci powiedziałam, że w porządku, że przyjmuję twoją sugestię, czego jeszcze chcesz?

– Pozwól więc, że cię odprowadzę.

– Nie. Nie, proszę. Wolę iść sama. Muszę... pomyśleć. Nie martw się: wiadomość została przyjęta – rzuciła mu na pożegnanie, odchodząc szybko i bez wahania przez obsadzoną drzewami aleję.

W tej chwili Guillén pobiłby się na pięści z najbliższym drzewem. Jakby wiedział... Jakby wiedział, że o świcie, kiedy opuszczą tamtą plażę, tamto miejsce na marginesie świata, znowu ją utraci.

*

Jaime Aranzadi zatrzymał się, żeby rzucić okiem na zegarek, gdy tylko wyszedł z pałacu Santa Cruz, siedziby Ministerstwa Spraw Zagranicznych, gdzie właśnie dobiegło końca spotkanie; ostatnie tego dnia w kwestiach zawodowych, bo zostało mu jeszcze jedno spotkanie, tyle że o charakterze osobistym.

Sprawdził, że ma wystarczająco dużo czasu i zdąży do Ministerstwa Rozwoju, choć jednak odległość była niewielka i miałby ochotę się przejść, żeby uspokoić myśli po intensywnym dniu pracy, postanowił wybrać służbowy samochód.

Pod wieczór w Madrycie panował ogromny ruch, mimo ulewnego deszczu. Samochód krążył po zatłoczonych ulicach, kierowca zdołał ominąć kilka korków, zanim dotarł do miejsca przeznaczenia. I w hallu Real Casa de Correos, dokładnie pod znanym zegarem na Puerta del Sol, Jaime zapytał strażnika o gabinet pana Felipego Almansy.

Felipe Almansa był jego towarzyszem broni. Razem walczyli w jednym oddziale, zanim Jaime został przydzielony do Sztabu Głównego. Od tamtego czasu prawie się nie widywali. Zdarzyło im się spotkać tylko raz, w Madrycie, przypadkiem u fryzjera, i podczas tego spotkania Jaime dowiedział się, że Felipe pracuje w Ministerstwie Rozwoju. Przypomniawszy to sobie, postanowił skontaktować się z dawnym kolegą. W tamtych latach Almansa awansował kilka razy i teraz zajmował dość ważne stanowisko w jednej z dyrekcji generalnych. Było to istotne, biorąc pod uwagę przysługę, o jaką chciał go poprosić.

Stary towarzysz przyjął go zdecydowanym uściskiem dłoni, po czym objął go mocno, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Tak naprawdę Felipe Almansa czuł wielki szacunek wobec Jaimego Aranzadiego, mimo że los poprowadził ich różnymi ścieżkami; nie miało znaczenia, że nie widzieli się od tak bardzo dawna, nigdy nie zapomniał, że Aranzadi uratował mu życie. Było to podczas bitwy pod Puente de Arzobispo, kiedy w ostrym starciu z czerwoną milicją Felipe został poważnie ranny w plecy, a Jaime, ryzykując życie, odmówił opuszczenia stanowiska, na które właśnie zaczynał się atak, i powłókł go po ubitej od wystrzałów ziemi aż do szpitala polowego. Nigdy nie odwdzieczył mu się wystarczająco, więc poczuł się bardzo zadowolony, że może być pomocny, i z wielkim zainteresowaniem przystał na prośbę Jaimego.

Po pierwszym spotkaniu, podczas którego dyplomata wprowadził go w zagadnienie, natychmiast zabrał się do roboty i w ciągu kilku dni dotarł do wszystkich dostępnych informacji.

Usiedli obok siebie przy stole w gabinecie, każdy z kieliszkiem brandy

i zapalonym papierosem, drobnymi przyjemnościami, pierwszymi tego dnia dla Jaimego. Bez zbędnych wstępów Felipe obwieścił:

– Mam dobre wiadomości.

Jaime spojrział na niego wyczekująco i wykorzystał sytuację, żeby stwierdzić, że kolega przedwcześnie się postarzał: przytył, siwe włosy, ciężkie wory pod oczami, obwisła twarz i dobroduszne spojrzenie; wyglądał jak angielski buldog.

– Znalazłem tego gościa – dodał.

– I? – Jaime lekko się podparł, miał napięte plecy.

Felipe prychnął. Jego mina była zupełnie nieprzenikniona, co tylko wzmogło niepokój rozmówcy.

– Niezły model... – podsumował, otwierając grubą teczkę z papierami. – To jak grzebanie się w szambie, za każdym razem wybija... gówno. Nie potrafię zrozumieć, jak taki człowiek mógł zająć tak wysoko...

– Czasem lepiej nie wychylać się nad otchłanią systemu – zauważył Jaime niejasno.

Przyjaciel przyznał mu rację krótkim spojrzeniem, następnie założył okulary, żeby przeczytać jedną z kartek, które wyjął z teczki.

– Starłem się zrobić streszczenie tego wszystkiego – powiedział, uderzając dłonią w grube dossier. – Ale po kolei: Fermín Pajares Barreda, adwokat, członek Hiszpańskiej Falangi JONS od 1935 roku; był jednym z pierwszych. Do 1936 służył na wojnie jako ochotnik milicji falangistowskiej w obronie Oviedo podczas oblężenia. Potem wstąpił do jednostki Falangi w Lugo, żeby pełnić funkcje bezpieczeństwa na tyłach. W jakiś sposób udało mu się załatwić to, że przez całą wojnę został w Galicji i Asturii, a na koniec uzyskał stopień kaprała i żadnego odznaczenia. Co nie zaskakuje, kiedy przyjrzymy się jego karcie służby, pełnej kar dyscyplinarnych, chociaż większość z nich jest lekka: za pijaństwo na służbie, nieusprawiedliwione nieobecności, niechlujność w wypełnianiu rozkazów. A jednak na początku 1939 roku był zamieszany w śledztwo w sprawie handlu środkami odurzającymi w koszarach w Gijón, jednak w końcu sprawa została zawieszona. Przepuszczam, że wpłynął na to koniec wojny.

Felipe zrobił przerwę, żeby przewrócić stronę. Jaime wykorzystał moment i pociągnął łyk brandy. Potem spróbował się rozluźnić i rozparł się w fotelu.

– Dobrze... Po zakończeniu wojny znajdujemy naszego przyjaciela jako adwokata w Gijón we własnym gabinecie na ulicy Jovellanos, pod numerem trzydziestym. Ponadto udaje mu się robić karierę w Falandze i awansuje do kierownictwa Delegatury Informacyjno-Śledczej w tym samym mieście, gdzie odznacza się zdecydowaniem w ściganiu wszystkich podejrzanych o niechęć wobec Ruchu. Rzuciłem okiem na niektóre z raportów złożonych pomiędzy czterdziestym i czterdziestym drugim z tej delegatury i są bezwzględne...

– Mogę sobie wyobrazić – wymamrotał Jaime z wściekłością, która bardzo zaskoczyła jego przyjaciela. – I co? Dalej grzeje fotel w swoim gabinecie Falangi i wysyła czerwonych do więzienia? – Choćby bardzo się starał, nie mógłby powiedzieć na ten temat nic, co nie byłoby pozbawione emocji.

– Cóż... nie. Pod koniec zeszłego roku zrezygnował ze stanowiska, podając powody zawodowe. Chociaż to złożenie urzędu zbiega się z rozpoczęciem dochodzenia o nadużycie władzy. Mając na względzie liczne skargi na ten temat, zdaje się, że pan Pajares uczynił z tego proceduru instrument zemsty osobistej. Znowu dochodzenie zostało zawieszono... Wygląda na to, że ten człowiek jest doskonale kryty. Wzenił się w jedną z najważniejszych rodzin asturyjskich: bankierzy, przemysłowcy, politycy... Teść jest doradcą Ministerstwa Przemysłu i Handlu, co prawdopodobnie ma związek z wielkim finałem naszego bohatera.

– Wielkim finałem?

Z tajemniczą miną, bez sarkazmu, z którym relacjonował życiorys Fermina Pajaresa, Almansa odłożył papiery na stół, kończąc lekturę, i zwrócił się do Jaimego.

– Już za długo trzymałem cię w napięciu. Przejdźmy bezpośrednio do sedna. Tu masz ostatnie zdjęcie tego gościa.

Jaime wyciągnął po nie rękę. Mając fotografię przed oczami, odruchowo wstrzymał oddech: w rozmazanej czerni i bieli o wielkim ziarnie, typowych dla zdjęć sądowych, zobaczył ciało leżące na brzuchu na stosie kamieni.

– To on?

Almansa przytaknął.

– Nie żyje? – Ponieważ odpowiedź była oczywista, szybko dodał drugie pytanie: – Ale jak?

– W tym cały szkopuł... Chodzi o przypadek całkowicie niejasny, obejmujący swoim zasięgiem najwyższe sfery polityczne i gospodarcze naszego kraju. Słyszałeś kiedyś o wolframie?

– Tak, oczywiście. To minerał, który dzięki swoim właściwościom znajduje szerokie zastosowanie, między innymi w przemyśle zbrojeniowym: produkcja pocisków przeciwczołgowych, blach pancernych... Mając na względzie wojnę, która się obecnie toczy, jest to bardzo cenny kruszec. W Hiszpanii mamy szczęście posiadać kilka bogatych złóż, a Niemcy sownie za niego płacą.

– Tak, to dobre streszczenie... Sprawa polega na tym, że teść Pajaresa, ten, o którym ci mówiłem, że jest doradcą Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz członkiem rady nadzorczej pewnej grupy niemieckich przedsiębiorstw wydobywających wolfram i handlujących nim w naszym kraju...

– SOFINDUS – zauważył Jaime bez wahania.

– Widzę, że jesteś na bieżąco.

– Trochę... Sprawa wolframu interesuje też Ministerstwo Spraw

Zagranicznych: to jeden z podstawowych punktów tarcia z aliantami. Wcale im się nie podoba to, że zostaliśmy jedynym rynkiem, do którego Niemcy mogą się zgłosić po zakup tego minerału, więc presja na nas nie ustaje. W zeszłym roku Stany Zjednoczone rozpoczęły politykę priorytetowego zakupu wolframu, żeby nie wpadał w ręce Berlina, ale to tylko zwiększyło produkcję i ceny. Z siedmiu tysięcy pięciuset peset za tonę, tyle płacono na początku, skoczyła do dwustu trzydziestu pięciu tysięcy.

– Tego nie wiedziałem – przyznał Almansa – ale kiedy zobaczyłem te liczby w raporcie, skamieniałem. To jest dużo pieniędzy...

– Niektórzy uważają, że wystarczająco dużo, żeby zaryzykować za nie życie... – zauważył Jaime, który zaczynał kojarzyć fakty, wpatrując się w fotografię trupa Fermina Pajaresa.

– Niezupełnie... Problemem jest, wręcz przeciwnie, że niektórzy nigdy nie mają dość i potrzebują więcej. Wygląda na to, że pan Pajares był człowiekiem ambitnym; niezaspokojonym, powiedziałbym.

– Obawiam się, że teraz cię nie rozumiem...

Almansa szybko wyjaśnił:

– Pod koniec zeszłego roku facet przejął kontrolę nad skromną firmą, która eksploatowała niewielką kopalnię w Lousame na zachodzie Galicji. Wszystko wskazuje na to, że był słupem SOFINDUS-u, prowadzonego przez jego teścia. Zwykle firmy wykonują tego typu manewr, żeby uniknąć płacenia kwot, które rząd kasuje za licencje na wydobycie. A zatem, chociaż pozornie kopalnia była w prywatnych rękach i początkowo mogła sprzedawać, komu się jej podobało, prawdą jest, że cały urobek z góry był już kupiony przez Niemców, bo to oni naprawdę stali za całą inwestycją. Do tego momentu nic nadzwyczajnego, nawet nie nietypowego; w sumie władze przyzymkają oko na takie rzeczy.

– Tak... Znowu rząd gra podwójną grę, żeby zadowolić Hitlera i aliantów jednocześnie...

– Ty to powiedziałaś... Skoro jednak wszystko było aż tak bardzo typowe, dlaczego pojawia się nagle trup w jednej z firm słupów, zrzucony z hałdy przy kopalni i z kulą w głowie? – Po dramatycznej pauzie, którą Felipe wykorzystał, żeby zaciągnąć się drugim papierosem, wypuścił dym i oznajmił: – Coś ci powiem, sprawa jest oficjalnie zamknięta. Samobójstwo.

– Samobójstwo?

Almansa zaśmiał się sarkastycznie.

– Oczywiście, że nie... To wersja oficjalna, jednak... Porozmawiałem z inspektorem policji, który prowadził to śledztwo. To on dał mi te wszystkie materiały. Z tego, co zdołał wy badać, pan Pajares dokonywał kradzieży ładunków wolframu, które miały wyjechać do Niemiec, żeby potem przemycać do Portugalii rzekomo kradziony materiał, sprzedawać za znacznie wyższą cenę i przytulać

pieniądze w całości. Skoro tak, nie wydaje się zaskakujące, że Niemcy odkryli całą sprawę i z właściwą sobie skutecznością załatwili problem. Ci ludzie nie tracą czasu na zabawy ze zdrajcami. Według mojego przyjaciela inspektora, ręka Gestapo wydaje się wszędzie obecna, niemal specjalnie, jakby miała być ostrzeżeniem dla ewentualnych następców... A jednak kiedy policja zdołała zebrać wystarczająco dużo dowodów, żeby postawić taką hipotezę, otrzymali rozkaz przerwania śledztwa. Ktoś z góry zdecydował, żeby ukreślić łeb tej sprawie.

– Żeby chronić tyłek Niemcom?

– Nie sądzę... W każdym razie żeby ratować dobre imię teścia Pajaresa. Z całą pewnością ostatnią rzeczą, której chciałby taki człowiek, byłby tego rodzaju skandal związany z jego rodziną.

Jaime szybko rzucił okiem na resztę zdjęć z raportu. Zatrzymał się na jednym z nich: aparat uchwycił z bliska twarz Fermina Pajaresa, zniekształconą przez śmierć. Pomyślał, że wreszcie ma przed sobą tego skurwysyna, który zgwałcił jego ukochaną kobietę i który w pewnym stopniu odmienił jego życie. Jednak to nie takiego spotkania sobie życzył. W zasadzie nie zastanawiał się nad tym, w jaki sposób stanie przed tym śmieciem, nie wiedział nawet, czy w ogóle to robi. Wszystko to odpowiadało tylko jego potrzebie prymitywnej zemsty, niedopuszczenia do tego, żeby zło pozostało bezkarne, i nie zastanawiając się wiele, uległ impulsowi, żeby przynajmniej wypytać o tego skurwysyna. Nie wiedział, co by się później wydarzyło. Teraz jednak nie miało to już znaczenia. Patrząc na trupa na zdjęciu, czuł równocześnie obrzydzenie i zadowolenie, nienawiść i ulgę. I cały czas myślał o Lenie, zadawał sobie pytanie, jak jej to opowie, by nie otworzyć rany, którą z takim trudem zaleczyła.

*

Lena weszła po żwirowanych alejkach w głąb cmentarza Saint Andrews. Miejsce było zielone i bujne, gdzieniegdzie pełne chwastów i porostów na grobach. Mogłaby być w ojczyźnie Anglików, gdyby nie ten duszący, wilgotny upał.

Po krótkim spacerze zatrzymała się naprzeciw płyty nagrobnej wciśniętej pomiędzy tyle różnych innych, pod drzewem obrosniętym powojem. Płyta troszkę wystawała z ziemi, była gładka, z napisem: „Josephine Anne Bartlett 1856–1920”. Kucnęła. Szybko przesunęła ręką po szorstkiej powierzchni, żeby zrzucić suche liście, i położyła na płycie czerwony kwiat, geranium. Przeżegnała się i poszła.

Teraz już musiała tylko czekać. Dwa dni. I wrócić na grób Josephine Anne Bartlett pojutrze, o dwunastej w południe.

Nie miała zamiaru czekać w Tangerze. Na starym triumfie pojechała wraz z Gini do Chefchaouen. I zgubiła się w jego błękitnych zaułkach, rozplywała się na

gorącej terakocie hammamu i rozpuszczała się jak cukier w stu szklaneczkach zielonej herbaty z ginem.

*

Guillén skończył w tanim hotelu na wąskiej, ślepej uliczce o nieczytelnej nazwie – na brudnej ulicy medyny przesyconej zapachem przypraw i prażonej ciecierzycy i o wiecznie mokrej nawierzchni. Hotel nazywał się Oriental, a jego poskręcany szyld opierał się z jednej strony o przyległą hiszpańsko-arabską księgarnię. Był tani, nędzny i nie interesowały ich tam jego dokumenty.

Wyszedł z niego wcześniej, na śniadanie wypił niedobrą kawę i zjadł odgrzewane tosty, po czym poszedł do kazby na poszukiwanie Leny, gdyż przebywanie w tym przytłaczającym mieście miało sens, tylko kiedy był z nią. Może wróciliby na tę plażę i położyli się na piasku w milczeniu, w milczeniu przesyconym zgodą. Słowa tylko wszystko niszczyły.

– Nie ma jej. Wyjechała dziś rano z miss Mills.

Kobieta w chustce zabiła go tymi słowami u niebieskich drzwi domu Leny.

– W podróż? Na jak długo?

– Dwa dni.

Dwa dni... Powłókł się przez tłoczne ulice medyny z powrotem do hotelu. I zostawiwszy na kontuarze garść banknotów pięciopesetowych, które wymienił u jakiegoś Żyda na Małym Rynku, poprosił właścicielkę o coś mocniejszego niż podłe wino, które serwowali na kolację. W jakiś sposób ta nieprzyjemna, wiecznie wrzeszcząca kobieta zdobyła kilka butelek brandy z Jerez i puszczając do niego oko, zaproponowała mu na później jakąś czarnulkę do łóżka. Przyjął alkohol i odrzucił dziwkę. Wolał położyć się sam z butelkami, nie rozbierając się i przy otwartym oknie, żeby odliczać dwa wschody słońca. Dwa dni.

*

Słońce przedzierało się przez roślinność i zakurzone docierało do płyt nagrobnych. Nawoływanie muezzina wskazywało na to, że jest około południa. Zaskakiwało w tym miejscu, bardziej przywołującym na myśl celtyckie legendy. Lena rzuciła okiem na zegarek i stwierdziła, że jest kilka minut spóźniona. Przyspieszyła, jej kroki skrzypiały na żwirze i o kilka metrów od grobu Josephine Anne Bartlett ujrzała znajomą sylwetkę niewysokiego mężczyzny o siwych włosach; próbował przywołać białego kota kręcącego się po cmentarzu.

Zauważywszy obecność Leny, admirał Wilhelm Canaris uśmiechnął się

i ruszył na jej spotkanie. Przywitał ją pocałunkiem w rękę, bardziej czułym niż kurtuazyjnym.

– Moja kochana przyjaciółka... Bardzo mnie cieszy, że tak cudownie pani wygląda. Afrykańskie powietrze dobrze pani robi – zauważył, zwracając uwagę na jej opaloną skórę i piękno jej spokojnej twarzy, jak tancerki Degasa.

Dla odmiany Lena ze smutkiem stwierdziła, że admirał wydaje się starszy i bardziej zmęczony niż ostatnio, znacznie bardziej bezbronny w cywilnym ubraniu, pozbawiony godności, którą zapewniał mu mundur Kriegsmarine.

– Ja też się cieszę, że znowu pana widzę – przyznała szczerze.

Poszli, trzymając się pod rękę, do ławki przy murze.

– Poczuję też lekką ulgę – dodał Canaris. – Kiedy dostałem od pani wiadomość, obawiałem się, że dzieje się coś poważnego, że jest pani w niebezpieczeństwie.

– Nie, całe szczęście mam się dobrze. W tym dziwnym miejscu, które jest moim krajem, nie będąc nim, czuję się bezpieczniej niż gdziekolwiek indziej. Ale rzeczywiście dzieje się coś poważnego... Nie niepokoiłabym pana, gdyby tak nie było.

Usiedli. Canaris nie spuszczał z niej uważnego i wyczekującego spojrzenia.

– Ostatnio dostałam pewne informacje, które uważam za niezwykle istotne. Do tej pory nie miałam o tym pojęcia, a może być tak, że rzeczy, o których się dowiedziałam, będą miały wpływ na zajmującą nas sprawę. Nie będę owijać w bawełnę, panie Wilhelmie: czy wszystko, co mi pan opowiedział o tej liście Żydów, jest prawdą?

Admirał wydawał się nieco zaskoczony pytaniem.

– Oczywiście, że tak. Nie dopuściłbym do tego, żeby zajęła się pani tą sprawą, podając kłamstwa czy półprawdy.

– I niczego pan przede mną nie ukrył.

– Nie. – Był kategoryczny.

– A zatem tę listę przygotowali Amerykanie?

– Tak. Przynajmniej tę oryginalną. Chyba że Kurt dodał do niej jakieś nazwiska.

– I osoby, które znaleźliśmy i ukryliśmy, zostaną przekazane Stanom Zjednoczonym... – bardziej zapytała, niż stwierdziła.

– W sumie to nawet mam już wizy wystawione przez amerykański konsulat na te nazwiska, które mi pani podała.

– Wilhelmie... I naprawdę nie wie pan, kim są osoby z tej listy?

Admirał z każdą chwilą był coraz bardziej zbity z tropu.

– Wiem tylko tyle, ile Kurt w swoim czasie i pani teraz mi powiedzieliście. I to, co mi przekazali łącznicy z amerykańskimi tajnymi służbami: że chodzi o osoby w jakiś sposób powiązane ze Stanami albo istotne dla określonych grup

żydowskich z tego kraju. Nie pierwszy już raz prowadzimy operację tego typu. Już w 1940 roku poprosili nas, żebyśmy wyciągnęli z Warszawy rabina grupy Chabad-Lubawicz... Proszę mi powiedzieć, Leno, co to za informacje, które wzbudzają w pani tyle wątpliwości.

Bez słowa podała mu listę Guillena.

– Proszę uważać – przestrzegła go, gdy czytał. – To nie jest nasza lista. Jest radziecka. Proszę zwrócić uwagę, że kilka nazwisk jest innych.

– Radziecka? A skąd ją pani wzięła?

– Pamięta pan tego... starego przyjaciela, o którym mówiłam, tego z polskiego ruchu oporu, który starał się zapobiec zamachowi na Kurta?

Admirał przytaknął.

– Okazuje się, że to agent NKWD. On mi ją dał i powiedział mi, że Rosjanie również poszukują tych Żydów.

– No proszę... – Canaris uśmiechnął się, nie spuszczać wzroku z kartki.

– Wszędzie ma pani przyjaciół, jak dobrzy szpiedzy. Ale dlaczego jakiś agent NKWD dał pani tak wrażliwą informację? Nie wyobrażam sobie, że go pani torturowała, żeby ją z niego wyciągnąć...

– Nie – zaśmiała się – nie było to konieczne. Podzielił się nią z własnej woli, bo próbuje mnie przekonać, żebym nie oddawała... moich Żydów – powiedziała, robiąc palcami znak cudzysłowu.

– To logiczne. On ich chce. – Canaris mówił kpiarskim tonem, żeby ukryć swoje wielkie zmieszanie.

– To nie takie proste. Proszę pozwolić mi opowiedzieć całą historię.

– Nie mogę się doczekać.

Lena opowiedziała mu, w jaki sposób Guillén dotarł do obu list i jak spotkał się z doktorem Kaczorowskim, który stwierdził, że większość zapisanych na nich osób to naukowcy specjalizujący się w fizyce jądrowej. Powiedział mu też, jak przed wojną część społeczności akademickiej prowadząca badania nad rozszczepieniem jądra atomu przewidywała, że można będzie powstała w ten sposób energię wykorzystać do budowy bomby o mocy tysięcy ton dynamitu, broni, która dosłownie zmiecie z powierzchni ziemi całe miasto, oświadczyła, przytaczając słowa Guillena.

– Mój przyjaciel nie jest tego całkowicie pewien, ale nie jest nedorzeczna myśl, że Rosjanie rozpoczęli albo planują rozpocząć projekt budowy takiej bomby i dlatego zbierają naukowców – podsumowała Lena.

Canaris niczego pochwycić nie skomentował. Siedział w milczeniu z zasępioną miną, przetwarzając usłyszane właśnie informacje. Wszystkie scenariusze związane z tą sprawą, tak znakomicie przez niego rozplanowane, zawały się wobec tej rewelacji jak wieża zbudowana z drewnianych klocków, do której dziecko stara się dołożyć jeszcze jeden klocek. Potrzebował czasu do

namysłu. Ale jedna rzecz natychmiast przyszła mu do głowy.

– Czy to możliwe, że Kurt się tego domyślił...

Lena nie ukrywała zdumienia.

– Dlaczego pan to mówi? W tych dokumentach nic nie było na ten temat, żadnej notatki, która mogłaby świadczyć o tym, że coś wiedział. Poza tym, że spotkał się z Kaczorowskim, ale nawet on wpadł na to, dopiero gdy dostał obie listy.

– To tylko instynktowne przypuszczenie, przyznaję. Ale podczas naszej ostatniej rozmowy, zaledwie na kilka dni przed jego śmiercią, powiedział, że odkrył coś ważnego. Nie podał mi żadnych szczegółów, bo była to transmisja radiowa, nie całkiem bezpieczna. Postanowiliśmy o tym porozmawiać podczas naszego spotkania, które planowaliśmy na następną niedzielę w Warszawie.

Po chwili milczenia Lena znowu zaczęła kontrolować rozmowę; nie chciała dać się omamić historyjkom admirała.

– Chodzi o to, że... pan też o tym wie. Większość specjalistów z fizyki jądrowej wywodzi się z uniwersytetu w Getyndze, wielu jest Niemcami i nazistami. A skoro tak, dlaczego Niemcy nie mieliby pracować nad własnym projektem badawczym? A pan... powinien o tym wiedzieć... Czy nie?

On powinien o tym wiedzieć... I wiedział; o pewnych rzeczach. Wiedział o broni atomowej i o planach jej skonstruowania. Wiedział o *Uranverein*, Projekcie Uran, który rozpoczęto w 1939 roku, z krótką przerwą na wojnę z Polską, o zmobilizowaniu wielu naukowców i o wznowieniu prac pod auspicjami Wehrmachtu. Wiedział, że najlepsi naukowcy niemieccy są weń zaangażowani: Schumann, Harteck, Esau, Hahn, Heisenberg, Geiger... Wiedział też, że w 1942 roku powstał raport, według którego broń atomowa nie będzie decydująca dla zakończenia tej wojny w krótkim okresie. A zatem, mimo że projekt był priorytetowy i ciągle go finansowano, stracił na znaczeniu wobec innych, jak choćby tych związanych z silnikami rakietowymi i raketami V. W ogólnym rozrachunku znacznie bardziej interesujące wydawało się wytworzenie energii jądrowej niż skonstruowanie bomby atomowej, tak więc projekt został podzielony na trzy obszary: pozyskanie uranu i wytworzenie ciężkiej wody; wydzielenie izotopów uranu i stworzenie reaktora atomowego.

– Powiniennem... – odpowiedział lakonicznie. – Ale Hitler jest tak krótkowzroczny, że nigdy by nie dopuścił do tego, żeby jacyś żydowscy naukowcy pracowali nad którymkolwiek z jego projektów. W swoim czasie już przypilnował, żeby wytropić i wyplenić to, co sam nazywał „żydowską fizyką”: Einstein, Teller, Wigner, Szilárd, Bohr... Wszyscy są Żydami z uniwersytetu w Getyndze i musieli uciekać z kraju... Chodzi mi o to, i musi mi pani uwierzyć, że żaden Żyd z naszej listy nie jest przeznaczony do pracy przy żadnym projekcie w Niemczech.

– Wie pan, czy Amerykanie pracują nad stworzeniem takiej bomby?

– Nie mam dowodów ani wiarygodnych informacji na ten temat... Ale zawsze uważałem, że wszyscy ci fizycy, którzy wyjechali do Stanów przed wojną, na pewno kontynuują tam swoje prace. Teraz... w świetle tych nowych danych, łatwo stwierdzić, że tak jest w istocie, nie uważa pani? – powiedział z porozumiewawczym uśmiechem, który Lena odwzajemniła. – Tymczasem, jaki jest cel i zakres tych badań? Na jakim są etapie? – wyraził pierwsze wątpliwości, które mu przyszyły do głowy.

Lena westchnęła.

– A zatem, co powinniśmy zrobić? Mam czterech polskich naukowców i ich rodziny, ukrytych na przedmieściach Warszawy. Pan ma ich amerykańskie wizy w swoim gabinecie. Czekamy na kilka formalności, żeby mogli przyjechać do Tangeru; w przyszłym tygodniu, za dwa tygodnie najpóźniej, mogliby tu być, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem... Wyślemy ich do Stanów?

Canaris pokręcił głową. Ciągle potrzebował czasu, żeby się zastanowić. Ostatnio odbył tajne spotkanie w Santander ze Stewartem Menziesem, szefem MI6, i Williamem Donovanem, jego amerykańskim odpowiednikiem, żeby zaproponować im rozmowy na temat honorowego pokoju. A jednak obaj przekazali mu tylko twarde stanowisko swoich szefów rządów. Czuł się naprawdę zawiedziony i samotny w dążeniu do uratowania Niemiec i Hitlera.

– Jestem pierwszym, który uważa, że ta wojna powinna się wreszcie skończyć. Ale pracuję nad pokojem godnym dla Niemiec. A oni ciągle żądają bezwarunkowej kapitulacji. Nie dają najmniejszego marginesu do negocjacji... Jak mogę się zgodzić na to upokorzenie dla mojego kraju, dla tysięcy ludzi, którzy oddali za niego życie w ciągu ostatnich lat?

Lena spojrzała na niego zmieszana i Canaris zrozumiał, że mówi zbyt wiele, za bardzo się odkrywa.

– Nie wiem, czy jest prawdopodobne zbudowanie broni o takim potencjale rażenia, jak się mówi – postanowił streścić admirał. – Nie wiem, czy Amerykanie, Rosjanie albo Niemcy są w stanie to zrobić ani jakie będą konsekwencje tego, że komuś się to w końcu uda... Przypuszczam, że wojna by się skończyła, ale... nie chcę, żeby skończyła się w taki sposób, i nie mam zamiaru przyłożyć do tego ręki. Nie. Nie oddam tych naukowców Amerykanom.

– Nie zostawimy ich jednak porzuconych w Polsce...

– Nie, oczywiście, że nie. Niech pani robi swoje: proszę ich tu przywieźć. A potem... Może zdołalibyśmy ich ukryć w Hiszpanii, z dala od radzieckich agentów czy agentów któregośkolwiek innego kraju. Co przypominało mi jedną rzecz: czy pani przyjacielowi można zaufać? Może wciągać nas w pułapkę?

Lena przez chwilę się zastanawiała.

– Mogę pana zapewnić, że to człowiek o wielkim poczuciu moralności. I ja mu wierzę, że porzucił tę misję z powodów etycznych. To z jednej strony.

Z drugiej jest jeszcze sprawa niebywale praktyczna, z powodu której nie może nas zdradzić: nie wie, gdzie są ukryci żydowscy naukowcy, a ja mu tego nie wyjawię.

– Bardzo dobrze – pogratulował jej z dumą.

– Co pan powie Amerykanom? Oni już wystawili wizy. Wiedzą, że ich odnaleźliśmy.

– Tym proszę się nie martwić. Coś wymyślę.

Lena spojrzała na niego z mieszaniną czułości i podziwu.

– Wydaje mi się, że ma pan bardzo trudną pracę – zażartowała.

Canaris uśmiechnął się do niej smutno.

– Niezupełnie. Najczęściej jest to zwykła gra, która wymaga niejkiej wprawy i cynizmu. Problem w tym, że robię się już stary i zmęczony i mam niewiele czasu, żeby odkupić grzechy...

Canaris dał jej jeszcze kilka wskazówek i pochwalił jej zaangażowanie. „Bardzo by mi się pani przydała na początku wojny”, zapewnił ją. Na koniec poprosił, żeby na siebie uważała, żeby nie wystawiała się na niepotrzebne ryzyko, skoro zbliża się już do finału operacji. I pożegnał się z nią, przytulając ją. Lena odniosła wrażenie, że więcej się nie zobaczą.

*

Kiedy samolot, którym Jaime Aranzadi wracał z Madrytu, wylądował na lotnisku w Tangerze, była niemal północ. A jednak poprosił kierowcę, żeby zawiózł go do kazby. Musiał się zobaczyć z Leną, natychmiast zrzucić z siebie ciężar, który taszczył na grzbiecie, jakby był okrętem o włos od pójścia na dno. Inaczej nie mógłby jej spojrzeć w twarz.

Opierając się o framugę drzwi wejściowych, opowiedział jej wszystko ciurkiem, niemal nie robiąc przerwy na zaczerpnięcie oddechu, wykorzystując słowa, które wcześniej bardzo dokładnie podobał. I na koniec, jakby to rzeczywiście był prawdziwy cel jego wizyty, usprawiedliwił się. Poprosił, żeby mu wybaczyła, że grzebie w jej przeszłości, że zrobił to, nic jej nie mówiąc, że powodowała nim wiara, że ma prawo wszystko uporządkować...

– Jaime... – przerwała słodko. – Dobrze... Dobrze zrobiłeś. Prawdopodobnie gdybyś zapytał mnie o opinię, zanim zrobiłeś ten krok, sprzeciwiłabym się. Bałabym się otworzyć tę puszkę Pandory... Ale teraz... Cieszę się... Zrobiłeś coś, na co ja nigdy bym się nie odważyła: postawiłeś kropkę. Może to nie naprawi tego, co się stało, ale zamyka pewien rozdział. Stała się sprawiedliwość, ale nie tylko wobec mnie, przede wszystkim wobec wielu innych ludzi, ofiar tej... mendi.

I Jaime Aranzadi odetchnął z ulgą. Tak, w końcu. Dla niego to też był zamknięty rozdział.

Jak bardzo by chciał ją przytulić i zatrzymać w ramionach na zawsze.

*

Nastał poranek, dzień drugi. Guillén, brudny, zaplątany w pościel w hotelu, dopijał resztki z ostatniej butelki brandy. Nawoływanie muezzina, które przyprawiało go o szaleństwo podczas deliriów, teraz kołysało do snu. Zapach przypraw wywrócił mu żołądek. Nastął drugi poranek, a on ledwie trzymał się na nogach.

Potrzebował czasu, żeby doprowadzić się do porządku, żeby powrócić do trzeźwego myślenia, które zakłócił alkohol. W jaki inny sposób Lena mogłaby mu wybaczyć? Zadawał sobie to pytanie, zapadając w głęboki sen.

Obudził się po południu i zdusił kaca prysznicem oraz mocną kawą, z fusami i bez cukru. „Najlepsza kawa w Tangerze, z kontrabandy”, poinformowała go właścicielka, wysyłając go do tego zadymionego lokalu, przepoconego i wypełnionego krzykami Arabów z dzielnicy.

Trzy filiżanki później poczuł się gotowy, żeby wrócić do domu w kazbie i zapukać do niebieskich drzwi, ze ściśniętym sercem, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

*

Jaime Aranzadi rozparł się w jednym z foteli Chesterfield w bibliotece Gini. Bawił się papierosem w palcach i zastanawiał się, czy go zapalić i czy zostało mu jeszcze coś do opowiedzenia z podróży do Madrytu. Przynajmniej co do istoty sprawy zdał Lenie relację ze wszystkiego. I cieszyło go, że jest posłańcem dobrych wiadomości; jej uśmiech był najlepszą rekompensatą za jego wysiłki.

Z dyplomatycznego punktu widzenia chwila była najlepsza na manewry tego typu. W otoczeniu rządowym wielu już myślało, że Niemcy nie wygrają wojny. Należało podejmować odpowiednie kroki, żeby pogodzić się z aliantami: przejść od statusu państwa niebiorącego udziału w działaniach wojennych do państwa neutralnego; wycofać Błękitną Dywizję; przestać cenzurować wiadomości na temat zwycięstw aliantów... Ratowanie Żydów też mogło być jednym z takich działań.

– Zgoda – podsumowała Lena, uderzając ołówkiem w zeszytik – zrobimy trzy ekspedycje. Każda po dwieście, dwieście pięćdziesiąt osób. Przekażę moim współpracownikom z Warszawy, żeby przygotowali listy na czwartek, koncentrując się na tych najbardziej zagrożonych. Jutro polecę do Genewy, żeby spotkać się z przedstawicielami Czerwonego Krzyża i zorganizować transport...

– Polecę z tobą.

Lena uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Nie ma takiej potrzeby. Dopiero co wróciłeś, a ja świetnie sobie sama poradzę.

– Doskonale wiem, że nie potrzebujesz towarzystwa, ale ja tak. Potrzebuję kogoś, kto pójdzie ze mną na kolację do małej włoskiej restauracji na starym mieście, tuż przy katedrze. Uwielbiam ją: obrusy w kratkę; karafki wina w wiklinowej plecionce i kelner, który przed wojną był barytonem w Sienie. Aha, i najlepsze tiramisu na świecie.

– Nie wiem, co to takiego tiramisu.

– Dlatego musisz pójść ze mną na kolację.

Lena odpowiedziała milczeniem i wróciła do swojej listy. Byli o krok od sukcesu, ale jeszcze tyle rzeczy mogło się nie powieść... Niepewność wzbudzała w niej taki niepokój, że czuła się niezdolna do oczekiwania w Tangerze. Była zdecydowana towarzyszyć wszystkim ekspedycjom; fakt, że jest pielęgniarką Czerwonego Krzyża, pozwalał jej na to, do tego zapewniał jej nietykalność. Ale nie chciała tego mówić Jaimemu, bo na pewno próbowałby ją odwieść od tego pomysłu.

– Nic się nie zmieni, bez względu na to, jak bardzo będziesz się wpatrywać w tę listę.

Nie zauważyła, że Jaime stoi tuż obok niej. Uniosła głowę.

– Dzisiaj już więcej nie jesteś w stanie zrobić – powiedział, włożywszy ręce do kieszeni spodni, żeby zdusić w sobie pragnienie pogłaskania jej po policzkach.

– Masz ochotę na herbatę?

Lena przytaknęła.

– Przygotuję – powiedziała. – Habiba poszła na rynek.

– Nie. Ja pójdę. Zrobię ci herbatę arabską, taką, jakiej nauczyli mnie Berberowie w dolinie Ziz: gorzką jak życie, silną jak miłość i słodką jak śmierć.

*

Drzwi się otworzyły i po drugiej stronie nie stała żadna Arabka, Angielka ani inna obca osoba. Tylko ona sama. Zaskoczenie nieco go zbiło go z tropu.

– Guillén...

– Lena... Ja... Muszę z tobą porozmawiać. Jestem idiotą... Mogę wejść?

– Tak... Tak... – Zrobiła mu przejście, jakby drzwi ważyły tonę.

Na patio panował chłód i było bardzo przyjemnie w porównaniu z ulicą: uporządkowana geometria kafelków, zieleń roślin, szmer fontann... Pomyślał, że zaprowadzi go do wnętrza, ale Lena pozostała przy drzwiach, jakby sprawa miała

być krótka, jakby śpieszyła się zakończyć to, co nawet się nie rozpoczęło. Trudno mu było znieść to lodowate przyjęcie.

– Ja... Chciałem ci powiedzieć, że wtedy zachowałem się głupio. Gdybym skojarzył fakty... Oczywiście, że Amerykanie mogli przekazać tę listę! Są na niej dwa nazwiska, których nie ma na rosyjskiej: Tola Gryn i Józef Ulam. To żona i ojciec dwojga polskich naukowców, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych przed wojną. Kaczorowski mi to powiedział. I kto, jak nie oni, mógł naciskać, żeby uratować swoich krewnych? Ta lista z całą pewnością została przekazana przez Amerykanów... A ja wzbudzałem w tobie wątpliwości jak uparty i nieufny muł!

– Nie przejmuj się... To bez znaczenia... – powiedziała jakby na odczepne.

Gdyby zwracał uwagę na detale, powinien się już wycofać. Ale nie ma człowieka bardziej głuchego niż ten, który słuchać nie chce.

– To ma znaczenie. Ty już zaczęłaś podejrzewać, a ja ciebie nie posłuchałem: z całą pewnością Amerykanie, tak jak i Rosjanie, planują budowę bomby...

– Wiem, wiem – przerwała mu. – Słuchaj... Chciałam się z tobą spotkać, żeby...

Na galerii otworzyły się drzwi i na patio rozbrzmiał głos:

– Lena, już jest herbata... Ach, przepraszam... Nie wiedziałem, że...

Lena odwróciła się do Jaimego.

– Zaraz przyjdę. Tylko minutka.

– Jasne. Nie ma pośpiechu.

Zapanowała niezręczna cisza. Lena spojrzała na Guillena i nie była w stanie zinterpretować jego miny.

– To Jaime Aranzadi... – wyjaśniła niepytana. I zawahała się, w jaki sposób najlepiej go przedstawić. – Z biura Wysokiego Komisarza... Pomaga mi w ratowaniu Żydów...

– Jasne – przytaknął Guillén spokojnie. – Przepraszam, że ci przerwałem. Nie wiedziałem, że pracujesz. Może... Może zjedlibyśmy razem kolację i dokończyli tę rozmowę na spokojnie.

Lena spuściła wzrok.

– Dziś wieczorem nie mogę. Jestem umówiona.

– Umówiona?

– Jest przyjęcie w willi Marshan...

– I wyprzedził mnie pan z biura Wysokiego Komisarza, czy się mylę?

Lena zamilkła.

– Teraz mi powiesz, że to oczywiście praca. Dobra, nasza sprawa też dotyczy pracy, znajdziesz jakiś termin dla mnie w swoim kalendarzu?

– Guillén...

– Nie. Nie kombinuj. Nie będę mieszał spraw osobistych. Proszę cię tylko o pół godziny. Przyjechałem aż tutaj, bo miałem informację, która mogła być dla ciebie ważna, bo pomyślałem, że może pobudzi twoje sumienie. Powiedziałaś, że to przemyślisz. Zasluguje przynajmniej na jakąś odpowiedź, zanim każde z nas pójdzie w swoją stronę... jak zawsze.

Jak skrzyczana dziewczynka, Lena ustąpiła:

– Możemy zjeść razem śniadanie, jutro w El Minzah...

– No to do jutra.

Ponieważ nie mógł się zdematerializować, Guillén był wdzięczny za to, że drzwi znajdują się zaledwie o dwa kroki, żeby zniknąć stamtąd jak najszybciej.

*

Jaime natychmiast zauważył u Leny zmianę nastroju, kiedy ta wróciła do biblioteki. Choć próbowała utrzymać uśmiech na twarzy, wyglądała jak kwiat wazonie bez wody.

– Złe wiadomości?

– Nie... Nie.

– Mogę zapytać, kto to?

– Mój brat, Guillén...

Nie odezawszy się, Jaime stróżką herbaty napełnił szklankę z miętą. Po pokoju rozniósł się smakowity zapach.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Podał jej parujący napój.

– Nie ma wiele do opowiadania.

Jaime wiedział, że ona kłamie, ale nie nalegał.

*

Marcus van Buren był ciekawą postacią. Z rodziców Holendrów, wychował się w Afryce Południowej i zanim skończył czterdzieści lat, zbił wielką fortunę na handlu diamentami. W życiu miał tylko dwie miłości: córkę Elisabeth (jedyną z pięciu nieudanych małżeństw) i Tanger. Mówił, że uwielbia to miasto, bo jest jedynym miejscem na świecie, w którym może robić to, na co ma ochotę. I często wspominał z nostalgią złote dni rozkoszy i niepohamowania sprzed wojny. Od hiszpańskiej okupacji Tanger już nigdy nie był taki sam, pod ciosami pałki przyjął zjełczałą i bezsensowną moralność okupantów. Niemniej stary milioner ciągle tu przyjeżdżał i za każdym razem wydawał wielkie przyjęcie w Villi Elisabeth, dworze, który zbudował w eleganckiej dzielnicy Marshan na początku lat

trzydziestych.

Na swoje przyjęcia zapraszał, bez oglądania się na pochodzenie, wszystkich, Żydów i nazistów, Brytyjczyków i Amerykanów, Niemców i Włochów, zatwardziały frankistów, biskupa Gallipoli z dobrze wyposażoną tancerką z kabaretu... A wszyscy oni przychodzili, zwabieni zapowiedzią dobrych napitków i obfitego jedzenia, bo należało tam bywać i brylować, choć patrzyli na siebie spode łba. Marcus van Buren, który uwielbiał grać na niepokojach i wrażliwości tak ewidentnych w tamtych czasach, bawił się, oglądając ten spektakl cynizmu, i czekał z zaostrozonymi kłami na jakąkolwiek iskrę, którą mógł wykrzesać żar alkoholu.

Villa Elisabeth zmieniała się wtedy w miejsce godne obserwacji. Cudowne ogrody z krzewami w kwiatach, palmami, magnoliami i trawnikami ginącymi za linią morskiego horyzontu były poprzecinane girlandami świateł, flag i lampek. Pary całowały się przy basenie. Orkiestra jazzowa grała nieustająco i ledwie narzucała się ponad gwarem rozmów: Włosi i Hiszpanie górowali z racji tonu swoich głosów i śmiechu; Anglicy i Niemcy utrzymywali dystans; Francuzi zdawali się czuć dobrze w towarzystwie wszystkich, bo zawsze byli królami dyplomacji; a Amerykanie próbowali rozluźnić sytuację.

W innych miejscach na świecie wzajemnie się zabijali, ale tam, w Tangerze, okazywało się, że łatwo jest się uśmiechać do siebie nad daktylami i szampanem, przestrzegać etykiety i spiskować w takt *Moonlight Serenade* czy *Sweet Lorraine*.

Lenie wydawało się dziwne to środowisko, w którym Jaime poruszał się swobodnie. Młody dyplomata znał wszystkich i przechodził od grupy do grupy, sprawnie zmieniając hiszpański na angielski, angielski na francuski i francuski na włoski. Znał dowcipy, żarciki i komplementy na każdą okazję. Równie dobrze przyciągał uwagę panów, których godność była proporcjonalna do ich brzuchów opiętych najlepszymi koszulami, jak dam starych i łasych na małżeństwo panienek, pieczeniarzy i łowców okazji. Na chwilę zostawił Lenę z grupką jakichś pań, wszystkich potwornie zadzierających nosa, które bardzo szybko dokonały oceny jej dobrego wychowania, pochwaliły sukienkę i zaproponowały udział w tuzinie akcji dobroczynnych, rzecz jasna wspieranych przez Akcję Socjalną.

Kiedy Lena uniosła wzrok, jak tonący człowiek łaknąc powietrza, napotkała spojrzenie Jaimego, który nie spuszczał z niej oka z drugiej strony salonu. Natychmiast pośpieszył jej na ratunek.

– Konsul amerykański chciałby cię poznać.

Lena chwyciła go pod rękę i wyszeptala mu na ucho:

– Teraz chcę tylko tańczyć.

I razem wyszli do ogrodu, gdzie bryza pachniała uwodzicielsko, papierosowym dymem i perfumami; perfumami Leny na jej szyi.

*

W zamian za kilka peset, wliczając w to napiwek, Guillén wypożyczył smoking z białą marynarką od krawca Ormianina, przyjaciela obrotnej właścicielki hoteliku. Na szczęście noc wszystko przykrywa. Bo sprawy miały się tak, że materiał, w swoim czasie na pewno przedni jedwab, był już dość znoszony; poza tym marynarka była dla niego nieco przyciasna, z trudem zapinał pierwszy guzik; czuł się ściśnięty, przyduszony muchą i wspomnieniem tych odległych dni, kiedy w smokingu siadał codziennie do kolacji.

Włożył papierosa do ust, zaciągnął się po raz pierwszy i podlał dym łykiem whisky; dobrej whisky, szkockiej – niemal zapomniał już, jak smakuje. W półmroku oparł się ramieniem o kolumnę w jednym z narożników portyku, skąd mógł obserwować ogród. I patrzył, jak Lena w zwiewnej sukience tańczy pośród drzew; wstrzymywał bicie serca łykami alkoholu. Począł, aż skończą się piosenka i whisky, która daje odwagę, żeby podejść.

Powolnymi ruchami i z przyklejonym uśmiechem odebrał ją z rąk przedstawiciela Wysokiego Komisarza, okazując zręczność kieszonkowca.

– Pozwoli pan, że zatańczę z panią? – wymamrotał tylko.

Wykorzystał zaskoczenie, żeby spokojnie zaliczyć bazę i poprowadzić Lenę na parkiet w rytm piosenki jazzowej, która oburzała Niemców. Tymczasem facet z biura Wysokiego Komisarza patrzył na tę grę jak niepyszny z ławki rezerwowych.

– Co tu robisz? – zapytała Lena zdumiona i nieco oburzona.

– Tańczę z tobą – odpowiedział, obejmując ją jeszcze mocniej w tali.

– Zwariowałeś? Jak ci się udało tu wśliznąć?

Guillén uśmiechnął się jak mały cwaniak.

– Przekupiłem kelnera. Bardzo sympatyczny typ. Z Algeciras. Przysiągłbym, że to republikanin, bo dość prowokacyjnie ścisnął banknoty w pięści. Najgorsze jest to, że oczekuje się teraz ode mnie, że to ja będę podawał napoje...

– Jak możesz tak żartować? – Lena nie ukrywała oburzenia. – Zdajesz sobie sprawę z tego, gdzie się wcisnąłeś? Są tu hiszpański konsul, komisarz policji, szef Falangi... A jeśli cię odkryją? Mogliby cię zatrzymać w każdej chwili z twoim radzieckim paszportem i całą kolekcją wcześniejszych dokonań.

– Mówisz to, jakby nie było ci wszystko jedno...

– Oczywiście, że nie jest mi wszystko jedno, głupcze! Nie rozumiem, po co musiałeś tutaj przyjść!

– Żeby spotkać się z tobą. Choćbym musiał znosić oglądanie tego typu z nosem w twojej szyi – powiedział, wskazując wzrokiem Jaimego, który kręcił się na skraju parkietu. – Alternatywą było samotne upicie się.

Lena zatrzymała się i puściła go.

– Jesteś...! – Nie znajdując odpowiedniego słowa, skończyła zdanie westchnieniem i zostawiła go na środku.

Guillén patrzył, jak ucieka. Miał zamiar dopaść ją, zanim wejdzie do salonu, kiedy przeszkodził mu facet z biura Wysokiego Komisarza, zawsze gotowy.

– Ty pewnie jesteś bratem Leny. Pozwól, że się przedstawię: Jaime Aranzadi.

Guillén obojętnie spojrział na wyciągniętą przez tamtego rękę. Wreszcie uścisnął ją z nieukrywaną niechęcią.

– Lena wiele mi o tobie mówiła – dodał dyplomata.

Ona z przerażeniem patrzyła na to spotkanie, jak się ogląda zegar bomby odmierzający czas do nieuniknionej eksplozji.

– Nie sądzę. Lena nie lubi o mnie mówić. Pewnie chodziło o innego brata. Ma ich kilku.

– Ale... to ty jesteś Guillén...

– Tak... to ja. Jestem Guillén – potwierdził z niepokojem. Bez względu na to, jak przyjemną twarz miał ten palant, on już z góry go nienawidził, i to właśnie dlatego. – To ciekawe, ciebie ona nigdy nie wspomniała. Kim jesteś... don Jaime? Wyglądasz na miłośnika Ruchu Narodowego, falangistę pierwszej wody, z tych, których ona tak bardzo uwielbia. Chociaż zachwycają ją też naziści. Jak ją widziałem ostatnio, była żoną jednego z nich, wiedziałeś o tym?

Jaime zmienił uśmiech na irytację.

– Nie pozwalam ci tak o niej mówić...

– Ty mi nie pozwalasz? Przypominam ci, że jestem jej bratem... Kim ty dla niej jesteś, co? Może powinieneś mi o tym opowiedzieć?

Dyplomata starał się pohamować wściekłość, powstrzymać chęć trzaśnięcia go w pysk i utrzymać fason.

– Chyba lepiej będzie, jeśli odprowadzę cię do wyjścia.

Guillén zaczynał się rzucać, kiedy wtrąciła się Lena. Położyła rękę na piersi Jaimego.

– Poczekaj chwilę – poprosiła delikatnie, mimo że była bardzo spięta. – Pozwól mi z nim porozmawiać.

Jaime zgodził się z zaciśniętymi ustami, rzucił wrogie spojrzenie Guillenowi i zostawił ich samych.

Lena stawiała czoło Guillenowi, starając się panować nad głosem.

– Przyszedłeś tutaj, żeby robić sceny, tak? Tego chcesz, wyrzucić z siebie całą wściekłość, którą w tobie wzbudzam?

Guillén chrząknął.

– Muszę się napić.

– Żadnego picia. – Zatrzymała go. – Wydaje mi się, że już masz dosyć.

Powiedz mi, czego ty, u diabła, chcesz, Guillén. – W jej głosie słysząc było desperację.

– Chcę, żebyś mi powiedziała, co masz zamiar zrobić ze swoimi żydowskimi naukowcami – zaczął improwizować, by nie wyjawić jedynej rzeczy, której od niej chciał. Rozpaczliwie ją kochał. – Trzy dni! Rozmawiamy od trzech dni i jeszcze nie spotkał mnie zaszczyt usłyszenia twojej odpowiedzi. Unikałaś mnie, lekceważyłaś...

Lena pokręciła głową zdumiona.

– I nie mogłeś poczekać do rana, co? Powiedziałam ci, że razem zjemy śniadanie. Ale nie. Zachowujesz się jak rozpieszczony gówniarz. Zawsze taki byłeś, od swojego wyjazdu do Francji miałaś wszystko, i to natychmiast, nie zdajesz sobie z tego sprawy? Bardzo łatwo urazić swoją miłość własną.

Napięcie na twarzy Guillena osłabło.

– Nie... Mylisz się. Odkąd wyjechałem do Francji... wszystko straciłem. I to nie moja miłość własna jest zraniona. To... inna... miłość.

Lena miała się odezwać, ale on ją uprzedził.

– Jutro wyjeżdżam, Leno. Nie mam tu nic więcej do roboty...

– Jutro? – Nie mogła w to uwierzyć.

– I prawdę powiedziawszy, jest mi dokładnie obojętne, co zrobisz z tymi Żydami. Wiem, że ryzykowałeś dla nich życie. Zawsze martwiłaś się o innych. Aha, i to, co wcześniej powiedziałem o falangistach i nazistach... To nie było na poważnie. Tylko byłem wściekły.

Lena poczuła się rozbrojona, jakby trzymała w rękach zniszczoną linę, która zaczynała pękać od ciągłego naciągania. Naszedł ją smutek.

– Nie możesz wyjechać jutro...

Na scenę wtargnęła piskliwa prośba i ściągnęła ich z chmury, na której się unosili.

– Pani Ardstein, kochana!

Consuelito Vargas, żona Aguirrego de Pimentel, pułkownika saperów z garnizonu w Tangerze, miała operetkowy głos i biust wydatny jak dziób lodołamacza – często go używała, żeby torować sobie drogę. Stała między Guillenem i Leną skryta za wachlarzem.

– Musi pani pójść ze mną. – Bezceremonialnie chwyciła Lenę pod rękę. – Mój mąż, który jest miłośnikiem germańskiej racjonalności, chce się z panią podzielić swoimi spostrzeżeniami na temat Berlina.

Oszołomiona Lena pozwoliła się poprowadzić, a oddalając się, patrzyła przez ramię na Guillena. Jeszcze błagała go wzrokiem: „Nie możesz wyjechać jutro”.

Guillén, sfrustrowany, udał się do baru i poprosił o podwójną whisky, jak w filmach Johna Forda. Opadł na bar i pił łapczywie. Widział Lenę nad krawędzią

szklanki. Widział, jak się śmieje do grupy staruchów. Spięty uśmiech. I zadawał sobie pytanie, czy ma prawo jej to robić...

– Musisz się ustawić w kolejce, przyjacielu...

Przy barze stał jakiś mężczyzna. Grubas, który ocierał pot z czoła wielką pogniecioną chustką i pił. Pewnie pił całą noc. Za każdym razem, kiedy pociągał ze szklaneczki, mięsiste usta zalewał alkohol; ocierał je tą samą chustką. Wydmuchał nos.

– Cały Tanger mówi o tej kobiecie... Tak, widziałem, że pan na nią patrzy, proszę nie zaprzeczać.

Guillén udał, że nie słyszy.

– To wdowa... – ciągnął uparty pijak. – Po niemieckim żołnierzu. Bogata wdówka. – Zaśmiał się chrapliwie. – Nie ma faceta w piekle tego miasta, który nie marzyłby o tym, co jest pod tą sukienką.

Guillén poczuł, że zaczyna palić go gardło. Ugasił żar whisky.

– Mówią, że Aranzadi nie musi o niej marzyć... Rozumie mnie pan... – Dał mu kuksańca w bok. – Dziwny typ ten Aranzadi. Porusza się jak ryba w wodzie w wyższych sferach i tutejsi go szanują, ale nikt dobrze nie wie, czym on się zajmuje. Mówią, że poznali się wcześniej, podczas naszej wojny.

Guillén nie wiedział, czy dalej się wściekać, czy zaspokoić ciekawość. Czy posłuchać, co ten koleś ma do powiedzenia, czy zamknąć mu pysk. Uspokoił się łykiem whisky.

Tamten zrobił to samo. Otarł usta, wytarł twarz, czknął i zrobił kwaśną minę.

– Czasem mnie obrzydza. Obrzydza mnie patrzenie, jak Hiszpanka, kobieta, która powinna być wzorem cnót i dobrego prowadzenia się, obnaża się w taki sposób. Wesoła wdówka. – Splunął z obrzydzeniem. – Diabeł najgorszego autoramentu. Kurwa w jedwabiach...

Guillén uciszył go ciosem prosto w szczękę. Rozłożył go na barze przy akompaniamencie tłuczonego szkła i rzucił się na niego, żeby dokończyć robotę, nie rozluźniając pięści. Wściekłość go zaślepiła. Mógłby go zabić.

Lena odwróciła się przestraszona krzykami i hałasem. Głos uwiązł jej w gardle, gdy zobaczyła Guillena walącego pięściami jak cepami. Pobieгла, żeby przerwać to szaleństwo, ale ktoś rozsądniejszy jej w tym przeszkodził. W tym czasie kilku mężczyzn powstrzymywało młodziana, który wił się jak dzikie zwierzę, wyrzucając z siebie niespotykaną serię złorzeczeń.

Przyjęcie skończyło się przybyciem policji do Villi Elisabeth. Guillén został zabrany w kajdankach furgonetką z zakratowanymi oknami. Marcus van Buren był bardzo zadowolony. Znienacka przyjęcie okazało się wielkim sukcesem. Musiał się dowiedzieć, kim jest ten chłopak, żeby zaprosić go na następne, jeśli tylko nieborak nie zabawi w więzieniu na dłużej.

Jaime otworzył drzwi taksówki i poczekał, aż Lena wsiądzie.

– Dlaczego nie mogę z tobą pojechać? – znowu nalegała z nadzieją na ostatnią szansę.

– Bo nie jesteś odpowiednio ubrana na wizyty na posterunku policji o tej porze.

Lena okazała wyraźnie, że nie w głowie jej żarty. On przybrał poważną minę.

– I dlatego że sam poradzę sobie lepiej, już ci to mówiłem. Słuchaj... Nie martw się. Wszystko będzie dobrze...

Te słowa były niepotrzebne, ona już się martwiła. Z rezygnacją wsiadła do samochodu, zbierając długą spódnicę sukienki.

– Jak coś będę wiedział, dam ci znać. Tymczasem postaraj się przespać.

Ona przytaknęła w ogóle nieprzekonana. Jaime zamknął drzwi i zaglądając do środka przez przednią szybę, podał kierowcy adres oraz kwotę znacznie przewyższającą opłatę za kurs.

*

Kiedy przyjechała do domu, wszyscy spali. Miała ochotę obudzić Gini, żeby wypłakać się na jej ramieniu, ale tego nie zrobiła. Z daleka ominęła drzwi do sypialni przyjaciółki i udała się do własnej. Z żołądkiem ściśniętym z nerwów ściągnęła biżuterię, buty i pończochy i zmieniła sukienkę na szlafrok. Następnie zeszła do biblioteki, zapaliła lampkę do czytania i usiadła na fotelu przy telefonie, żeby czekać, aż zadzwoni.

Dochodziła czwarta rano. Minęły już ponad trzy godziny. Lena zaciskała zęby aż do krwi, wyobrażała sobie bardzo soczyste scenariusze, modliła się po cichu i głośno, przeklinała. Była na skraju wytrzymałości nerwowej.

Wtedy przez otwarte okno usłyszała warkot silnika samochodu i szmer opon na bruku. Pobiegła do drzwi wejściowych.

Kiedy je otworzyła, Jaime pomagał Guillenowi wysiąść z taksówki. Poczowała mrowienie na całym ciele, gdy zobaczyła, w jak oplakanym stanie jest jej przyrodni brat: spuchnięta twarz, zalana krwią, brudne, podarte ubranie... Podbiegła, żeby przytrzymać go za drugie ramię, i zauważyła, że jego mucha zginęła wraz z kończącą się nocą.

– Boże drogi! Co się stało?

– Policjant miał słabszy dzień i kazał za to zapłacić pierwszemu typowi, który mu się nawinął – rzucił Jaime, gdy wchodzili do domu. – Chciałem go zabrać do szpitala, ale odmawia. A ja nie zgodziłem się zostawić go w tym chlewie, gdzie

sypia, w rękach tej strasznej baby. Więc doszliśmy do porozumienia i postanowiliśmy przyjechać tutaj.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu... – Głos Guillena brzmiał jak z zaświatów.

Lena trzasnęła go za to, że jest takim durniem, gdyby nie był już porządnie obity.

– Zaprowadź go do biblioteki, niech się położy na kanapie – powiedziała do Jaimego. – Ja pójdę zagotować wodę.

Wracając, zauważyła, że dyplomata wykorzystał czas, aby nalać dwie szklaneczki ginu z butelki Gini. Jemu na to pozwoliła. Guillenowi zabrała ją z rąk i zamieniła na wodę i aspirynę. Podeszła, żeby obejrzyć jego rany, i poczuła zapach potu i wymiocin, który starała się zignorować. Zobaczyła, że ma pęknięty łuk brwiowy – ten sam, który Anglicy zaszyli kilka dni wcześniej – spuchnięte wargi, siniak na policzku i drugi na szczęce. Krew płynęła przede wszystkim z brwi i nosa, ale nie wyglądało to niebezpiecznie.

– Kopnęli mnie w brzuch tak, że straciłem dech – zauważył Guillén, nie czekając, aż ona zapyta. – Te skurwiele poczekały, aż będę leżał. Gnoje... Żeby wiedzieli, jakie tortury znosiłem wcześniej... Amatorszczyzna...

– Zamknij się i nie gadaj więcej głupot – rzuciła, oglądając jego poranioną rękę. – Co zrobiłeś, że go wypuścili? – zapytała Jaimego.

– Brakowało jeszcze tylko, żebym powołał się na Franco... Nasz przyjaciel miał genialny pomysł, żeby natrzaskać po mordzie samemu sekretarzowi Ruchu Narodowego, który przypadkiem jest szwagrem szefa policji. Dla dopełnienia obrazka okazuje się, że nie ma żadnych dokumentów i nie chce powiedzieć dlaczego. A przy spisywaniu podał fałszywe nazwisko, chyba że jest Polakiem i ja go nie znam. Reasumując, w zamian za znaczne poręczenie...

– Które oddam ci do ostatniego centyma... – wszedł mu w słowo Guillén, krzywiąc się z bólu, bo wypowiedział słowo centym zbyt gwałtownie.

– ...kazali mi podpisać deklarację, że zobowiązuję się, że do jutra nie będzie go nie tylko w Tangerze, ale i na terytorium Hiszpanii. Lepiej więc, żebyś mu zaaplikowała balsam świętego Benedykta, proszki świętej Celestyny czy cokolwiek innego, co ci przyjdzie do głowy, tak by z rana przynajmniej był w stanie utrzymać się na nogach.

– Już stoję na nogach – zapewnił Guillén, choć nawet sam w to nie wierzył.

– Ściągnę ci koszulę – powiedziała Lena.

Jej słowa zabrzmiały jak groźba, ale pozwolił na to. Bardzo chciał się pozbyć tych brudnych i śmierdzących łachów; w każdym razie najbardziej krępowało go, że to Lena będzie się musiała nimi zająć i że kręciła głową za każdym razem, gdy go dotykała.

– Pierdolony smoking z wypożyczalni... – zrzędził, czując zimny pot na

czole. – Ormianin się wścieknie... Pewnie lepiej mi będzie rzeczywiście zniknąć...

– Jaki Ormianin? – zapytała Lena, próbując ściągnąć mu koszulę.

– Nieważne. – Z ulgą oparł się po skończonej operacji.

– Jego rzeczy są w tej torbie. – Jaime wskazał na tobołek na ziemi, na który Lena nie zwróciła uwagi. – Zabrałem je, żeby nie musieć więcej wracać do tej dziury. Może uda ci się tam znaleźć jakąś czystą koszulę...

Lena nie słuchała go. Wpatrywała się w liczne blizny przecinające ciało Guillena, które nie miały nic wspólnego z ostatnim pobiciem. Wzruszona spojrzała mu w oczy, ale Guillén odwrócił wzrok.

– Potrzebujesz pomocy?

Głos Jaimego ponad jej ramieniem wyrwał Lenę z zamyślenia. Zaczęła obmywać ciało rannego, przesuwając po nim delikatnie, choć w niejakim pośpiechu, ręcznik zamoczony w wodzie z mydłem.

– Nie... Nie. Idź do domu.

– Na pewno? Mogę pójść po jakiegoś lekarza albo... cokolwiek innego.

Lena odwróciła się do niego z uśmiechem wdzięczności.

– Nie ma takiej potrzeby. Idź się trochę prześpij. Dla ciebie to też była długa noc.

Samo wspomnienie słowa „śpij” sprawiło, że poczuł znużenie, nad którym dotychczas udawało mu się panować. Dopił gin. Ziewnął.

– Dobrze... Ty też powinnaś odpocząć...

Lena skinęła głową, niczego mu nie obiecując.

Kiedy na nią patrzył, przyszło mu na myśl, żeby pogłodzić ją po policzku; nawet pocałować ją. Poczuć jakoś jej bliskość, zanim się rozejdą. Nie zrobił tego. Na drugim planie, za twarzą Leny, rozmazany obraz Guillena okazywał się niewygodnym świadkiem.

– Wrócę rano.

– Nie odprowadzę cię do drzwi – usprawiedliwiła się Lena.

– Nie przejmuj się. Znam drogę.

– Wiem, że nie zrobiłeś tego dla mnie, tylko dla niej – nagle odezwał się Guillén, zanim Jaime wyszedł. – W każdym razie... dziękuję.

– Nie ma za co – uprzejmie odpowiedział Jaime.

Kilkoma krokami przeciął pokój i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Lena skupiła się na bracie, z miną poważną i zatopiona w ciszy cięższej niż oskarżenie w sądzie inkwizycji. Dla Guillena jej zachowanie było dwa razy bardziej nieprzyjemne niż piczenie alkoholu w ranach.

– Przykro mi...

Ona nie przestała wykonywać swojego zadania, nawet na niego nie spojrzała.

– Z mojego powodu? Nie przejmuj się. Ty zainkasowałeś największą część.

Jej lekceważenie było celowe; kara. Karą były też te dotknięcia gazą, niby od niechcenia, bez czułości i współczucia.

– No to dlaczego jesteś taka wściekła?

– Bo doprowadza mnie do rozpacz twoja bezmyślność. Myślisz, że miło mi oglądać cię w takim stanie, zwłaszcza że wiem, że sam się o to prosiłeś?

Sam się o to prosił, tak, ale tylko w jakimś stopniu, bo gdyby ten skurwysyn tak o niej nie mówił...

– Co ci wpadło do głowy, żeby bić tego człowieka? Dlaczego to zrobiłeś?

Nie miał zamiaru naprawdę się usprawiedliwiać, nie wspomni ani jednej z okropności, które ten skurwiel o niej wygadywał, ani nie będzie jej wyjaśniał, że to właśnie z tego powodu skoczył mu do gardła jak wściekły pies. Był gotowy przyjąć na siebie winę, mimo że wcale nie leżała po jego stronie.

– Bo to faszysta. – Wzruszył ramionami.

Lena głęboko westchnęła z rozpacz. Wolą wrócić do swojego zadania, zamiast rozpoczynać bezsensowną kłótnię o tej porze. Wyrzuciła gazę zaplamioną krwią i wzięła nową, nasączyła ją spirytusem. Przyjrzała się rozcięciu na policzku: nie wydawało się zbyt głębokie, przy odrobinie szczęścia nie trzeba go będzie szyć. Postanowiła je przemyć.

Guillén skrzywił się. Lena pochyliła się i podmuchała na ranę.

– Dlaczego się śmiejesz? Nie żeby mi to przeszkadzało, ale wiem, jaka jesteś wściekła, i przeraża mnie to.

Nie przestając się uśmiechać, Lena wyjaśniła:

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie pobiliś się z Ninem, bo zabrał mi ciastko z kremem? Ponieważ nie chciałeś, żeby ojciec cię zobaczył i zbił pasem, zabrałam cię za stajnię i oczyściłam ci ranę chusteczką z wodą kolońską, którą dostałam na Gwiazdkę.

– Jasne, że pamiętam. Nigdy wcześniej tak ładnie nie pachniałem.

Choć była bardzo zła, Lena nie mogła powstrzymać współczucia, które pojawiło się w jej oczach. Z czułością odgarnęła mu grzywkę z czoła i znowu podmuchała na ranę; z tak bliska, że Guillén prawie nie musiał się podpierać, żeby ją pocałować.

Prawdopodobnie zrobił to bezmyślnie, ale nie był w stanie tego powstrzymać. Nie zastanowił się nad konsekwencjami. Po prostu mając jej twarz tak blisko, jej czerwone usta, pieszczotę jej oddechu i zapach jej perfum, nie był w stanie się powstrzymać. Pocałował ją delikatnie, powoli, bo bolały go usta, bo nie chciał jej zdominować.

Lenę zaskoczył ten pocałunek i poddała mu się z zamkniętymi oczami, nie stawiając najmniejszego oporu.

Czubek języka Guillena i jego jęk wyrwały ją z tej otchłani. Odsunęła się w milczeniu i usiadła na skraju kanapy, daleko od niego.

Guillén podparł się i również usiadł, mimo bólu całego ciała. Początkowo uszanował ciszę, chroniąc się w jej mroku. Ale nie był w stanie długo milczeć.

– Ciągle cię kocham, Leno... Nigdy nie przestałem cię kochać, chociaż bardzo się starałem. Mimo odległości, czasu i pewności, że oboje powinniśmy sobie nakazać zapomnienie. Nie chciałem cię obrazić tym pocałunkiem; to był błąd... przejaw słabości. Proszę cię, wybacz mi, bo w tej chwili przeraża mnie, że kiedy wyjadę, rozstaniemy się na zawsze, zostawiając kaprysom przeznaczenia to, czy się spotkamy.

Lena patrzyła sztywno na swoje ręce, miętoszyła wilgotną gazę.

– Często zadaję sobie pytanie, co by się wydarzyło, gdyby nie wybuchła wojna; gdyby nie te wszystkie wojny po kolei... W swoim czasie marzyłam, że skończysz studia, a ja wrócę do ciebie. Wzięlibyśmy ślub, założyli rodzinę... To byśmy zrobili. A dziś czuję straszne przygnębienie na samą myśl, jak bardzo byliśmy nieszczęśliwi... Ile razy się widzieliśmy? Ile razy rozmawialiśmy? Ile przeżyć dzieliliśmy? W zasadzie jesteśmy sobie obcy... Nie jestem tą kobietą, w której się zakochałeś, Guillenie... Myśmy się nie rozstali w Lyonie ani w Oviedo, ani nawet w Warszawie. Rozstaliśmy się, gdy byliśmy zaledwie dziećmi, w dniu, w którym wyjechałeś do Francji, żeby nigdy nie wrócić. Wtedy straciliśmy tę naszą wyjątkową więź. Część z tego odżyła teraz, na krótką chwilę, gdy zobaczyłam w twojej pokiereszowanej twarzy dzieciaka, którym byłeś. Ale to tylko moja projekcja. Ty już nie jesteś dzieckiem... Powiem ci, co mnie przeraża: że stracę cię ostatecznie.

Powiedziawszy to, Lena spojrzała na niego. Wyczerpany fizycznie i emocjonalnie, Guillén odchylił obolałą głowę na oparcie kanapy. Wzięła go za rękę.

– Kocham cię, Guillenie – wyznała mu z czułością. – Boże... Jakże ja mam ciebie nie kochać? I pewnie tak już pozostanie na zawsze... Tyle razy za tobą tęskniłam... Ale już dawno zdałam sobie sprawę, że nigdy nie uda nam się być razem... Stałoby się przeciwko sobie, zniszczyłabym to, co mamy.

Guillén czuł, że serce podchodzi mu do gardła. Pociągnął ją lekko ku sobie. Lena wtuliła się w niego i oparła policzek na jego piersi. Usłyszała, jak przełyka ślinę i jak odchrząkuje, żeby jego głos zabrzmiał silnie.

– Ja cię kocham i nie muszę się zastanawiać nad tym wszystkim, Leno... Więc się nie bój. Zawsze będę przy tobie.

Pożegnali się o wschodzie słońca. Jednym pocałunkiem i tysiącem przysiąg.

Lena wyszła na taras. Stała przy barierce i wpatrzyła się w morze skąpane w słońcu. Po chwili usłyszała bose kroki Gini na posadzce. Podeszła do niej i zupełnie bez słowa objęła ją od tyłu. Lena złożyła głowę na jej ramieniu.

– Czy można kochać więcej niż jedną osobę naraz, Gini?

– Z jakichś powodów zmuszają nas, żeby wierzyć, że nie. Ale to kłamstwo. To jest prawdziwy powód naszego cierpienia... moja mała *gazelle* – zawyrokowała, gładząc ją po włosach.

Guillén, kuśtykając, zszedł z plecakiem na ramieniu na rynek zewnętrzny, gdzie przed wschodem słońca zbierali się kupcy. Kręcił się wokół mężczyzn wykrzykujących ceny i nazwy towarów, karawan wielbłądów i osłów z pełnymi jukami. Szukał transportu. Szybko wpadł na chłopca, który w zamian za kilka peset ofiarował mu miejsce na pace starej ciężarówki. Pomiędzy workami ziemniaków i cebuli pojechał na wschód, do Rabatu, gdzie, jak słyszał, była zmobilizowana dywizja Wolnych Francuzów tworzona przez hiszpańskich republikanów. Wojna się nie skończyła i nadszedł czas powrotu do walki.

Maj 1945

8 maja był dniem zwycięstwa w Europie. Niemcy skapitulowały bezwarunkowo. Po niemal sześciu latach wojna się skończyła.

Dzwony wszystkich kościołów były jak szalone, syreny wyciem obwieszczały wiadomość, samoloty latały po niebie, nie budząc grozy. Paryż ubrał się na niebiesko, czerwono i białe, w tysiące flag, które falowały wszędzie dookoła. Światła znowu lśniły. Tłum wyległ na ulice; śpiewano, śmiano się i płakano jednocześnie. Słuchano *Marsylianki* pośród wiewiórek na cześć Francji i muzyki amerykańskiej z wielkich głośników stojących na ciężarówkach z białymi gwiazdami. Wszyscy pokazywali „V” palcami na znak zwycięstwa. Kobiety paradowały po ulicach w swych najlepszych sukienkach, krzyczały i tańczyły.

Lena siedziała w ciszy na ławce ustronnego placu Furstenberg. Z uśmiechem przyglądając się światu jak przez szybę: pokój nie tylko płynął strumieniami radości po ulicach miasta, pokój rozprzestrzenił się powoli jak kropla oliwy po każdym zakamarku jej jestestwa. Guillén w milczeniu wziął ją za rękę i razem wznosili głowy w stronę bezgwiazdowego paryskiego nieba; przyćmiewały je sztuczne ognie. Wiele frontów rozpuszczono tego 8 maja 1945.

Odszukali siebie po niemal roku. I gdy spotkali się na peronie dworca Austerlitz, bez słowa zatopili się w uścisku, w którym zapomnieli o świecie zewnętrznym, o dymiącym pociągu, o okrzykach zwycięstwa, o trójkolorowych flagach, o wystrojonych kobietach i o ziemi pod nogami.

W końcu znowu byli razem, po tak długim czasie, śledzili swoje losy niemal codziennie wysyłanymi listami, otrzymywanymi poniewczasie. Po opuszczeniu Tangeru Guillén wstąpił do 2. Dywizji Pancerniej Wolnych Francuzów, zwanej też Dywizją Leclerca, która ćwiczyła i zaopatrywała się w Rabacie. Wraz z nią trafił

do Wielkiej Brytanii. Podczas lądowania w Normandii w czerwcu 1944 roku wyruszył z portu w Southampton na plażę Utah w składzie III Armii amerykańskiej pod dowództwem generała Pattona. Walczył pod Rennes, Le Mans i Alençon i brał udział w oswoobodzeniu Paryża: jego jednostka, 9. kompania, Dziewiątka, składająca się głównie z hiszpańskich republikanów, jako pierwszy oddział aliancki weszła do stolicy Francji. Nacieszywszy się euforią wolności, ruszyli w stronę Niemiec. Brał udział w kilku bitwach pancernych w Lotaryngii, w ataku na Wogezy i w zajęciu Strasburga. Dalej parli na południe, walcząc w kolejnych miasteczkach z niespodziewanym niemieckim oporem, a także z zimowymi temperaturami, często poniżej minus dwudziestu stopni. Wielu z jego towarzyszy poległo w tamtych dniach i na początku stycznia on sam został ranny w bitwie pod Sélestat, kiedy pocisk moździerza uderzył w jego pozycję i wyrzucił go w powietrze; odłamki poszatkowały mu całe plecy, a uderzenie o ziemię złamało lewą kość udową. Przeszedł przez różne szpitale polowe. Przez kilka tygodni nie mógł pisać do Leny, a kiedy złe wiadomości do niej dotarły, Guillén dochodził już do siebie w szpitalu w Paryżu. „Nie mogę się doczekać, kiedy cię zobaczę”, napisała do niego w ostatnim liście. „Przyjadę o ósmej ekspresem z Hendaye”. Ta zapowiedź była dla niego najlepszym lekarstwem. Szybko dostał przepustkę ze szpitala i poszedł po nią na stację, niemal już całkowicie wyleczony, tylko podpierając się laską.

Lena spędziła ostatnie miesiące wojny na ewakuacji polskich Żydów. Znowu nosiła uniform Czerwonego Krzyża i towarzyszyła wszystkim transportom przez pół Europy. Organizowała ich rozłokowanie w Tangerze, w hotelach i domach tymczasowych. Kierowała ich na drogę ku nowemu życiu po piekle, które przeszli. Ukryła też w Hiszpanii doktor Ratner i resztę polskich naukowców, z dala od radzieckich i amerykańskich sępów. Po powstaniu w Warszawie w lecie 1944 roku Niemcy wzmożli represje wobec ludności: przestali uznawać wizy, listy żelazne, więc trzeba się było uciekać do innych przebiegłych forteli. Operacja ratowania Żydów dobiegła końca. Udało im się wyrwać śmierci ponad siedemset osób. Z gorzkim posmakiem tego, co mogła była zrobić, a czego nie zrobiła, pełna niepokoju o ojca Szymlika, Cassia i wszystkich tych, którzy zostali w Warszawie, schroniła się w Tangerze, gdzie skupiła się na pomaganiu żydowskim uchodźcom i pracy w hiszpańskim szpitalu. Może to wtedy znowu zakochała się w Jaimem, może znacznie wcześniej, a wtedy tylko przyznała sobie prawo do tej miłości. Od dawna przestała poszukiwać daty, motywu i usprawiedliwienia dla swoich uczuć, były na to zbyt skomplikowane. Dawno temu odrzuciła zmagania moralne, przynajmniej tej moralności, która niewiele miała wspólnego z ludzką naturą czy choćby z dobrocią.

Dlatego nie zastanawiała się nad tym, gdy wyruszyła w podróż, żeby spotkać się z Guillenem: była zakochana w Jaimem, ale nigdy nie przestała kochać

Guillena. Kochać go na swój sposób, jak wtedy, gdy byli dziećmi, które liczyły chmury na niebie.

– O czym myślisz?

Lena spojrzała na niego; w jego twarzy było widać upływ lat, wojnę, cierpienie, a jednak zobaczyła też coś, co jej przypomniało młodego pasterza.

– O tobie. Zastanawiałam się, jak się czujesz.

Guillén ścisnął jej rękę i znowu spoglądając w wielokolorowe niebo, wyszeptał:

– Dzisiaj skończyło się wiele wojen... Nie wszystkie wygrałem, ale... znowu będziemy razem, i to jest ważne. Tak... Czuję się dobrze, Leno. Czuję się dobrze...

CZEŚĆ TRZECIA

* * *

Kwiecień 1950

Guillena ciągle zadziwiał zwykły fakt, że może się cieszyć spacerem po ulicy; bez oglądania się za siebie, bez ukrywania twarzy, bez przybierania ponurej miny. Choć mieszkał w Paryżu od dawna, wciąż na nowo odkrywał jego zaułki niczym dziecko, z radością kogoś, komu życie dało drugą szansę, jak gdyby był wybrańcem pośród wielu, którzy polegli u jego boku. Czasem nie potrafił nie zadawać sobie pytania: Dlaczego ja? I to pytanie wywoływało w nim niepokój.

Nie był to łatwy proces. Wejście w codzienną rutynę po niemal dziesięciu latach walki, dziesięciu latach przerwane go życia, nie było sprawą prostą. Przywykł do życia w ukryciu, do walki i intryg, więc jak tu nagle przyjąć ośmiogodzinną pracę, dni podporządkowane zegarom, wolne weekendy? Może byłoby łatwiej, gdyby miał dom, do którego mógłby wracać, rodzinę, przyjaciół; ale on to wszystko utracił. „Przecież masz rodzinę – powiedziała mu Lena. – Masz mnie i resztę rodzeństwa. Zawsze możesz wrócić do Hiszpanii. Wszystko się zmieniło i możesz tam zacząć życie na nowo. Ja ci pomogę. Jeśli tego chcesz”.

Wrócić do Hiszpanii... Jak mógłby żyć w kraju, który reprezentował dokładnie to, przeciwko czemu walczył przez ostatnie dziesięć lat? Oznaczałoby to wyrzucenie w diabły całego wysiłku, całego oporu, wszystkich ran i cierpienia, i wszystkiego, co przez tę walkę stracił. Oznaczałoby odrzucenie własnej tożsamości, byłoby początkiem autodestrukcji. Kochał Lenę aż do granic rozsądku, jak nigdy nie kochał ani nigdy nie pokocha nikogo. Ale wiedział, że nie będzie w stanie jej kochać, jeśli odrzuci siebie samego. Czuł się zamknięty w okrutnym paradoksie: jeśli wróci z nią do Hiszpanii, utraci ją. Lena zrozumiała tę prawdę znacznie wcześniej niż on; dlatego nigdy nie nalegała.

Poza tym wydarzenia szybko same zaczęły się rozwijać, plotąc nitki dywanu, po którym był zmuszony kroczyć.

Armand zmarł 6 sierpnia 1945 roku w Estoril na zapalenie płuc. Tego samego dnia, kiedy Amerykanie zrzucili pierwszą bombę atomową na Hiroszimę. W końcu udało im się to. Obrazy zniszczenia nie tylko ścisnęły duszę Guillena, ale także wzbudziły w nim uczucie wściekłości i niemocy. On o tym wiedział... On wiedział, że to się może wydarzyć... Może był w stanie temu zapobiec... A jednak doktor Ratner, która teraz mieszkała w Ameryce Południowej, z dala od wszelkich intryg, oraz reszta Żydów, co do których Lena i on umówili się, że nie oddadzą ich w ręce ani Rosjan, ani Niemców, ani Amerykanów, okazali się jedynie wymienialnym elementem w tej skomplikowanej układance. Prawdopodobnie przydaliby się Rosjanom, których Amerykanie wyprzedzili. Nie był w stanie stwierdzić tego z całą pewnością, ale przecucie w tej sprawie przynosiło mu ulgę: nie wszystkie jego wysiłki poszły na marne. W głębi ducha nie mógł jednak nie

przyznać, że była to kolejna przegrana bitwa podczas tej jego wojny.

Po śmierci syna hrabina w końcu wróciła do Lyonu. Postarzała, zmęczona, wypalona i niemal niewidoma, była zaledwie cieniem tej niezłomnej kobiety, którą pożegnał na lotnisku Franczal. Odnosił wrażenie, że staruszka chciała umrzeć we własnym domu. I Guillén postanowił zostać u jej boku, bo chociaż dalej nazywał ją madame, uważał hrabinę za swoją drugą matkę. Ponieważ życie znów dawało mu szansę, nie popełni już tego błędu i będzie obecny przy jej śmierci.

Był to okres, który całkowicie poświęcił właśnie jej: spacerował z nią po parku Tête d'Or w słoneczne dni, czytał jej głośno ulubione książki w deszczowe dni, słuchał opowieści o dalekiej przeszłości, którą pamiętała bardzo wyraźnie, snuł własne historie... Po prostu patrzył, jak ona gaśnie. Aż któregoś listopadowego poranka nie obudziła się.

Louise i Delphine, które nigdy nie uwierzyły, że zbliża się fatalny koniec, przeleciały przez Atlantyk, by zdążyć akurat na sam pogrzeb.

W pokojach wciąż jeszcze unosił się zapach perfum madame.

– Chcesz znowu uruchomić fabrykę? – zaproponowała Louise, ciągle na kacu po pogrzebie.

Zaraz po zakończeniu wojny rząd francuski oddał im resztki fabryk samolotów i wodnopłatowców, które oparły się niemieckiemu rabunkowi. Od tamtego czasu były zamknięte i nie działały. Hrabina nie miała siły, żeby się nimi zająć, on też nie.

Guillén nie musiał się zastanawiać nad odpowiedzią. Rozważał ją już od dłuższego czasu. Martwił się tylko, jak to przyjmą siostry. Rozparł się w fotelu i przyjął papierosa, którego zaproponowała mu Louise.

– Nie – odparł bez owijania w bawełnę, zapalając go. – Nie chcę poświęcać życia czemuś, czego nie będę miał komu zostawić.

Louise powoli wypuściła dym, uśmiechając się.

– Czy planujesz zostać mnichem?

Guillén przyjrzał się jej uważnie. Ciągle była atrakcyjna, dojrzałość czyniła ją interesującą, chociaż jej wygląd był bardziej męski niż kiedykolwiek wcześniej. Delphine zdradziła mu, że siostra od kilku lat żyje z kobietą, aktorką z Hollywood; najwyraźniej się ustatkowała.

– Nie o to chodzi.

– Mały Guillén zawsze taki enigmatyczny. Czarownica, która namalowała ci te dziwne oczy, dodała też do zaklęcia tajemnice druidów... W takim razie co zamierzasz począć ze swoim życiem?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. – Westchnął, wypuszczając dym przez nos.

– No cóż, masz szczęście, że możesz spróbować, pomylić się i znowu spróbować, ile razy będziesz chciał. Tak naprawdę możesz robić, co ci się podoba. To dobra strona bycia bogatym. – Louise miała na myśli szczodry spadek po

hrabinie, z którego jemu należała się czwarta część. – Nie chcesz pojechać z nami do Stanów? To doskonałe miejsce dla milionerów.

Kilka dni później Guillén pożegnał siostry przy pasie startowym PANAM-u na lotnisku Bron. Obie powierzyły mu zadanie zlikwidowania majątku rodzinnego, a pośród wielu dóbr również fabryk, które postanowili sprzedać pewnemu konsorcjum lotniczemu.

To w tamtych miesiącach notariuszy, biegłych i adwokatów, na chwilę przed zamknięciem granicy z Hiszpanią, odwiedziła go Lena. Pisywali do siebie regularnie, przynajmniej raz w tygodniu; ale przy tej okazji zadzwoniła do niego, żeby zapowiedzieć podróż do Francji. Postanowili, że się spotkają na Lazurowym Wybrzeżu, w średniowiecznym miasteczku Saint-Paul-de-Vence. Jeden z przyjaciół artystów Delphine opowiedział Guillenowi o tamtejszym przyjemnym hoteliku Colombe d'Or. Spróbowali nadrobić choć odrobinę tego, co zabrała im wojna: kieliszek czerwonego wina na słonecznym tarasie; spacery pośród pól lawendy nad brzegiem morza; rozmowy do rana przy kominku.

– Wyjdę za Jaimego – powiedziała w końcu Lena, patrząc mu w oczy.

Guillén wytrzymał jej spojrzenie przez kilka sekund, dochodząc do siebie. W zasadzie jednak nie mógł się spodziewać niczego innego; i niczego nie mógł jej zabronić.

– Wyjdź za mnie – rzucił mimo wszystko.

Spuściła wzrok.

– Guillén... Ja...

Zrobiło mu się żal Leny, więc postanowił jej to ułatwić.

– Wiem... Powinienem był to zrobić wiele lat temu...

Ona pokręciła głową.

– Wiesz, że nic by z tego nie wyszło... Jak długo zrzucaliśmy sobie problemy na głowę?

Na chwilę Guillenowi pokazał się duch ojca, duch, który tak naprawdę nigdy nie przestał krążyć wokół niego, który pewnie szeptał mu do ucha znacznie częściej, niż mu się wydawało. Popęłił ten sam błąd co Melchor Pardo: przedłożył swoje ideały nad wszystko inne, tyle że poniesiony raczej okolicznościami niż własnymi przekonaniem. Teraz było już za późno, żeby to naprawić. Lena była bitwą, którą przegrał, musiał to przyznać. Chociaż sama ta myśl skręcała mu żołądek.

– A jeśli nigdy więcej do mnie nie przyjedziesz? A jeśli nigdy nie będę cię miał, tak jak teraz, tylko dla siebie?

Pozwolił jej odejść, chociaż nie rozwiała jego wątpliwości. Co innego mógł zrobić, skoro nie było wyboru? „Wróć”, powiedziała po prostu przy pożegnaniu. I on jej uwierzył, po to by móc dalej żyć.

Po załatwieniu wszystkich swoich spraw w Lyonie Guillén ostatecznie osiedlił się w Paryżu. Kupił mieszkanie na rue Marinoni z widokiem na wieżę Eiffla i zapisał się do paryskiego Instytutu Nauk Politycznych. Przeplatał studia różnymi kobietami, wieczami i wykładami, spotkaniami studenckimi i zebraniami związków zawodowych oraz drobnymi pracami tłumaczeniowymi, które służyły mu za rozrywkę. Uzyskał dyplom w 1949 roku i przygotował się do konkursu na stanowisko profesora polityki europejskiej.

Zobaczył Lenę jeszcze raz. W Paryżu, dokąd przyjechała w towarzystwie męża, który był członkiem delegacji podpisującej historyczne porozumienie handlowe pomiędzy Francją i Hiszpanią. Kilka lat wcześniej urodziła dziecko i Guillenowi wydała się piękniejsza niż kiedykolwiek. Przeklął swój los i pragnienie, które znowu musiał ugasić kawą krótkiego spotkania.

Bardzo za nią tęsknił. W jakiś sposób nauczył się z tym żyć, niczym z przewlekłą chorobą. A jednak, chociaż udało mu się ułożyć sobie życie, czasem marzył, żeby do niej wrócić. Może to przyspieszyło jego decyzję, że wszech miar irracjonalną.

Po latach spotkał się z Sabinem Merą przypadkiem, na wiecu Komunistycznej Partii Hiszpanii w Tuluzie, na który udał się bez większego przekonania, chciał tylko zobaczyć, co się dzieje. Po niedawno zakończonej wojnie i rozbiciu faszystów wielu demokratów myślało, że zwycięskie potęgi w końcu zadziałają przeciwko frankistowskiemu reżimowi. Czas pokazał, że byli w błędzie...

Przy tej okazji starzy towarzysze ledwie opowiedzieli sobie, jak wygląda sytuacja, umówili się na następne spotkania, które nigdy nie doszły do skutku. Guillén dowiedział się, że Sabino działał aktywnie, promując ideały komunistyczne poprzez liczne tajne gazetki, że walczył w ruchu oporu jako członek partyzanckiego zgrupowania i skończył w obozie koncentracyjnym w Mauthausen. Myślał, że ostatecznie został bohaterem.

W sumie nie wiedział wiele więcej, bo jedyny kontakt, jaki ze sobą mieli po spotkaniu w Tuluzie, ograniczył się do kartki pocztowej z noworocznymi życzeniami. Dlatego zdziwił się, kiedy odebrał od niego telefon: „Towarzyszu, jestem w Paryżu i bardzo chcę cię zobaczyć, może pójdziemy na piwo?”. Umówili się w jakiejś *brasserie* na Montmartrze. Wtedy to Sabino, zanim jeszcze dopili pierwsze piwo, zaczął szydzić z bohaterstwa. Partia nie chce bohaterów, zapewnił go. Wszyscy ci, którzy chełpili się stanowiskami dowódczymi, wrócili z bezpiecznych kryjówek na wygnaniu, co ludzi kłuło w oczy – wielu z nich ryzykowało przecież życie na polu bitwy, więc bohaterowie byli im bardzo nie na rękę. Dlatego postanowili wysłać ich na praktycznie samobójcze misje na tamtą stronę: sabotaże, rabunki, porwania i drobne akcje bardziej efekciarskie niż skuteczne, które przeprowadzano głównie na wsiach na uboczu, gdzie

w mniejszym lub większym stopniu można było liczyć na przychylność ludności.

Sabino właśnie wrócił z Hiszpanii, gdzie był w podziemiu i spędził ostatnie dwa lata w górach z grupą partyzantów należąca do większej siatki, nieustannie dziesiątkowanej przez Guardia Civil. Wielu towarzyszy zginęło w walce albo zostało zatrzymanych, torturowanych, osadzonych w trybie doraźnym i straconych, co w zasadzie na jedno wychodziło, chociaż może było jeszcze gorsze niż śmierć od strzału w górach.

– Ale byłem w górach, Guillén. W naszych górach i w naszej wiosce. I widziałem dom moich rodziców i łąki, gdzie biegaliśmy jako dzieci. I kościół, i rzymski most nad rzeką z pstrągami. I Szczyt Szaleńca, gdzie rozbił się francuski samolot – wyliczał mu z zaraźliwym entuzjazmem i szklanymi oczami po czwartym piwie. – Myślałem, że nie wrócę... – zakończył, starając się ukryć, że mu się odbija, i wytarł dłonią pianę z wąsów.

Guillén nie odrywał spojrzenia od obrusu, ponadpalanego papierosami; bawił się wypaloną dziurą.

– Nie chciałbyś też wrócić?

W końcu uniósł wzrok.

– Wrócić? – powtórzył nieco rozkojarzony.

– Słuchaj, partia chce zmienić strategię. Zaczynają sobie zdawać sprawę z tego, że ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone nie kopną Franco w dupę. A co gorsza, Rosja też nie. Podobno sam Stalin nakazał Carrillovi i Pasionarii skończyć z partyzantką. Uważają, że lepiej wykorzystywać dziury, które zostawia prawo, i infiltrować adeptów Wertykalnego Syndykatu i innych związków robotniczych; przejść od walki zbrojnej i podziemnej do walki związkowej. Tyle że ludzie nie są na to przygotowani ani nie są wykształceni w tym kierunku. Partyzant zna tylko życie partyzanta. Wielu z nich nie ma nawet szkoły podstawowej, zawodowej; od lat żyją w podziemiu, praktycznie od początku wojny, i teraz z dnia na dzień nie możemy ich nakłaniać, żeby wrócili do społeczeństwa, nie udzielając im żadnego wsparcia na wszystkich poziomach, od finansowego do doktrynalnego.

Guillén zaczynał się niecierpliwie tym przydługim przemówieniem.

– A co ja mam z tym wszystkim wspólnego?

– Ty masz gadane, towarzyszu. I znasz doktrynę. Będzie ci łatwo wejść na nową drogę i dać im wiedzę, której oni potrzebują. Zacząłbyś w okolicy naszej wioski, tam wielu ludzi cię zna i szanuje jako człowieka, który osiągnął sukces z niczego i przy tym nie zapomniał o swoich korzeniach. Walczyłeś razem z nimi. Ciebie posłuchają.

Sabino miał zamiar go zaczarować jak zaklinacz węży, ale Guillén w przebłysku świadomości poczuł niepokojący ból wszystkich swoich blizn, nie tylko tych widocznych.

– Sabino... Ja... Walczyłem przez prawie dziesięć lat, wiele wycierpiałem,

wystawiłem umysł i ciało na granice wytrzymałości... Jestem zmęczony, bardzo zmęczony. Zostały mi tylko moje przekonania, pryncypia, które poprowadzą mnie jako mój największy skarb do dnia śmierci. Ale nie mam już zamiaru ryzykować za nie życia, moja bitwa została wygrana. Nie znajduję już w sobie najmniejszej iskry, która rozpalilaby płomień walki. Uwierz mi.

Towarzysz podparł się na stole, żeby przeprowadzić kontratak z większym zacięciem.

– Ale ja nie mówię do ciebie o walce zbrojnej! Przeciwnie, chodzi o odwrócenie tortilli, o osiągnięcie naszych celów drogami pokojowymi. Nie będzie to prosta droga, nie przeczę. Droga do wolności nigdy nie jest prosta, ale to jedyna droga. I te pryncypia, które są twoim skarbem, przestaną być warte złamanego grosza, jeśli odsuniesz je na bok. Poza tym powiedz mi: naprawdę nie chcesz wrócić do domu?

Guillén milczał. Jego umysł zatrzymał się na ostatnich słowach: wrócić do domu. Do domu, do gór, do łąk, do rzymskiego mostu nad rzeką z pstrągami, do Szczytu Szaleńca, gdzie nie tylko rozbił się francuski samolot... Do Leny.

Czerwiec 1950

Lena przesunęła koniuszkami palców po medalu. Poczowała pod opuszkami znajomy kształt wieńca laurowego, dwóch skrzyżowanych mieczów i hełmu nad nimi. Potrafiła rozpoznać odznakę rannego w boju z zamkniętymi oczami, jakby czytała pismo Braille'a. Tyle razy jej dotykała i czciła ją jak relikwię... Sama w sobie nie miała wielkiej wartości, była to po prostu zwykła stalowa blaszka pomalowana na czarno; ale tylko to odznaczenie Kurta przechowywała. Wszystkie pozostałe, między innymi Krzyż Żelazny i odznakę rannego, ale w złocie, wręczone po śmierci, zostawiła jego rodzicom. Zarówno oni, jak i przyszłe pokolenia Ardsteinów-Daszkówów będą potrafiły docenić ich prawdziwą wartość: dowód honoru i odwagi człowieka, który oddał życie za ojczyznę.

Lena pragnęła zachować jedynie ten skromny medal. Wręczono mu go po Krasnym Borze za ranę w brzuch, która niemal kosztowała go życie. Kurt zawsze mówił, że dzięki tej ranie się poznali. „Inni mówili o naszej piosence, naszym drzewie, naszej restauracji... My mówiliśmy o naszej ranie; jak to na wojnie”, żartowała.

Od jego śmierci upłynęło siedem lat. Myślała o nim i tęskniła za nim każdego dnia. Ale przynajmniej jego wspomnienie nie było już bolesne, czas okazał się balsamem i Lena mogła rozpocząć nową podróż, oddając kolejne trzymające ją w porcie cumy: Niemcy, Warszawa, wojna, Canaris...

Nie miała wiadomości od admirała od ich spotkania w Tangerze. Doszły ją plotki, że został zdymisjonowany jako szef Abwehry w lutym 1944 roku, ale straciła go z oczu. Po wojnie próbowała go zlokalizować, jego albo kogoś z jego rodziny, ale w tamtym czasie panował chaos i kompletna dezinformacja; natrafienie na kogokolwiek było bardzo trudne. Jaime ze swojego stanowiska w Ministerstwie Spraw Zagranicznych zrobił wszystko, żeby zdobyć wiadomości o nim. W końcu mu się to udało, zaledwie w kilka miesięcy po kapitulacji Niemiec. „Nie żyje – poinformował ją poważnym głosem. – Oskarżyli go o spiskowanie przeciwko Hitlerowi i Rzeszy. Przez kilka miesięcy był w obozie koncentracyjnym w Bawarii i na początku kwietnia, na kilka dni przed wyzwoleniem obozu przez Amerykanów, stracili go wraz z innymi spiskowcami”.

Te szczegóły sprawiły, że wiadomość była jeszcze straszniejsza. Wyobrażenie sobie takiego końca człowieka, który traktował ją z czułością i był po prostu dobry, nappełniło ją gniewem i smutkiem. Na ramieniu Jaimego zdusiła wściekły płacz.

Postanowiła wtedy odszukać Erikę, żonę Canarisa, i jego córki i pomóc im we wszystkim, co się tylko da. W tym także pomógł jej Jaime i bezpośrednia interwencja generała Franco, który uważał Canarisa za osobistego przyjaciela i czuł

wobec niego wdzięczność za pomoc okazaną Hiszpanii. Działania były bardzo długie, aż w końcu w 1946 roku pojechała wraz z Jaimem i innymi dyplomatami do wioski w szwajcarskich Alpach, dokąd w tajemnicy przewieziono kobiety z Monachium. Tam doszło do jej emocjonalnego spotkania z Eriką, podczas którego dzieliły się kolacją i długą rozmową pełną wspomnień i nostalgii, i wszystkich szczegółów na temat smutnych ostatnich miesięcy życia Wilhelma Canarisa. Potem zaproponowali wdowie przeniesienie się wraz z córkami do Hiszpanii na zaproszenie generała Franco, gdzie czekała na nie rezydencja w Barcelonie i renta od hiszpańskiego rządu.

Po wypełnieniu tej ostatniej osobistej misji, gdy zerwała ostatecznie więzy ze swoim poprzednim życiem, Lena i Jaime wzięli się za ręce i poszli do wiejskiego kościółka, gdzie proboszcz udzielił im ślubu podczas mszy po francusku, bez wiązanki kwiatów, bez welonu, bez żadnych gości, poza kilkoma lokalnymi dewotkami i dyplomatami w charakterze świadków. Tylko ich dwoje, patrzących sobie w oczy, jednocześnie przysięgających sobie wieczną miłość.

– Mamusiu, to medal tatusia?

Lena spojrzała rozkojarzona na syna. Nie słyszała, jak wchodził. Przez chwilę skupiła się na tych oczach wyglądających spod grzywki, wielkich i zielonych jak oczy jego ojca, i na uśmiech, który rozjaśniał zaróżowione policzki chłopca; stopniowo wracała do rzeczywistości. Pocałowała go.

– Nie, kochanie – odpowiedziała, jednocześnie przyczepiając odznakę do poduszeczki z niebieskiego aksamitu i zostawiając ją na rogu toaletki. – Tatuś ma inne medale, już je widziałeś.

– Chcę jeszcze.

– Dobrze, jak wróci, poprosimy go, żeby nam pokazał jeszcze raz.

Dokładnie w tej chwili usłyszała, że zamykają się drzwi wejściowe.

– Zobacz, co za zbieg okoliczności! Akurat wrócił tatuś. Biegnij go przywitać.

– Tatuś!

Pablo wyskoczył z pokoju jak wiatr. Tupanie jego nówek zgubiło się na korytarzu. Lena wyszła za nim.

To była jej ulubiona chwila dnia. Ta i moment, kiedy budziła Pabla z rana i przytulała jego ciepłutkie ciało, pachnące snem i kaszką.

Lubiła też te chwile spokoju po kolacji, kiedy dom pogrążał się w ciszy i słychać było tylko muzykę klasyczną z radia po wiadomościach o dziesiątej. Siadała na kanapie z Jaimem i z książką w ręku. On także czytał, popijając odrobinę whisky, której Lena czasami też próbowała, i od czasu do czasu masował jej stopy albo gładził rękę, albo bawił się jej włosami...

A jednak tamtej nocy Lena nie miała ochoty na lekturę; zostawiła otwartą

książkę na kolanach.

– Mam już bilety na pociąg na przyszłą środę. Może też byś pojechał?

– Nie wiem... Chciałbym być z wami przynajmniej przez jeden tydzień sierpnia. Ale chwilowo sprawy się komplikują. Może być tak, że ONZ zniesie przed końcem roku rezolucję zmuszającą swoich członków do wycofania ambasadorów z Hiszpanii. Nie możemy zaniedbać naszych działań. To będą bardzo aktywne miesiące.

Od zakończenia wojny Jaime był wicedyrektorem Biura Informacji Dyplomatycznej należącego do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Chociaż często podróżował po świecie, jego miejscem zamieszkania był Madryt i rodzina nie musiała mieszkać za granicą. Zwykle co lato, w sierpniu, przeprowadzali się do domku, który kupili na obrzeżach wioski Leny, i spędzali wakacje, łowiąc ryby w rzece, zażywając górskiego powietrza i robiąc wycieczki w góry. A jednak tego roku Lena postanowiła pojechać tam z synem na całe lato. Chociaż nie uśmiechało jej się spędzenie kilku miesięcy bez Jaimego, wystarczającą rekompensatą było patrzeć, jak Pablowi podoba się każdy dzień na wsi: biegał po łąkach jak ona, kiedy była dzieckiem; bawił się z psem, którego nazwali Nieve, i z kurami, i z królikami, które hodowali na tyłach domu; pomagał wujkowi Leocadiowi w ogrodzie, jeździł na osłe wujka Fernanda i chodził za rękę z kobietami z wioski, które zajmowały się nim i rozpieszczały go, jak lata wcześniej robiły z Leną i jej rodzeństwem, i do wszystkich mówił wujku albo ciociu, jakby miał ich cały batalion. Czasem Matías, jedyny prawdziwy wujek w tej historii, przyjeżdżał z wizytą na kilka dni i wtedy szli w góry zbierać jagody, polowali na żaby i jeździli na rowerze przy rzece.

Ponieważ spodziewała się takiej odpowiedzi męża, Lena dalej postępowała zgodnie z planem: spuściła oczy i westchnęła znacząco.

– W takim razie... będę musiała ci powiedzieć wcześniej...

Jaime uniósł brwi i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Wcześniej... bo następnym razem, jak się zobaczymy, będę miała wielki brzuch i będziesz miał mi za złe, że ci nie powiedziałam.

Z przyjemnością patrzyła, jak zmienia mu się twarz, pokrywając się wielkim uśmiechem od ucha do ucha, i jak jego spojrzenie napełnia się czułością i przejęciem, by spowić ją całą i ogrzać niczym koc w zimowy wieczór.

– To znaczy, że...? – wybąkał.

Lena podparła się, żeby pocałować go w policzek.

– Właśnie tak, znowu zostaniesz ojcem... – wyszeptala mu na ucho.

– W lutym, jeśli Bóg pozwoli.

Jaime przytulił ją, pogładził od włosów aż po brzuch i tam zostawił swoją otwartą dłoń. I pocałował ją z oddaniem, które rozpuściłoby lodowiec.

– Nie wiesz... Nie wiesz, jak bardzo cię Kocham – powiedział, nawet nie

przerywając pocałunku.

Lipiec 1950

Guillén od kilku dni kręcił się koło domu, nie mogąc się zdecydować. Był to bardzo ładny dom. Typowa willa z kamienia z herbem nad wejściem, drewnianymi okiennicami i dachówką. Otaczały go zielone łąki i wielkie drzewa: sosny, buki, dęby i bujny ostrokrzew stojący przy bramie wjazdowej. Naprzeciw głównego wejścia było rondo z krzyżem pokrytym porostami. Przy bocznym wejściu płynęła rzeka; w głębi był sad i tuż obok kurnik. Bez chwili wahania zamieniłby swoje luksusowe mieszkanie z widokiem na wieżę Eiffla na ten dom.

Był zamieszkanym, bo co rano ktoś otwierał okno i co noc światło rozjaśniało pokoje. A jednak nie udało mu się zobaczyć Leny.

Tamtego dnia zszedł z gór o zmierzchu i dotarł do doliny już w szarym świetle zachodu słońca. Wiatr był chłodny i wilgotny, przepelniony zapachami, które upał wypreparował za dnia, słychać było kukułkę i słowika, i spokojne pluskanie rzeczki, nad której powierzchnią latały ważki.

Guillén minął półotwartą bramę i przeszedł po wysypanej żwirem ścieżce do drzwi. Zastukał kołatką i poczekał. Po chwili pojawiła się służąca, jakby przeniesiona do scenerii, która do niej nie należała, w szarym uniformie i z białym fartuszkim, sztywnym i nieskalanym. Spojrzał na nią nieufnie. Była bardzo młoda, jeszcze dziecko.

Z silnym południowym akcentem, też obcym w tej scenerii, powiedziała, że pani nie ma, że pojechała do miasta z wizytą, ale niedługo wróci. Zaproponowała mu, by poczekał w domu, i zaprowadziła go do salonu. Czy ma ochotę coś wypić? Kawa, woda...? Guillén nic nie chciał, skręcał mu się żołądek. Dziewczyna wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

Nie będąc w stanie wytrzymać na siedząco, zaczął chodzić po pokoju. Zgaszony kominek, książki na półkach, bukiet hortensji na stoliku, niedokończona robótka na fotelu i stare lustro, które odbijało jego własny obraz, także nie na miejscu w tej scenerii. Przeczesał ręką włosy i opadł na krzesło z wyprostowanymi plecami i rękami splecionymi na kolanach.

Z kuchni dobiegało stukanie garnków i zapach obiadu, może tortilli. Schylił się, żeby podnieść zabawkę leżącą u jego stóp; blaszany samolot, jednosilnikowy typu myśliwiec z czerwonymi burtami. Kręcił nim w dłoniach, patrząc na niego niewidzącymi oczami.

Od tak dawna nie był w niczyim domu... Naszło go dziwne uczucie, słodko-cierpkie, które mogłoby się przerodzić w płacz, ale nagle usłyszał jej głos – wesoły, zmieszany z głosem dziecka. Skierował się do drzwi.

Lena zawołała jego imię i podbiegła, żeby go przytulić. Powiedziała wiele rzeczy, które on ledwie słyszał, skupiony na wrazeniu, że ma ją w ramionach, że

czuje jej zapach i ciepło skóry. Guillén zamknął oczy: tak, wrócił do domu.

Został na kolacji. Proste jedzenie na zastawie z białej porcelany, podane na stole z bawełnianym obrusem. Ponieważ Pablo nie był w stanie skończyć zupy, matka pomogła mu przy ostatnich łyżkach, a Guillén pokroił mu brzoskwinie. Tylko on wypił kawę, gdy już siedzieli w fotelach, i zapalił papierosa. Lena znowu zganiała go za to, że pali; zawsze to robiła, zawsze martwił ją ten kaszel, który nigdy mu nie przechodził. Tylko Lena się martwiła, nikt inny.

W końcu mały Pablo zasnął z głową na kolanach Guillena i z samolotem w rękach.

– Masz rękę do dzieci.

On wzruszył ramionami.

– Nigdy wcześniej nie miałem z żadnym do czynienia. Ale podoba mi się twój syn – zapewnił, gładząc dziecko po głowie.

Bawili się razem kolekcją samolotów Pabla. Ustawili je na podłodze i stoczyli bitwę. Dzieciak był zachwycony tym nieznanym człowiekiem, który znał wszystkie modele i mówił, że potrafi budować samoloty i latać nimi. Przez cały wieczór nie chciał odstępować Guillena i słuchał go z otwartymi ustami.

Lena wstała.

– Zaniosę go do łóżka.

– Nie przeszkadza mi.

– Tak, tylko że już czas na niego.

– Ja go zaniosę.

Zostawili go przykrytego aż po uszy, z pluszowym misiem u boku. Lena zmówiła pacierz zamiast syna, trzymając małe dłonie w swoich, a gdy skończyła, palcem zrobiła znak krzyża na jego czole.

Cicho zeszli po schodach. Gdy znaleźli się sami, Lena uznała, że dłużej nie da się ignorować rzeczywistości.

– Co ty tu robisz? – zapytała cierpko.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym czułości.

– Tęskniłem za tobą.

– Ach, Guillén... Powiedz, że w nic się nie wplątałeś.

Ukrył poczucie winy za uśmiechem. Nie musiał wypowiadać nawet słowa, żeby Lena zrozumiała.

– Boże drogi...

Przekroczył granicę w Hendaye, w wagonie pierwszej klasy, ubrany w swój najlepszy garnitur i w najdroższym kapeluszu. Z fałszywym paszportem francuskiego przedsiębiorcy i z pistoletem pośród koszul w bagażu. Mieszkał w luksusowych hotelach i zawsze czytywał reżimową prasę: „ABC” albo „Arriba”. Sabino powiedział mu, że jest szczęściarzem. Kilka lat wcześniej, kiedy granica

była zamknięta, partyzanci przekraczali ją pieszo, w Pirenejach, niebezpiecznymi górskimi ścieżkami, zwykle nocą, bo tak było bezpieczniej, w śnieżnych burzach i obciążeni plecakami, w których przenosili cały materiał. Ryzykowali życie od chwili wyruszenia. „Jasne, jestem szczęściarzem, będę ryzykował życie dopiero na miejscu”, odpowiedział sarkastycznie.

Sabino przedostał się przez Perpignan z pieniędzmi dla partyzantów. Spotkali się w Madrycie i stamtąd udali się do wioski. Ich łącznikiem był leśniczy, mieszkający z rodziną na drodze prowadzącej w góry. Sabino i Guillén również zamieszkali w tym ustronnym miejscu, gdzie pod stajnią znajdowała się skrytka z bronią i zaopatrzeniem. Żona leśniczego dobrze ich karmiła i prała im ubrania, a Antón, najstarszy syn, służył za przewodnika i wiódł ich tam, gdzie byli partyzanci, ostatni odcinek zawsze z zawiązanymi oczami.

Grupa Prudencia Plamy – pseudonim wiązał się z fioletową plamą, która zakrywała mu połowę twarzy – stacjonowała na północnym stoku, dokładnie po drugiej stronie wioski, w trudno dostępnych jaskiniach, gdzie mógł dotrzeć tylko chudy osioł, ryzykując, że spadnie w przepaść. Było to miejsce dzikie, niemal pozbawione roślinności, bo z powodu silnego wiatru chłoszczącego szczyt i tworzącego przeciągi w szparach skał panowało tam przejmujące zimno; nawet kozice je omijały. Oddział Plamy składał się z siedmiu partyzantów i z jednej kobiety, Teresity, która ogrzewała siennik dowódcy i była niewolnicą reszty, chociaż cechowała się również znakomitą celnością, gdy strzelała z karabinu. Był to dość aktywny oddział, działający nie tylko w okolicy, ale także w przyległych prowincjach. A jednak podczas ostatniego ataku, kiedy próbowali wysadzić w powietrze transformator wysokiego napięcia, starli się z Guardia Civil i dostali solidny odpór: dwóch partyzantów zginęło od kul i trzech zostało zatrzymanych. Poza tym za głowę Plamy wyznaczono nagrodę: tysiąc peset, prawdziwą fortunę. Od tego czasu ukrywał się i nie wyściubił nosa z kryjówki nawet za potrzebą.

Wizyta Guillena została przyjęta z nieufnością. Kilku partyzantów było z jego wioski, niektórzy nawet chodzili z nim do szkoły, ale żaden go nie rozpoznał. Ta maska czasu mogła działać na jego korzyść: niebezpieczeństwo, że go zadenuncjują, było mniejsze, bo po tylu latach mało kto by go rozpoznał; po małym pasterzu kóz nie zostało ani śladu. Guillén nie był już twarzą, tylko imieniem powiązaniem z historią, którą opowiadano sobie w tych stronach, historią o francuskich lotnikach. Ale działało to także na jego niekorzyść: będzie się musiał namęczyć, żeby zdobyć ich zaufanie, zaufanie ludzi przywykłych do zdrady.

Z Sabinem mieli już wcześniej do czynienia, poza tym przywoził z Francji pieniądze, których tak bardzo potrzebowali. Temu ważniakowi jednak, lepiej mówiącemu po francusku niż po hiszpańsku i twierdzącemu, że jest synem Ramona, tym, którego zabrali z wioski, żeby go posłać do szkół, wcale nie ufali. „Słuchaj, Sabino, ostatnia katastrofa wynikła przez tego skurwiela, który mówił, że

przysła go Carrillo, a okazał się szpiclem. Wyglądał tak samo idiotycznie jak ten tu kolega”, powiedział Plama.

Przez pierwsze dni nie pozwalali mu wejść do obozu. Aż w końcu Sabino zapanował nad sytuacją i w jakiś sposób przekonał ich, że Guillén szpiclem nie jest. Potem pojawił się następny problem: kiedy wyjaśnili im, że nowe rozkazy nakazują zakończenie walki zbrojnej i rozpoczęcie walki politycznej. „Kurwa jego mać! Od lat napierdalałam jak wariat i żyję jak szczur. Moja jebana mordą jest wszędzie: jest warta tysiąc pierdolonych peset! Tyle nie widziałem w całym swoim kurewskim życiu! A teraz mi mówią, że mam zakładać kombinezon i bawić się w związki zawodowe? Gdzie mnie zatrudnią, albo któregoś z tych biedaków, którzy tu są ze mną? Przysięgam na życie mojej matki, że raczej palnę sobie w łeb!” – wykrzyczał Plama. Sabinowi nie pozostało nic innego, jak zagrozić, że zaraz wróci do Francji z pieniędzmi. Wytyczne partii były jasne. Dowódca jeszcze marudził, bardziej dla zasady niż z przekonania. Guillén zdał sobie sprawę, że czeka go trudne zadanie.

Nie opowiedział całej tej historii Lenie. Tylko wersję mocno złagodzoną i ocenioną. Chociaż to jej wystarczyło, żeby zrozumieć.

– Miałeś dobre życie w Paryżu po tylu latach walki... Po co? Dlaczego nie możesz tego wreszcie zostawić?

– Bo jeśli to zostawię, to będzie oznaczało, że się poddałem, i wszystko, co zrobiłem do tej pory, wszystkie nieszczęścia i bieda, przez które przeszedłem, okażą się zupełnie niepotrzebne.

– Guillén... – Poglądziła go po zmęczonej twarzy. – Trzeba się pogodzić z tym, że wojna już się skończyła.

– Nie... Zbyt wiele straciłem, żeby się z tym pogodzić...

„Straciłem ciebie”, podsumował w myślach, nie mając odwagi powiedzieć tego na głos.

*

Tamtego poranka, kiedy wcześniej wyszli w góry, okazało się, że sprawy już zostały załatwione. Partyzanci siedzieli wokół ogniska, a Teresita krzątała się między nimi. Guillén i Sabino przyszli w porze jedzenia, nie celowo, ale i tak wzięli udział w posiłku.

– Podjęliśmy decyzję – ogłosił Plama z łyżką fasoli w ustach. – Zrobimy jeszcze jedną akcję.

Liczył na prowokację i udało mu się: Sabino zakrztusił się anyżówką, którą właśnie popijał z butelki. Kaszląc, podał butelkę Guillenowi i szybko starał się dojść do siebie, żeby przemówić.

– Jeszcze... jedną akcję? – powtórzył. – Jak to jeszcze jedną akcję? Mówiliśmy, że nie będzie więcej akcji!

Plama wskazał na niego łyżką i wycedził z furją:

– Ty mówiłeś, że nie będzie więcej akcji! Ty i ten Francuzik! A możesz mi powiedzieć, z czego będziemy żyli, bawiąc się w te lekcje doktryny i inne pierdoły?

Szmer zgody przebiegł wśród zebranych.

– A na co są pieniądze przysłane przez partię, Plama? Na kurwy?

Wściekłość dowódcy rosła, cała jego twarz przybrała kolor plamy.

– Uważaj na słowa, sukinsynu... Z tą jałmużną nie dotrwamy nawet do końca miesiąca. Palomares ma żonę i szóstkę dzieci; Julito chorą matkę; ja moją wdowę... Wszyscy mamy rodziny do utrzymania, wiesz? I nie zarabiamy, bo któregoś dnia zaczęliśmy żyć jak te psy dla partii. Więc niech mi teraz wyjaśnią święty Carrillo, Pasionaria czy chuj wie kto, czym, kurwa, mamy nakarmić nasze rodziny... I chuja mi wyjaśnią! Bo siedzą tam sobie we francuskich kawiarniach i gównie wiedzą o tym, co się tutaj dzieje. Tutaj to ja jestem dowódcą, rozumiesz? A dopóki ja jestem dowódcą, robi się to, co ja rozkazuję, a jak się komuś nie podoba, niech wypierdala tam, skąd przyszedł.

Sabino chciał się na niego rzucić, ale Guillén go powstrzymał. Podał butelkę anyżówki partyzantowi.

– Co to za akcja, Plama?

Tamten pociągnął długi łyk, wytarł usta rękawem i zaczął się złośliwie śmiać.

– Widzę, że rozumiesz mój język... Nic takiego... Prosta sprawa. Jak dobrze pójdzie, nikt nie zginie.

– Czyli?

– Ha! Uważasz, że jestem takim palantem, że zaraz puszczę farbę i wszystko wychłapię? Nic nie powiem, bo zaraz pójdziesz donieść.

– No to jeśli chcesz, żebyś wziął w tym udział, to będziesz musiał mi powiedzieć, o co chodzi.

Sabino spojrzał na przyjaciela oczami jak spodki, przekonany, że tamten stracił głowę, a wraz z nią sens misji.

– Wziąć udział? Ty? Chyba przy czyszczeniu broni – zakpił Plama, a towarzyszył mu śmiech reszty.

– Nie bądź durniem, Plama. Ten człowiek może cię załatwić samą...

Guillén znowu uspokoił Sabina, przerywając mu w połowie. Nie chciał wygrać z dowódcą, ale zyskać jego zaufanie.

– Będziesz musiał mnie sprawdzić – powiedział mu. – W sumie, co masz do stracenia?

Tamten zmarszczył brwi z przebiegłym spojrzeniem, gotowy podnieść

rękawicę, ale na swoich warunkach.

– Dobrze... Dobrze... Zobaczmy, czy masz takie jaja, jak gadane. W każdym razie od tej chwili nikt nie wychodzi z obozu. Nikt, kto zna plan, nie zejdzie z gór, przed akcją, rozumiano?

*

O pięć kilometrów na północ znajdował się tartak należący do markiza jakiegoś tam, który był właścicielem połowy okolicy, ale mieszkał w Madrycie. Zwykle nie szanowano markiza, przede wszystkim dlatego, że pojawiał się w wiosce wyłącznie w dniach poprzedzających uroczystości ku czci patronki, żeby się pysznić i uderzać w piersi, obżerać się ciastkami i pić wódkę, i nie zostawić nawet reala, choćby na tacy.

Markiz miał syna, który był taki sam jak tatuś. W odróżnieniu od ojca Alonso, bo tak się zwał rzeczony („don Alonsito” dla żartu), bywał jednak w okolicy, szczególnie podczas sezonu łowieckiego. Z grupką koleżków otwierał pawilon przy zaporze należący do rodziny i oddawali się historycznym pijatykom: pijani dzień i noc, zabawiali się strzelaniem do owiec i psów, a czasem nawet do pasterza; zostawiali wielkie rachunki w barze i w sklepie; sikali na placu; i oddawali się najprzeróżniejszym wygłupom, co jedna dziewczyna ze wsi przypłaciła tragedią – najmłodsza ciotki Alberty straciła cześć po kilkakroć, kiedy banda markiza dopadła ją w lesie na zbieraniu grzybów.

Dlatego Plama przysiągł, że się odpłaci temu palantowi. Kilka razy zastanawiał się nad porwaniem don Alonsita i odebraniem za niego porządnego okupu, a następnie strzeleniem mu z pistoletu w ten jego śliczniutki pysk. Teraz oczywiście sytuacja nie była korzystna z powodu marudzenia partii i tych związkowych pierdół. Poza tym potrzebował pieniędzy, i to natychmiast. Nie mógł sobie pozwolić na utrzymywanie posranego ze strachu paniczyka, podczas gdy jego parszywy ojciec bez jaj będzie się zastanawiał, czy zapłacić okup.

Dlatego zdecydował się na szybki atak na tartak, a dokładniej na trzymany w biurze sejf z solidną gotówką, do którego mogą się dostać, strzelając tylko ostrzegawczo w powietrze i kneblując kilku strażników i dyrektora, tchórzliwego palanta i lizodupa.

Plan był prosty. Kuzyn Paki Wieszaka, który mieszka w mieście, może im pożyczyć ciężarówkę. Wieszak, Plama, Ramiro Bolaños, mały Antón oraz Francuz – bo się uparł – pojedą nią do tartaku. Biuro jest otoczone płotem, a wejścia pilnuje strażnik z wściekłym psem. Wieszak będzie siedział w ciężarówce z kluczykiem w stacyjce, gotowy do ucieczki, podczas gdy Bolaños z kawałem owczego mięsa posmarowanego trucizną zajmie się strażnikiem i jego zwierzakiem. Kiedy znajdą

się w środku, mały Antón natychmiast przetnie kable telefoniczne; Francuz zajmie się drugim strażnikiem, pilnującym placu, a Plama wejdzie do biura, żeby załatwić dyrektora i zabrać forszę. W niecały kwadrans będzie po sprawie i cała piątka ciężarówką wróci spokojnie w góry bez żadnego zadraśnięcia.

– Zgoda, Plama – przyznał Guillén po wysłuchaniu planu. – Będziesz miał swoją ostatnią akcję, ale dobrze napakuj juki, bo zapewniam cię, że to naprawdę ostatnia. W przeciwnym razie, jak sam słusznie zauważyłeś, Sabino i ja sobie pójdziemy i możesz zapomnieć o jałmużnach z Francji, o broni z Francji i o innych idiotach z Francji, takich jak on i ja, którzy ryzykują życie tylko po to, żeby was wesprzeć. Związki z partią będziesz mógł uznać za zerwane.

*

Antón miał zaledwie dziewiętnaście lat, ale już zdążył zobaczyć wiele okropności. Kiedy zaczęła się wojna, mieszkał wraz z rodziną w Madrycie i jego matka pracowała u zakonnic w klasztorze Wcielenia. Antón uwielbiał siostrę Angelę, nowicjuszkę, słodką i czułą, która wkładała mu cukierki do kieszeni, nauczyła go abecadła i zapinać guziki fartuszka. Pewnego dnia jacyś mężczyźni uzbrojeni w karabin wywlekli ją na patio razem z innymi zakonnicami. Rzucili ją na ziemię, dręczyli, a na koniec zastrzelili. Antón, wówczas pięcioletni, patrzył na tę scenę i krzychał: „Nie zabijajcie jej! Nie zabijajcie jej!”. Jednak tamci śmiali się z niego i nie posłuchali go. Tamci... Bojownicy... Czerwoni...

Problem w tym, że jego ojciec był jednym z nich; nie bojownikiem, nigdy nie należał do odważnych. Ale był czerwony. Czerwony tchórz, oportunistą, który równie chętnie przyjmował pieniądze od reżimu jako leśniczy, co spiskował przeciwko niemu. Równie chętnie pieścił matkę, co tłukł ją kijem w kuchni. I równie dobrze mówił do niego „synu”, co „bękarciu”, „darmozjadzie” i „skurwielu”. Przed drzwiami człowiek idealny, za drzwiami straszna menda.

Antón nie był czerwony. Ani biały, czarny czy żółty. Antón był tylko chłopakiem wierzącym w Boga i we wszystkie dobre rzeczy, które uczynił Jezus, a siostra Ángela czytała mu o nich z Biblii dla dzieci; we wszystkie dobre rzeczy, których chciał dokonać... Ale ojciec zmusił go do wstąpienia do partyzantki, bo sam był zbyt wielkim tchórzem, żeby to zrobić. Antón pragnął tylko, żeby zostawić go w spokoju; pragnął wyjechać do miasta, nauczyć się zawodu, uwolnić matkę od ojca i żyć swoim życiem.

Nie chodzi o to, że miał coś przeciwko Prudenciovi Plamie albo pozostałym. Przeciwnie, zawsze dobrze go traktowali, jak swojego. Plama byłby dla niego lepszym ojcem... Ale nie miał wyboru.

Guardia Civil przyłapała go jednego dnia z mułem załadowanym zapasami

i bronią. Nigdy nie bał się aż tak bardzo, prawie się zsikał po drodze do komisariatu, myśląc o tych wszystkich strasznych rzeczach, które go czekają i o których opowiadali mu inni partyzanci: o biciu i torturach aż do utraty przytomności, o głodzie i chłodzie, o śmierci na dziedzińcu więzienia... A jednak nie przytrafiło mu się żadne z tych nieszczęść. Wsadzili go do pokoju z oknami wychodzącymi na ogród, dali kawy z mlekiem, opatrzyli rozcięcie, którego się nabawił, gdy próbował uciec do lasu, i zaproponowali mu interes: jeśli pomoże im złapać Prudencia Plamę i jego oddział, nie będą go szykanować, ani jego, ani jego rodziców; w najgorszym razie kilka miesięcy w więzieniu, żeby dopełnić formalności.

Gdyby to od niego zależało, ojciec mógłby sobie gnść w pierdłu. Ale matka... Zrobiłby wszystko dla swojej matki. A kiedy ta sprawa się skończy, będzie wolny i wyjedzie do miasta, nauczy się zawodu. Będzie żyć własnym życiem.

Nie, Antón nie miał innego wyjścia.

„Ty, mały – odezwał się do niego Plama przed zmrokiem. – Weź muła i wracaj do domu. Jutro przed świtem przyniesiesz nam żywność i amunicję, bo zaczyna brakować, a jeśli coś się nie uda, nie chcę zostawić tych tutaj bez jedzenia”.

Plama mu ufał. Tylko jemu pozwolili opuścić obozowisko. Antón nie miał innego wyjścia. Wziął muła, zszedł ścieżkami w dół i z gorzkim posmakiem w ustach, ze skrzyconym żołądkiem doniósł Guardia Civil o planowanym ataku na tartak.

*

Plama położył się na ziemi, przyjrawszy się okolicy ponad krzakami.

– Wszystko idzie zgodnie z planem – obwieścił Guillenowi leżącemu u jego boku. – Wracajmy do ciężarówki.

Ściśnięci na pace, partyzanci czekali spoceni; południowe słońce prażyło coraz silniej, a oni byli coraz bardziej spięci. Nie mieli dobrych wspomnień z ostatniej akcji; Bolaños nawet stracił wujka. Jednak zaciskali zęby i całkowicie ignorowali przygnębienie.

Plama wydał im ostatnie dyspozycje:

– Każdy zna swoje zadanie, no to do roboty. Sprawdzić broń i amunicję, ale strzelać tylko w razie konieczności. Żadnego siania po krzakach, zrozumiano? Jakies wątpliwości?

Wszyscy pokręcili przecząco głowami.

– Dobra, Wieszak, jedź i zatrzymaj się pięćdziesiąt metrów przed budką

strażnika, przed zakretem. Naprzód!

Ciężarówka ostro ruszyła z miejsca, aż zatrzęsło nimi. Guillén wyciągnął pistolet, odbezpieczył, żeby sprawdzić. Zadał sobie pytanie, jak, u diabła, znowu mógł się wpakować w coś takiego, ale musiał przyznać, że podniecenie i strach poprzedzający działanie sprawiały mu przyjemność, której już prawie nie pamiętał; tęsknił za tym.

Wszystko przebiegało szybko i zgodnie z planem. Bardziej niż na akcję wyglądało to na balet: każdy na swoim miejscu, wypełniał swoje zadanie bez przeszkód i niespodzianek. Żałosne pieniądze, które markiz płacił strażnikom, nie wystarczyły, żeby chcieli ryzykować życie dla swojego pana, więc szczególnie się nie bronili. Nie trzeba było nawet truć psa. Bolañosowi zrobiło się go żal w ostatniej chwili, więc kazał jego panu, żeby trzymał psa krótko. Okazało się, że to żaden potwór, tylko stary kundel. Obserwując wszystkich, Guillén zobaczył, że Antón idzie do słupa, podczas gdy Plama wchodzi do ceglanego budynku krytego eternitem, w którym było biuro. Tymczasem on wykonywał swoje zadanie: zajął się grubym, śmierdzącym bimbrem strażnikiem. Wystarczyło tylko pokazać lufę pistoletu, żeby tamten odrzucił broń i praktycznie sam się przywiązał do drzewa.

Proste. Za proste. Powinien był zdać sobie sprawę, że to nienormalne. Głupotą było niezauważenie tego.

W okamgnieniu sytuacja się odwróciła.

– Gwardziści! Jadą gwardziści!

Zaalarmowany krzykiem Guillén odszukał wzrokiem Bolañosa. Zobaczył wtedy chmurę pyłu na drodze i konie nadciągające galopem. Przez kilka sekund był jak sparaliżowany. Zobaczył, że Bolaños wskakuje z Wieszakiem do ciężarówki. Usłyszał krzyki i pierwsze strzały. Też chciał pobiec do ciężarówki, która już ruszała, ale funkcjonariusze Guardia Civil zeskoczyli z koni i zajęli pozycje wokół tartaku, i w ten sposób zamknęli mu drogę. Unikając kul, pobiegł zygzakiem w drugą stronę, do biura, gdzie chronił się Plama. Antón już tam był. Dowódca toczył pianę z ust.

– Kurwa mać! Skąd, do kurwy nędzy, wzięło się to całe wojsko? Ja pierdołę...

Przerwał mu głos z megafonu. Kapral nakreślał sytuację: są otoczeni, mają złożyć broń i wyjść z rękami w górze...

Nie tracąc czasu na słuchanie, Plama chwycił dyrektora za koszulę i pokazał go przez okno jak kukłę.

– Mamy zakładnika! – wykrzyknął z całych sił, żeby go usłyszeli, ale też żeby wyrzucić z siebie całą wściekłość. – Przy pierwszym fałszywym ruchu rozwalę mu łeb!

Tymczasem Guillén ocenił sytuację i własne możliwości. Gwardzistów było niewielu. Tylna ściana biura wychodziła na las, gęsty las, który on doskonale znał

jako dziecko i który na pewno ciągle pamiętał. Mógłby tam wskoczyć i spróbować uciec.

– Nie mam zamiaru tu zostawać, żeby mnie schwytali jak szczura – ogłosił.

– Jeśli o mnie chodzi, możesz już stąd spadać i niech cię schwytają jako pieprzonego trupa! Ja jeszcze kilku ze sobą zabiorę, przysięgam! I tego kutasa też!

– Plama kopnął dyrektora, związanego i zakneblowanego, leżącego na ziemi; nieborak jęknął bardziej ze strachu niż z bólu.

Guillén postawił się Plamie, próbując zachować spokój, żeby nie wszczynać wojny nerwów z tym wariatem.

– Słuchaj – powiedział – możemy wyjść tyłem, do lasu. Nad rzeką są groty, o tej porze roku odkryte, bo jest niski poziom wody. Mało kto je zna, poza tym to istny labirynt, w dodatku pełen dziur, więc nikt tam nie chodzi, bo się boją. Będziemy musieli zmoczyć sobie tyłki, ale dotrwamy tam do nocy, a potem spróbujemy pójść do domu Antona.

Plama wahał się; był na skraju załamania nerwowego.

– A jak chcesz stąd wyjść i nie dostać kulki?

– Rzuciłem okiem. Jest tu korytarz, który znajduje się w zasadzie poza zasięgiem ognia...

– Co, do kurwy nędzy, znaczy „w zasadzie”?

– Wyjdziemy z Antonem, a ty nas będziesz stąd osłaniał. Potem my ciebie będziemy osłaniać.

Oczy Plamy miotają iskry.

– Nie – wyszeptał. – Ja wyjdę z chłopakiem, a ty – uderzył go w piersi – będziesz nas osłaniał.

Nie było o czym gadać. Plama wziął torbę z pieniędzmi i Antona, który błąd jak trup stał się bezwolny. Poszli do tylnych drzwi. Guillén strzelił kilka razy od frontu, żeby odwrócić uwagę gwardzistów, i pognał na tyły. Wyrzał przez okno. Zobaczywszy, że nic się tam nie dzieje, krzyknął do Plamy:

– Teraz!

Plama i Antón uciekli do lasu, gnając pomiędzy kupami trocin i pniami przygotowanymi do piłowania. Kiedy byli w połowie drogi, o jakieś pięćdziesiąt metrów od chaty, Plama przewrócił się i pieniądze z torby się rozsypały. Guillén nie mógł uwierzyć, kiedy ten dureń, zamiast uciekać, zaczął zbierać banknoty. Usłyszał kilka strzałów. Plama upadł na ziemię. Guillén zaklął na głos i wyrzał, żeby sprawdzić, skąd padły strzały. Zauważył gwardzistę za krzakami i jego karabin gotowy, by dalej wypluwać kule. Był poza jego zasięgiem. Niewiele myśląc, wyskoczył z chaty, opróżniając magazynek w kierunku krzaków, w szaleńczym biegu ku lasowi; broń gwardzisty ucichła. Dopadł do Plamy i pociągnął go, a ten nie wypuszczał z rąk torby, z której dalej wypadały banknoty. Kiedy już niemal dotarli do linii gęstwiny, ostrzał przybrał na sile. Guillén

odwrócił się z wściekłością, chcąc opróżnić ostatni magazynek.

Wtedy poczuł uderzenie, niemożliwe do pomylenia uderzenie kuli, po chwili pieczenie w ramieniu i ból; lewa ręka opadła mu bez siły; usłyszał świst koło uszu i wydało mu się, że kolory wokół się rozmazują. Wszystko to działo się tak wolno, jakby sekundy były minutami, jakby Ziemia przestała się kręcić.

Ktoś do niego krzyknął. Plama. Ciągnął go do lasu jak upartego muła. Zadawał mu pytania. I on przytaknął, zupełnie nie wiedząc dlaczego. Czuł się dobrze. Mógł iść dalej. Musiał iść dalej.

Wszedł do błotnistego tunelu. Ziemia falowała pod nogami i wydawało mu się, że idzie po wodzie. Ból się wzmacniał, ale adrenalina robiła swoje, serce biło mu mocno i oddech przyspieszył. Starał się dotrzymać kroku pozostałym, chociaż się potykał. Na szczęście zachował trzeźwość umysłu. Gwardziści zaraz zaczęli deptać im po piętach; powinni kluczyć, szukać schronienia w gęstwinie.

– Złap się mnie – ofiarował się Antón.

Musiał iść dalej. Musiał iść sam. To tylko draśnięcie. Musiał okazać, że to byle draśnięcie go nie powali.

– No chwyć się, kurwa! Musimy iść szybciej, te chuje zaraz nas dogonią!
– krzyknął Plama.

Doszli do rzeki. Guillén ucieszył się, że może opierać się na Antonie, żeby zejść na jej brzeg. Weszli w zimny nurt, na szczęście słaby i na szczęście sięgający zaledwie do pasa.

– A grotty, Francuzie? Gdzie są grotty?

Mówił Plama, z twarzą zaczerwienioną, coraz bardziej zaczerwienioną, i dzikimi oczami, coraz bardziej dzikimi. Ale jego wrogi ton nie był wrogi, co najwyżej pełen niepokoju.

Guillén wznosił wzrok w niebo; było jak błękitna przerwa między skałami. Skałami... Ich kształt rysował mapę: ten szczyt tutaj, ten zakręt tam, to pęknięcie, ten kształt czy tamten. Wszystko wydało mu się znajome.

– Tam.

W grotach panował ziąb, a ponieważ przemokli od pasa w dół, było jeszcze gorzej. Leżąc na ziemi, Guillén starał się opanować drżenie. Ataki kaszlu stawały się coraz bardziej dojmujące, coraz silniejsze i boleśniejsze. Zaczynał się bać: wyglądało na to, że pocisk nie uszkodził żadnego ważnego narządu, siedział pomiędzy ramieniem a obojczykiem; tymczasem krew zalała mu już połowę koszuli. Pocił się mimo zimna i chwilami odpływał.

– Kurwa mać... Kurwa mać... Kurwa mać! Wszystko dobrze szło! Ani jednego strzału! Czy ktoś, kurwa, chociaż raz wystrzelił? Nie! Wszystko szło kurewsko dobrze! Co się, kurwa, stało?

Plama emanował całą energią, której Guillenowi brakowało. Chodził w tę

i z powrotem, nie mógł usiedzieć w miejscu. Jego krzyki pozostawały bez odpowiedzi, tylko ich echo rozbrzmiewało w grocie. Antón dyszał z wyczerpania i napięcia, z głową pomiędzy nogami.

– Teraz nie damy rady dotrzeć w góry, z tobą w takim stanie... Ani do najbliższego rogu – podsumował dowódca, w końcu przygnębiony, jakby nagle cała sytuacja spadła na niego jak gład.

– Ja mogę iść.

– Jasne, że tak... Jeszcze mnie wkurwiał!

– No to co proponujesz? Żebym się wykrwawił w tej dziurze, a wy będziecie się gapić? Wyjdziemy stąd razem, kiedy zapadnie noc, a jeśli nie, możecie iść beze mnie.

– Ochoty mi nie brakuje. Ale uratowałeś mi życie, bo masz jaja. A ja nie jestem człowiekiem niewdzięcznym. Raczej zaniosę cię na grzbiecie, niż zostawię, żebyś tu zgnił.

Plama był krępy, prawie równie wysoki co szeroki, ale Guillén przewyższał go o głowę. Zastanawiał się, jak on, u diabła, ma zamiar taszczyć go na plecach. Gest mógłby być szlachetny, ale szlachetność nie miała sensu w takiej sytuacji. Nie miał ochoty nawet mu za to dziękować; może dlatego, że ból zaczynał dominować nad jego wolą.

– Jest inna możliwość... – zauważył wtedy Antón, czym natychmiast zwrócił uwagę reszty. – Dom Aranzadich jest niedaleko stąd, zaraz przy lesie. Mają samochód, którym moglibyśmy uciec.

Samo wspomnienie nazwiska Aranzadi wstrząsnęło Guillenem niby kopnięcie prądem. Spróbował się podeprzeć, ale szarpnięcie w barku znowu rozłożyło go na ziemi.

– Nie! Tam jest tylko kobieta i dziecko, których wystawilibyśmy na niebezpieczeństwo! – zaprotestował gwałtownie.

Plamie dla odmiany pomysł bardzo się spodobał. Wydał mu się światłem w tunelu, w którym był zamknięty.

– Kurwa mać, co znowu za niebezpieczeństwo! Chcemy tylko samochodu! – Uklęknął obok Guillena i z dziwnym spokojem posłał mu przerażający uśmiech.

– Co ty sobie myślisz? Że nie wiem, kim jest ta kobieta? Jeśli, jak mówisz, jesteś chłopakiem Ramona, to ona jest twoją przyrodnią siostrą. Nie myślę się, co?...

– Nie pójdziemy do tego domu – powtórzył Guillén z zaciśniętymi szczękami.

Plama przybliżył do niego swoją twarz, brudną, parchatą i czerwoną...

– Dlaczego nie? Tym bardziej będzie nam chciała pomóc...

Guillén przewrócił się na bok. Tamten, przewidując jego zamiar, mocno chwycił go za ramię i wyrwał mu pistolet, który miał przy pasie.

– Nie próbuj tego, Francuziku... Żebym ja nie musiał go użyć. No i kto

wtedy mi przeszkodzi zabawić się z twoją siostrzyczką?

*

Lena piekła ciasto w kuchni, kiedy usłyszała łomotanie do drzwi. Zaskoczyło ją, że ktoś puka o takiej porze. Pomyślała, że może coś się stało, a ponieważ najbliższy lekarz mieszkał o kilka kilometrów stamtąd, czasem ludzie przychodzili do niej. Kazała Loli otworzyć, a sama wytarła mokre ręce i poszła za nią, z Pablem, który lizał łyżkę z surowym ciastem, jak zawsze drepcząc z tyłu.

W przedpokoju stanęła jak wryta i serce podeszło jej do gardła. Jakiś człowiek przykładał broń do głowy Loli, płaczącej z wykrzywioną twarzą. Instynktownie zasłoniła syna. Wtedy zobaczyła, że jest jeszcze dwóch ludzi – wychodzili z cienia z drugiej strony drzwi i wydawało się, że jeden podtrzymuje drugiego.

– Dobry wieczór pani. Przepraszamy za najście... Bardzo potrzebujemy samochodu. Proszę dać nam kluczyki, a odejdziemy i nie będziemy więcej sprawiać kłopotów.

Początkowo go nie rozpoznała, bo zemdłony miał brodę opartą na piersiach, więc jego twarz pozostawała w ukryciu, bo była zdenerwowana, zmieszana i widziała tylko pistolet przy głowie Loli. I myślała jedynie o synu, trzymającym ją za nogi.

– Ten człowiek jest ranny... – Zrobiła krok do przodu.

– Spokój. – Teraz pistolet był skierowany na nią. – Proszę dać nam kluczyki i nie będziemy pani więcej niepokoić.

– Boże... Guillén...

Gdy go rozpoznała, chciała do niego podbiec, ale Pablo trzymał się jej kurczowo... i jeszcze pistolet wycelowany w oboje. Gdyby nie dziecko... Poczuli się bezsilni, nie wiedzieli, co robić.

– Proszę nam dać te pierdolone kluczyki, już!

Lena patrzyła na Guillena i nie była w stanie zareagować. Stwierdziła z ulgą, że się porusza.

– Lena... Zrób, co mówi... Wszystko w porządku...

– Nie mam kluczyków... Ani samochodu. Szofer zabrał go dzisiaj do Madrytu...

– Jak to nie ma pani samochodu? Gdzie jest, kurwa, ten samochód?

Całe napięcie, które Lena w sobie zebrała, nagle wybuchło.

– W Madrycie! Już mówiłam! Nie sobie pan zobaczy w garażu, jak pan chce! I niech pan, do cholery, odłoży wreszcie ten pistolet! Dwie kobiety i dziecko mają panu coś zrobić?!

Do zdumionego Plamy docierało powoli, że samochodu nie ma. Lena wykorzystwała chwilę jego nieuwagi i przeszła przez korytarz do Guillena.

Plama popchnął służącą na podłogę, do dziecka, które przestraszone wybuchło płaczem i cichutko wołało mamę.

– Kurwa jego mać!

Lena dotknęła świeżej plamy krwi zalewającej ubranie Guillena. Jego skóra przybrała szarawy kolor i była wilgotna, oddech miał słaby i przerywany.

– Pomóż mi. Trzeba go położyć na podłodze w salonie, na dywanie – poprosiła silnego chłopaka, który go podtrzymywał.

– Nie ma mowy! Tutaj to ja rozkazuję! Idziemy!

Lena odwróciła się wściekła.

– Zjeżdżaj, jak sobie chcesz! On tu zostaje. Loli, zadzwoń do szpitala, niech przyślą karetkę.

Plama znowu uniósł pistolet, żeby wycelować w dziewczynę.

– Żadnych telefonów! Gdzie jest ten cholerny aparat? Gdzie on, kurwa, jest? – wrzasnął w twarz Loli, jęczącej i zasłaniającej się rękami.

– W salonie – odpowiedziała Lena. – Koło drzwi.

Partyzant zrobił dwa susy i już był przy telefonie, wyrwał kabel ze ściany. Potem odwrócił się do Leny.

– Opatrz go i daj mu łyk *orujo*, a jak skończysz, pójdziemy sobie. I on też.

– On nigdzie nie idzie – wyraźnie podkreśliła każde słowo.

Plama chwycił ją za kark.

– No to może w zamian wezmę tego wyjącego krasnala. – Pokazał jej rząd żółtych zębów, dziurawych i z osadem kamienia. – Nie pogarszaj sytuacji. – Poglądził ją po policzku spoconą, szorstką dłonią. – Do diabła, kręci mnie to!... Rób, co ci każe, a wszystko będzie dobrze.

Lena wywinęła mu się. Naplułaby w tę parszywą gębę, ale zdrowy rozsądek ją powstrzymał. Skupiła się na Guillenie. Z pomocą chłopaka zabrała go do salonu, choć jęczał z bólu przy najmniejszym dotknięciu. To niemal przyniosło jej ulgę; to dobrze, że jeszcze ma siłę, żeby jęczeć.

Ułożyła go na podłodze, z poduszką pod głową odwróconą na bok, drugą pod prawym barkiem i kilkoma pod nogami, żeby utrzymać je w górze. Rozpięła mu koszulę, ale było tyle krwi, że nie widziała rany; modliła się, żeby tętnica nie była przerwana. Zmierzyła mu puls; przestraszyła się, bo wynosił ponad sto uderzeń na minutę. Szybko rzuciła okiem na jego twarz: chociaż był blady, nie miał jeszcze sinych ust.

– Guillén... – zawołała go, żeby sprawdzić, czy ciągle jest przytomny.

On z trudem otworzył oczy i spojrzał na nią oszołomiony.

– W porządku... – Lekko kaszlnął.

Lena pogładziła go po głowie. Musiała się spieszyć! Rzuciła okiem przez

ramię w poszukiwaniu Loli. Dziewczyna poszła za nią i stała o kilka kroków od Leny, trzymając Pabla na rękach; nie wiadomo, czy go pocieszała, czy szukała pocieszenia, bo widać było, że ciągle jest przerażona, po policzkach płynęły jej łzy jak grochy.

– Loli, proszę, przynieś miskę z letnią wodą i kilka czystych ścierek. Przynieś też kilka koców. Szybko.

– Tak... proszę pani.

– Idź z nią – Plama rozkazał Antonowi. – I nie spuszcza jej z oczu. Żeby nie przyszło jej do głowy coś głupiego.

Pablo został sam pośrodku salonu. Bardzo spokojny, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Ramiona trzęsły mu się lekko od płaczu, cichutkiego, niemal niedosłyszalnego. Lena podeszła do niego na czworakach i go przytuliła.

– Kochany... Teraz nie możemy się bać. Wujek Guillén jest ranny i musimy mu pomóc, żeby wyzdrowiał. Ty musisz mi pomóc go wyleczyć... Wiesz przecież: jesteś mężczyzną, głową rodziny, kiedy nie ma taty... – Wycierała mu łzy, a mały próbował odważnie patrzeć, dusząc w sobie strach i płacz, tak jak prosiła mama, jak się oczekuje od mężczyzny, głowy rodziny. – Teraz muszę iść po moją torbę lekarską. Potrzymasz przez ten czas wujka Guillena za rękę, żeby nie czuł się samotny?

Chłopiec skinął głową, jednocześnie zagryzając usta. Potem podbiegł do wujka, położył się obok niego, chwycił go za rękę małymi rączkami i oparł na nich policzek, jeszcze mokry. Bardzo cichutki i spokojny, jak króliczek przyczajony za zwalonym drzewem.

*

– Spokojnie, nie bój się. Nic ci nie zrobię – powiedział Antón do służącej, gdy wchodzili do kuchni i zobaczył, że trzęsą się jej ręce.

Było mu żal tej dziewczyny, takiej ładnej i tak bardzo przestraszonej. Przestraszonej z powodu Plamy, który był bydlakiem. To przez niego zabrał ich do tego domu. Przekłęta godzina, w której wyjechał samochód, komplikując wszystko. Teraz dziewczyna była przestraszona, dziecko było przestraszone, on sam był przestraszony... I czuł się winny.

Pomyślał, że spróbuje wykorzystać tę chwilę, żeby stamtąd uciec. Ale w ten sposób sam by siebie zdradził, wszyscy dowiedzieliby się, że to on jest zdrajcą, a jeśli Plama wywinie się z tych opresji, skręci mu kark. Przyszło mu też do głowy – myśl zupełnie szalona – żeby strzelić partyzantowi w plecy. Nie miał jednak dość odwagi, by kogokolwiek zabić w taki sposób, z zimną krwią. Nie wstydził się tego.

Nie. Musiał obmyślić lepszy plan, dobry plan, który dopnie wszystkie

szczegóły, a przede wszystkim zaprowadzi Plamę do więzienia. I musiał to zrobić szybko, zanim ten Francuz przeniesie się do lepszego świata, bo nie chciałby mieć jego śmierci na sumieniu.

Nie przestając kombinować, pomógł Loli nalać ciepłej wody do miski. I uśmiechnął się do niej, żeby się lepiej poczuła.

*

Lena oczyściła i dobrze zdezynfekowała ranę. Kula ciągle tkwiła w środku, ale na szczęście tętnica nie była uszkodzona. Założyła mu opatrunek. Bez tlenu i bez surowicy chwilowo nie mogła zrobić nic więcej. Nawet nie mogła podać mu morfiny, bo miał zbyt niskie ciśnienie. Mogła tylko czekać, jak zareaguje jego organizm. Wierzyć w jego siłę i modlić się.

Loli już to robiła. Z małym Pablem na rękach odmawiała różaniec, jakby monotonna modlitwa koła jej nerwy.

Puls Guillena trochę się poprawił. Ciśnienie też się nieco ustabilizowało. Mimo że był okryty kocami, ciągle trzął się i oblewał zimnym potem. Lena próbowała masować mu stopy, żeby pobudzić krążenie i trochę go rozgrzać.

Pablo zasnął na kanapie, dzięki Bogu. Loli przygotowała dla bandytów coś do jedzenia. Ten, którego nazywali Plama, połykał jak świnia, popijając wódką. Chłopak zjadł bardzo mało.

Lena pomyślała o pistolecie, który miała w szufladzie szafki nocnej. Gdyby mogła po niego pójść i wystrzelać tych skurwysynów...

Miała w domu podwójną strzykawkę. Od jakiegoś czasu zastanawiała się, czy kupienie jej było dobrym pomysłem, skoro nigdy jej nie używa.

Stan Guillena nie poprawiał się. Przeciwnie, sytuacja wcale nie wyglądała dobrze: ból był coraz silniejszy, a istniało niebezpieczeństwo, że wszystko jeszcze bardziej się skomplikuje przez infekcję. Wyczerpała już wszystkie możliwości, które znajdowały się w jej zasięgu. Zrobienie transfuzji bezpośrednio w tych warunkach było szaleństwem. Przede wszystkim dlatego, że była w ciąży. Chociaż lekka anemia nie zabiłaby jej, a jej krew mogłaby uratować Guillena. Tak, to było szaleństwo, ale też ostatnia rzecz, którą mogła dla niego zrobić, i była gotowa spróbować wszystkiego.

– Loli, musisz mi pomóc.

– Co robisz?

– Przetaczam ci krew.

– Swoją?

– Tak.

– Nieźle... To dopiero jest związek... silniejszy niż małżeństwo.

Uśmiechnął się lekko, po czym znów zamknął oczy.

– Jestem bardzo, bardzo na ciebie zła. Jestem wściekła. Co ci wpadło do głowy, żeby się w to mieszać? Jak mogłeś? Jeśli umrzesz... Boże drogi... Niech ci nie przyjdzie do głowy umierać, słyszysz mnie?

Zaczęła do niego mówić. Na ucho. Leżała obok niego, bo ciągle czuła się słaba po transfuzji. Mówiła do niego, wyrzucała z siebie całą wściekłość, bo inaczej rozplakałaby się i wpadła w rozpacz. A nie chciała płakać, jakby siedziała przy martwym ciele. Wkurzanie się i wylewanie na niego całej swojej frustracji sprawiało, że czuła się lepiej.

– Niech ci nie przyjdzie do głowy umrzeć... – Poglądziła go.

Guillén od czasu do czasu tracił przytomność, leżał bez czucia. W sumie był mocno skołowany i czasem bredził; mamrotał niezrozumiałe nerwowe zdania. Najważniejsze było go tam zatrzymać; nie pozwolić, żeby odszedł.

– Idź poszukać jakichś taczek czy czegoś w tym rodzaju. Popatrz w garażu, pod wiatą...

Plama spiskował z chłopakiem w kącie, ale Lena słyszała, co mówią.

– Chcesz go stąd wywieźć na taczkach? – postawiła się partyzantowi. – Upadłeś na głowę? On się nie może ruszać.

Tamten spojrzał na nią z pogardą.

– Już ci mówiłem, że on nie zostanie w tej dziurze. Niech się cieszy, że nie będę go włókł.

Rzuciłaby się na niego, żeby go podrapać, pobić pięściami. Zagryzła usta z wściekłością i łzy, które wstrzymywała przez całą noc, w końcu popłynęły. Wybuchła.

– Ty bydlaku! Przysięgam na Boga, że stąd go nie zabierzesz!

– Zamknij się, histeryczko!

Nagłe plaśnięcie w twarz rozpałiło jej policzki; w ten sposób Plama opanowywał nieposłuszeństwo. Lena uniosła rękę do twarzy, bardziej upokorzona niż obolała. Początkowo stanęła jak wryta, ale potem, w mniej niż sekundę, naszła ją lawina tysięcy sposobów na zemstę, wszystkie absolutnie irracjonalne. Żadnego nie dałoby się wprowadzić w życie. Głośne walenie w drzwi przerwało jej rozmyślenia, uczyniło z tej sceny nieruchomą, pełną napięcia fotografię.

Plama podszedł do okna z pistoletem w rękę i ostrożnie przez nie wyjrzał.

– Guardia Civil, kurwa mać! – wyszeptał. – Nic głupiego. Albo was wszystkich wystrzelam, bo nie mam nic do stracenia. Ty, kobieto – wskazał na Lenę – idź otworzyć drzwi i pogoń ich tak, żeby niczego nie podejrzewali. Pamiętaj o wszystkich, którzy są w tym salonie.

Ona szybko uznała, że nie ma innego wyjścia, musiała być posłuszna. Pukanie stawało się coraz bardziej natarczywe. Otarła łzy rękawami i poprawiła sobie ubranie oraz włosy. Spróbowała się uśmiechnąć mimo skręconego żołądka i poszła otworzyć.

Wyrzała przez uchylone drzwi.

– Dobry wieczór pani – pozdrowił ją kapral Guardia Civil, trzymający czapkę w rękach. – Przepraszam, że niepokoję. Przyszedłem panią powiadomić, że szukamy w okolicy bandytów...

– Bandytów? – Udała zdziwienie.

– Tak, dziś rano napadli na tartak i udało im się uciec do lasu. Czy wszystko jest w porządku? – Zdawało się, że patrzy ponad ramieniem Leny.

– Tak... tak... Wszystko w porządku... Ale bardzo mnie pan przestraszył...

– Proszę się nie martwić, szybko ich złapiemy. Właśnie przyszedłem do pani z prośbą o pozwolenie przeszukania gospodarstwa.

– Oczywiście, oczywiście, proszę.

– Tymczasem sugeruję, żeby pani dobrze zamknęła drzwi i okna. I jeśli zobaczy pani coś dziwnego, proszę do nas zadzwonić. Widziałem, że ma pani linię telefoniczną.

– Tak zrobię. Dziękuję, kapralu.

Gwardzista stanął na baczność.

– Do usług, droga pani. Dobranoc.

– Dobranoc.

Lena wysiliła się, żeby zamknąć drzwi spokojnie, kilka razy przekręciła klucz i zamknęła drzwi na łańcuch. Potem sama omal nie zemdląca.

Było tuż po czwartej nad ranem. Prawie wszyscy spali w różnych kątach salonu. Słysząc było tylko tykanie zegara na kominku i gardłowy, acz równy oddech rannego. Antón podszedł do Plamy, który siedząc przy stole, przysypiał nad kieliszkiem wódki, ciągle z pistoletem w ręku. Zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, dowódca zagadał do niego:

– Nie mogę tu zostawić tego gościa... Nie mogę dopuścić do tego, żeby go złapali, a on wyśpiewał wszystko, co wie. Powinienem go zastrzelić... żeby uniknąć kłopotów. I wyjść, ty i ja, przez te drzwi. – Przybity złapał chłopaka za koszulę na piersiach. – No bo co innego mam zrobić?

Antón przełknął ślinę.

– Pomyślałem sobie, że może poszedłbym do domu rodziców, bo to niedaleko stąd. Jeśli pójdę lasem przez noc, nikt mnie nie zobaczy. Tam zaprzęgnę muła i przyprawdę tutaj, załadujemy Francuza ukrytego w sianie i zawieziemy z powrotem do domu. Moja matka zajmie się nim, dopóki nie dojdzie do siebie, a ojciec przypilnuje, żeby nie paplał.

Plama uśmiechnął się, popił *orujo* i się skrzywił.

– A jak cię złapią gwardziści? Skąd się dowiem, że coś jest nie tak?

– Jeśli po dwóch godzinach od świtu nie wrócę... może będziesz musiał go zastrzelić i wyjść stąd, zawiadomić tych z obozu.

Guillén otworzył oczy. Ból pulsował mu w ramieniu i promieniował na całe ciało. Chciałby stracić świadomość. Rozejrzał się wokoło, rozpoznał salon domu Leny i jego oszołomiony umysł zaczął odzyskiwać wspomnienia. Nigdy nie powinni się byli schronić w tym domu, nie powinien się być na to zgodzić, kiedy jeszcze miał trochę sił. W tej chwili zapragnął wstać i trzasnąć tego bydlaka Plamę.

Popatrzył na Lenę, leżącą u jego boku. Nie wiedział, czy śpi, nie mógł zobaczyć jej twarzy. Pomacał podłogę, aż natrafił na jej rękę. Ona podparła się przestraszona. Ale jedno spojrzenie na niego wystarczyło, żeby się uśmiechnęła. Położyła mu rękę na czole.

– Jak się czujesz? – zapytała, stwierdzając jednocześnie, że temperatura mu spadła.

– Dobrze.

– Kłamczuch.

– Mdli mnie. Ramię boli mnie jak cholera. I chce mi się pić.

– Tak lubię.

Lena zmoczyła mu usta ręcznikiem. Sprawdziła puls i zmierzyła ciśnienie. Zadowolona z wyników, pogładziła go po włosach.

– Ciśnienie podniosło ci się wystarczająco, żebym mogła ci zrobić zastrzyk z morfiny, jeśli chcesz...

– Proszę – odpowiedział Guillén z takim grymasem, jakby stał jedną nogą w raju, a drugą w piekle.

– Gdzie jest chłopak? – Lena zapytała Plamę, kiedy ten trzymał ją na muszce. Poszła do kuchni przygotować dla Guillena wodę z cytryną i sodą.

– Poszedł sobie.

– Jak to sobie poszedł?

– Zajmij się swoimi sprawami i zostaw moje. Lepiej, żeby twój brat mógł ustać na nogach, jak przyjdzie świt. Lepiej dla was obojga.

– Musi iść do szpitala – zbuntowała się.

– Niestety to będzie niemożliwe.

Przez chwilę myślała, żeby go zapytać, jak długo chce przeciągać tę sytuację, ale zrezygnowała. Wdawanie się w kłótnię z tym durniem nie miało sensu, więc postanowiła skupić się na tym, co znajdowało się w zasięgu jej możliwości: dbać o bezpieczeństwo swoje i Guillena. Gdyby mogła pójść do sypialni po pistolet...

– Przepraszam... Nie mogłem ich przekonać, żebyśmy tu nie przychodzili... Cholera...

Lena dała mu do picia następną łyżeczkę.

– Nie... Całe szczęście, że przyszliście. Gdyby nie to... – Przerwała, żeby nie powiedzieć tego, co sobie pomyślała.

– Lena... Zrób, jak ci powiem. Nie sprzeciwiaj mu się. Musimy stąd odejść przy pierwszej okazji. Ja razem z nimi. Nie ma wyjścia.

– Ty nie...

– Lena... – Skręcił się z całych sił, żeby odwrócić się do niej, silny ból zaparł mu dech w piersiach.

Ona go uspokoiła.

– Ciii... Teraz musisz odpoczywać.

Po zastrzyku morfiny Guillén zasnął. Lena też zdrzemnęła się w fotelu, krótko, po czym podeszła do okna i lekko rozsunęła zasłony: słońce brzasku zaczynało rozjaśniać niebo.

– Kurwa, odejdz od okna!

Nie okazując najmniejszych emocji, wróciła na fotel. Loli patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Biedna dziewczyna ciągle się bała, przez całą noc, którą spędziła, chwilami zasypiając u boku Pablita, jak drugie dziecko.

– Jak długo chcesz tak siedzieć? – Lena odważyła się zapytać Plamę.

– Zamknij się...

Partyzant wrócił do swoich myśli: zamknie obie kobiety i dziecko w kuchni, żeby oszczędzić im widoku. Potem zastrzeli Francuza i wtedy stamtąd ucieknie, prościutko w góry. Dawał sobie czas do ósmej, ani minuty dłużej. Rzucił okiem na zegarek, minęła szósta. Poczł się wyczerpany. Odłożył pistolet na stół, wygiął zdrętwiałe palce, które strzeliły w stawach.

Lena obudziła się przestraszona, kiedy usłyszała hałas na zewnątrz: samochody, konie, kroki na żwirze. Plama już wyrżał przez okno i rzucił się na nią jak byk na arenie, z wykrzywioną twarzą. Wyciągnął pistolet z za pasa i nic nie mówiąc, chwycił ją za ramię, podniósł z fotela i przytknął jej lufę do pleców.

– Prudencio Cifuentes, tu Guardia Civil. Wiemy, że jesteś w środku. Dom jest otoczony, nie masz drogi ucieczki. Wyjdź z rękami w górze.

Kiedy umilkł metaliczny głos megafonu, zaległa ciężka cisza, którą szybko przerwały pacierze i łzy Loli. Pablo też się obudził; maluch mocno przytulał się do dziewczyny, bał się nawet płakać. Odruchowo Guillén chciał wstać, ale zabrakło mu sił i powstrzymał go ból. Chciał krzyknąć do Plamy, żeby wypuścił Lenę, zagrozić mu, co zabrzmiałoby śmiesznie; wykrzyczałby na głos swoją niemoc

i rozpacz.

Plama wypchnął Lenę do przedpokoju i tam rzucił ją na drzwi.

– Wyjdz! – wrzasnął jak szalony. – Kurwa, otwórz drzwi i wyjdz!

Lenie tak bardzo trzęsły się ręce, że z trudem ściągała łańcuch i przekręcała klucz. Gdy jej się to udało, otworzyła drzwi i światło dnia uderzyło ją prosto w oczy. Stopniowo zaczęła dostrzegać stojący przed domem rząd samochodów, a za nimi gwardzistów z karabinami. Nogi się pod nią ugięły i upadłaby, gdyby Plama nie trzymał jej za plecy. Poczula lufę pistoletu na szyi. Serce miała w przełyku.

– Zabiję ją! Przysięgam, że ją zabiję, jeśli nie pozwolicie mi przejść!

Guillén usłyszał krzyki Plamy; mimo to nie chciał stracić ani chwili na słuchanie jego słów. Szeptem zawołał służącą. Uparcie ją wołał, bo wyglądało na to, że dziewczyna ze strachu nie chce zareagować. W końcu mu się udało. Z doprowadzającą do szału powolnością kucnęła u jego boku. Płakała i trzęsła się. Guillén powiedział coś po cichu i ona pomogła mu wstać. Zostawiła go opartego o kanapę i podeszła do stołu. Wzięła pistolet, o którym Plama zapomniał. Chwyciła go mocno w drżące dłonie i oddała Guillenowi, jakby to była płonąca głownia.

Lena była na skraju załamania nerwowego. Ze wszystkich sił próbowała się uspokoić i nie pogorszyć sytuacji. Musiała zachować zimną krew. Plama trzymał ją za rękę z wielką siłą. Pistolet dotykał jej skóry przy każdym jego krzyku. Przyjrzała się nieruchomym gwardzistom, stali, jakby byli figurkami z ołowiu. Zaczynał jej się mącić wzrok, słowa Plamy docierały do niej głucho...

– Chcę samochodu z włączonym silnikiem! I wolnej drogi! Jak coś się wydarzy, kropnę ją!

– Plama!

Lena się przestraszyła, usłyszawszy ten krzyk za plecami. Partyzant się odwrócił. Padł strzał. Potem drugi. Mocno zacisnęła powieki i z trudem powstrzymała pisk. Czowała, jak jej porywacz się skręca, jak nagle jego uścisk staje się lżejszy i jak w końcu pada z hukiem na ziemię.

Zwróciła wzrok w stronę domu i zobaczyła Guillena. Stał z pistoletem w ręku. Zobaczyła, jak się chwieje, pada na kolana i znika w połowie korytarza.

To było niczym oglądanie filmu. Filmu, który rozpoczyna się powoli, bo ktoś kręci korbką projektora i wielka metalowa szpula rusza z typowym klekotaniem. Wtedy scena na ekranie nabiera życia: pojawia się dźwięk, aktorzy się poruszają...

Tak się działo dookoła niej, podczas gdy ona stała nieruchomo po drugiej stronie ekranu. Chciała pójść do Guillena, ale nogi jej nie słuchały. Osunęła się na kolana. Jakiś gwardzista ją podtrzymał za ramiona, chciał jej pomóc. Ale ona wysliznęła mu się i podeszła na czworaka do Guillena – leżał, ciągle się nie ruszał.

Wyciągnęła rękę, żeby go dotknąć. On uniósł głowę. Wypowiedział jej imię.
– Wszystko w porządku... Nogi odmówiły mi posłuszeństwa...
Przytulili się, wyrażając tym uściskiem cały swój niepokój, strach i rozpacz.

*

Zabrali Guillena do szpitala wojskowego i umieścili w specjalnym skrzydle przeznaczonym dla więźniów i aresztantów. Zrobili mu operację, żeby wyciągnąć kulę z ramienia, i przesłuchali go, gdy tylko obudził się z narkozy. Nie zastosowali wobec niego żadnego gwałtu. Przypuszczał, że czekają, aż dojdzie do siebie. Chcieli go tylko przestraszyć: powiedzieli mu, że jest oskarżony o terroryzm i zbrojną opozycję wobec rządu. Groziła mu kara śmierci.

Lena chciała by spędzać przy jego łóżku dni i noce, ale jej nie pozwolono. Mogła mu tylko złożyć wizytę w towarzystwie funkcjonariuszy. To spotkanie ze świadkami okazało się chłodne, spięte; więcej było rzeczy, których nie powiedzieli, niż tych, które powiedzieli. Nawet Jaime nie był w stanie tego odkręcić.

Cała rodzina się zmobilizowała, żeby pomóc Guillenowi. Wszyscy chwycili się swoich wspaniałych życiorysów pełnych miłości do rządu, krwi przelanej za Boga i ojczyznę, służby Hiszpanii. Wszyscy sięgnęli do swoich licznych kontaktów i znajomych, od najniższego do najwyższego poziomu. Mąż Renaty, który był funkcjonariuszem Guardia Civil; Pepe, który był odznaczonym pułkownikiem sił powietrznych i bohaterem chwalebnej wyprawy krzyżowej za Hiszpanię; i przede wszystkim Jaime, który osobiście znał generała Franco i co tydzień miał odprawy u Alberta Martina-Artajo, ministra spraw zagranicznych.

Dopóki Guillén leżał w szpitalu, był czas, żeby pociągnąć za setki sznurków.

Sierpień 1950

Jaime nie spał dobrze. Co noc kładł naładowany pistolet przy łóżku. Trudno mu było zasnąć i często budziły go koszmary.

Bardzo mocno przeżywał ten atak na rodzinę, od chwili, gdy tylko dotarły do niego do Madrytu niejasne wiadomości na ten temat. Pamiętał doskonale rozpaczliwe godziny podróży do domu na wsi – nie wiedział, co się dokładnie wydarzyło, myślał o Lenie, o Pablu, o dziecku, które miało się urodzić... Od tego czasu żył w poczuciu niepewności, zagubienia; uświadomił sobie, że w każdej chwili wszystko może mu się wymknąć spod kontroli, a on nie będzie w stanie temu zapobiec, i dotarło do niego, jak kruche jest jego szczęście, jego i tych, których kocha.

I był jeszcze Guillén. Który pojawiał się jak olbrzym, zniecka, i mógł zdmuchnąć jego domek z kart. Guillén.

Tamtej nocy znowu tak było. Jęczał i krzyczał, kiedy Lena potrząsnęła go za ramię.

– Spokojnie... Spokojnie... To tylko sen...

Gładziła go po spoconej twarzy. On dyszał jeszcze na jawie. Spojrzał na nią zagubiony i rozpaczliwie ją przytulił.

– Nie chcę cię stracić... Nie chcę cię stracić... Nie mogę bez ciebie żyć...

Ona, zbita z tropu, starała się go pocieszyć, całując go i pieszcząc.

– Nie stracisz mnie... Jestem tutaj, z tobą – szeptała słodko.

Ale w jego wytrzeszczonych oczach nie dostrzegła ani krztyny spokoju. Jak gdyby zupełnie jej nie wierzył.

*

Podpułkownik Guardia Civil Servando García od lat zwalczał terroryzm, partyzantów i bolszewickich bandytów najgorszego autoramentu. Od 1934 roku, kiedy będąc zaledwie sierżantem, tłumił robotnicze bunty w Éibar. Potem w wojnie domowej walczył po stronie narodowej, a po niej dowodził oddziałem w dolinie Arán. Organizował walkę antyterrorystyczną przeciw tajnym organizacjom anarchistycznym i komunistycznym w Katalonii. Widział śmierć wielu swoich ludzi w starciach z partyzantką, musiał pocieszać wiele wdów i sierot, które ci dobrzy strażnicy prawa, dzielni chrześcijanie i patrioci, zostawili po sobie z winy oporu czerwonych niepokorzonych z tym, że wojna już się skończyła. Był zdecydowany wyrwać te chwasty. Traktował to jako sprawę osobistą.

Dlatego zawsze stawał okoniem, kiedy przychodziły do niego wiadomości

takie jak ta. Kiedy okazywało się, że jakiś paniczek zza swojego biurka gdzieś na wysokościach, który nigdy nie dotknął ziemi ani nie ryzykował życia za swoich ludzi, postanawiał, że należy wypuścić jednego z tych dzikusów. Ta banda polityków i biurokratów nie była świadoma, że te zatwardziałe skurwiele nigdy się nie nawracają, że zostaną czerwonymi skurwielami, choćby byli kuzynami samego Franco.

Z pogardą rzucił na biurko raport dotyczący Guillena Alvaraza. Nie przesłuchiwali go, nie zaznał prawdziwego przesłuchania, podczas którego wyrwaliby z niego wszystko, co wiedział; nie był w więzieniu, tylko w czystej sali szpitalnej, gdzie sobie odpoczywał, mając dobre jedzenie i opiekę medyczną; nie było sądu ani kary; nie było zemsty ani sprawiedliwego zadośćuczynienia za jego czyny. Oskarżony Guillén Álvarez miał się wymknąć chyłkiem.

Oczywiście jego zeznanie nie miało żadnego znaczenia. Wszystko, co powinni wiedzieć o bandzie Prudencia Plamy, już im wyjawiał ten zdrajca, chłopaczek o imieniu Antón, któremu obiecali wolność. Czasem jednak tortury bywały bardziej przekonujące i pouczające niż cokolwiek innego; były karzące i przykładowe. A ten typek miał się wymigać od swojej porcji kary.

To oczywiście, że podpułkownik Servando García był szczerym lisem i znakomicie potrafił sobie ze wszystkim poradzić. Jeśli ktoś zastępował mu drogę, znajdował inną. Zbrodnia to zbrodnia, bez względu na to, kto ją popełnił, a sprawiedliwość musi dotyczyć wszystkich ludzi. Całe szczęście wiele jest sposobów wymierzania sprawiedliwości, nieważne jak byłyby pokrętne. I on doskonale wiedział, co ma robić. Nie było mu obce to, jak ci czerwoni traktują swoich wrogów: bez litości.

Servando García rozparł się w fotelu i zapalił hawańskie cygaro. „Niech to oni odwalą brudną robotę”, pomyślał z zadowoleniem.

*

Przez tydzień Guillén był odseparowany w szpitalu, praktycznie nikt go nie odwiedzał, poza jedną wizytą Leny, na samym początku.

„Wyciągniemy cię z tego. Nie martw się”, zapewniła go. Oczywiście Lena nigdy nie powiedziała mu prawdy, gdyby była przerażająca. Wiedział, na co się wystawia. Będzie oskarżony o terroryzm i bandytyzm, o kradzież i porwanie z bronią, i śmierć (dwóch gwardzistów zginęło w tartaku). Jeśli nie trafi przed pluton egzekucyjny, umrze w więzieniu, odsiadując dożywocie. Innych możliwości nie było.

Już wielokrotnie stawiał czoło śmierci. I chociaż doświadczenie nie zmniejszało strachu, przynajmniej pozwalało na całkowitą rezygnację. Może

najgorsze z tego wszystkiego jest czekanie, niepewność, osamotnienie... Może dlatego, że miał nerwy napięte jak postronki i pancerz osłaniający emocje już został bardzo nadwreżony, to, co musiał zobaczyć, wyjątkowo go odmieniło.

Zdarzyło się to z rana, w dwadzieścia cztery godziny po tym, jak zdołał wstać i utrzymać się na nogach, po okresie pooperacyjnej rekonwalescencji i przyjmowania silnych leków przeciwbólowych. Zabrało go ze szpitala dwóch funkcjonariuszy, bez słowa wyjaśnienia, skutego z jednym z nich. Wsadzili go do samochodu. Przygnębienie i niepokój były najgorszymi towarzyszami podróży. Przyszło mu do głowy, że mogą go zabierać tylko do sądu albo do sali przesłuchań. Po tylu torturach i udrękach nie byłby w stanie znieść kolejnych. Nieświadomie wpadł w spiralę rozpacz i przerażenia, które doprowadziły do tego, że musieli się zatrzymać w połowie drogi, żeby zwymiotował. Ten zwierzęcy strach uświadomił mu, jak jest słaby.

Kiedy w końcu zrozumiał, dokąd go wiozą, był zdumiony i zmieszany. Pojechali samochodem do wioski pełnej żołnierzy i policji. Tam go wyciągnęli z samochodu na oczach ciekawskich gapiów. Na placu ustawił się szereg trzydziestu dwóch gwardzistów dowodzonych przez porucznika; mieli pistolety, pistolety maszynowe i karabiny.

O zmierzchu oddział wyruszył karawaną mułów w góry, na północne zbocze. Zabrali ze sobą Guillena, ciągle skutego z tamtym funkcjonariuszem, młodzieńcem, którego imienia nigdy nie poznał. Kiedy dotarli w znajome okolice kryjówki bandy Plamy, oddział podzielił się na cztery grupy, które całkowicie obsadziły okolicę, odcinając drogi ucieczki. On i jego gwardzista zostali na tyłach, w miejscu, skąd mieli doskonały widok na to, co się miało wydarzyć.

Zauważył ich jeden z partyzantów. Nazywali go Knur. Załatwiał się za jakimś głazem, kiedy dostrzegł odbłask słońca w lufie jednego karabinu. Z opuszczonymi spodniami zaczął krzyczeć, żeby zawiadomić pozostałych. Rozpętała się strzelanina, krótka, ale intensywna. Nikt się nie uchował. Wyłapali wszystkich jak króliki w klatce. Każdego po kolei, nie patrząc na to, czy był żywy, czy martwy, dobijali strzałem w głowę. Nawet Teresitę dobito strzałem w twarz, która tak bardzo podobała się Plamie. Guillén widział to wszystko doskonale, siedział w pierwszym rzędzie, u stóp nieboszczyków, z miękkimi nogami i ściśniętym żołądkiem.

Potem załadowali ich na muły jak trofea myśliwskie. I wrócili do wioski. Na placu zbudowano podwyższenie, na którym ułożono ich jak towar na straganie, bez szacunku: siedmiu partyzantów i kobieta, którzy wyglądali jak kupa bezkształtnego mięsa. I zostawili ich na słońcu na czas oczekiwania na sędziego. Trupi smród wypełniał powietrze. Zleciały się stada much. Ludzie przyglądali się w milczeniu. Bolaños, Teresita, Knur... Wielu ich znało. Guillén znał imiona wszystkich i każde z nich po kolei podawał sędziemu swoim chrapliwym głosem.

Guillén Álvarez, chłopak Ramona, którego nazywali Francuz, bo w rzeczywistości był renegatem: wyrzekł się swojej wioski, rodziny, kraju. A do tego został zdrajcą.

Guillén Álvarez, który na widok tych zmasakrowanych ciał w końcu wybuchnął histerycznym łkaniem. Płakał nie nad którymś z tych nieszczęśników. Nie płakał nad niczym i płakał nad wszystkim.

*

Następnego dnia stanął przed obliczem sędziego i złożył zeznanie. Rodzina załatwiła mu adwokata, najlepszego specjalistę od prawa karnego w kraju. To był jego jedyny reprezentant w tej scenie, w której najprzyjemniejszy był zdradzający poczucie winy półuśmiech sekretarki sędziego. Żadnej znajomej twarzy, żadnego życzliwego spojrzenia.

Czterdzieści osiem godzin później wypuścili go ze szpitala i jednocześnie obwieścili, że nie ma postawionych żadnych zarzutów i jest wolny. Gdy to czytał, nie mógł uwierzyć. „Mogę iść?”, zapytał bez przekonania sierżanta, który przyniósł mu pismo. Ten rzucił mu nienawistne spojrzenie, które wyrażało setki cisnących się na usta słów, po czym w milczeniu odwrócił się na pięcie i odszedł.

Guillena ogarnęło wtedy dziwaczne uczucie, że ma przed sobą całą długą drogę; drogę jałową i pustą, bez zatrzymania ani przeznaczenia, nawet bez bagażu, z którym mógłby wyruszyć. Zapiął zegarek, włożył do kieszeni paczkę papierosów, wsunął jedną rękę do rękawa marynarki, drugiej nie, bo miał ją na temblaku, i wyszedł pomiędzy tych czterech białych ścian, jakby sprawdzał, co znajduje się na zewnątrz bańki, do której trafił.

Dostrzegł elegancką postać Jaimego Aranzadiego pośród ludzi w hallu. Wszystko zaczynało do siebie pasować. Dziwne to było spotkanie: chłodny uścisk dłoni i krótkie powitanie. Dziwne spotkanie z człowiekiem, który z całą pewnością stał za jego bezprawnym uwolnieniem. Dziwne spotkanie z mężem kobiety, którą kochał. Z kimś, kto nie był jego rodziną, ale był jedynym, który tam przyszedł, który wsadził go do własnego samochodu, który towarzyszył mu w pierwszych chwilach po wyjściu. Dziwne spotkanie z człowiekiem, który zrobił to wszystko, a przecież powinien go nienawidzić.

– Gdzie jest Lena?

Rozpoczęli podróż w milczeniu. Siedzieli na tylnej kanapie czarnej limuzyny prowadzonej przez szofera. Każdy z nich odwrócony do swojego okna w atmosferze tak gęstej, że można by ją kroić nożem.

– W Madrycie. W domu. Jedziemy tam.

Guillén poczuł się niezręcznie. Zabolęła go rana, więc się skrzywił. Dotknął

ręką bandażu. Dopiero wtedy Jaime spojrział na niego. Na swój sposób było to upokarzające.

– Zawsze kończy się na tym, że to ty musisz mnie wyciągać z tarapatów – powiedział. – Aż muszę się czerwienić... A dla ciebie... Wyobrażam sobie, że to musi być bardzo wkurzające...

– Wiem, ile znaczysz dla Leny. I nic, co robię dla niej, nie jest wkurzające.

Strzały były dobrze dobrane i celnie wymierzone.

– Każdy inny na twoim miejscu cieszyłby się, patrząc, jak dyndam na sznurze.

Jaime pokręcił głową, równie zmęczony, co melancholijny.

– Czasem trudniej rywalizować z duchami – zawyrokował. – Ja walczę z kapitanem Ardsteinem, wolałbym, żeby nie było was dwóch.

– Przypuszczam, że każdy z nas zajmuje swoje miejsce. To, które ona nam wyznaczyła – zauważył Guillén, rozumiejąc, że obaj wbijają sobie kolce, trzymając łądygę tej samej róży.

Wobec takiej deklaracji Jaime zaśmiał się nieco arogancko.

– Jesteś w błędzie. Ona o nic nas nie prosiła. To my zgodziliśmy się na taką sytuację. Dla niej. Ale absolutnie z własnej woli. Nie wyobrażamy sobie życia bez Leny. Jesteśmy na nią skazani.

Guillén powoli przyznawał mu rację. Znowu spojrział za okno. W sumie to szkoda, że ten facet jest jego rywalem, przecież mogliby się zaprzyjaźnić. A może mimo wszystko nie był rywalem.

*

Samochód zatrzymał się naprzeciw kamienicy na ulicy Alfonsa XII, z widokiem na park Retiro. Kierowca wysiadł i otworzył drzwi Guillenowi. Jaime nie wstał.

– Jesteśmy. To czwarte piętro.

– Ty... nie idziesz?

– Nie. Pewnie macie sobie wiele do powiedzenia.

Jaime siedział dalej z zaciśniętymi szczękami i zmarszczonym czołem. Guillén wysiadł z samochodu, słowa podziękowania nie padły z jego ust.

Na każdym piętrze było tylko jedno mieszkanie, więc zadzwonił do głównych drzwi. Po chwili otworzyła mu służąca i poprowadziła go do salonu.

Lena wstała, usłyszawszy, że wchodzi. Letnie światło skąpało jej postać, więc Guillenowi wydało się, że ona przybywa z nieba; znieruchomiał, przyglądał jej się ze wstrzymanym oddechem, zobaczył, że jest w ciąży. Podszedł do niej i położył rękę na brzuchu. Tak wiele chciałby jej powiedzieć... Ale z jego strun

głosowych, napiętych jak w dobrze nastrojonym instrumencie, wydobywały się tylko pojękiwania. Przytulił ją lekko i pozwolił się przygarnąć.

– Jeśli coś ci się stanie... Ja... Jeśli coś... Lena... Ja... – mówił, przerywając, nie potrafiąc przekazać słowami swoich emocji.

Uciszyła go szeptem. To wtedy zdał sobie sprawę, że ona płacze. Otarł jej łzy palcami i pocałował słone usta. I Lena odwzajemniła pocałunek.

Nocny wiatr pachnący świeżo ściętą trawą kołysał firankami w otwartych oknach. Oświetlała je tylko mała lampka. Leżąc na kanapie, Lena oparła głowę na kolanach Guillena i pozwalała się pieścić z zamkniętymi oczami.

– Nie wyjeżdżaj – postanowiła go poprosić. – Zostań. W końcu... Na zawsze... Wojna się skończyła. Skończyła się dawno temu. Wróc do domu. Proszę... – Odwróciła się, żeby zobaczyć jego twarz i pogłodzić ją. – Pozwól mi o siebie dbać...

Guillén czuł się rozbity. Dosłownie złamany, jak stary zegar, któremu pękła sprężyna i nie jest w stanie chodzić. Dryfował. Te jej słowa przybiły go. Pochylił się i złożył na jej czole długi pocałunek, równie czuły, co gorzki. Kiedy się odsunął, oboje spojrzeli na siebie szklanym wzrokiem.

– Nigdy nie przestanę żałować wyboru niewłaściwej drogi... Że zostawiłem cię tyle razy... Teraz... jest już za późno...

– Nie...

– Leno... Tu nie ma dla mnie miejsca...

– Ależ jest... Tu... – Położyła sobie rękę na piersi.

Guillén uśmiechnął się. Położył dłoń na jej dłoni i wydało mu się, że czuje przez nią bicie serca.

– Wiem... Nie przychodzi mi do głowy lepsze miejsce... Zostanę tam na zawsze, bo to mój dom, ty jesteś moim domem. Tam, dokąd pójdziesz, ja pójdę z tobą. A odległość będzie tylko podsycać miłość, którą do ciebie czuję. I przyjadę na święta, i w lecie, i na wszystkie twoje urodziny... A ty przyjedziesz do Paryża i przez krótki czas będziesz tylko moja, bo świat zniknie i zostaniemy we dwoje, jedno dla drugiego... Moja ukochana. Moja miłości.

*

Mateo Collado podniósł kołnierz marynarki, żeby ochronić się przed zimnym wiatrem, który jeżył mu włosy na karku. Zapalił kolejnego papierosa w świetle ulicznej lampy, nie spuszczać wzroku z bramy, którą obserwował przez całą noc. Miał ochotę wreszcie wykonać to zadanie.

Zwykle nie interesowały go partyjne intrygi. Doszedł do wniosku, że aby

porządnie wykonywać zadania, najlepiej trzymać się na uboczu tego, co się wysmaża w wyższych sferach, we Francji, w Rosji czy gdziekolwiek indziej. Nie chciał oceniać swoich ofiar, kiedy spojrzy im w oczy. A on był zawodowcem, który zawsze zabijał, patrząc w oczy.

Tym razem jednak dotarły do niego różne plotki. Sprawa była dość głośna: cały oddział partyzancki wpadł przez szpicla. Mętna historia, w której nie do końca znaleziono winnego. Sprzeczne raporty, uciszani świadkowie, niedokładne wiadomości... Jakkolwiek jednak było, potrzebowali kozła ofiarnego, zdrajcy, którego rzuciłoby się masom na pożarcie. Podobno zdecydowała interwencja z Moskwy, bo w archiwach NKWD była otwarta sprawa z czasów wojny, gdzie już chodziło o zdradę i dezercję tego człowieka. Brzydka sprawa... Zawsze kiedy wtrącała się Moskwa, sprawy robiły się brzydkie. Mateo nie lubił niczego, co pachniało czystką, konspiracyjną paranoją... On jednak był tylko wykonawcą, płatnym zabójcą, człowiekiem wiernym partii. Wolałby nic nie wiedzieć o tej sprawie, bo to on musiał pociągnąć spust.

I wreszcie nadarzyła się okazja: mężczyzna wyszedł z bramy. Mateo rzucił niedopałek na chodnik, włożył prawą rękę do kieszeni i przeszedł przez ulicę.

Rozpoznał cel i poszedł za nim do następnej przecznicy. Nocą te okolice miasta były puste. To będzie łatwe zadanie. Pośrodku ciemnej ulicy zawołał go:

– Guillenie Álvarez!

EPILOG

Październik 1990

Historia francuskich lotników. Tam się wszystko zaczęło. Tam się zakończyło. I do tej płyty chodziła Lena, chociaż nie zostały na niej wyryte imiona, którym oddawała cześć. To bez znaczenia. Kurta i Guillena miała w sercu, gdzie zawsze ich nosiła, wraz z pięciorgiem swoich dzieci i dwanaściorgiem wnuków, ze wszystkimi dobrymi wspomnieniami, które zostawiło jej życie, a dobra pamięć szanuje tylko takie; wraz z tym wierszem Keatsa i gałązką wrzосу, z *Liebling* szeptanym na uszko i konstelacją, której gwiazdy są połączone na zawsze przez przeznaczenie... Wraz z Jaimem.

On towarzyszył jej przez resztę drogi, rozsiewając tę szczodłą miłość, która powinna być jedyną miłością. I nim dotrze do końca – bo tak się umówili, bo nie mogło być inaczej – wezmą się za ręce, leżąc jedno obok drugiego, zamkną oczy i razem udadzą się w ostatnią podróż.

„Czy można kochać więcej niż jedną osobę naraz, Gini?” Czasem słyszała, jak zadaje to pytanie, kiedy była młoda i nie wiedziała, że miłości się nie mierzy ani nie wycenia. Po prostu czuje się ją.

Na koniec odnalazła odpowiedź.

Z twarzą zmoczoną deszczem i mętłym wzrokiem skierowanym na nazwiska francuskich lotników Lena uśmiechnęła się i z tym uśmiechem ruszyła w drogę powrotną do domu.

OPARTE NA FAKTACH I POSTACIACH RZECZYWISTYCH

Ta powieść jest szczególna. To oczywiste, że dla mnie wszystkie moje powieści są szczególne; nie może być inaczej. A jednak *Zimowy wiatr na twojej twarzy* ma coś, czego inne nie mają: gotowała się długo, na bardzo małym ogniu.

Jest to powieść, którą pisałam najdłużej. I nie chodzi mi o czas spędzony przed ekranem komputera. Odnoszę się raczej do tych wszystkich lat zbierania anegdot, historii, postaci i zdarzeń. Ta powieść składa się bowiem z wielkiej liczby ingrediencji pochodzących z rzeczywistego życia; niektórych nawet z mojego własnego doświadczenia. Najważniejszym zadaniem było połączyć je, nadać im spójność. Naprawdę łamałam sobie nad tym głowę: ta historia, ze wszystkich moich historii była najbardziej żywa, ale i najbardziej niesforna, najtrudniejsza do opanowania, ponieważ ostatecznie z całą pewnością nie była moja, tylko zapożyczona. Wynik całkiem mi się spodobał: jest to historia najbliższa, najbardziej ludzka i najbardziej prawdziwa ze wszystkich, jakie do tej pory napisałam. Została wszak przygotowana z naturalnych składników.

Zacznijmy od załączka powieści. Pomysł zrodził się w łonie mojej własnej historii rodzinnej: mojego dziadka od strony ojca i jego trzynastu braci. Konkretnie – wydało mi się szczególnie interesujące to, że trzech synów z tej hiszpańskiej rodziny walczyło na trzech frontach II wojny światowej. Musiała być w tym dobra historia.

Mój dziadek José Antonio Montero Álvarez, dla mnie dziadek Pepe, podczas wojny domowej walczył po stronie frankistowskiej, był obrońcą Oviedo podczas oblężenia miasta, potem zgłosił się na ochotnika do Błękitnej Dywizji i walcząc na froncie wschodnim, został poważnie ranny w bitwie o Krasny Bor.

Jego brat Luis Montero Álvarez, mimo że pochodził z rodziny głęboko wierzącej i bardzo religijnej oraz konserwatywnej, wstąpił do Komunistycznej Partii Hiszpanii i w wojnie domowej walczył po stronie republikańskiej. Po wojnie schronił się we Francji i walczył w ruchu oporu przeciw niemieckiej okupacji, został aresztowany i był torturowany przez Gestapo. W końcu trafił do obozu koncentracyjnego w Mauthausen, gdzie pozostał aż do wyzwolenia obozu przez Amerykanów w 1945 roku. Zginął w roku 1950 zabity przez własną partię; jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Inny brat mojego dziadka, Constante Montero Álvarez, był dominikaninem, misjonarzem na Formozie, obecnym Tajwanie, i na własnej skórze odczuł japońską inwazję oraz wojnę na Pacyfiku.

Czytelnicy łatwo rozpoznają ich historie wplecione w tę powieść. Mam nadzieję, że mój dziadek – który gdy piszę te słowa, ma sto dwa lata! – wybaczy

mi, że pożyczyłam sobie jego historię i obdarzyłam nią kobietę.

Wiele zdarzeń, w które uwikłani są Lena i Guillén, jest prawdziwych i opiera się na opowieściach zasłyszanych w rodzinie. Spotkanie Pepego i Guillena, będących po przeciwnych stronach frontu w Oviedo, gdy jeden próbuje przekonać drugiego do zmiany strony, jest echem prawdziwego spotkania pomiędzy moim dziadkiem Pepem a jego bratem Luisem. Scenę przedzierania się Matiasa przez linie wroga i wołania „Nie strzelać, jestem z wami” oparłam na wyczynach jeszcze innego brata mojego dziadka – mianowicie wujka Manolina. Moja cioteczna babka Pura pracowała w szpitalu Llamaquique podczas oblężenia Oviedo i w trakcie bombardowania wyciągnęła dziadka z sali, w której przechodził operację w wyniku ran odniesionych na froncie.

Inne ważne zdarzenie w biografii mojego ciotecznego dziadka Luisa pochodzi z czasów jego działań w partyzantce antyfrankistowskiej w asturyjskich górach. Scenę, w której Guillén jest zmuszony przez Guardia Civil do przyglądania się egzekucji partyzantów w ich kryjówce, przeżył mój wujek osobiście.

Kiedy budowałam postać Jaimego Aranzadiego, nie znalazłam lepszej inspiracji niż dziadek ze strony ojca: Gregorio Manglano. Dziadek Gregorio zgłosił się na ochotnika do Wojska Narodowego, kiedy miał zaledwie osiemnaście lat i studiował prawo na uniwersytecie w Salamance. Wziął udział w wielu bitwach, które wymieniam przez całą powieść: Jarama, Brunete, Puente del Arzobispo. Był na froncie pod Guadarramą, stacjonował w Palacio de Riofrío w pobliżu La Granja de San Ildefonso i mógł tam poznać pielęgniarkę taką jak Lena – choć szczęśliwie tak się nie stało i poznał Conchitę, moją wspaniałą babcię. Tak jak Jaime Aranzadi doszedł do stopnia porucznika. Później był jednym z pierwszych oficerów nowo utworzonych Wojsk Powietrznych i założycielem Academia General del Aire w Murcji. Pracował jako adwokat jeszcze długo po przekroczeniu wieku emerytalnego; zawsze mówił, że umrze w butach, i tak się stało. Jaime Aranzadi jest hołdem dla niego – zawsze wesoły i radosny, ma dobre serce, a jego umiejętność postępowania z ludźmi i spokojny charakter oraz część jego doświadczeń z wojny domowej to kalka mojego dziadka; nawet jego wielkie zielone oczy i ogólnie wygląd.

Nie mogę też nie wspomnieć historii o koniach w kapciach, która jest absolutnie prawdziwa. Wziął w niej udział mój dziadek na froncie w Guadarramie i ostatnio usłyszałam ją z ust wujka Gregoria. Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy coś podobnego.

Może najbardziej zaskakujące dla czytelnika będzie to, że jeden z podstawowych filarów, na których zasadza się historia, choć nie może się wydawać bardziej powieściowy, jest prawdziwy. Chodzi mi o historię francuskich lotników. Może to niesamowite, ale podobna historia zdarzyła się w górach opodal Burgos w latach pięćdziesiątych. A ja miałam szczęście usłyszeć ją bezpośrednio

od siostrzeńców człowieka, któremu się przytrafiła. Wodnopłatowiec, który latał pomiędzy Paryżem a Lizboną, rozbił się w górach Demanda, próbując wodować na zaporze na rzece Arlanzón. Po kilku dniach bezowocnych poszukiwań jakiś chłopak wypasający owce w okolicy znalazł szczątki samolotu i ciała załogi. W ramach wdzięczności wdowa po Léonie Douzille'u, pilocie i jednocześnie właścicielu fabryki, która zbudowała pechowy samolot, przyjechała do Hiszpanii i zaproponowała, że zabierze chłopaka do Francji, żeby go wykształcić. W ten sposób skromny pasterz został inżynierem i dyrektorem jednego z największych przedsiębiorstw lotniczych we Francji. Nie mogłam się oprzeć napisaniu powieści opartej na tej historii.

Wiele innych zdarzeń, historii, słów, a nawet zdań zostało zebranych ze wspomnień, które zostawili po sobie ich uczestnicy oraz świadkowie. Dotyczy to zwłaszcza Błękitnej Dywizji. Tak było z pantomimą korridy na froncie rosyjskim, adopcją kotka (jest wiele fotografii żołnierzy z kotkami). Prawdziwa jest też historia sądu i stracenia hiszpańskiego republikanina złapanego przez Niemców w radzieckich szeregach. Jakiś czas temu opublikowano list hiszpańskiego księdza do dziewczynki z Leningradu, rzekomo córki hiszpańskiego żołnierza, który zginął w Kransym Borze, i Rosjanki. Zdaje się, że ksiądz udzielił ślubu tej parze bez pozwolenia dowództwa i ochrzcił dziecko, z którym skontaktował się szesnaście lat później. Historia miłości pomiędzy kapitanem Escobedem i Wałą jest oparta na tym zdarzeniu.

Postać kaprała Antonia Pontego Anida, Toñina, jest prawdziwa. Jego czyn, bez wątplenia bohaterski, rzucenia się z miną pod radziecki czołg zmierzający w stronę szpitala, także. Wszystko zdarzyło się tak, jak to opowiadam w powieści.

Z hiszpańskich kronik wzięłam też postaci lekarza Martineza Burgosa, dowódcy Belloda i kapitana Aramburu. Ten ostatni dosłużył się stopnia generała porucznika i był dowódcą Guardia Civil w okresie przejściowym.

Innym zdumiewającym zdarzeniem, na które wpadłam podczas swoich poszukiwań, była ucieczka więźniów wywożonych do obozu koncentracyjnego – historia praktycznie nieznaną aż do niedawna, kiedy to historyk Tanja von Fransecky opublikowała w Niemczech studium, w którym dokumentuje siedemset sześćdziesiąt przypadków ucieczek z transportów. Te przypadki były pomijane milczeniem w głównej mierze z powodu poczucia winy i wstydu ich uczestników, którzy uważali, że w jakiś sposób zdradzili i porzucili swoich, żeby ratować własne życie. Ucieczka Guillena z pociągu do Auschwitz jest oparta na jednym z tych przypadków, nawet obrzydliwy sposób na wyłamanie krat za pomocą materiału nasączonego odchodami.

Co do Kurta Ardsteina-Daszkowa – choć jest postacią całkowicie wymyśloną, wiele elementów jego biografii opiera się na zdarzeniach rzeczywistych, szczególnie to, co się odnosi do pułku Brandenburg. Za wzór

i inspirację posłużył mi baron Adrian von Fölkersam, dowódca Waffen-SS, który był brandenburczykiem.

Poza wspomnianymi pojawia się w tej książce wiele postaci historycznych – albo w krótkich wzmiankach, albo w ważnej roli. Taki jest przypadek szefa Abwehry, admirała Wilhelma Canarisa. Zawsze wydawał mi się jedną z najbardziej fascynujących i enigmatycznych postaci II wojny światowej. Liczni historycy wciąż badają jego losy i dwuznaczną postawę, jaką przyjął podczas wojny. Z jednej strony odpowiadał za operacje wywiadowcze prowadzone przeciwko aliantom i innym wrogom III Rzeszy. Z drugiej strony osłaniał członków wewnętrznej opozycji przeciwko Hitlerowi i utrzymywał kontakty z aliantami, mające doprowadzić do zakończenia wojny. Podczas procesów norymberskich przyznano, że próbował położyć kres zbrodniom wojennym i ludobójstwu. Uznany przez niektórych za zdrajcę ojczyzny, a przez innych za bohatera, z pewnością jest postacią kontrowersyjną i interesującą, której chciałam złożyć mały hołd w tej powieści. Z tego, co wyczytałam o Wilhelmie Canarisie, jawi mi się jako człowiek honorowy.

Co do historii żydowskich naukowców, chociaż więcej jest w niej z fikcji niż z prawdy, została oparta na prawdziwej historii rabina Menachema Schneersona, który na początku wojny ukrywał się w Warszawie przed niemieckim prześladowaniem. Na prośbę amerykańskiego rządu major Ernst Bloch, agent Abwehry, mający ojca Żyda, został wysłany przez samego Canarisa, aby odnaleźć rabina i pomóc mu uciec z Polski wraz z dwudziestką członków jego rodziny. Ta operacja, przeprowadzona w pierwszych miesiącach wojny, wynikała ze strategii Abwehry, zgodnie z którą należało nie dopuścić do tego, żeby Stany Zjednoczone włączyły się do wojny po stronie Francji i Wielkiej Brytanii. W każdym razie Abwehra rozwinęła kilka akcji, aby chronić Żydów. Od rekrutowania ich jako agentów, aż do pomocy i finansowania ucieczek z Niemiec i uwolnienia ich ze szponów Gestapo.

Autentyczne są też niektóre nazwiska i wspomnienia, które zebrałam w odniesieniu do rzeczonych naukowców. Tak jest w przypadku Józefa Rotblata i jego małżonki Toli – ich dramatyczna historia niestety jest prawdziwa – oraz matematyka Stanisława Ulama. Co się tyczy Marii Ratner, choć nie jest postacią prawdziwą, została zainspirowana panią doktor Marią Asterblum, która była fizykiem na Uniwersytecie Warszawskim. Jej mąż walczył w Wojsku Polskim podczas wojny i zginął jako jeńiec z rąk Rosjan. Po powstaniu getta warszawskiego Asterblum wraz z córką Janiną dzięki namowom przyjaciół z Żegoty została po aryjskiej stronie pod fałszywym nazwiskiem Marii Pogonowskiej, którego używała do końca życia.

W jakimś stopniu prawdziwe są również liczne wysiłki hiszpańskich dyplomatów, aby chronić i ratować Żydów w krajach, w których sprawowali

funkcje. Najszlachetniejszy przypadek to bez wątpienia Ángel Sanz Briz, który na placówce w Budapeszcie zdołał uratować z Holocaustu ponad pięć tysięcy węgierskich Żydów, za co został nagrodzony przez Yad Vashem tytułem Sprawiedliwego wśród Narodów Świata. Było jednak wielu innych, którzy ryzykowali karierę i czasem życie, aby ratować Żydów: w Atenach, Berlinie, Paryżu, Sofii, Wiedniu... W powieści zajmuje się tym konsul w Warszawie Casimiro Granzow de la Cerda, o którym wiadomo, że pomagał polskim Żydom i nieustannie ujawniał prawdę o prześladowaniach. I tak jak w książce, Tanger czasem bywał miejscem wybranym, do którego wysyłano Żydów w ich drodze do wolności.

Co do francuskiego ruchu oporu, prawdziwy jest RWN, czyli Ruch Wyzwolenia Narodowego (franc. MLN, Mouvement de Libération Nationale). Fikcyjna postać André Bourdaina została oparta na historycznym André Bollierze, który wynalazł system fotoskładu, żeby móc tworzyć gazetki ruchu oporu w Lyonie i drukować je w dowolnym miejscu we Francji. A jeśli któryś z czytelników jest ciekawy, jaka była Julie Weill, może odszukać w Internecie plakat propagandowy MLN; kobieta, która się tam pojawia, mogłaby nią być. Karmaniola również jest historyczną grupą ruchu oporu, o tych samych cechach, które pojawiają się w książce.

Frontstalag 122, w którym więziono Guillena, jest prawdziwy, podobnie jak postać pielęgniarki Czerwonego Krzyża Germaine Pourvoyeur i sadystycznego komendanta Jägera oraz jego psów Koldo i Prado.

Na koniec, jeśli chodzi o sceny w Warszawie podczas dni poprzedzających powstanie w getcie, poza wieloma bojownikami wspomnianymi w tej książce, takimi jak Mordechaj Anielewicz, Kazik Rotem czy Tosia Altman, najważniejszy w powieści jest Antek – pod tym pseudonimem skrywał się Icchak Cukierman. Wszyscy oni są postaciami rzeczywistymi. Podobnie jak pisarka i aktywistka Maria Dąbrowska. A Aleksiej Rostow, Aron, chociaż fikcyjny, opiera się na tajemniczej postaci historycznej wspomianej w niektórych dokumentach jako major Chlebow – mówi się, że był agentem NKWD, wraz z innymi zrzuconym w okolicach Kielc, aby pomóc budować proradziecką partyzantkę, Gwardię Ludową.

Zimowy wiatr na twojej twarzy jest hołdem złożonym tym wszystkim, którzy choć żyli w trudnych i tragicznych okresach historii, pozostali wierni swoim ideałom i przekonaniom. Od nich nauczyłam się czegoś, co wydaje się oczywiste, ale zwykle bardzo łatwo nam umyka: to, co określa człowieka, to nie kolor jego idei, wiara czy strona frontu, po której się znajdzie, tylko natura jego czynów. Niech tak będzie.

PODZIĘKOWANIA

Po raz kolejny dziękuję po tysiącuroc moim wydawcom za cierpliwość, zrozumienie i talent, aby położyć wisienkę na torcie i wygładzić moje historie.

W tych działaniach wygładzania i polerowania treści mogłam też liczyć na porady moich najwierniejszych czytelników, „moich Luisów”, męża i brata, którzy mają odwagę przeczytać pierwszy manuskrypt, będący jak nieoszlifowany diament, żeby wnieść swoje cenne uwagi.

Badania przeprowadzone do tej powieści były długie i obszerne. Szczególnie chcę podziękować za zaangażowanie i sympatię kapitanom Germanowi Garcii z Archivo General Militar z Avili oraz Agustinowi Pacheco z Instituto de Historia Militar. Tak samo dziękuję Bractwu Narodowemu Błękitnej Dywizji w Madrycie za udzielone mi informacje i za pomoc przy korzystaniu z muzeum o wielkiej wartości historycznej, gdzie zgromadzono liczne eksponaty odnoszące się do obecności Hiszpanów na froncie wschodnim – gorąco polecam wizytę wszystkim, którzy chcieliby się dowiedzieć więcej o tej sprawie.

Aby poznać historię rodzinną, korzystałam przede wszystkim z pomocy kuzynki Silvii Ribelles de la Vega, która jako historyk wpadła na pomysł zachowania pamięci rodziny i napisała pierwszą biografię Luisa Montero – *Luis Montero Sabugo: En los abismos de historia* (Pentalfa Ediciones), której istnieje też wersja powieściowa: *La vida en un puño*, do kupienia na Amazonie. Z jej stron wydobyłam wiele informacji na temat braci Montero Álvarez. Dziękuję także wujkowi, Gregoriowi Manglano Valcárcel, za pomoc przy szperaniu w historii mojego dziadka Gregoria i zlokalizowanie szpitala polowego w La Granja de San Ildefonso podczas wojny domowej (a było to jak szukanie igły w stogu siana!).

Oczywiście nie mogę zapomnieć o moich przyjaciółkach: Evie i Javim, bo gdyby nie opowiedzieli mi fascynującej historii o swoim wujku i francuskim samolocie, który rozbił się w górach Demanda, prawdopodobnie nie napisałabym tej powieści albo napisałabym ją zupełnie inaczej. Muszę także podziękować za wszelkie informacje, których mi udzielili na ten temat, za dzienniki, fotografie i inne dokumenty; ponieważ należą do absolutnie prywatnych i rodzinnych spraw, mam poczucie, że możliwość ich poznania była szczególnym przywilejem.

Za różne rzeczy, przede wszystkim praktyczne, jestem ogromnie wdzięczna mojej przyjaciółce Susanie, gdyż jako znakomity psycholog potrafi odgadnąć, bez moich próśb, jak bardzo potrzebuję jej pomocy. Za każdym razem, kiedy moje dzieci jadły z nią obiad, liczba stron tej powieści w cudowny sposób przyrastała.

I, jak zwykle, dziękuję wam, czytelnikom, którzy sprawiacie, że to pisanie jest czymś więcej niż krzykiem w pustkę.

Spis treści

Dedykacja *** PROLOG Październik 1990 CZEŚĆ PIERWSZA Czerwiec 1927
Sierpień 1927 Październik 1927 Styczeń 1928 Czerwiec 1935 Lipiec 1935 Sierpień
1935 Wrzesień 1935 Lipiec 1936 Sierpień 1936 Wrzesień 1936 Październik 1936
Listopad 1936 Luty 1937 Październik 1937 Grudzień 1938 Luty 1939 Marzec 1939
1 kwietnia 1939 CZEŚĆ DRUGA Czerwiec 1940 Czerwiec 1941 Październik 1941
Grudzień 1941 Styczeń 1942 Luty 1942 Wrzesień 1942 Listopad 1942 Grudzień
1942 Styczeń 1943 Luty 1943 Marzec 1943 Kwiecień 1943 Maj 1943 Lipiec 1943
Sierpień 1943 Wrzesień 1943 Październik 1943 Maj 1945 CZEŚĆ TRZECIA
Zimowy_wiatr_Archiwum-39 Czerwiec 1950 Lipiec 1950 Sierpień 1950 EPILOG
Październik 1990 OPARTE NA FAKTACH I POSTACIACH RZECZYWISTYCH
PODZIĘKOWANIA

Tytuł oryginału: *El invierno en tu rostro*

Copyright © 2016, Carla Montero Manglano

Copyright © 2016, Penguin Random House Grupo Editorial, S. A. U.

All rights reserved

Copyright © for the Polish e-book edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2016

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

Redaktor: Katarzyna Raźniewska

Projekt okładki

Penguin Random House Grupo Editorial / Yolanda Artola

Projekt i opracowanie graficzne polskiej wersji okładki

Michał Pawłowski / www.kreskaikropka.pl

Fotografie na okładce

© Jeff Cottenden (portret kobiety)

© ABC (maszerujący żołnierze)

Wydanie I e-book (opracowane na podstawie wydania książkowego: *Zimowy wiatr na twojej twarzy*, wyd. I, Poznań 2017)

ISBN 978-83-8062-871-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel.: 61 867 81 40, 61 867 47 08

fax: 61 867 37 74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**

